

Józef Łobodowski
Przeciw upiorom przeszłości



Publikacja dofinansowana przez
Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych



Józef Łobodowski przedstawiony – jak informuje napis w lewym, dolnym rogu – jako ataman Lobo. Malował Esteban Sanz, olej, rok 1950. Ze zbiorów Muzeum Literackiego im. Józefa Czechowicza w Lublinie.

Józef Łobodowski

**Przeciw
upiorom przeszłości**

Myśli o Polsce i Ukrainie

Wybór tekstów i przypisy
Paweł Libera

Konsultacja
Andrij Pavlyszyn

Wydawnictwo Test

PATRONAT HONOROWY

Prof. Jarosław Drozd
Ambasador Tytularny
Konsul Generalny
Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie.

SPIS TREŚCI

<i>Jan Stanisław Ciechanowski</i> , Przedmowa / 7
<i>Paweł Libera</i> , Józef Łobodowski o Ukrainie i stosunkach polsko-ukraińskich / 9

WYBÓR TEKSTÓW

Serca za barykadą / 61
Za naszą wolność i Waszą / 66
Na marginesie dyskusji – ankiety / 85
Metodyczne szaleństwo / 90
W obliczu rozstrzygnięć / 98
Legendy wołyńskie / 108
Krystalizujący się chaos / 117
Ze wspomnień ukrajinofila
W Polsce niepodległej / 124
Lata wojenne / 136
Sprawa ukraińska / 143
Nowa książka Giertycha / 156
Dyskusje polsko-ukraińskie / 164
Brak programu wschodniego / 176
Masońskim dyszlem z Kreszczatiku na Ramblas / 188
Między Muszalskim a Zagłobą / 200
Przeciw upiorom przeszłości / 219
Scylle i Charybdy ukraińskiej poezji / 298
Poezja Jewhena Małaniuka / 350
Dwie antologie / 374
Sąd nad umarłym / 386

Po śmierci Małaniuka	/ 394
Sprawa rewindykacji – ponownie	/ 418
Profesor Kubijowicz	/ 437
Likwidatorzy Unii	/ 445
Dzieje osiemdziesięciolecia	/ 466
Fałszywa diagnoza	/ 487
Fałszywa legenda	/ 508
Dmytro Doncow. Życie i działalność	/ 515
Trzeci numer „Widnowy”	/ 537
Polski numer „Suczasnosti”	/ 545
„Widnowa”	/ 555
Rozmowa z Józefem Łobodowskim	/ 562
Nota bibliograficzna	/ 581

PRZEDMOWA

Józef Łobodowski należy do najbarwniejszych i najważniejszych postaci polskiej kultury XX wieku. Znakomity poeta okresu międzywojennego, obracający się w kręgach lubelskiej i warszawskiej cyganerii, przeszedł znamiennej ewolucję ideową, porzucając naiwne komunizowanie na rzecz twardego, pryncypialnego antykomunizmu. Impulsu do zmiany dostarczył mu krótki, nielegalny pobyt w Związku Sowieckim, który na zawsze wyleczył go z lewicowych mrzonek.

Łobodowskiego fascynował Wschód, biegle władał językami wschodniosłowiańskimi i był wybitnym znawcą literatury rosyjskiej oraz ukraińskiej. W niniejszej książce znaleźć można wybrane przykłady tych fascynacji, którym dawał upust jako tłumacz, publicysta i propagator wiedzy o kulturze. Łobodowski był emocjonalnie związany z tradycją jagiellońską i wierzył w duchową więź łączącą narody znajdujące się ongiś pod panowaniem dynastii Jagiellonów. Obce mu były nacjonalizmy kwestionujące tę tradycję. Jednocześnie deklarował sympatię dla ruchu prometejskiego, broniąc idei samostanowienia narodów w obliczu rosyjskiego i sowieckiego ekspansjonizmu. Widząc zagrożenia dla aspiracji niepodległościowych narodów Europy Środkowo-Wschodniej, w tym oczywiście dla Polaków, stał się rzecznikiem pojednania polsko-ukraińskiego.

Tej idei pozostał wierny także wtedy, gdy po II wojnie światowej pozostał na emigracji. Współpracował na tym polu z diasporą ukraińską, a także m.in. z Jerzym Giedroyciem i „Kulturą”, z londyńskimi „Wiadomościami” – pomimo dzielących ich różnic w poglądach na wiele innych kwestii.

Józef Łobodowski – jako człowiek bezkompromisowy – był na emigracji dość osamotniony. Również obecnie niewiele osób o nim

pamięta. Dopiero w ostatnim czasie podjęte zostały udane próby przypomnienia jego imponującego dorobku oraz zrealizowanych na kilku polach dokonań. Prezentowany tom wpisuje się zatem w cykl przedsięwzięć przywracających zbiorowej pamięci poetę, pisarza i publicystę, uczciwego intelektualistę, nieprzejednanego wroga komunizmu, którego rządy uważał za największy kataklizm w dziejach ludzkości.

dr Jan Stanisław Ciechanowski
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

JÓZEF ŁOBODOWSKI O UKRAINIE I STOSUNKACH POLSKO-UKRAIŃSKICH

Józef Łobodowski, który przed 1939 rokiem był świetnie zapowiadającym się poetą i tłumaczem, po 1945 roku nie akceptując ustroju Polski Ludowej, postanowił pozostać na emigracji. W Polsce komunistycznej jego nazwisko było objęte rygorystycznie przestrzeganiem zapisem cenzury, co sprawiło, że był autorem zupełnie zapomnianym, znanym jedynie nielicznym. Dopiero po 1989 roku jego postać powoli zaczęła powracać na należne jej miejsce w historii literatury polskiej¹. W swej twórczości Łobodowski nie ograniczał

¹ Twórczości literackiej i w mniejszym stopniu postaci Józefa Łobodowskiego (1909-1988) zostały poświęcone zarówno obszerne opracowania i zbiory studiów (m.in. L. Siryk, J. Świąch (red.), *Józef Łobodowski – rzecznik dialogu polsko-ukraińskiego*, Lublin 2000; I. Szypowska, *Łobodowski: od «Atamana Łobody» do «Seniora Lobo»*, Warszawa 2001; A. Jakubowska-Ożóg, *Poezja emigracyjna Józefa Łobodowskiego*, Rzeszów 2001; L. Siryk, *Urzeczony Ukrainą. O twórczości Józefa Łobodowskiego*, Lublin 2002; T. Zwiłnian-Grabowski, *Herold Ukrainy: szkice o Józefie Łobodowskim*, Szczecin 2007; *Lublin Łobodowskiego*, idem; E. Łoś L. Siryk, (red.), *Między literaturą a polityką. O Józefie Łobodowskim*, Lublin 2012) jak i artykuły omawiające jego biografię bądź poszczególne aspekty jego twórczości (m.in. J. Zięba, *Żywot Józefa Łobodowskiego*, cz. 1-8, „Relacje” 1989, nr 3-10; J. Kryszak, *O Józefie Łobodowskim*, w: W. Michalski, J. Zięba (red.), *Lublin literacki 1932-1982*, Lublin 1984, s. 236-247, J. Kryszak, *Józef Łobodowski (1909-1988)*, w: *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*, Seria 6, t. 4, *Literatura polska w okresie międzywojennym*, oprac. zespół red.: I. Maciejewska, J. Trznadel, M. Pokrasenowa, Kraków 1993, s. 287-319; L.A. Gzella, *Boje i rozboje Józefa Łobodowskiego na łamach prasy lubelskiej*, w: L. Siryk, J. Świąch (red.), *Józef Łobodowski – rzecznik dialogu polsko-ukraińskiego*, Lublin 2000, s. 73-88; G. Bąk, *Józef Łobodowski i madryckie pismo „Polonia. Revista ilustrada”*, „Lublin. Kultura i społeczeństwo. Dwumiesięcznik Środowisk Twórczych” 2009, nr 7 (30), Idem, *Wybitne postacie madryckiej Polonii: Juliusz Babecki, Karolina Babecka, Józef Łobodowski, Kazimierz Tylko, Gabriela Makowiecka*, w: *Poza Ojczyznę niosą Ojczyznę – przeszłość i teraźniejszość Polonii hiszpańskiej*, red. I. Barlińska, M. Raczkiewicz, M. Stanek; *Homo Dei*, Kraków 2008, Idem, *Por nuestra libertad y la vuestra: Polonia sigue luchando (1945)*, de Józef Łobodowski, „Estudios hispánicos” 2007, nr 15, s. 149-156). Łobodowski posiada także wiele haseł biograficznych w słownikach – stosunkowo najpełniejszy i najlepiej zredagowany jest biogram autorstwa

się jednak do poezji.² Był cenionym, bezkompromisowym publicystą, który przez wiele lat zajmował się stosunkami polsko-ukraińskimi i miał w tej dziedzinie znaczne osiągnięcia. Te drażliwe i skomplikowane zagadnienia poruszał jeszcze przed 1939 rokiem, a następnie w czasie II wojny światowej i na emigracji. Dość wspomnieć, że miał znaczący wkład w tworzeniu „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” w drugiej połowie lat 30. XX w., a następnie w kształtowaniu „polityki wschodniej” paryskiej „Kultury”. „Zespół złożony z trzech prekursorów ugody z Ukraińcami: Juliusza Mieroszewskiego, Józefa Łobodowskiego i Jerzego Stempowskiego, pod egidą redaktora naczelnego „Kultury”, dokonał przełomu w dziedzinie stosunków polsko-ukraińskich najpierw na emigracji, a potem stopniowo w Polsce” – oceniał po latach działalność „Kultury” Bohdan Osadcuk. Niestety, należy stwierdzić, że większość tekstów i polemik autorstwa Łobodowskiego na tematy ukraińskie jest nieznana i niedostępna dla czytelników polskich, tym bardziej zaś ukraińskich. Przynosi to także pewne ograniczenia w toczonych obecnie dyskusjach na tematy polsko-ukraińskie, gdyż wiele z poruszanych obecnie zagadnień było wyjaśnionych wiele lat temu. Poniższy zbiór tekstów Łobodowskiego jest próbą wypełnienia tej luki.

Publicystyka Łobodowskiego miała przede wszystkim charakter polityczny i historyczny. Kluczem do zrozumienia jego tekstów jest jego biografia i wybory, których dokonywał w ciągu swego życia. Nie jest celem tego zwięzłego wstępu przypomnienie drogi życiowej pisarza ani też przedstawienie jego biografii, ale jedynie przywołanie najważniejszych momentów jego życia, które są związane z wątkami ukraińskimi.

E. Głębieckiej w: J. Czachowska, A. Szałagan (oprac.), *Współcześni polscy pisarze badacze literatury. Słownik bibliograficzny*, t. 5: L–M, Warszawa 1997, s. 171–175, ibidem, t. 10: Ź – uzupełnienia do tomów 1–9, Warszawa 2007, s. 553. Dotychczas większość autorów koncentrowała się na rozmaitych aspektach twórczości literackiego Łobodowskiego, przywiązując mniejszą uwagę jego publicystyce i nie zgłębiając jego zapatrywań politycznych. Wątek ten zasygnalizowałem w moim artykule (*Józef Łobodowski (1909–1988) – szkic do biografii politycznej pisarza zaangażowanego*, „Zeszyty Historyczne” 2007, nr 160, s. 3–34) i ostatecznie rozwinąłem w niepublikowanej rozprawie doktorskiej, obronionej w IH PAN w Warszawie w 2012 roku (*Józef Łobodowski (1909–1988), biografia polityczna*). Poniższy wstęp powstał na podstawie ustaleń zamieszczonych w powyższej pracy.

² Na temat motywów ukraińskich w twórczości Łobodowskiego patrz: L. Siryk, *Urzeczony Ukrainą. O twórczości Józefa Łobodowskiego*, Lublin 2002.

DZIECIŃSTWO I LATA MŁODZIEŃCZEGO BUNTU

Józef Stanisław Łobodowski urodził się 9 marca 1909 roku na północnych kresach dawnej Rzeczypospolitej, w majątku Purwiszki powiatu sejneńskiego, jako syn pułkownika armii carskiej, Władysława Łobodowskiego i Stefanii z Doborejko-Jarząbkiewiczów. Niedługo po narodzinach chłopca rodzice przenieśli się do Lublina, gdzie mieszkali do wybuchu I wojny światowej. 31 lipca 1914 roku Stefania Łobodowska z dwoma córkami i pięcioletnim synem wyjechała do Moskwy.³ W stolicy Rosji mieszkali prawie trzy lata, jednakże pogorszenie sytuacji aprowizacyjnej zmusiło ich do wyjazdu w sierpniu 1917 roku do Jejska nad Morzem Azowskim.⁴ Na Północnym Kaukazie chłopiec ujrzał na własne oczy rewolucję, walki i krwawe egzekucje, ale zetknął się też z kozakami kubańskimi, językiem ukraińskim i problemami wielonarodowej Rosji. Wyraźne odbicie relacji pomiędzy różnymi narodami było doskonale widoczne w szkole. „W klasie panował ostry szowinizm rosyjski i wszystkie mniejszości były na stopie wojennej z główną nacją. W gromadzie kilkunastu *azjatów* [!] znalazłem się i ja. Było tam paru Gruzinów, Ormianin Ałtunjanc, jeden czy dwóch Greków, Tatarzy... Ta szczeniacka federacja kaukaska plus jeden *katolik*, jak mnie stale tytułowała rosyjska większość, staczała dzielne walki w obronie własnej suwerenności, niejednokrotnie wychodząc obronną ręką”⁵ – wspominał po latach, nawiązując żartobliwie do ruchu prometejskiego.⁶ Nie mniej istotny dla chłopca, wychowanego częściowo w rosyjskim środowisku, był pierwszy kontakt z kozakami kubańskimi i językiem ukraińskim. Nie wiadomo dokładnie, na ile Łobodowski mógł poznać zwyczaje kozaków. Ślady tych kontaktów pojawiają się między

³ Relacja J. Łobodowskiej w posiadaniu Stanisława Tomanka, kopia w zbiorach autora. Rkps., s. 2, 4.

⁴ J. Łobodowski, *Worek Judaszów: Moje doświadczenia pre-rewolucyjne*, *Wiadomości*, nr 15/16 (1724/1725), 15-22 IV 1979, s. 10; Relacja J. Łobodowskiej, w posiadaniu Stanisława Tomanka, kopia w zbiorach autora, rkps., s. 13.

⁵ J. Łobodowski, *Prometeusz skowany*, «Kurier Lubelski», nr 1, 22 III 1937, s. 4.

⁶ J. Łobodowski, *Worek Judaszów: Mój kolega Nowikow*, „*Wiadomości*”, nr 25 (1630), 26 VI 1977, s. 4.



Fotografia rodziny Łobodowskich ok. 1915 r. Od lewej: mały Józef, matka Stefania z Doborejko-Jarząbkiewiczów, córki Janina i Wanda, z tyłu ojciec Władysław.

(Wszystkie materiały ilustracyjne – jeśli nie zaznaczono inaczej – pochodzą ze zbiorów Muzeum Literackiego im. J. Czechowicza w Lublinie.)

innymi w pisanej na emigracji powieści, zawierającej liczne wątki autobiograficzne.⁷ Wśród nich warto przypomnieć scenę, gdzie stary kozak tłumaczy młodemu Polakowi cele istnienia ruchu wolnokozackiego, który dążył do uzyskania niezależności od Rosji i utworzenia odrębnego państwa kozackiego.

W Jejsku rodzina Łobodowskiego spędziła ponad cztery lata, a chłopiec okres dorastania od ósmego do trzynastego roku życia. Okazją do wyjazdu była dopiero repatriacja ludności, która nastąpiła po podpisaniu Traktatu Ryskiego w marcu 1921 roku. Przed wyjazdem śmiercią naturalną 4 marca 1922 roku zmarł Władysław Łobodowski,⁸ nieco później, w czasie drogi powrotnej, zmarła również jedna z siostr pisarza, Janina.

Po powrocie do Lublina trzynastoletni Józef Łobodowski zaczął od nadrabiania zaległości w normalnym odżywianiu się i w polskich lekturach. Pierwszymi książkami, jakie przeczytał, były *Sny o potędze* Leopolda Staffa, *Sen o szpadzie i sen o chlebie* Stefana Żeromskiego oraz *Duma o hetmanie*. „Te trzy książki od razu zdeterminowały dalszy rozwój młodego chłopaka, dzieciaka właściwie, zanim objawiła mu się potężna poezja Juliusza Słowackiego i dokonała reszty” – wspominał. Fascynacja okresem i językiem staropolskim oraz postacią hetmana Żółkiewskiego sprawiły, że sięgnął po literaturę z tego okresu od *Kazań Sejmowych* Piotra Skargi, poprzez przekłady Biblii autorstwa ks. Jakuba Wujka, aż po wspomnienia Jana Chryzostoma Paska i hetmana Stanisława Żółkiewskiego.⁹ Łobodowski uczył się początkowo w szkole podstawowej, a następnie w Gimnazjum im. Hetmana J. Zamoyskiego w Lublinie, gdzie miały miejsce nie tylko pierwsze próby literackie, ale też wagary, ucieczki i konflikty z gronem nauczycielskim.¹⁰ W 1931 roku uzyskał świadectwo dojrzałości i rozpoczął

⁷ Fabuła trylogii (*Komysze, W stancy, Droga powrotna*) o małym Stasiu, Polaku mieszkającym w Jejsku, zawiera liczne wątki autobiograficzne, ale sam autor nigdy nie wypowiedział się jednoznacznie w tej sprawie. W przypadku tetralogii *Dzieje Józefa Zakrzewskiego* miał stwierdzić, że tylko częściowo jest oparta na jego osobistych przeżyciach (por. J. Łobodowski, *Wspomnienia lubelskie*, „Kresy” 1991, nr 8, s. 134).

⁸ I. Szypowska, *Łobodowski*, op.cit., s. 19.

⁹ J. Łobodowski, *Duma o Hetmanie* [1], „Wiadomości”, 21-28 IX 1980, nr 38/39 (1799/1800), s. 1.

¹⁰ I. Szypowska, *Rozmowa z Józefem Łobodowskim*, „Poezja” 1988, nr 6, s. 19; F. Śmieja, *Józef Łobodowski o sobie i swojej poezji*, „Odra” nr 4, 1991, s. 63-65.

studia na wydziale prawa i nauk ekonomiczno-społecznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.¹¹ Niewiele uwagi jednak poświęcał studiowaniu, gdyż jeszcze wcześniej zaczął manifestować wyraźnie lewicowe i radykalne poglądy w kwestiach społecznych, politycznych i religijnych, co bardzo szybko zostało zrozumiane jako deklaracja ofensywnego komunizmu.¹²

W tym okresie związał się z grupą tzw. drugiej awangardy,¹³ skupionej wokół Józefa Czechowicza oraz towarzyszących mu poetów: Wacława Gralewskiego, Konrada Bielskiego, Kazimierza A. Jaworskiego i innych. Brał niezwykle aktywny udział w literackim życiu Lublina m.in. organizując Oddział Lubelskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich czy uczestnicząc w spotkaniach poetyckich. Poza tłumaczeniami poetów rosyjskich i wierszami początkowo inspirowanymi przez twórczość skamandrytów, w swej twórczości Łobodowski wyrażał przede wszystkim bunt przeciwko otaczającej go rzeczywistości.

Wszczęcie dochodzenia karnego przeciwko autorowi tomiku wierszy *O czerwonej krwi* stanowiło podstawę do usunięcia go z uczelni na początku drugiego semestru pierwszego roku studiów (1932).¹⁴ Karnie relegowany, otrzymał wyższy wymiar kary, gdyż w ślad za nim rozesłano tzw. wilczy bilet do „wszystkich uczelni państwowych”, uniemożliwiający mu podjęcie nauki w szkołach wyższych na terenie całego kraju. List ten zawierał często cytowane przez piszących o Łobodowskim słowa – „usunięty za bluźnierstwa i szerzenie pornografii”.¹⁵ Następne konfiskaty dotknęły kolejnego tomu poezji i artykułów drukowanych na łamach „Kuriera Lubelskiego”,

¹¹ Archiwum Uniwersyteckie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego im. Jana Pawła II [AU KUL], Wydział Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych, Akta osobowe studentów, sygn. PE 2480. Podanie J. Łobodowskiego (1931/1932).

¹² Patrz więcej: P. Libera, *Józef Łobodowski – od komunizmu do antykomunizmu: ewolucje ideowe pisarza zaangażowanego*, [w:] *Vir bonus. Księga jubileuszowa dedykowana doktorowi Władysławowi Horstowi*, Warszawa [2015], s. 81-87.

¹³ O drugiej awangardzie i roli Łobodowskiego w tym ruchu patrz: M. Zaleski, *Przygoda drugiej awangardy*, wyd. 2, Wrocław 2000.

¹⁴ AU KUL, Akta osobowe studentów, Łobodowski Józef Stanisław (lata 1931-1932), sygn. PE 2480. List Prokuratora Sądu Okręgowego w Lublinie z 1 lutego 1932 roku.

¹⁵ *Ibidem*. Pismo rektora KUL, z 17 lutego 1932 roku, L. 472/32.

którego był przez pewien czas redaktorem naczelnym (październik – listopad 1932) oraz czasopism, które sam wydawał: „Trybuny” (marzec – maj 1932), „Barykad” (październik 1932 – styczeń 1933) i „Dźwigarów” (listopad 1934 – styczeń 1935). Na cztery tomiki wierszy wydane w przeciągu czterech lat, dwa zostały skonfiskowane przez prokuraturę, w tym jeden zniszczony nakazem sądowym. W późniejszych wspomnieniach napisze: „Bilans tych przeszło dwóch lat wyglądał dość okazale. Dziesięć konfiskat, osiem procesów, jeden areszt zakończony zwolnieniem za kaucją, blisko miesięczny pobyt w więzieniu wojskowym”.¹⁶

W 1932 roku napisał też pierwszy artykuł, w którym poruszył zagadnienie stosunków polsko-ukraińskich. Łobodowski konstatawał, iż między społeczeństwem polskim i ukraińskim wyrosła „barykada niezrozumienia i niechęci”, nawoływał do oceny i podsumowania dotychczasowej polityki polskiej wobec mniejszości ukraińskiej. Bilans ten wypadł dla Polaków „w dość znacznej części (...) ujemnie” – twierdził. Odpowiedzialnością za zaistniałą sytuację obarczał nie tyle rząd, co społeczeństwo i nawet od postawy społeczeństwa uzależniał powodzenie działań rządu w tej dziedzinie. „(...) tkwi w tem jakaś tragiczna pomyłka, jakiś przeklęty paradoks, że naród od dwustu lat bity po pysku, ledwie wyleczył się z wczorajszych sińców i stał z czoła ślady pańskiego buta, już chce łapać inne narody za kark i powiewa sztandarem imperializmu i nacjonalistycznych pretensji”. Zaskakujące, że już w tym tekście Łobodowski dostrzegał i doceniał wagę sojuszu Piłsudskiego i Petlury podczas „błogosławionej wiosny 1920 roku” w budowaniu poprawy stosunków polsko-ukraińskich.¹⁷ Drugim dowodem zainteresowania sprawą Ukrainy w tym okresie jest wiersz upamiętniający śmierć Dmytra Danyłyszyna i Wasyla Biłasa, członków bojówki OUN, którzy wcześniej zamordowali Tadeusza Hołówkę, a których skazano na karę śmierci – za napad na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim (30 listopada 1932 roku).¹⁸

¹⁶ J. Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach* cz. 3, „Kultura” 1964, nr 10/204, s. 43.

¹⁷ J. Łobodowski, *Serca za barykadą*, „Trybuna” R. I, nr 1, 1 III 1932, s. 13-15.

¹⁸ J. Łobodowski, *Na śmierć powieszonych Ukraińców*, „Skamander” 1936, z. 75, s. 402-407. Wiersz, opublikowany w 1936 r., powstał najprawdopodobniej tuż po egzekucji. Wiadomo, że styczniu 1933 roku rękopis tego utworu skonfiskowała Łobodowskiemu podczas rewizji policja (por. Archiwum Akt Nowych, Urząd Wojewódz-

Wątek ukraiński pojawił się w jego biografii także w momencie, w którym pisarz zerwał z sympatiami komunistycznymi.¹⁹ Na przełomie 1934 i 1935 roku Łobodowski, który już wcześniej protestował wobec polityki Komunistycznej Partii Polski w dziedzinie kultury, literatury i realizmowi socjalistycznemu otrzymał wiadomości o wielkim głodzie Ukrainie. Potwierdził je w marcu 1935 roku znajomy Łobodowskiego, stary ideowy komunista, członek Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy mieszkający na Wołyniu koło Kowła, który swój staż partyjny zaczął jeszcze w SDKPiL: „(...) przyjechał roztrzęsiony. Niemal płacząc, opowiadał o tym, co działo się na Ukrainie w strasznych głodowych latach 1932-1933. „Dochodziły mnie słuchy już dwa lata temu, ale wszystko uważałem za kapitalistyczne oszczerstwo. A teraz wiem, wiem na pewno, że to prawda. Więc jak? Jak teraz żyć? Splugawili święty ołtarz rewolucji...”. Dwa miesiące później Łobodowski dowiedział się, że jego znajomy popełnił samobójstwo.²⁰ Informacje te miały skłonić pisarza do samodzielnego wyjazdu na Ukrainę, aby na własne oczy przekonać się o tym, co działo się za szczelnie zamkniętą granicą. Nie ma żadnych dowodów świadczących o jego pobycie na Ukrainie, poza jego własnym świadectwem: „więc poszedłem w 1935 roku właśnie, a to już było po wydaniu *Rozmowy z ojczyzną*, przemycili mnie przemytnicy zawodowi z Wołynia, chłopci ukraińscy. Ja wróciłem całkowicie wyleczony z moich złudzeń, a partia ogłosiła, że ja byłem konfidentem policji (...)” – mówił w wywiadzie dla BBC.²¹ Czy rzeczywiście wyprawa ta miała miejsce? Sam, kiedy o niej wspominał, nie podawał zbyt wielu szczegółów. Rzekomą wyprawę opisał po latach w zbeletryzowanej wersji w powieści z cyklu *Dzieje Józefa Zakrzewskiego*. Żona, z którą się pobrał w 1938 roku, nie potwierdziła tej wersji i uważała wręcz, że Łobodowski na Ukrainie nie był, a podany przez niego opis to

ki Lubelski – Wydział Społeczno-Polityczny, sygn. 270/IV -17, k. 13., miesięczne sprawozdanie sytuacyjne UWL nr 1/33, 9 II 1933. Archiwum Państwowe w Lublinie, Prokuratura Sądu Okręgowego w Lublinie, sygn. 50, s. 15-16. Raport Sytuacyjny Wydziału Śledczego Komisariatu I Głównego PP nr 6, 17 I 1933).

¹⁹ P. Libera, *Józef Łobodowski – od komunizmu do antykomunizmu: ewolucje ideowe pisarza zaanfażowego*, op. cit., s. 81-87.

²⁰ J. Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach* cz. 3, op. cit., s. 37.

²¹ Muzeum Literackie im. J. Czechowicza w Lublinie [MLC], kaseta 55, wywiad Agaty Wolskiej z Józefem Łobodowskim dla BBC.

zasugerowanie się powieściami Sergiusza Piaseckiego.²² Sam pisarz jednak wielokrotnie o tej wyprawie wspominał w wywiadach i napisanych przed śmiercią wspomnieniach.²³

Łobodowski oficjalnie zerwał z ruchem komunistycznym w 1935 roku, a swe racje ogłosił i umotywował na łamach niezwykle popularnych wówczas „Wiadomości Literackich”.²⁴ Wywołało to krytykę i oskarżenia o zdradę w środowiskach komunizujących i komunistycznych literatów²⁵. Wspominając swe poprzednie zaangażowanie napisał, że w 1935 roku rozstał się ze „złudzeniami skrajnie lewicowymi i prorosyjskimi”.²⁶ Konsekwencją tego była całkowita zmiana frontu. Pisarz niebawem związał się z ruchem prometejskim.

W ORBICIE RUCHU PROMETEJSKIEGO

Prometeizm to idea wsparcia dążeń narodowyzwoleńczych narodów i ludów podbitych przez Rosję (ZSRR). Z punktu widzenia polskiej polityki był prometeizm rozwinięciem federacyjnych koncepcji Józefa Piłsudskiego i zakładał bliską współpracę niektórych kół (m.in. rządowych) z emigrantami ludów podbitych przez Związek Sowiecki i dążących do odzyskania niepodległości. Prometeizm zakładał współpracę wszystkich ludów otaczających terytorium Związku Sowieckiego, sięgając w najlepszych chwilach od Finlandii poprzez Ukrainę, Iran i Kaukaz aż po Japonię. Była to doktryna przede wszystkim polityczna, mająca jednak przełożenie również i na działalność kulturalną. W dużej mierze była finansowaną przez władze polskie, Ekspozyturę 2 Oddziału II Sztabu Głównego oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Poza utrzymywaniem kontaktu z ośrodkami opozycyjnymi, przesyłaniem kurierów, starano się

²² Muzeum Literackie im. J. Czechowicza, kasety nr 53 – wywiad przeprowadzony przez J. Ziębę z Jadwigą Kuczyńską – 13 XII 1988 r.

²³ J. Łobodowski, *Żywot człowieka gwałtownego*, Warszawa 2014, s. 121-124, 288-289.

²⁴ J. Łobodowski, *Smutne porachunki*, „Wiadomości Literackie” 1935, 27 X 1935, nr 43 (623), s. 1.

²⁵ M.in. I. Szypowska, *Łobodowski...*, op.cit., s. 73-74.

²⁶ J. Łobodowski, *Modlitwa na wojnę*, Londyn 1947, s. 96 (noty).

propagować ideę prometeizmu przede wszystkim wśród społeczeństwa polskiego i na zachodzie Europy.²⁷

W późniejszym okresie Łobodowski swoje kontakty z emigrantami narodów podbitych przez Rosję opisywał tak: „Z ruchem prometejskim i jego ośrodkiem warszawskim zetknąłem się i zacząłem z nim współpracować dość późno, bo dopiero w roku 1936. Ale była to współpraca intensywna”.²⁸ Można przypuszczać, że do ruchu prometejskiego zbliżyło go zainteresowanie kulturą ukraińską i tematyką stosunków polsko-ukraińskich, ponieważ prawdopodobnie na przełomie 1935 i 1936 roku poznał emigrantów działających w ruchu prometejskim i skupionych wokół Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie. To oni zaproponowali mu udział w pracach nad przekładami poezji Tarasa Szewczenki na język polski. Łobodowski był jednym z bardziej czynnych tłumaczy i współpracowników Instytutu – przełożył 22 na 118 zamieszczonych w tomie utworów.²⁹ Prawdziwą manifestacją przejścia do obozu prometejskiego był artykuł ogłoszony w 1936 roku w „Wiadomościach Literackich” *Za naszą wolność*

²⁷ Do najważniejszych publikacji zwartych, monografii i zbiorów dokumentów na ten temat należy zaliczyć: J. Lewandowski, „Prometeizm” – koncepcja polityki wschodniej piłsudczyzny, „Biuletyn Wojskowej Akademii Politycznej im. F. Dzierżyńskiego”, cz. 1: 1958, nr 2 (12), s. 100-137, cz. 2: 1959, nr 1 (14), s. 31-52; S. Mikulicz, *Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1971; A. Grzywacz, M. Kwiecień, G. Mazur, (oprac.), *Zbiór dokumentów ppłk. Edmunda Charaszkiewicza*, Kraków 2000; P.I. Maj, *Działalność Instytutu Wschodniego w Warszawie 1926-1939*, Warszawa 2007; B. Sadykova, *Mustafa Tchokay dans le mouvement prométhéen*, Paris 2007; G. Mamoulia, *Les combats indépendantistes des Caucasiens entre URSS et puissances occidentales. Le cas de la Géorgie (1921-1945)*, Paryż 2009; J.J. Bruski, *Między prometeizmem a realpolitik. II Rzeczpospolita wobec Ukrainy Sowieckiej 1921-1926*, Kraków 2011; С.М. Исхаков, *Из истории азербайджанской эмиграции*, Москва 2011; В. Комар, *Концепція прометеїзму в політиці Польщі (1921-1939 рр.)*, Івано-Франківськ 2011; Г. Мамуліа, *Кавказская Конфедерация в официальных декларациях, тайной переписке и секретных документах движения «Прометей»* (сборник документов), Москва 2012. M. Kornat (red.), *Ruch prometejski i walka o przebudowę Europy Wschodniej (1918-1940)*, Warszawa 2012; P. Libera (oprac.), *II Rzeczpospolita wobec ruchu prometejskiego*, Warszawa 2013. Przegląd badań nad tym zagadnieniem został opublikowany w: J. Pisuliński, *Prometeizm – problemy i pytania historiograficzne*, [w:] *Ruch prometejski i walka o przebudowę Europy Wschodniej (1918-1940)*, M. Kornat (red.), Warszawa 2012, s. 91-104; P. Libera, *II Rzeczpospolita wobec ruchu prometejskiego*, Warszawa 2013, s. 18-27.

²⁸ *Ibidem*, s. 417.

²⁹ T. Szewczenko, *Poezje*, Warszawa 1936, s. 407.

i waszą. Zaangażowanie Łobodowskiego w ruchu prometejskim potwierdził również szef Ekspozytury 2, podpułkownik Edmund Charaszkiwicz, który wymienił jego nazwisko wśród działających w pracach prometejskich, na odcinku społeczno-politycznym, tuż obok Włodzimierza Bączkowskiego, prof. Oskara Haleckiego czy Mariana Zdziechowskiego.³⁰

NA WOŁYNIU

Działalność prometejska pisarza koncentrowała się przede wszystkim na publicystyce. Pierwsze kroki stawiał samodzielnie. W marcu 1937 roku wznowił za własne środki „Kuriera Lubelskiego”. Pomimo że żywot pisma był bardzo krótki, to był on jeszcze jedną manifestacją poglądów młodego pisarza. „(...) nadałem mu kierunek „prometejski”, a więc stawiający na rozbicie imperium rosyjsko-sowieckiego na składowe części narodowe” – wspominał w ostatnich latach swego życia.³¹ Z braku środków pismo upadło po kilku numerach, a Łobodowski związał się z tygodnikiem „Wołyń”, finansowanym przez wojewodę wołyńskiego, Henryka Józewskiego.³² „Naraił mi to mój starszy kolega z gimnazjum, Zbigniew Chemicz [powinno być: Chomicz], krewny i sekretarz osobisty wojewody wołyńskiego, Henryka Józewskiego,³³ który po przejrzaniu kilku numerów „Kuriera Lubelskiego” miał zaproponować mu najpierw współpracę z pismem, a później przybycie do Łucka na stałe³⁴ i objęcie funkcji redaktora naczelnego. W rzeczywistości pisarz nigdy nie był oficjalnie redaktorem naczelnym

³⁰ E. Charaszkiwicz, *Zagadnienie prometejskie. (Referat uzupełniający)*, 12 lutego 1941, w: A. Grzywacz, M. Kwiecień, G. Mazur (oprac.), *Zbiór dokumentów ppłk. Edmunda Charaszkiwicza*, Kraków, 2000, s. 74.

³¹ J. Łobodowski, *Wierzyński, Tuwim, Broniewski i inni (fragmenty wspomnień)*, Paryż, «Kontakt» nr 10 (88) 1987, s. 60.

³² M. Kuczerepa, *Polityka wołyńska wojewody Henryka Józewskiego*, [w:] *Józef Łobodowski – rzecznik dialogu polsko-ukraińskiego*, pod red. L. Siryk, J. Świącha, Lublin 2000, s. 99-114.

³³ J. Kęsik, *Zaufany Komendanta, biografia polityczna Jana Henryka Józewskiego 1892-1981*, Wrocław, 1995 oraz obszerny biogram w: M. Gałęzowski, *Wierni Polsce, ludzie konspiracji piłsudczykowskiej 1939-1947*, Warszawa 2005, s. 265-289.

³⁴ J. Łobodowski, *Ze wspomnień ukrajinofila. W Polsce niepodległej*, „Wiadomości” 1947, nr 13 (52).

tygodnika; tłumaczył to faktem, że wojewoda musiał liczyć się ze zdaniem „czynników wojskowych”, które Łobodowskiemu przychylnie nie były.³⁵ Do Łucka przeniósł się dopiero jesienią 1937 roku.³⁶ Bardzo szybko w piśmie pojawiły się artykuły ściśle związane z propagowaniem idei prometejskich i porozumienia polsko-ukraińskiego w duchu prometejskim, o jakich pisał W. Bączkowski na łamach „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”.

Naczelną ideą „polskiego imperializmu” dla Łobodowskiego było „wyrwanie narodów czarnomorsko-kaspijskiego basenu (...) spod przemocy Moskwy”. Pisał: „To jest naczelna i maksymalna idea jutrzejszej Polski. Od nas zależy, aby jej realizacja rozpoczęła się już dziś”.³⁷ Wzorem prometejskich pism, starał się przedstawić alternatywę jaka istniała między państwem narodowym a imperium i korzyści, jakie wypływały dla Polaków z wyboru tej ostatniej opcji. „Ksenofobia, niechęć konfrontowania własnej kultury z obcymi osiągnięciami, deklamacje o glebie bio-psychoicznej, wszystko to prowadzi do zacieśnienia granic własnego rozwoju i zubożenia własnych możliwości przy jednoczesnym kurczeniu się zasięgu i wpływu na innych”.³⁸ Łobodowski atakował niektórych zwolenników Piłsudskiego, którym zarzucał nie tylko ciasnotę umysłową, ale także i niewłaściwe pojmowanie wielkości zmarłego Marszałka.³⁹ Pismo wołyńskie było „na wysuniętym posterunku”, gdyż musiało łączyć dwa trudne zagadnienia – politykę zagraniczną o charakterze prometejskim i próby porozumienia, głównie polsko-ukraińskiego, na polu wewnętrznym. Popierając tezy i omawiając prace Bączkowskiego,⁴⁰ Łobodowski polemizował z jego przeciwnikami i powtarzał, że jedynym ratunkiem dla zachowania polskości Kresów jest współdziałanie Ukraińców w zarządzaniu nad tym terytorium.⁴¹ W „Wołyń” zamieszczano również fraszki autorstwa Łobodowskiego, podpisywane pseudonimem „Pszonka” [Stanisław

³⁵ J. Łobodowski, *Wierzyński, Tuwim, Broniewski i inni*, j.w., s. 60.

³⁶ J. Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach*, cz. 3, op. cit., s. 47.

³⁷ J.Ł. [Józef Łobodowski], *Rozdroża kulturalne* „Wołyń”, nr 2 z 9 I 1938, s. 2.

³⁸ J.Ł. [Józef Łobodowski], *Pomniejszyciele narodu*, „Wołyń”, nr 16, 17 IV 1938, s. 3.

³⁹ J.Ł. [Józef Łobodowski], *Licytanci na widowni*, „Wołyń”, nr 47, 21 XI 1937, s. 3.

⁴⁰ Np. „Wołyń”, 1937, nr 35, s. 2.

⁴¹ J.Ł., *Wielkość czy upadek*, „Wołyń”, nr 44 z 31 X 1937, s. 2.; J.Ł., *Aplikant w roli statysty*, „Wołyń”, nr 50 z 12 XII 1937, s. 2.

Pszonka, założyciel Rzeczpospolitej Babińskiej – przyp. wyd.]. Większość z nich dotyczyła problemów bieżących i uderzała zarówno w przeciwników Łobodowskiego, jak i „Wołynia”, ale zawierała także i krytykę niektórych poczynań rządu, jak np. organizację Związków Szlachty Zagrodowej.⁴²

Oprócz zaangażowanej publicystyki, pisarz nie zapominał o poezji. W styczniu lub lutym 1938 roku Łobodowski zamieścił w „literacko-artystycznym” dodatku do „Wołynia” kilka przekładów ukraińskiego poety Jurija Kosacza. Nie wiedział w tym czasie, że Kosacz zdezerterował z wojska polskiego i nielegalnie uciekł do Paryża. Z tego powodu spotkały Łobodowskiego wymówki ze strony Józewskiego, którego oskarżono o popieranie druku wierszy dezertera. Sprawa miała oprzeć się aż o Warszawę.⁴³ W kwietniu 1938 roku Józewski został odwołany z Łucka, na wniosek „grupy oficerów”, którzy mieli zagrozić szefowi DOK Lublin, generałowi Smorawińskiemu, że jeżeli nie załatwi odwołania wojewody, to jeden z nich go zastrzeli⁴⁴. Wyjazd Józewskiego oznaczał koniec „eksperymentu wołyńskiego”, który miał doprowadzić do współpracy polsko-ukraińskiej w tym regionie. Wraz z klęską wojewody, Józef Łobodowski opuścił Łuck i powrócił do Warszawy. W ostatniej chwili, już po wyjeździe swego zwierzchnika, zdążył wydrukować w tygodniku wiersz *Wiosna zdradzona*, dedykowany Henrykowi Józewskiemu.⁴⁵

„BIULETYN POLSKO-UKRAIŃSKI”

Ważnym etapem w prometejskiej działalności Łobodowskiego była współpraca z „Biuletynem Polsko-Ukraińskim”.⁴⁶ Geneza tego pisma sięga 29 sierpnia 1931 roku, kiedy w Truskawcu został zamordowany Tadeusz Hołówko, jeden z najważniejszych polskich działaczy ruchu prometejskiego,

⁴² Pszonka [Józef Łobodowski], *Do braci chłopów manifest*, „Wołyń”, nr 16, 1938.

⁴³ J. Łobodowski, *Dzieje osiemdziesięciolecia*, „Kultura” 1977, nr 5/356, s. 81.

⁴⁴ J. Łobodowski, *Wierzyński, Tuwim, Broniewski i inni*, op. cit., s. 61; *Rozmowa z Józefem Łobodowskim*, «Spotkania. Niezależne pismo katolików» 1987, nr 33-34, s. 192-193. R. Torzecki, *Kwestia ukraińska w polityce III Rzeczy 1933-1945*, Warszawa 1972, s. 171.

⁴⁵ *Wiosna zdradzona*, „Wołyń” 1938, nr 17, s. 3.

⁴⁶ O profilu pisma patrz: A. Walkowiak, „*Biuletyn polsko-ukraiński*” 1932-1938 jako głos w kwestii ukraińskiej, „Sprawy wschodnie” 2005, nr 2-3 (9-10), s. 103-115.



Józef Łobodowski, okres międzywojenny – fot. Ludwik Hartwig.

były naczelnik Wydziału Wschodniego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i gorący zwolennik współpracy i porozumienia polsko-ukraińskiego. Koła prometejskie, przeświadczone o politycznych motywach zabójstwa i ukrytej za nimi „ręce sowieckiej”, postanowiły wzmóc swą aktywność na polu relacji polsko-ukraińskich. W tym celu został stworzony przez działaczy ruchu prometejskiego „Biuletyn Polsko-Ukraiński”. „Idea o uruchomieniu BPU powstawała w atmosferze myśli o kontrakcji wobec tych sił zewnętrznych, które nasze narody chcą jak najmocniej i na długo skłócić. (...) BPU powstał z krwi Hołówki. I od dawna wynoszonej myśli, iż głównym wrogiem niepodległości obu narodów jest imperializm Moskwy – Rosji Sowieckiej” – pisał po latach redaktor naczelny pisma, Włodzimierz Bączkowski.⁴⁷

„Biuletyn Polsko-Ukraiński” został utworzony przez władze polskie i był przez nie finansowany. Nie zmienia to jednak faktu, że zespół redakcyjny pisma składał się z przekonanych i gorących zwolenników porozumienia polsko-ukraińskiego, a pismo to odegrało znaczącą rolę w dyskusjach polsko-ukraińskich w okresie międzywojennym. W szczególności sposób starano się przedstawić rolę i znaczenie Ukrainy w ruchu prometejskim. Pisał na ten temat już w pierwszym numerze „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” Włodzimierz Bączkowski: „Gruzja, Azerbejdżan, Kaukaz Północny, Turkiestan, Ukraina i inne, tworząc tzw. front prometejski, są ową siłą działającą w terenie, mogącą zmienić oblicze Wschodniej Europy. Głównym jednak kluczem do rozwiązania tego zagadnienia, zasadniczym elementem całego frontu, mogącym gruntownie przekształcić układ sił, jest Ukraina, warunkująca poza tem w dużej mierze możliwości niepodległościowe dla Kaukazu”.⁴⁸ Konsekwencją współpracy polsko-ukraińskiej w ramach ruchu prometejskiego było przekonanie o konieczności zmiany ówczesnej polityki władz polskich wobec mniejszości ukraińskiej. To jednak spotkało się ze sprzeciwem ze strony części władz wojskowych. Najpoważniejsze zastrzeżenia wobec linii politycznej „Biuletynu Polsko-

⁴⁷ W. Bączkowski, *Karta z historii stosunków polsko-ukraińskich*, «Biuletyn Polsko-Ukraiński», „Niepodległość”, t. XIX, Londyn – Nowy Jork, 1986, s. 117-119.

⁴⁸ W. Bączkowski, *Na marginesie prób tworzenia polskiej racji stanu w kwestii ukraińskiej*, „BPU”, nr 1, 1932, s. 8-13.

-Ukraińskiego” pojawiły się na pod koniec 1937 roku, w związku z ankietą o stosunkach polsko-ukraińskich.

Jednym z biorących udział w ankiecie był Łobodowski, który od pewnego czasu współpracował z czasopiśmie i zamieszczał na jego kartach tłumaczenia z poezji ukraińskiej i teksty o charakterze publicystycznym. W swej odpowiedzi na ankietę pisarz twierdził, że jeśli Polacy nie rozumieją, że losy Polski i Ukrainy „historia spłótła w nierozzerwalny sposób (...) i pójdą na lep naiwnego pseudorealizmu „endeków”, przegramy po raz drugi nasze szanse na wschodzie Europy, jak już raz przegraliśmy w walce z rosnącym imperializmem moskiewskim i nie utrzymamy się nie tylko w Dubnie czy Ostrorogu, ale i w Tarnopolu i we Lwowie. Dzisiejsza polityka chowania głowy w piasek i usypiania samych siebie urojonymi bajeczkami, prowadzi siedmiomilowymi krokami do katastrofy, którą Włodzimierz Bączkowski określił, jako nową chmielniczyznę”.⁴⁹ A niebawem dodawał: „ostatecznie wszystko sprowadza się do takich alternatyw: albo ugoda z Ukraińcami i własna samodzielna polityka na Wschodzie, albo walka z ideą niepodległej Ukrainy pozornie w sojuszu, faktycznie pod protektoratem Moskwy. Trzeciego wyjścia nie ma”.⁵⁰

Niebawem stosunek władz wobec pisma uległ zaostreniu i w sierpniu 1938 roku Szef Oddziału II Sztabu Głównego zanotował, że: „«Biuletyn Polsko-Ukraiński» nie może zawierać ataków na czynniki rządzące w Polsce. Nie może też zawierać wypowiedzi, które by mogły nasunąć czytelnikowi taką interpretację”.⁵¹ Widocznym znakiem wywierania nacisków na redakcję pisma był między innymi fakt, że od sierpnia 1938 roku Józef Łobodowski teksty publicystyczne na tematy polityczne musiał podpisywać pseudonimem „Stefan Kuryło”.⁵² Władze wojskowe miały „kategorycznie oponować” przeciwko drukowaniu tekstów Łobodowskiego na łamach „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”.⁵³ Na dawnych warunkach, pod-

⁴⁹ J. Łobodowski, *Dokąd zmierzamy w stosunkach polsko-ukraińskich? Od bezmyślności do katastrofy* (odpowiedź nr. 7 na ankietę), „BPU”, 17 X 1937, nr 38 (229), s. 377-378.

⁵⁰ J. Łobodowski, *Na marginesie dyskusji – ankiety*, „BPU”, 17 X 1937, nr 38 (229), s. 427-429.

⁵¹ P. Libera, *Biuletyn Polsko-ukraiński (1932-1938) pismo programowe ruchu prometejskiego*, „Київські полоністичні студії” 2011, t. XVIII, Kijów 2011, s. 33-41.

⁵² S. Kuryło [Józef Łobodowski], *Demaskująca się demokracja*, „BPU”, R. VII, 14 VIII 1938, nr 30 (269), s. 322-324.

pisując się imieniem i nazwiskiem, publikował teksty poświęcone kulturze i literaturze ukraińskiej oraz wiersze i tłumaczenia poetów ukraińskich⁵⁴. O powodach tej zmiany wyrażał się enigmatycznie – „w tym wypadku jego użycie zostało mi narzucone z góry, ale nie przez Bączkowskiego ani Zahorę Ibiańskiego”.⁵⁵ Łobodowski, pisząc pod pseudonimem Stefan Kuryłło, bardzo zdecydowanie krytykował ówczesną politykę rządu polskiego wobec mniejszości ukraińskiej w II RP. „Stosujemy politykę samobójców, ale ktoś zainteresowany czuwa nad nami, aby samobójcza ręka nie zatrzymała się w pół drogi, aby dokonała przeznaczonego jej dzieła” – sugerował zewnętrzne inspiracje. Twierdził, że obawy ze strony państw Europy Zachodniej, iż dążenia niepodległościowe w ZSRR osłabiłyby front antyfaszystowski doprowadziły do tego, że: „Stare polskie hasło – *Za naszą wolność i waszą* – poniewiera się dziś na komunistycznych sztandarach nad Ebro i Tajo”.⁵⁶ Niewłaściwa polityka wewnętrzna wobec mniejszości ukraińskiej doprowadziła do sytuacji, w której prometeizm był narzędziem niewykorzystanym we właściwym stopniu. Ze strony polskiej Łobodowski krytykował zarówno stanowisko prawicy, jak i lewicy, która w swej części popierała niepodległościowe dążenia ukraińskie, ale nie przekładało się to na żadne działania. „Kolejność jest wyraźna. Najpierw trzeba zlikwidować Rosję w jej obecnej imperialnej postaci, a następnie zwrócić się frontem ku Zachodowi w wypadku jego agresji”. Jednakże Łobodowski nie tylko krytykował stanowisko polskie, ale także i ukraińskie. Twierdził, że aktywizm ukraiński powinien wrócić do swojej postawy z lat 1919-1920, a żadna „lachofobia” ze strony Ukraińców nie zmieni tego, że Polska jest naturalnym sprzymierzeńcem przeciwko Rosji.⁵⁷ Warto przypomnieć, że pod pseudonimem Łobodowski opublikował też na łamach związanego z „Biuletynem Polsko-Ukraińskim” prometejskiego czasopisma „Wschód-Orient”.⁵⁸

Najprawdopodobniej teksty Łobodowskiego i innych autorów były nie

⁵³ J. Łobodowski, *Ze wspomnień ukrajinofila. W Polsce niepodległej*, „Wiadomości” 1947, nr 13 (52).

⁵⁴ *Ibidem*.

⁵⁵ J. Łobodowski, *Zahora*, „Kultura” 1975, nr 1/328 – 2/329, s. 153.

⁵⁶ S. Kuryłło, *Metodyczne szaleństwo*, „BPU”, R. VII, 4 IX 1938, nr 33 (272), s. 354-355.

⁵⁷ S. Kuryłło, *W obliczu rozstrzygnięć*, „BPU”, R. VII, 2 X 1938, nr 37 (276), s. 403-406.

⁵⁸ S. Kuryłło, *Kozaczyzna w czasie rewolucji*, „Wschód-Orient” 1939, nr 1 (31), s. 41-56.

do przyjęcia dla władz, a ustępstwa ze strony pisma okazały się niewystarczające i zapewne jesienią 1938 roku podjęto decyzję o likwidacji pisma, a dokładniej mówiąc o przekształceniu go w miesięcznik „Problemy Europy Wschodniej”.⁵⁹ Ostatni, 288/289 numer „BPU” ukazał się 25 grudnia tego roku.⁶⁰

Pierwszy numer „Problemy Europy Wschodniej” ukazał się w styczniu 1939 roku. Powstanie czasopisma oznaczało odejście od poruszania zagadnienia sytuacji mniejszości ukraińskiej w II RP i kontynuację wątku prometejskiego jedynie w polityce zagranicznej. Zagadnień związanych z mniejszością ukraińską w II RP nie poruszano w ogóle, pojawiały się jedynie śladowo w pojedynczych tekstach.⁶¹ O napięciach w stosunkach polsko-ukraińskich świadczył także fakt, że w nie udało się skłonić pisarzy ukraińskich do udziału projektowanych uroczystościach ku czci Słowackiego we wrześniu 1939 roku.⁶² Łobodowski opublikował na łamach „PEW” tylko trzy artykuły. Wszystkie dotyczyły mniej lub bardziej odległej przeszłości, od XIX wieku do roku 1918.

PRZED WOJNĄ

Aktywność Łobodowskiego w sferach prometejskich sprawiła, że w 1939 roku zlecono mu wyprawę na Ruś Zakarpacką. Wyjazd miał miejsce w kwietniu lub maju i został zorganizowany najprawdopodobniej na polecenie Oddziału II Sztabu Głównego, w celu „zebrania materiałów na miejscu i napisania broszury antyniemieckiej, przeznaczonej dla Ukraińców”. Poeta był „sprawdzany” przez „opiekuna”, którego w końcu udało się zgubić. „Po powrocie do Warszawy naglono mnie bardzo o tę broszurę; po dziesięciu dniach złożyłem ją odpowiednim czynnikom. Z tym wszystkim, mimo, że działo się to w początkach czerwca [1939], bro-

⁵⁹ A. Notkowski, *Prasa w systemie propagandy rządowej w Polsce 1926-1939. Studium techniki władzy*, Warszawa – Łódź 1987, s. 384.

⁶⁰ I.P. Maj, *Działalność Instytutu Wschodniego w Warszawie 1926-1939*, Warszawa 2007, s. 144-146.

⁶¹ P. Dunin-Borkowski, *Mysli o procesach asymilacyjnych*, „PEW”, nr 4/1939, s. 242-252.

⁶² J. Łobodowski, *Zahora*, „Kultura” 1975, nr 1/328-2/329, s. 149-150.

szura już się przed wojną nie ukazała”.⁶³ Na ten temat nigdy więcej się nie wypowiadał, nie udało się też odnaleźć śladów tych zamiarów w dokumentach archiwalnych.

Oprócz działalności publicystycznej, Łobodowski nadal sam tworzył i tłumaczył z języka ukraińskiego, ale nie wszystkie jego plany zostały zrealizowane w tym zakresie. Wiadomo, że koło połowy lipca 1939 roku udał się do dyrektora wydawnictwa F. Hoesicka, Mariana Sztajnsberga i złożył mu propozycję wydania tłumaczeń poetów ukraińskich w dwóch tomach. Z racji niepewnej sytuacji politycznej księgarz doradził mu, aby powrócić do tych planów po 1 września, jeżeli nie wybuchnie wojna.⁶⁴ Przekłady te nigdy się nie ukazały. Przed wojną miał się także ukazać inny tom Łobodowskiego, zbiór wierszy poświęconych stosunkom polsko-ukraińskim, pod tytułem *Złota Hramota*. Pisarz przygotowywał go dla „Serii Poetów”, wydawanej przez oficynę wydawniczą Jakuba Mortkowicza, ale książka nie ukazała się.⁶⁵ Ten wybór wierszy ukazał się dopiero po wojnie w Paryżu, prawdopodobnie w bardzo zbliżonej wersji.

Wybuch II wojny światowej położył kres aktywnej działalności ruchu prometejskiego. Po latach, swą działalność publicystyczną i idee, które wyznawał, podsumował cierpko: „Wiedzieliśmy wszyscy doskonale, że ten nasz *prometeizm* jest w pewnym sensie zawieszony w powietrzu. W polskim społeczeństwie nie chwytał, ba, przeważnie nawet do niego nie docierał. Ukraińcy, Białorusini, Litwini konfrontowali go z rzeczywistością społeczno-polityczną na kresach i konfrontacja ta wypadła z reguły niewesoło. (...) Miała to być wyprawa na słońce, cóż, kiedy nie dano nam do ręki niczego innego, poza bezradną motyką!”⁶⁶ Trzeba jednak przyznać, że zainteresowanie prometeizmem nie ustało w 1939 roku. Łobodowski będzie rozwijał je i kontynuował na emigracji. Godnym zainteresowania wydaje się dokładniejsze zbadanie związków Łobodowskiego z prometeizmem również i w późniejszym okresie, gdyż wiele wskazuje, że miały on duży wpływ nie tylko na charakter jego twórczości, ale i de-

⁶³ J. Łobodowski, *Ze wspomnień ukrainofila. W Polsce niepodległej*, „Wiadomości” 1947, nr 13 (52).

⁶⁴ J. Łobodowski, *Dzieje osiemdziesięciolecia*, „Kultura” 1977, nr 5/356, s. 77.

⁶⁵ J. Łobodowski, *Zahora*, „Kultura” 1975, nr 1/328 – 2/329, s. 154.

⁶⁶ *Ibidem*, s. 155.

cyzje, które musiał podejmować. Najprawdopodobniej był to jeden z powodów, dla których pozostał na emigracji. Według sekretarza Klubu „Prometeusz”, prof. Romana Smal-Stockiego, podręcznik oficerów NKWD w okupowanej Polsce 84 z 210. stron poświęcał działalności Ligii Prometejskiej.⁶⁷ Nietrudno wywnioskować, jakie mogło to mieć konsekwencje dla osób kojarzonych z tym ruchem po 1944 roku.

NA EMIGRACJI

Tuż przed wybuchem II wojny światowej Józef Łobodowski został zmobilizowany i otrzymał przydział do zapasowego batalionu 21 Pułku „Dzieci Warszawy”.⁶⁸ Wówczas po raz ostatni widział swoich bliskich, matkę i żonę Jadwigę. W trakcie działań wojennych jego oddział przyłączył się do 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej pod dowództwem pułkownika Stanisława Maczka. 19 września 1939 roku oddziały te przekroczyły granicę węgierską. Pisarz został internowany na Węgrzech wraz z innymi żołnierzami, ale po kilku próbach udało mu się zbiec z obozu i po długiej podróży dotrzeć do Paryża.⁶⁹ Tam nawiązał kontakt z przedstawicielami władz polskich i działaczami ruchu prometejskiego. Bardzo szybko zaczął publikować w polskiej prasie. Były to wspomnienia z kampanii wrześniowej, teksty o charakterze publicystycznym i wiersze, między innymi poruszające tematy ukraińskie.⁷⁰

W tym czasie do Paryża docierały niepokojące informacje o sytuacji narodowościowej w południowych województwach okupowanej Polski. Szczególnie źle przedstawiały się relacje polsko-ukraińskie. Łobodow-

⁶⁷ R. Smal Stocky, *The Struggle of the Subjugated Nations in the Soviet Union for Freedom, Sketch of the History of the Promethean Movement*, „The Ukrainian Quarterly” 1947, vol. III, nr 4, s. 335.

⁶⁸ I. Szybowska, *Rozmowa...*, op. cit., s. 24.

⁶⁹ Jego pobyt i działalność we Francji został opisany po raz pierwszy w dwóch artykułach: P. Libera, *Aresztowanie i „okres paryski” w życiu Józefa Łobodowskiego w 1940 roku*, „Zeszyty Historyczne” 2007, nr 161, s. 196-235; Idem, *Józefa Łobodowskiego wędrówki na południu Francji*, „Zeszyty Historyczne” 2008, nr 165, s. 71-100.

⁷⁰ Np. J. Łobodowski, *Wiosna kijowska*, „Słowo” nr 4, 11 II 1940, s. 3.

ski, mający świadomość jak napięte były relacje pomiędzy dwoma narodami, postanowił wrócić do kraju. „(...) chcę wrócić nielegalnie do kraju. Po co? Wykorzystując moje kontakty wołyńskie pragnę nawiązać kontakty z Ukraińcami. Może dojść do wzajemnej rzezi, trzeba temu zawczasu przeciwdziałać” – opowiadał Kazimierzowi Wierzyńskiemu. Po konsultacji z Ignacym Matuszewskim postanowiono przedstawić projekt generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu, który kierował wówczas Komitetem Rady Ministrów do Spraw Kraju, ale do spotkania nie doszło, gdyż na drodze stanęli zwolennicy generała Władysława Sikorskiego. Łobodowski przedstawił później tę samą propozycję prof. Stanisławowi Kotowi, ale ten z kolei domagał się gwarancji, że w razie aresztowania przez Gestapo lub NKWD pisarz będzie milczał. Kot zaproponował, aby odłożyć wyprawę do wiosny – i ostatecznie nie doszła ona do skutku.⁷¹ Tymczasem umiejętności Łobodowskiego zostały wykorzystane inaczej. Nieokreślony urzędnik, być może wspomniany wcześniej prof. Stanisław Kot, zwrócił się do pisarza z prośbą o napisanie dwóch ulotek: rosyjskiej do żołnierzy Armii Czerwonej i ukraińskiej, do ludności cywilnej na kresach południowo-wschodnich, w celu poprawienia obecnych stosunków i ich nastawienia do Polaków.⁷² Ulotki miały być zrzucone z samolotów. Łobodowski ulotki napisał i przełożył je, zgodnie z zamówieniem. Z niewiadomych przyczyn plan ten nie został zrealizowany, ale nie poinformowano o tym Łobodowskiego. Warto przytoczyć słowa ulotki skierowanej do Ukraińców, gdyż jest to zupełnie nieznany epizod w działalności pisarza na rzecz poprawy relacji pomiędzy dwoma narodami:

„Ukraińcy!

Na ziemię Halicką, na Wołyń i Polesie przyszli najciężsi wrogowie ukraińskiego i polskiego narodów. Kaci bolszewicy rzucili się na naszą ziemię, aby wyniszczyć ją krwią i żelazem, napełnić Sołówki najlepszymi synami narodu, spustoszyć wszystko do cna i zostawić zgliszcza złane wazymi łzami.

Jak hjena żerująca na pobojuwisku, bolszewicka Moskwa [zajmuje]

⁷¹ Idem, *Paryż...*, op. cit.

⁷² Idem, *Ze wspomnień...*, op. cit.



Poeci Stanisław Piętak, Józef Łobodowski i Bronisław Ludwik Michalski na moście im. księcia J. Poniatowskiego w Warszawie. Fotografia przedwojenna.

obce ziemie i ośmiela się jeszcze kłamać, że *podaje rękę pomocy swoim braciom Ukraińcom* – pies im bratem, nie Ukrainiec!

Wbrew woli i życzeniom zarówno Ukraińców jak i Polaków, czerwona horda zachęcona przez niemiecką władzę Hitlera, przyszła po złodziejsku, niktzemnie i wzięła w *opiekę* wasze życie i majątek, żeby wyniszczyć wasze stuletnie kulturalne i narodowe zdobycze.

Pamiętając o bolszewikach, nie zapominajcie i o tem, że Niemcy przez tyle lat paraliżowały czujność i wolę ukraińskiego narodu, udając obrońcę i przyjaciela, podbijając cenę ukraińskich ziem, po to, by je jak najkorzystniej sprzedać.

Hitler oddał Ukraińców na pożarcie moskiewskiemu molochowi, który wziął w swe ręce wszystkie organizacje ekonomiczne i kulturalne, wszystkie instytucje naukowe i grozi zniszczeniem całości duchowego dorobku narodu.

Taki sam straszny los szykuje czerwona Moskwa polskiemu społeczeństwu Galicji i Wołynia. Gdy więc i Polacy i Ukraińcy jęczą w moskiewskim więzieniu, gdy nasz wspólny dorobek kulturalny stał się zdobyczą czerwonych katów, musimy dziś pojednać się i skierować wszystkie duchowe i materialne siły ku walce z najstraszniejszym wrogiem – Moskwą.

Wierzmy głęboko: wszystko to, co w przeszłości kłóciło polski i ukraiński narody, zostanie przewyciężone w sąsiedzkim współżyciu i wkrótce już nastanie czas dla tej Bożej sprawiedliwości, która rozwiąże i rozstrzygnie nasze sprawy. Wówczas spełni się testament Tarasa Szewczenki, który pisał: *niech dzieci wiedzą, jak ich ojcowie błędzili, niech się bratają ze swemi wrogami* – i wówczas przestaniemy popełniać wspólne błędy, kłóćąc się o sąsiedzką miedzę.

Niech żyje braterska zgoda polsko-ukraińska!

Niech żyje wspólna walka z czerwonym najeżdźcą!

Niech żyje wyzwolenie polskiego i ukraińskiego narodów z moskiewskiego więzienia!”⁷³

⁷³ P. Libera, *Aresztowanie i okres paryski w życiu Józefa Łobodowskiego w 1940 roku*, op. cit, s. 222-223.

Niebawem sytuacja Łobodowskiego uległa znacznej zmianie. Poeta został aresztowany w nocy 21 lutego 1940 roku, w okolicach koszarów wojskowych, przez policję francuską. W późniejszym okresie wypadek ten był rozmaicie opisywany przez jego znajomych, ale jedna z możliwych wersji głosiła, że miało to związek z tłumaczonymi ulotkami. Jan Winczakiewicz, który znał Łobodowskiego i spotkał go na południu Francji, twierdził, że „Łobodowskiemu polecono redagować ulotki w języku ukraińskim, które niby to miały być zrzucone z samolotów nad Wołyniem i Podolem. Brulion takiej ulotki znalazła przy nim policja francuska, gdy po pijanemu wdrapywał się na mur koszar, aby odwiedzić kolegę. Podejrzany o szpiegostwo, przesiedział w więzieniu i wyzwoliła go dopiero inwazja niemiecka.⁷⁴ W rzeczywistości przy poecie tekstu ulotek nie znaleziono, również w trakcie przesłuchiwań o ulotki nie pytano, co skłania do przypuszczenia, że nie zostały one w ogóle przez francuską policję znalezione. Poeta oraz materiały w różnych językach, jakie skonfiskowano w jego mieszkaniu, sprawiły sporo kłopotu francuskiemu kontrwywiadowi cywilnemu i wojskowemu, które nie umiały udowodnić mu żadnego przestępstwa. Z kolei interwencja władz polskich była zbyt wolna, aby nieporozumienie zakończyć szybko i sprawnie. Z tego powodu poeta musiał spędzić pewien czas we francuskim więzieniu. Ostatecznie według wspomnień Łobodowskiego – na mocy wyroku Najwyższego Sądu Wojskowego, we wrześniu 1940 roku – zwolniono go z więzienia.

Nieco wcześniej, 14 czerwca 1940 roku, po wkroczeniu Niemców do Paryża, wszystkich więźniów, w tym i Łobodowskiego, odesłano pieszo pod eskortą strzelców senegalskich i marokańskich na południe Francji. Na podstawie dostępnych materiałów, wiadomo że w ostatnich dniach sierpnia 1940 r. przebywał już w więzieniu wojskowym na południu Francji, w miejscowości Lodève, w departamencie Hérault (Langwedocja). Po zwolnieniu z więzienia, wraz z innymi żołnierzami polskimi, Łobodowski został internowany w obozie w miasteczku Caylus, w departamencie Tarn et Garonne, niedaleko Tuluzy. W nowych warunkach Polacy bardzo szybko zaczęli organizować życie obozowe, powstała świetlica i wydawane poufnie czasopismo „Wrócimy”. W redakcji tego ostatniego ważną rolę odgrywał Łobodowski.

⁷⁴ J. Winczakiewicz, *Z szuflady emigranta*, Toruń 2001, s. 48.

Spod jego pióra wychodziły zarówno wiersze, jak i przeglądy aktualnej sytuacji na froncie, fraszki dotyczące życia obozowego i artykuły zaangażowane politycznie.⁷⁵ Te ostatnie przysporzyły mu najwięcej problemów. W trzecim numerze „Wrócimy” zamieścił artykuł *Prometeusz skowany*,⁷⁶ będący apologią ruchu i idei prometejskiej. Autor wskazywał wyraźnie na dwóch wrogów Polski: Rosję i Niemcy. Według niego, jedyną drogą do zwalczenia pierwszego wroga była realizacja idei prometejskiej, szczególnie w przymierzu z Ukrainą. W istniejącej sytuacji Łobodowski dostrzegał nowe szanse, jakie stwarzała sytuacja w Europie Środkowej, gdzie polityka sowiecka spychała w krąg ruchu prometejskiego państwa, które wcześniej były mu odległe. Artykuł miał wywołać burzę wśród czytelników, a wewnętrzna (polska) władza wojskowa obozu miała zarządzić konfiskatę czasopisma. Łobodowskiemu oświadczono, że na podejmowanie tego typu tematów będzie odpowiedni czas po wojnie. Artykuł miał zaniepokoić władze do tego stopnia, że urzędnik PCK w Tuluzie – działacz narodowy i aktywista Młodzieży Wszechpolskiej, Witold Nowosad – napisał artykuł pt. *600-lecie polskości Lwowa*, mający na celu zrównoważenie wydźwięku tekstu Łobodowskiego. Poeta, jako redaktor naczelny czasopisma, odrzucił tekst Nowosada. Wówczas, w ramach represji, Łobodowskiemu cofnięto zapomogę w wysokości 500 franków, wypłacaną przez PCK, aby – jak tłumaczył później Nowosad – „odebrać [«Wrócimy»] charakter pisma popieranego przez władze”. Łobodowski uważał, że pieniądze otrzymał na prowadzenie pracy kulturalno-oświatowej, a nie na redagowanie pisma. Ponadto podkreślał, że artykuł Nowosada otrzymał w styczniu, podczas gdy jego tekst ukazał się w grudniu i cała akcja była wymierzona w prezentowane przez niego poglądy. Jednakże najdotkliwszą formą represji była utrata powielacza, na którym odbijano pismo. Najwięcej ucierpiał współpracujący z czasopismem Henryk Palmbach, który w tych trudnych czasach został usunięty z pracy w PCK w Tuluzie. Ostatecznie, na konflikt ideowy nałożył się spór pisarza z polskimi władzami obozu – i Łobodowski postanowił uciec z obozu. Nastąpiło to zapewne pomiędzy początkiem stycznia, a pierwszymi dniami lutego 1941 r. Pisarz przez pewien czas przebywał na

⁷⁵ P. Libera, *Józefa Łobodowskiego wędrówki na południu Francji*, op. cit., s. 78-100.

⁷⁶ J. Łobodowski, *Prometeusz skowany*, „Wrócimy” 1940, nr 3, s. 69-74.

terenie południowej Francji w środowiskach polskich i wędrował od Nicei, przez Tuluzę aż do Grenoble, kontynuując działalność literacką, wydając potajemnie „Wrócimy” i własne wiersze.⁷⁷ W sierpniu 1941 roku postanowił wcielić w życie plan, nad którym myślał od dłuższego czasu – i w towarzystwie innego żołnierza wyruszył w stronę Pirenejów, aby przez Hiszpanię dotrzeć do Anglii. W trakcie tej wędrowki został zatrzymany na granicy francusko-hiszpańskiej i osadzony na okres półtora roku w hiszpańskim więzieniu Figueras.⁷⁸ Zwolniony został dopiero w lutym 1943 roku. Przez pewien czas przebywał w Madrycie. W 1945 roku, wobec beznadziejnej sytuacji Polski na arenie międzynarodowej, zdecydował pozostać na emigracji w Hiszpanii.

EMIGRANT – POGROBOWIEC PROMETEIZMU

Józef Łobodowski większą część życia spędził na emigracji w Hiszpanii. Początkowo planował wrócić do kraju, po matkę i żonę, ale planów tych nie udało się zrealizować. Na stałe osiadł w Madrycie. Tak jak przed wojną, na życie zarabiał piórem. Współpracował przede wszystkim z polską prasą emigracyjną, wydawaną w Wielkiej Brytanii, Francji i w mniejszym stopniu w innych krajach. Ponadto, od 1949 roku był jednym z twórców polskiego programu Radia Madryt, które do 1975 roku nadawało audycje kierowane do Polski Ludowej. Okazyjnie współpracował także z Radiem Wolna Europa. Jego twórczość w tym okresie obejmowała poezję, tłumaczenia poezji i prozy z różnych języków (rosyjskiego, ukraińskiego, hiszpańskiego i białoruskiego) oraz powieści, drukowane na łamach prasy londyńskiej. Jednakże objętościowo największą część jego dorobku obejmuje publicystyka skoncentrowana wokół sytuacji literatury i literatów w Polsce i w krajach bloku komunistycznego, działalności polskiej emigracji politycznej, analizy sytuacji w kraju, a także stosunków polsko-

⁷⁷ P. Libera, *Józefa Łobodowskiego wędrowki...*, op. cit., s. 82-100.

⁷⁸ J. Łobodowski, *Modlitwa na wojnę*, Londyn 1947, s. 104 oraz życiorys Łobodowskiego w liście z 27 II 1987 r. do W. Iwaniuka (W. Iwaniuk, *Ostatni romantyk. Wspomnienie o Józefie Łobodowskim*, Toruń 1998).

ukraińskich i polsko-rosyjskich. Najważniejszymi tytułami prasowymi, w których poruszał najczęściej tematykę stosunków polsko-ukraińskich, były londyńskie „Wiadomości” i paryska „Kultura”. Ze środowiskiem emigracji londyńskiej łączył go bezkompromisowy stosunek do sytuacji w kraju i przekonanie o konieczności zwalczania ustroju komunistycznego. Nie podzielał polityki „Kultury” wobec Polski Ludowej, ale za to całkowicie identyfikował się z „polityką wschodnią” Jerzego Giedroycia – i w tym zakresie blisko współpracował z paryskim mie-sięcznikiem. Na łamach tych dwóch czasopism ogłosił najważniejsze teksty, jakie napisał na temat relacji polsko-ukraińskich po 1945 roku.

ZANIM POWSTAŁY „UPIORY PRZESZŁOŚCI...”

Po 1945 roku wątek ukraiński pojawiał się w różnych tekstach Łobodowskiego, w tym w wierszach – jak na przykład: *Pochwała Ukrainy*.⁷⁹ Jednakże bez wątpienia najważniejszym tekstem, który napisał na ten temat tuż po wojnie, był duży artykuł, zatytułowany: *Przeciw upiorom przeszłości*.⁸⁰ Tekst ten, który wywołał jedną z najważniejszych dyskusji w stosunkach polsko-ukraińskich po wojnie, został wydrukowany przez „Kulturę”, ale został poprzedzony długą i burzliwą dyskusją na łamach londyńskich „Wiadomości”. Ponieważ geneza tekstu i pierwsza część dyskusji jest niezwykle rzadko przywoływana, warto w tym kontekście przypomnieć przynajmniej główne tezy Łobodowskiego i jego przeciwników.

Dyskusję zapoczątkowały opublikowane w 1947 roku dwuczęściowe wspomnienia Łobodowskiego, poświęcone wątkom prometejskim w okresie międzywojennym. Nawiązując do słynnego tytułu artykułu Włodzimierza Bączkowskiego *Nie jesteście ukrainofilami* stwierdzał, że – oprócz fascynacji kulturą ukraińską – decydujące znaczenie miał dla niego moment, kiedy zrozumiał prawdziwe oblicze ZSRR, gdzie „pod maską uniwersalizmu rewolucyjnego kryje się zawsze ta sama, odwieczna Moskwa, wroga Polsce i Zachodowi (...). Szukając radykalnych

⁷⁹ J. Łobodowski, *Pochwała Ukrainy*, „Wiadomości”, nr 23 (62), 8 VI 1947, s. 1.

⁸⁰ J. Łobodowski, *Przeciw upiorom przeszłości*, „Kultura” 1952, nr 2/52-3/53, s. 14-66.

rozstrzygnąć w skali historycznej, znajdowałem je jedynie w rozbiciu imperium rosyjskiego i cofnięciu go do granic etnograficznych”. Niestety – według Łobodowskiego – opcji prometejskiej nie dopuszczano w Polsce przedwojennej do głosu, marginalizowano ją, a kolejne posunięcia polskiej polityki wobec mniejszości ukraińskiej ciągle negocowały i uniemożliwiały realizację programu prometejskiego.⁸¹

Łobodowskiemu odpowiedziały liczne krytyczne głosy pisarzy i publicystów, świetnie pamiętających czasy okresu międzywojennego. Polemizował z nim przede wszystkim Józef Mackiewicz, dla którego nie brak polityki prometejskiej, a raczej niechęć Polaków wobec Wschodu i Rosji, wynikająca z zauroczenia Zachodem, spowodowała upadek Rzeczypospolitej. „Pozbycie” się przez Polskę „ruskiego” charakteru Wielkiego Księstwa Litewskiego w Konstytucji 3 Maja 1791 roku odebrało Polsce możliwość konkurowania w „zbieraniu” ziem ruskich z Moskwą. Inaczej też widział rolę Piłsudskiego, który przede wszystkim – „zaślepiony w swej antyrosyjskości” – nie umiał dostrzec pojawienia się ZSRR zamiast Rosji. Świadczyło o tym zawieszenie broni w sierpniu 1919 roku.⁸² Innym argumentem, jaki wysuwał, było to, że imperium carów, rozsadzane przez separatyzm mniejszości narodowych, zostało zastąpione przez bolszewików, którzy świetnie sobie z nimi radzili.⁸³ Bardzo istotnym wątkiem tej dyskusji był spór o to, czy ZSRR jest przedłużeniem i kontynuacją Rosji carów.⁸⁴ Józef Mackiewicz, omawiając ponadnarodowy charakter bolszewizmu uważał, że Rosji nie można utożsamiać z ZSRR.⁸⁵ Z kolei, jego argumentom zaprzeczał Łobodowski, dla którego najważniejszy aspekt polityki rosyjskiej, zarówno za czasów carów jak i komisarzy – imperiaлизм i starania o podporządkowanie sobie największej ilości terytoriów

⁸¹ J. Łobodowski, *Ze wspomnień ukrainofila. W Polsce niepodległej*, „Wiadomości”, nr 13 (52), 30 III 1947, s. 1.

⁸² Wątek ten został opisany i wyjaśniony w: A. Nowak, „Lewa wolna”, albo o spiskach Piłsudskiego z Leninem, „Arcana” 2007, nr 2-3 (74-75), s. 184-204.

⁸³ J. Mackiewicz, *O dokładne rozeznanie wroga*, „Wiadomości”, nr 30 (69), 27 VII 1947, s. 1.

⁸⁴ R. Habielski, *Niezłomni, nieprzejednani. Emigracyjne „Wiadomości” i ich krąg 1940-1981*, Warszawa 1991, s. 74-75.

⁸⁵ J. Mackiewicz, *Nie Rosja, ale Sowiety*, „Wiadomości”, nr 18 (57), 4 V 1947, s. 1.
por. także: M. Broda, J. Kurczak, P. Weingertner, *Komunizm w Rosji i jego polskie interpretacje*, Łódź 2006, s. 129-135.

i narodów – pozostawał bez zmian.⁸⁶ Myśl tę rozwijał między innymi w opublikowanym w drugiej połowie 1950 roku artykule *Przyjaciele Moskale*, pierwszym dużym tekście poświęconym wyłącznie Rosji. Łobodowski przede wszystkim zwracał uwagę na idee imperialne w myśleniu i pojmowaniu Rosji u każdego Rosjanina. Według niego, w poważnej większości przypadków pojęcie imperializmu nie da się oddzielić do pojęcia Rosji. Spotykał wielu Rosjan o bardzo różnym pochodzeniu, wykształceniu: „I zawsze powtarzało się to samo. Niezależnie od wieku, środowiska, poglądu na świat i przekonań politycznych, racje historyczne imperium rosyjskiego w ich najszerszym zasięgu były groźnym tabu. Były *nieprikosnowiennej* świętością, w stosunku, do której nawet dyskusja staje się niedopuszczalna”. W niechęci Rosji do Polski Łobodowski widział niechęć do „świata niezrozumiałej i obcej kultury”. W Rosjanach zaś najbardziej raził go brak krytycyzmu wobec własnej historii i brak gotowości do dokonania z nią uczciwego rozrachunku, który musiałby prowadzić do końca imperializmu. Bez tego rozrachunku uważał wszelkie próby porozumienia za niemożliwe.⁸⁷ Jego poglądy nie były odosobnione na łamach „Wiadomości”.⁸⁸ Spór z Mackiewiczem dotyczył nie tylko interpretacji opisywanych zjawisk, ale bardzo często również i faktów. Łobodowski zakwestionował na przykład prorosyjskość Kozaków dońskich i Kałmuków. Choć przez długie lata wspierali monarchię rosyjską, to w ostatnich latach, podczas rewolucji, zmienili front. Łobodowski przywołał przykład Kałabuchowa, którego powieszono za to, że w tajemnicy przed Denikinem kontaktował się z Clemenceau i rządami republik kaukaskich.⁸⁹

Bardzo szybko dyskusja rozszerzyła się z tematyki ogólno-prometejskiej na wątki związane z zagadnieniem ukraińskim.⁹⁰ Poglądy Łobodowskiego w tej kwestii były krytykowane zarówno przez Polaków, jak i przez pisarzy

⁸⁶ J. Łobodowski, *Sowiety czy Rosja?*, „Wiadomości”, nr 43 (82), 26 X 1947, s. 2,

⁸⁷ J. Łobodowski, *Przyjaciele Moskale*, „Wiadomości”, nr 39 (234), 24 IX 1950, s. 2.

⁸⁸ Por. W. Żyliński, *O równą miarę u przyjaciół Moskali*, „Wiadomości”, nr 44 (239), 29 X 1950, s. 3; *Rosja i Polska: nic się nie zmieniło*, (W. Żyliński do Redaktora), „Wiadomości”, nr 7 (255), 18 II 1951, s. 3.

⁸⁹ *Od Kałmuków do Burgos*, (J. Łobodowski do Redakcji), „Wiadomości”, nr 10 (101), 7 III 1948, s. 3.

⁹⁰ J. Łobodowski, *Sprawa ukraińska*, „Wiadomości”, nr 50 (89), 14 XII 1947, s. 2.

i publicystów ukraińskich. Ci ostatni zarzucili Łobodowskiemu wierność idei jagiellońskiej, podczas gdy sami uważali, że najlepszym rozwiązaniem wspólnego problemu jest podział terytorium w oparciu o zasadę etnograficzną. Dwie sprawy wywoływały najwięcej emocji: stosunki ludnościowe na ziemiach spornych i przeszłość obydwóch narodów. Łobodowski nie był bezkrytycznym obrońcą strony ukraińskiej. Polemizował z fałszywą interpretacją historii Ukrainy przez nacjonalistycznych historyków ukraińskich, zarzucał im tendencyjne wydania poezji Szewczenki, w których dominowały akcenty antypolskie, a zupełnie pominięto wiersze o nastawieniu antyrosyjskim. Domagając się, aby każdy z narodów sam dokonał „rachunku sumienia”, Łobodowski podawał swoją receptę na rozwiązanie konfliktu. Nie było to specjalnie nowatorskie ani nieznane rozwiązanie: przypominał, że historycznie losy obydwóch narodów i państw są związane ze sobą. A w przypadku konfliktu zawsze pierwsza traciła Ukraina, a niedługo po niej Polska. „Niepodległość Warszawy bez niepodległości Kijowa jest nie-trwała” – pisał i kończył swą polemikę przypomnieniem, że kiedy na emigracji Polacy i Ukraińcy tkwią w historycznych konfliktach, emigracja rosyjska przypomina i podkreśla konieczność obrony Rosji „jednej i niepodzielnej”.⁹¹

UPIORY PRZESZŁOŚCI

Do dyskusji włączyli się także polscy autorzy, przede wszystkim ci, z którymi Łobodowski polemizował wielokrotnie i zacięcie: Jędrzej Giertych, Wacław Alfred Zbyszewski oraz Władysław Studnicki.

Łobodowski ścierał się z Giertychem na łamach prasy wielokrotnie, zarówno przed 1939 rokiem, jak i po wojnie i prawie za każdym razem dzieliły ich sprawy narodowościowe. Dyskusje dotyczyły przede wszystkim dwóch zagadnień: stosunków polsko-ukraińskich i polsko-rosyjskich. Łobodowski nie negował patriotyzmu i dobrych intencji Giertycha, ale recenzując jego książkę *Pół wieku polskiej polityki. Uwagi o polityce Dmowskiego i polityce polskiej lat 1919-1939 i 1939-1947* podkreślał, że Giertych jest naturalnym zwolennikiem Międzymorza, tylko że

⁹¹ J. Łobodowski, *Dyskusje polsko-ukraińskie*, „Wiadomości”, nr 22 (113), 30 V 1948, s. 2.



Okładka tomu wierszy *O czerwonej krwi*, wydanego w 1931 r., skonfiskowanego przez międzywojenną cenzurę.

ma zakłócony obraz przez swoją ukraińofobię.⁹² To określenie nie oddaje jednak sensu całej polemiki, gdyż Łobodowski krytykował zarówno anty-ukraińskie stanowisko Giertycha, jak i jego prorosyjskość oraz zbyt częste doszukiwanie się wpływów masonskich i żydowskich tam, gdzie ich nie było. Jego poglądy krytykowali także otwarcie Ukraińcy.⁹³ Z kolei Jędrzej Giertych traktował prometejskie poglądy Łobodowskiego jako pozostałość „propagandy” czasów sanacji, a w tworzącym się narodzie ukraińskim widział narzędzie „obcej agentury”. Sojusz Piłsudskiego z Petlurą odczytywał jako wnikający Polskę w niepotrzebne konflikty i walkę o cudze interesy, niezgodne z polską racją stanu. Natomiast podkreślał konieczność walki o Lwów, bo uważał, że kiedy wyjdą zeń Rosjanie, Polska będzie musiała walczyć o to miasto z Ukraińcami.⁹⁴ W odpowiedzi na zarzuty Giertycha, Łobodowski wykpił oskarżanie o masonskie wpływy Pantelejmona Kulisza,⁹⁵ przypomniał przedwojenne konfiskaty swoich tekstów i powtarzał, że nie można zapisywać „na rachunek sanacji” programu wschodniego realizowanego przez Leona Wasilewskiego, Henryka Józewskiego i Tadeusza Hołówkę. Ten program został przez sanację „wyrzucony za burtę”. Dmowski był przeciwny rozczłonkowaniu Rosji, tymczasem według Łobodowskiego wypowiedzenie się przeciwko niepodległej Ukrainie oznacza uznanie „jednej i niepodzielnej” Rosji, a to z kolei zagraża niepodległej Polsce: „Usunięcie Moskali ze Lwowa, przy jednoczesnym pozostawieniu ich w Kijowie, równa się jedynie odłożeniu ponownego rozbioru Polski”.⁹⁶ Dla Giertycha polityka Dmowskiego miała na celu nie dopuścić do porozumienia niemiecko-rosyjskiego.

⁹² J. Łobodowski, *Nowa książka Giertycha*, „Wiadomości”, nr 19 (110), 9 V 1948, s. 2.

⁹³ Np. Jan Tokarski zwrócił uwagę na wymiar religijno-wyznaniowy konfliktu polsko-ukraińskiego (J. Tokarski, *LdR*, „Wiadomości”, nr 40 (288), 9 IX 1951, s. 4). Pawło Kotowycz tłumaczył Giertychowi, że Ukraińcy spełniają wszelkie kryteria, aby być uznanym za naród (P. Kotowycz, *LdR*, „Wiadomości”, nr 45 (293), 11 XI 1951).

⁹⁴ J. Giertych, *O powstaniach, o Dmowskim i Piłsudskim i o Ukrainie*, „Wiadomości”, nr 25 (116), 20 VI 1948, s. 2. J. Giertych, *Jeszcze raz o polityce Dmowskiego i o Ukrainie*, „Wiadomości”, nr 43 (134), 24 X 1948, s. 3.

⁹⁵ J. Łobodowski, *Masonskim dyszlem z Kreszczatiku na Ramblas*, „Wiadomości”, nr 8 (151), 20 II 1949, s. 2.

⁹⁶ J. Łobodowski, *O poszanowanie prawdy historycznej*, „Wiadomości”, nr 34/35 (125/126), 29 VIII 1948, s. 2.

Powodem narodzenia na Ukrainie „narodowego separatyzmu” nie była odrębność i odrodzenie kulturowe, gdyż dopiero wsparcie z zewnątrz dało zaczyn ruchowi ukraińskiemu.⁹⁷ Jędrzej Giertych, odpowiadając Łobodowskiemu, stwierdził, że za każdym razem, kiedy Polska angażowała się w pomoc walczącej o niepodległość Ukrainie, kosztowało ją to zbyt drogo. W niepodległej Ukrainie widział stałego sojusznika Niemiec, co w konsekwencji miało prowadzić do klęski i otoczenia Polski przez wrogie państwa. Możliwości budowy Ukrainy Giertych widział jedynie tuż za polską granicą, ale podkreślał, że wskrzeszenie państwa w Kijowie nie będzie wspierane przez żadne państwo zachodnie, oprócz Niemiec. Opisując rozbięcie Ukraińców w okresie pierwszej wojny światowej i brak aktywności chłopów twierdził, że świadomość ukraińska budziła się tylko u nielicznych. Przypominał także, że sam w latach 30. XX w. potępiał represje organizowane przez rządy sanacji przeciwko Ukraińcom. Wreszcie, przypominając rzeź na Wołyniu, twierdził, że Ukraina dla Polski partnerem być nie może.⁹⁸

Na temat programu wschodniego w polskiej polityce Łobodowski polemizował także z Wacławem Alfredem Zbyszewskim,⁹⁹ który pogardliwie wypowiadał się o stworzeniu federacji narodów w Europie Środkowo-Wschodniej. W odpowiedzi Łobodowski wypominał powszechną w Polsce nieznajomość Europy Wschodniej i Środkowej, nawet tych państw, z którymi Polskę łączyły sojusze, jak choćby z Rumunią. Zaniedbaniem ze strony polskiej było pozostawienie idei panslawistycznej i tworzenie z Polski nacjonalistycznego getta, polegające na zamykaniu się na inne narodowości, przede wszystkim na Kresach, w tym na Wołyniu. Nie reprezentując żadnej idei, Polska nie była atrakcyjna. Zbyszewski we współpracy polsko-ukraińskiej widział tylko echa polskiego romantyzmu. Dla Łobodowskiego takie podejście było nierealistyczne: w rzeczywistości Zbyszewski nie chciał ani niepodległej Ukrainy, ani Rosji – na wschodzie chciałby mieć „tereny kolonialne”.¹⁰⁰

⁹⁷ J. Łobodowski, *Dyskusje polsko-ukraińskie*, „Wiadomości”, nr 22 (113), 30 V 1948, s. 2.

⁹⁸ J. Giertych, *Sprawa Ukrainy a Polska*, „Wiadomości”, nr 34 (282), 26 VIII 1951, s. 2.

⁹⁹ W. A. Zbyszewski, *Program wschodni*, „Wiadomości”, nr 26 (117), 27 VI 1948, s. 2.

¹⁰⁰ J. Łobodowski, *Brak programu wschodniego*, „Wiadomości”, nr 7 (150), 13 II 1949, s. 2.



Karykatura Józefa Łobodowskiego, autorstwa Henryka Dongi, rok 1936, zamieszczona w *Antologii poetów lubelskich*, 1939 r.

Z kolei Władysław Studnicki, w artykule *Sprawa ukraińska*, zastanawiał się czy w przyszłości będzie możliwe oderwanie Ukrainy od Rosji/ZSRR i utworzenie niepodległego państwa ukraińskiego. Stwierdzał, że antagonizm polsko-ukraiński i spór o Małopolskę Wschodnią jest poważnym niebezpieczeństwem. „Przyszłość sprawy polskiej w znacznej mierze zależy od tego, czy Zachód zrozumie, że Ukraina zawsze będzie przednim postępkim Rosji i że na separatyzm ukraiński, który co najwyżej może osłabić Rosję, liczyć nie należy” – konkludował.¹⁰¹ Stanowisko to zakwestionował Klaudiusz Hrabyk, w liście do Redakcji.¹⁰² Studnicki odpowiedział listem do redaktora „Wiadomości”. Dążenia niepodległościowe Ukraińców uznawał za przejściowe, i twierdził, że z reguły ciążą oni ku Rosji. Poza tym, żywioł ukraiński nie jest wystarczająco silny na tych terenach. Z kolei Łobodowskiemu zarzucał, że nie docenia wagi konfliktu polsko-ukraińskiego w Galicji, który również zajmuje bardzo ważne miejsce w historiografii ukraińskiej.¹⁰³

Teksty Giertycha, Zbyszewskiego i Studnickiego wzburzyły Łobodowskiego. „(...) czy zwrócił Pan uwagę na artykuł Studnickiego w «Wiadomościach». To zupełny kryminał. Tak już jest, że jedni ze skóry wyłażą, żeby konflikt polsko-ukraiński łagodzić, a potem przychodzi taki Studnicki i jednym bzdurnym artykułem wszystko przekreśla”¹⁰⁴ – pisał do Jerzego Giedroycia. W podobny sposób zwrócił się do Grydzewskiego w lutym 1951 roku: „Zdenerwowałem się artykułem Studnickiego w sprawie ukraińskiej i piszę wielką kobyłę w odpowiedzi (...)”.¹⁰⁵ Choć Giedroyciowi obiecał napisać „obszerny i zasadniczy” artykuł o stosunkach polsko-ukraińskich,¹⁰⁶ to odpowiedź na teksty Studnickiego, Zbyszewskiego i Giertycha zamieścił w „Wiadomościach”. Łobodowski informował, że jego adwersarze nie spełniają podstawowych warunków, koniecznych w takiej dyskusji i nie zgłębili dostatecznie tematu. Na dowód swoich

¹⁰¹ W. Studnicki, *Sprawa ukraińska*, „Wiadomości”, nr 49 (244), 3 XII 1950, s. 2.

¹⁰² *Międzymorze i Ukraina*, (K. Hrabyk do Redakcji), „Wiadomości”, nr 3 (251), 21 I 1951, s. 3.

¹⁰³ W. Studnicki, *LdR.*, „Wiadomości”, nr 35/36 (283/284), 9 IX 1951, s. 6.

¹⁰⁴ Archiwum Instytutu Literackiego (dalej: AIL), J.Ł. do J. Giedroycia, 11 XII 1950.

¹⁰⁵ Archiwum Emigracji UMK (dalej: AE UMK), J. Ł. do M. Grydzewskiego, luty 1951.

¹⁰⁶ AIL, J.Ł. do J. Giedroycia, 5 VIII 1951.

słów każdemu z nich zarzucał liczne błędy merytoryczne, wypaczające i zmieniające kierunek ich argumentacji. Podobnie wyliczał argumenty J. Giertycha, który uzasadniał prawo Rosji do wielu miast ukraińskich (Kijów, Charków, Odessa) tym, że większość ich mieszkańców jest obecnie rosyjskojęzyczna, a naród ukraiński nie istnieje. Giertych twierdził także, bezpodstawnie, że umowę z Petlurą Polska wykonała „co do joty”. Stanowisko polskie, brak wiedzy o Ukrainie i odporność na wiedzę w tym zagadnieniu podsumowywał Łobodowski słowami pana Zagłoby: „Cham chamem”. Ostro rozprawiał się z polityką międzywojenną: „w okresie niepodległości strona polska zrobiła wszystko, by wywołać z przeszłości upiora hajdamaczyzny i kolijowszczyzny”. Punktował ważniejsze „grzechy” polskie okresu międzywojennego w stosunku do Ukraińców. Nie oszczędzał także strony ukraińskiej, którą obwiniał o rzeź na Wołyniu, w Janowej Dolinie – i tak nedorzeczne interpretacje, jak opisywanie wyprawy kijowskiej jako... spisku polsko-sowieckiego. Złowrogo przypominał, że starcia, które miały miejsce podczas drugiej wojny światowej, przepowiadał już wcześniej. Obecne spory są zupełnie takie same, jak przez wybuchem drugiej wojny światowej.¹⁰⁷

Publikacja tego artykułu na łamach „Wiadomości” wywołała niezadowolone Giedroycia, który sam chciał zamieścić taki materiał. „Stała się naprawdę niepowetowana szkoda, że dał Pan swój artykuł do «Wiadomości». Zamiast stać się wyrazem poglądów jakieś grupy czy pisma, stał się *smaczkiem* między Studnickim, Giertychem a Zbyszewskim, a właściwie z układu dyskusji robi wrażenie (nie wiem, jak jest w rzeczywistości i mówię tylko o wrażeniu), że właśnie Zbyszewski jest wyrazem poglądów «Wiadomości» – pisał do Łobodowskiego.¹⁰⁸ „(...) zmarnował Grydz świetny artykuł Łobodowskiego o Ukraińcach, wsadzając go między Zbyszewskiego a Giertycha. Jasne, że artykuł, który mógłby odegrać przełomową rolę w stosunkach pol[sko]-ukr[aińskich], pozostał *wysokiem ukrajinofila, odizolowanego w polskiej opinii*” – pisał w tym samym duchu Giedroyc do Mieroszewskiego.¹⁰⁹

¹⁰⁷ J. Łobodowski, *Między Muszalskim a Zagłobą*, „Wiadomości”, nr 26, 30 VI 1951, s. 2.

¹⁰⁸ AIL, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 23 VIII 1951 r.

¹⁰⁹ Jerzy Giedroyc – Juliusz Mieroszewski. *Listy 1949-1956*, oprac. J. Krawczyk i K. Pomian, Warszawa 1999, t. I, s. 142.

Ostatecznie zasadniczy tekst Łobodowskiego ukazał się na łamach „Kultury”. Pisarz po kolei podsumowywał i obalał argumenty swych adwersarzy: Studnickiego, Giertycha i Zbyszewskiego. Oprócz rzeczowej polemiki, wyśmiewał argumenty Giertycha, który straszył Rosją oraz Zbyszewskiego, za straszenie „Żydami”, którzy mieliby z kolei nie dopuścić do utworzenia niepodległej Ukrainy. Podstawowym pytaniem, które stawiał Łobodowski, było: czy powstanie niepodległej Ukrainy leży w interesie Polski czy też nie? Sam – przeciwnie do swoich adwersarzy – na pytanie to odpowiadał twierdząco, choć w jego słowach można odczuć pewne zniecierpliwienie, że pomimo wielu tekstów publikowanych w pismach prometejskich międzywojnia, musi polemizować wciąż z tymi samymi argumentami. Na słowa o grożącym przymierzu Berlina i Kijowa odpowiadał, że: „niepodległa Ukraina będzie neutralizować niebezpieczeństwo rosyjskie. I osłabiać tym samym skuteczność ewentualnego porozumienia Moskwy z Berlinem. Takie są rozumowe podstawy mego *ukrainofilstwa*”. „Ukrainofilstwo” Łobodowskiego należy rozumieć w znacznie szerszym kontekście idei prometejskiej. Świadczą o tym również jego słowa o niepodległości Kaukazu i Turkiestanu. W tekście Łobodowski podsumował dyskusję, jaka miała miejsce w prasie ukraińskiej po ogłoszeniu jego tekstu na łamach „Wiadomości”. Tekst Łobodowskiego został opatrzony informacją, iż wyraża on poglądy zespołu „Kultury” i spotkał się z pozytywnym przyjęciem dużej części czytelników.¹¹⁰ Bączkowski twierdził, że Łobodowski przeprowadził dyskusję z „wielkim talentem”.¹¹¹ Również Giedroyc był bardzo zadowolony z tekstu Łobodowskiego: „Echa Pana artykułu są ciągle. To był jednak ewenement” – pisał do Łobodowskiego.¹¹² O znaczeniu tekstu świadczy nie tylko fakt, że jest jednym z najczęściej cytowanych artykułów, jakie opublikowano na łamach „Kultury”, ale także fakt, że odpowiadał on zarówno

¹¹⁰ Np. A. Polakiewicz, *LdR*, „Kultura” 1952, nr 5/55, s. 156; M. Wierzbą, *LdR*, „Kultura” 1952, nr 5/55, s. 157-158; J. Wilk, *LdR*, „Kultura” 1952, nr 6/56, s. 155-157, Jerzy Zaborski, *LdR*, „Kultura” 1952, nr 6/56, s. 157, L. Pogonowski, *LdR*, „Kultura” 1952 nr 6/56, s. 157-158, K. Hrabyk, *LdR*, „Kultura” 1952, nr 9/59, s. 153-155 oraz: *Jerzy Giedroyc – emigracja ukraińska. Listy 1950-1980*, B. Berdychowska, O. Hnatiuk (oprac.). Warszawa 2004, s. 28-29.

¹¹¹ ALL, W. Bączkowski do J. Giedroycia, 9 V 1952 r.

¹¹² Ibidem, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 20 V 1952 r.

oczekiwaniom niektórych Polaków, jak J. Giedroycia, czy niektórych Ukraińców, jak Iwana Kedryna-Rudničkyego, który proponował nawet wydanie artykułu w postaci osobnej odbitki.¹¹³ Warto też zauważyć, że zanim tekst Łobodowskiego ukazał się na łamach „Kultury”, to wcześniej, choć uznany za bardzo dobry przez Giedroycia, został przez niego nieznacznie zmieniony i „poprawiony”. Redaktor zrezygnował z satyry wołyńskiej i fragmentu tekstu o ziemiach odzyskanych, który uznał za słuszny, ale twierdził, że: „argumentacja [była] zbyt nacjonalistyczna i emocjonalna”. Zakończenie tekstu uznał za zbyt pesymistyczne.¹¹⁴ Dyskusję, jaka miała miejsce na łamach „Kultury”, podsumował Włodzimierz Bączkowski¹¹⁵, ale jego tekst rozmiął się z oczekiwaniami Łobodowskiego, któremu brakowało w artykule bilansu dyskusji i nowych wniosków.¹¹⁶

TEMATY UKRAIŃSKIE

Józef Łobodowski do tematyki ukraińskiej powracał często. Teksty na ten temat były publikowane w wielu tytułach prasowych, ale wśród nich początkowo przodowały londyńskie „Wiadomości”, a następnie paryska „Kultura”. Pomimo, iż na wielu płaszczyznach Łobodowski nie podzielał poglądów redaktora Giedroycia, to doceniał jego zaangażowanie w tematykę polsko-ukraińską. Był to właściwie jedyny temat, w którym ich poglądy pokrywały się. Z tego też powodu większość tekstów, jakie poświęcił Łobodowski tej tematyce, ukazała się na łamach „Kultury” i „Zeszytów Historycznych”.¹¹⁷ Od tej reguły zdarzały się wyjątki, zarówno na łamach prasy jak i w tekstach w audycjach radiowych. Doskonałym przykładem jest polemika ze Stefanem Kisielewskim, który uważał, że Łobodowski jest dla Ukraińców renegatem, a dla Polaków zdrajcą – i dodawał

¹¹³ I. Kedryn-Rudnycki do J. Giedroycia, 11 V 1952, [w:] *Jerzy Giedroyc – emigracja ukraińska. Listy 1950-1982*, B. Berdychowska, O. Hnatiuk (oprac.), Warszawa 2004, s. 792.

¹¹⁴ AIL, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 29 XII 1951, 4 I 1952 r.

¹¹⁵ W. Bączkowski, *Sprawa ukraińska*, „Kultura” 1952, nr 7/57-8/58, s. 64-84.

¹¹⁶ AIL, J. Łobodowski do J. Giedroycia, 13 VIII 1952 r.

¹¹⁷ O współpracy J. Łobodowskiego i J. Giedroycia patrz też: P. Libera, *Józef Łobodowski – Jerzy Giedroyc. Dzieje współpracy (1947-1988)*, [w:] L. Siryk, E. Łoś (red.), *Między literaturą a polityką. O Józefie Łobodowskim*, Lublin 2012, s. 69-83.

także absurdalne zarzuty i oskarżenia, twierdząc, że Łobodowski był gotów oddać Ukrainie kieleckie, sandomierskie i radomskie. Kisiel wyśmiewał także prometejskie koncepcje Giedroycia. Tekst Kisiele omówił najpierw krytycznie Sukiennicki na łamach „Kultury”,¹¹⁸ a po nim Łobodowski w „Orle Białym”, twierdząc, że propozycje Kisiele są zbliżone do koncepcji politycznych obozu narodowego na emigracji. Za Swianiewiczem nazwał go „prosowieckim antykomunistą”.¹¹⁹ W audycjach radiowych tematyka ukraińska była poruszana sporadycznie w Radiu Madryt i Radiu Wolna Europa. Jan Nowak-Jeziorański zamówił na przykład w 1974 roku u Łobodowskiego dwie dwudziestominutowe audycje o poetach ukraińskich. Jak wynika z jego listu, cel zamieszczenia takiej audycji nie był jedynie kulturalny. Przypominając możliwość, jaką daje RWE pisał: „Jedną z tych szans może być składanie dowodów dobrej woli wobec Ukraińców i łagodzenie dawnych antagonizmów”.¹²⁰

Jednakże to paryski ośrodek wydawniczy był najbardziej skupiony na kwestii ukraińskiej. W liście do Stempowskiego Giedroyc pisał: „Łobodowski jest nie tylko pogrobowcem idei jagiellońskiej, a właściwie jedynym łącznikiem między powstałymi kulturami, jak ukraińska i białoruska. Jest zresztą znawcą i, powiedziałbym, miłośnikiem również języka i literatury rosyjskiej, mimo nastawień politycznych bardzo skrajnych”.¹²¹ Giedroyc ewidentnie doceniał znajomość spraw wschodnich Łobodowskiego, ale także fakt, że jego postać była ważną dla Ukraińców. Z tego powodu starał się omawiać z nim przynajmniej niektóre „wschodnie” przedsięwzięcia i plany „Kultury”. Łobodowski bardzo dużo tłumaczył, przede wszystkim z ukraińskiego, rosyjskiego i hiszpańskiego, ale także i białoruskiego. W wielu przypadkach Łobodowski – na wyraźną prośbę Giedroycia – ograniczał się do streszczenia lub omówienia kontrowersyjnego albo szczególnie interesującego artykułu lub książki, wydanej w tych językach – i w ten sposób przybliżał i popularyzował te treści polskiemu czytelnikowi. Jako

¹¹⁸ W. Sukiennicki, *O geopolityce, Res Publicae, nacjonalnych patologiiach i świętym Giedroyciu*, „Kultura” 1980, nr 7/394-8/395.

¹¹⁹ J. Łobodowski, *Kisiel na kwaśno*, „Orzeł Biały” X 1980, nr 194/1341, s. 8-10.

¹²⁰ Zakład Narodowy im. Ossolińskich, akc. 82-111/99, listy J. Łobodowskiego i J. Nowaka-Jeziorańskiego (6 II 1974 r., 7 II 1974 r.).

¹²¹ *Jerzy Giedroyc – Jerzy Stempowski. Listy 1946-1969*, oprac. A. S. Kowalczyk, Warszawa 1998, t. II, s. 162, 171, 181.

tłumacz był wysoko ceniony przez redaktora „Kultury”. Tłumaczył między innymi zbiór dokumentów o sytuacji na Ukrainie 1956-1968.¹²² Po latach przypomniał to Jerzy Giedroyc, podkreślając w apelu skierowanym do uczestników konferencji polsko-ukraińskiej w 1990 roku: „Jest niedopuszczalne, że po śmierci Józefa Łobodowskiego nie ma dziś w Polsce dobrych tłumaczy z ukraińskiego i na ukraiński”.¹²³

W pewnym sensie kontynuacją dyskusji o stosunkach polsko-ukraińskich z 1951 roku były dwa tomy wierszy Łobodowskiego, wydane nakładem wydawnictwa Instytutu Literackiego. Pierwszy z nich, *Złota Hramota*, ukazał się w 1954 roku. Tomik składał się przede wszystkim z wierszy na tematy ukraińskie, przede wszystkim polityczne i zawierał także przekłady niektórych wierszy Łobodowskiego na język ukraiński oraz drzeworyty ukraińskiego drzeworytnika – Jurija Kulczyckiego. Książka ukazała się w nakładzie 1100 egzemplarzy, a nakład skończył się w 1984.¹²⁴ I również tym razem cel był odległy od poezji. Tak uważał Łobodowski, który tłumaczył się we wstępie: „Zdaję sobie sprawę, że niejednen z wydrukowanych tu utworów jest słaby poetycko, ale nie chciałem z nich rezygnować, gdyż chodziło mi o to, by w *Złotej Hramocie* nie brakowało żadnej karty, choćby zapisanej w pośpiechu piórem bardziej publicysty niż poety”.¹²⁵ Również Redaktor uważał Łobodowskiego za poetę monotonnego, ale chodziło mu o pokazanie pewnej postawy i wrażenie, jakie książka powinna zrobić na Ukraińcach.¹²⁶ „Liczę głównie na wydźwięk polityczny książki” – pisał Jerzy Giedroyc w liście do Stempowskiego, snując plany o podtrzymaniu dyskusji i organizacji polsko-ukraińskiego spotkania, z udziałem Włodzimierza Bączkowskiego.¹²⁷ Redaktorowi na wydaniu *Złotej Hramoty* zale-

¹²² *Ukraina 1956-1968*, oprac. I. Koszeliweć, tłum. J. Łobodowski, Paryż 1969. O tłumaczeniach Łobodowskiego z języka ukraińskiego patrz także: L. Siryk, *Literatura ukraińska w przekładach Józefa Łobodowskiego*, [w:] *Józef Łobodowski – rzecznik dialogu polsko-ukraińskiego*, pod red. L. Siryk i J. Święcha, Lublin 2000, s. 55-67.

¹²³ *Teczki Giedroycia*, I. Hofman, L. Unger (oprac.), Lublin 2010, s. 117.

¹²⁴ M. Ptaśńska-Wójcik, *Z dziejów Biblioteki Kultury 1946-1966*, op. cit., s. 186-187, 343.

¹²⁵ J. Łobodowski, *Złota Hramota*, Paryż 1954, s. 7-8.

¹²⁶ *Jerzy Giedroyc – Jerzy Stempowski. Listy 1946-1969*, oprac. A.S. Kowalczyk, Warszawa 1998, t. I, s. 245; *Jerzy Giedroyc – Czesław Miłosz. Listy 1952-1963*, oprac. M. Kornat, Warszawa 2008, s. 157.

¹²⁷ *Jerzy Giedroyc – Jerzy Stempowski. Listy 1946-1969*, Warszawa 1998, t. I, s. 192, 193.



Józef Łobodowski

„Cierpkie pieniactwo poety”

Tom Łobodowski, na „Rozmowę z ojczyzną” przeznaczony, był bez nuda mityczny. Setka egzemplarzy, w jakiej pierwotnie wydany został, smutnie świadczyła o rozpiętości między wagą poezji a jej zasięgiem społecznym. Z radością więc czytelnik pierwszego wydania wita ukazanie się drugiego nakładu¹⁾. Wita i pyta o zmiany, jakie poeta przeprowadził w wydaniu obecnym. Są wcale ważne: opuszczone zostały „Pieśni o złości”, „Wiersz przeuczający” i „Rozmowa nocna”, dodane „Dytyramby patetyczne”, „Rekruci” i „Widziadła mówią”, brak końcowej notatki poety, która tyle wywołała halas, wreszcie znacznym przerobom uległa „Noc na Wołyniu” i „Noc lubelska”.

Zmiany te na całości tomu odbiły się dwójako: artystycznie poziom pomniejszych utworów został wyrównany ku górze. Z opuszczeniem najlepszego w zbiorze „Wiersza przeuczającego” i skróceniem szeregu mitycznych strof „Nocy lubelskich” zniknęły jedyny niedołężne wiersze zbioru. Innymi jednak względami kierował się chyba Łobodowski, pomijając znakomitą formalnie „Rozmowę nocną”. Czyżby wydała mu się zbyt pesymistyczna, zbyt

beznadziejna? Zdaje się tak, jeżeli pamiętać będziemy, iż brak obecnie gorzkiej notatki prozajicznej, brak „Pieśni o głodzie”, wieszacej jakiś nieszczytelską mistykę septyjską, a za to znajdujemy rozmowę Colonego z Razinem, gdzie spór dyscypliny europejskiej z kozackim anarchizmem i swobodą rozwijany zostaje akcentem pewnej wiary witalistycznej. Słowem, bardziej wyrównane artystycznie wydanie drugie o tyle się zmieniło, że nie mieści już w sobie tak wielkiej, co poprzednie, dozy eschatologicznej beznadziejności.

Nie zmieniły się naturalnie zasadnicze właściwości liryki Łobodowskiego. Podstawą jej cechą wydaje się być patos. Tytuł „dytyramby patetyczne” przylegałby doskonale do każdego z wierszy. Gdy zestawie słownik najczystszych obrazów poety, i rekwizytów słownych, w jakich patetycznych obraca się on miarach! Huczą w tych wierszach „furia gniewu i zemsty”, płoną „Juny krwawe i złowieszcze”, ciągną „centurie walejące”, nad światem rozczają się „noce strachu i rozpacz”, szaleją „trąby powietrzne his ori”, którą tworzy się poprzez „ciemności glorie trudów”, „zbroje potrząskane” i „gruz rozbitych pomników”, „Muza tragiczna” poety wybucha „gniewną i zdławioną strofą”, bo zwija się w niej „serce stalowa zmija”, bo słyszy „runy tajemne i grzmoty”, bo pod

„myśli zawięty topór” kładzie „gromady żalobne”, „widma śmiertelne”, „glorie gnające”, bo wie, że jej śpiew to — „popiół żalobnych elegii”. Tyle patosu wybuchającego z każdego wiersza nie spotkamy w żadnego z poetów powojennych, a dawniejszych analogii trzeba by szukać gdzieś u Mińskiego.

Lecz patos bywa różny. „Jak płaszczy czarny, falisty, Strofy patos kwiecisty Kryje ust mych drżenie niezdrów”, czytamy w wierszu Mińskiego, nazwanym „Patos”. Tego nie powtórzyły Łobodowski. Jego patetyczność nie po to jest, by skryć, lecz, by wzmóc „ust drżenie niezdrów”. Nie jest to patetyczność statyczna, koturnowa, posągowa, jaką uprawiali parnasiści. Patos Łobodowski jest wybitnie dynamiczny, niespokojny, przesadza i wybryknia, by szarpać, porwać, by poprzez huczącą wielkość słów narzucić wielkość spraw. Stąd różnica w zestawieniu z Broniewskim, uprawiającym podobny patos społeczny, bardziej jednakże opanywany, dojrzały, mniej dynamiczny. Patos trafności uczuciowej.

Wystarczy przyrzeć się paru chociażby obrazom Łobodowskiego, by uznać, ile dynamizmu mieści się w jego patetyczności. Gwiżdżą się to „kwiące w błękitemi boże gwiazdy”, księżyc na „dymiące prochochone chat” spada „żaglig nocnego pożaru”, po-

¹⁾ Józef Łobodowski: „Rozmowa z ojczyzną”. Warszawa, 1936. F. Hołsik. Str. 77.

Kazimierz Wyka, *Cierpkie pieniactwo poety*. Recenzja tomu *Rozmowa z ojczyzną*, „Tygodnik Ilustrowany” z 13 XII 1936 r.

zało. Na początku 1954 roku, na prośbę Giedroycia, środków na wydanie *Złotej Hramoty* poszukiwał Czesław Miłosz.¹²⁸ Giedroyc kilka razy zwracał się o napisanie przedmowy do Stempowskiego, ale z niewiadomych przyczyn do tego nie doszło: tomik był zaopatrzony tylko w słowo od autora. Stempowski – i nie tylko¹²⁹ – jednak cenił to wydawnictwo. Warto przytoczyć jego słowa z grudnia 1957 roku, kiedy pisał do Redaktora: „[...] spostrzegam z ubolewaniem, że nie mam *Złotej Hramoty*, którą oddałem komuś z Warszawy. Książka ta jest, moim zdaniem, perłą literatury emigracyjnej, na którą nie zwrócono dość uwagi, a która będzie kiedyś figurowała w historii literatury, zarówno jako osiągnięcie formalne, jak i rozszerzenie perspektywy literackiej kraju”.¹³⁰ Dowody przekonania o politycznej wartości książki widać również w próbach, jakie podejmował Redaktor aby przemycić książkę do Polski.¹³¹

Drugi tom wierszy *Pieśń o Ukrainie* miał być pierwotnie „wierszem programowym”, załączonym do antologii poezji ukraińskiej Ławrynienki.¹³² Z czasem jednak Giedroyc zmienił zdanie – i poemat Łobodowskiego ukazał się osobno. Pomysł ten Giedroyciowi podsunęła strona ukraińska,¹³³ a dokładniej sam Ławrynienko.¹³⁴ Decydującym argumentem było niebezpieczeństwo odebrania wydawnictwa jako „polskiej propagandy”. Natomiast osobne wydanie poematu miało by „charakter programowy”.¹³⁵ *Pieśń o Ukrainie*, która była najmniejszą objętościowo publikacją książkową wydaną przez Giedroycia, ukazała się w nakładzie pięciuset egzemplarzy¹³⁶ i w większości wysyłana była za darmo, zarówno do Polski, jak

¹²⁸ Jerzy Giedroyc – Czesław Miłosz. *Listy 1952-1963*, oprac. M. Kornat, Warszawa 2008, s. 157, 159.

¹²⁹ L. Szaruga, *Przestrzeń spotkania. Eseje o Kulturze paryskiej*, Lublin 2001, s. 93-108.

¹³⁰ Jerzy Giedroyc – Jerzy Stempowski. *Listy 1946-1969*, ... t. I, s. 192, 235, 460.

¹³¹ Por. np. Jan Nowak-Żeziorański – Jerzy Giedroyc. *Listy 1952-1998*, oprac. D. Platt, Wrocław 2002, s. 171.

¹³² AIL, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 23 I 1958 r., 13 II 1958 r., 13 III 1958 r., 9 X 1958 r., J. Łobodowski do J. Giedroycia, 3 III 1958 r.

¹³³ AIL, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 9 X 1958 r.

¹³⁴ J. Ławrynienko do J. Giedroycia, 8.IV.1958, [w:] *Jerzy Giedroyc – emigracja ukraińska. Listy 1950-1982*, B. Berdychowska, O. Hnatiuk (oprac.), Warszawa 2004, s. 678-679.

¹³⁵ AIL, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 7 V 1958 r.

¹³⁶ M. Ptasińska-Wójcik, *Z dziejów Biblioteki Kultury 1946-1966*, op. cit.

i na Ukrainę. Echa wydawnictwa były początkowo bardzo skromne, co dziwiło Giedroycia. „Reakcją na *Pieśń o Ukrainie* ani zadziwiłem się, ani zmartwiłem. Znam trzy recenzje. Komentarz w «Szlachu Peremohy» jest po prostu kłamliwy, skoro panowie banderowcy przypisują mi zwalanie winy wyłącznie na Ukraińców, przy jednoczesnym wybielaniu Polaków. W «Kijowie» wypadło znacznie przyzwoiciej. Bardzo podławy wyskok Koscacza w «Hromadskym Hołosie», prosowieckiej *reptilki*, do której wskoczył po wysłaniu wiadomego listu na zjazd pisarzy ukraińskich (sowieckich). To są reakcje mniej lub więcej oficjalne. Reakcje prywatne są zupełnie inne” – odpowiadał Łobodowski.¹³⁷ Wiadomo także, że najprawdopodobniej *Pieśń o Ukrainie* i być może *Złotą Hramotę* Giedroyc wysyłał już w końcu lat 50. XX w. tajnymi kanałami do Kijowa.¹³⁸

Trzeba zauważyć, że Giedroyc nie skorzystał z niektórych propozycji wydawniczych Łobodowskiego. I tak, na przykład, nie dał wyraźnej odpowiedzi w sprawie książki o wojnach polsko-kozackich, którą miał przygotowywać Łobodowski. Oznajmił, że będzie mógł o niej porozmawiać dopiero, kiedy otrzyma maszynopis. Nie chcąc jednak zniechęcać autora dodał, że chętnie zamieści dwa rozdziały takiej pracy w „Zeszytach Historycznych”. Później jednak stwierdził, że nie da rady jej wydrukować. Po ukazaniu się w Polsce *Antologii poezji ukraińskiej* Łobodowski proponował wydanie lepszej antologii po polsku: „Ukraińcy kanadyjscy i amerykańscy zapewniali mnie, że gdybym za parę lat ponownie przyjechał z taką antologią, na każdym wieczorze czy odczucie egzemplarze szły by jak woda. Zresztą miałem przedsmak tego: w Toronto, Chicago, Nowym Jorku sprzedano wszystkie moje książki znajdujące się w tamtejszych księgarniach” – pisał do Giedroycia.¹³⁹ Książki takiej jednak Łobodowski nie napisał.

Aktywność Łobodowskiego w tematyce ukraińskiej była jednak obecna na łamach „Kultury” i obejmowała wiele tekstów o zróżnicowanej tematyce. Warto wymienić najważniejsze z nich.

¹³⁷AİL, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 4 II 1959 r., 21 III 1959 r.; J. Łobodowski do J. Giedroycia, 19 VI 1959 r.

¹³⁸ Jerzy Giedroyc – Konstanty A. Jeleński. *Listy 1950-1987*, Warszawa 1995, s. 274.

¹³⁹AİL, J. Łobodowski do J. Giedroycia, 10 IV 1974; J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 15 IV 1974 r., 28 IV 1975 r.; J. Łobodowski do J. Giedroycia, 23 VI 1978 r.

Pod koniec lat 60. XX w. opublikował *Tryptyk o zamordowanym kościele*, w którym poruszył trudną sytuację kościoła greko-katolickiego i kardynała Slipyja. Wiersz ten wywołał żywą reakcję wśród Ukraińców. W tym samym okresie, na prośbę Giedroycia, miał napisać o szacunku do wspólnej historii. Giedroyc chciał zainteresować tym kardynała J. Slipyja, ale ten odmówił. „Jak zwykle trzeba robić pierwszy gest z naszej strony, by ich zachęcić. Nikt się do tego bardziej nie nadaje niż Pan” – pisał do Łobodowskiego.¹⁴⁰ Z okazji setnej rocznicy urodzin Łesi Ukrainki (1871-1913) poświęcił jej tekst prezentujący nie tylko jej dorobek literacki, ale przede wszystkim jego znacznie dla kultury i literatury ukraińskiej.¹⁴¹ Choć odegrała ogromną rolę w rozwoju świadomości narodowej i piśmiennictwa ukraińskiego Łobodowski obiektywnie starał się przedstawić jej dorobek: „Nie była poetką wybitną. (...) W najlepszym razie jest to odpowiednik (...) Marii Konopnickiej”. Sam najwyżej cenił jej dramaty. Jak w większości swoich tekstów poświęconych sprawom ukraińskim, również tu zwrócił uwagę na zainteresowania polską literaturą. Łobodowski omówił także wspomnienia profesora Wołodymyra Kubijowicza, znanego działacza ukraińskiego, kierującego centrum ukraińskim w Sarcelles pod Paryżem, w którym – jak świadczy korespondencja Łobodowskiego z Giedroyciem – pisarz bywał częstym gościem.¹⁴² Napisał też artykuł o Dymitrze Doncowie, który bardzo przypadł do gustu i ucieszył Giedroycia, który Doncowa znał jeszcze w okresie międzywojennym.¹⁴³ Łobodowski recenzował wspomnienia znanego dziennikarza ukraińskiego, Iwana Kedryna-Rydnyckiego,¹⁴⁴ a kiedy ukazała się w Polsce *Antologia poezji ukraińskiej*, bardzo krytycznie ją odebrał i zapowiadał Giedroyciowi ostrą recenzję na łamach „Kultury”: „Obraz poezji sfalszowany, nie ma ani jednego z emigrantów, brakuje niektórych naddnieprzańców, np. Jurija Janowskiego; ponadto twórczość większości autorów (ponad stu, o połowę za dużo) pokazana

¹⁴⁰ AIL, J. Łobodowski do J. Giedroycia, 27 V 1969 r.; J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 30 X 1969 r.

¹⁴¹ J. Łobodowski, *W stulecie Łesi Ukrainki*, „Kultura” 1971, nr 6/285, s. 114-122.

¹⁴² J. Łobodowski, *Prof. Kubijowycz*, „Kultura” 1971, nr 10/289, s. 116-121.

¹⁴³ AIL, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 3 X 1973 r.

¹⁴⁴ J. Łobodowski, *Dzieje osiemdziesięciolecia*, „Kultura” 1977, nr 5/356, s. 68-84.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK W LUBLINIE

Nr 3

BIBLIOTEKA LUBELSKA

Nr 3

Ks. LUDWIK ZALEWSKI

ANTOLOGIA
WSPÓŁCZESNYCH
P O E T Ó W
LUBELSKICH



Z ZASIĘKU LUBELSKIEGO ZWIĄZKU PRACY KULTURALNEJ

LUBLIN

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
LUBLIN—POZNAŃ—WARSZAWA—WILNO

1939

Ludwik Zalewski, *Antologia poetów lubelskich*, Lublin 1939 r., okładka.

w krzywym zwierciadle. W sumie wydawnictwo raczej skandaliczne” – podsumował pracę Floriana Nieuważnego i Jerzego Pleśniarowicza.¹⁴⁵

Jednakże trzy zagadnienia ukraińskie poruszane przez Łobodowskiego miały szczególne znacznie i dla relacji polsko-ukraińskich, i dla polityki wschodniej realizowanej według wizji Giedroycia. Były to dyskusje dotyczące sytuacji kościoła grekokatolickiego i teksty na temat stosunków rosyjsko-ukraińskich i obrona pamięci Symona Petlury.

„LIKWIDATORZY UNII”

W 1971 roku Łobodowski opisał skandal, jaki wzburzył opinię publiczną emigrantów ukraińskich. Chodziło o list kardynała Eugeniusza Tisseranda do Ukrainki mieszkającej w Nowym Jorku, w którym ten ostatni wyłuszczył swój punkt widzenia na temat sytuacji kościoła ukraińskiego i niemożności utworzenia ukraińskiego Patriarchatu Katolickiego. List opublikowany na łamach prasy Łobodowski przytoczył w swoim artykule.¹⁴⁶ Artykuł był krytyką polityki wschodniej Watykanu i takich demonstracyjnych gestów, jak list gratulacyjny Pawła VI do patriarchy moskiewskiego w 1969 roku, z okazji 50. lecia odrodzenia Cerkwi prawosławnej, kiedy obowiązującą wytyczną w polityce było przede wszystkim: nie drażnić Rosji. Kontynuacją tej tematyki była podróż do Watykanu, gdzie pisarz spotkał się z kardynałem Józefem Slipyjem. Kardynał, będący głową kościoła ukraińskiego, odmówił udzielenia wywiadu, ale zgodził się na rozmowę. Spotkanie z więzionym przez 18 lat w sowieckich łagrach duchownym Łobodowski opisał na łamach „Kultury”.¹⁴⁷ Ograniczył się do krótkiego opisanie drogi, jaką przebył kardynał, jego pobytu w łagrach i prób uwolnienia, ale większa część artykułu prezentowała sytuację Kościoła greko-katolickiego i współczesną politykę wschodnią Watykanu. Szczególnie ta ostatnia została szczegółowo przedstawiona – można przypuszczać, że niemałą część argumentów dostarczyła Łobodowskiemu rozmowa z kardynałem. Najbardziej cierpkim wydarzeniem było uroczyste ogłoszenie likwidacji Unii w Zagorsku,

¹⁴⁵ AIL, J. Łobodowski do J. Giedroycia, 23 VI 1978 r.

¹⁴⁶ J. Łobodowski, *Zgryźliwe uwagi na tematy ukraińskie*, „Kultura” 1971, nr 3/282, s. 93-106.

¹⁴⁷ J. Łobodowski, *Likwidatorzy Unii*, „Kultura” 1972, nr 7/298-8/299, s. 190-204.

w 375. rocznicę Unii Brzeskiej, w obecności przedstawiciela Watykanu, kardynała Jana Willebrandsa. Według Łobodowskiego, było to powtórzenie skasowania Unii na synodzie zwołanym we Lwowie przez NKWD w 1946 roku. Najbardziej dziwiło i bolało milczenie Watykanu w 1962 roku, który już w czasach pierwszych obrad Soboru Watykańskiego II nie opowiedział się wyraźnie w sprawie memoriału biskupów ukraińskich na emigracji. Krytycznie o artykule Łobodowskiego wypowiedziała się działaczka ukraińska i była posłanka do Sejmu RP w okresie międzywojennym, Milena Rudnicka. W przeciwieństwie do Łobodowskiego, w ówczesnej polityce wschodniej Watykanu widziała znaczne efekty dialogu, który zaowocował uwolnieniem kardynała Slipyja. Opisanie biskupów Cerkwi prawosławnej w ZSRR jako „wybitnych agentów KGB” uznała za „niedopuszczalne uproszczenie” i zarzucała Łobodowskiemu nadmierne wykorzystanie faktów przedstawionych w jej książce. Artykuł Łobodowskiego miał być „obliczony na smak szowinistycznej ulicy”.¹⁴⁸ Pisarz, odrzucając zarzuty o nadmierne wykorzystanie faktów podanych w książce Rudnickiej, zbagatelizował jej zarzuty, gdyż sprawy te miały być szeroko opisywane przez prasę emigracyjną, zarówno polską jak i ukraińską czy rosyjską. Natomiast wyraził zdziwienie, że nie odniosła się do głównej tezy jego tekstu o likwidacji Unii, przy milczącej zgodzie Watykanu.¹⁴⁹

STOSUNKI ROSYJSKO-UKRAIŃSKIE

Stwierdzenie, że Łobodowskiego można uważać za pogrobowca idei prometejskiej, znajduje potwierdzenie w jego wypowiedziach na tematy rosyjskie, szczególnie w kontekście rosyjsko-ukraińskim. Giedroyc, ceniąc wiedzę i doświadczenie Łobodowskiego, konsultował się z nim przy redagowaniu numeru rosyjskiego „Kultury” w 1959 roku.¹⁵⁰ Pisząc do Łobodowskiego prosił o uwagi i sugestie „nie tylko co do układu redakcyjnego takiego numeru, ale również jeżeli idzie o *linię generalną*. Jeśli idzie o mnie, to chciałbym raczej nawiązać do linii Piłsudski – Sawinkow – Fiłosofow”. Pisarz, zainteresowany tymi pomysłami, chętnie dzielił się

¹⁴⁸ M. Rudnicka, *LdR*, „Kultura” 1972, nr 10/301, s. 156.

¹⁴⁹ J. Łobodowski, *LdR*, „Kultura” 1972, nr 10/301, s. 157.

¹⁵⁰ M. Ptasieńska-Wójcik, *Z dziejów Biblioteki Kultury 1946-1966*, op. cit., s. 260.

własnymi koncepcjami: „Jedno jest pewne – jeśli dialog ma być szczerzy i wyczerpujący, nie można pomijać spraw najbardziej wrażliwych, a z nich dążeń niepodległościowych Ukrainy, Kaukazu, itd. Dla Rosjan jest to pięta Achillesea, ale jeśli jej Pan nie dotknie, zainteresowani powiedzą, że na przykład cały ukraiноznawczy dorobek «Kultury» to robota hipokrytów” – pisał we wrześniu 1959 roku do Giedroycia.¹⁵¹

Sam pisarz również nie uciekał od tej tematyki i starał się wypowiadać na temat krytycznych głosów emigracji rosyjskiej w sprawie niepodległości Ukrainy. Doskonałą okazją do podjęcia tej tematyki było ogłoszenie *Deklaracji w sprawie ukraińskiej* w „Kulturze” z 1977 r. Wówczas Łobodowski ogłosił krytykę artykułu Siergieja Rafalskiego *Choroba stulecia*, zamieszczonego w ukazującym się w Paryżu i reprezentującym nową, tzw. trzecią falę emigracji rosyjskiej piśmie „Kontinent”. Choć redakcja nie zgadzała z niektórymi z jego opinii, to jego tekst zgodziła się wydrukować w myśl „demokratycznych zasad, obowiązujących (...) w czasopiśmie”.¹⁵² Tytułową *chorobą stulecia* okazały się dążenia narodowyzwoleńcze w ZSRR, z problemem ukraińskim na czele. Rafalski twierdził, że separatyzm ukraiński narodził się przy polskiej i austriackiej pomocy, a winę narzucenia ustroju komunistycznego przypisał innym narodom – między innymi Gruzinom, Polakom, Żydom, Łotyszom i wielu innym. W swej polemice Łobodowski tradycyjnie już skupił się na zagadnieniu niepodległości Ukrainy i odrębności Ukrainy i Ukraińców od Rosji i Rosjan. Przypomniał także podobne tendencje separatystyczne na Kaukazie, w Turkiestanie i państwach bałtyckich. Kończąc tekst podkreślał, że w tym momencie najbardziej pożądanym jest głos Rosjan, którzy reprezentują zupełnie inne poglądy. Po raz drugi równie zdecydowanie Łobodowski wypowiedział się ogłaszając polemikę z publicystami rosyjskimi na emigracji, którzy na łamach pisma „Czasowoj” bardzo krytycznie omówili opublikowaną w „Kulturze” *Deklarację* z 1977 roku¹⁵³ i zdecydowanie opowiadali się

¹⁵¹ AIL, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 25 VI 1953 r.; J. Łobodowski do J. Giedroycia, 8 IX 1959 r.

¹⁵² J. Łobodowski, *Fałszywa diagnoza*, „Kultura” 1977, nr 7/358-8/359, s. 185-199.

¹⁵³ Deklaracja została przedrukowana [w:] *Nie jesteście ukraiноfilami. Polska myśl polityczna wobec Ukraińców i Ukrainy. Antologia tekstów*, red. P. Kowal, J. Ołdakowski, A. Zuchniak, Wrocław 2002, s. 323-324.

przeciwko niepodległości dla Ukrainy. Wśród argumentów, które obalał w swoim tekście, znalazły się też takie, jak rzekoma niesamodzielność języka ukraińskiego, który miał się stać „polskim dialektem”. Czy argumenty inne: że separatyzmy narodowościowe wzmacniają ustrój komunistyczny, bo Rosjanie w obawie przed nimi skupiają się wokół istniejącej władzy. Szczególnie krytykowani byli emigranci rosyjscy „trzeciej fali”, którzy również podpisali tę deklarację: Andriej Amalrik, Władimir Bukowski, Natalia Gorbaniewska, Władimir Maksimow i Wiktor Niekrasow.¹⁵⁴

PAMIĘĆ SYMONA PETLURY

Dla ukraińskiego ruchu niepodległościowego kluczową postacią była osoba Symona Petlury. Jednakże na jej legendzie cieniem kładły się oskarżenia o prowokowanie krwawych antysemickich pogromów na Ukrainie. Józef Łobodowski, ale także i cały zespół „Kultury”, byli przekonani o niewinności atamana, ale sprawa antysemityzmu Petlury pojawiała się na łamach paryskiego miesięcznika nieraz. Kiedy we Francji telewizja emitowała film oskarżający Petlurę o antysemityzm, Giedroyc postanowił odpowiedzieć:¹⁵⁵ „Ciągłe mnie żydy atakują (nie tylko żydy), że to był pogromszczyk i że Szwarebart był bohaterem narodowym, a nie agentem sowieckim. Osobiście myślę, że po zamachu majowym Sowiety obawiały się wznowienia koncepcji Piłsudskiego i chciały ją w ten sposób utrać” – wykladał w liście do Łobodowskiego.¹⁵⁶ Takie poglądy podzielali inni współpracownicy Giedroycia, czego wyrazem był fakt, że Redakcja „Kultury” złożyła wieniec na grobie atamana Petlury z okazji setnej rocznicy urodzin i pięćdziesiątej trzeciej rocznicy jego śmierci. Gest ten,

¹⁵⁴ J. Łobodowski, *Nacjonalistyczne wybryki*, „Kultura” 1978, nr 7/370-8/371, s. 162-167.

¹⁵⁵ Podobna sytuacja miała miejsce już wcześniej, w 1958 roku. Wówczas Giedroyc zwrócił się do Stempowskiego, tłumacząc, że jest jedynym, który mógłby to zrobić i dodawał: „Łobodowski w tym wypadku byłby niedobry ze względu na Madryt i sympatię do Franco, co będzie natychmiast wykorzystane”. W 1979 roku Stempowski już nie żył, zmarł Franco, nie istniało Radio Madryt, a system rządów w Hiszpanii miał już zupełnie inne oblicze, dlatego też zapewne Giedroyc zwrócił się w tej sprawie do Łobodowskiego (*Jerzy Giedroyc – Jerzy Stempowski. Listy 1946-1969*, op. cit., t. II, s. 17).

¹⁵⁶ AIL, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 24 IX 1979 r.

jak pisze Łobodowski, miał wywołać „mnóstwo listów protestacyjnych”.¹⁵⁷ Na prośbę Giedroycia tekst do „Kultury” w tej sprawie napisał Józef Łobodowski. W artykule *Falszywa legenda* Łobodowski przypomniał rolę Szwarebarta, zbieżność zabójstwa z datą zamachu majowego i siedmioletnie opóźnienie w rzekomej zemście. Przypominał też rolę Petlury w walkach narodowowyzwoleńczych i to, że był symbolem dla Ukraińców. Z tekstu Giedroyc nie był zadowolony. Zarzucał mu, że za mało napisał o samym Petlurze¹⁵⁸. Z Łobodowskim polemizował Dawid Jabłonka;¹⁵⁹ Łobodowski odpowiedział w liście do Redakcji.¹⁶⁰ Łobodowski odrzucał oskarżenie o brak reakcji ze strony Petlury, przypominając rozkazy Petlury grożące rozstrzelaniem każdemu żołnierzowi, który by był winny i brał udział w jakimkolwiek pogromie. Przypominał także tournée Szwarebarta po całej Europie z odczytami na temat, jak zabił Petlurę i pytał retorycznie, kto zorganizował te wyjazdy. Dlaczego tak długo (cztery lata) zwlekał ze swoją zemstą? Łobodowski podkreślał, że z prawnego punktu widzenia wyrok sądu francuskiego był „skandalem i niebezpiecznym precedensem”. Z tekstem polemizował Michał Borwicz, ale odpowiedzi sugerowanej przez Łobodowskiego¹⁶¹ Redaktor nie chciał już ogłosić.¹⁶²

* * *

Tematyka ukraińska i zagadnienie stosunków polsko-ukraińskich należały do najważniejszych i stosunkowo często poruszanych w twórczości literackiej i publicystycznej Józefa Łobodowskiego. Wybór zawiera tylko niewielką część spośród nich. Dokonując selekcji postanowiono wybrać

¹⁵⁷ J. Łobodowski, *Falszywa legenda*, „Kultura”, 1979, nr 11/386, s. 99-103.

¹⁵⁸ AIL, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 16 IX 1979 r.; 24 IX 1979 r.; 13 X 1979 r.

¹⁵⁹ D. Jabłonka, *Na marginesie prób ,rehabilitacji’ – Haniebna rola Petlury*, „Nowiny Kurier”, 22 I 1980, nr 19.

¹⁶⁰ J. Łobodowski, *Odezwały się nożyce*, „Kultura”, 1980, nr 3/390, s. 143-145.

¹⁶¹ AIL, J. Ł. do J. Giedroycia, 7 XI 1979. Łobodowski pisał: „twierdzić, że zbieżność dat między zamachem majowym a zamordowaniem Petlury nie stanowi nawet poszlaki, może jedynie bałwan albo demagog”. Sam uważał, że we Lwowie nie mordowali petluruwcy, gdyż ich tam wówczas nie było. Kilkunastu rozstrzelanych Łobodowski znał byli czynni członkowie KPP albo KPZU, a rozstrzelali ich Niemcy.

¹⁶² Ibidem, J. Giedroyc do J. Łobodowskiego, 19 XII 1979.

najważniejsze i najciekawsze lub te, które najlepiej prezentują poglądy pisarza. Tom obejmuje zarówno teksty o ważnych postaciach lub zagadnieniach ukraińskiej kultury i historii, jak i wypowiedzi o charakterze polemicznym i politycznym. Granicy tej nie da się jednak nakreślić bardzo wyraźnie, gdyż często tekst omawiający zagadnienie z minionej epoki jest pretekstem do dłuższej wypowiedzi polemicznej na temat polskiej polityki mniejszościowej lub stosunków polsko-ukraińskich. Teksty pochodzą z następujących czasopism: „Trybuna”, „Biuletyn Polsko-Ukraiński”, „Wiadomości Literackie”, „Wiadomości”, „Kultura” i „Zeszyty Historyczne”. W edycji tej pominięto niestety – z braku miejsca – poetyckie wypowiedzi na tematy polsko-ukraińskie i liczne przekłady poezji ukraińskiej na język polski. Być może uda się je zamieścić w osobnym tomie.

W trakcie prace nad przygotowaniem tego wyboru tekstów cennych rad i wskazówek zechcieli udzielić przede wszystkim: dr Łukasz Adamski (Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia), dr hab. Jacek Bruski (Uniwersytet Jagielloński), dr Jiří Friedl (Instytut Historii Czeskiej Akademii Nauk, Brno), dr Krzysztof Jaworski (Uniwersytet J. Kochanowskiego w Kielcach), dr hab. Grzegorz Motyka (Instytut Studiów Politycznych PAN), dr Marek Rajch (Uniwersytet Adama Mickiewicza), dr Mariusz Sawa (IPN Lublin) oraz dr hab. Mirosław Szumiło (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej). Osobne podziękowania należą się wydawcy i pomysłodawcy tego przedsięwzięcia, panu Bernardowi Nowakowi. Dziękujemy też Panu ministrowi Janowi S. Ciechanowskiemu za finansowe wsparcie edycji oraz cierpliwe czekanie na rezultaty naszej pracy.

Wszystkie teksty Łobodowskiego zostały opublikowane w wersji integralnej. Niekiedy uwspółcześniono ortografię i interpunkcję, tekst rozstrzelony zastąpiono kursywą, często jednak – dla zachowania kolorytu językowego – zostawiono tekst w oryginalnej formie. Przypisy ograniczono do... koniecznego minimum, ułatwiającego zrozumienie tekstu i właściwą identyfikację wymienianych postaci.

Paweł Libera

B I U L E T Y N

P O L S K O - U K R A I N S K I

• T Y G O D N I K • I L U S T R O W A N Y •

ROK VI.

WARSZAWA, 19 WRZEŚNIA 1937.

Nr. 34 (225)

Dokąd zmierzamy w stosunkach polsko-ukraińskich?

Od bezmyślności do katastrofy

(Odpowiedź Nr. 7 na ankietę)

Dokąd zmierzamy w stosunkach polsko-ukraińskich? Myślę, że tak skonstruowane pytanie w najmniejszym nawet stopniu nie odpowiada rzeczywistości. Sedno sprawy w tym, że my w ogóle nigdzie nie zmierzamy, nie posiadając nie tylko programu, ale nawet elementarnej znajomości zagadnienia. Pozwalamy unosić się wypadkom historycznym i oczekujemy, aż przyjdzie ktoś trzeci, aby rozstrzygnąć sytuację w imię własnych narodowych i państwowych interesów. Najczarniejszy nawet pesymizm może się tu wylegitymować dostatecznie wymownymi argumentami. Nie to jest bowiem najgorsze, że rząd, czy wojewoda ma mylne podejście do zagadnienia, — tragedia zaczyna się z chwilą, gdy stwierdzimy, że społeczeństwo nie ma w ogóle żadnego podejścia, żadnego stosunku do sprawy ukraińskiej. Zagadnienie należące bezsprzecznie do najważniejszych, a w perspektywie historycznej, kto wie, czy nie najważniejsze, jest stale i wciąż usuwane na marginesy zainteresowań społeczeństwa. Przeszłość, kultura i dążenia czterdziestomilionowego narodu, mieszającego o miedzę, jest dla nas zjawiskiem najzupełniej egzotycznym. Poza garstką specjalistów i ludzi dobrej woli, nikt w Polsce nie o sprawie ukraińskiej nie wie. Czytelnik pism, pożałuj, Boże, narodowych, wie tylko tyle, że jest na Wołyniu niegrzeszny wojewoda Józewski, którego należy czym prędzej zabrać z Łucka, bo nie popiera Stronnicwa Narodowego. Reszta robi się sama.

Tam, gdzie jest bezmyślność i obojętna ignorancja, zawsze największym powodzeniem cieszy się program, schlebający zastarzałym nałogom i tęskno-

tom. W tych warunkach przychodzą politycy, których poglądy nie wytrzymują najbliższej konfrontacji z rzeczywistością, są dokładnym zaprzeczeniem codziennych faktów. I powiadają, że kwestia ukraińskiej w ogóle nie ma. Bo ośz tu, u licha, za kwestia, skoro owi Rusini jedynie w wyniku intryg zaborczych i starań masonerii nie chcą zostać Polakami. Wystarczy im to wytumaczyć, w razie braku widocznych postępów uciec się do pedagogicznej pomocy administracji, w naglejszych wypadkach parę przykładnych pacyfikacji — i dobra nasza. Pp. Gierzych, Bandrowski, Gluziński — i ilu ich tam jeszcze bezmyślnych mącieli i tak już dostatecznie zbalaamuconego społeczeństwa, prowadzą robotę, która w konsekwencji zmierza do nowej chmielnicyzyny. Trzeba sobie powiedzieć jedno: pseudorealizm nawiśnie pojętego nacjonalizmu na kresach przy ogólnej obojętności wobec sprawy ukraińskiej jest równoznaczny z postawieniem krzyżyka na pięciu wództwach południowo-wschodnich. Słyszy się dość często pyszałkowane zdanie, że gdyby nie ideologia dmowszczyzny, przenikająca powoli cały naród, Polska byłaby dzisiaj jakimś federacyjnym dziwołogiem, a nie zwartym narodowo organizmem. Pomiędzy niezasadniony optymizm, wynikły z owej „zwartości”, pytam jedynie, co ideolodzy spod sztandaru Dmowskiego zamierzają uczynić w stosunku do Ukraińców z chwilą, gdy ci jednak uprą się i nie zechcą ulec polonizacji. Wtedy pozostaną dwie drogi jedynie: albo zorganizować jakiś masowy *exodus* Ukraińców z Polski, jak w swoim czasie zrobili Turcy z grecką ludnością Lewantu, albo wyrzec się raz na zawsze terenów o przewadze narodowości ukraińskiej. To jest logiczne przynajmniej. Jest jeszcze i trzecia droga, o której zresztą uważny czytelnik może to i owo wyczytać między wierszami u niektórych publicystów, a mianowicie: tkwić nadal w dzi-

Pierwsza strona „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” z tekstem J. Łobodowskiego, 19 IX 1937 r.

SERCA ZA BARYKADĄ

Jest temat, który się Polsce rzadko i niechętnie porusza, temat, w stosunku do którego istnieją tysiące uprzedzeń i podejrzeń, te-mat niezwykle bolesny i aktualny, domagający się szybkiego i radykalnego rozwiązania. Mam na myśli sprawę czy też kwestię ruską. Dla przeciętnego obywatela kwestia ta niemal nie istnieje, a w każdym razie jest czymś bardzo oddalonym i nieaktualnym. Słyszał coś niecoś o pacyfikacji Małopolski Wschodniej,¹ ale nie przywiązywał do tego większej wagi. Wie, że Ukraińcy są wrogami narodu i państwa polskiego, przypomina sobie o nich to i owo z przeczytanej w dzieciństwie *Trylogii*, od czasu do czasu wpadnie mu coś w ucho o skargach wytaczanych przed Ligą Narodów² – i na tym koniec. Między społeczeństwem polskim a kilkoma milionami Rusinów z Podola i Wołynia wzniosła się barykada niezrozumienia i niechęci, za którą biją nienawistne serca bratniego narodu. Przeważnie jesteśmy skłonni całkowitą odpowiedzialnością za ten stan obciążać sumienia Rusinów. Przypominamy wówczas Chmielnickiego i hajdamaków, śmierć Potockiego³ i UNDO,⁴ napady na urzędy i akcję podpalaczy, stwierdzamy po nieskończoność polskość Lwowa, śpiewamy o ziemi i kropli krwi i traktujemy tych wszystkich Bondarczuków i Dmytruków⁵ jako zwyczajnych bandytów, których spotyka ciężka, lecz zasłużona kara. Ostatnio świeża mogiła Tadeusza

¹ Pacyfikacja, która była odpowiedzią na akcje sabotażowe Wojskowej Ukraińskiej Organizacji miała miejsce od 16 IX do 30 XI 1930 r.

² Aluzja do skarg mniejszości ukraińskiej z terenów II RP wnoszonych przed Ligę Narodów.

³ Andrzej Potocki (1861-1908), namiestnik Galicji, podejmował próby porozumienia z Ukraińcami, zginął w wyniku zamachu 12 IV 1908 r. we Lwowie z ręki studenta ukraińskiego, Mirosława Siczynskiego.

⁴ UNDO, Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne, ukraińska partia polityczna w II RP (1925-1939).

⁵ Przykłady typowych ukraińskich nazwisk.

Hołówki⁶ jeszcze bardziej zwiększyła naszą niechęć, wobec której nie ma możliwości zdobycia się na trzeźwą ocenę wypadków i zjawisk i która opóźnia chwilę zniesienia złowrogo spiętrzonej barykady. Musimy się jednak nareszcie zdobyć na ową ocenę, przeprowadzić dokładną rewizję dotychczasowego stosunku do kwestii ruskiej i podsumować jego bilans. I nic się na to nie poradzi, że bilans ten w dość znacznej części wypadnie dla nas ujemnie. Trzeba to przyjąć po męsku do wiadomości i wyciągnąć odpowiednie konsekwencje. Nie waham się z całą stanowczością stwierdzić, że za sytuację wytworzoną na kresach południowo-wschodnich gros odpowiedzialności ponosimy my sami – i to nie tyle czynniki rządowe, co raczej samo społeczeństwo, bo i to musimy wziąć pod uwagę, że żadna akcja oficjalna nie odniesie w danym wypadku skutku, jeśli za nią nie będzie stał cały naród. Dłoń przyjaźni wyciągnięta przez reprezentantów rządu w kierunku Ukraińców będzie tylko czczym gestem, jeśli dłoń w sposób otwarty i szczerzy nie przyłączy się całe społeczeństwo. Ludziom pewnego pokroju wydaje się to czymś niemożliwym i nieosiągalnym, a przecież nie tak dawne są czasy, w których ludność ruska nie odczuwała potrzeby odseparowania się od narodu polskiego i szczerze pragnęła zgodnego współzycia. Przecież bunt i powstania kozackie nie były nigdy skierowane przeciw Polakom w myśl jakichś urojonych antagonizmów narodowych, ale nosiły zupełnie wyraźny charakter społeczny, chwilami nawet, co się najchętniej przemilcza o religijnym zabarwieniu.

Przecież sam Chmielnicki – którego pamięć po dziś dzień przeklina ludowa pieśń ruska za to, że rzucił Ukrainę w objęcia moskiewskiego cara – uważał się za Polaka i żadnej odrębności narodowej nie podkreślał. Umyślnie przypominam tamte czasy, bo w nich kryje się źródło wszystkich późniejszych nieporozumień. Nie kto inny, tylko magnat ukraiński z jezuitą i żydem-arendarzem wznie-

⁶ Tadeusz Hołówko (1889-1931), działacz niepodległościowy, polityk polski (naczelnik Wydziału Wschodniego MSZ w latach 1927-1930), poseł na Sejm RP, działacz ruchu prometejskiego i zwolennik porozumienia polsko-ukraińskiego. Zginął zamordowany przez członków OUN 29 VIII 1931 r. w Truskawcu.

cili nienawiść polsko-ruską, która do dziś przetrwała w postaci najrozmaitszych organizacyj konspiracyjnych. Ostatecznie, jeżeli hitlerii ukraińskiej udaje się podtrzymywać wrogi nastrój do Polski wśród młodzieży ruskiej, to do najważniejszych argumentów uczuciowych należą tu wspomnienia z owych lat, kiedy bezmyślność pańszczyznistów ukraińskich,⁷ ożeniona z fanatyzmem księży zaczęła zwyciężać idee Żółkiewskich⁸ i Konaszewiczów.⁹ Jesteśmy skłonni największą odpowiedzialność zrzucić na perfidię nieboszczki Austrii. Tak przecież nie jest. Perfidia perfidią, Metternich Metternichem, ale Jarema Wiśniowiecki to też nie bajka i nie mąż opatrnościowy z patriotycznej apologii Sienkiewicza,¹⁰ którą można się zachwycać, ale której przyjmować niepodobna.

Trudno, kochani rodacy. Coś się tam w przeszłości przeskrobało, czegoś nieładnego niepodobna się wypierać, bo jest najoczywistszą prawdą.

Nie znaczy to, byśmy w porywie wielkoduszności mianowali Wasyla Wyszywanego¹¹ królem ukraińskim, a pana Welykanowicza¹² jego ministrem, ale skoro żyjemy w jednym podwórku z podejrzliwym i zadąsanym na nas, ale w gruncie rzeczy zupełnie przyzwoitym sąsiadem, to zrobmy nareszcie coś, aby zyskać sobie, już jeżeli nie przyjaźń, to przynajmniej odrobinę szacunku i zgody. Tylko, że nam idzie to jak z kamienia. W ogóle nie znamy swoich sąsiadów. Nie chcemy ich poznać. Nie chcemy poinformować się o tym, co myślą, jak żyją, czego chcą i do czego dążą. Widzimy w nich hajdamaków i oczajduśców, rezunów i awanturników. I jeszcze jedno. Nie chcemy porozmawiać z nimi jak równi z równymi.

⁷ Tj. magnatów kresowych.

⁸ Stanisław Żółkiewski (1547-1620), żołnierz i polityk, m.in. hetman wielki i polny koronny. Stłumił kozackie powstanie S. Nalewajki (1596).

⁹ Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny (1570-1622), hetman kozacki, zwolennik współpracy Kozaków Zaporoskich z Rzeczpospolitą.

¹⁰ Aluzja do sposobu przedstawienia postaci J. Wiśniowieckiego w *Ogniem i mieczem* H. Sienkiewicza.

¹¹ Wasyl Wyszywany, właściwie Wilhelm Habsburg (1895-1948), działacz polityczny ukraiński.

¹² Dmytro Welykanowycz (1884-1945), działacz polityczny (UNDO) i społeczny ukraiński, poseł na Sejm RP (1928-1939).

Jakże to! – Grunwald i Somosierra, Chrobry i Sobieski, Mickiewicz i Chopin, wielkie europejskie pretensje i ambycyjki, mocarstwo, panie dobrodziejku – i nagle byle Ukrainiec, byle barbarzyńca, który tylko niedawno przestał łązić na czworakach.

To jest śmieszne, ale to jest także bardzo smutne.

Tkwi w tym jakaś tragiczna pomyłka, jakiś przekłety paradoks, że naród od dwustu lat bity po pysku, ledwie wyleczył się z wczorajszych sińców i stał z czoła ślady pańskiego buta, już chce łapać inne narody za kark i powiewa sztandarem imperializmu i nacjonalistycznych pretensji. Takie tendencje są bardzo silne, chociaż może przedwcześnie byłoby to uogólniać. Ale na dłuższą metę to się przecież nie opłaci. Mussolini i Hitler nie są wbrew optymizmowi naszego Adolfa Nowaczyńskiego¹³ bohaterami ani zbawicielami ludzkości.

Pijane narody, rozbijające się nawzajem we mgle, muszą kiedyś wytrzeźwieć. Niechże to stanie się prędej. Bo historia gotowa dla otrzeźwienia urządzić jakiś komisariat, gdzie pobyt nie należy chyba do przyjemności. Są zresztą znaki na niebie i ziemi, które dowodzą, że przewlekły katzenjamer¹⁴ już się kończy. Nie ostatnią rolę odgrywa tu literatura. Może też ona zdecyduje się pierwsza wypowiedzieć jasno i otwarcie w sprawie ruskiej. Byli kiedyś tacy pisarze, że wspomnę Zaleskiego¹⁵, Jabłońskiego, Sowińskiego¹⁶ i Padurę.¹⁷ Nawiązać do ich przerwanej tradycji. Niech pacyfikację Małopolski przeprowadzi nie policjant i żandarm, nie pięść i bagnet, ale polski literat, polski artysta i polski uczony Jabłoński, którzy potrafią to uczynić w atmosferze wspólnej wymiany myśli i wspólnego zaufania.

¹³ Adolf Nowaczyński (1876-1944) – pisarz, publicysta, związany z ruchem narodowym.

¹⁴ Katzenjammer – (niem.), niedyspozycja po nadużyciu alkoholu, pot. kac.

¹⁵ Wacław Zaleski (1799-1849), pisarz i poeta polski, gubernator Galicji.

¹⁶ Leonard Sowiński (1831-1887), polityk, poeta a i historyk literatury.

¹⁷ Tymko Padura (1801-1871), poeta pochodzenia ruskiego, pisał w języku polskim i ukraińskim.

Wyjść naprzeciw sercom zza barykad z otworzonymi na oścież ramiony, przygarnąć ich do Polski w jagiellońskim duchu odrodzonej, wczuć się szczerze w ich troski i potrzeby, wesprzeć tych nielicznych jak Wasyl Stefanyk,¹⁸ Michał Jackow¹⁹ czy Michał Rudnickij,²⁰ którzy wśród zalewu szowinizmu ukraińskiego, tak pokrewnego naszej rodzimej owupie,²¹ na próżno podnoszą głos zgody i pojednania.

Przypomnieć im ten uścisk braterski, jakim na dalekiej stacji ukraińskiej połączyły się ramiona Józefa Piłsudskiego i atamana Pelury,²² błogosławioną wiosną 1920 roku, a panom z Warszawy, Lwowa i Poznania podarować tom poezji Tarasa Szewczenki, który w swoim czasie okrzyczany został za nienawistnika i szowinistę, a który osiemdziesiąt lat temu napisał te wielkie słowa:

O tak – to, Lasze, druże – bratie,
niesytji ksiondzi,
magnati nas poriznili,
rozwieli, a mił i Dosi tak żyli.
Podaj-że ruku kozakowi
i siercie czystiee podaj! –
i znowu imieniem Christowim
mi onowim nasz tichij raj!

¹⁸ Wasyl Stefanyk (1871-1936), poeta i polityk ukraiński, tłumacz poezji ukraińskiej na język polski.

¹⁹ Mychajło Jackiw (1873-1961), pisarz ukraiński, po 1945 r. pozostał we Lwowie.

²⁰ Mychajło Rudnyckij (1889-1975), krytyk literacki i językoznawca, współpracownik lwowskiego „Diła”, brat Myłeny Rudnyckiej, Antona Rudnyckiego i Iwana Kedryna-Rudnyckiego. Po 1945 r. pozostał we Lwowie, gdzie pracował jako wykładowca.

²¹ Tzn. OWP – Obóz Wielkiej Polski, organizacja stworzona przez działaczy obozu narodowego, mająca na celu zjednoczenie różnych partii i ugrupowań narodowych w Polsce (1926-1933).

²² Piłsudski i Petlura spotkali się 16 maja 1920 r. na stacji w Winnicy, tymczasowej stolicy Ukraińskiej Republiki Ludowej. Spotkanie to jest symbolem zawartej wcześniej umowy o wspólnej walce przeciwko bolszewikom.

O tak to, Lachu, druhu-bracie,
Zachłanni księża i magnaci
Rzucili waśń pomiędzy nas,
I przeto minął zgody czas.
Więc podaj rękę kozakowi
I czyste serce swoje daj!
A wspólnie w imię Chrystusowe
Wskresimy znowu cichy raj.*

Z tymi słowy iść nam dziś na zdobycie barykady i nimi trafić do
serc bijących poza nią, nienawiścią i gniewem.

[„Trybuna” 1932 nr 1]

ZA NASZĄ WOLNOŚĆ I WASZĄ

Kiedy prasa zamieściła pierwsze depesze o krwawych wypadkach w Hiszpanii,²³ niejedyn czytelnik pomyślał, że jest to jedynie ruchawka wojskowa, generalski zamach stanu, pozbawiony istotnego oparcia w masach. Rozwój sytuacji, żywiołowy rozrost powstania rychło zadał kłam rojeniom optymistów. Dziś już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w Hiszpanii dojrzał i wystąpił na widownię ruch faszystowski o dynamizmie nie mniejszym niż w Niemczech czy Włoszech. Wszystko wskazuje na to, że jeszcze jedna placówka demokracji europejskiej zostanie na długo stracona. Cóż na to powie szary człowiek, od lat karmiony zapewnieniami o dywersyjnym, koniunkturalnym charakterze faszyzmu, wymyślonego przez kapitalizm dla obrony przed proletariacką rewolucją? Szary człowiek

* Cytat z wiersza Tarasa Szewczenki *Do Polaków*, w przekładzie J. Łobodowskiego. Tekst oparty na wydaniu: Taras Szewczenko, *Poezje*, pod red. Pawła Zajcewa. Ukraiński Instytut Naukowy, Warszawa 1936, s. 209-210.

²³ Aluzja do zamieszek z lutego i marca 1936 r., które dały początek wojnie domowej w Hiszpanii (1936-1939).

reaguje na to w sposób bardzo swoisty: odchodzi od marksizmu, daje się ponieść fali antysemickiej i marzy o chwili, kiedy dane mu będzie zaciągnąć się w szeregi własnego, narodowego faszyzmu. Antysocjalistyczna robota Kominternu zbiera obfite plony. Zdrada ideałów wolnościowych mści się w straszliwy sposób. Historia z nieubłaganą logiką wyciąga konsekwencje. Na oczach jednego zaledwie pokolenia odbył się dramatyczny proces upadku rewolucji, zdeptania jej ognisk przez brutalną soldateskę, wprzęgnięcia entuzjazmu, wyrosłego z posiewu krwi, do starej imperialistycznej legendy. Nigdy jeszcze na przestrzeni historii całego świata nie popełniono tak wielkiego oszustwa, nigdy nie zbezczeszczone tak straszliwie ludzkiej męki i poświęcenia jak tu. Rosja była do niedawna tym krajem, w którego stronę oczy robotnika i inteligenta, weteranów rewolucji i młodzieży wpatrywały się z najwyższą nadzieją i radością. Wierzono, że tam poprzez mękę wielkiego narodu i jego heroiczne poświęcenie wyrosnie nareszcie ustrój godny swobodnego człowieka i usprawiedliwi wszystkie ofiary poniesione w jego imieniu. Stało się inaczej. Ponad kominy wszelkich Magnitostrojów²⁴ i estrady masówek partyjnych wyrosła stara, znajoma postać mikołajewskiego żandarma, dławiącego krytycyzm, niszczącego w bezwzględny sposób każdy samodzielny odruch.

Cóż więc dziwnego, że marksizm, jako pogląd na świat, zmuflował się i usechł, a na terenie politycznym raz po raz rozkładają go na obie łopatki. Przed laty Włochy, wczoraj Niemcy, jutro prawdopodobnie Hiszpania. A jednocześnie w granicach samego Związku Sowieckiego dojrzewają nowe ogniska buntu, na razie przytłumiane i zalewane krwią, ale niegasnące ani na chwilę i czekające jedynie odpowiedzialnej koniunktury, aby wybuchnąć płomieniem. Wobec tego pożaru, który się tam przygotowuje, dziecinną zabawką wydają się okropności hiszpańskie.

²⁴ Magnitostroj, kombinat przemysłowy, który powstał w latach 30. XX w. w mieście Magnitogorsk w ZSRR, przez wiele lat był symbolem szybkiej industrializacji ZSRR.

Socjalizm jest nie tyle ideą międzynarodową, co nadnarodową. Losy całej ludzkości i jej kulturę stawia wyżej od potęgi i dobrobytu jednego narodu. Przede wszystkim jestem człowiekiem, a dopiero potem Polakiem. Co więcej, nie posiadając wartości jako człowiek i świadomości swego człowieczeństwa, będę złym Polakiem. Natomiast nic mnie nie łączy z ludźmi, którzy „nikczemność swej duszy w polskiej objawiają mowie”.²⁵ Mógłbym urodzić się Niemcem albo Anglikiem, i wskutek tego moja wartość nie wzrosłaby – i nie zmalą. Ale to rozróżnienie hierarchii w niczym nie zmienia faktu, że jestem mocno związany z rodzinną ziemią, że jej przeszłość i kultura są powietrzem, którym oddycham i którego się nigdy nie wyrzeknę. Wiem doskonale, że niczyje dobro nie wymaga, abym wyparł się ojczystej mowy i w czymkolwiek uszczuplił granice rozwoju ojczystej kultury.

Zdrajcy rewolucji, gwałciciele socjalizmu i tu uzurpują sobie prawo do ostatecznej decyzji, narzucając narodom według własnego widzimisię wypracowane formy kulturalnego bytowania. Idea niosąca wyzwolenie każdej, najsłabszej nawet, narodowości, stała się w ich rękach narzędziem ucisku i szowinistycznego imperializmu.

Konstytucja sowiecka daje każdej republice związkowej prawo wystąpienia i samodzielności politycznej. *Samoopriedielenje wplot' do otdielenja*.²⁶ Wielce to efektowny punkt, niestety, wszelka praca, a choćby tylko sugestia w tym kierunku traktowana jest jako przestępstwo przeciw socjalistycznej ojczyźnie – i odpowiednio ostro karana.

Natychmiast po likwidacji kontrewolucyjnych armii Południa i Wschodu przystąpiono w Rosji do wytyczania granic republik

²⁵ Właściwie: „nędzę swojej duszy w polskiej objawia mowie” (S. Żeromski, *Duma o hetmanie*).

²⁶ Dosłownie: samookreślenie aż do oderwania się. Aluzja do deklaracji praw narodów – jednego z pierwszych dokumentów przyjętych przez Sownarkom RSFSR 2 (15) XI 1917 r., który teoretycznie umożliwiał narodom wchodzącym wcześniej w skład rosyjskiego imperium na „samookreślenie” aż do oderwania się od państwa rosyjskiego i utworzenia niezależnego państwa.

narodowych i obszarów autonomicznych. Nazwę państwa z Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Rad zmieniono na Związek Socjalistycznych Republik Rad, aby podkreślić jego międzynarodowy charakter.²⁷ Uczyniono dość dużo dla umożliwienia swobodnego rozwoju narodowej kultury.

Ale już i wtedy, zanim nastąpił zdecydowany odwrót na stanowiska szowinistycznego imperializmu, położono podwaliny pod dzisiejszą koncepcję „socjalistycznej ojczyzny”, która jest jedynie nową, ulepszoną edycją „jedynoj i niedielimoj”.²⁸

W roku 1919, w okresie największych sukcesów armii ochotniczej,²⁹ gdy dzika dywizja³⁰ zbliżała się do Orła, a generał Konstantin Mamontow³¹ dekorował tambowskie latarnie ciałami komunistów, biali oficerowie odgrążali się pod adresem Polaków, Finów, Rumunów: „Poczekajcie, skończymy z bolszewikami, weźmiemy się za was”. Zaczęła się wojna 1920 roku i komunistyczna agitacja uderzyła w te same, szowinistyczne tony. Nie cofnięto się nawet przed sięgnięciem do tradycji historycznych zwycięstw nad Polakami w 1794 i 1831 roku. Tak oto umieszczono w jednym szeregu Suworowa i Paskiewicza-Erywańskiego z Tuchaczewskim.

W okresie wojennego komunizmu zapał do szatkowania na republiki i obwody był tak wielki, że aż sam Lenin musiał hamować te odśrodkowe zapędy, ironizując na temat „samookreślenia moskiewskiej guberni”. Ale nawet Lenin wydaje się naiwnym czło-

²⁷ 30 XII 1922 r. Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka „połączyła” się z Socjalistycznymi Republikami Radzieckimi: Białoruską, Ukrainą i Zakaukaską i utworzyła Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.

²⁸ Dosłownie: jednej i niepodzielnej – hasło stosowane do Rosji carskiej, będące aluzją do tendencji imperialistycznych państwa rosyjskiego.

²⁹ Armia Ochotnicza, związek operacyjny wojsk białych w okresie wojny domowej w Rosji (1918-1920), po kolejnych klęskach w 1920 r. została przeformowana w Korpus, a następnie weszła w skład Armii gen. P. Wrangla na Krymie.

³⁰ Mianem Dzikiej Dywizji określano różne jednostki w okresie 1914-1921 Łobodowskiemu chodziło o Czerkieską konną dywizję, która wchodziła w skład Armii Ochotniczej gen. A. Denikina.

³¹ Konstantin K. Mamontow (1869-1920), generał rosyjski, dowódca białych jednostek kozackich.

wiekem wobec dzisiejszych sterników socjalistycznego państwa. Samookreślenie rychło przybrało formy niemal przymusowe, tego bowiem wymagała stara, wypróbowana zasada „divide et impera”. W praktyce wygląda to tak, że pewne różnice dzielnicowe i językowe wyzyskuje się w celu stworzenia kilku małych narodów i niedopuszczenia ich do ściślejszego zespolenia. Najjaskrawiej chyba występuje to na północnym Kaukazie, gdzie każdy dialekt podniesiono do godności osobnego języka, każdy górski szczepek traktując jako osobną całość.

Czytelnik polski nie orientuje się dostatecznie w tych dalekich i egzotycznych stosunkach, i wiele papieru musiałbym zabazgrać, żeby mu to dokładnie wyjaśnić. Na szczęście nie trzeba sięgać aż na Kaukaz, skoro narodowościową politykę Kominternu³² można oświetlić przy pomocy bliskich, polskich przykładów. Dla wielu sensacją będzie zapewne wiadomość, że Górny Śląsk i Pomorze są to dzielnice okupowane przez Polskę, ponieważ i tu, i tam zamieszkują odrębne narody: śląski i kaszubski. Stąd też w razie zwycięstwa „socjalizmu”, musiałyby tam powstać samodzielne republiki, wyodrębnione z polskiego terenu etnograficznego. Opozycja polskiej Kompartii³³ długo i bezskutecznie walczyła z tymi pomysłami, określając je wręcz jako idiotyczne. Po zastanowieniu się, nie możemy zaakceptować tego epitetu. W tych idiotyzmach bowiem jest sporo – skądinąd dobrze znanej – logiki i konsekwencji. Nie inną przecież logiką kierowali się Niemcy, tworząc teorię o *wasserpolakach*,³⁴ i nie inna logika przyświecała błogim poczynaniom twórców chełmskiej guberni. Stare, znajome twarze patrzą na nas

³² Komintern – III Międzynarodówka (1919-1943), organizacja międzynarodowa założona przez 19 partii komunistycznych i mająca na celu doprowadzenie do światowej rewolucji. Komitet Wykonawczy MK mieścił się w Moskwie i *de facto* podlegał pod WKP(b).

³³ Tj. Komunistycznej Partii Polski.

³⁴ Wasserpolacken, niem. – dosłownie: rozwodnieni Polacy. Termin, którym Niemcy określali ludność mieszkającą przede wszystkim na Górnym Śląsku, twierdząc, że są częściowo spolonizowanymi Niemcami.

przez mgłę rewolucyjnej frazeologii. Tyle, że bączek³⁵ zamienił się w czerwoną gwiazdę. Reszta pozostała bez zmiany.

Przed kilku laty w społeczeństwie zachodnioukraińskim dał się zauważyć gwałtowny wzrost sowietofilstwa, wyrażającego się nie tyle może rozwojem Komunistycznej Partii Ukrainy Zachodniej, co ogólnym nastawieniem publicystyki, literatury a także dość liczną emigracją wybitnych działaczy kulturalnych. Był to moment szczytowy potępionej później „skrypnikowszczyzny”,³⁶ żywiołowej ukrainizacji życia społecznego i opanowania partii Ukrainy przez element narodowy. Umożliwiło to nie tylko pozytywną pracę na Ukrainie, ale nawet silną ekspansję na terenach narodowo niezdecydowanych. W tym właśnie okresie (1927-1930) przeprowadzona była gwałtowna ukrainizacja kilkunastu okręgów Kubania i Stawropolszczyzny, częściowo tylko zamieszkałych przez ludność ukraińską. Proces ten został gwałtownie przerwany z chwilą, gdy po śmierci Skrypnika³⁷ na Kompartię Ukrainy spadł szereg represji i rozpoczęła się zacięta walka z ukraińską kulturą narodową.³⁸

Nie będę pisał o licznych procesach i nie mniej licznych egzekucjach, bo wiem, że karny komunista w ślad za wersją urzędową określi to wszystko jako akcję likwidacyjną grupy nasłanych prowokatorów i płatnych agentów faszystowskich. Nie zamierzam też pisać o tym, że całe wsie ukraińskie przesiedlono siłą na Syberię i do Turkiestanu, tak jak niegdyś „caryca Kaśka” przesiedliła resztki Sicz Zaporoskiej na Kubań.³⁹

Aby udowodnić istnienie zakrojonego na wielką skalę planu rusyfikacyjnego, wystarczy zająć się posunięciami partii w dziedzinach najważniejszych: literatury i języka.

³⁵ Aluzja do oznak noszonych na czapkach przez armię carską.

³⁶ Stosowane w ZSRR określenie ukraińskiej „nacjonalistycznej” postawy, nawiązującej po działalności Mykoły Skrypnika (1872-1933).

³⁷ Mykoła Skrypnik (1872-1933), komunista ukraiński, członek centralnych władz USSR i KC WKP(b). Zwolennik polityki ukrainizacji. Oskarżony o odchylenie nacjonalistyczne, popełnił samobójstwo 7 VII 1933 r.

³⁸ Chodzi o odwrót od tzw. polityki korenizacji.

³⁹ W 1775 r. Katarzyna II zlikwidowała Sicz Zaporoską, a pozostałości Kozaków Zaporoskich przesiedliła na Kubań i utworzyła z nich w 1787 r. Kozackie Wojsko Czarnomorskie.

Na XVI Zjeździe Kompartii⁴⁰ „genialny wódz”, Stalin, oświadczył dosłownie: „Należy pozwolić rozwinąć się kulturze wszystkich narodów... aby stworzyć warunki połączenia ich w jedną wspólną kulturę o jednym wspólnym języku”. Mamy tu powiedziane bez żadnych dwuznaczników i ogródek, że ostatecznym celem polityki narodowej, z powodu której było tyle krzyku i hałasu, jest likwidacja pierwszej i najważniejszej różnicy: językowej. „Jeden wspólny język” to oczywiście nie ukraiński, nie gruziński, ale język rosyjski, „język proletariackiego października”.

Nie od rzeczy będzie przebiec pokrótce proces owej unifikacji socjalistycznej na Ukrainie, pamiętając, że podobna polityka stosowana jest wszędzie, i że również zastosowano by ją w Polsce, gdyby należała do Związku.

Zawieszenie broni z Polską nie przyniosło Ukrainie spokoju.⁴¹ Jeszcze likwidowano na południu Wrangla, jeszcze cały kraj płonął ogniem chłopskich powstań, dobijano resztki machnowszczyzny.⁴² Zaczynał się straszliwy głód, który na wiosnę 1922 roku pędził całe gubernie, tłumy obłąkanych, szalonych ludzi, prących bez sensu i celu, byle przed siebie – byle dalej od pustych, zarażonych chat i z pozabijanymi oknami i drzwiami. Szalał tyfus. Na północnym Kaukazie, w Stawropolszczyźnie rozstrzeliwano dziennie po kilkadziesiąt osób chorych na nosaciznę.

W tych warunkach rząd nie chciał tworzyć nowych zadrażeń. Pozwolono na ukrainizację. Kultura ukraińska, bezlitośnie dotychczas dławiona przez carat, zaczęła swobodniej oddychać. Ta swoboda była tylko chwilową prowokacją, obliczoną na zjednanie ukraińskiej emigracji i zamydlenie oczu Kompartii Ukrainy. Trzeba było przeczekać. A przecież już wtedy ukazują się charakterystyczne opinie, pozbawione na razie oficjalnego stempla, choć wydawane

⁴⁰ XVI Zjazd WKP(b) odbył się w dniach 26 VI – 13 VII 1930 r.

⁴¹ Zawieszenie broni między Polską a Rosją bolszewicką podpisano 12 X 1920 r.

⁴² Przywódcy powstania anarchistycznego zostali aresztowani i rozstrzelani przez bolszewików 25 XI 1920 r. na Krymie, ale walki bolszewików z machnowcami trwały jeszcze przez następny rok. Nestor Machno opuścił Ukrainę 28 VIII 1921 r.

przez osoby miarodajne. Rakowski⁴³ pisał: „Uznanie języka ukraińskiego za język urzędowy może oznaczać panowanie ukraińskiej burżuazji i kułactwa”. Na razie jednak niech się ta „burżuazja” zabawia w kulturę ukraińską, byle nie zwracała uwagi na konsekwentną unifikację gospodarczą i polityczną z RSFSR.

Zacząło się to mniej więcej w roku 1927, kiedy znikła ostatecznie autonomia finansowa Ukrainy. Rok 1929 przynosi zespolenie trustów ukraińskich i narkomziem⁴⁴ USRR. Dalej w szybkim tempie następuje unifikacja instytucji handlowych, kooperatyw, gospodarki komunalnej, przemysłu, sprawiedliwości itd. Tak na przestrzeni kilku lat zniesiono wszystko, co Ukraińcom dawało choćby pozory samodzielności. Z kolei przyszła kolej na literaturę i język.

Z literaturą poszło najłatwiej. Najwybitniejsi poeci Pawło Tyczyna,⁴⁵ Mykoła Bażan,⁴⁶ Maksym Rylskij⁴⁷ zamilkli zupełnie albo nie liczą się, odkąd uleganie płyciźnie programowego agitacjonizmu sprowadziło ich na drogi grafomanii. Mykoła Chwyłowy⁴⁸ uratował swój honor i talent samobójstwem. W ślad za nim poszli Mykoła Stroński⁴⁹ i Iwan Hołoskiewicz. Kilkunastu literatów rozstrzelano. Inni, nie wyłączając czołowych komunistów, Wołodymyra Sosiury⁵⁰ i Kociubyńskiego,⁵¹ znaleźli się za krata-

⁴³ Christian Rakowski (1873-1941), działacz komunistyczny, m.in. przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych USSR (1919-1923). W latach 1927-1934 wydalony z partii, powrócił po złożeniu samokrytyki, ale w 1936 został aresztowany, następnie skazany, a później rozstrzelany w 1941 r.

⁴⁴ Ludowy Komisariat Rolnictwa.

⁴⁵ Pawło Tyczyna (1891-1967), poeta ukraiński i działacz państwowy USSR.

⁴⁶ Mykoła Bażan (1904-1983), pisarz i poeta ukraiński, działacz państwowy i partyjny USSR.

⁴⁷ Maksym Rylski (1895-1964), poeta ukraiński, nieoklasyk, tłumacz literatury polskiej na język ukraiński.

⁴⁸ Mykoła Chwyłowy (Fitolow) (1893-1933), ukraiński pisarz i krytyk literacki, komunista, popełnił samobójstwo 13 V 1933 r.

⁴⁹ Prawdopodobnie chodzi o Mykołę Strońskiego (1884-1933), ukraińskiego działacza, oficera Strzelców Siczowych, a następnie działacza KPZU i pracownika sowieckiego konsulatu we Lwowie, który miał popełnić samobójstwo 3 VIII 1933 r.

⁵⁰ Wołodymyr Sosiura (1898-1965), poeta ukraiński (USSR).

⁵¹ Jurij Kociubyński (1897-1937), działacz bolszewicki, syn Mychajła Kociubyńskiego.

mi. W tych warunkach na pierwszy plan wysuwają się stuprocentowi ortodoksi, twórcy agitek, przeważnie zukrainizowani Żydzi, jak Pierwomajskij,⁵² Kopsztajn,⁵³ Zysman albo żałośni grafomani w rodzaju Hrymajły,⁵⁴ w którego interpretacji poezja wygląda mniej więcej tak (cytuję za kwartalnikiem „My”): *Sława, sława robotnictwu, szefam naszym widdanym. Ta szcze sława MTS i ich politwid-dilam...*

Walka z językiem ukraińskim rozpoczęła się jednocześnie z głośnym procesem Związku Wyzwolenia Ukrainy,⁵⁵ a więc na początku roku 1930. Na procesie tym po raz pierwszy „zdemaskowano szkodliwą kontrewolucyjną robotę” ukraińskich językoznawców w dziedzinie terminologii, składni i pisowni. „Odbywa się obecnie wyraźna faszyzacja języka polskiego, nacjonalistyczny atak warstw reakcyjnych”. Kto to powiedział i co to znaczy?... Wypowiedział to genialne zdanie tow. Ołeksandr Finkiel,⁵⁶ a znaczy ono, że proces polszczenia wielu terminów obcego pochodzenia jest objawem reakcji. Jeśli zatem obywatel unika słowa „szlagier”, zastępując go terminem „przebój”, nie wykazuje dbałości o czystość ojczystej mowy lecz faszyzuje ją, staje w obozie nacjonalistów i reakcjonistów.

Podaję ten drobny przykład, aby ułatwić czytelnikowi zorientowanie się w istocie walki toczącej się na Ukrainie w dziedzinie językoznawstwa. Usiłowania Ukraińców, idące w kierunku oczyszczenia języka z obcych naleciałości, zostały uznane za szkodliwą, petlurowską, burżuazyjną, nacjonalistyczną robotę. Większość bowiem obcych terminów, które Ukraińcy wyrzucili ze swego języka, jest pochodzenia rosyjskiego. Szczególnie denerwuje bolszewic-

⁵² Leonid Pierwomajskij (1908-1973), poeta ukraiński (USSR).

⁵³ Aron Kopsztajn (1915-1940), poeta ukraiński (USSR).

⁵⁴ Jarosław Hrymajło (1906-1984), pisarz i poeta ukraiński (USSR).

⁵⁵ Związek Wyzwolenia Ukrainy – nieistniejąca organizacja ukraińska, której wykrycie przez OGPU USSR było podstawą do aresztowań wśród inteligencji ukraińskiej w latach 1929-1930, a następnie do procesu pokazowego w Charkowie (9 III-19 IV 1930 r).

⁵⁶ Ołeksandr Finkiel (1899-1968), językoznawca radziecki, w l. 30. XX w. brał udział w kampanii zwalczania „nacjonalizmu” w języku ukraińskim.

kich unifikatorów, że szukając terminów własnych i zrozumiałych dla każdego, ukraińscy językoznawcy zwracają się ku przeszłości, która tchnie „kozacką romantyką” i, jak narzeka tow. Chwyła,⁵⁷ „może wzbudzić marzenia o restaurowaniu burżuazyjnej, kułackiej, kontuszowej żółto-błękitnej, nacjonalistycznej Ukrainy”.

„Wyraźnie widać, że w stosunku do Ukrainy zaszła zasadnicza zmiana polityki. Prowadzi się walkę o nastawienie oświaty na rusyfikację.

Czyż można milczeć? Przychodzę do przekonania, że odchylenie imperialistyczne, szowinizm rosyjski i *rusotiapstwo*⁵⁸ ujawniają się w partii z taką siłą, że do walki z nimi potrzeba wyjątkowo mocnych nerwów...

A ja ich nie mam.
Żegnajcie”...

Tak na krótko przed samobójstwem pisał do przyjaciół literat Mykoła Strońskij. To także dokument nowej, „socjalistycznej” kultury.

Wobec takich metod jest rzeczą najzupełniej naturalną, że narody, znajdujące się pod władzą Kominternu, bronią się wszelkimi siłami przed naporem wielkorosyjskiego szowinizmu i organizują się do decydującej walki. W dostatecznej mierze wskazuje na to rozmiar represji stosowanych na Ukrainie, głód, umyślnie przed paru laty zorganizowany w celu pognębienia ludności, wreszcie ciągłe zsyłki na Sybir i Sołówki.

Na Kaukazie, gdzie warunki topograficzne sprzyjają wszelkiej irredencje, trwa w górach niemal bez przerwy drobna partyzantka, która w poszczególnych okresach ogarniała cały kraj. Miejskowa prasa bolszewicka jest przepelniona notatkami o napadach „bandytów” i masowych egzekucjach. Są to bardzo oryginalni bandyci, którzy napadają wyłącznie na wybitniejszych działaczy komunistycznych członków GPU, milicjantów i obiekty państwowe.

⁵⁷ Andrij Chwyła (1898-1938), zastępca ludowego komisarza oświaty USSR.

⁵⁸ Rusotiapstwo – ukute przez W. Lenina słówko na oznaczenie „tępego rosyjskiego szowinizmu”, zwłaszcza w środowisku bolszewickim..

Separatyzm narodowościowy, a raczej działalność niepodległościowa, ujawnia się na Kaukazie nie tylko w tej bezpośredniej rewolucyjnej postaci. Zazarta walka trwa na każdym terenie, nie wyłączając organizacji partyjnych. Stąd ciągle czystki, oskarżenia o ukryty nacjonalizm, zmuszanie do odwoływania popełnionych błędów i odchyłeń. Wojna partyzancka, prowadzona z wielkim powodzeniem w latach 1930-1932, wykazała, że na członków partii nie można liczyć – co i raz zdarzały się wypadki licznego przechodzenia czynnych komunistów na stronę powstańców. Nędza, spowodowana rabunkową polityką Moskwy, traktującej Kaukaz jak podbitą kolonię, jeszcze bardziej wzmacnia tendencje antyrosyjskie. Na ogólnoazerbejdzańskim zjeździe Komsomołu w Baku młodzi komuniści zdecydowanie domagali się samodzielności ekonomicznej, na co partia replikowała, że jest to niemożliwe, ponieważ „prowadzi to do niezależności politycznej, czyli do zerwania z proletariatem rosyjskim”.

Lwią część swej działalności musi poświęcać partia walce z nacjonalistycznymi odchyleniami. „Skrypnykowszczyzna” ukraińska znajduje odpowiedniki w „macharadzewszczyźnie”⁵⁹ w Gruzji, „chanbudagowszczyźnie”⁶⁰ i „effendijewszczyźnie” w górach Kaukazu,⁶¹ „ibrahimowszczyźnie” na Krymie.⁶² Podkreślam fakt, że ojcowie chrzestni tych herezji narodowych to wszystko starzy, zasłużeni rewolucjoniści w rodzaju Skrypnyka czy Gruzina Macharadze, którzy nie chcieli pogodzić się z unifikacyjną polityką pseudosocjalistycznych szowinistów.

⁵⁹ Aluzja do Filipe Macharadze (1868-1941), komunisty gruzińskiego, członka władz państwowych i partyjnych Gruzjińskiej SSR.

⁶⁰ Aluzja do prób zwalczania odmian „narodowego komunizmu” w ZSRR.

⁶¹ Aluzja do Sułtana Madżida Efendijewa (1887-1938), azerbejdzańskiego komunisty i członka władz partyjnych i państwowych Zakaukaskiej FSRR i Azerbejdzańskiej SSR. Zginął w trakcie czystek w 1938 r.

⁶² Aluzja do Weli Ibrahimowa (1888-1928), krymsko-tatarskiego działacza, przewodniczącego Rady Komisarzy Krymskiej ASSR w latach 1924-1928, który padł ofiarą czystek przeprowadzonych w ramach odwrotu od polityki „tatoryzacji”; ta zaś została zastąpiona sowietyzacją tego regionu.

Podczas gdy na Kaukazie kipi robota mająca na celu utrwalenie rosyjskiej okupacji, przeszło milionowa emigracja kaukaska, rozrzucona po całej Europie i Bliskim Wschodzie, skupia się organizacyjnie i prowadzi wydatną pracę na terenie kulturalnym i publicystycznym. Niedawno nastąpiło niezauważone przez naszą prasę, a niezmiernie doniosłe zawarcie paktu między przedstawicielami emigracji Gruzji, Północnego Kaukazu i Azerbejdżanu. Odtąd wysiłki niepodległościowe poszczególnych narodów Kaukazu mają być ściśle koordynowane, w imię ogólnopaństwowego dobra przyszłej Konfederacji Kaukaskiej.⁶³

Problem prometejski, problem wyzwolenia narodów gnębionych przez Sowietów, nie zajmuje w świadomości polskiej nawet tyle miejsca, co drobna awantura gdańska. Tymczasem dla uważnego obserwatora nie ulega wątpliwości, że tam właśnie dojrzewają wypadki, które mogą decydująco zaważyć na losach już nie tylko Europy, ale i świata.

Narody Ukrainy, Krymu, Kaukazu, Turkiestanu dążą do niepodległości, a skoro mają niezłomną wolę jej uzyskania, uzyskają ją prędzej czy później. Zwycięska walka o wolność któregośkolwiek z nich pociągnie za sobą automatycznie wyzwolenie reszty. Rosja będzie musiała cofnąć się do granic etnograficznych i wytrzebić doszczętnie ze swojej świadomości sny o imperium zajmującym szóstą część świata.

Ale nie to stanowi najważniejszą część zagadnienia. Turkiestan jest praojczyzną Turków. Kaukaz posiada znaczny procent ludności tureckiej w Azerbejdżanie, poza tym w Dagestanie istnieją poważne tendencje panturańskie. Wreszcie Krym, jako kraj niewielki i zamieszkały przez Tatarów-mahometan, z natury rzeczy szuka

⁶³ Pakt Kaukaski został podpisany 14 lipca 1934 roku nieoficjalnie w Warszawie, a oficjalnie w Brukseli przez reprezentacje państw wchodzących w skład Komitetu Niepodległości Kaukazu (Gruzji, Azerbejdżanu i Republiki Górskiej Północnego Kaukazu). Celem Paktu było utworzenie w przyszłości Konfederacji Kaukaskiej. Pomimo prób Armenii odmówiła przystąpienia do Paktu, ale szósty punkt Paktu zarezerwował Armenii możliwość przystąpienia do Konfederacji w późniejszym okresie. Podpisanie Paktu było kolejnym etapem scalania wspólnego frontu emigracji narodów podbitych przez Rosję / ZSRR i walczących o odzyskanie niepodległości, czyli wspieranego przez II Rzeczpospolitą ruchu prometejskiego.

oparcia w turkizmie. Jednocześnie wiemy, że w Turcji panturanizm wysuwa się dziś na pierwszy plan życia politycznego. Jego żywiołowy rozwój krępowany jest chwilowo przez ogólną sytuację polityczną Turcji, zależnej w pewnej mierze od Sowietów. Z chwilą jednak, gdy Rosja zostanie odepchnięta na północ, sytuacja zmieni się gruntownie – i nic nie potrafi powstrzymać połączenia się szeregu narodów bliskiego Wschodu w jedną turko-tatarską federację. W dalszych konsekwencjach będzie to oznaczało powstanie bloku państw o kulturze mahometańskiej, do którego musiałyby wejść Iran, Irak, Afganistan. Byłby to potężny zastrzyk dynamizmu dla całego Islamu i śmiertelny cios dla panowania europejskiego w Afryce północnej i Indiach.

Taka gruntowna zmiana sytuacji politycznej na Bliskim Wschodzie przybliży o wiele lat moment ucywilizowania wszystkich narodów Azji i wysunięcia się ich na ogólnoświatową arenę polityczną i kulturalną. Panazjatyckie wysiłki Nipponu⁶⁴ zyskują wówczas potężnego sprzymierzeńca na przeciwległym brzegu olbrzymiego kontynentu. Europa nie zdaje sobie z tego sprawy, w każdym razie wiele wagi do tych dojrzewających wydarzeń nie przywiązuje. Przyzwyczajona do traktowania innych ras w sposób eksploatacjo-kolonizacyjny nie czyni właściwie nic, aby przełamać smutną tradycję, ustanowioną jeszcze przez korsarzy, bandytów i obieżyświatów, istotnych założycieli jej zamorskiej potęgi i panowania nad światem.

Socjalizm rosyjski miał pełne szanse wyzwolenia narodów Azji i wciągnięcia ich w obręb współczesnej cywilizacji. Niestety, zdegenerował się, poszedł śladami carskiego regime'u, przegrał swoją kartę i dziś w polityce azjatyckiej cofa się nieustannie przed ekspansją japońską. W Europie zaś istnieje tylko jeden czynnik, który widzi doniosłość omawianych spraw i nie rezygnuje z czynnej ingerencji. Tym czynnikiem jest faszyzm niemiecki. Znane plany Rosenberga⁶⁵ nie są niczym innym, jak tylko wstępem do zakrojonej na wielką

⁶⁴ Tzn. Japonii.

⁶⁵ Alfred Rosenberg (1893-1946), niemiecki polityk i ideolog NSDAP, twórca teorii rasistowskich.

skale próby wtargnięcia między zainteresowane narody z pomocą przeciw Rosji, w celu zrealizowania własnych, nacjonalistycznych zamierzeń. Czytajmy uważnie *Mein Kampf*, źródło natchnień polityki niemieckiej. Jeśli niemiecki miecz i pług istotnie rozpoczną swoją ekspansję na Wschód, słowo o Mitteleuropie stanie się ciałem, Ukraina i Bliski Wschód znajdą się w granicach gospodarczej i co za tym idzie, politycznej penetracji germańskiego imperializmu. Polska w tym wypadku, podobnie zresztą jak cała Słowiańszczyzna, spadłaby do roli mniejszej, niż kiedyś księstwo Mieszka I.

Nie wierzę w to, żeby faszyzm miał ogarnąć Rzeczpospolitą. Liczne pozory wskazują co prawda na taką ewentualność, ale jest to zjawisko przejściowe, wynikające z chwilowego braku wielkiej idei. Wygrzewanie się w coraz bardziej w miarę czasu gasnących blaskach legionowego entuzjazmu nie wystarcza. Potrzeba idei. Ogłoszono konkurs na ideę. Tymczasem odbywa się lawirowanie między faszystowską Scyllą a Sowiecką Charybdą, gwałtowne poszukiwanie mocnej podstawy.

Ta podstawa przecież istnieje. To nieprawda, co głoszą, że socjalizm się wykończył. Wykończyła się II Międzynarodówka,⁶⁶ ponieważ straciła dynamizm rewolucyjny, stała się pięknym wspomnieniem starszych panów, sentymentalną rentą przeszłości. Wykańcza się gwałtownie Komintern, ponieważ polityką swoją zaprzecza źródłom, z których wyszedł, i w chaosie industrializacji zgubił ideę wolności. Ale to nie jest socjalizm. To pasożytujące na nim i nadużywające jego imienia narośle. Prawdziwy socjalizm to wolność dla każdego człowieka i każdego narodu, to nienawiść do wszelkiej przemocy. To pokojowa współpraca wszystkich narodów, od najmniejszego do największego. I nie wzruszajcie ramionami, że to wszystko romantyczna frazeologia w stylu 1848 r. „Wiosny ludów”, nie chowajcie przedwcześnie do grobu, bo są liczne narody, które wciąż jeszcze na nią czekają, które jej nie zaznały. My sami gospodarczo i społecznie jesteśmy gdzieś w pierwszej połowie XIX wieku. Więc zamiast

⁶⁶ II Międzynarodówka, powstałe w 1889 r. stowarzyszenie zrzeszające partie socjalistyczne. Jej działalność zamarła w 1914 r.

grzebać żywą i twórczą ideę, lepiej może bronić jej przed znachorami i uzurpatorami. Przed tymi, którzy zapominają, że społeczeństwo jest jedynie środkiem prowadzącym do celu, a celem, i to celem wyłącznym, jak największa wolność jednostki. Socjalizm to nie społeczeństwo walące się swoim ciężarem na człowieka, ale człowiek wyzwalający swoją osobowość na płaszczyźnie społecznej. Sprawy i stosunki, omawiane w *Kapitale*⁶⁷, staną się wspomnieniem historii, a ta naczelna prawda pozostanie i przetrwa wszystkie doktryny.

Poddani obstrzałowi ze wszystkich stron, naciskani przez faszyzm, który jest chorobliwym wypaczeniem idei narodowej, i przez komunizm, który jest zbrodniczym wypaczeniem idei socjalistycznej, nie powinniśmy poddawać się terrorowi ani tej, ani tamtej strony. Wszystko, co mamy istotnie cennego w naszej narodowej tradycji i kulturze, buntuje się przeciw przemocy w jakiegokolwiek formie. Broniąc się przed nią, szukamy sprzymierzeńców – i wówczas powraca do nas stare hasło: Za naszą wolność i waszą.

„Europa – pisze Noe Giordania⁶⁸ – stoi przed głębokim problemem, skomplikowanym zadaniem, przed kwestią życia w cywilizacji; cywilizacja ta uzyska obszerną podstawę tylko wtedy, gdy stanie się cywilizacją ogólnoludzką, gdy wejdą do niej narody Azji. Zachód i Wschód spotkały się ze sobą w przeszłości niejednokrotnie, ale wrogie to były spotkania. Obecnie kwestia ta znów zjawiała się w skali światowej, jako konieczny środek ratowania europejskiej kultury. Apostołom tego spotkania egoizm Europy nie zda się na nic. Jedynie na płaszczyźnie równości i współpracy możliwe jest zbliżenie się i stworzenie jednej ogólnoludzkiej kultury”.

Istotnie! Egoizm Europy, egoizm szowinistycznie nastawionych narodów, egoizm wielkiego kapitału długo będzie jeszcze bruździł na drogach, którymi idą apostołowie zbliżenia i pokoju. Tak wyrasta nowa barykada. Po której stronie znajdzie się Polska? Ale jaka? Polska bez idei, Polska wegetującej nędzy i szeroko rozle-

⁶⁷ Chodzi o *Kapitał* Karola Marksa.

⁶⁸ Właściwie: Noe Żordania (1868-1953), przewodniczący socjaldemokracji gruzińskiej, prezydent rządu gruzińskiego na emigracji i działacz ruchu prometejskiego.

wającej się apatii, Polska, która ważność kwestii ukraińskiej akcentuje chyba tym, że traktuje kresy jako „asilum” dla wszelkiego rodzaju miernot i pętaków, Polska sentymentalnego wczoraj, żalosego dziś i nieznanego jutra nie będzie miała tam nic do roboty. W zbliżającej się rozgrywce zdecyduje siła. Siła idei przede wszystkim.

[„Wiadomości Literackie” 1936 nr 38]

DOKĄD ZMIERZAMY
W STOSUNKACH POLSKO-UKRAIŃSKICH?
OD BEZMYŚLNOŚCI DO KATASTROFY.
ODPOWIEDŹ NR 7 NA ANKIETĘ ⁶⁹

Dokąd zmierzamy w stosunkach polsko-ukraińskich? Myślę, że tak skonstruowane pytanie w najmniejszym nawet stopniu nie odpowiada rzeczywistości. Sedno sprawy w tym, że my w ogóle nigdzie nie zmierzamy, nie posiadając nie tylko programu, ale na-

⁶⁹ Odpowiedź na ankietę pt. *Dokąd zmierzamy w stosunkach polsko-ukraińskich?* ogłoszoną w 30 (221) numerze „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” (z 22 VIII 1937 r., s. 333). Redakcja informowała czytelników: „Dokąd zmierzamy w stosunkach polsko-ukraińskich? Czy w perspektywie rozwoju tych stosunków (od r. 1916, a nawet za czasów austriackich, wraz z całokształtem historycznym dziejów polsko-ruskich) mający przed nami cień nowej chmielniczyzy, czy też może powolna likwidacja sprawy ukraińskiej w Polsce pod wpływem tego, co naiwny realizm polityki pseudo-narodowej nazwałby polityką asymilacji i polonizacji? Czy może w stosunkach polsko-ukraińskich wytwarza się stan naturalnego uzgodnienia interesów polskich i ukraińskich na kresach, czy też ewentualne objawy tego uzgodnienia są jeno rezultatem większej politycznej elastyczności ukraińskich polityków, którzy ani na sile, ani na swych dotychczasowych tendencjach ani odrobiny się nie pomniejszyli? Jakie są wreszcie najbardziej charakterystyczne objawy współczesnej rzeczywistości polsko-ukraińskiej na kresach? Te i podobne pytania przesyłamy pod adresem naszych czytelników, sympatyków i wrogów naszej idei zbliżenia polsko-ukraińskiego, zapraszając ich do zabrania głosu na łamach „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” (Odpowiedzi mogą być niepodpisane w ogóle lub podpisane kryptonimami). Jako pierwszą odpowiedź zamieszczamy art. W. Bączkowskiego, którego reakcja na powyższe pytania streszcza się w pesymistycznym zdaniu: «Idziemy ku nowej chmielniczyźnie». Redakcja”.

wet elementarnej znajomości zagadnienia. Pozwalamy unosić się wypadkom historycznym i oczekujemy, aż przyjdzie ktoś trzeci, aby rozstrzygnąć sytuację w imię własnych narodowych i państwowych interesów. Najczarniejszy nawet pesymizm może się tu wylegitymować dostatecznie wymownymi argumentami, Nie to jest bowiem najgorsze, że rząd, czy wojewoda ma mylne podejście do zagadnienia – tragedia zaczyna się z chwilą, gdy stwierdzimy, że społeczeństwo nie ma w ogóle żadnego podejścia, żadnego stosunku do sprawy ukraińskiej. Zagadnienie należące bezsprzecznie do najważniejszych, a w perspektywie historycznej, kto wie, czy nie najważniejsze jest stale i wciąż usuwane na marginesy zainteresowań społeczeństwa. Przeszość, kultura i dążenia czterdziestomilionowego narodu, mieszkającego o miedzę, jest dla nas zjawiskiem najzupełniej egzotycznym. Poza garstką specjalistów i ludzi dobrej woli, nikt w Polsce nic o sprawie ukraińskiej nie wie. Czytelnik pism, pożałuj, Boże, narodowych, wie tylko tyle, że jest na Wołyniu niegrzeczny wojewoda Józewski,⁷⁰ którego należy czym prędzej zabrać z Łucka, bo nie popiera Stronnictwa Narodowego. Reszta zrobi się sama.

Tam, gdzie jest bezmyślność i obojętna ignorancja, zawsze największym powodzeniem cieszy się program, schlebający zastarzałym nałogom i tęsknotom. W tych warunkach przychodzą politycy, których poglądy nie wytrzymują najlżejszej konfrontacji z rzeczywistością, są dokładnym zaprzeczeniem codziennych faktów. I powiadają, że kwestii ukraińskiej w ogóle nie ma. Bo cóż to, u licha, za kwestia, skoro owi Rusini jedynie w wyniku intryg zaborczych i starań masonerii nie chcą zostać Polakami. Wystarczy im to wytłumaczyć, w razie braku widocznych postępów uciec się do pedagogicznej pomocy administracji, w naglejszych wypadkach parę

⁷⁰ Henryk Józewski (1892-1981) działacz niepodległościowy i polityk, w okresie II RP m.in. minister spraw wewnętrznych (1929-1930, 1930), wojewoda wołyński (1928-1929, 1930-1938) i łódzki (1938-1939). Był uważany za zwolennika współpracy polsko-ukraińskiej.

przykładnych pacyfikacji – i dobra nasza. Pp. Giertych,⁷¹ Bandrowski,⁷² Gluziński⁷³ – i ilu ich tam jeszcze bezmyślnych mąciocieli i tak już dostatecznie zbałamuconego społeczeństwa, prowadzą robotę, która w konsekwencji zmierza do nowej chmielniczożny. Trzeba sobie powiedzieć jedno: pseudorealizm naiwnie pojętego nacjonalizmu na kresach przy ogólnej obojętności wobec sprawy ukraińskiej jest równoznaczny z postawieniem krzyżyka na pięciu województwach południowo-wschodnich. Słyszcy się dość często pyszałkowane zdanie, że gdyby nie ideologia dmowszczyzny, przenikająca powoli cały naród, Polska byłaby dzisiaj jakimś federacyjnym dziwołagiem, a nie zwartym narodowo organizmem. Pomijam nieuzasadniony optymizm, wynikły z owej „zwartości”, pytam jedynie, co ideolodzy spod sztandaru Dmowskiego zamierzają uczynić w stosunku do Ukraińców z chwilą, gdy ci jednak uprą się i nie zechcą ulec polonizacji. Wtedy pozostaną dwie drogi jedynie: albo zorganizować jakiś masowy exodus Ukraińców z Polski, jak w swoim czasie zrobili Turcy z grecką ludnością Lewantu, albo wyrzec się raz na zawsze terenów o przewadze narodowości ukraińskiej. To jest logiczne przynajmniej. Jest jeszcze i trzecia droga, o której zresztą uważny czytelnik może to i owo wyczytać między wierszami u niektórych publicystów, a mianowicie: tkwić nadal w dzisiejszym bezprogramowym bałaganie i grzecznie czekać, aż w międzyczasie bolszewicy nie wyniszczą swoich Ukraińców do reszty. To istotnie zmieniliby radykalnie sytuację. Stąd paradoks: wrogowie komunizmu są jednocześnie zwolennikami jego zwycięstw na Ukrainie naddnieprzańskiej, zwolennicy polskich haseł imperialistycznych nie mogą i nie chcą pogodzić się z myślą, że istnieje możliwość czy nawet konieczność zlikwidowania imperializmu rosyjskiego.

⁷¹ Jędrzej Giertych (1903-1992), polityk i publicysta, wieloletni członek władz Stronnictwa Narodowego, po 1945 r. na emigracji.

⁷² Jerzy Bandrowski (1883-1940), pisarz, tłumacz i dziennikarz współpracujący z „Kurierem Poznańskim”.

⁷³ Tadeusz Gluziński (1888-1940), pochodzący ze Lwowa działacz ruchu narodowego, współtwórca i ideolog ONR, a następnie ONR-ABC.

Jeśli zagadniemy przeciętnego obywatela na temat sprawy ukraińskiej, otrzymamy z reguły niemal taką bojaźliwą odpowiedź, że owszem, dlaczego by nie, niepodległość to rzecz bardzo piękna, tylko, że Polsce to się nie opłaci, bo z chwilą, gdy powstanie niepodległa Ukraina, nasze kresy południowo-wschodnie będą ciążyły w jej kierunku. Jest to stanowisko najczęstsze i, niepodobna temu zaprzeczyć, najkonsekwentniejsze. Autorzy i zwolennicy takiego argumentu wysuwają go, zapominając, że imperializm rosyjski ani zrezygnował, ani kiedykolwiek – dopóki istnieć będzie – zrezygnuje ze wschodnich kresów polskich. Nie chcemy mieć nacjonalistów ukraińskich, będziemy mieli podpalaczy i skrytobójców z KPZU.

Ostateczna odpowiedź wypadnie mniej więcej tak: jeśli Polacy (nie rząd, cały naród!) nie zrozumieją tej prostej prawdy, że losy Ukrainy i historia Polski splotła w nierozzerwalny sposób (genialne powiedzenie Szewczenki: Polska upadła i was przygniotła, można by z powodzeniem odwrócić) i pójda na lep naiwnego pseudorealizmu „endeków”, przegramy po raz drugi nasze szanse na wschodzie Europy, jak już raz przegraliśmy w walce z rosnącym imperiaлизmem moskiewskim, i nie utrzymamy się nie tylko w Dubnie, czy Ostrogu, ale i w Tarnopolu i Lwowie. Dzisiejsza polityka chowania głowy w piasek i usypiania samych siebie urojonymi bajeczkami, prowadzi siedmiomilowymi krokami do katastrofy, którą Włodzimirz Bączkowski, określił, jako nową Chmielniczyznę.⁷⁴ Są i tacy politycy, którzy uważają, że przyjście owej chmielniczyzny przyniesie polskiej racji stanu zdecydowaną korzyść, jako, że będzie okazja i możliwość zastosowania najbardziej drastycznych środków wobec Ukraińców, *vide* pacyfikacja z roku 1930-go. Ci oczywiście mają wszelkie powody do zadowolenia. To, o czym marzą, jest bliższe ponad ich własne spodziewanie.

[„Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1937 nr 34]

⁷⁴ Por. artykuł *Idziemy ku nowej chmielniczyźnie*, „Biuletyn Polsko-Ukraiński” z 22 VIII 1937 [przypis redakcji „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”].

NA MARGINESIE DYSKUSJI – ANKIETY⁷⁵

Wojna przyniosła w konsekwencji odrodzenie kilku wielkich imperializmów europejskich, różnego zresztą typu i pochodzenia. Tak rasistowski, nacjonalistyczny imperializm Trzeciej Rzeszy różni się znacznie od historiozoficznego imperializmu Italii faszystowskiej, która swoje prawa do podbojów i panowania usiłuje wylegitymować nawiązaniem do tradycji starożytnego Rzymu i jego kulturalnego zasięgu w ramach błogosławionego Pax Romana. Imperializm włoski jest więc znacznie poważniejszy i konsekwentniej pomyślany. Stąd też brak ośmieszających pomysłów w stosunku do religii chrześcijańskiej, mimo niekoniecznie najlepszego współżycia z Watykanem. Jeszcze inny jest imperializm sowiecki. Ten ostatni – po wielu peregrynacjach i łamańcach ideologiczno-taktycznych – stał się ostatnio tym, na co był zakrojony od razu. Rozszerzeniem dawnej bazy imperializmu carskiego, dziś już nieodpowiadającego wymaganiom chwili, a przeto niedostatecznie elastycznego i sprawnie działającego. Kto był w Rosji w czasie wojny z Polską,⁷⁶ pamięta grubo imperializmem podszyty, patriotyczny entuzjazm na wiadomość o zbliżaniu się do Warszawy. Zresztą jeszcze wcześniej, podczas wojny domowej, *jedinoniedielimczeskie*⁷⁷ i *sobiratielskie*⁷⁸ tendencje ożywiały nie tylko białych, ale i bolszewików. W istocie rzeczy obydwie strony dążyły różnymi drogami do tego samego celu, tzn. do odbudowania imperialistycznej Wszechrosji. Kiedy podczas zupełnej już paniki i bezwładnego odwrotu [Antona] Denikina w grudniu 1919 roku wzięto do niewoli dwóch czerwonych lotników,

⁷⁵ Tekst nawiązuje do ankiety „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” *Dokąd zmierzamy w stosunkach polsko-ukraińskich?*, ogłoszonej w 30 (221) numerze „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” (z 22 VIII 1937, s. 333) – patrz wyżej, s. 81-84.

⁷⁶ Chodzi o wojnę polsko-bolszewicką w latach 1919-1921.

⁷⁷ Odniesienie do określenia „jednej i niepodzielnej” Rosji.

⁷⁸ Aluzja do „zbierania ruskich ziem”, czyli jednoczenia rozbitych na księstwa ziem ruskich.

nawiasem mówiąc eks-sztabowców carskich, ci zeznali, że „na tyłach, zwłaszcza w Wielkorosji, budzi się narodowe uczucie i zadowolenie, że roz-luźniona Rosja zbiera się znowu, bez względu na ciężkie zewnętrzne i wewnętrzne warunki, i bez pomocy cudzoziemców”. Odwieczny *sobiratelj ziemi ruskiej*, Iwan Kalita,⁷⁹ przyszedł tym razem z czerwonym sztandarem i frazesem socjalistycznym na ustach. Treść jego działalności nie zmieniła się przez to, oczywiście, ani na jotę.

Gdy obserwujemy rozwój imperializmów obcych, najczęściej wrogo do nas ustosunkowanych, zastanawiamy się, jaką formę powinien przybrać i w jakim kierunku nastawić się polski imperializm przyszłości, od razu dochodzimy do zagadnień wschodnich, na czoło których wysuwa się rzeczywiście sprawa ukraińska. Nie dlatego, że tak się podoba tym, których głupota pseudo-nacjonalistów ochrzciła „ukrainofilami”, ale dlatego, że – ze względu na obszar kraju i liczebność narodu – jest najważniejsza i najściślej łącząca się z naszym życiem wewnętrznym. To jest już truizm – i uargumentowywać tego truizmu na łamach „Biuletynu [Polsko-Ukraińskiego]” nie potrzeba. Ale szczupła garstka zorientowanych publicystów swoje, a dwudziestoparomilionowy naród swoje. Trudno ustrzec się od najczarniejszego pesymizmu, skoro społeczeństwo dosłownie nic nie wie w sprawach będących kwestią życia i śmierci. Od lat na łamach kilku czasopism walczy się w koło jedno i to samo, a przecież wysiłki te idą najzupełniej na marne. Twierdząc, że kardynalne prawdy o politycznej roli Polski w Europie Wschodniej – roli, której odegranie, względnie zrezygnowanie z jej odegrania przesądzi, być może nawet kwestię niepodległości państwowej – nie przenikają do świadomości narodu, i, jak dotychczas, nic nie wskazuje na to, żeby szybko miały przeniknąć. Organizm społeczeństwa zatruty został toksynami nacjonalizmu wąskiego, krótkowzrocznego, wyładowującego się na obiektach tymczasowości. Nacjonalizmu, dla którego typowo konsumpcyjna, a więc bezpłodna, rabunkowa zachłanność jest

⁷⁹ Iwan Kalita (ok. 1288-1340), książę moskiewski, symbol procesu jednoczenia ziem ruskich.

celem samym w sobie, a patriotyzm katalizatorem ślepej, bezrozumnej nienawiści. W tych warunkach najłatwiejszy i na „Ura!” – czapkami Żydów zarzucamy – antysemityzm robi karierę, jasna i świadoma myśl polityczna w ogóle nie dociera do odbiorcy. Odbiorca czyta za to pisma codzienne, które z reguły albo nie piszą na najwyższy w Polsce temat, albo są rozsadnikami zbożnej teorii o jednolitości narodowej państwa i heroldami pomysłów eksterminacji narodowościowej. Pierwotnie dziwiłem się, że tocząca się na łamach „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” dyskusja nie wywołała należytego echa w prasie codziennej. Potem jednak doszedłem do wniosku, że wszystko w porządku – inaczej być nie mogło. Prasa, a za prasą społeczeństwo nie są w stanie prowadzić takiej dyskusji, ponieważ w ogóle nic w kwestii ukraińskiej do powiedzenia nie ma, nie znając ani przeszłości Ukrainy, ani historii (nieskażonej!) stosunków polsko-ukraińskich, ani tym bardziej kultury ukraińskiej i jej decydujących nastawień i tendencji. Do roli jedynych informatorów szerokiej opinii polskiej pretendują dziś pisma, które widzą kwestię ukraińską jedynie w aspekcie hajdamaczyzny i zagrożonego polskiego stanu posiadania. Historiozofia podwórkowa jest chlebem codziennym polskiego czytelnika. Tak wychowane społeczeństwo nie chce pogodzić się z tym niewygodnym faktem, że jednak nacja ukraińska istnieje.

Niżej podpisany jest zdeklarowanym wrogiem antysemityzmu w dzisiejszej jego, „endeckiej”, postaci. Antysemityzm bowiem, pojmowany tak płytko i tak doraźnie, jak to się dziś nagminnie dzieje, zbyt wyłączenie, a przez to szkodliwie absorbuje uwagę na jednym tylko, nie najważniejszym, odcinku – i nie pozwala energii społecznej zwrócić się w innych, ileż ważniejszych kierunkach. Kwestii żydowskiej nie da się załatwić od ręki, jak to się wydaje wielu naiwnym myślącym prymitywom. Nieunikniona walka na tym odcinku długo jeszcze będzie kulą u nogi. Ci, którzy chcą eksterminować inne mniejszości, z Ukraińcami na czele, ryzykują tym samym znakomite rozszerzenie frontu walki. Zwolennicy Polski jednolitej, Polski stopniowo pochłaniającej i wynaradawiającej

swoje mniejszości słowiańskie, prowadzą konsekwentnie do tego, żeby rozpętać bezpardonową walkę z dziesięcioma milionami własnych obywateli. Wyzwolenia jakiej energii potrzeba, żeby tę walkę już nie tylko wygrać, ale w ogóle ją prowadzić! I nie ma innej rady ani sposobu, polityk, który zdecyduje się taką walkę poprowadzić, będzie musiał obejrzeć się za czyjąś pomocą z zewnątrz. Tak więc walka z Ukraińcami możliwa jest – o ile ma doprowadzić do pozytywnych wyników – jedynie w wypadku zawarcia ugody i porozumienia z Rosją sowiecką. To pewnik niepodlegający dyskusji. Tak też postępowali w stosunku do Polski zaborcy. Sojusz z Moskwą – to konsekwentny wynik programowej ukrainofobii. Chyba, że znajdą się naiwni, którzy uwierzą, że prowadzenie samodzielnej polityki państwowej możliwe jest w ogniu nieustannej walki z jedną trzecią własnych obywateli.

Jak więc wyglądać będzie sytuacja przy przemyślanym i konsekwentnym realizowaniu antyukraińskiego programu? Sojusz z Rosją – to pierwsze. Zaostrzenie stosunków z Niemcami – to dalsza, nieunikniona konsekwencja. W rezultacie Polska staje się rosyjską strażą przednią w walce wschodniego imperializmu z imperializmem germańskim. Oto wesołe perspektywy! Wiadomo przecież, że zwycięstwo którejkolwiek strony będzie dla polskiej suwerenności jednakowo groźne. Ostatecznie wszystko sprowadza się do takich alternatyw: albo ugoda z Ukraińcami i własna samodzielna polityka na Wschodzie, albo walka z ideą niepodległej Ukrainy pozornie w sojuszu, faktycznie pod protektoratem Moskwy. Trzeciego wyjścia nie ma. Sprawa ukraińska jest tu przy tym o tyle kluczowa, że bez jej rozwiązania nie dadzą się zrealizować inne zadania, stojące przed polityką polską: obrona przed obcą penetracją państw bałtyckich, wciągnięcie w orbitę zachodnioeuropejską narodów znajdujących się dziś pod ciężką ręką Moskwy, wreszcie – czynne zaangażowanie się w basenie naddunajskim z wylotem na Bałkany. To są wielkie możliwości, które na razie marnujemy.

Polityki prowadzonej przez naród nie determinują wyłącznie zjawiska materialne. Psychika społeczeństwa decyduje najczęściej –

i ona właśnie w momentach przełomu wytycza ten, nie inny, kierunek. Pokolenie dziś rządzące i rządzone odziedziczyło w spadku po niewesołych kolejach politycznych przeszłości lęklivość i brak szerokich perspektyw. Minimalizm ideowy cechuje nasze poczynania, biurokratyzm urzędniczy przestał być metodą, awansował do gotowości zasady, narody demokratyczne idą w parze z zadziwiającą skłonnością do oglądania się we wszystkim na tzw. czynniki miarodajne. Mówi się tyle o kurczeniu się żywiołu polskiego na kresach, a prasa lokalna woła patetycznie pod adresem administracji, że nie chodzi już o eksterminowanie Ukraińców – chodzi o to, żeby nie eksterminować samych Polaków. Nie zamierzam tu stwierdzać, jak jest ze stanem faktycznym; chodzi mi o swoiste podejście do zadań administracji państwowej. Wielu Polaków uważa, że z faktu ich polskiego pochodzenia wynika obowiązek dla administracji wyróżniania pod każdym względem i popierania, tzn. wymierzania niższych podatków, stwarzania szeregu ulg przy jednoczesnym szykanowaniu elementu mniejszościowego, ukraińskiego. Krótko mówiąc, krzewicielem polskości na kresach ma być nie Polak wrosły w teren i żyjący w zgodzie z obcojęzycznym sąsiadem, ale sekwestратор, policjant i komornik. Penetracja kulturalna i narodowa musi być samorzutna i nie może posługiwać się przymusem. Taką penetrację może prowadzić naród, nie prowadzi jej na rozkaz z góry administracja. To trzeba sobie uświadomić. Dziś na kresach panuje niesłychany chaos w dziedzinie moralno-obyczajowej. Jeden z młodych publicystów, biorących udział w ankiecie „Biuletynu...”, słusznie zwraca uwagę na niesłychane obniżenie poziomu kulturalnego na kresach, ich degradację pod każdym względem: politycznym, społecznym, moralnym. Nie czynimy nic, aby temu przerażającemu stanowi rzeczy przeciwdziałać, ostatnie wypadki w Małopolsce środkowej, właśnie na styku elementu polskiego z ukraińskim, wskazują dobitnie, do czego zmierzamy wielkimi krokami. A przecież właśnie tu otwierałoby się najwdzięczniejsze pole dla polskiej pracy kulturalnej, właśnie tu byłoby miejsce dla wysiłku, mającego na celu wciągnięcie w orbitę polskiej kultury szerokich mas, przeży-

wających obecnie „niebezpieczne pomieszanie najprostszych pojęć, jak państwo, naród, religia, prawo własności”. Żeby jednak taką pracę kulturalną poprowadzić, trzeba się wyrzec mniemania, że na ziemiach południowo-wschodnich Ukraińcy są uciążliwym sublokatorom, którego należy jak najszybciej wynarodowić. A zanim to się stanie, prześladować go i pogardzać nim.

Zdaję sobie sprawę z tego, że te luźne uwagi nie wnoszą na łamy „Biuletynu [Polsko-Ukraińskiego]” nic zasadniczo nowego. Cóż jednak poradzić na to, że w Polsce współczesnej dyskusja o najdonioślejszym problemacie polskim toczy się w szczupłym gronie, nie wywołuje szerokiego echa i zainteresowania, że nie ma w Polsce prasy, która by zechciała poświęcić miejsce i czas sprawie ukraińskiej.

To smutne, to świadczy o zatraceniu instynktu politycznego, o zejściu naszego „nacjonalizmu” na drogi, które w żadnym wypadku nie prowadzą do wielkości i potęgi Rzeczypospolitej.

[„Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1937 nr 9]

METODYCZNE SZALEŃSTWO

Kiedyś po latach historyk ze zdumieniem przyglądać się będzie linii rozwojowej naszej polityki w kwestii ukraińskiej na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat. Z perspektywy czasu tym surowiej oceniać zechce nasze pokolenie, im bardziej gorzkie owoce wyda jego samobójcza i godząca w potęgę Rzeczypospolitej polityka. To, co się dzieje na jednym z najważniejszych odcinków naszego życia państwowego, zasługiwałoby w całej rozciągłości na nazwę „szaleństwa”, gdyby niestety, w tym szaleństwie nie było tyle „metody”.

To zastanawia. Bo ostatecznie istnieje pewna granica, przed którą zatrzymuje się nawet ludzka głupota. Wiele czasu i atłasu zmarnowano, udowadniając, jaka to ignorancja panuje w społeczeństwie, jak bardzo nie znamy sprawy ukraińskiej oraz wszystkich jej aspek-

tów: politycznego, ekonomicznego, historycznego, kulturalnego. Święta to prawda! To jednak, co zaczyna się dziać w Rzeczypospolitej, nie da się już wytłumaczyć ignorancją tylko. Zbyt wiele tkwi w tym wszystkim podejrzanej konsekwencji, zbyt wiele, jako się rzekło, metody sprawiającej, że poszczególne nici, na pozór luźne i nieskoordynowane z sobą, zbiegają się przecież w jednym punkcie centralnym.

Gdzież jest przyczyna, gdzież źródło tego stanu rzeczy, w którym to, co mogłoby stać się podstawą polskiej potęgi, dać narodowi wielkie perspektywy rozwojowe, wyrwać z uśpienia jego siły dynamiczne, wnieść w jego życie element konstruktywny i twórczy – to wszystko, co mogłoby stać się początkiem prawdziwej wielkości, obraca się na naszą niekorzyść, anarchizuje życie wewnętrzne, uzbraja obywateli przeciw obywatelom, osłabia nasz potencjał i naszą narodową i państwową dynamikę. Robimy dziś dziwne wrażenie narodu, który mając przed sobą rozgrywkę mogącą zdecydować o jego losie, rozgląda się wkoło z nadzieją: „może jeszcze kogoś da się przeciw sobie zmobilizować?!”

Sprawa ukraińska w Polsce łączy się ściśle ze sprawą niepodległości Ukrainy, wchodzącej dziś, jako ziemie podbite, w skład rosyjskiego imperium. To obojętne pozornie stwierdzenie tłumaczy bardzo wiele, jeśli nie wszystko. Wprowadzenie myśli konstruktywnej w stosunki polsko-ukraińskie natychmiast skieruje cały narodowy aktyw ukraiński „przeciw Rosji i wyłącznie przeciw niej”. Ponadto rozwój wypadków pójdzie wówczas w takim kierunku, że polityka polska będzie musiała stać się konsekwentnie „antyrosyjską”, tak, jak w latach 1919-1920.

I tu właśnie zaczyna się nieśmiertelne, hamletowskie *to be or not to be*... tych wszystkich, którzy może by w zasadzie nic przeciw Ukraińcom nie mieli, gdyby nie... *jedinaja, niedielimaja, wielikaja!* [jedyna, niepodzielna, wielka!] Sto pięćdziesiąt lat niewoli nie poszło na marne, uroki rosyjskie nie wywietrzały z polskiej psychiki. Czasem przejawia się to, usprawiedliwionym zresztą, podziwem obec rosyjskiej literatury, czasem wyłazi na wierzch po kilkunastu

kieliszkach – *s winom my radiliś, s winom i pamriom!* [z winem się rodziłyśmy, z winem też umrzemy!] – w potęgę, której nie zmagą bramy piekielne jakiejś tam chachłacko⁸⁰ – prometejskiej intrygi. Trwałość i całość niepodzielnej Rosji ludzie tego typu przyjmują jako niewzruszone aksjomaty, nic więc dziwnego, że „mazepiński separatyzm”⁸¹ nie przypada im do gustu. „Stąd też ich eksterminacyjne stanowisko w kwestii ukraińskiej, ich uparte niedostrzeganie wielkiego narodu jest jedynie echem i konsekwencją szerszego światopoglądu sankt–petersbursko–rosyjskiego”.

Dwadzieścia lat niepodległości, tyle deklaracji, tyle słów, a wystarczy kawałek żółto–błękitnej „bindy”, żeby spod państwowotwórczego fartuszka wylał stary *homo moscus – impierskij czelawiek*, z wszechrosyjskim bączkiem na czole.

Przelewają się w ich głowach zeszlowieczne popłuczyny wysortowanego słowianofilstwa, płaczą się europejskie otręby mglistych legend o starszej siostrzycy, nie wyobrażają sobie Europy bez miedzianego jeźdźca, w którego cieniu wysiadywano tyle pięknych, kurzych snów na łysych głowach pseudomeżów stanu. Zagadnienia narodowościowe? – Wyzwoleńcze dążenia ujarzmionych narodów? – No, owszem, owszem... *Ty pomnisz noc nad spiaszczeju Ukrajnon – ticha ukraińskaja noc...*, *czudien Dniepr; kagda wolno i pławno...*, *ty znajesz stiep, gdzie z Rusju biliś Lachi...*

[„Pamiętasz noc nad śpiącą Ukrainą” – Aleksiej K. Tołstoj; „cicha ukraińska noc” – A. Puszkina; „Połtawa”, „cudowny Dniepr, kiedy wolno i płynnie” – M. Gogol; *Straszną zemstą* – i „znasz ten step, gdzie z Rusią były się Lachy...”]

Niezapomniane słowa i niezapomniane czasy. Takie to są dzieje tytulietniej czkawki antyukraińskiej, błogosławionej z nieba przez wszystkie duchy imperialne.

Cóż więc dziwnego, że wstają upiory, że rosną, jak grzyby po deszczu zastępy zawodowych Mohortów, pragnących *atliczistsia*, że prowokuje się nienawiść polsko–ukraińską nawet na tych odcin-

⁸⁰ Pogardliwa nazwa Ukraińca.

⁸¹ Pogardliwe określenie ukraińskich dążeń niepodległościowych.

kach, gdzie jej uprzednio nie było, a tu i ówdzie zaczyna straszyć przekłętą pamięć cię Eulogiusza.⁸²

Wy, kochani słowiańscy bracia, duście Małorusów⁸³ w Kijowie, a my będziemy likwidowali swoich Rusinów we Lwowie – i tak wspólnymi siłami uratujemy polsko-rosyjską granicę, bliskie sąsiedztwo, miłość i współzycie! – A potem razem na Giermanca, który jest chytry i bardzo łasy na chersońskie harbuzy.

Któż tym niewolnikom wszechrosyjskiego kompleksu przychodzi z sukursem i odsieczą? – Któż by, jak nie demokracja, jak nie lewica, nie pacyfiści i rewolucjonerzy,⁸⁴ jak nie ci wszyscy, dla których wyprawa przeciw Italii w obronie negusa⁸⁵ byłaby aktem międzynarodowej sprawiedliwości, zaś pomoc udzielona Ukrainie zwykłą kapitalistyczną interwencją.

Nie należy lewicy posądzać ryczałtem o złą wolę. W znacznej mierze to także ofiary rosyjskiego kompleksu; tyle tylko, że tym razem kukła „jedynoj i niedielimoj” nie występuje już w *jekatieriniskom*⁸⁶ robronie,⁸⁷ ale nosi na łbie frygijską czapkę⁸⁸ i bredzi przez sen cytatami z *Kapitału*.

Dzisiejsza rzeczywistość w państwie budującego się czy już zbudowanego socjalizmu nie zachwyca zbyt wielu demokratów i pacyfistów. Procesy moskiewskie, inne zjawiska tego samego typu obniżyły znacznie temperaturę uczuciową. Nie znaczy to przecież, że Rosja nie jest już pupilką lewicy, że rozczarowanie poszło daleko w głąb, że Moskwa przestała być medycyną wszystkich prawowier-

⁸² Eulogiusz (Wasilij S. Georgijewski, 1868-1946), rosyjski biskup prawosławny, od 1905 r. biskup eparchii chełmskiej. Prowadził politykę zmierzającą do rusyfikacji i wzmocnienia prawosławia na terenie diecezji.

⁸³ Tzn. Ukraińców.

⁸⁴ Ros., rewolucjoniści. Tu w znaczeniu – komuniści.

⁸⁵ Negus, tytuł władców Etiopii. Aluzja do wojny włosko-abisyńskiej (1935-1936).

⁸⁶ Tzn. z czasów panowania carycy Katarzyny II (1762-1796).

⁸⁷ Robron, suknia balowa z XVIII w.

⁸⁸ Czapka będąca symbolem wolności w starożytnym Rzymie. Tego rodzaju wyróżnik (*pileus*) otrzymywał niewolnik w momencie wyzwolenia. Jako symbol wolności stała się szczególnie popularna w okresie Rewolucji Francuskiej.

przecież Rosja zaangażowana całkowicie w sprawę azjatyckie, to sąsiad dla nas zupełnie wygodny". I dalej: „Cieszyłbyśmy się bardzo, jako bliscy sąsiedzi, żeby stosunki wewnętrzne w Rosji uległy na koniec jakiemś unormowaniu”.

Na pierwsze twierdzenie odpowiadamy, że Rosja wygodnym sąsiadem nie będzie nigdy; komunistyczna — jest siedliskiem zarazy, zaś inna, biała, nacjonalistyczna, czy carska — jest siedliskiem imperializmu. Imperialistyczna Rosja — jest również Rosją komunistyczną. Rosja, gdy nie ma niebezpieczeństwa na wschodzie, idzie w kierunku zachodnim, bo ma wolne ręce, zaś wówczas, gdy jest zaangażowana na wschodzie — idzie na zachód pod przymusem konieczności, stojąc na stanowisku, że skuteczna obrona wóbec Japonii może być realizowana przy jednoczesnym bronienu się i na zachodzie, który jest związany z Japonią (p. pakt antykominternowski) sojuszem i planami przyszłej współpracy. Jaką straszną nieodpowiedzialnością i lekkością brzmią słowa p. J. K., gdy pisze o tym, że Rosja jest zaangażowana całkowicie na wschodzie. Skąd i co o tym wie młody dziennikarz, p. J. K.? Piszący tak wówczas, gdy Rosja walczy na półwyspie... Pirenejach, montuje się militarna Czech, utrzymuje partie komunistyczne w Europie, grozi obaleniem rządów Deladiera itd. itd.?

Na drugie twierdzenie p. J. K. odpowiadamy również negatywnie. Żadne unormowanie stosunków w Rosji nie jest nam na ręce. Sądzimy, że to jest tak jasne, że wszelkie zaprzeczenie temu twierdzeniu traktować należy jako muzealne kuriozum myślowe, jako wyraz całkowitego zaniku myślenia krytycznego, lub wreszcie za pośliszenie się pióra w powszechnym w Polsce „pośpiechu dziennikarskim”.

Oczywiście, dodamy (używając własnych słów p. J. K.), że „świadome dążenie (do ułatwienia Rosji unormowania jej spraw) uważamy za zbrodnię”, której w oczach każdego człowieka z odrobina zdrowego sensu nie pokryje wiatrologia podity płazczyk pseudo-nacjonalizmu.

W. Bączkowski

Stefan Kuryłło

Metodyczne szaleństwo

Kiedyś po latach historii ze zdumieniem przyglądać się będzie linii rozwojowej naszej polityki w kwestii ukraińskiej na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat. Z perspektywy czasu tym surowiej oceniać zechce nasze pokolenie, im bardziej gorzkie owoce wyda jego samobójcza i godząca w potęgę Rzeczypospolitej polityka. To, co się dzieje na jednym z najważniejszych odcinków naszego życia państwowego zasługiwało w całej rozciągłości na nazwę *szaleństwa*, gdyby, niestety, w tym szaleństwie nie było tyle *metody*.

To zastanawia: Bo ostatecznie istnieje pewna granica, przed którą zatrzymuje się nawet ludzka głupota. Wiele czasu i atłasu zmarnowano, udawając, jaka to ignorancja panuje w społeczeństwie, jak bardzo nie znamy sprawy ukraińskiej, oraz wszystkich jej aspektów: politycznego, ekonomicznego, historycznego, kulturalnego. Święta to prawda! To jednak, co zaczyna się dziać w Rzeczypospolitej, nie da się już wytłumaczyć ignorancją tylko. Zbyt wiele tkwi w tym wszystkim podejrzanej konsekwencji, zbyt wiele, jako się rzekło, metody, sprawiającej, że poszczególne nici, na pozór luźne i nieskoordynowane z sobą, zbiegają się przecież w jednym punkcie centralnym.

Gdzież jest przyczyna, gdzież jest źródło tego stanu rzeczy, w którym to, co mogłoby stać się podstawą polskiej potęgi, dać narodowi wielkie perspektywy rozwojowe, wyrwać z uścisku jego siły dynamiczne, wnieść w jego życie element konstruktywny i twórczy, to wszystko, co mogłoby stać się początkiem prawdziwej wielkości, obraca się na naszą niekorzyść, anarchizuje życie wewnętrzne, ubraja obywateli przeciw obywatelom, osłabia nasz potencjał i naszą narodową i państwową dynamikę. Robimy dziś dziwne wrażenie narodu, który, mając przed sobą rozgrywkę mogąca zdecydować o jego losie, rozgląda się wokół z nadzieją: *może jeszcze kogoś da się przeciw sobie zmobilizować?!*

Sprawa ukraińska w Polsce łączy się ściśle dla sprawę niepodległości Ukrainy, wchodzącej dziś, jako ziemię podbite, w skład rosyjskiego imperium. To obojętne pozornie stwierdzenie tłumaczy bardzo wiele, jeśli nie wszystko. Wprowadza-

nie myśli konstruktywnej w stosunku polsko-ukraińskie natychmiast skieruje cały narodek aktyw ukraiński przeciw Rosji i wyłącznie przeciw niej. Ponadto rozwój wypadków pójdzie wówczas w takim kierunku, że polityka polska będzie musiała stać się konsekwentnie *antyrosyjską*, tak, jak w latach 1919—20.

I tu właśnie zaczyna się nieśmiertelne, hamletowskie *to be or not to be...* tych wszystkich, którzy mówili w zasadzie nie przeciw Ukraincom nie mieli, gdyby nie... jedyną, niedielimają, wielkają! Sto pięćdziesiąt lat niewoli nie pozostawiało im, uroki rosyjskie nie wywietrzyły z polskiej psychiki. Czasem przejawia się to, usprawiedliwionym zresztą, podziwem wobec rosyjskiej literatury, czasem wylazi na wierzch po kilkunastu kieliszkach: „s winom my radili, s winom i patriom!”... kiedy indziej manifestuje się upartą wiarą w potęgę imperium od „stien niedwiznawo Kitaja do patrisannawo Kriemla”, w potęgę, której nie zmogą bramy piekielne jakiegokolwiek tam chochlacko-prometejskiej intrygi. Trwałosc i calosc niepodzielnej Rosji ludzie tego typu przyjmują, jako niewzruszone aksjomaty, nie wiecie dlaczego, że „maszpiński separatyzm” nie przypada im do gustu. Stąd też ich *determinacyjne stanowisko w kwestii ukraińskiej, ich uparte niedostrzeżenie wielkiego narodu jest jedynie echem i konsekwencją ezerego światopoglądu sankt-petersbursko-rosyjskiego*.

Dwadzieścia lat niepodległości, tyle deklamacji, tyle słów, a wystarczy kawałek żółtobłękitnej „bindy”, żeby spod państwowotwórczego fartuska wylazł stary *homo moscus* — „imperialski czelawiek” z wszechrosyjskim bieżkiem na czole.

Przelewają się w ich głowach zeszlowieczone popłeczny wysortowanego słowianofilstwa, płaczą się euzazyjskie otręby mglistych legend o starszej siostrzy, nie wyobrażają sobie Europy bez medianego jeźdźca, w którego cieniu wstydowano tyle pięknych, kuznych snów na lanych głowach pseudo — mężów stanu. Zagadnienia narodowościowe! — Wyzwolenie pamięta ujarzmionych narodów? — No, owszem, owszem... „Ty domnisz nocz nad episzeszeju Ukrainoj!”... „ticha ukraińskaja nocz”... „czudien Dniepr, kargda wolno

Strona z „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” z tekstem J. Łobodowskiego (piszącego pod pseudonimem Stefan Kuryłło) *Metodyczne szaleństwo* 1938, nr 33.

nych wyznawców Karły Marły⁸⁹ wraz z przybudówkami. Procesy moskiewskie były istotnie twardym orzechem do zgryzienia, ale od czego dialektyczna śmiekałka,⁹⁰ po polsku kiepe!⁹¹ Zestarzałe hemoroidy światopoglądowe tak łatwo nie ustępują! Przysięgły marksisista rozumuje tak: „Istotnie, Rosja przeżywa dziś pewne wstrząsy, okres bonapartyzmu, ale...”. To a l e decyduje. Jak dawniej, lud rosyjski jest nosicielem idei przyszłości, w rosyjskim tyglu dokonywane się wspaniały eksperyment, którego rezultatem będzie nowy człowiek, Rosja wzięta na siebie trud utrwalania socjalizmu, cóż więc z tego, że „przejęciowo” zdarzają się pewne nieporozumienia i walki wewnętrzne?

„Mimo zastrzeżeń i wątpliwości, lewica i demokracja zachowują nadal uporczywą wiarę w posłannictwo Rosji i wielką rolę, którą jeszcze odegra”. Wobec tak świetlanych perspektyw, czymże są niepodległościowe dążenia jakichś tam Ukraińców, którzy nie tylko mówią narzeczem niezrozumiale brzmiącym w uszach czytelników wielkiego Erenburga,⁹² ale ponadto zdradzają tendencje faszystowskie i wielbią Petlurę, znanego organizatora żydowskich pogromów.⁹³ Podbitym przez Moskwę narodom nie wolno dążyć do niepodległości, bo to mogłoby osłabić budujący się socjalizm, do czego proletariat całego świata nie dopuści. Powstańcom gruzińskim w roku 1924 pomagał podobno Deterding⁹⁴ – i to wystarcza, aby odmówić Gruzji prawa do niepodległości. Formuła brzmi krótko i dobitnie: realizacja niepodległościowych dążeń Ukrainy, Kaukazu, Turkiestanu osłabiła by Rosję, a tym samym front antyfaszystowski. Reszta nieważna. W ten sposób obóz demokratyczno-lewicowy, właśnie w imię demokracji, właśnie

⁸⁹ Tj. Karola Marksa.

⁹⁰ Ros., spryt, bystrość.

⁹¹ Jidysz, głowa, główka.

⁹² Ilia Erenburg (1891-1967), sowiecki pisarz, poeta i korespondent zagraniczny.

⁹³ Aluzja do oskarżeń formułowanych przeciwko S. Petlurze.

⁹⁴ Henri Deterding (1866-1939), holenderski finansista, który w latach 20. XX w. wspierał dążenia niepodległościowe Gruzinów.

w imię ideałów wolnościowych sankcjonuje niewolę całych narodów i ich codzienne konanie pod moskiewskim butem.⁹⁵

Stare polskie hasło – „za naszą wolność i waszą” – poniewiera się dziś na komunistycznych sztandarach nad Ebro i Tajo.⁹⁶ To samo hasło, rzucone na szlaki ledwie zarosłe trawą po przejściu wojsk Józefa Piłsudskiego, brzmi nienawistnie, niby faszystowska pobudka. Kompleks rosyjski straszy i tu, wszystkie strumyczki zlewają się w jednym *russkom morie*,⁹⁷ magiczne koło zamyka się, socjalista spotyka się z endekiem, pospolite ruszenie wolontariuszy z „własnego natchnienia pracujących na rzecz rosyjskiej racji stanu” obejmuje rzesze coraz liczniejsze.

Pacyfikacja wszystkich stanów, narodowości i temperamentów – oto odwodowa linia tej armii. Historyczna obawa przed wojną idzie tu w parze z zamykaniem oczu na istnienie zadrażnień, które do tej wojny muszą doprowadzić prędzej czy później. Potomkowie tych, którzy modlili się o „wojnę powszechną”, „o orły i broń narodową”, nie chcą słyszeć o kwestii ukraińskiej, wężąc w niej groźbę dla pokoju. Oto dyfamacje Piłsudskiego, po dziś dzień wzruszający ramionami, gdy mowa o wyprawie kijowskiej, oto właściciele mózgów przeżartych przez dialektykę, gotowi cały świat podpalić w obronie Thaelmanna,⁹⁸ a odmawiający kropli krwi na rzecz ukraińskiej niepodległości.

⁹⁵ Warto zwrócić przy okazji uwagę na „proukraińskie” tendencje, jakie wykazują czy usiłują wykazywać niektóre pisma młododemokratyczne. Interesujący casus zdarzył się ostatnio w związku z artykułem Huczwanowycza o Petlurze, zamieszczonym w „Orce”. Lwowskie „Sygnały”, piórem p. Anselma, zaatakowały „Orkę” w niezwykłe ostry sposób (patrz „Biuletyn Polsko-Ukraiński” nr 269, *Demaskująca się demokracja*). Redaktor „Orki” odpowiedział równie ostro, na co „Sygnały” zareagowały oskarżeniem o „donosicielstwo”. Kolejnej odpowiedzi redaktora „Orki” już nie doczekaliśmy się, ponieważ w międzyczasie „na własne żądanie” i „ze względów osobistych” przestał być redaktorem. Bardzo pouczająca historyjka! [przyp. J. Łobodowskiego].

⁹⁶ Ebro i Tago (hiszp. Tajo), rzeki w Hiszpanii. Aluzja do udziału komunistów w wojnie w Hiszpanii (1936-1939).

⁹⁷ Aluzja do antypolskiego wiersza Puszkina *Oszczercem Rosji*, napisanego w 1831 r.

⁹⁸ Ernst Thälmann (1886-1944), komunista niemiecki, członek Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej. Od 3 III 1933 r. przebywał w obozach i więzieniach.

Pacyfizm, demokracja, socjalizm – jakież piękne hasła mobilizuje się w obronie imperium! Setki tysięcy ambasadorów z własnego wyboru reprezentuje skutecznie moskiewską rację stanu. Czy nie w tym właśnie kryje się tajemnica uporczywego istnienia gabinetu okropności, zwanego Federacją Rosyjską?!

* * *

Gdy mentalność znacznej części społeczeństwa przerażają kompleksy tego typu, gdy ponadto ignorancja stwarza podatny grunt do dalszego ich rozszerzania się, nietrudno czynnikom zainteresowanym łowić ryby w mętnej wodzie i paraliżować świadomość narodową. Rozeszła się ostatnio idiotyczna brechta o milionach rzuconych przez Niemców na robotę ukraińską w Polsce. Odkąd zabrakło nieboszczki Austrii, główna sprężyna wszelkich objawów życia ukraińskiego przeniosła się w pojęciu naszych prostaków do Berlina. Odwracając nie sens, lecz kierunek tej plotki, puszczonej przez jakiegoś sprytnego szatana, a powtarzanej przez bandę durniów, można by twierdzić, że owe mityczne pieniądze poszły na fundusz prasowy ukraiñożerczych kurierów i ekspresów.⁹⁹ Nie ulega bowiem wątpliwości, że ofensywa nienawiści, podjęta ostatnio ze zdwojoną siłą, ma na celu daleko idące osłabienie państwa polskiego. Trudno więc nie mówić o obcej, a wrogiej nam inspiracji.

Szaleństwo – tak, oto słowo najbliższej chwytające istotę rzeczy. Ale – i tu wracam do wyjściowego punktu swoich uwag – „zbyt wiele w tym szaleństwie metody, zbyt wiele konsekwencji”. Stosujemy politykę samobójców, ale ktoś zainteresowany czuwa nad nami, aby samobójcza ręka nie zatrzymała się w pół drogi. Aby dokonała przeznaczonego jej dzieła. Doprawdy, czas bić na alarm!

[(S. Kuryłło), „Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1938 nr 33]

⁹⁹ Aluzja do antyukraińskiego nastawienia niektórych tytułów prasy polskiej z tego okresu (np. „Ekspress Poranny”, „Ilustrowany Kurier Codzienny” i in.).

W OBLICZU ROZSTRZYGNIEĆ

I.

W roku 1938 Europa wkroczyła w okres, który historia być może nazwie kiedyś okresem likwidacji wojny światowej. Nigdy jeszcze dotychczas nie zarysował się z taką wyrazistością podział na państwa zainteresowane na utrzymaniu „status quo” i państwa, które mocarstwowa racja ich bytu popycha ku rewizji dotychczasowego stanu rzeczy.

Nieubłagana konieczność historyczna stawia Polskę w rzędzie państw rewizjonistycznych. Nie znaczy to, aby polski rewizjonizm miał przed sobą zadania i cele zaborcze, aby ewentualna korekta granic miała znacznie i bezwzględnie powiększyć obszar Rzeczypospolitej. Tylko polityczni fantazjotwórcy mogą w obecnej sytuacji marzyć o znacznym rozszerzeniu granic państwa polskiego, poza wspomnianą już korektą na niektórych odcinkach. Polski rewizjonizm polega więc na czymś innym niż mechaniczne powiększenie państwa, a mianowicie na takim przekształceniu mapy politycznej Europy Środkowej i Wschodniej, aby nowy układ sił pozwolił nam na stuprocentowe wygranie możliwości, wynikłych z naszego położenia geopolitycznego i naszej kluczowej pozycji kulturowej w Europie Wschodniej.

Geografia polityczna Europy wygląda mniej więcej tak: na północy i zachodzie państwa, które zajęte są odcinaniem kuponów od dawniejszych przewag i minionych zwycięstw – państwa te reprezentują dziś, z grubsza biorąc, obóz historycznie defensywny i nie zdradzają chęci do krzyżowych pochodów i zdobywczych awantur. W przeciwieństwie do nich, Niemcy i Rosja są potęgami sięgającymi (wprawdzie pod innymi sztandarami i przy pomocy odmiennych metod) po supremację w Europie i świecie. Na pomoście bałtycko-

-czarnomorskim, który te dwie potęgi oddziela od siebie, znalazło się wiele narodów i szczepów o różnej przeszłości, kulturze, strukturze gospodarczej i dążeniach politycznych, często sprzecznych z sobą. Polska wybija się wśród nich na pierwszy plan, zarówno ze względu na swój obszar i zaludnienie, jak i największe zagęszczenie punktów newralgicznych.

Tak więc położenie, plus własny interes narodowy, plus tradycje jagiellońsko-batoriańskie dyktują Polsce konieczność zorganizowania i zdynamizowania wielonarodowego pomostu między Pontem i Bałtykiem, w celu zahamowania żywiołowego parcia i ze Wschodu, i z Zachodu.

Wynika pytanie, czy cel ten możliwy jest do osiągnięcia przy rozwijającej się jednocześnie ofensywie Niemiec i Rosji. Przykład Czechosłowacji jest dostatecznym argumentem na korzyść odpowiedzi negatywnej. Penetracja polskiej myśli konstruktywnej w Basenie Naddunajskim i na Bałkanach¹⁰⁰ niemożliwa jest tak długo, jak długo Niemcy i Rosja przyciągają się ku sobie, niczym dwa odmienne bieguny, potężnie naładowane elektrycznością. Ewentualność nowego Rapallo,¹⁰¹ czego wykluczać nam nie wolno, oczywiście pogłębia niepomyślny dla nas stan rzeczy. W tych warunkach jedynie neutralizacja jednej z potęg, Niemiec lub Rosji, otwiera perspektywy naprawdę pozytywne. Do zadań stosunkowo łatwiejszych – co nie znaczy łatwych! – należy neutralizacja Rosji, która nie przedstawia monolitu ani narodowo, ani psychicznie.

Stąd już jeden krok do postawienia następującej tezy: wzmocnienie pomostu bałtycko-czarnomorsko-adriatyckiego, a więc i Polski, i skuteczne przeciwstawienie się w przyszłości rosnącej potędze Niemiec, uwarunkowane jest przede wszystkim rozbięciem imperium rosyjskiego na szereg niepodległych organizmów narodowych.

¹⁰⁰ Aluzja do projektu tzw. Międzymorza, którego zwolennikiem w tym okresie był minister spraw zagranicznych Józef Beck.

¹⁰¹ Układ w Rapallo podpisany 16 IV 1922 przez Niemcy i Rosję uregulował dotychczasowe punkty sporne pomiędzy dwoma państwami i doprowadził do nawiązania stosunków dyplomatycznych, a następnie wojskowych (11 VIII 1922) pomiędzy nimi.

Kolejność jest wyraźna. Najpierw trzeba zlikwidować Rosję w jej obecnej imperialnej postaci, a następnie zwrócić się frontem ku Zachodowi, w wypadku jego agresji. W świetle tych stwierdzeń rozbić Czechosłowacji staje się niczym innym, jak tylko pierwszym krokiem na drodze ku likwidacji euroazyjskiej zmory moskiewskiej. Nowy ewentualny Grunwald nie jest możliwy, dopóki groźba najazdu *na Arszawu*,¹⁰² zawsze aktualna, wiąże polskie ręce. Groźba ta istnieć będzie wiecznie, jeśli nie rozetniemy jej mieczem. Za tym rewizjonizm polski – to niepodległy Kijów, Tyflis, Samarkanda a w konsekwencji dalszej potężny blok bałtycko-polsko-czesko-węgiersko-rumuński, usuwający groźbę dla nas ze strony Mitteleuropy od Hamburga do... Bagdadu.

Z postawą tego typu nie mają nic wspólnego żadna fobia i żaden filizm. Stając w obozie rewizjonistycznym, manifestujemy swoją wolę do czynnej ingerencji w dziele przebudowy granic państwowych w Europie Środkowo-Wschodniej. Jednak dzisiejsi nasi sprzymierzeńcy jutro mogą stanąć naprzeciw nas w pogotowiu wojennym i vice versa. W polityce bowiem nie ma wiekuistych przyjaciół i niezmiennych wrogów. Jedno jest niezmienne: historyczna racja stanu. A ta powiada nam, że źródła polskiej potęgi biją na Wschodzie. Że o ile potrafimy dzisiejszy, wybitnie niekorzystny dla nas stosunek sił na Wschodzie Europy zmienić, o tyleż wzmocnimy swoją pozycję w Basenie Naddunajskim i będziemy mieli szanse na zrównoważenie rosnącej potencji germańskiej.

II.

Czechosłowacja stała się naszym naturalnym wrogiem, podczas gdy Czechy bez mniejszości są naszym naturalnym sprzymierzeńcem. Ten pozorny paradoks tłumaczy się bardzo prosto. Małe i otoczone z trzech stron przez obszary niemieckie Czechy powinny z natury rzeczy szukać gwaranta swego niepodległego istnienia w znacznie silniejszej Polsce, z którą przy tym nie będą mieć żadnych istotnych

¹⁰² Tak w tekście.

konfliktów. Natomiast „Czechosłowacja”, wbita nienaturalnym, sztucznie sklejonym klinem między Polskę i Węgry, musiała szukać sprzymierzeńca przede wszystkim w Rosji, której zależało na utrzymaniu bazy swoich wpływów w środkowej Europie. Mylą się ci, którzy sądzą, że problem Czechosłowacki to głównie Sudety. Ani Polska, ani Węgry, doskonale doceniające niebezpieczeństwo niemieckie, „nie są zainteresowane w upadku Czech właściwych”, zaś rewizjonistyczne ich stanowiska zostały spowodowane istnieniem klina słowacko-użhorodzkiego, doczepionego do Czech w wyniku przejrzystych kombinacji politycznych, a na przekór zdrowemu sensowi i logice geopolitycznej.

Drażliwość kwestii słowackiej polega na niezapomnianej jeszcze madziaryzacji Słowaczyny, przeprowadzanej niegdyś przez Budapeszt. Nie są to przecież kwestie istotne. Daleko posunięty proces uświadomienia narodowego wśród Słowaków wyklucza chyba możliwość stosowania eksterminacji narodowej ze strony Węgrów. Samo zresztą zjednoczenie musiałyby się odbyć na zasadach autonomii, której bezskutecznie dobijano się w Pradze.

Z kwestią słowacką łączy się ściśle sprawa Rusi Zakarpackiej.

Obecna chwila historyczna powinna być przychylnie przyjęta przez opinię ukraińską, ponieważ – jak to podkreśliłem uprzednio – „rewizja układu sił w Europie środkowej jest ponad wszelką wątpliwość wstępem do jak najdalej idącej rewizji w stosunku do Europy Wschodniej, a więc zbliża w jednym wielkim skrócie dzień powstania niepodległej Ukrainy nad Dnieprem”. Niestety, sprawa komplikuje się przez stanowisko Ukraińców w kwestii zakarpackiej, które jest przeciwne włączeniu Rusi Zakarpackiej do Węgier. Oczywiście, nie można odmówić Ukraińcom zupełnego braku racji z chwilą, gdy wysuwają argumenty przeciwwęgierskie, zgodne z ich narodowym poczuciem. Ukraińcy bowiem nie ludzą się na ogół, że przyłączenie Rusi Zakarpackiej do Węgier byłoby niemal jednoznaczne z jej daleko posuniętą madziaryzacją, a w każdym razie oznaczałoby likwidację dotychczasowych form życia narodowego i uniemożliwienie tworzenia ich na przyszłość.

Natomiast niedyskusyjne wydaje się stanowisko w kwestii ogólnego załatwienia problemu czechosłowackiego. Narodowy aktywizm ukraiński powinien szlutować do tych szeregów, które kierunek swego marszu wytyczają na Wschód. Wydaje się więc, że najważniejszym zagadnieniem dla ukraińskiej myśli politycznej jest pogłębiająca się ruina narodowa na Ukrainie sowieckiej. Wprawdzie ostatnio w pewnych odłamach opinii ukraińskiej przeważać zaczyna bardziej optymistyczne przekonanie, że sytuacja na Nadnieprzu nie jest tak zła, jak to ogólnie dotąd pisało się i mówiło, to trudno przecież zapisywać się do szeregów zwolenników tego „optymizmu”.

Mogą Ukraińcy z całkowitą racją urągać na takie czy owakie ustosunkowanie się części polskiego społeczeństwa do spraw kresowych. Ale przecież „hoholewsczyzny” żaden system polskich rządów nie stworzył, żaden lwowski Rylskij nie opisuje w grzmiących odach postępu industrializacyjnego w COP,¹⁰³ a wojewoda Józewski¹⁰⁴ nie wysiedział na jajach WUO,¹⁰⁵ w czasie swego wołyńskiego dziesięciolecia, żadnego Tyczyny, opiewającego uroki polskiej administracji.

Jeśli więc aktywizm ukraiński ma być realną siłą sojuszniczą w dziele rozbijania imperium rosyjskiego, musi wrócić do postawy psychicznej z lat 1919-1920. W przeciwnym razie niczego nie ułatwi ani sobie, ani swoim naturalnym sprzymierzeńcom w walce z Rosją. I żadna lachofobia, choćby oparta o najdłuższy rejestr win i błędów, nie poradzi wobec tego obiektywnie niewzruszonego faktu, że właśnie Polska należy do naturalnych ukraińskich sprzymierzeńców wobec rosyjskiego niebezpieczeństwa. Ta okoliczność

¹⁰³ Centralny Okręg Przemysłowy, sztandarowe przedsięwzięcie gospodarcze II RP.

¹⁰⁴ Henryk Józewski (1892-1981), polityk i działacz niepodległościowy, m.in. minister spraw wewnętrznych (1929-1930, 1930), wojewoda wołyński (1928-1929, 1930-1938) i łódzki (1938-1939). Zwolennik porozumienia polsko-ukraińskiego, po 1945 r. represjonowany przez władze komunistyczne.

¹⁰⁵ Wołyńskie Zjednoczenie Ukraińskie, ukraińska partia polityczna funkcjonująca od 1931 r. na Wołyniu i współpracująca z BBWR. Brała udział w realizowaniu programu zbliżenia polsko-ukraińskiego prowadzonego na Wołyniu przez wojewodę H. Józewskiego.

powinna bezsprzecznie wpłynąć na kształtowanie się opinii ukraińskiej wobec narastających konfliktów w Europie Środkowej.

III.

Jeśli zarzuty stawiane w tej materii Ukraińcom są słuszne, to ileż więcej można by zarzucić polskiej opinii narodowej, która bardzo niewiele rozumie i domyśla się na podstawie rozgrywających się wydarzeń. Rewindykacja Śląska¹⁰⁶ jest drobną korektą na rzecz sprawiedliwości,¹⁰⁷ dopiero zlikwidowanie Czechosłowacji, jako państwa oddzielającego Polskę od Węgier, i stanowiącego wygodny kanał dla szcurów kominternowskich,¹⁰⁸ otwiera nowy rozdział w historii Europy.

Tego właśnie opinia polska na ogół nie dostrzega, a jeśli i dostrzega, interpretuje najzupełniej opacznie. Przede wszystkim biją na alarm demokraci wszelkiego autoramentu i zawołania. Sugerując wyłączenie niebezpieczeństwo ze strony niemieckiej, milczą o Sowietach – radzi, aby Polska wraz z Czechosłowacją stała się forpoczta rosyjską przeciw Niemcom. Sekundują im niepoprawni franko- i rusofile, spod znaku spadkobierców dawnej Narodowej Demokracji.

Stanisław Stroński w artykule, natychmiast skwapliwie zacytowanym przez „Czarno na Białym”, pisze, co następuje: „Czechosłowacja musi pozostać państwem istotnie niepodległym, swobodnym i obronnym, dzierżąc ważne stanowiska przeciw dalszemu naporowi na Europę Środkowo-Wschodnią... Spytajcie państw bałtyckich,

¹⁰⁶ Rewindykacja Zaolzia (części Śląska Cieszyńskiego) miała miejsce po przyjęciu przez Czechosłowację polskiego ultimatum z dnia 30 IX 1938 r.

¹⁰⁷ Aluzja do konfliktu polsko-czechosłowackiego o Śląsk Cieszyński. Polska domagała się podziału tego regionu według kryterium etnicznego, podczas gdy strona czechosłowacka, opierając się na kryterium historycznym, domagała się całości tego regionu. Ostatecznie Śląsk Cieszyński został zajęty 23 I 1919 r. przez wojska czechosłowackie. Następnie, decyzją Rady Ambasadorów z 28 VII 1920 r., ziemie te zostały przyznane Czechosłowacji.

¹⁰⁸ Aluzja do kontaktów sowiecko-czechosłowackich i wieloletniego tolerowania przez władze czechosłowackie działalności licznych komórek kominternowskich w Czechosłowacji, która stanowiła bezpieczną bazę wypadową do innych państw Europy, w tym Polski.

spytajcie oprócz Czechosłowacji także Jugosławii i Rumunii, spytajcie nawet Węgier, a w lot się dowiedziecie, że po usadowieniu się Rzeszy Niemieckiej nad środkowym Dunajem, cała polityka tych państw przedstawia się pod wpływem troski, aby napór niemiecki nie poszedł dalej na północny wschód i na południowy wschód. Jakżeby tego nie rozumiała, jeszcze czujniej niż inne państwa, Polska!”.

Naczelny publicysta „Kuriera Warszawskiego”¹⁰⁹ zdaje się nie dostrzega, że owa „silna Czechosłowacja” jest bazą operacyjną imperializmu rosyjskiego, który w Warszawie właśnie powinien był zostawić wspomnienia dostatecznie żywe i niezbyt zachęcające na przyszłość. Nie widzi też, i w tym jest w zgodzie z większą częścią współczesnych publicystów, że rywalizacja rosyjsko-niemiecka spycha Polskę na drugorzędne stanowisko państwa zmuszonego stawać po jednej albo drugiej stronie. Dopóki istnieje imperium rosyjskie, dopóty Polska nie będzie w stanie wyjść poza granice ściśle określonego defensywnego stanowiska, na którym pragnąłby ją utrzymać obóz zwyrodniałej polskiej lewicy, jednomyślnej w tym względzie z pismami typu „Kuriera Warszawskiego”.

Lewica polska, niemal w całości grupująca się dziś pod sztandarem „demokracji” i tzw. humanizmu (trudno o większą uzurpację!), cierpi na prawdziwie... zoologiczną germanofobię, która ma wszelkie cechy fanatyzmu wyznaniowego. Odurzona tym fanatyzmem, zasugerowana wyłącznie jednym straszakiem, wyrzekła się już dawno swych pięknych tradycji antyrosyjskich, kulminujących czynem w Wyprawie Kijowskiej, „myślą” w osobach Leona Wasilewskiego¹¹⁰ i Tadeusza Hołówki. Dziś mogiła Hołówki porosła trawą, a córka Leona Wasilewskiego,¹¹¹ jeśli zbłądzi na Kresy wiedziona tradycją swego ojca, to jedynie po to, by szukać filosemity-

¹⁰⁹ Chodzi o Stanisława Strońskiego (1882-1955), profesora filologii UJ, polityka i publicystę związany z obozem narodowym, w czasie II wojny światowej minister w rządzie Władysława Sikorskiego, po 1945 r. na emigracji w Wielkiej Brytanii.

¹¹⁰ Leon Wasilewski (1870-1936), działacz niepodległościowy i polityczny, bliski współpracownik J. Piłsudskiego i zwolennik współpracy narodów podbitych przez Rosję/ZSRR.

¹¹¹ Wanda Wasilewska (1905-1964), działaczka komunistyczna.

zmu wśród Poleszuków. Oto żałosny symbol smutnego odwrotu od ideologii dawnej polskiej lewicy.

Zwróćmy uwagę na pewną istotną okoliczność. Niemcy, których imperializm nie pozwala zmrużyć oczu naszym lewicowcom, są państwem narodowo zwartym, a mniejszości nie posiadają więcej niż dwa miliony, w Rosji natomiast panująca narodowość stanowi zaledwie 50%, cała zaś reszta to narody podbite mieczem i ogniem, prawem i lewem. Mniejszość polska w Niemczech nie ma bezsprzecznie słodkiego życia, ale nawet losu wynaradawianych Mazurów pruskich nie da się porównać choćby w przybliżeniu z losem półtoramilionowej rzeszy Polaków na Sowieckiej Ukrainie i Białorusi.

Zarzuca się Niemcom, że starają się zhitleryzować mniejszość niemiecką w Polsce, że propagandę pangermańską rozszerzają na Ślązaków i Kaszubów, ale nawet przyjmując te dane w całej rozciągłości, niepodobna stawiać ich w jednej płaszczyźnie z dywersyjną robotą Kominternu. Tak więc cienie i blaski są rozmieszczane przez publicystykę lewicową bardzo tendencyjnie, z wyraźnym piruetem sympatii w kierunku niewinnego moskiewskiego niedźwiadka.

Fanatyczna hitlerofobia zmusza do sowietofilstwa, a to ostatnie powoduje gilotynowanie wszelkich wysiłków porozumienia polsko-ukraińskiego.

Dla istotnego oświetlenia pobudek i przyczyn antygermańskiej nagonki, aranżowanej przez polską lewicę, wystarczy wskazać na fakt, że w okresie Rapallo, gdy międzynarodowa sytuacja Polski wobec niemiecko-sowieckiego porozumienia była znacznie cięższa, żadna kampania z tej strony nie miała miejsca. Z tego wniosek, że o postawie polskiej lewicy wobec Niemiec decyduje nie tylko troska o polską rację stanu, ale również zwyczajna fanatyczna nienawiść wroga „ideologicznego”, który nadmiar wszystkiego jest... antysemitą.

Odwracając pewne zastarzałe i przeżyte przesady, można by powiedzieć w formie nieco paradoksalnej, „że prawdziwy germanofob być w obecnej chwili przede wszystkim, rusofobem”. I tu wracam do wyjściowego punktu swoich rozważań: jedynie likwi-

dadca imperium rosyjskiego pozwoli na istotną neutralizację potęgi niemieckiej – przez przeciwstawienie jej bloku państw bałtycko-czarnomorskich. Inaczej mówiąc, niebezpieczeństwo rosyjskie nie pozwala narodom środkowoeuropejskim na uprawianie polityki hamowania ofensywy niemieckiej bez kosztownego oparcia o Rosję.

IV.

Zgłaszanie pretensyj pod adresem polskiej lewicy ma o tyle jeszcze większy sens, że to, co po stronie prawej jest trwaniem w starych błędach i nałogach, tutaj ma wszelkie cechy ideologicznej apostazji, przeprowadzonej dziwnie sprawnie przez tajemnicze, a widać mocno zainteresowane czynniki. Są i inne jeszcze, niezmiernie charakterystyczne różnice, rzucające jaskrawe światło na antypolską robotę lewicy międzynarodowej.

Antyukraińskie, a więc prorosyjskie tendencje i nastawienia polskiej prawicy cechuje najczęściej dobra wola i ignorancja, tępota i krzykactwo, właśnie z dobrej woli poczęte, choć niestety, pozbawione patronatu „myśli politycznej”. Inaczej na lewicy. Tu w ogóle na tematy ukraińskie głucho. Kwestia jest zgoła niewygodna. Natomiast, skoro już raz zostaje ruszona, robi się ją w sposób, który w jednym z poprzednich numerów „Biuletynu” nazwałem taktyką wilczych dołów.¹¹²

Nasi demokraci, którzy zapewniają, że mają pozytywne rozwiązanie sprawy, a jednocześnie odżegnują się od podejrzenia, że propagują wyprawę przeciw Rosji, powinni raz wreszcie stwierdzić, jaką receptę na wyzwolenie Ukrainy trzymają w zanadrzu. „Mglisty

¹¹² Tygodnik „Orka na ugorze”, w artykule tym zaczepony, replikuje krótko w ostatnim numerze, zapowiadając, że właściwe wypowiedzi redakcji w sprawie ukraińskiej „przewidziane są na okres zimowy”. Nie bardzo orientuję się, dlaczego złota polska jesień nie nadaje się do dyskusji w sprawie ukraińskiej, ale niech będzie i tak. Można poczekać. Natomiast nie rozumiem, dlaczego „Orka” posądza nas o zdenerwowanie. Przeciwnie, byliśmy i jesteśmy niezmiernie radzi, że znalazło się nareszcie pismo „demokratyczne”, które przypomniało sobie o istnieniu Ukraińców. Gorzej, że „Orka” popełnia „świadomą nieuczciwość”, pisząc jakoby „Biuletyn” propagował „ideologiczną krucjatę na Rosję”. Każdy czytelnik naszego pisma może stwierdzić

prometeizm” wskazuje w tym względzie drogę najzupełniej wyraźną, jego antagoniści za to jakoś nie kwapią się zbytnio z wyłożeniem swoich atutów.

Pozostaje więc w mocy teza, wyłożona uprzednio: „wypowiadanie wyrazów sympatii pod adresem niepodległościowych dążeń ukraińskich przy jednoczesnym potępianiu „krucjaty antyrosyjskiej” jest celową próbą rozładowywania tworzącego się wśród młodzieży aktywizmu proukraińskiego i spychania zagadnienia na manowce wilczych dołów”.

V.

Reasumpcja wypadnie mniej więcej tak: Urządzenie Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej po myśli Polski i zgodnie z jej interesami możliwe jest jedynie w wypadku rozwiązania rąk na Wschodzie, co nastąpić może w wyniku upadku imperium rosyjskiego i powstania szeregu samodzielnych organizmów państwowych, z niepodległą Ukrainą na czele. Plan powyższy jest nie na rękę Rosji oraz niektórym czynnikom międzynarodowym, które, posiadając decydujące wpływy wśród polskiej lewicy, mobilizują ją przeciw Niemcom, a więc i przeciw antyrosyjskiemu aktywizmowi w Polsce. Stąd wynikł martwy zastój na odcinku stosunków

łatwo, że od początku swego istnienia „Biuletyn” miał nastawienie nie tylko antykomunistyczne, ale – i to przede wszystkim – antyrosyjskie. W szeregu artykułów „Biuletyn” podkreślał ciągłość, zachodzącą między polityką carskiej a obecnej Rosji. Albo więc redaktorzy „Orki” nie czytują „Biuletynu” i piszą na wiatr, co dobrze o ich obyczajach nie świadczy, albo też, co prawdopodobniejsze, z całą świadomością zastosowali chwyt niedozwolony, bo nieuczciwy.

Zabawne jest oświadczenie, podkreślone rozstrzelonym drukiem, że z „Orką” współpracują autentyczni Ukraińcy. Miała to być aluzja, że w „Biuletynie...” z tą autentycznością jest nieszczęśliwie. Bardzo szanujemy pana [Romana] Huczwanowicza, ale jeśli to o niego chodziło, możemy stwierdzić, że różnica między Ukraińcami, piszącymi w „Biuletynie”, a w „Orce”, polega nie tyle na ich autentyczności, co poziomie. Chodzi mianowicie o różnicę poziomu, jaka korespondenta dziennika dzieli od jego naczelnych publicystów.

Na zakończenie jeszcze taka skromna uwaga, niepozbawiona chyba sensu. „Sygnały” również popisywały się współpracą różnych autentyków, aby w konsekwencji opłuć pamięć Petlury i gloryfikować jego mordercę... [przyp. J. Łobodzkiego].

polsko-ukraińskich, stąd rola liberalistycznych lewicowców stąd pseudo ukrainofilizm takiej „Orki”.

Wszystko to są różnorodne larwy i maski tej samej postawy, która wiele zniesie i na wiele zjawisk patrzy pobłażliwie, ale jednego nie potrafi strawić: „zamachu na całość i niepodzielność ojczyzny chłopów i robotników”.

Konflikt niemiecko-czeski przy jednoczesnym udziale Polski i Węgier – to prolog do tego zamachu, którego epilog rozegra się w Kijowie. Tu więc kryją się intymne związki między polityczną germanofobią i czechofilstwem z jednej strony, a uporczywą postawą antyukraińską z drugiej.

Odpowiednie wnioski nasuwają się same przez się.

[(S. Kuryło), „Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1938 nr 37]

LEGENDY WOŁYŃSKIE

Wołyń i zagadnienia z nim związane modne były w prasie przez długi okres czasu. Z chwilą przeniesienia wojewody Józewskiego do Łodzi,¹¹³ zorganizowana akcja pewnych odłamów prasy polskiej ucichła, samo zagadnienie przecież z łam czasopism nie znikło, tyle tylko, że ukazuje się obecnie w nieco innej perspektywie.

Najdokładniejszą i najlepiej umotywowaną ocenę działalności wojewody Józewskiego dał w szeregu artykułów w „Biuletynie Polsko-Ukraińskim” i „Polityce” p. Dunin-Borkowski.¹¹⁴ Ocena ta wypadła ujemnie, co nie znaczy jednak, że b. wojewoda lwowski solidaryzuje się z tymi zarzutami, które polityce wołyńskiej Józewskiego stawiała tak zwana opinia społeczna.

¹¹³ Henryk Józewski został odwołany ze stanowiska wojewody wołyńskiego w kwietniu 1938 roku. Stanowisko opuścił 17 IV 1938 r.

¹¹⁴ Piotr Dunin-Borkowski (1890-1949), ziemianin, polityk konserwatywny, działacz Ludowej Grupy Konserwatywnej, założyciel Klubu Zachowawczego Pracy Państw-

Warto raz jeszcze przyjrzeć się krytycznie tym zasadom i wytycznym, które składały się na całość, znaną pod nazwą „polityki wojewody Józewskiego”, i skonfrontować z rzeczywistością bujnie rozplenione legendy wołyńskie. Nie chodzi tu oczywiście o ewentualne potępienie czy entuzjazmowanie się, ale o wyciągnięcie odpowiednich wniosków na przyszłość. „Eksperymenty wołyńskie”, jak z przekąsem mówiono o poczynaniach wojewody Józewskiego, zgromadziły bezsprzecznie wiele materiału doświadczalnego, który trzeba umieć wykorzystać w całej rozciągłości.

Jeśli jednak pragniemy w tej sprawie zachować możliwie największy obiektywizm, musimy odróżnić dwa zjawiska, niezupełnie pokrywające się ze sobą: idea polityczna, której wojewoda Józewski hołdował, i jej realizacja. Kładę nacisk na konieczność takiego rozróżnienia, ponieważ moment realizacyjny nie tylko nie pokrywał się często z momentem ideologicznym, ale często, w ostatnim okresie zwłaszcza, wyraźnie z nim kolidował. Niestety, w tym ostatnim okresie w jednym z najważniejszych pod względem geopolitycznym województw kresowych Rzeczypospolitej doszło do takich paradoksów, że elementarna koordynacja w pracy politycznej przestała właściwie istnieć, ustępując miejsca anarchii niezorientowanego i mylnie oceniającego sytuację społeczeństwa.

Inny paradoks polegał na rozdwojeniu jaźni politycznej wojewody Józewskiego, który potrafił być jednocześnie ukraiñożercą według Ukraińców i sprzeniewierzać się polskiej narodowej racji stanu według niektórych Polaków. Rozwikłanie tego paradoksu nie jest takie łatwe, jak to się wielu wydaje. Mimo wszystko musi w nim tkwić nieco szczerzej prawdy. I jeszcze jedno: przyklejenie tej czy innej etykiety zagadnienia nie załatwi i nie zlikwiduje.

2.

U narodzin wołyńskiej idei politycznej stały bezsprzecznie pewne imponderabilia i emocje, nieobce wojewodzie w jego młodości.

wowej, wojewoda lwowski i poznański (1928-1929), współpracownik „Buntu Młodych” i „Polityki”.

„Haliczanofobia” wojewody, która przyczyniła się w niemałym stopniu do uporczywego utrwalania „sokalskiego kordonu”,¹¹⁵ miała okazję do powstania i zakorzenienia się właśnie w burzliwych latach ukraińskiej rewolucji narodowej.¹¹⁶

W tym samym czasie skryształować się musiała idea wyprawy kijowskiej, wówczas nieudanej, nie znaczyło to przecież: nieaktualnej. Zasadnicza różnica między szeregiem polskich administratorów, specjalizujących się w zagadnieniu ukraińskim (*exemplum* p. Dunin-Borkowski właśnie), a wojewodą Józewskim polegała bezsprzecznie przede wszystkim na tym, że ci pierwsi szli ku zagadnieniu od strony polskiej polityki zewnętrznej tylko, przy czym obchodziło ich ono o tyle, o ile „bezpośrednio” dotyczyło Rzeczypospolitej, natomiast dla Józewskiego Wołyń był jedynie wycinkiem wielkiej historycznej sprawy, *place d’armee’s* przyszłej rozprawy z Rosją. Przy takiej koncepcji wpływy przenikające z południa, były zjawiskiem wysoce niepożądanym. Pan Dunin-Borkowski, krytykując samą zasadę kordonu sokalskiego, zapomina, że został on ufundowany w okresie, gdy nastroje promos-

¹¹⁵ Kordon sokalski, umowna linia graniczna przebiegająca wzdłuż b. granicy rosyjsko-austriackiej, na północ od której była zakazana działalność wszelkich organizacji ukraińskich z b. Galicji. Jej celem było odgrodenie Ukraińców zamieszkujących Wołyń i część Polesia od wpływów ukraińskich z b. Galicji.

¹¹⁶ Mam na myśli ustosunkowanie się Ukraińskiej Halickiej Armii do Petlury. Jak wiadomo, dowództwo UHA ustosunkowało się nieprzychylnie do UNR, łącząc się na przemian to z Denikinem, to z bolszewikami, byle przeciw Polakom. Doszło też parokrotnie do zbrojnych starć petlurowców z oddziałami UHA, jak na przykład potyczka pułku Czarnych Zaporozców z baterią halicką pod Berszadami. Dowódca wywiadu Kijowskiej Dywizji Petlurowskiej, w raporcie z dnia 13 maja 1920 roku, pisze następująco: „Uświadomienie polityczne (w UHA) wśród dowódców i kozaków jest na tyle prymitywne, że omawiając zagadnienia ukraińskie czynią zasadniczą różnicę między Galicją, a Ukrainą Naddnieprzańską. Odkąd zjawiły się wersje o polsko-ukraińskiej umowie, morale ich tak upadło, że na każdym kroku słyszysz jedynie narzekania...”

Niechęć wojewody Józewskiego do Ukraińców z Małopolski Wschodniej znana była ogólnie. Czy więc nie tu właśnie należałoby szukać źródła wielu posunięć politycznych? Zdaje się, że niekiedy nie doceniamy idiosynkrazji i uprzedzeń działaczy politycznych, u których emocje odgrywają nieraz rolę całkiem poważną [przyp. J. Łobodowskiego].

kiewskie i prosowieckie w Małopolsce były niepokojąco silne. W tych latach zbliżenie się Wołynia do Ukraińców małopolskich równie dobrze mogło decydować o ich „zachodnio-europeizowaniu się”, jak i o tyle szkodliwsze, że kulturalnej bolszewizacji. Tak więc przy skromnych bądź co bądź środkach rozporządzalnych przez wojewodę, Wołyn organicznie łączący się z Małopolską Wschodnią nie mógłby odgrywać wyznaczonej mu roli.

Ostatecznie nie wiemy, jakiego autoramentu regionalizm czy federacjonizm był podstawą szerzej pojętej koncepcji Józewskiego; w każdym razie był to administrator, dla którego zagadnienie ukraińskie nie kończyło się na problemach rządzonego przezeń województwa, ale raczej od nich zaczynało się.

Wojewoda Józewski tolerował pewne dekoracyjne objawy ukrajinizmu i kto wie, czy nie to właśnie zdecydowało o niechęci miejscowego społeczeństwa polskiego. „To ostatnie przełknęłoby gładko istotne postępy ukrajinizmu, natomiast nie mogło strawić jego zewnętrznej manifestacji. Bandura¹¹⁷ w Ridnej Chacie,¹¹⁸ żółto-błękitne bindy i ukraińska mowa – oto główne kamienie obrazy, których nie potrafiła strawić obrażona „duma” wołyńskich rodaków”.

Spółceństwo kresowe nie ma prawie żadnych kontaktów z ukraińską ludnością Wołynia, żyje niemal za chińskim murem obojętności, lekceważenia i ignorancji. Utrakwizm,¹¹⁹ który tyle wywołał na Wołyniu zamieszania, miał być w zasadzie antidotum na ten stan rzeczy. Utrakwizm ów, tylekroć kompromitowany i mieszany z błotem, dał jednak w poszczególnych wypadkach rezultaty godne uwagi. Piszący o polityce Józewskiego, dziwnie mało uwagi zwracali na inicjatywę organizacyjną, którą b[yły] wojewoda wykazał na terenie wsi wołyńskiej. Niżej podpisanemu wydaje się, że na tym właśnie terenie wojewoda miał największe możliwości działania tam, więc przede wszystkim trzeba szukać konfrontacji idei z jej realizacją.

¹¹⁷ Bandura, ukraiński instrument ludowy.

¹¹⁸ Ridna Chata, ukraińskie stowarzyszenie kulturalno-oświatowe będące filią Proswity na terenie Chełmszczyzny i Podlasia.

¹¹⁹ Szkoły utrakwistyczne wprowadzono ustawą z 31 VII 1924 r. Na terenach, gdzie było przynajmniej 25% ludności niepolskiej, szkoła miała być dwujęzyczna.

Wieś wołyńska jest, jak i w całej Polsce, ogarnięta falą swoistej radykalizacji. Radykalizm chłopski jest w zasadzie zjawiskiem z punktu widzenia polskiej państwowej racji stanu niegroźnym, ponieważ ogranicza się do żądania reformy rolnej i upowszechnienia praw politycznych, jednocześnie wykazując znaczną odporność wobec agitacji komunistycznej. Wieś wołyńska nie różni się w ogólnych ramach od wsi lubelskiej czy kieleckiej. Istniejące różnice dotyczą kwestji narodowo-religijnych raczej niż społecznych. „W tych warunkach powstała koncepcja stworzenia silnego ruchu społeczno-gospodarczego i kulturalnego wsi wołyńskiej o wyraźnym zabarwieniu stanowym”.

Ruch ten dziś istnieje, reprezentuje pewien dynamizm, rozwija się, z życia Wołynia nie może już być wyeliminowany. Bez względu na to, jakbyśmy się na niego zapatrywali, nie ulega zakwestionowaniu, że gorliwie reklamowany, niewątpliwy zresztą radykalizm stworzonych przez woj. Józewskiego organizacji młodzieżowych, nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek formą komunizmu, jak to sugerują ci i owi. Oczywiście, wpływy komunistyczne sięgają i do szeregów zorganizowanej wsi wołyńskiej, dywersji tej przecież nie wolno uogólniać. O znaczeniu zaś i roli omawianych organizacji świadczy najlepiej fakt, że ludzie blisko nich stojący obsadzili pierwsze miejsca na listach kandydackich w bieżących wyborach do Sejmu. Tak oto z utrakwistycznego jaja, podrzuconego wsi wołyńskiej przez wojewodę Józewskiego, zaczyna się dziś wykluwać kurczę o dość skryształizowanym charakterze.¹²⁰

Tendencje zdradzane przez Młodą Wieś Wołyńską, wyrażane przez Uniwersytety Ludowe w Michałowce i Rożynie, nie zawsze wzbudzić mogą zachwyt, dość często bowiem staczają się w kierunku łatwego i zdeprawiającego frazesu radykalnego spod znaku „Wyzwolenia” [PSL] jeszcze. Lepsze przecież nawet to, niż bez-

¹²⁰ Ciekawe, że ludowcy całkowicie ominęli Wołyń. Wydaje się, że utrakwistyczny ruch młodzieżowy, popierany przez wojewodę, poszedł na ogół w kierunku zgodnym z zasadami Stronnictwa Ludowego, co w dostatecznym stopniu tłumaczyłoby jego absencję na terenie Wołynia [przyp. J. Łobodowskiego].

myślne szczucie chłopca polskiego na Rusina, praktykowane właśnie po zachodniej, „europejskiej” stronie kordonu sokalskiego.

3.

Krytykowanie polityki Józewskiego jest o tyle łatwe, że wszystkie błędy przezeń popełnione widać dziś jak na dłoni. Oczywiście, kordon sokalski w takiej postaci był bezcelowy, jak również i dobór współpracowników, według jednego tylko dość zawodnego, jak się później okazało, klucza.

Zważmy przecież jedno. Podczas gdy każde województwo, jeśli nie każdy powiat, miało swoją własną politykę ukraińską, zmieniającą się co sezon, jeden Józewski wystąpił z koncepcją i planem, który przynajmniej w stosunku do Rosji Sowieckiej był całkowicie słuszny, zgodny z polską racją stanu i testamentem ideowym piłsudczyzny.

„W tych warunkach kordon sokalski nabierał symbolicznego znaczenia granicy, dzielącej koncepcję, choćby w szczegółach źle opracowaną i kiepsko realizowaną, ale zawsze koncepcję, lepszą od bezhołwia i politycznego *jakoś tam będzie!*”

Osamotnienie polityczne Józewskiego, niezwiązanie jego polityki z ogólnopolską koncepcją w sprawie ukraińskiej musiało się oczywiście zemścić. Przez lata całe wojewoda wołyński pozostawiony był samemu sobie, nikt do jego laboratorium politycznego nie zaglądał – tyle tylko, że na razie bierny, potem coraz bardziej dynamiczny i atakujący opór społeczeństwa rósł i wzrastał się na siłach.

Jak zaznaczyłem powyżej, organizacyjne opanowanie części wsi wołyńskiej odbyło się kosztem jej radykalizacji, przejawiającej się w formach nie zawsze szczęśliwych. Znajdując się w całkowitej izolacji, na próżno usiłując koordynować politykę wszystkich resortów państwowych, zmuszony nieraz pokonywać trudności sprzymierzeńców tam, gdzie mógł ich odszukać. Stąd oparcie się o radykalne organizacje wiejskie i Związek Nauczycielstwa, stąd rosnąca przepaść między wojewodą, a lwią częścią społeczeństwa

WŁOCHY W WARSZAWIE

№ 4 (265)

Adres Redakcji i Administracji: Łucko, ul. Piłsudskiego na 14. Tel. 223.

Adres Redakcji i Administracji w Równem: 1-3-go Maja nr. 13. Tel. 339

WŁOCHY W WARSZAWIE

Przewodniczący Kongresu... Jakże barożone... W swej wielkiej pracy... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

O Włochy w Warszawie

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Włochy dawnego Wolnyia

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Przedstawicielstwo... Wobec atmosfery... W Łucku, w Warszawie...

Okładka redagowanego przez J. Łobodowskiego, ukazującego się w Łucku tygodnika „Włochy”, 23 I 1938 r.

polskiego, które zrażone zewnętrznymi objawami i manifestacjami „józewszczyzny” uwierzyło wreszcie w jej „skrajny ukrajinofilizm” i wypowiedziało wojnę.

Na tym tle zaczęły tworzyć się legendy, w świetle których rzeczywistość wołyńska ukazała się oczom społeczeństwa w postaci najzupełniej wypaczonej i fantastycznej. Sugestii tych legend ulegali nie tylko ci, którzy karmią się wyłącznie plotką i insynuacją.

Na przykład b. wojewoda, p. Dunin-Borkowski, twierdzi w jednym ze swoich artykułów o Wołyniu, że kordon sokalski powstrzymywał nie tylko infiltrację Ukraińców, ale również i Polaków małopolskich.¹²¹

Wygląda tak, jak gdyby Polacy z innych dzielnic marzyli jedynie o przeniesieniu się na Wołyń, a wojewoda Józewski ustawił na granicy sitko, przepuszczając do wołyńskiego rajku tylko tych, którzy mu mniej więcej odpowiadali. Otóż należy stwierdzić, że poza rozwijającym się w ostatnich latach przyjazdem kupiectwa poznańskiego i pomorskiego, żadnego parcia na Wołyń nie było i nie ma. Opinia p. Dunin-Borkowskiego, że „polityka polska na Wołyniu, powinna zmierzać do zerwania wszelkich przegród między tym krajem, a innymi dzielnicami Polski”, zawisła więc w próżni. W praktyce bowiem oznaczałoby to jedynie zniesienie przegród między Wołyniem a Małopolską Wschodnią. Skoro jednak mamy traktować Ukraińców wołyńskich jako część mniejszości ukraińskiej w ogóle, należałoby z kolei zlikwidować izolację Chełmszczyzny i Polesia. To wynika logicznie z rozumowania p. Borkowskiego. „Na tym przykładzie widać najlepiej, w jak wielkim stopniu błędy i potknięcia polityki wołyńskiej wynikały z ogólnego braku wytycznych w kwestii ukraińskiej”.

Inna legenda dotyczy skomunizowania północnych powiatów Wołynia. Oczywiście, nacjonalkomuna w kowelszczyźnie istnieje, nie ma przecież powodu odpowiedzialnością za to obarczać właśnie Józewskiego. Komuna wołyńska istnieje niezależnie od takiej czy

¹²¹ Przeczy temu zresztą fakt, że administracja wołyńska obsadzona była bardzo gęsto przez ludzi z byłej Galicji; nawet najbardziej kluczowe stanowiska administracyjne znajdowały się w rękach przybyszów zza Sokala [przyj. J. Łobodowskiego].

innej polityki wojewody. Czy nacjonalizm ukraiński, puszczony swobodnie przez kordon sokalski, dałby sobie radę z komuną kowelszczyzny? Do pewnego stopnia tak, z pewnymi jednak poprawkami.

Na poczynaniach wojewody Józewskiego w pierwszym jego wołyńskim okresie zaciążyły bezsprzecznie – choć być może bez należytego uświadomienia sobie – połowiczne i niezdecydowane koncepcje Bezpartyjnego Bloku [Współpracy Rządu]. Gdy z biegiem lat i narastającym doświadczeniem przychodziła do głosu świadomość o konieczności skorygowania niektórych założeń i śmielszego oparcia się o bardziej narodowo aktywne żywioły ukraińskie, na poprawki takie było już za późno.

Wówczas pozostały dwie drogi do wyboru: albo zagrać *va banque*, albo grzęznąć w kompromisach. Te ostatnie przedłużyły pobyt Józewskiego na Wołyniu, nie potrafiły jednak zapobiec jego ostatecznej depopularyzacji.

Ostatnie parę lat Józewskiego na Wołyniu były już tylko męczącą walką ze sprzysiężeniem wszystkich przeciw jednemu, gwałtownych prób odbudowywania zaplecza i wpływania na opinię Warszawy. Cóż dało odejście Józewskiego? Kilka zmian personalnych, wzmożone ataki na organizacje młodzieżowe, zmniejszoną nieco objętość „Wołyńskiego Słowa”¹²². To wszystko. Znikło drażniące nazwisko, pozostała rzeczywistość. Oficjalna polityka Józewskiego została niby przekreślona, ale te przejściowe i niezbyt zapewne pozytywne momenty, które w okresie ostatnim wysunęły się chwilowo na pierwszy plan, przeszły w stan permanentnego trwania.

Stąd katzenjammer tych wszystkich, którzy ze zmianą wojewody liczyli na inny kurs.

W gruncie rzeczy, jeśli odejście wojewody Józewskiego miało być zwycięstwem pewnego odłamu polskiej opinii, było to zwycięstwo pyrrusowe.

[(S. Kuryło), „Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1938 nr 42]

¹²² Organ Wołyńskiego Zjednoczenia Ukraińskiego.

KRYSTALIZUJĄCY SIĘ CHAOS

1.

Powiedzmy sobie od razu w sposób jak najwyraźniejszy, że jako chaos określamy tu sprzeczne ze sobą i bardzo dowolne uczucia, refleksje i spostrzeżenia, które charakteryzują stosunek przeciętnego Polaka w kwestii ukraińskiej. Wszelki chaos ma znów to do siebie, że każda dynamiczna i celowo użyta siła może go łatwo skupić koło siebie i pociągnąć w dowolnym kierunku. Raz rozpędzona, a niesamodzielna masa trudno wówczas zbacza z obranej drogi, działając ślepo prawem zwykłego materialnego rozpędu. Tak jest w fizyce, tak jest i w świecie zjawisk gromadnych, polityczno-społeczno-narodowych.

Chaos, jaki w umysłach polskich wytworzył się w odniesieniu do zagadnienia ukraińskiego, sprzyja w znakomitym stopniu programowej ukrainofobii, podbudowując ją szeregiem argumentów natury uczuciowo-moralnej. Tendencje krystalizacyjne, zawsze żywe i obecne, były przecież zbyt słabe i tak niewielu interesowały, że o ich oddziaływaniu wszczep trudno właściwie mówić. Dopiero lata ostatnie, a zwłaszcza rok bieżący, przyniosły zmiany bardzo poważne, aż do daleko posuniętej krystalizacji ideologicznej włącznie. Wprawdzie chaos pozostał chaosem, jednak istniejący już poprzednio ośrodek krystalizacyjny znacznie wzmocnił się, zyskując zdecydowanych sojuszników tam nawet, gdzie w najlepszym wypadku panowała daleko idąca obojętność. Oczywiście, szybkość tego procesu krystalizacyjnego nie pozostaje w odpowiednim stosunku do szybkości wypadków, znacznie wyprzedzających wszelkie przewidywania. Ostatecznie jednak sam proces dojrzewania myśli politycznej w sprawie wschodniej wchodzi powoli, lecz konsekwentnie w stadium, kiedy moment realizacyjny nie wydaje się już zbyt odległy.

Proces ten nurtuje przede wszystkim młodzież, i to młodzież bez różnicy wyznań ideologicznych, a zatem poszedł w kierunku najbardziej właściwym: rezygnacji ze zdobywania społeczeństwa starszego, zbyt opanowanego przez kompleksy antyukraińskie i koncentracji na odcinku młodzieżowym. Należy stwierdzić, że ani skrajnie antyukraińskie, negujące nawet samo istnienie narodu ukraińskiego stanowisko starej Endecji, ani mechaniczne podejście do zagadnienia ugrupowań lewicowych czy do lewicy zbliżonych, nie mają dziś za sobą szerokich gromad młodzieży. Ostatnie wypowiedzi w tej sprawie połączonych organizacji Legionu Młodych i Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej¹²³ świadczą aż nadto dowodnie, jak daleko posunął się proces omawianej krystalizacji i jak głęboko przemyślana konieczność poważnego potraktowania zagadnienia ukraińskiego zakorzeniła się w świadomości czołowych przedstawicieli młodzieży.

Ale na drodze wiodącej ku ostatecznemu rozwiązaniu i rozstrzygnięciu wątpliwości realizacyjnych i rozpoczęciu wschodniej polityki na miarę imperialną czyha tyle zasieków i kłód, że nigdy nie będzie za mało wysiłków ku ich oświeceniu wymierzonych.

2.

Wiele jest larw i postaci, które przybierają konspiracyjny się wrogowie polskiej polityki wschodniej, mającej na celu rozbicie Rosji przez realizację m.in. ukraińskiej niepodległości państwowej. Broniąc się przed tą ewentualnością, agentury wszelkiego autoramentu podrzucają polskiej nieświadomości kukułcze jaja ściśle lokalizacyjnego podejścia do zagadnienia. Na szerokim froncie czynników, mniej lub więcej zbałamuconych, znajdziemy na jed-

¹²³W 1936 r. Legion Młodych podzielił się na Legion Młodych-Frakcja, który wstąpił do PPS (1937) i część, która wstąpiła do OZN. Działacze Legionu Młodych, którzy wstąpili do PPS w 1938 r. połączyli się z pravicowym odłamek Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i utworzyli wspólnie Legion Młodzieży Polskiej.

nym skrzydle Kazimierza Czapińskiego,¹²⁴ na drugim Jana Korolca¹²⁵ z „ABC” – a wszyscy, jak diabeł święconej wody, boją się postawienia sprawy ukraińskiej na płaszczyźnie szerszej, niż na to pozwala zacieśnienie jej do jakiejś wewnątrzpolskiej osi: Tarnopol – Kołomyja czy Sokal – Sambor.

Otóż: „zacieśnienie kwestii ukraińskiej do wewnętrznego zagadnienia mniejszościowego w Rzeczypospolitej jest celową próbą – mniejsza o to, świadomą czy nie – uniemożliwienia Polsce zdobycia się na wielki program wschodni. Jest niedopuszczaniem do kluczowej pozycji naszej państwowej i kulturalnej racji bytu w Europie Środkowo-Wschodniej”.

Zresztą wypadki poszły już w tym kierunku, że kto wie, jak prędko kwestia ukraińska w najszerszej skali ujęta wysunie się w zagadnieniach europejskich na pierwszy plan i bez nas. Może też powstać i taka sytuacja, w której polskie atuty, wynikłe z naszego kluczowego położenia geopolitycznego i historycznego, mogą być łatwo zneutralizowane, względnie nawet zniwelowane przez szereg nowych, dziś nawet nieprzeczuwanych sił i czynników. Jeśli więc nigdy nie przestawaliśmy nawoływać do myślenia w sprawie ukraińskiej, teraz dodajmy, że namysł nasz musi być niezmiernie szybki, albowiem nigdy jeszcze nie mieliśmy do tego namysłu tak mało czasu. W takich warunkach opóźnianie akcji ma wszelkie cechy akcji źle uzgodnionej z racją polską, skazującą nas na wleczenie się w ogonie wypadków historycznych.

Bezpośrednio z zagadnieniem powyższym (lokalizacja czy ujęcie w uchwycie najszerszym, Kołomyja czy Kijów) łączy się sprawa najtrudniejsza, mianowicie stosunek do Rosji. Fakt, że na trzech Polaków, jednego można zaliczyć do psychicznych rusofilów, znajduje swoje jaskrawe odzwierciedlenie w polskiej myśli politycznej. Sugestia potęgi rosyjskiej, rzekomo jednolitej narodowo, rzekomo organicznie wrogiej Niemcom (bracia Słowianie!) i nieroszczącej

¹²⁴ Kazimierz Czapiński (1882-1941), działacz i wieloletni członek władz PPS, poseł na Sejm RP.

¹²⁵ Jan Korolec (1902-1941), działacz ONR, redaktor naczelny pisma „ABC”.

w przeciwstawieniu do Ukraińców żadnych pretensji do naszych kresów wschodnich, nie przestaje być czynnikiem odgrywającym doniosłą rolę w polskim życiu. Żywot tej sugestii jest zastanawiająco długi, a korzeniami swymi sięga co najmniej do epoki najjaśniejszej gwarantki impieratrycy Katieriny¹²⁶ i hojnie przez jej agentów rozrzucanych impieriałów. Zapomniane zostały wszystkie bolesne doświadczenia z rosyjskim „przyjacielem”. Nawet Denikin w okresie ważenia się losów wojny domowej nie chciał w gruncie rzeczy uznać faktu niepodległości polskiej, co znajdowało swe uzasadnienie w nastrojach oficerstwa i inteligencji rosyjskiej z owych czasów. *Ważniom Maskwu* – mawiało się w Dobrarmii¹²⁷ – *pajdiom na Finlandcew i Palakow*. [„Weźmiemy Moskwę, pójdziemy na Finów i Polaków”.] Dopiero katastrofa w zimie 1919/1920 roku zmieniła nieco nastroje i Wrangel doszedł do przekonania, że należy za wszelką cenę (za lubuju cenu) dojść do porozumienia z Polakami.

Mimo tych doświadczeń historycznych pokutuje w wielu głowach polskich bzdurne przeświadczenie o możliwości regulacji współżycia z Rosją na płaszczyźnie wspólnej walki z Niemcami – tak, jakby z jednej strony nie istniała ewentualność nowego Rapallo, z drugiej zaś jak gdyby Rosja musiała żyć w zgodzie z Polską w razie historycznego zatargu z Niemcami. „Rosja z Polską, przeciw Niemcom” – oto sytuacja, która uśmiecha się karłowatym pretendantom do spadku po Grunwaldzie. Ale pod Grunwaldem Moskwy nie było, był ruski Smoleńsk. A w roku 1920 Tuchaczewskij i Trocki szli na Niemcy i Zachód nie z Polską, ale przez Polskę. Podobnie, jak w roku 1241, jak w 1813 i 1914.

Otóż w młodszym pokoleniu sugestie rosyjskie nie odgrywają już tak wielkiego znaczenia, toteż młodym łatwiej przechodzić na płaszczyznę ideologii „prometejskiej”. Charakterystyczne, że grupa „ABC”, jedyna grupa młodych nacjonalistów, zdecydowanie proro-

¹²⁶ Caryca Katarzyna II.

¹²⁷ Dobrarmia (skrót od: *Dobrowolczeskaja Armia*), określenie armii „białych”, działającej na południu Rosji (1918-1920).

syjsko nastawionych i przeciwstawiających się ostro planom rozbięcia imperium, znajduje się w upadku i posiada obecnie minimalne wpływy na terenie młodzieżowym.

Inne niebezpieczeństwo, w praktyce nieróżniące się w niczym od konsekwencji stanowiska prorosyjskiego, polega na zasadniczej zgodzie na angażowanie się Polski w polityce wschodniej aż do odbudowania Ukrainy włącznie, przy jednoczesnym odkładaniu realizacji tego programu *ad calendas Graecas*.

W niedawno wydanej nakładem „Awangardy państwa narodowego” książce o Wołyniu Bolesława Podhorskiego¹²⁸ wśród wielu słusznych spostrzeżeń i uwag znajdujemy przecież i takie stwierdzenia: „im prędzej Wołyń będzie z ducha i treści do głębi polski, tym prędzej Polska będzie gotowa do zabrania decydującego głosu w wypadkach mogących się rozgrywać poza naszą granicą wschodnią”. Mówiąc wyraźniej, zaangażowanie się Polski w sprawach wschodnich musi być poprzedzone dokładną polonizacją kresów. Tego rodzaju stawianie sprawy, nierealne i w gruncie rzeczy bardzo naiwne, pociąga za sobą następujące konsekwencje: „Sparaliżowanie polskiego dynamizmu narodowego przez zaangażowanie się w walkę z mniejszością ukraińską, dostarczenie agenturom sowieckim łatwego żeru, minimalne wyniki przy maksimum rezygnacji z wielkich planów imperialnych”.

3.

W ostatnim numerze tygodnika „Zespół”, z dnia 27 listopada, ukazał się niezmiernie charakterystyczny artykuł *Sprawa ukraińska to sprawa chłopska*. Artykuł ten ukazał się w dziale „Trybuna naszych czytelników”, wydaje się jednak, że z czystym sumieniem można go traktować jako artykuł redakcyjny. W każdym razie redakcja „Zespołu” żadnym zastrzeżeniem go nie opatrzyła.

¹²⁸ Bolesław Podhorski: *Zagadnienia społeczeństwa i państwa polskiego na Wołyniu*, Poznań 1938, Biblioteka „Awangardy”, Tom XI [przyp J. Łobodowskiego].

„Recepty uniwersalnej na sprawę ukraińską – pisze autor artykułu – nie ma i nie może być, bo to jest zależne od całego spłotu różnych lokalnych, terenowych, powiatowych, a przede wszystkim wsiowych warunków życia. Dlaczego wsiowych, czyli inaczej chłopskich? Dlatego, bo naród ukraiński to przede wszystkim klasa chłopska, która od wieków żyje razem z chłopem Polakiem – czy to jako sąsiedzi zza płotu, czy zza miedzy, czy też wsi... I czyż oni, prócz sprzeczek czysto swoich, takich chłopskich (sąsiedzkich), jakie na wsi czasem bywają, mogą mieć ze sobą inne spory? Oj, chyba nie! – boć ta sama dola chłopska im obydwóm jest jednakowo ciężka”!

Tak postawiwszy sprawę, autor twierdzi, że główną przeszkodą w normalizacji stosunków polsko-ukraińskich jest brak porozumienia między polską a ukraińską młodą inteligencją, pochodzącą ze wsi i wzywa do tego porozumienia, pisząc, że „chłop z chłopem najlepiej się dogada w nowej, potężnej, sprawiedliwej Polsce, z którą wskrzeszona Wielka Ukraina, jako państwo niezależne, będzie złączona po wiek wieków Unią, tworząc w ten sposób potężne państwo słowiańskie... zaś wszystkich tych, którym nie na rękę wspólne życie tych dwóch wielkich chłopskich narodów, należy w bezwzględny sposób tępić...”.

Mamy tu klasyczny przykład, w jaki sposób szczerze i uczciwe dążenie do znalezienia *modus vivendi* zepchnięte zostaje na manowce swoistej frazeologii i uogólnień, mocno zalatujących materializmem klasowym. Autor artykułu nie zdaje sobie sprawy z tego, że tendencje rozwojowe, jakie wykazują obydwie narody, nie mają nic wspólnego z jego „chłopskim patriotyzmem”... Jeśli artykuł ten zacytowałem, to przede wszystkim dlatego, że są w Polsce ludzie i czynniki, którzy właśnie w tym „klasowym” kierunku chętnie by przesunęli płaszczyznę kontaktów polsko-ukraińskich, hamując tym samym ich zdrowy rozwój. Bowiem tendencje tego rodzaju, przy całej swojej uczciwości, niezaprzeczalnie dobrej woli, ostatecznie są błędzeniem po manowcach, nieporozumieniem utrudniającym i opóźniającym ostateczną krystalizację dotychczasowego stanu rzeczy.

Wycechowałem tu trzy stanowiska, które oczywiście nie wyczerpują całości zjawisk, prądów i zapatrywań skłębionych dokoła kwestii ukraińskiej, pozwalają jednak z grubsza wyznaczyć punkty trian-gulacyjne głównych linii rozwojowych.

Stanowisko pierwsze, porzucone niemal zupełnie przez młodsze pokolenie, reprezentuje skrajny rusofilizm w teorii i praktyce, negujący ideę ukrainizmu narodowego i państwowego nad Dnieprem oraz możliwość uzgodnienia z nim polskiej racji stanu.

Stanowisko drugie w zasadzie decyduje się na uznanie Ukrainy – z tym, że praktyczne konsekwencje tego uznania możliwe będą dopiero w przyszłości, po znakomitym wzmocnieniu polskości na kresach. W praktyce to drugie stanowisko w pewnym sensie idzie na rękę wojującemu rusofilizmowi, ponieważ przez zaostrzenie stosunków polsko-ukraińskich stwarza dogodne warunki dla antypolskiej penetracji imperializmu moskiewskiego. Tym niemniej w stosunku do jawnego, oficjalnie wyznawanego rusofilizmu jest zasadniczo pewnym postępem.

Stanowisko trzecie uznaje konieczność z jednej strony zgodnego współżycia już dziś, z drugiej strony dąży do rozbicia imperializmu moskiewskiego. W cytowanym przecież wypadku słuszne tendencje proukraińskie i antyrosyjskie uległy pewnemu zwichrowaniu, sprowadzone zostały na płaszczyznę jakiejś chłopskiej klasowości, podlanej sosem słowiańskim.

Ale ustosunkowując się krytycznie do załamań i zabłąkań, którym uległ na przykład skądinąd słuszny i piękny w swoim tonie artykuł Stanisława Czwokiela, drukowany w „Zespole”, niepodobna nie zauważyć, że tendencja rozwojowa jest mimo tych załamań bezbłędna w swoim ostatecznym kierunku.

„Świadczyłoby to o tym, że zdrowy instynkt narodowy, poprzedzony przez konstruktywną myśl polityczną, zaczyna powoli wydobywać się z chaosu i zmierzać coraz konsekwentniej do ostatecznej krystalizacji światopoglądowej, opartej na płaszczyźnie nowoczes-

snego nacjonalizmu”. Obydwa narody znalazły się na tym odcinku rozwoju historycznego, kiedy racja ich bytu narodowego musi – w imię wartości i korzyści nadrzędnych – eliminować ze styku swoich interesów elementy zagrażające.

[(S. Kuryłło), „Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1938 nr 46]

ZE WSPOMNIENÍ UKRAJNOFIŁA W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

Tak się złożyło, że już na samym początku mojej działalności literackiej i publicystycznej poświęcałem wiele uwagi sprawie ukraińskiej, a zainteresowanie to miało wzrosnąć z latami i zyskać zarówno na natężeniu uczuciowym, jak na pogłębieniu ideowym. Nie ma co ukrywać – zaczęło się na podłożu sentymentalnym. Pamięć tego, że rodzina ojca wywodzi się z kozaczyzny, kilkuletni pobyt na Kubaniu¹²⁹ i Ukrainie, potężne oddziaływanie ukraińskiego folkloru i pieśni, z którymi zetknąłem się w okresie najczulszym, bo we wczesnym dzieciństwie – wszystko to z góry predysponowało mnie do późniejszego wylądowania w szczupłym, choć jakościowo nie najgorszym obozie polskiego ukrajinofilstwa.

Z chwilą, gdy utrwaliło się we mnie przekonanie, że pod maską uniwersalizmu rewolucyjnego kryje się zawsze ta sama, odwieczna Moskwa, wroga Polsce i Zachodowi, gdy szukając radykalnych rozstrzygnięć w skali historycznej znajdowałem je jedynie w rozbięciu imperium rosyjskiego i cofnięciu go do granic etnograficznych, mój stosunek do sprawy ukraińskiej został ustalony raz na zawsze. Już na pierwszym roku uniwersytetu, redagując lubelską „Trybu-

¹²⁹ Łobodowski wraz z rodziną mieszkał w Jejsku od sierpnia 1917 do marca-kwietnia 1922 roku.

nę”,¹³⁰ czasopismo Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, wypisywałem sążniste manifesty, w których wzywałem do pojednania się z Ukraińcami i ostro krytykowałem oficjalną politykę narodowościową. Seniorzy ZPMD krzywili się, jeszcze bardziej krzywiła się cenzura, potem zaczęła się interesować moją osobą prokuratura, a zresztą wkrótce wyrzucono mnie z „Trybuny”, ze Związku i z uniwersytetu¹³¹.

Czarna ospa marksistowska, przez którą, jak prawie wszyscy z mego pokolenia, musiałem przejść – a przechodziłem ją w formie dość gwałtownej – opóźniła o parę lat upewnienie się w mej postawie ukrainofilskiej. Ostatecznie nastąpiło to w roku 1936, gdy w czasie częstych wypadów do Warszawy zbliżyłem się do kół wschodoznawczych.¹³² Zacząłem – początkowo raczej dorywczo, potem coraz systematyczniej – współpracować z „Biuletynem Polsko-Ukraińskim” Włodzimierza Bączkowskiego.¹³³ Zetknąłem się z bliska z wieloma członkami emigracji ukraińskiej i kaukaskiej, a z niektórymi z nich rzetelnie się zaprzyjaźniłem. Nadchodziło właśnie 75-lecie śmierci Szewczenki i Pawło Zajcew,¹³⁴ świetny szewczenkolog i kapitalny typ literackiego bałagudy, wciągnął mnie do współpracy nad przekładami; ukazały się one potem nakładem

¹³⁰ „Trybuna” ukazywała się od marca 1932 do kwietnia 1934 roku, łącznie ukazało się 11 numerów.

¹³¹ Łobodowski był redaktorem naczelnym „Trybuny” od 1 marca do 5 maja 1932 roku. Z [Katolickiego] Uniwersytetu Lubelskiego został usunięty z na początku drugiego semestru pierwszego roku nauki (1932), a z ZPMD prawdopodobnie w maju 1932 r. Podstawą relegowania z uczelni, ZPMD i redakcji „Trybuny” nie były poglądy na stosunki polsko-ukraińskie, ale manifestowane przez niego skrajnie lewicowe (komunistyczne) poglądy.

¹³² Tzn. prometejskich.

¹³³ Włodzimierz Bączkowski (1905-2000), publicysta i działacz prometejski. Współpracował z Ekspozyturą 2 Oddziału II Sztabu Generalnego, Instytutem Wschodnim, twórcą Orientalistycznego Koła Młodych (1928), redaktorem „Wschodu” (1930--1939), założyciel i redaktor „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” (1932-1938) oraz „Myśli Polskiej” (1935-1939).

¹³⁴ Pawło Zajcew (1886-1965), literaturoznawca, członek Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie i profesor Uniwersytetu Warszawskiego, od 1941 r. wykładał na Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie w Monachium.

Ukraińskiego Instytutu Naukowego¹³⁵. Z całą serdecznością ustosunkowali się do mnie dyrektor Instytutu, prof. Aleksander Łotocki¹³⁶ i sekretarz, Roman Smal-Stočkyj,¹³⁷ znakomity filolog i poliglota. Na zebraniu klubu „Prometeusz”, mieszczącego się w narożnej kamienicy przy Al. Jerozolimskich i Brackiej, gdzie byłem częstym i mile widzianym gościem, przychodzili obok Ukraińców Gruzini, Tatarzy, Turcy azerbejdżańscy i północnokaukazczycy. Wśród nich rej wodził prezes Imnadze,¹³⁸ będący w Warszawie kimś w rodzaju na pół oficjalnego przedstawiciela narodu gruzińskiego, maleńki, z nastroszoną białą czupryną prof. Nakaszydze,¹³⁹ i dwóch Osetynów: Biło Bilatti¹⁴⁰ i Ahmet bey Barasbi Baytuhan,¹⁴¹ żonaty ze znaną poetką „Kwadrygi”, Niną Rydzewską.¹⁴² Czasem przychodził już schorowany i przeczuwający bliską śmierć Leon Wasilewski, z Paryża wpadał na krótko stary Ołeksandr Szulhyn, z którym po latach miałem się znów zetknąć we Francji. Nie wszyscy władali z całą swobodą językiem polskim, więc niejednokrotnie dyskusje i spory prowadzone były po rosyjsku, choć znów nie wszyscy Pola-

¹³⁵ T. Szewczenko, *Poezje*, Warszawa 1936, 407 str. (Łobodowski przełożył 22 na 118 zamieszczonych w tomie utworów).

¹³⁶ Aleksander Łotocki (1870-1939), ukraiński polityk, dyplomata i historyk. W okresie międzywojennym był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i dyrektorem Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie.

¹³⁷ Roman Smal-Stocki (1893-1969), językoznawca, dyplomata URL, profesor Uniwersytetu Warszawskiego (1925-1939) i sekretarz Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie (od 1930) oraz wieloletni przewodniczący Klubu Prometeusz w Warszawie. W czasie II wojny światowej wykładał na Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie w Pradze, od 1947 r. w USA.

¹³⁸ Konrad Imnadze (1890-1957), członek zarządu Klubu Prometeusz w Warszawie (od 1933), przez wiele lat był aktywnym działaczem emigracji gruzińskiej w Polsce.

¹³⁹ Jerzy Nakaszydze (1894-1990), pracownik naukowy Instytutu Wschodniego w Warszawie, członek Komisji Rewizyjnej, a od 1936 wiceprezes Klubu Prometeusz.

¹⁴⁰ Właściwie: Biłłati Bało (1900-1971), Osetyniec, działacz Ludowej Partii Górali Kaukaskich i ruchu prometejskiego, od 1930 r. przebywał w Warszawie.

¹⁴¹ Barasbi Baytuhan (1899-1986), Osetyniec, pułkownik kozackiego wojska terskiego, działacz Ludowej Partii Górali Kaukaskich i ruchu prometejskiego.

¹⁴² Nina Rydzewska (1902-1958), przedwojenna poetka związana z grupą „Kwadrygi”.

cy, przychodzący do Klubu, go rozumieli. Gdy przyjeżdżał do Warszawy wnuk Szamila,¹⁴³ bohatera kaukaskiej walki o niepodległość, prawie zawsze dochodziło do gwałtownych sporów między nim i przewodniczącym posiedzeń, prof. Romanem Smal-Stożkowym – i wtedy obydwaj panowie skakali sobie do oczu w najczystszej francuszczyźnie, gdyż młody Szamil nie znał polskiego ani rosyjskiego.

Politycznie biorąc, sprawa ukraińska znajdowała się wówczas w najgłębszym impasie. Odrodzona Rzeczpospolita nie zdobyła się na żadną koncepcję zasadniczą, toteż polityka kresowa całego dwudziestolecia szła od przypadku do przypadku, ograniczając się do bezideowego i najczęściej niezgodnego z polską racją stanu urzędowania. Minimaliści – a takich mieliśmy niestety najwięcej – skurczyli wielkie zagadnienie do maleńkiego problemaciku obrony Lwowa i spolszczenia kilku wołyńskich powiatów. Inni – i tych należało już w warunkach polskich uznać za postępowców – przyznawali wprawdzie, że zagadnienie nie kończy się na rogatce brzuchowickiej i parafii w Dederkach, ale radzili poczekać z jego rozwiązywaniem do chwili, gdy na Naddnieprzu skryształizuje się, nieistniejąca w ich pojęciu, ukraińska świadomość narodowa, co w praktyce oznaczało wyczekiwanie na biologiczną śmierć Ukrainy, poddanej żelaznemu naciskowi czerwonej Moskwy.

Skrajny nacjonalizm w ogóle o narodzie ukraińskim nie chciał słyszeć, przyjmując, że w granicach Rzeczypospolitej istnieją wyłącznie Rusini, których należy spolszczyć i skatoliczyć, na wschód zaś od Zbrucza zaczyna się rosyjska przestrzeń życiowa, niezupełnie dla polskiej racji stanu obojętna. Pod tym względem nic się w obozie narodowym nie zmieniło od czasów Romana Dmowskiego, który stwierdzał przecież z szorstką szczerością, że woli mieć za sąsiada silną Rosję, niż międzynarodowy dom publiczny, jakim w jego przekonaniu byłoby państwo ukraińskie. Dopiero w la-

¹⁴³ Mohamed Said Szamil (1901-1981), Awar, wnuk imama Szamila, przewodniczący Ludowej Partii Górali Kaukaskich, działacz ruchu prometejskiego, po 1945 r. mieszkał w Turcji.

PROBLEMY

Europy wschodniej

Rok I.

Lipiec – Sierpień 1939

N. 7 – 8

J. Skarżyński: Zasady energetyczne województw wschodnich	401
M. Matakiewicz: Prawda o Wiśle i o drodze wodnej Bałtyk — Morze Czarne	414
K. S. Frycz: Święty Stefan — twórca państwa i narodu	426
J. Lipowiecki: Na marginesie tego-rocznego spisu ludności ZSSR	432
St. Kuryłło: Szewczenko wobec Niemiec	438
F. Zahora: Okupacja niemiecka w Litwie 1915 — 1918	445
Cz. Jastrzębiec-Kozłowski: Religijność ukraińska a rosyjska	453
Z terenów ZSSR	463
Recenzje	470



M I E S I Ę C Z N I K

WARSZAWA, MIODOWA 7 M. 11. — TEL. 234-60

„Problemy Europy Wschodniej”, numer z lipca-sierpnia 1939, z artykułem J. Łobodowskiego, piszącego tu pod pseudonimem St. Kuryłło, *Szewczenko wobec Niemiec*.

tach wojennych niektóre odłamy polskiego nacjonalizmu zaczęły zmieniać opinię. Adam Doboszyński¹⁴⁴ i Klaudiusz Hrabyc¹⁴⁵ – to najjaskrawsze przykłady tego nawrócenia.

Obóz rządowy brał wprawdzie pod uwagę możliwość rozegrania sprawy ukraińskiej według tych wytycznych historii, które przed ćwierćwiekiem znalazły symboliczny wyraz w braterskim pocałunku, zamienionym na stacji w Winnicy przez Piłsudskiego i Petlurę, ale koncepcja taka była zawsze traktowana przez sanację koniunkturalnie, na wszelki wypadek: a nuż się przyda! Ekipę wschodoznawczą pochowano po różnych podwórkowych zakamarkach, między Naukowym Instytutem Ukraińskim, Instytutem Wschodnim, Komitetem Gruzijnskim, klubem „Prometeusz”, a sennymi ekspozyturami kontrwywiadu¹⁴⁶ – i czekano na koniunkturę, która nie nadchodziła. Potraktowano całą sprawę jako koncepcję zastępczą, zapasowy tor kolejowy.

Ten zapasowy tor zarastał trawą i mchem, gdy przez sąsiednie nasypy kolejowe przelatywały pociągi eksterminacji, rewindykacji, pacyfikacji... Niekiedy wlokła się rozklekotana towarówka połowicznych pomysłów normalizacyjnych – aby się wykoleić zaraz na pierwszym zakręcie. Błyskawice nadchodzącej burzy dziejowej oświetlały, jak tyle razy w historii, chaos i zamęt, bratobójczą walkę narodów, których przeznaczeniem powinno być zgodne współzycie i wspólna walka ze wspólnym niebezpieczeństwem.

W marcu 1937 zacząłem wydawać w Lublinie pismo codzienne „Kurier Lubelski”, w którym poświęcałem wiele uwagi właśnie zagadnieniom wschodnim, ze sprawą ukraińską na czele. Pismo szybko skończyło swój żywot,¹⁴⁷ a wraz z nim utonęło sporo pożyczonych pieniędzy i świeżo zainkasowana nagroda młodych Polskiej

¹⁴⁴ Adam Doboszyński (1904-1949), działacz młodzieżowy i polityk obozu narodowego.

¹⁴⁵ Klaudiusz Hrabyc (1902-1989), działacz i polityk obozu narodowego, po 1945 r. przebywał na emigracji, ale nawiązał współpracę z SB i w 1958 r. wrócił do PRL.

¹⁴⁶ Chodzi o Ekspozyturę 2 Oddziału II Sztabu Głównego, która od 1929/1930 r. koordynowała część prac prometejskich.

¹⁴⁷ Pierwszy numer „Kurier Lubelskiego” ukazał się 22 marca 1937 r.; 1 kwietnia 1937 r. pismo już się nie ukazywało.

Akademii Literatury.¹⁴⁸ Ale jego krótkie istnienie miało ten skutek, że kilka numerów wpadło w ręce wojewody wołyńskiego Henryka Józewskiego; ten najpierw zaproponował mi współpracę z wydawanym przezeń tygodnikiem „Wołyń”, potem przyjazd do Łucka na stałe.¹⁴⁹ Był to okres, gdy w całej Polsce zaczynała się gwałtowna kampania prasowa przeciw polityce Józewskiego, rzekomo faworyzującej Ukraińców wołyńskich, ze szkodą dla sprawy polskiej. W walce tej wojewoda był niemal odosobniony. Stronnictwo Narodowe, związek Szlachty Zagrodowej, „Strzelec”, część kleru, wielu własnych urzędników, a przede wszystkim wojsko, z wszechwładnym w powiatach pogranicznych Korpusem Ochrony Pogranicza na czele – wszyscy wzięli udział w tej nagonce, której największe natężenie przypadło właśnie na czas mego pobytu w Łucku, aż do odwołania Józewskiego, w kwietniu 1938 roku.

Dramat Józewskiego polegał na tym, że idąc uparcie wytyczoną przed sobą drogą, nie mógł on zadowolić ani Polaków, ani Ukraińców. Tamci widzieli w nim ukrajinofila, ci – polonizatora. Eksperyment wołyński nie mógł się udać jeszcze i dlatego, że był ograniczony do jednego województwa, podczas gdy w sąsiedztwie szaleli gen. Gustaw Paszkiewicz¹⁵⁰ i wojewoda Waław Kostek-Biernacki¹⁵¹ o którym pewien wybitny komunista wyraził się, że powinien otrzymać Order Lenina, gdyż tysiąc najlepszych agentów moskiewskich nie potrafiłoby skomunizować Polesia tak szybko, jak to uczyniło „genialne” zachowanie się urzędu wojewódzkiego w Brześciu.

Duża kultura osobista, niezwykle ujmujące obejście i świetna znajomość języka ukraińskiego ułatwiły Józewskiemu skupienie koło siebie pewnej grupy całkowicie oddanych mu ludzi, wśród któ-

¹⁴⁸ Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literackiej J. Łobodowski otrzymał w 1937 r.

¹⁴⁹ Łobodowski przybył do Łucka prawdopodobnie jesienią 1937 r. i mieszkał tam do wiosny (kwietnia) 1938 r.

¹⁵⁰ Gustaw Paszkiewicz (1892-1955), generał, od 1935 r. dowódca 12 Dywizji Piechoty w Tarnopolu, kierował pacyfikacją wsi ukraińskich w latach 1937-1938.

¹⁵¹ Waław Kostek-Biernacki (1884-1957), m.in. wojewoda poleski 1932-1939.

rych po stronie ukraińskiej wybijał się Stepan Skrypnyk,¹⁵² bliski krewny żony Petlury¹⁵³ i niegdyś jego adiutant. Ale – rzecz charakterystyczna – niemal wszyscy, zarówno Polacy jak Ukraińcy, pochodzili z Ukrainy naddnieprzańskiej, z Żytomierszczyzny, z Podola – „tutejszych” można było policzyć na palcach jednej ręki. Polak spod Taraszczy czy Białej Cerkwi stosunkowo łatwo dogadywał się z naddnieprzańcem; inaczej wyglądała sprawa z tubylcami. Co najgorsze, element urzędniczy, wojskowy i nauczycielski był absolutnie nieprzygotowany do trudnych zadań, oczekujących go na Wołyniu. Można sobie łatwo wyobrazić sytuację dwudziestoletniej dziewczyny z Gniezna lub Krotoszyna, nieznającej języka ukraińskiego, niemającej zielonego pojęcia o przyczynach i charakterze konfliktów kresowych, i w miesiąc po ukończeniu seminarium rzucanej gdzieś do zapadłej wsi pod Niesuchoizem, skąd do najbliższego polskiego majątku było pięć godzin jazdy, a na drodze łatwiej było spotkać „podpolnika” niż granatowy mundur policjanta.

Na odwołaniu Józewskiego decydująco zaważyła sprawa tzw. rewindykacji religijnej. Zaczęło się od wsi Hrynki, o której cudownym nawróceniu głośno było przez kilka tygodni w całej prasie polskiej. Zdarzyło się, że podczas jakichś uroczystości KOP ołtarz polowy, wzniesiony na terenach należących do wsi, został sprofanowany. Śledztwo, prowadzone niezbyt po wersalsku, powoduje delegację chłopów, błagających proboszcza sąsiedniej katolickiej parafii o wstawiennictwo. W księżulu odezwał się duch misjonarzy, nastąpiło porozumienie z dowódcą batalionu KOP i – o, cudzie! – cała wieś uroczyście przeszła na katolicyzm, przy czym przykładem i zachętą świecił, jako pierwszy nawróceniec, rosyjski eks-żandarm, w Hrynkach osiadły, o pięknie brzmiącym polskim i szlachackim nazwisku Achtiachtiarow. Niestety, w dwa tygodnie póź-

¹⁵² Stepan Skrypnyk (1898-1993), adiutant S. Petlury, poseł na Sejm RP (1930-1939). Kiedy owdowiał w 1942 r. został wyświęcony na biskupa połtawskiego i przybrał imię Mścisław. Od 1947 r. przebywał w Kanadzie, gdzie był metropolitą Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego w Kanadzie.

¹⁵³ Stepan Skrypnyk był w rzeczywistości synem Marianny Skrypnyk z domu Petlura, siostry S. Petlury.

niej trzy czwarte mieszkańców wsi – przy powszechnym kajaniu się i płaczu – powróciło do prawosławia. Ale księdzu proboszczowi i panu majorowi nikt już złotych krzyży zasługi nie odebrał.

Od tej chwili akcja rewindykacyjna zaczęła toczyć się szeroką falą po Wołyniu. Dochodziło do takich tragikomedii, jak historia chłopca Kościuka, osiemdziesięcioletniego dziada, w którego wmówiono, że jest polskim szlachcicem, pochodzącym w prostej linii od „generała Kościuszki”. Chłop przeszedł w tajemnicy przed rodziną na katolicyzm, ale przywitany w domu istnym piekłem i biciem garnków przez żonę, córki i świekry, ciężko się rozchorował i ani lekarz, ani – co gorsza – znachorka nie mogli mu pomóc. Zaintereniował pop, przedstawiając chorobę jako karę bożą, niedoszły Kościuszek wrócił na prawosławie i chorobę natychmiast zdjęło jak ręką. Potem z całego Wołynia ściągali pielgrzymki wiernych, aby ujrzyć cudownie nawróconego.

Józewski oparł się akcji „misjonarskiej” i to przechyliło szalę. Dowódca okręgu korpuśnego Lublin¹⁵⁴ zagroził po prostu Felicjanowi Sławojowi-Składkowskiemu,¹⁵⁵ że oficerowie garnizonu łuckiego zastrzelą wojewodę, jeśli nie zostanie on odwołany. Byli to zapewne ci sami patrioci, którzy na jubileuszu aktora Orłowskiego¹⁵⁶ uważali za wskazane przywitać sykaniem i tupaniem starego dyrektora ukraińskiego teatru,¹⁵⁷ gdy wyszedł na scenę, by złożyć życzenia jubilatowi.

Po odwołaniu Józewskiego nie miałem już co robić w Łucku. Wprawdzie „Wołyń” utrzymał się, ale zatracił swój bezkompromisowy charakter, a zresztą w zmienionych warunkach moja współpraca była dla pisma zbyt kompromitująca. Musiałem więc zbierać manatki, żegnany w ukraiñożerczym „Kurierze Wołyńskim” szy-

¹⁵⁴ Szefem DOK II w Lublinie od 20 XI 1934 r. był gen. Mieczysław Smorawiński (1893-1940).

¹⁵⁵ Sławoj Felicjan Składkowski (1885-1962), minister spraw wewnętrznych i premier RP w latach 1936-1939.

¹⁵⁶ Piotr Orłowski, aktor m.in. Teatru Wołyńskiego im. J. Słowackiego, gdzie występował w latach 1935-1938. Zmarł w czasie II wojny światowej.

¹⁵⁷ Mykoła Pewny (1887-1940), w 1928 r. stworzył Wołyński Ukraiński Teatr w Łucku i kierował nim do wybuchu II wojny światowej.

derczą parafrazą znanej pieśni ukraińskiej: *„O, ne hody, Hryciu, na tu Wołynyciu, bo na toji Wołynyci Lachiw hordy ptyci... [„Oj nie chodź Hryciu na ten Wołyń, bo na tym Wołyniu Lachów ptasie hordy”].* Zwolennicy rozwiązania kwestii ukraińskiej przez zapisanie wszystkich „tutejszych” do Związku Szlachty Zagrodowej święcili tryumf, a chłopcy wołyńscy mówili flegmatycznie, pijąc do nazwiska nowego wojewody, Aleksandra Haukego-Nowaka: *Budemo hawkaty po nowomu.*

Przeniósłszy się na stałe do Warszawy, zacząłem pisać dużo do „Wschodu” i „Myśli Polskiej”, a przede wszystkim do „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, z którym już współpracowałem poprzednio. Sporo tłumaczyłem, przygotowując powoli obszerną antologię poezji ukraińskiej od *Słowa o pułku Ihora* aż po *Olżycza*¹⁵⁸ i *Antonycza*.¹⁵⁹ Świetny poeta ukraiński, Jewhen Małaniuk,¹⁶⁰ zachęcił mnie do przełożenia fantastycznego dramatu Łesi Ukrainki *Leśna pieśń*. Przekład, nad którym praca wlokła się dłuższy czas, przerywana przez uboczne, głównie zarobkowe zajęcia, został ukończony w lecie 1939, i jedynie wybuch wojny przeszkodził wystawieniu tego pięknego utworu, nieustępującego literacko ani *Balladynie*, ani *Snowi nocy letniej*. Tymczasem przybywało coraz więcej wierszy na tematy ukraińskie, które złożyły się na całość pod symbolicznym tytułem *Złota Hramota* i miały wyjść tejże jesieni u Jakuba Mortkowicza. Niektóre z nich drukowałem w „Biuletynie Polsko-Ukraińskim” i w „Skamandrze”.

Działalność grupy wschodoznawczej nie mogła mieć większego znaczenia już choćby dlatego, że pracę krępowała zbytnia zależność od różnych ośrodków dyspozycyjnych, które wygrywały przelotne koniunktury, ale angażować się zbyt daleko nigdy nie chciały. Zbyt

¹⁵⁸ Ołeh Olżycz (1907-1944), poeta ukraiński, członek OUN.

¹⁵⁹ Bohdan-Ihor Antonycz (1909-1937), poeta i malarz ukraiński.

¹⁶⁰ Jewhen Małaniuk (1897-1968), poeta ukraiński. Walczył w armii ukraińskiej, m.in. jako adiutant gen. W. Tiutiunyka, następnie był internowany w Polsce i studiował w Czechosłowacji. W 1928 r. przyjechał do Polski. Był współzałożycielem grupy literackiej „Tank”, współpracował z wieloma czasopismami polskimi i ukraińskimi. Po 1945 r. mieszkał w Niemczech, a od 1949 r. w USA.

wiele było czynników, które nie tylko hamowały naszą pracę, ale wielokrotnie starały się ją sabotować i udaremniać. Pamiętam taki piękny i jakże charakterystyczny wypadek, gdy pewien prelegent¹⁶¹ pojechał z ramienia Towarzystwa Wiedzy Wojskowej do Tarnopola, aby wygłosić odczyt na temat sprawy ukraińskiej. Na polecenia dowódcy okręgu korpuśnego, który postanowił odczyt utrać, bojówka, złożona z członków Przynależności Wojskowej i Wychowania Fizycznego oczekiwała na dworcu, by obić miłego gościa i nie dopuścić do występu. Uprowadzony w porę prelegent przyjechał, zamiast pociągiem, samochodem – i cały plan spalił na panewce. Odczyt doszedł do skutku i pan generał z urzędu (Towarzystwo Wiedzy Wojskowej!) świecił na nim obecnością i słodko-kwaśną miną przymusowej uprzejmości. Warto dodać, że był to ten sam generał, który w kilka lat później jako jeden z pierwszych zgłosił się do Bieruta, łamiąc przysięgę wojskową – i w nagrodę otrzymał wdzięczną misję pacyfikacji leśnych oddziałów na terenie województwa białostockiego. Jakże się przydało doświadczenie z czasów urzędowania w Tarnopolu i „obrony kresów przed Ukraińcami”!...¹⁶²

Cenzura wobec spraw ukraińskich stawiała się z dnia na dzień coraz ostrzejsza. Nie było sposobu poinformowania opinii publicznej o gwałtach, jakie się działy w ciągu całego roku na Chełmszczyźnie, gdzie masowo burzono cerkwie i kaplice prawosławne, wyrzucano księży, rozpędzając broniące dostępu do świątyń tłumy. Bezmyślna administracja i brutalna soldateska złączyły się, by zlikwidować prawosławie w Lubelskim przy pomocy metod, dla których wzorów nie znajdziemy w prawdziwie polskiej tradycji. Wszelkie próby zbliżenia, przynajmniej na terenie kulturalnym, nie przynosiły rezultatów. Kędyś dałem do kolumny literackiej „Kuriera Porannego” wybór przekładów z młodej poezji ukraińskiej. W ostatniej chwili, już po korekcie, przekłady zostały wycofane, gdyż redaktor Ryszard

¹⁶¹ Prelegentem tym był Włodzimierz Bączkowski.

¹⁶² Chodzi o Gustawa Paszkiewicza (1892-1955), generała, który, po 1945 r. wrócił do Polski, wstąpił do WP i brał udział w zwalczaniu podziemia niepodległościowego i pacyfikacji Białostoczczyzny.

Piestrzyński¹⁶³ otrzymał list ze Lwowa o awanturach między polską i ukraińską ulicą. „Pan rozumie, w tej sytuacji”...

Zima z roku 1938 na 1939 wzbudziła wśród Ukraińców żywe nadzieje na doniosłe wypadki, korzystne dla sprawy narodowej. Pomoc, udzielona przez Niemców efemerycznej Ukrainie Zakarpackiej, powstałej na gruzach Czechosłowacji, napęła serca jak najdalej idącym optymizmem. W tym czasie redaktor „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, Bączkowski, pojechał do Berlina, by zorientować się w nastrojach niemieckich co do sprawy wschodniej. Wrócił pod wrażeniem, że Niemcy nie mają uczciwych zamiarów wobec Ukraińców i że w razie konfliktu z Rosją nie pójdą na posunięcia zakrojone na większą skalę. Sytuacja była paradoksalna: podczas gdy masy ukraińskie w Polsce liczyły na Trzecią Rzeszę, działacze ukraińscy z Berlina wyrażali w rozmowach z Bączkowskim nadzieję, że Polacy namówią Niemców na poważniejsze traktowanie sprawy ukraińskiej.

Tymczasem polskie władze wojskowe zajęte były organizowaniem dywersji na Rusi Zakarpackiej,¹⁶⁴ aby przypadkiem nie stracić jeszcze jednej okazji podsycenia wzajemnej nienawiści. Gdy w marcu, po zaciekłych walkach, Węgrzy zdobyli Huszt, broniony przez garść siczowców, i gdy nieliczne niedobitki usiłowały przedostać się wśród śnieżnej burzy do Polski, urządzono na nich prawdziwe polowanie w Czarnohorze, wystrzeliwując po górach i lasach wycieńczonych do ostatka zbiegów.

Sprawa Ukrainy Zakarpackiej poderwała w Ukraińcach zaufanie do Niemców. *Nimci hanebno nas obmanuły* [„Niemcy haniebnie nas oszukali”], oświadczył ksiądz Wołoszyn¹⁶⁵ dziennikarzom rumuńskim po przedostaniu się na Bukowinę. W kilka tygodni po tych wypadkach zaproponowano mi wyjazd na Zakarpacie,

¹⁶³ Ryszard Piestrzyński (1902-1962), redaktor naczelny „Kuriera Porannego” (od 1936), działacz narodowy, poseł na Sejm RP.

¹⁶⁴ Była to tzw. Akcja Łom, przeprowadzona przez Ekspozyturę 2 Oddziału II Sztabu Głównego w listopadzie 1938.

¹⁶⁵ Augustyn Wołoszyn (1874-1945), ks. grekokatolicki, działacz społeczny i polityczny ukraiński w Czechosłowacji, premier rządu Ukrainy Karpackiej (od 26 X 1938 r.), a następnie prezydent Karpato-Ukrainy (od 15 III 1939 r.).

dla zebrania materiałów na miejscu i napisania broszury antyniemieckiej, przeznaczonej dla Ukraińców. Już w Munkaczu¹⁶⁶ zauważyłem, że jestem śledzony przez jakiegoś osobnika. Postanowiłem go zgubić; udało mi się to między Husztem i Sewljuszem [obecnie Wynohradiw]. Znacznie później dowiedziałem się, że to organizatorzy podróży dodali mi opiekuna, by sprawdził, co będę robił na Zakarpaciu. Miałem ze sobą list polecający do konsula w Sewljuszu, ale okazało się, że konsulat zamknięto przed miesiącem, wobec czego musiałem sam szukać kontaktów i materiałów, niewprowadzony w teren przez nikogo. Ci sami panowie, którzy pamiętali o dodaniu mi anioła stróża, zapomnieli sprawdzić adres konsulatu, przeniesionego od dawna do Użhorodu.

Po powrocie do Warszawy naglono mnie bardzo o tę broszurę; po dziesięciu dniach złożyłem ją odpowiednim czynnikom. Z tym wszystkim, mimo że działo się to w początkach czerwca, broszura już się przed wojną nie ukazała. Zbyt wielu było referentów, przetrzymujących wszystkie sprawy w szufladach swoich biur. Aż któregoś dnia doręczono mi nakaz mobilizacyjny. Oczekiwany konflikt zbrojny stał się rzeczywistością.¹⁶⁷

[„Wiadomości” 1947 nr 13]

ZE WSPOMNIENÍ UKRAINOFIŁA LATA WOJENNE¹⁶⁸

W końcu września 1939 raz jeszcze odbywałem tę samą drogę, którą przebyłem ubiegłą wiosną, podczas mej niefortunnej wyprawy na Zakarpacie. Tyle, że teraz prowadziła ona w odwrotnym kierunku – przez Jasinę, Sewljusz i Huszt. Po przejściu w szeregach 10 pułku strzelców konnych przełęczą Tatarskiej, przejeżdżałem przez te

¹⁶⁶ Dziś: Mukaczewo.

¹⁶⁷ W jednym z numerów najbliższych „Wiadomości” dokończenie: *Lata wojenne* [przyp. redakcji „Wiadomości”].

¹⁶⁸ Por. *Lata przedwojenne*, w nr 52 „Wiadomości” [przyp. redakcji „Wiadomości”].

same wsie huculskie, które zwiedzałem przed pięcioma miesiącami. Tysiące Ukraińców uciekało tędy na Węgry i Słowaczczyznę, usiłując ratować się przed Moskalami. Rozgoryczenie skrajnych nacjonalistów w stosunku do Niemców było bezgraniczne. *Nykoły, nykoły my ne zabudemo, szcze Hitler widdaw na potalu czerwonym katam naszu Hałyczynu. Nykody! Nykody!* [Nigdy, nigdy nie zapomnimy, że Hitler oddał na zatracenie czerwonym katom naszą Hałyczynę. Nigdy! Nigdy!] – pisała ukraińska prasa w Kanadzie.

W Paryżu wydawało się w pierwszej chwili, że „Regina”¹⁶⁹ pójdzie na robienie porozumienia polsko-ukraińskiego. Olgierd Górka¹⁷⁰ roztaczał ożywioną działalność w hotelowych korytarzach, przyjechał Włodzimierz Sołowij,¹⁷¹ przebąkiwano o wydobyciu z obozu w Coëtquidan¹⁷² Adolfa Bocheńskiego.¹⁷³ Oczywiście, skończyło się na gadaniu.

Ktoregoś dnia otrzymuję pilny telefon. Pan radca X zamawia u mnie dwie ulotki. Jedną w języku ukraińskim, przeznaczoną dla ludności Wołynia i Ziemi Czerwieńskiej, drugą po rosyjsku, dla armii okupacyjnej.

– Ale pośpiech, drogi panie, pośpiech, bo to szkoda każdej chwili, drukarnia już czeka, a potem będziemy zrzucali z samolotów.

Następnego dnia ulotki były gotowe i doręczone. W trzy miesiące z górą, na początku lutego 1940 roku, znajduję się gabinetem p. ministra Stanisława Kota,¹⁷⁴ który podsuwa mi moje rodzone ulotki i prosi o wydanie o nich opinii.

¹⁶⁹ W 1939 roku w Hotelu „Regina” w Paryżu mieściła się siedziba Sztabu Naczelnego Wodza i Ministerstwa Spraw Wojskowych, gen. Władysława Sikorskiego.

¹⁷⁰ Olgierd Górka (1887-1955), historyk, sekretarz jednej z ważniejszych placówek prometejskich - Instytutu Wschodniego w Warszawie.

¹⁷¹ Wołodmyr Sołowij (1891-1958), polityk ukraiński, zwolennik URL.

¹⁷² Obóz wojskowy w Coëtquidan (departament Morbihan), miejsce stacjonowania Wojska Polskiego we Francji (IX 1939 – 17 VI 1940 r.).

¹⁷³ Adolf Maria Bocheński (1909-1944), pisarz, publicysta. Działacz Związku Akademickiego „Myśl Mocarstwowa”, redaktor i publicysta „Buntu Młodych” i „Polityki”. Walczył w kampanii wrześniowej 1939 r., a następnie w szeregach Brygady Podhalańskiej i Pułku Ułanów Karpaccich, zginął pod Ankoną.

¹⁷⁴ Stanisław Kot (1885-1975), historyk, minister w rządzie gen. W. Sikorskiego (od 9 XII 1939 r.).

– Ewentualnie proszę przerobić. Ale jak najszybciej, bo to przeznaczone na zrzuty z samolotów. Drukarnia już czeka, itd.

Odezwy, na które czekały i maszyny rotacyjne, i samoloty, przeleżały cały kwartał pod sukniem, zanim sobie o nich przypomniano. Jak na czasy wojny błyskawicznej, było to tempo zaiste budujące.

Cała ta historia miała finał tyleż niespodziewany, ile malowniczy. Gdy w jakiś czas później aresztowano mnie pod zarzutem, niemającym zresztą nic wspólnego z poruszonymi tematami,¹⁷⁵ przy rewizji w pokoju hotelowym znaleziono między innymi papierzyškami oryginały owych nieszczęsnych ulotek.¹⁷⁶ Kpt. Moissac,¹⁷⁷ prowadzący śledztwo, przyjął do wiadomości moje tłumaczenie, ale dla pewności posłał komisarza do ministra Kota, by sprawdzić moje informacje. Pan minister początkowo w ogóle nie chciał z nikim rozmawiać, a następnie odpowiedział przez woźnego, że o żadnych ulotkach nic nie wie i że nigdy ich nie polecał ani pisać, ani poprawiać. Kpt. Moissac rozłożył bezradnie ręce:

– Jeśli własny minister pana się wypiera, cóż ja mogę uczynić?...

Wśród emigrantów ukraińskich w Paryżu, wybijał się na pierwszy plan stary [Ołeksandr] Szulhyn,¹⁷⁸ niegdyś wybitny działacz polityczny, człowiek o wielkiej kulturze osobistej i rozległych horyzontach myślowych. Był to jeden z nielicznych Ukraińców, którzy od pierwszej chwili zorientowali się dokładnie co do wartości obietnic, czynionych przez nazizm. Od pierwszego dnia wojny Szulhyn prowadził w kierowanych przez niego czasopismach ostrą kampanię antyniemiecką, z góry przewidując rozwój wypadków wojen-

¹⁷⁵ Józef Łobodowski został zatrzymany w nocy z 20 na 21 II 1940 r. Na temat powodów aresztowania patrz: P. Libera, *Aresztowanie i okres paryski w życiu Józefa Łobodowskiego w 1940 roku*, op. cit.

¹⁷⁶ Niejasne. Protokół sporządzony przez policję, która przeprowadziła rewizję w pokoju hotelowym Łobodowskiego, nie zawiera informacji o znalezieniu ulotek.

¹⁷⁷ Moissac de, kapitan, sędzia śledczy 3 Trybunału Wojskowego w Paryżu, znany z procesu wytoczonego w marcu 1940 roku deputowanym komunistycznym, (po delegalizacji partii – dekretem z 26 IX 1939).

¹⁷⁸ Ołeksandr Szulhyn (1889-1960), minister spraw zagranicznych URL na uchodźstwie (1926-1936, 1939-1940), przewodniczący Głównej Rady Emigracyjnej (1929-1939), redaktor naczelny pisma „Le Promethée”.

nych i przeciwstawiając się zdecydowanie ideologii Niemiec nazistowskich. Po zajęciu Paryża przez Niemców stary działacz zapłacił za swą bezkompromisową postawę więzieniem i niepowetowaną utratą bogatego archiwum, będącego jedynym w swoim rodzaju zbiorem dokumentów historycznych, jednokrotnie zachowanych w jednym tylko egzemplarzu.

W styczniu policja francuska aresztowała Ihnata Biłego,¹⁷⁹ przywódcę separatystów kubańskich, blisko skontaktowanego – co tu ukrywać! – z polską ekspozyturą,¹⁸⁰ zainteresowaną sprawami narodowościowymi na terenie Rosji sowieckiej. Biłyj, piastujący na emigracji tytuł „pochodnego atamana Wojska Kozaków Kubańskich”, wydawał czasopismo dwujęzyczne „Wolnoje Kazaczestwo – Wolne Kozactwo”, propagując ideę niepodległego państwa kozackiego na ziemiach Donu, Kubania i Tereku. Był to ciekawy typ utopisty politycznego, który całe życie zaprzął w służbę swej ukochanej chimery, szczerze oddanego Polsce i namiętnie nienawidzącego Rosji i Moskali. Naturalnie, jego osoba była od dawna solą w oku białej emigracji rosyjskiej, zawsze znajdującej wspólny front z bolszewikami, gdy chodziło o obronę „jedynoj i niedielimoj”. Zadenuncjowany przed Francuzami za kontakty z wywiadem niemieckim (podobno sam pan gen. Denikin fatygował się w tej sprawie), poszedł do więzienia i na próżno jego polscy przyjaciele starali się o wyjaśnienie tej sprawy. Interwencja polskich władz wojskowych byłaby tu decydująca, ale „Regina” orzekła, że jest to „agent sanacyjny” – i odmówiła wszelkiej pomocy. W rezultacie nieszczęsny Biłyj pojechał do obozu koncentracyjnego w Algierze, gdzie miał sporo czasu do rozmyślenia nad korzyściami wypływającymi ze współpracy z Polakami.

Przyszła klęska czerwcową i skończył się emigracyjny Paryż. W końcu września tegoż roku znalazłem się w obozie dla demobi-

¹⁷⁹ Ihnat Biłyj (1887-1973), kozak kubański, działacz ruchu wolnokozackiego, okresowo współpracował z ruchem prometejskim.

¹⁸⁰ Chodzi o Ekspozyturę 2 Oddziału II Sztabu Głównego, która zajmowała się sprawami prometejskimi i z którą kontaktował się Ihnat Biłyj.

lizujących się żołnierzy polskich, gdzie czekało mnie jeszcze jedno niewesołe doświadczenie. Było to w Camp de Livron,¹⁸¹ koło Caylus. Wydawałem tam wraz z prof. Henrykiem Palmbachem,¹⁸² zamęczonym później przez Niemców w Mauthausen, czasopismo polityczno-literackie „Wrócimy”,¹⁸³ odbijane na obozowym roneo. W trzecim, obszernym numerze, gdy pismo już się nieźle rozwinęło i zaczęło rozchodzić się po całej Francji nieokupowanej, zamieściłem artykuł o sprawie ukraińskiej, który wywołał burzę. Komendant obozu – niech niepamięć jego imienia będzie mu lekka! – zarządził konfiskatę numeru, mimo że pismo było nielegalne i że nie było możliwości wykonania rozkazu, a Tuluza – tu się kłaniam pięknie Witoldowi Nowosadowi¹⁸⁴ – cofnęła mi 500-frankowy zasiłek, wypłacany dotychczas jako rekompensata za prowadzenie pracy kulturalno-oświatowej. „O sprawie ukraińskiej – oświadczyła mi twardo władza wojskowa – będziemy rozmawiali i dyskutowali po zwycięskim zakończeniu wojny i po powrocie do Kraju. Teraz byłoby to i przedwczesne, i szkodliwe”.

Wiadomości, przesączające się z Polski i Ukrainy, były coraz groźniejsze i niepokojące. Podobnie jak na emigracji, również w Kraju nie doszło do porozumienia na tym odcinku, a pamięć świeżo przelanej krwi po jednej i drugiej stronie była wciąż silniejsza niż świadomość wspólnych interesów wobec wspólnego nie-

¹⁸¹ Obóz dla zdemobilizowanych żołnierzy polskich przebywających na terenie Francji po czerwcu 1940 r.

¹⁸² Henryk Palmbach (1894–3 V 1945 lub VII 1944), w latach 1922–1923 nauczyciel języka polskiego w Szkole Cecylii Plater-Zyberk w Warszawie, nauczał również w Szkole Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej, następnie do 1 IX 1939 pracownik Konsulatu Generalnego RP w Paryżu.

¹⁸³ „Wrócimy” ukazywało się od 1 XII 1940 do 1942 r., ukazało się 10 numerów czasopisma, pierwsze (nr 1-7) ukazały się pod redakcją J. Łobodowskiego, następne (nr 8-10) pod redakcją H. Palmbacha.

¹⁸⁴ Witold Nowosad (1913-1998) działacz Młodzieży Wszechpolskiej we Lwowie, publicysta „Prosto z Mostu” i „ABC”, w czasie II wojny światowej pracował w PCK we Francji, brał udział w francuskim ruchu oporu, po wojnie został na emigracji. Zmarł w Paryżu.

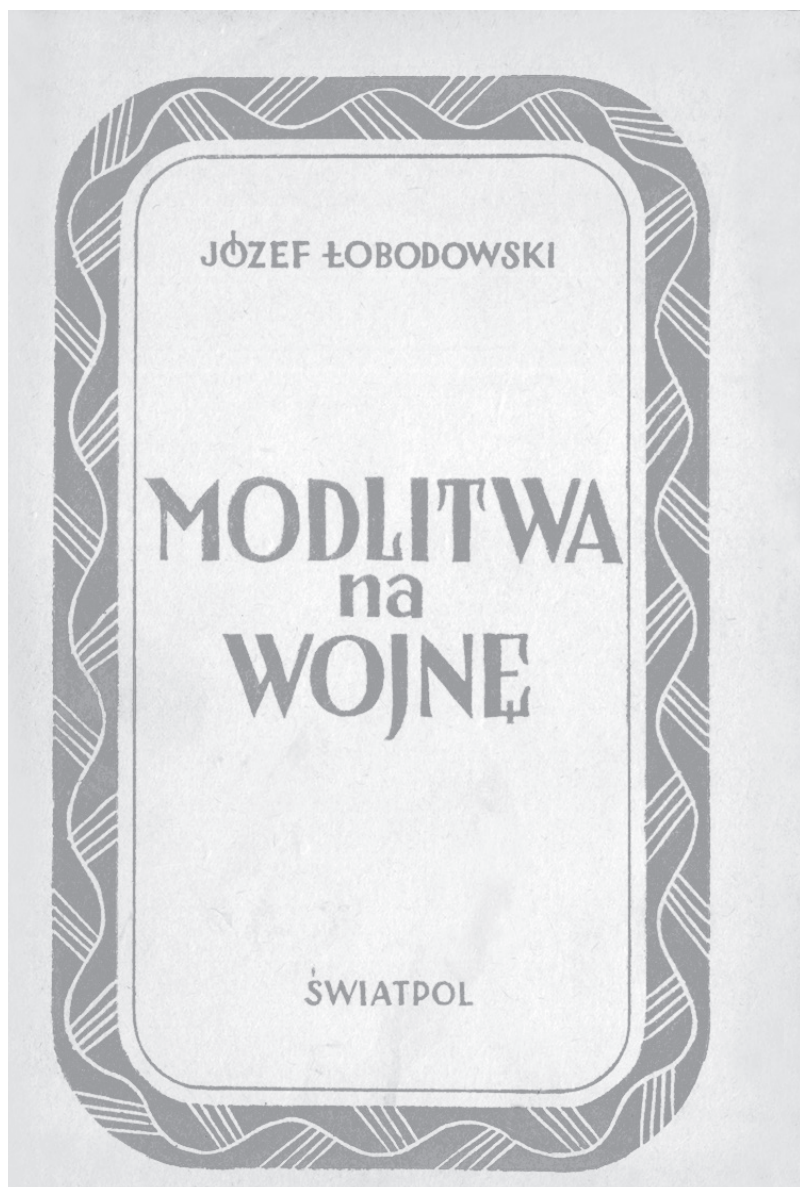
bezpieczeństwa. Maksyma metropolity Andrzeja Szeptyckiego,¹⁸⁵ wypowiedziana przy jakiejś okazji do młodzieży ukraińskiej: „Gdy dżungla się pali, zwierzęta się nie gryzą”, najwidoczniej nie znajdowała wielu zwolenników. Zachowanie się ukraińskich esesmanów w obozach koncentracyjnych i w czasie warszawskiego powstania dokonało reszty w uczuciowym nastawieniu społeczeństwa. Skrajne żywioły ukraińskie brały okrutny odwet za Berezę Kartuską,¹⁸⁶ za szaleńczą głupotę rewindykacji, za nędzną akcją dywersyjną na Zakarpaciu... Fatalny krąg bratobójczego konfliktu raz jeszcze zamykał się krwią i nienawiścią.

Od pierwszych miesięcy wojny nosiłem się z myślą przedostania się do Kraju. Myślałem, że jeśli jest na terenie stosunków polsko-ukraińskich coś do zrobienia, mogę okazać się pożytecznym zarówno ze względu na znajomość zagadnienia, jak na rozgałęzione stosunki polityczne i osobiste wśród Ukraińców. Zamiar ten dojrzał ostatecznie w lecie 1941 roku, a wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej nadał mu nowy impuls. Trudno mi było interesować tą sprawą polskie czynniki rządowe na odległość, postanowiłem więc dostać się do Londynu. Tak urodziła się moja wyprawa hiszpańska. Po szczęśliwym przejściu Pirenejów, gdy już wydawało się, że dostanę się bez większych trudności do Madrytu, poślizgnęła mi się noga i zamiast pojechać na wschód, ugrzęzłem na przeszło rok w więzieniu w Figueras.¹⁸⁷ Ale zamiaru uparcie nie poniechałem i po wyjściu na wolność zacząłem różnymi drogami bombardować Londyn

¹⁸⁵ Andrzej Szeptycki (1865-1944), biskup grekokatolicki, arcybiskup metropolita lwowski i halicki (1900-1944).

¹⁸⁶ Miejsce odosobnienia w Berezie Kartuskiej zostało utworzone z inicjatywy premiera Leona Kozłowskiego rozporządzeniem z mocą ustawy prezydenta I. Mościckiego z 17 czerwca 1934 roku. Miało umożliwić osadzenie w trybie decyzji administracyjnej osób zagrażających bezpieczeństwu i lub porządkowi publicz-nemu. Osadzano w nim przede wszystkim komunistów oraz działaczy polskiego ruchu narodowego i członków nacjonalistycznych organizacji ukraińskich, a następnie także i winnych wykroczeń skarbowych i malwersacji.

¹⁸⁷ Józef Łobodowski i towarzyszący mu Zygmunt Kubiński zostali aresztowani w nocy z 20 na 21 sierpnia 1941 roku na drodze pomiędzy Figueras a Geroną. W więzieniu w Figueras Łobodowski przebywał do 17 lutego 1943 r.



Okładka tomu wierszy z lat 1940-1942, wydany w 1947 r. w Londynie, przez Światowy Związek Polaków za Granicą. Ze zbiorów Pawła Libery.

w sprawie wyjazdu. Dawano mi mgliste obietnice, nie odmawiając wręcz, potem nastąpiło milczenie. Gdy nalegałem, odpowiadało mi wreszcie uprzejmą propozycją wyjazdu na... Maderę. Doskonałe warunki finansowe. Cel: poratowanie zdrowia. Czyli Wyspa Węzów¹⁸⁸ w luksusowym wydaniu. Tak się skończyły moje marzenia o odegraniu roli emisariusza ugody polsko-ukraińskiej.

Na pamiątkę wszystkich porażek i klęsk, niespełnionych zamiarów i rozczarowań została mi garść wierszy, przekładów i artykułów, jak wieniec żałobnych kwiatów, rzuconych na trumnę daremnych marzeń. Tak już widać sądzono, że w kraju emocjonalistów, gdzie myśl polityczna „nie trwa nawet godziny”, tylko jedna poezja ratuje się z powszechnych katastrof. Z perspektywy tylu lat widać jasno, że na odcinku polsko-ukraińskim jedynie poezja szukała uporczywie Hadziacza i Konotopu, Krzemieńca i Kisielina. Politycy zawsze zawracali na krwawe drogi, prowadzące ku Humaniovi i Żółtym Wodom. Na większą chwałę i potęgę Moskwy białokamiennej.

[„Wiadomości” 1947 nr 13 i 16.]

SPRAWA UKRAIŃSKA

Kiedyś Doncow¹⁸⁹ napisał w swoim „Wistnyku”, że Ukraińcy m.in. dlatego nie oczekują niczego od Polski, ponieważ odrodzona Rzeczpospolita nie wytworzyła żadnej idei o dostatecznej sile przyciągającej, ponieważ nie była w stanie żadnemu z sąsiednich narodów niczym zaimponować. Stary ideolog ukraińskiego nacjona-

¹⁸⁸ Wyspa Węzy, polskie określenie szkockiej wyspy Bute, gdzie znajdowały się dwa obozy karne dla żołnierzy i oficerów Polskich Sił Zbrojnych, podejrzewanych przez zwolenników gen. W. Sikorskiego o sprzyjanie sanacji.

¹⁸⁹ Dmytro Doncow (1883-1973), ukraiński polityk i publicysta, główny ideolog ukraińskiego nacjonalizmu. Wydawał we Lwowie „Wistnyk” (1933-1939), który nawiązywał do utworzonego z inicjatywy M. Hruszewskiego „Literaturno-naukowego wistnyka” (1898-1932), czasopisma wydawanego przez Naukowe Towarzystwo im. T. Szewczenki we Lwowie.

lizmu miał niewątpliwie sporo racji, ale nie dostrzegając, że sam wpada w te wilcze doły, na których wykoleiła się polska myśl państwowa, dobrowolnie odchodząca od tradycji jagiellońskich, aby zamknąć się w ciasnym partykularzu doktryny nie tyle już narodowej ile po prostu etnograficznej. Nacjonalizm ukraiński wziął się powtórzyć na swoim podwórku wszystkie błędy endeckie, a że powtarzał je w mniejszej skali, bo mniejsze miał możliwości, więc osiągnął rezultaty jeszcze skrajniejsze. Chciała ironia losu, że Dmowski, któremu nie udało się opanować całego narodu polskiego, bo na przeszkodzie stało zbyt wiele potężnych mitów historycznych, znalazł najkonsekwentniejszych, choć nieświadomych, naśladowców właśnie na podwórku ukraińskim. Historia zna i – powiedziałbym – nawet lubi bawić się takimi ideologicznymi bumerangami.

Z tym wszystkim porównanie musi wypaść na naszą niekorzyść. Strona polska ponosi większą odpowiedzialność z tej prostej racji, że jesteśmy narodem starszym, o bogatszej kulturze, większym doświadczeniu i długoletniej tradycji państwowej. Myśmy w naszej walce o odzyskanie niepodległości mieli za sobą przeszło osiem wieków nieprzerwanego istnienia państwowego, Ukraińcy musieli w tym samym czasie zaczynać niemal od początku. Nasz nacjonalizm otrzymał na zaspokojenie swych ambicji niepodległość i wojsko, sztandary i defilady, polskiego policjanta na rogu i polskich sportowców na olimpiadach, LOPP¹⁹⁰ i KOP,¹⁹¹ Akademię Literatury¹⁹² i ucyndrowanych panów w Lidze Narodów. Ukraińcy tego wszystkiego nie mieli, szukali więc natychmiastowej rekompensaty, a w ich położeniu skrajny nacjonalizm był po prostu formą samoobrony, choć w konsekwencji prowadził do katastrofalnych rezultatów. Dołączył się kompleks krzywdy. Niech polski żołnierz spod Monte Cassino i Arnheim, mieszkający dziś w „beczce śmiechu”, pomyśli o petlurowcach, którzy w roku 1920 bronili boha-

¹⁹⁰ Liga Obrony Przeciwpowietrznej i Przeciwgazowej (1928-1939).

¹⁹¹ Korpus Ochrony Pogranicza (1924-1939).

¹⁹² Polska Akademia Literatury (1933-1939).

terko polskiego Zamościa (vide: rozkazy wodza naczelnego i księżka gen. Tadeusza Kutrzeby¹⁹³), a potem poszli za druty, by na deser czytać o sobie niktzemne kalumnie w „Ikacu”.¹⁹⁴ Ja tu nie rozgłaszam wybryków ukraińskiej ulicy – nad którymi jako kresowiec mający te sprawy nie w głębie, ale na sercu, nigdy nie przestałem głęboko boleć – ja tylko wskazuję na fakt, że strona polska stale i konsekwentnie dolewała oliwy do bratobójczego ognia. W tym psychologicznym klimacie „doncowszczyznę” ukraińską dużo łatwiej zrozumieć i usprawiedliwić, niż jej polski odpowiednik w postaci „dmowszczyzny”.

Nie rozumiano w Warszawie, jakże więc miano rozumieć we Lwowie, że nacjonalizm to tylko podstawa, punkt wyjścia, że nie wystarczy powiedzieć: „Kocham Polskę” czy „Kocham Ukrainę” – aby nabyć prawa do istnienia historycznego. Historii, jak kobiecie, trzeba zaimponować, aby ją zdobyć. Kłótnią o halicko-wołyńskie podwórko nikomu na świecie nie zaimponuje.

Czytam tu na madryckim bruku piękne i mądre słowa d’Orsa,¹⁹⁵ współczesnego filozofa hiszpańskiego, zastanawiającego się nad pojęciem ojczyzny: „Niegdyś ideolodzy sądzili, że ojczyznę determinuje geografia i historia, rasa i środowisko, coś określonego przez rzeczywistość, przez siłę niewątpliwą samych faktów. Jakież ciężki błąd! Nie postulaty przypadkowości, ale postulaty celowości określają ojczyznę. Żadna siła mechaniczna nie zdoła jej określić. Nie wystarczy odczuwać jej, trzeba ją tworzyć. Jest naszym przeznaczeniem i wolnością jednocześnie. Jest jak dążenie ku czemuś, co znajduje się na łonie wieczności. Ojczyzna jest eksplozją historii, usiłującą wznieść się ku gwiazdom”. Twórcy unii horodelskiej nie zdobyliby się, być może, na podobne określenia, ale któż ośmielił się zaprzeczyć, że według nich czuli i działali! A jak w świetle powyższych słów wygląda konflikt polsko-ukraiński, jak wyglądają nasze nędzne winy, poczęte w samobójczej bezmyślności?! Oba narody

¹⁹³ T. Kutrzeba, *Wyprawa kijowska 1920 roku*, Warszawa 1937.

¹⁹⁴ „Ilustrowany Kurier Codzienny”, który ukazywał się w Krakowie (1910-1939).

¹⁹⁵ Eugeni d’Ors (1881-1954), filozof hiszpański.

popęlniły śmiertelny grzech przeciw Duchowi Świętemu, własnej historii – a to trochę gorzej niż przelana krew, nadużycia i krzywdy, gorzej niż wszelkie rzezie, bunty, pacyfikacje i odwety.

Krwawa łaźnia ostatnich lat nie przeszła jednak na próżno, przynajmniej jeśli chodzi o publicystykę polską. Właśnie w środowisku Stronnictwa Narodowego, które najbardziej nagrzeszyło pod tym względem, coraz częściej odzywają się głosy zrywające odważnie i zdecydowanie z dotychczasowymi błędami. „Jasne się staje – pisał niedawno Marian Rojek¹⁹⁶ w «Myśli Polskiej» – że naród jest naturalną wspólnotą nie tylko krwi i tego samego pochodzenia, ale tego samego świata wyobrażeń, tradycji, przeżyć w przeszłości, ideałów na przyszłość”. Inaczej ułożyłoby się współzycie z Ukraińcami i Białorusinami, gdyby w okresie drugiej Rzeczypospolitej stanęło się na takim stanowisku, wyciągając z niego odpowiednie wnioski praktyczne.

Jeśli oba narody zechcą nadal szermować nacjonalizmem etnograficznym, opartym na pierwiastkach biologicznych, nie będą w stanie uczynić ani jednego kroku naprzód. Co tu pomoże etnografia, gdy na naszych oczach Lwów staje się miastem moskiewsko-mongolskim, a kto wie, czy za lat kilka nie podzieli tego losu cała Ziemia Czerwieńska? Daj wtedy, Boże, zdrowie tym wszystkim, co wołają nieprzejednani, jedni – „Małopolska Wschodnia!”, drudzy – „Hałyczyna!”.

Po tragedii wrześniowej wydawało się, że nastąpi wreszcie jakieś porozumienie, ale właściwa chwila została zmarnowana i po upływie siedmiu przeszło lat znowu stoimy z pustymi rękami. Zawodowi uczuciowcy dotąd jeszcze nie potrafili wpaść na pomysł, że my wszyscy, którzyśmy znaleźli się w worku sowieckim, nie możemy sobie pozwolić na luksus całkowicie niezależnego działania. Że nie możemy podstawiać żabich nówek do kucia każde z osobna, że koordynacja wszelkich wysiłków jest zasadniczym warunkiem skuteczności. Jak dotychczas, antyrosyjska propaganda polska

¹⁹⁶ Marian Rojek (1905-1968), działacz narodowy, członek władz Stronnictwa Narodowego, po 1945 r. przebywał na emigracji w USA.

i ukraińska włązą sobie w paradę na każdym kroku, częstokroć osiągając rezultaty wręcz przeciwne od zamierzonych. Ale cóż tu marzyć o jakiejś koordynacji, skoro trzeźwa znajomość położenia każe stwierdzić bez ogródek, że po dziś dzień, po tylu doświadczeniach i katastrofach, w świadomości wielu Polaków Ukraińcy są gorszymi wrogami od Moskali, a dla wielu Ukraińców Polska pozostała wrogiem numer jeden. Gdy po jednej stronie całe pokolenia wychowywały się na Sienkiewiczowskich malowankach,¹⁹⁷ a po drugiej na pseudohistorycznych bzdurach *Tarasa Bulby*,¹⁹⁸ nic dziwnego, że przepaść wzajemnej niechęci i niezrozumienia musiała pogłębiać się coraz bardziej. Klucz zagadnienia jest ukryty raczej na terenie psychologii zbiorowej niż polityki, daremne więc będą wszelkie wysiłki porozumienia politycznego, jeśli ich nie poprzedzi uczciwe umiejscowienie przyczyn wrogości.

Nacjonalizm ukraiński jest zjawiskiem najzupełniej normalnym, ale skrajne formy, w jakich się ujawnia, mają charakter anachroniczny. Ukraińcy spóźnili się na autobus i upierają się, by czekać na następny – który nigdy nie nadejdzie. Jest to los tych wszystkich narodów, które z braku własnej państwowości nie mogły wyżyć się politycznie i koniecznie chcą odrobić stracony czas. Jak gdyby powrót do przeszłości był możliwy. Narodów Europy Środkowo-Wschodniej nie stać w warunkach współczesnych na hermetyczną suwerenność. Albo, poświęcając podwórkowe ambicje, stworzą jedną wielką rodzinę, dostatecznie silną, by przeciwstawić się każdej kolejnej fali imperialistycznej – albo będą na wieki chodząc w obcym chomącie. Nawracam tu do tyle dyskutowanej idei tzw. międzymorza, z tą przecież zasadniczą poprawką, że bez krajów pontyjskich projektowana wspólnota będzie tworem poronionym, bo niezdolnym do obrony od Wschodu. Otóż Ukraińcom trudniej niż innym zgodzić się na taką koncepcję, gdyż ciągle im się wydaje, że to znowu odbędzie się ich kosztem.

¹⁹⁷ Aluzja do błędów i sposobu przedstawienia stosunków polsko-kozackich w *Trylogii* H. Sienkiewicza.

¹⁹⁸ Chodzi o powieść *Taras Bulba*, autorstwa N. Gogola (1850).

Decydujące bodaj znaczenie ma pod tym względem fakt daleko idącego sfalszowania historii stosunków polsko-ukraińskich.

Młode pokolenie ukraińskie (to samo da się powiedzieć o Białorusinach i Litwinach) wychowało się na tezie, że unie były oszustwem ze strony polskiej, a procesy polonizacyjne miały typowy charakter zaborczej infiltracji imperialistycznej. Cały wysiłek ideologów skrajnego nacjonalizmu skierowany był ku utrwaleniu przekonania, że współzycie obydwu narodów pod strzechą jagiellońską nie istniało. Że po prostu Ukraina została przez Polskę podbita i [była] kolonizowana – zupełnie tak samo, jak nieco później została podbita przez Moskwę. Wnioski są proste: „Polacy powinni dla wspólnego dobra zrzec się tego, co niegdyś zrabowali, ustalić granicę na Sanie i Bugu, i dopiero wtedy możemy być ewentualnie przyjaciółmi”. Większość ukraińskich propagandystów, rozmawiając z cudzoziemcami o zagadnieniach Ziemi Czerwieńskiej sprzed wojny, używa z reguły terminu „polska okupacja”. Statystykę przyrządza się tak, że Polaków nawet z łupą na tych ziemiach nie znajdzie. Zawsze te pięć milionów Ukraińców między Sanem i Zbruczem! Z „Rocznikiem Statystycznym” w rękę łatwo obliczyć, że w roku 1939 na terenie trzech województw południowo-wschodnich (bez czysto polskich powiatów zasańskich, jak Kolbuszowa, Łańcut, Rzeszów itd.), było około sześć milionów mieszkańców. Ponieważ ponad sześćset tysięcy odpada na Żydów, i dalsze kilkadziesiąt tysięcy na Niemców, Ormian, Rosjan itd., wynika, że przyjmując owe pięć milionów Ukraińców, na Polaków pozostaje niecałe trzysta tysięcy. Ledwie starczy na Lwów! Cóż tam mówić o reszcie!

Staranne usuwanie wszystkich momentów, które nie odpowiadają tezie naczelnej, doprowadza do tego, że na przykład w obszernym artykule, omawiającym powstanie Bractwa św. św. Cyryla i Metodego,¹⁹⁹ nie ma nawet wzmianki o literaturze polskiej. Ilekroć

¹⁹⁹ Bractwo św. Cyryla i Metodego (1845-1847), organizacja utworzona przez studentów ukraińskich, głosiła ideę zjednoczenia narodów słowiańskich w jednym państwie. Wśród członków Bractwa było wielu pisarzy i działaczy ukraińskich, m.in. T. Szewczenko i P. Kulisz. Na kształtowanie się idei Bractwa wpływ miała literatura polska (por. S. Kozak, *Ukraińscy spiskowcy i mesjaniści. Bractwo Cyryla i Metodego*, Warszawa 1990).

publicystyka ukraińska – wszystko jedno czy mówi do swoich, czy do obcych – wspomina Polskę, zawsze tylko po to, by upomnieć się o jeszcze jedną krzywdę, doznaną z tej strony. Toteż pisarz polski, wymyślający własnej ojczyźnie za niewłaściwy stosunek do sprawy ukraińskiej i namawiający od lat do zgody, znajduje się właściwie na ziemi niczyjej, zewsząd ostrzeliwanej. Siedzi okrakiem na barykadzie, dostając co chwila w łeb kamieniem to od jednych, to od drugich.

W ocenie stosunków na Rusi za czasów Rzeczypospolitej krytyczna myśl ukraińska popełnia ten zasadniczy błąd, że do zjawisk, które zachodziły w XVI czy XVII wieku, przykłada sprawdziany współczesne. Procesy polonizacyjne nie mogły mieć ówczesnie ostrza nacjonalistycznego z tej prostej racji, że nacjonalizm w nowoczesnym znaczeniu tego słowa nie istniał. Jeszcze Zygmunt August, który doprowadził do unii lubelskiej,²⁰⁰ tak złośliwie potraktowanej przez znaczny odłam historiozofującej publicystyki ukraińskiej, pisał listy do matki po białorusku, a jeśli w sto lat później takie zjawisko byłby już niemożliwe, to wcale nie dlatego, że w Wilnie zaczął urzędować jakiś siedemnastowieczny Bociański,²⁰¹ zabraniający chłopom tańczenia lawonichy i metelcy. Gdy wraz z upadkiem Bizancjum wyschły dotychczasowe źródła kulturalne, Ruś zwróciła się ku Zachodowi – i rolę pośrednika odegrała naturalnym biegiem wypadków Polska. Gdyby nie ściśle z nią związki, nie czytano by Horacego w Akademii Mohylańskiej, a tym samym nie byłoby w następstwie mazepiańskiego Baturynu,²⁰² a potem

²⁰⁰ Unia Lubelska (1 VII 1569) była momentem narodzin Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

²⁰¹ Aluzja do Ludwika Bociańskiego (1892-1970), który jako wojewoda wileński zasłynął restrykcyjną polityką wobec mniejszości litewskiej w Polsce (polityka ta była prowadzona m.in. na wniosek MSZ).

²⁰² W drugiej połowie XVII w. Baturyn był siedzibą hetmanów kozackich Ukrainy lewo-brzeżnej. W 1708 r. hetman Iwan Mazepa zawarł w Baturynie sojusz z królem Szwecji Karolem XII i królem Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Stanisławem Leszczyńskim u wystąpił przeciwko Rosji.

Skoworody²⁰³ i Kotlarewskiego.²⁰⁴ Unia hadziacka,²⁰⁵ ostateczna konsekwencja horodelskiej,²⁰⁶ przyszła niestety za późno i już nie została wprowadzona w życie. Ale Horodło i Lublin działały przynajmniej tyle, że Perejasław²⁰⁷ i Andruszów²⁰⁸ nastąpiły dopiero w drugiej połowie XVII wieku. Czy wygrała na tym Ukraina czy przegrała? Warto zastanowić się, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby Kijów o dwieście lat wcześniej dostał się pod panowanie moskiewskie. Wszystkie tragiczne błędy – popełnione przez stronę polską – nie zmieniają faktu, że w granicach Rzeczypospolitej kultura ukraińska rozwijała się i świadomość narodowa rosła, a kapitał ówczesnie nagromadzony pozwolił Ukrainie utrzymać się w moskiewskim potopie aż do ponownego odrodzenia.

Nie było też sprawą zwykłego przypadku, że odrodzenie narodowe Ukrainy miało tyle związków ideowo-politycznych z Polską. Pomimo straszliwych wspomnień, przelanej krwi i nienawistnych porachunków, było coś w atmosferze tych czasów, co kazało Słowackiemu pisać o Matce-Ukrainie, a Szewczence wyciągnąć braterską dłoń ku współtowarzyszom moskiewskiego więzienia. Gdyby teza o „okupacji polskiej” była słuszna, gdyby w tradycjach jagiellońskich nie tkwiło tyle najszczęśliwszego złota prawdziwej moralności

²⁰³ Hryhoryj Skoworoda (1722-1794), poeta i filozof ukraiński, odegrał ważną rolę w rozwoju ukraińskiej kultury.

²⁰⁴ Iwan Kotlarewskij (1769-1838), poeta i dramaturg ukraiński, autor satyrycznej trawestacji *Eneidy* Wergilijusza (1798).

²⁰⁵ Unia w Hadziaczu została zawarta 16 IX 1658 r. pomiędzy Rzeczpospolitą Obojga Narodów a Kozackim Wojskiem Zaporoskim i miała przekształcić Rzeczpospolitą w państwo składające się z: Korony, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Księstwa Ruskiego. Z powodu interwencji rosyjskiej, która doprowadziła do upadku hetmana Iwana Wyhowskiego, unia ta nie doszła do skutku.

²⁰⁶ Unia w Horodle zawarta 2 X 1413 r. pomiędzy Koroną Królestwa Polskiego a Wielkim Księstwem Litewskim była utwierdzeniem i rozwinięciem ustaleń unii w Krewie (1385).

²⁰⁷ Ugodą w Perejasławiu (18 I 1654 r.) hetman Bohdan Chmielnicki poddał Ukrainę władzy cara Aleksego I.

²⁰⁸ Rozejm w Andruszowie, zawarty 30 I 1667 r. pomiędzy Rzeczpospolitą a Rosją, zakończył walki rozpoczęte ugodą perejasławską. W wyniku rozejmu Rzeczpospolita utraciła m.in. część województwa kijowskiego i województwo czernihowskie.

międzynarodowej, czyż byłyby możliwe polonofilizm Szewczenki i Kulisza, czyż odbywałoby się powtórne ukrainizowanie się tylu rodzin mieszanych lub spolszczonych przed wiekami, owych Antonowiczów, Rylskich, Siedleckich, Lipińskich i Szeptyckich? „Powrót do ojczyzny, niegdyś zdradzonej” – powiedzą panowie nacjonaliści. Nie tylko – i niekoniecznie. Wracano do języka przodków, ale nabyta w ciągu pokoleń kultura polska pozostawała. Czy genialny przekład *Pana Tadeusza*, który wyszedł spod pióra właśnie jednego z takich odpolonizowanych Ukraińców, Maksyma Rylskiego, był tylko kaprysem znakomitego poety, olśniewającym popisem technicznym, czy też wewnętrzną potrzebą człowieka kwitującego w ten sposób dług zaciągnięty u Polski? A kultura moskiewska oddała Ukrainie któregośkolwiek z jej wielkich synów? Hohola,²⁰⁹ Hlinkę²¹⁰, Czajkowskiego,²¹¹ Korolenkę?²¹² Zdobyła się Rosja na swoją „szkołę ukraińską”?²¹³ Paszkwilem na wielkiego Mazepę ciskał w twarz Ukraińcom największy rosyjski poeta w tym samym czasie, gdy Goszczyński w swym usiłowaniu wytłumaczenia rzezi humanicznej dochodził niemal do jej bezwzględnej i wcale nie po romantycznemu pojętej idealizacji, a Słowacki sekundował mu z całym przepychem poetyckiej mowy w *Śnie srebrnym Salomei*.

Jeśli stronie ukraińskiej w ogóle zależy na porozumieniu z Polakami – a zależeć powinno, bo innego wyjścia z sytuacji nie ma – musi zdobyć się więcej obiektywizmu i autokrytycyzmu w stosunku do własnej historii. Tak rozpowszechniona tendencja zwalania wszystkich win wyłącznie na Polskę przynosi więcej szkody samym Ukraińcom niż atakowanym, gdyż nie pozwala umiejscowić istotnych źródeł zła – a jakże leczyć chorobę, gdy się stawia diagnozę jedynie częściowo słuszną? Do czego doprowadza brak

²⁰⁹ Nikołaj Gogol (1809-1852), pisarz rosyjski pochodzenia ukraińskiego.

²¹⁰ Michaił Glinka (1804-1857), kompozytor rosyjski, który nie miał pochodzenia ukraińskiego, ale polskie.

²¹¹ Piotr Czajkowski (1840-1893), kompozytor rosyjski, jego rodzina pochodziła z Ukrainy.

²¹² Władimir Korolenko (1853-1921), pisarz rosyjski, syn Ukraińca i Polki.

²¹³ Aluzja do tzw. szkoły ukraińskiej w poezji polskiej.

krytycyzmu, połączony z kompleksem rozdrażnionej dumy narodowej, świadczy przykład Łypy,²¹⁴ w swoim czasie popularnego wśród młodzieży ideologa, który w poszukiwaniu wielkich tradycji historycznych zagalopował się tak bardzo, że organizację czumaków czarnomorskich postawił obok średniowiecznej Hanzy! Bez daleko idących rewizji dotychczasowych mylnych pojęć o wspólnej przeszłości żadne porozumienie polityczne nie będzie szczere, a zatem ani skuteczne, ani trwałe. Zanim dziejopisarstwo ukraińskie zafunduje sobie swego Szujskiego,²¹⁵ niechże publicystyka nie idzie śladem Doncewa i Palijewa,²¹⁶ bo spotka się nieuchronnie na tej drodze z Dmowskim – i wszystko zacznie się od początku.

W ostatnich czasach jedynie od czasu do czasu dostają do rąk prasę ukraińską, a i osobiste kontakty ze zrozumiałych powodów zmniejszyły się do minimum, ale z tego, co do mnie dociera, mam wrażenie, że niewiele zmieniło się na lepsze. Stawianie na nowy konflikt, bez uprzedniego porozumienia się z najbliższymi sąsiadami, nie jest najszcześniejszą linią działania politycznego. Przecież na Zachodzie samo istnienie narodu ukraińskiego jako samodzielnej wartości historycznej i kulturalnej jeszcze nie dotarło do świadomości zbiorowej. Gdy wielka firma wydawnicza w Madrycie zamówiła u mnie rozdziały słowiańskie do *Historii literatury powszechnej*,²¹⁷ zapytałem, ile stron poświęcą literaturze ukraińskiej. Kierownik literacki wydawnictwa wytrzeszczył oczy: – Istnieje taka literatura?

Wielu działaczom ukraińskim wydaje się, że z chwilą, gdy Mołotowowi²¹⁸ i Gromyce²¹⁹ udało się przeforsować do ONZ przed-

²¹⁴ Jurij Łypa (1900-1944), pisarz i publicysta ukraiński.

²¹⁵ Józef Szujski (1835-1883), historyk polski, współtwórca krakowskiej szkoły historycznej.

²¹⁶ Dmytro Palijew (1896-1944), działacz polityczny ukraiński, poseł na Sejm RP, członek UNDO, a następnie radykalnego ugrupowania Frontu Jedności Narodu (od 1933 r.).

²¹⁷ Chodzi o: J. Lobodowski, *Literaturas eslavas*, w: *Historia de la literatura universal*, dir. C. Perez Bustamante, Madrid 1946.

²¹⁸ Władysław Mołotow (1890-1986), sowiecki polityk i dyplomata, minister spraw zagranicznych ZSRR (1939-1949).

²¹⁹ Andriej Gromyko (1909-1989), sowiecki polityk i dyplomata, ambasador ZSRR w USA (1943-1946).

stawiciela sowieckiej republiki ukraińskiej,²²⁰ powstał precedens obowiązujący na przyszłość. Od czasów, gdy młodzież siczowa – zanim padła ofiarą niemieckiej prowokacji – wyśpiewywała na ulicach Husztu i Sewljusza: *Oj, powijał w Czarnohori taj wysokij witer, brał by Madiar Zakrpatia, ta ne daje Hitler!* [Oj powiał w Czarnogórze tej wysoki wiatr, brałby Madziar Zakarpacie, lecz nie daje Hitler], wiele krwi upłynęło w Dnieprze i Zbruczu. I wiele gorzkich doświadczeń stało się udziałem Ukraińców.

Ale rachuby na wszystkich zamorskich diabłów, z pomijaniem swych sąsiadów, jakoś zanadto przypominają mi anegdotkę, którą słyszałem jeszcze w dzieciństwie. O tym chłopie, co to w drodze zleciał z konia i nie mogąc wyleźć z powrotem, zawołał zagniewany: *Chocz by jakij czortiaka pomia!* [Choćby diabeł jaki pomógł!]. Ledwie to powiedział, czyjeś ręce podniosły go z taką siłą, że chłop przeleciał przez konia i wpadł do kałuży. Dopiero, gramoląc się z błota, splunął i mówi: *Pomahajte, czorty, ta ne wsi!* [Pomagajcie, diabły, ale nie wszystkie!] Jak dotychczas, anegdotka ta sprawdziła się w całej rozciągłości w stosunku do nadziei pokładanych w Trzeciej Rzeszy – i łatwo może znaleźć ponowne zastosowanie w przyszłości.

Ukraińcy są w nie mniejszym od nas stopniu narodem skrajnie uczuciowym. Zawsze utrudniało to sprawę i, rzecz prosta, nie ułatwia jej dziś. Zwłaszcza, że obie strony spotykały się podczas tej wojny, zaiste, nie z kwiatkami w rękach. Polakom uderza krew do głowy i zaciskają się pięści, gdy mówią o zachowaniu się Ukraińców przy tłumieniu warszawskiego powstania. Choćby prawdą było, co podawała prasa ukraińska na emigracji – że wycinanie w pień rannych i wziętych do niewoli obciąża sumienie Ukraińców, którzy wchodzili w skład oddziałów Własowa, siczowców zaś halickich w ogóle w Warszawie nie było – trudno zaprzeczyć, że widma Gonty²²¹ i Żeleźniaka²²² znowu stanęły między dwoma naro-

²²⁰ Ukraińska SSR była członkiem założycielem ONZ (24 X 1945 r.)

²²¹ Iwan Gonta (1705-1768), uczestnik rzezi humańskiej (24 VI 1768 r.), w której zginęło ok. 20 tys. ludzi. Jeden z przywódców koliszczyzny (VI-VII 1768 r.), w której zginęło od 100 do 200 tys. ludzi.

²²² Maksym Żeleźniak (1740-1768), kozak zaporoski, brał udział w rzezi humańskiej (24 VI 1768), przywódca koliszczyzny (VI-VII 1768).

dami. Chciały mroczne wyroki historii, że lud ukraiński, na pewno jeden z najmoralniejszych w Europie w codziennej praktyce życiowej, nosi we krwi jakieś groźne instynkty, wyniesione gdzieś jeszcze ze scytyjskiego okresu, a później ożywione wpływami tatarszczyzny. Instynkty, które czynią go strasznym, gdy im się podoba, choć na chwilę. Ale i myśmy mieli swego Jakuba Szełę, a przecież nikt nie próbował formować opinii o chłopie polskim na podstawie rzezi tarnowskiej. Ukraińcom nie wolno pokrywać tej sprawy milczeniem, a my nie powinniśmy jej nadmiernie rozdmuchiwać, bo to do niczego nie prowadzi.

O wzajemnych winach i błędach należy mówić – ale zawsze z tą myślą, która przyświecała Szewczenko, gdy pisał w „Posłowie” do *Hajdamaków*: „Serce boli, a opowiadać trzeba. Niechże poznają synowie, jakie błędy popełnili ich ojcowie, niechaj znowu bratają się ze swymi wrogami”...

Cóż dodać do tych słów napisanych przed wiekiem? Chyba tylko życzenie, by za następne sto lat dwa narody nie znajdowały się ponownie w tym samym zaklętym kręgu nienawiści. Aby dłonie dziś jeszcze lepiące się od bratniej krwi, spotkały się nareszcie w uścisku, a usta powtórzyły wyrazy niezwiędłe od czasu, gdy je wymówiono na horodelskim zameczku: „Nie zaznać nikomu łaski zbawienia, kogo nie wesprze miłość. Miłość jedna nie działa marnie, lecz – sama sobą świecąc – kładzie koniec niezgodzie, uśmierza swary, używa wszystkim pokoju, łączy rozdzielonych, podnosi upadłych, gładzi nierówności, prostuje krzywizny, wspiera każdego, nie obraża nikogo i ktokolwiek się schroni pod jej skrzydła, znajdzie się bezpiecznym i nie ulęknie się niczyjej groźby. Miłość tworzy prawa, włada królestwami, urządza miasta, wie dzie stany Rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi, udoskonala wszelkie cnoty cnotliwych. A kto nią wzgardzi, ten wszelkiego dobra pozbędzie”.

Madryt, w grudniu 1947.

[Wiadomości” 1947 nr 50]

NOWA KSIĄŻKA GIERTYCHA

Po „Polityce polskiej w dziejach Europy”, będącej równie przesadną apologią epoki piastowskiej, jak nieumiarkowanie ostrą krytyką Jagiellonów,²²³ przychodzi nowa książka Giertycha,²²⁴ w której ze stanowisk ściśle określonych przez doktrynę Dmowskiego autor ocenia ostatnie pięćdziesięciolecie polityczne w życiu narodu polskiego. Ciężar Dmowskiego, którego Giertych uważa za jedyne w Polsce współczesnej polityka-realistę na wielką miarę, unosi się nad całą książką, błogosławiąc czynom i ludziom idącym po jego linii, egzorcyzmując przeciwników i wrogów. Polska – twierdzi Giertych – odzyskała niepodległość dzięki przenikliwości Dmowskiego, a wszystkie późniejsze błędy powstały dlatego, że Dmowski nie miał decydującego głosu w polityce niepodległego dwudziestolecia. „We wszystkich kwestiach politycznych wielkiej wagi, w których się Dmowski i inni politycy ze sobą różnili, historia przyzna rację Dmowskiemu. I, co więcej, we wszystkich tych kwestiach Dmowski, póki w walce politycznej brał udział, był niemal bez wyjątku zwycięzcą”. Trudno pójść dalej w apologii umiłowanej postaci historycznej, toteż wszędzie, gdzie autor mówi o swoim mistrzu, mamy do czynienia raczej z pietyzmem wyznawcy niż z obiektywną oceną historyka. Ale Giertych jest przecież publicystą i to mu daje pełne prawo interpretowania historii ostatnich i bieżących lat zgodnie z jego postawą polityczną. Szkoda tylko, że obchodzi się z faktami zbyt często w sposób bezceremonialny, naciągając je do woli tak, aby nie przeczyły z góry powziętym tezom.

Wszedłem w życie dojrzałe w latach, gdy stary spór Piłsudski-Dmowski zaczynał już – przynajmniej dla młodych – tracić swą

²²³ Por. recenzję Krzysztofa Nienaskiego w nr 52 „Wiadomości” [przyp. J. Łobodowskiego].

²²⁴ Jędrzej Giertych, *Pół wieku polskiej polityki. Uwagi o polityce Dmowskiego i polityce polskiej lat 1919–1939 i 1939–1947*. 1947, str. 270 [przyp. J. Łobodowskiego].

moc fascynującą, a moja niechęć do autora *Niemcy, Rosja i kwestia polska*²²⁵ była przede wszystkim funkcją tradycji kresowych, odczuwanych po dziś dzień z taką siłą, że niekiedy sam gotów jestem uważać się za jakiś anachroniczny przeżytek, dla którego zarówno: „Litwo! Ojczyzno moja” jak „Matka – Ukraina” pozostały pojęciami o autentycznym, pełnym wydźwięku. Ale Giertych nie tylko nie stara się tego sporu, dziś już pod wieloma względami nieaktualnego, nieco stonować, przeciwnie – rozszerza go do granic jak najogólniejszych, zakłada na jego zrębie antynomiczne koncepcje historyczne.

Dmowski jest dla Giertycha politykiem typowo realistycznym, który nieomylnie czuje historię – i dzięki temu potrafi wpływać na jej bieg zgodnie z interesami narodu w obszernej perspektywie dziejowej. Dmowski wcześniej doszedł do wniosku, że głównym wrogiem Polski są Niemcy, zjednoczone pod egidą Prus, a polskie próby walki zbrojnej przeciw Rosji były wodą na niemiecki młyn, np. na powstaniu 1863 roku zaciężyła głównie prowokacja Bismarcka. Sytuacja gotowa była powtórzyć się w roku 1914 i właśnie do tego dążył Piłsudski. Dzięki Dmowskiemu ruchawka polska spaliła na panewce, do ponownego porozumienia prusko-moskiewskiego nie doszło, Niemcy przegrały wojnę i Polska się odrodziła. Takie są główne tezy pierwszych – i najważniejszych! – rozdziałów książki, które Giertych rozwija w następstwie późniejszych faktów i zjawisk.

Jak widzimy, Giertych nie ogranicza pozytywnej oceny polityki umiarkowania wobec Rosji do lat poprzedzających bezpośrednio pierwszą wojnę światową, rozszerzając swój osąd na cały wiek XIX, z czego wypływa wniosek, że cała bez wyjątku antyrosyjska tradycja powstańcza, od Kościuszki poczynając a na Piłsudskim kończąc, była podświadomie polityką proniemiecką. „Prosto z Mostu” pisało kiedyś, że ostatnią czysto narodową akcją zbrojną była konfederacja barska, cała reszta to bezwolne chodzenie na pasku obcych agentur. Otóż wydaje mi się, że taką oceną historii zdradza się właśnie najdalej posunięty brak realizmu politycznego, polegają-

²²⁵ Książka Romana Dmowskiego, która ukazała się w 1908 r. we Lwowie.

cy na przechodzeniu do porządku nad imponderabiliami natury psychokulturalnej. Bez Mickiewicza i Słowackiego nie byłoby zapewne powstania styczniowego, wypada więc uznać, że *Grób Agamemnona* i *Dziady* były też rodzajem obcych ekspozytur. Sprawa nie jest, oczywiście, tak prosta. Przelana krew ma swoje prawa i jeden czyn zbrojny determinuje postawę następnych pokoleń. Po Maciejowicach i Raszynie musiał przyjść Grochów, a po Małogoszczy i Żyrzynie – Krzywopłoty i Jastków. Musiał? W warunkach polskich niewątpliwie tak, gdyż wszelkie przykłady czeskie zawodzą w stosunku do kraju, przez który wieją wielkie wichry historyczne. Gdyby Polacy poświęcili się przez sto lat niewoli pracowitemu prowokowaniu upragnionego konfliktu rosyjsko-niemieckiego, najprawdopodobniej owoców tego konfliktu już nie byłoby komu zbierać. Giertych podkreśla, że Ukraina nie wyzyskała dobrej koniunktury politycznej w latach 1917-1920 i nie wywalczyła niepodległości. A właśnie! Tragedią historyczną Ukrainy stał się fakt, że wraz z Mazepą, Orłykiem²²⁶ i Kalnyszem²²⁷ urwała się tradycja zbrojnej walki przeciw Moskwie, a w konsekwencji w decydującej chwili zatraciła się ostrość narodowej wizji. My zaś mieliśmy wielu generałów Rozluckich, ale mieliśmy również ich bratanków, którzy szli do powstania, gdy wybuchło. Jakby wyglądała Polska po stu latach bez Łukasieńskich,²²⁸ Trauguttów²²⁹ i Piłsudskich, lepiej nie myśleć! To prawda, że obce agentury umiały narzucać Polakom okoliczności i charakter walki (vide powstanie warszawskie), ale to już jest zagadnienie z innej dziedziny. Idąc z całą konsekwencją po tej linii, doszlibyśmy niezawodnie do „kolaboracjonizmu historycznego” różnych Aleksandrów Bocheńskich, od czego pierwszy Giertych odżegnałby się jak najenergiczniej.

²²⁶ Pyłyp Orłyk (1672-1742), hetman kozacki, zwolennik współpracy z Rzeczpospolitą Obojga Narodów.

²²⁷ Petro Kalnyszewskij (1690-1803), ostatni ataman koszowy Sicz Zaporoskiej, po likwidacji Sicz Zaporoskiej był więziony na Sołówkach (1775-1801).

²²⁸ Walerian Łukasieński (1786-1868), działacz niepodległościowy, twórca organizacji konspiracyjnych, aresztowany przez władze carskie w 1824 do końca życia był więziony w Szlisselburgu.

²²⁹ Romuald Traugutt (1826-1864), ostatni przywódca powstania styczniowego (1864), aresztowany, skazany na śmierć i powieszony przez władze rosyjskie.

Analiza okresu poprzedzającego pierwszą wojnę światową jest w książce gwałtownie naciągnięta. Giertych przyjmuje za pewnik, że w razie zajęcia przez społeczeństwo polskie stanowiska antyrosyjskiego, Niemcy wygrałyby wojnę, gdyż wówczas w Rosji doszedłby do głosu obóz proniemiecki. Wiekopomna zasługa Dmowskiego polega więc na uniemożliwieniu powstania takiej konstelacji. Dla łatwiejszego udowodnienia swej tezy, Giertych do tego stopnia usunął wszystkie niewygodne momenty, że ani słowem nie wspomina o cesarstwie austriacko-węgierskim i o Bałkanach. Istnieją tylko Niemcy, Rosja i Polska. A przecież konflikt rosyjsko-niemiecki zaczął się od chwili, gdy Wiedeń stracił samodzielność na rzecz Berlina. Stopniowa zmiana orientacji rosyjskiej to dla Giertycha po prostu wpływ duńskiej żony Aleksandra III!²³⁰ Z Prusami Rosja nie miała poważniejszych sprzeczności, miała je z Austrią. Jeszcze w ostatniej chwili Petersburg chciał uniknąć wojny z Niemcami, mobilizując wyłączne okręg kijowski i czyniąc gesty pojednawcze, których by nigdy nie uczynił wobec Wiednia. Gdyby Berlin dał Rosjanom wolną rękę na Bałkanach i wobec Turcji, prawdopodobnie do wojny na wschodzie w ogóle by nie doszło. Zapominając o tym wszystkim, Giertych uprościł sobie życie, a niżej podpisanemu dyskusję.

Mniej więcej to samo stało się z omówieniem planów strategicznych sztabu rosyjskiego. Brusilow²³¹ był dzielnym generałem i podobno „przyjacielem” Polaków (kiedy miałem pięć lat, zostałem mu przedstawiony w Lublinie, uszczypnął mnie w policzek i powiedział: *Wot brawyj Poliak!*) [Oto odważny Polak], ale w swoich wspomnieniach z lekka przeholował. Tak na przykład passus o tym, że nauczyciel rosyjski, głoszący wobec swoich uczniów „miłość do Słowian i nienawiść do Niemców... byłby zesłany do kraju Narymskiego”, wygląda na kiepski żart. Toż za czasów najostrzejszej cenzury w literaturze i publicystyce rosyjskiej roilo się od ostrych antynie-

²³⁰ Maria Fiodorowna (1847-1928), księżniczka duńska, żona cara Rosji, Aleksandra III.

²³¹ Aleksiej Brusilow (1853-1926), generał rosyjski, dowódca Frontu Południowo-Zachodniego w 1916 r. (ofensywa Brusilowa), po 1919 służył w Armii Czerwonej.

mieckich wystąpień. Polecam książkę Niemirowicza-Danczenki²³² o Skobielewie,²³³ w której wręcz oskarża się Niemców o otrucie „białego generała”²³⁴ – może po jej przeczytaniu Giertych zmieni swą opinię o absolutnej wartości historycznej wspomnień Brusilowa (*nota bene*, wydane podczas ostatniej wojny przez Sowietów, są skrojone wyraźnie *ad usum* regimé’u: carat przegrywał z Niemcami, bo sam był opanowany przez Niemców; co innego teraz... itd.).

Sztab rosyjski myślał o wycofaniu się z Królestwa, gdyż po pierwsze, bał się manewru kannieńskiego, po drugie, przewidywał możliwość powstania polskiego. Plan był w zasadzie słuszny, chodziło o skrócenie frontu i przejście do ofensywy po ukończeniu mobilizacji. Niepowodzenie Austriaków pod Kraśnikiem, bezczynność niemiecka, a przede wszystkim szybsze niż przewidywano przeprowadzenie mobilizacji pozwoliło Rosjanom na ofensywę w Prusach Wschodnich, w której, mówiąc nawiasem, udział rekruta polskiego nie był tak liczny, jak tego chce Giertych – trzon armii Samsonowa²³⁵ stanowiły dywizje strzelców syberyjskich. Wybuch powstania polskiego byłby tylko wzmocnił nastroje antyniemieckie w Moskwie i Petersburgu i podniecił patriotyzm wszechrosyjski. O wycofaniu się z wojny nie mogło być mowy. A wreszcie, Piłsudskiemu nie marzyło się powstanie na modłę roku 1863; chodziło o sabotowanie mobilizacji i rozwinięcie legionów. O tym, z jaką swobodą Giertych interpretuje zjawiska historyczne, zaświadczy zdanie o rezerwistach polskich, „urobionych przez propagandę Dmowskiego i chętnie idących na front, bo mających świadomość, że w nienawistnym rosyjskim mundurze idą bić się o polską sprawę”. Chłop polski, idący w roku 1914 na wojenkę z entuzjazmem, bo go Dmowski zaagitował – no, no...

²³² Wasilij Niemirowicz-Danczenko (1844-1936), pisarz rosyjski.

²³³ Dmitrij Skobielew (1821-1880), generał rosyjski.

²³⁴ В. Немирович-Данченко, *Скобелев. Личные воспоминания В.И.Немировича-Данченко*, 1884.

²³⁵ Aleksander Samsonow (1859-1914), generał rosyjski, dowódca II Armii rosyjskiej, rozbitej w bitwie pod Tannenbergiem (17 VIII - 2 IX 1914 r.).

Skrajną stronnicością odznaczają się strony poświęcone rozprawie z polskimi federalistami. Trudno mi na tym miejscu podejmować zasadniczą dyskusję z Giertychem na temat istotnego oblicza federalizmu i jego dążeń, gdy dyskusja taka rozsądziłaby ramy szczupłego artykułu, to pewne przecież, że omawiana książka ma pod tym względem charakter pamfletu partyjnego, choć utrzymanego w bardzo spokojnym tonie. Według Giertycha, restauracja unii pociągnęłaby „przekreślenie sześciowiekowego dzieła politycznej, narodowej i kulturalnej ekspansji polskiej na Litwę i Ruś”... Krótko mówiąc, federacja z Litwą spowodowałaby utratę Wilna. Zabawne, że nacjonałiści litewscy nie chcieli federacji z tych samych powodów: bali się, że w związku z Polską utracą Kowno, które się szybko i łatwo spolonizuje. Ten kompleks niższości łatwo zrozumieć u szaulisów, dużo trudniej u nacjonalisty polskiego.

Przykro mi to napisać, gdyż celem tego artykułu nie jest dokuczanie autorowi, ale absolutnie mylnie przedstawia zagadnienia europejskiego Wschodu, co gorzej – zupełnie nie zna materiału faktycznego. Petlurę na przykład nazywa „mieszkającym w Polsce politycznym emigrantem”, nieuprawnionym do występowania w imieniu Ukrainy. W rzeczywistości Petlura był jednym z duumwirów tzw. dyrektoriatu, uznanego za prawowity rząd ukraiński przez państwa sojusznicze, m.in. przez Francję i Wielką Brytanię, które przydzieliły temu „emigrantowi” swych oficjalnych przedstawicieli w osobach generałów Tabouis²³⁶ i Bagge.²³⁷ Gdzie indziej mówi o Kuliszu jako o „zagadkowej, zawsze w cieniu kryjącej się, a wpływowej postaci”. Tak oto znakomity pisarz, historyk i poeta, autor *Czarnej rady*, *Mahomeda* i *Chadyzy* i *Węlykych prowodów*, tłumacz Szekspira, Byrona, Schillera i Mickiewicza, stał się pod piórem Giertycha „zagadkową postacią” – a wszystko po to, by móc tym łatwiej związać narodowy ruch ukraiński z „anonimo-

²³⁶ Georges Tabouis (1867-1958), generał francuski, który przebywał na Ukrainie w okresie od 1 XII do 12 II 1919 r., jako komisarz Republiki Francuskiej, z misją nawiązania kontaktu z ukraińskim rządem.

²³⁷ John Picton Bagge (1877-1967), pracownik służby konsularnej brytyjskiej.

wymi siłami”. Dla Moskali ruch ten był niegdyś po prostu „polską intrygą”, dla części Polaków stał się z czasem „austriacką prowokacją”. Teraz okazuje się, że bez masonów nie byłoby Szewczenki i Kulisza. A może by było prościej, rzetelniej i w większej zgodzie z własnymi nacjonalistycznymi zasadami stwierdzić, że każdy ruch narodowy jest zjawiskiem naturalnym i żywiołowym, a to, że z tego chcą skorzystać różne, choćby anonimowe siły, nie zmienia w niczym samej istoty rzeczy. Doprawdy, wstyd i złość ogarnia na widok publicystów, którzy, jak Giertych, wciąż jeszcze upierają się przy narodowości „ruskiej” czy zgoła „poleskiej”, a słowo „ukraiński” biorą w cudzysłów. A jeśli tak, skąd tyle obawy przed tym, w cudzysłowie tylko istniejącym, narodem? Jaki uraz polityczny powoduje przekonanie Giertycha, że Lwów będzie silniej zagrożony przez Ukrainę niż przez Rosję, siedzącą równie mocno w Kijowie, jak w Moskwie? Niepodległa Ukraina ma stać się natychmiastowym sojusznikiem Niemiec przeciw Polsce, natomiast Rosja, panująca nad Ukrainą, nigdy takim sojusznikiem nie była i nie będzie? Coś z tym realizmem politycznym, który woli mieć za sąsiada dwustumilionową Rosję od trzydziestomilionowej Ukrainy, musi być niezupełnie w porządku!

Jest rzeczą charakterystyczną, że w miarę tego, jak autor zbliża się ku wypadkom najnowszym, urazy partyjne tracą swoją ostrość. Słowem, Giertych – publicysta wypada znacznie lepiej od Giertycha – historyka. Zewnętrzna polityka polska w ostatnich latach przed wojną, kampania wrześniowa, a następnie opór Kraju aż do powstania warszawskiego włącznie, wreszcie polityka Rządu na emigracji, tragiczna papkinada Mikołajczyka²³⁸ i kryzys gabinetowy w roku 1944²³⁹ – omówione zostały w sposób równie wyrazisty, co słuszny. Autor nie zaniedbał podkreślić na każdym kroku zasług stronnictwa, do którego należy, ale czyni to dyskretniej niż w pierwszej połowie książki, a ponadto ma tu nieporównanie wię-

²³⁸ Stanisław Mikołajczyk (1901-1966), polityk polski, członek władz PSL, m.in. premier RP na Obczyźnie (14 VII 1943-24 XI 1944).

²³⁹ Chodzi o kryzys z VIII-XI 1944 i dymisję rządu S. Mikołajczyka (29 XI 1944 r.).

cej racji, gdyż niepodobna zaprzeczyć, że polski obóz narodowy wyszedł z ogniowej próby wojennej znacznie obronniejszą ręką niż stronnictwa lewicowe. Również trudno nie podpisać się pod tym, co Giertych pisze w rozdziałach omawiających rolę Kraju i emigracji w zbliżających się wydarzeniach. Giertych słusznie przewiduje, że nie będziemy w stanie zachować postawy biernej i wyczekującej w przyszłym kataklizmie, jeśli chcemy odegrać rolę odpowiadającą polskim postulatom historycznym. Mniej przekonywająco wyglądają rozważania na temat przyszłej organizacji politycznej Europy Środkowo-Wschodniej – uraz ukraiński bruździ tu po staremu. Giertych w zasadzie jest zwolennikiem Międzymorza, choć nie ukrywa licznych zastrzeżeń. Ma jednak całkowitą rację, pisząc, że „zadaniem naszym musi być rozróżnienie między ogólną wizją... a praktycznie dziś osiągniętymi etapami, musi być dążenie do tego, by porozumieć się z tymi partnerami, z którymi się porozumieć można”. Nie bardzo rozumiem, dlaczego Stanisław Mackiewicz tak niemilośnie pokpiwa co tydzień z idei Międzymorza, przecież już choćby częściowe urzeczywistnienie tej idei musi pociągnąć za sobą doniosłe konsekwencje. Być może, Polacy nigdy nie dogadają się z Litwinami, Węgrzy z Rumunami, a Serbowie z Chorwatami, ale już na przykład zmontowanie osi Warszawa – Bukareszt nie nastęrczałoby tylu trudności. Byłaby to oś tym lepsza, że geopolitycznie stanowiąca niejako kręgosłup całego systemu; gdyby utrwaliła się i podeschła, kto wie, czy dokoła niej nie dałoby się zebrać do kupy całego wozu! Ale ukraiński bachmat, którego pan, panie Jędrzeju, gwałtem chce przepędzić do moskiewskiej stajni, też powinien pójść z nami, choćby na luźną przyprzążkę, skoro przy dyszlu chodzić nie lubi, bo jeśli nie, znów będziemy mieli *ruskawo jamszczyka na obłuczkie* [rosyjskiego woźnicę na koźle].

Książka Giertycha kończy się mocnym akcentem wiary w zdolność misyjną polskiego narodu, któremu przypisuje siły duchowe na najwyższą miarę. „Nikt w tym stopniu, co naród polski nie jest zdolny do tchnięcia w Europę pierwiastków woli i zapału, które ją mogą odrodzić. Jest w nas znamię wielkości: mamy w sobie te cechy

niezłomności, charakteru, woli i ambicji, które decydują o odgrywaniu przez narody wielkiej historycznej roli”. I kilka wierszy dalej jeszcze mocniej: „Po trzeciej wojnie światowej Europa będzie musiała się zorganizować w nowy polityczny system. Wydaje mi się, że system ten będzie musiał – w pewnym stopniu – być systemem polskim. Mamy przed sobą perspektywę dwojaką: zginie lub będziemy wielkim narodem. Tak jak i Europa ma przed sobą perspektywę dwojaką: zginie lub znów się odrodzi”.

[„Wiadomości” 1948 nr 19]

DYSKUSJE POLSKO-UKRAIŃSKIE

W ubiegłym roku toczyła się na łamach prasy emigracyjnej w Niemczech ożywiona dyskusja polsko-ukraińska, która wprawdzie nie doprowadziła do uzgodnienia stanowisk, ale niewątpliwie odegrała pożyteczną rolę, już choćby przez sam fakt wymiany opinii i ustalenia poglądów. Trzeba stwierdzić bez ogródek, że strona polska wyszła z tych dyskusji gorzej. Z tej prostej racji, że podczas gdy wśród Ukraińców nie było rozbieżności w zasadniczych sprawach, Polacy reprezentowali niemal tyle punktów widzenia, ile osób zabierało głos. Niekiedy jeden polski dyskutant dezawuował drugiego, jak to się stało, kiedy Klaudiusz Hrabyk wystąpił przeciw Jerzemu Bielskiemu, który w artykule w czasopiśmie ukraińskim „Nasze Żyttia” opowiedział się za ustaleniem granicy wschodniej Rzeczypospolitej na Bugu i Sanie – a zatem zajął stanowisko zgodne z maksymalistycznymi postulatami strony przeciwnej. Ukraińcy mieliby więc pełne prawo oświadczyć Polakom: „Panowie, zanim zaczniecie z nami dyskutować, zechciejcie przedtem uzgodnić poglądy między sobą!”.

Mój artykuł *Sprawa ukraińska* („Wiadomości”, nr 89)²⁴⁰ również wywołał pewne echa w prasie ukraińskiej, przeważnie nieprzychyl-

²⁴⁰ Patrz wyżej, s. 143-155.

ne, gdyż podobnie jak innym polskim dyskutantom, zarzucono mi brak szczerości wobec przyjętej przez Ukraińców „zasady etnograficznej” oraz niedostateczną znajomość współczesnego ukraińskiego nacjonalizmu. „Nazwisko autora artykułu – pisze „Ukraińska Trybuna” z 19 stycznia br. [1948] – gwarantowało nam, zdawałoby się, obiektywne i szczerze postawienie sprawy. Jednak musimy stwierdzić, że również i ten artykuł nie jest wolny od tych dwóch pierworodnych grzechów, o których wspominaliśmy na wstępie”. Gdzie indziej oświadczone mi wprost, że każdy polski publicysta, który nie stwierdzi jasno i wyraźnie, że Lwów, Łuck, Tarnopol i Halicz należą się Ukrainie, a zamiast tego mgliście mówi o potrzebie ugody, jest po prostu chytrym lisem, sprytnie zamiatającym ślady za starym imperialistycznym programem. Według cytowanej już „Trybuny Ukraińskiej”, „nie zrobimy ani jednego kroku naprzód, dopóki jeden z naszych dwóch narodów żąda jedynie sprawiedliwej zasady etnograficznej, a drugi uparcie trzyma się historycznych, dawno minionych i mocno podlegających dyskusji zasad (na przykład zasad jagiellońskiej „federacji” i unii horodelskiej, których z takim pietyzmem bronił Łobodowski w swoim artykule)”. *Suum cuique tribuere, neminem leadere, nemini facere iniuriam* [łac. Każdemu oddać, co mu się należy, jeżeli ma do tego prawo] – powiadają Ukraińcy. Niech Polska strona przyjmie w całej pełni tę starorzymską maksymę, a wówczas będziemy rozmawiali po przyjacielsku.

Ano trudno, skoro już tak mnie przyparto do muru, nie pozostaje mi nic innego, niż tylko przyznać, że istotnie nie jestem entuzjastą tej sztywnej etnograficznej zasady, którą wysuwają nasi gorzcy sąsiedzi jako najcięższą harmatę przeciw „polskiemu imperializmowi”. Zamiatanie śladu ogonem na nic się nie zdało i nie uniknąć mi otwartego stanięcia do walki, skoro – jak to pisał stary Taras – *poky sonce zajde, a nicz–maty dast poradu, Kozak Lacha znajde*.*

Gdy jeden z dyskutantów ukraińskich powołał się na Jaltę jako na precedens międzynarodowo-prawny do przyszłego rozgraniczenia obydwu narodów, wielu jego rodaków zaprotestowało –

* Zanim słońce zajdzie, a noc matka ci poradzi, Kozak Lacha znajdzie.

i słusznie – przeciw takiemu stawianiu sprawy, gdyż Jałta była aktem przemocy, narzuconym bez udziału bezpośrednio zainteresowanych. Jednak – odrzucając bezprawne postanowienia jałtańskie, samozwańczo powzięte przez przedstawicieli trzech mocarstw – strona ukraińska akceptuje ten stan rzeczy, który powstał na Ziemi Czerwińskiej w konsekwencji już nie tylko Jałty, ale w ogóle całej polityki eksterminacyjnej Sowietów wobec ludności polskiej, będącej przecież – pragnę to podkreślić z całym naciskiem! – ludnością autochtoniczną od sześciu wieków. „Na wschód od Przemyśla Polaków już nie ma – pisze Stepan Baran²⁴¹ w monachijskich „Problemach”. – Całkowite wyczyszczenie ukraińskich i białoruskich terenów z polskiego elementu etnicznego wstrząsnęło do głębi polską psychiką... Bolesna lekcja historii nie wszystkich Polaków nauczyła politycznej trzeźwości”. Zatem stanowisko ukraińskie dałoby się sprecyzować w następujący sposób: nie uznają Jałty ze względów ściśle formalnych, natomiast nic nie mają przeciw jej treści, gdyż zlikwidowanie elementu polskiego na wschód od Sanu, Buga i Niemna jest aktem logiki historycznej. To, że Polacy nie chcą się z nim pogodzić, świadczy o ich braku trzeźwości politycznej. Jeszcze dobitniej: Polacy kiedyś wdarli się siłą na ziemie ukraińskie i częściowo je spolonizowali, po kilku wiekach fala polska zmuszona została do odpłynięcia, co należy uważać za rodzaj satysfakcji, udzielonej przez historię prawowitym gospodarzom tych ziem. Zatem status quo etnograficzne powinno stać się podstawą ustalenia przyszłych stosunków sąsiedzkich.

Sądzę, że jeśli rozpoczęta dyskusja w ogóle ma doprowadzić do jakichś pozytywnych rezultatów, należy dopuścić do głosu również argumenty natury historyczno-kulturalnej, bez których wyłączone wojowanie zasadą etnograficzną jest zupełną fikcją. Widzę w rozmowach polsko-ukraińskich dwa główne ośrodki polaryzacyjne, które powinny być uczciwie i wyczerpująco oświetlone.

²⁴¹ Stepan Baran (1879-1953), adwokat i polityk ukraiński, członek władz UNDO i poseł na Sejm RP, od 1944 r. w Niemczech. Premier rządu URL na emigracji (1952-1953).

Jeden z nich to stosunki ludnościowe na ziemiach spornych, ale zawsze z uwzględnieniem ich aspektu prawno-moralnego. Drugi dotyczy przeszłości obydwu narodów, oczyszczonej z wzajemnych uprzedzeń i fałszerstw, a przede wszystkim ujrzanej we właściwej perspektywie, bez tak bardzo rozpowszechnionego wpadania w osądzenie zamierzchłych spraw i niegdysiejszych ludzi według sprawdzianów terażniejszości.

Polacy nie przyszli na Ruś i na Litwę w taki sam sposób, jak Niemcy przychodzili na ziemie Słowian zachodnich, albo Rosjanie do Nowogrodu czy Smoleńska. Mogą sobie historycy i publicyści ukraińscy dworować, ile pragną, z polskich „deklamacji” o wolności jagiellońskiej i uważać np. unię lubelską za akt zwykłej przemocy, ale nie zmieni to faktu, że procesy polonizacyjne na Wschodzie odbywały się bez polityki eksterminacyjnej i w duchu takiej tolerancji, o jakiej się nie śniło nigdzie w Europie. Kazimierz Wielki nie niszczył biskupstw prawosławnych, jak by to uczynił każdy inny średniowieczny monarcha katolicki, ale podnosił je do rangi metropolii, a przy nadawaniu ziem i dóbr raczej faworyzował panów i osadników ruskich, czego najlepszym dowodem są zachowane dokumenty lokacyjne z XIV w. Że z biegiem czasu zaczęto, zwłaszcza na Naddnieprzu, krzywdzić ludność ukraińską, o tym dobrze wiemy i bez czytania Hruszewskiego,²⁴² gdyż od czasu powstania „szkoły krakowskiej”²⁴³ historiografia polska odznacza się daleko posuniętym krytycyzmem wobec własnej przeszłości. Ale znów warto spojrzeć na te sprawy w perspektywie ówczesnych czasów. Warto zastanowić się, jak by wyglądało stłumienie powstania Nalewajki²⁴⁴ i Łobody,²⁴⁵ gdyby zamiast Żółkiewskiego zabrali się

²⁴² Mychajło Hruszewski (1866-1934), ukraiński historyk i polityk, m.in. przewodniczący Ukraińskiej Centralnej Rady, od 1926 r. w USRR.

²⁴³ Szkoła krakowska, kierunek w historiografii polskiej, który powstał w ostatnich latach XIX w., inspirowany przez profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jej główni przedstawiciele to: M. Bobrzyński, W. Kalinka, S. Smolka i J. Szujski.

²⁴⁴ Seweryn Nalewajko (zm. 1597), kozak zaporoski, przywódca powstania (1595-1596).

²⁴⁵ Hryhoryj Łoboda (zm. 1596), kozak, od 1593 r. hetman kozacki, uczestnik powstania Nalewajki, zwolennik porozumienia z Rzeczpospolitą Obojga Narodów.

do tego Walenstein²⁴⁶ i Tilly!²⁴⁷ Jak by się rozwinęła eksploatacja gospodarcza Ukrainy według irlandzkich wzorów Cromwella²⁴⁸ lub zasad Gustawa Adolfa²⁴⁹ i Karola Gustawa?²⁵⁰ Albo wprowadzanie unii brzeskiej – gdyby na miejsce Skargi Powęskiego²⁵¹ i biskupa Pocięja²⁵² przyszli jezuici włoscy i hiszpańscy? Dla porządku – i aby nas znów nie posądzono o nieszczerłość – stwierdzimy, że i Polacy popełniali akty okrucieństwa, godne scen, które się rozegrały w Magdeburgu i Wexfordzie, jak w owej wyprawie karnej Rewery Potockiego²⁵³ i Lanckorońskiego,²⁵⁴ po potrzebie ochmatowskiej,²⁵⁵ ale nie należy zapominać, że działo się to w atmosferze rozwścieczenia, wywołanego poprzednimi rzezią ludności polskiej przez Kozaków i Tatarów. I skoro już stale żąda się rachunków od strony polskiej, jako ponoszącej „wyłączną winę”, wypada zapytać, czy zdobyła się historiografia ukraińska na takie potępie-

²⁴⁶ Albrecht von Wallenstein (1583-1634), polityk i dowódca wojsk Ferdynanda II Habsburga w czasie wojny trzydziestoletniej.

²⁴⁷ Johann von Tilly (1599-1632), generał i dowódca wojsk Ferdynanda II Habsburga w czasie wojny trzydziestoletniej. Odpowiadał m.in. za krwawe mordy na mieszkańcach Magdeburga po zdobyciu miasta w 1631 r.

²⁴⁸ Oliver Cromwell (1599-1658), polityk angielski, m.in. lord protektor Anglii, Szkocji i Irlandii (1653-1658), dowodził i odpowiadał za krwawą pacyfikację Irlandii w latach 1649-1650.

²⁴⁹ Gustaw II Adolf (1594-1632), król Szwecji (1611-1632), reformator armii i państwa.

²⁵⁰ Karol X Gustaw (1622-1660), zwierzchnik armii szwedzkiej i król Szwecji (1654-1660), prowadził wojnę z Rzeczpospolitą Obojga Narodów (tzw. potop szwedzki).

²⁵¹ Piotr Skarga (Piotr Powęski) (1536-1612), jezuita, teolog i pisarz, kaznodzieja króla Zygmunta III Wazy.

²⁵² Hipacy Pocięj (1541-1613), polityk i biskup prawosławny, współtwórca unii brzeskiej (1596).

²⁵³ Stanisław Rewera Potocki (1589-1667), polityk i dowódca, m.in. hetman polny koronny i hetman wielki koronny. Dowodził ekspedycją karną na Ukrainie w 1654 r.

²⁵⁴ Stanisław Lanckoroński (1590-1657), polityk i wojskowy, m.in. hetman polny koronny (1654-1657).

²⁵⁵ Bitwa pod Ochmatowem pomiędzy wojskami polskimi S. Rewery Potockiego i S. Lanckorońskiego a wojskami kozacko-rosyjskimi B. Chmielnickiego i wojewodów rosyjskich toczyła się w dniach 29 I – 1 II 1655 r. i zakończyła się polskim zwycięstwem.

nie zachowania się Chmielnickiego pod Batohem,²⁵⁶ na jakie rzeź w Buszy i Hołżakówce²⁵⁷ zasłużyła sobie pod piórem Szujskiego i Konopczyńskiego?²⁵⁸ Jakież gromy posypały się na Kulisza, gdy w swojej *Malowanej hajdamaczyźnie* ośmielił się wystąpić przeciw idealizowaniu Gonty i Zalizniaka! Młody nacjonalizm ukraiński poszedł zbyt łatwą drogą subiektywnego przedstawiania historii i musiał popełnić szereg błędów, których wytykanie przez stronę polską nie zawsze, jak sądzą Ukraińcy, jest dowodem wrogości. Rozumiem dobrze, że ze względu na warunki, w jakich znalazł się cały naród, historykom ukraińskim niełatwo było spojrzeć rzeczowo i bez uprzedzeń na dzieje współżycia z Polską, ale ich postawa zaciążyła fatalnie na wzajemnych stosunkach. Włodzimierz Bączkowski, którego nie należy posądzać o nieznamość zagadnienia, słusznie podkreśla, że „dopiero przez pryzmat swego rodzaju „szkół krakowskich”, tzn. tych prądów w nauce historii, które badają fakty historyczne, dotyczące przeszłości polskiej, również z punktu widzenia zaniedbań i win własnych, Ukraińcy... innymi oczami spojrzą na Rzeczpospolitą Jagiellonów i na dzieje własnego w tym państwie udziału i roli”.

Negatywna postawa nacjonalizmów – ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego – uogólniających wszelkie cienie i niedociągnięcia realizacyjne idei jagiellońskiej, doprowadziła zresztą do tego, że nacjonalizmy te, zgodne w swej niechęci wobec Polski, różnią się często zasadniczo w ocenie historycznej roli własnych narodów. Niekiedy będą to rzeczy wręcz zabawne, jak rewindykacyjne pretensje Białorusinów, lekką ręką wpisujących na własne konto niewątpliwe osiągnięcia kulturalne Ukrainy średniowiecznej, ze *Słowem o pułku*

²⁵⁶ Aluzja do rozkazu B. Chmielnickiego, który po przegranej przez Rzeczpospolitą bitwie pod Batohem (3-4 VI 1652 r.) kazał wymordować ok. 3500 jeńców polskich.

²⁵⁷ Łobodowski nawiązuje do zachowania wojsk koronnych w czasie ekspedycji karnej na Ukrainie, gdzie m.in. po zdobyciu zamku w Buszy (18-20 XI 1654 r.) wojska hetmana S. Czarnieckiego wymordowały mieszkańców miasta (straty szacowano na ok. 16 tys. ludzi).

²⁵⁸ Władysław Konopczyński (1880-1952), historyk i polityk polski, nowożytnik, m.in. współtwórca *Polskiego Słownika Biograficznego*.

Igora na czele. Najdalej posunął się nacjonalizm litewski, który nie tylko w swoich postulatach terytorialnych wszedł w papierowy konflikt z Białorusią, ale w ogóle odmówił żywiołowi ruskiemu wydatniejszej roli w państwie Gedyminowiczów.²⁵⁹ Czytałem kiedyś artykuł w prasie amerykańskiej, w którym autor twierdził bardzo serio, że Litwinów było na początku XV w. znacznie więcej niż Rusinów, gdyż „zaludnienie dzisiejszej Ukrainy ograniczało się do wąskiego pasa między Kijowem i Perejasławiem”, a dalej była pustka. Dzikie Pola, zorane tatarskimi kopytami.

Po pijanemu człowiek popełnia głupstwa, które nieraz mszczą się na nim przez całe życie. Rodzajem takiego właśnie pijaństwa w życiu zbiorowym jest rozgorączkowana fantazja nienasyconych nacjonalizmów. Pod tym względem Polacy i Ukraińcy nie ustępują jedni drugim – tyle że u Ukraińców jeszcze łatwiej o stan zapalny, bo – jak to pisałem w poprzednim artykule – mieli w historii mniejsze możliwości wyżycia się. Stąd gwałtowne skoki na termometryczne samopoczucia, od skrajnego katzenjammeru po wybuchy zarozumiałstwa i pychy, a wszystko razem bujnie rozkwitające na gruncie przekonania o absolutnej słuszności swych racji i zrzucania całej winy na sąsiada. Z tego samego źródła wypływa przesadna podejrzliwość tam, gdzie wystarczyłaby zwykła ostrożność. Na podstawie mego, jak widać, nieoględnego oświadczenia, że Polacy są starszym narodem od Ukraińców, „Trybuna” rozwiódła gorzkie żale, że „nasi polscy sąsiedzi jeszcze nie pozbyli się swej dawnej nienawiści do nas, nienawiści *pana do chłopca*... Którego z uporem uważają za coś niższego od siebie”. Ileż w tym przesady i podejrzliwości, tłumaczącej się chyba jedynie zapiekłym kompleksem krzywdy! U licha! – Znam jako tako historię i wiem doskonale, że Ruś Kijowska obudziła się do życia historycznego znacznie wcześniej od Polski, że kulturalne wpływy irańskie i helleńskie przenikały

²⁵⁹ Giedyminowicze, dynastia litewska, której początek dał Giedymin (ok. 1275-1341), panowała w Wielkim Księstwie Litewskim, z Giedyminowiczów wywodziła się dynastia Jagiellonów.

tam od dawna, że Święta Zofia²⁶⁰ zdobiła się we wspaniałe freski i mozaiki, gdy u nas dopiero stawiano pierwsze ubogie kościołki, że w połowie XII w. Kłym Smolatycz²⁶¹ cytował swobodnie Homera, Arystotelesa i Platona, że niejeden z książąt udzielnich był poliglotą mówiącym kilkoma językami, że Anna Jarosławna²⁶² panowała we Francji, że, że i że... – mógłbym cytować w nieskończoność – ale to wszystko urwało się wraz z najazdem tatarskim, po czym po każdej nowej katastrofie Ukraińcy musieli zaczynać niemal od początku, natomiast myśmy mieli osiem wieków nieprzerwanego istnienia państwowego. A rozwój naszej kultury narodowej nie ulegał przerwom, co najwyżej pewnym zahamowaniom – i właśnie dlatego wolno mi mówić o owym „starszeństwie”. Osobiście uważam naród ukraiński za jeden z najzdolniejszych w Europie i wróżę mu piękną przyszłość kulturalną, jeśli zdoła wybić się ku niepodległemu życiu, ale nie moja wina, że – jak dotychczas – tragiczne wypadki dziejowe nie pozwoliły mu dorównać osiągnięciom innych narodów, m.in. polskiego.

Zarzucono mi wreszcie, że pisząc o „swoistej megalomanii ukraińskiego nacjonalizmu”, wykazałem tym nieznamość ukraińskiej psychiki. „Nasz kompleks niższości – twierdzi «Trybuna» – ujawnia się właśnie w niedocenianiu siebie i przecenianiu innych”. Być może, ale w takim razie ukraińska myśl polityczna walczy z tym kompleksem w sposób dość szczególny, skoro od lat przeprowadza daleko idącą idealizację przeszłości historycznej w oczywistej niezgodzie z materiałem faktycznym. Chmielnicki po doniesieniu „totalnego zwycięstwa nad Polską” nie poszedł na Warszawę, bo nie był imperialistą. Z tych samych powodów Konaszewicz Sahajdaczny nie podyktował Turcji zmian terytorialnych po bitwie chocimskiej.²⁶³

²⁶⁰ Sobór Mądrości Bożej (Sofijski) w Kijowie, w którym zachowały się pochodzące z XI i XII wieku freski i mozaiki, wykonane przez artystów bizantyjskich i ruskich.

²⁶¹ Klemens Smolatycz, metropolita kijowski w XII w.

²⁶² Anna Jarosławówna (XI w.), córka Jarosława Mądrego, żona króla francuskiego Henryka I.

²⁶³ Bitwa toczyła się od 2 IX do 9 X 1621 r. między wojskami Rzeczypospolitej, które wraz z wojskami litewskimi i kozackimi znajdowały się w oblężonym Chocimiu, a wojskami tureckimi. Walki zakończyły się podpisaniem pokoju 9 X 1621 r., który potwierdzał ustalenia z 1617 r.

Kozacy nieśli główny ciężar obrony Europy przed półksiężycem, a ogólnie byli idealistami i – w odróżnieniu od podstępnych Polaków – zawsze dotrzymywali wszelkich umów. Szewczenko jest największym poetą Słowiańszczyzny, a „Polska uczyniła wszystko możliwe (po pierwszej wojnie), by zniszczyć państwo ukraińskie”..., itd., itd. Przecież takie oceny byłyby dobre w pieśniach ślepeca-bandurzysty, ale nie na łamach poważnych czasopism! To są pozornie drobne rzeczy, ale wzięte razem uniemożliwiają skuteczną dyskusję nie gorzej od naszych rodzimych teoryjek – i dlatego nie mogę ich pomijać milczeniem. Historia stosunków polsko-ukraińskich została gruntownie zafałszowana i fałszuje się ją w dalszym ciągu na naszych oczach. Lojalnie przyznaję, że czyni to również niejeden publicysta polski, ale niechże Ukraińcy nie wymagają, abym zapisywał całą winę na nasze konto, skoro ich prasa sekunduje skutecznie polskim spadkobiercom nieśmiertelnego Rawity-Gawrońskiego.²⁶⁴

„Trybuna Ukraińska” protestuje energicznie przeciw memu twierdzeniu, że „dla wielu Ukraińców Polska pozostała wrogiem nr 1”. „Ależ wcale nie! – odpowiada publicysta ukraiński. – Nasza złość do Polaków była typową nienawiścią zniewolonych do panujących. Ta złość przestała istnieć automatycznie z chwilą... gdy znikł ten stosunek między Polakami i Ukraińcami”. Niestety, moje obserwacje niezupełnie zgadzają się z powyższym, tak kategorycznym twierdzeniem. Biorę do ręki wybór utworów Szewczenki, wydany w Kanadzie przy końcu wojny i widzę, że redaktorzy położyli większy nacisk na poematy o akcentach antypolskich, niż na wiersze o ostrzu przeciwrosyjskiem. Jest *Tarasowa nicz*, gdzie kruki lecą z pola *Laszkiw-pankiw isty* [Lachów-panków jeść], jest o tym, jak *Lachy z swoim Czarnieckym, z pohanym Stepanom, zapalyły cerkwiu bożu* [Lachy ze swoim Czarnieckim, złym Stefanem, podpaliły bożą świątynię]. Jest *Cholodnyj Jar* i urywki z *Hajdamaków*,²⁶⁵ natomiast liczne utwory, w których Szewczenko

²⁶⁴ Franciszek Rawita-Gawroński (1846-1930), powieściopisarz i publicysta, historyk-amator, zbliżony do kół narodowych. Jego twórczość była krytykowana przez autorów ukraińskich.

²⁶⁵ Tytuły utworu T. Szewczenki.

wychodził poza porachunki uczuciowe i ze stanowiska historiozoficznego wyciągał dłoń ku Polakom, świecą nieobecnością. Po co o tym piszę? Na pewno nie z intencją jałowego pieniactwa się i nie po to, by drażnić Ukraińców. Jestem przekonany, że publicystyka obydwu narodów powinna uczynić głęboki rachunek sumienia, każda za siebie, bo winy są wzajemne, a odpowiedzialność przed historią współczesną. Jeżeli nie nastąpi rozbrojenie, żadne usiłowania zgody politycznej nie doprowadzą do pozytywnego rezultatu. Zwracano mi już kilkakrotnie uwagę, że mój sposób stawiania kwestii nie jest najszcześniejszy, gdyż ciągle podkreślanie momentów drastycznych zaognia jeszcze bardziej sytuację, ja jednak nie wierzę, by system ukrywania ciągle krwawiącej rany polsko-ukraińskiej miał być najlepszym zabiegiem leczniczym. Ukraińcy, czytający moje gorzkie pretensje pod ich adresem, zechcą pamiętać, że nigdy nie wahałem się ostro potępiać win i błędów polskich (vide: *Wspomnienia ukrajinofila*, „Wiadomości”, nr. 52 i 55²⁶⁶) i że w mojej, wcale niemałej pracy publicystyczno-propagandowej w kraju, do którego zarzuciły mnie losy, nie tylko poświęcam uwagę, ale ponadto traktuję ją tak jakby to chodziło o moją własną sprawę narodową. Z tego byłby może wniosek, że moje ukrajinofilstwo niekoniecznie zasługuje na ten cudzysłów, w jaki zaopatrzył je publicysta „Ukraińskiej Trybuny”.

„Łobodowski nie lubi zasady etnograficznej” – pisze z pewnym przekąsem „Trybuna”. Istotnie, zasada sztywnych granic etnograficznych, z takim barbarzyństwem urzeczywistniana przez materialistyczne nacjonalizmy, nie przemawia do mego poczucia moralnego i mego zrozumienia ducha kultury europejskiej. Uważam, że sprawiedliwe współżycie dwóch narodów na tym samym terenie jest nie tylko możliwe, ale korzystne dla rozwoju cywilizacyjnego i postępu humanistycznego. Nie budzi we mnie zachwyty zawartość etniczna współczesnej Turcji, okupiona eksterminacją Ormian

²⁶⁶ Patrz str. 124-143 tego wydania.

i wymianą ludności greckiej²⁶⁷ – i podejrzewam, że z punktu widzenia kulturalnego owa zwartość Turkom na dobre nie wyjdzie. I cóż z tego, że Moskale zniszczyli żywioł polski na wschód od Sanu i Bugu! Jutro, być może, wymordują kilka milionów Ukraińców, jeśli to im będzie odpowiadało, i na ulicach Lwowa będzie się słyszało wyłącznie mowę rosyjską. Na czyją korzyść zacznie wtedy działać zasada etnograficzna i owo *status quo*, na które powołuje się dziś strona ukraińska? Obydwa narody zostały zbyt ciężko doświadczone przez historię, aby rozwiązywać zagadnienie sąsiedzkie przy pomocy podobnych metod. Byłoby aktem wysoce niemoralnym, gdyby Polakom, pochodzącym ze Lwowa czy spod Tarnopola, odebrano prawo powrotu do ich mniejszej ojczyzny – podobnie, jak nie wolno negować takiego samego prawa Ukraińcom wyrzuconym przez Bezpiekę z Sanockiego czy Chełmszczyzny.²⁶⁸ Podstawą do rozmów powinien stać się stan z roku 1939, gdyż każde inne podejście musiałoby opierać się potwierdzeniu aktów przemocy, przeprowadzonych przez barbarzyńcę, a więc w samym już założeniu byłoby niemoralne.

Pod względem etnicznym Ziemia Czerwieńska nie jest ani czysto polska, ani czysto ukraińska. Jest krajem mieszanym, ukraińsko-polskim. Proponowane przez Ukraińców „cesarskie cięcie” może znaleźć wśród Polaków jedynie zwolenników o tak wielkim znaczeniu, jak wspomniany poprzednio p. Bielski, a dalsze obstawanie przy programie maksymalistycznym ma wszelkie szanse na zapędzenie zagadnienia do ślepego zaułka. Jedynie rozstrzygnięcie kompromisowe, oparte na zasadach federacyjnych, mogłoby stępić ostrze obopólnych maksymalizmów i doprowadzić do ugody. Wiem dobrze, że obydwaj społeczeństwa nie są przygotowane do takich rozstrzygnięć, że po stronie polskiej działa tysiąc uprzedzeń, wyrosłych nieznajomości zagadnienia, a strona ukraińska ustosunkowuje się do

²⁶⁷ Ludobójstwo Ormian miało miejsce w latach 1915-1917. Wymiana ludności odbyła się na podstawie ustaleń Traktatu w Lozannie (24 VII 1923 r.), z terytorium b. Imperium Osmańskiego do Grecji wyjechało ok. 1,5 mln osób.

²⁶⁸ Wyszędlenia Ukraińców do ZSRR miały miejsce na podstawie umowy władz Polski Ludowej z ZSRR w latach 1944-1946 (objęły m.in. Chełmszczyznę), a następnie z województwa rzeszowskiego i lubelskiego na tzw. ziemie odzyskane w ramach akcji „Wisła” w kwietniu-lipcu 1947 r.

każdej inicjatywy federacyjnej z najwyższą podejrzliwością. Toteż wyznaję, że nie jestem w stanie zdobyć się pod tym względem na optymizm – co jednak nie znaczy, bym miał zrezygnować z samej idei, którą uważam za słuszną i celową.

Przewidzieć, jak potoczą się wypadki, jeśli chwila decydująca zastanie nasze narody niepogodzone i bez wspólnego programu działania, nietrudno. Jak w roku 1918, obydwie strony zechcą stworzyć fakty dokonane, osłabiając tym samym główny front walki ze wspólnym wrogiem. Zasadniczym powodem, dla którego Rosja rewolucyjna mogła wrócić nad Morze Czarne, był niewątpliwie konflikt polsko-ukraiński. Skutki nie dały na siebie czekać. Wojna o Lwów doprowadziła w konsekwencji do pokoju ryskiego, a ten już z odległości dziewiętnastu lat przywoływał widmo tragicznej daty 17 września 1939. Tak było zawsze w ciągu dziejów. Ofiarą pada najpierw Ukraina, jako bezpośrednio narażona na uderzenie moskiewskie, potem przychodzi kolej na Polskę.

Polacy powinni więc pamiętać, że niepodległość Warszawy bez niepodległego Kijowa jest nietrwała, Ukraińcy zaś zapomnieć o nierozsądnej tezie, że można skutecznie przeciwstawiać się Rosji, mając na Zachodzie ustawiczny konflikt ze wszystkimi sąsiadami, którzy w odpowiednim momencie będą woleli pójść raczej na porozumienie z Moskwą, niż zgodzić się na granice na Sanie, Cisie i Prucie. Takie niebezpieczeństwo istnieje zawsze, a Rosjanie chętnie przystaną na jakąś nową granicę ryską, byleby utrzymać się w Kijowie i Odessie. Ukraińska myśl polityczna musi brać pod uwagę te ewentualności, gdyż zapewne nie ignoruje istnienia tendencji prorosyjskich w środowiskach, które stoją na stanowisku, że dogadanie się z Ukraińcami jest niemożliwe lub niepotrzebne.

Podczas gdy my grzebiemy się we wspominkach historycznych i wzajemnie się atakujemy, emigracja rosyjska nie zasypia gruszek w popiele i już się przygotowuje do obrony *jedynoj i niedielimoj*. Paryskie „Wozroźdzenie”²⁶⁹ pisało kiedyś, że cały wysiłek Rosjan na

²⁶⁹ „Wozroźdzenie”, gazeta rosyjskich emigrantów o poglądach konserwatywno-monarchistyczno wydawana w Paryżu (1925-1940).

emigracji powinien pójść po linii uprzedzenia, aby klęska sowieckiego regime'u nie zamieniła się w załamanie imperium. *My dołżny smrotriet' w oba, czto by udar po sowiestkoj ogłoble nie ubił ras-sijskawo konia.* Wall Street i Watykan są dziś głównymi obiektami generalnej ofensywy „demokratycznych” Rosjan. Bankierom amerykańskim przekłada się, że jedynie z Rosją niepodzielną będzie można ubijać kokosowe interesy; kardynałom i misjonarzom obiecuje się, jak niegdyś Iwan Groźny Possewinowi,²⁷⁰ Rosję katolicką. Ta akcja chwyta w dostatecznym stopniu, aby już dziś uderzyć na alarm, a chwytać będzie tym bardziej, im więcej argumentów propagandzistów i agentom moskiewskim dostarczą nasze podwórkowe klótnie i prowincjonalne konflikty.

[„Wiadomości” 1948 nr 22]

BRAK PROGRAMU WSCHODNIEGO

„Kiedy wspierać – to rodaka, kiedy tańczyć – krakowiaka, gdy obdarzać – to już hojnie, sąsiadować – to spokojnie” – zaleca unieśmiertelniony przez Wincentego Pola pan Wełdysz.²⁷¹ Ja bym jednak tę końcówką przypowieść nieco zmienił, gdyż właśnie mam zamiar wyklócić się – i to bardzo niespokojnie z moim sąsiadem z Humańszczyzny²⁷² (do Czehrynia niedaleko), który stawia „programy wschodnie” mocno nie po kresowemu i krew mi psuje swoją polityką. Oczywiście, mam na myśli artykuł W.A. Zbyszewskiego w nr. 117 „Wiadomości”.²⁷³

²⁷⁰ Antonio Possevino (1533-1611), dyplomata i legat papieski, brał udział w negocjacjach pomiędzy Iwanem IV Groźnym i Stefanem Batorym, pozostawił opis Rosji *Moscovia* (Wilno 1586).

²⁷¹ Postać z *Przypowieści pana Wełdysza*, autorstwa Wincentego Pola.

²⁷² Wacław Alfred Zbyszewski (1903-1985), dziennikarz i publicysta pism konserwatywnych, po 1945 r. na emigracji we Francji. Urodził się w rodzinnym majątku Bokijówka, dzisiaj wieś w rejonie wołoczyskim, w obwodzie chmielnickim.

²⁷³ W. A. Zbyszewski, *Program wschodni*, „Wiadomości” nr 26 (117), 27 VI 1948, s. 2

Zbyszewski szermuje w imię polityki realistycznej i zwalcza „echa naszego romantyzmu”, a właśnie jego wywody grzeszą całkowitym surrealizmem politycznym; dba o „tytuł uważania się za naród katolicki”, a jednocześnie proponuje środki, które muszą być uznane za niemoralne z katolickiego i w ogóle z każdego ludzkiego punktu widzenia; wreszcie krytykuje programy wschodnie, wysuwane przez poszczególne partie polskie, a w rezultacie okazuje się, że sam go nie posiada, gdyż pomysłu przekształcenia Rosji na „pojęcie geograficzne” zapewne nie podniesiemy do rangi poważnego programu politycznego. Wskazuje skwapliwie na różnice i trudności dzielące kraje środkowoeuropejskie, przemilczając to wszystko co je łączyło i połączyć może w przyszłości. Muszę więc, wbrew zaleceniom pana Węldysza, po sąsiedzku, a zatem ostro z nim wyklócić.

Plany stworzenia bloku narodów Europy Środkowo-Wschodniej, które Zbyszewski zbywa lekceważącym machnięciem ręki, to nie widzimiś niedowarzonych fantastów; nie urodziły się one z czwartku na poniedziałek, ale mają za sobą wielowiekową tradycję, a to wskazuje najwymowniej na ich nieprzypadkowość. Systematyczne dążenie Węgier nie tylko do utrzymania brzegów Adriatyku, ale i do przebiccia się ku Morzu Czarnemu, dynastyczna polityka Jagiellonów, przejęta później przez Habsburgów, galicyjskie pomysły przekształcenia cesarstwa na państwo trialistyczne, wreszcie niemiecka Mitteleuropa, to tylko różne objawy tej samej tendencji zjednoczeniowej, logicznie wynikającej z geopolityki i z doświadczeń historycznych. Prawda, plany te nigdy nie doczekały się pełnego urzeczywistnienia, ale już sam fakt uporczywego ich odnawiania się w coraz to innych ośrodkach politycznych świadczyłby raczej na korzyść koncepcji federacyjnej.

Nikt się przecież nie łudzi, by rzecz pomyślaną w takiej skali dało się załatwić jednym pociągnięciem pióra. Zjednoczenie Francji czy Hiszpanii kosztowało kilkaset lat nieustannych wysiłków, zjednoczenie Włoch i Niemiec – jeszcze więcej. Europa Środkowo-Wschodnia żyła i rozwijała się pod nieprzerwanym naciskiem sił zewnętrznych, które rozbijały i utrudniały inicjatywę dośrodkową

na obszarze, będącym zarówno dla Porty Ottomańskiej jak i dla Moskwy czy pruskiego Berlina terenem naturalnej ekspansji. Myślę, że w analogicznych warunkach ani Prowansja nie byłaby dziś francuska, ani Katalonia tworzyła część państwa hiszpańskiego.

Według Zbyszewskiego, kraje Międzymorza są „cywilizacyjnie bardziej obce” niż Francja i Anglia, „żaden z nich nie wykazuje większego zainteresowania kulturą innych ogniw tej federacji”, toteż „koncepcja Międzymorza jest typowo inteligencka, papierowa”. Czyżby naprawdę autor sądził, że odległość kulturalna między Warszawą a Budapesztem lub Wiedniem i Pragą jest większa od odległości między Londynem a Paryżem? I po co ułatwiać sobie zadanie cytując takie ekscentryczne przykłady, jak Finlandia i Albania? Możliwości wzajemnego przenikania kulturalnego narodów Międzymorza są olbrzymie, a jeśli chodzi o ów „brak zainteresowania”, warto by zajrzeć do statystyk przedwojennych i sprawdzić pozycję literatury polskiej w ruchu wydawniczym i teatralnym Czech, Słowacji, Chorwacji i Serbii. Przykro to powiedzieć, ale właśnie Polska najmniej interesowała się życiem kulturalnym swoich sąsiadów i chętnie deklamując o swoim przewodnictwie, nie uczyniła absolutnie niczego, aby wyjść naprzeciw spontanicznym dążeniom wielu narodów naddunajskich i bałkańskich, pod tym względem dwudziestolecie niepodległości całkowicie zmarnowano, gdyż polska myśl narodowa nie wydała żadnej wielkiej myśli historycznej, jedynie zdolnej do stworzenia ośrodka przyciągania. Polski inteligent zachłystywał się makulaturą sowiecką, a nie chciał nic wiedzieć o młodej literaturze ukraińskiej, powstającej tuż pod bokiem za brzuchowicką rogatką,²⁷⁴ cytował z pamięci trzeciorzędnych paryskich bulwarowców, a nie potrafiłby wymienić dwóch trzech nazwisk wielkich poetów czeskich; prądy polityczne, społeczne i kulturalne, nurtujące obszar naszego naturalnego zainteresowania, były w Polsce mniej znane niż francuska kronika towarzyska albo historie chicagowskich gangsterów. Teren aż się prosił o poznanie i ekspansję, ale nam było w głowie co innego. Warto zatrzymać się

²⁷⁴ Brzuchowice, podlwowska miejscowość wypoczynkowa.

na jednym, jakże charakterystycznym przykładzie. Mieliśmy sojusz polityczny i wojskowy z Rumunią, logicznie uzasadniony położeniem geograficznym, przygotowaliśmy wielki plan wodnej drogi śródlądowej, łączącej Bałtyk z Morzem Czarnym, a jednocześnie wiedzano u nas o tym kraju akurat tyle, co o jakimś Tybecie czy Wenezueli. Proszę się popytać na ten temat nawet wykształconego rodaka, a odpowie, że urzędnicy rumuńscy są przekupni, kobiety – rozpustne, żołnierze chodzą boso, Bukareszt zaś to cylinder na głowie dzikusa. Nasza wiedza o tragicznej i niekiedy bohaterskiej historii południowego sąsiada ograniczała się do tego, czego nas nauczył tata Sienkiewicz, że „jazda wołoska lekka, bo lekko ucieka”. Po cóż więcej? Że pod tą plugawą lewantyńską skorupą zgniłej warstwy rządzącej nurtowały młode prądy narodowe, że rozwijała się bujnie wcale ciekawa literatura, że akcentowała się coraz silniej świadomość historycznej roli narodu, tegośmy nawet nie podejrzewali. No tak, Włodzimierz Lewik²⁷⁵ przełożył garść wierszy Arona Kotrusa!²⁷⁶ To bardzo dużo, jak na dwadzieścia lat niepodległego „dynamizmu”!

Na początku wojny Stanisław Mackiewicz nawoływał w paryskim „Słowie” do tworzenia na emigracji wielkich idei historycznych, zdolnych do podniesienia nas z upadku, twierdząc, że nie urzędnicy i zawodowi politycy, ale poeci i wizjonerzy są powołani do wykreślenia nowych programów. To nie koncepcja Międzymorza jest papierowa, to myśmy byli rycerzami z papieru, marnującymi pchające się do rąk możliwości. Nie jeździliśmy do Pragi, Bukaresztu i Zagrzebia, jak słusznie stwierdza Zbyszewski, woleliśmy podróże na Rue Pigalle i do Monte Carlo. Ale dlaczegoż zakładać, że tak musi być zawsze? Skąd ten fatalistyczny pesymizm, który odrzuca a priori wszelki wysiłek w tym kierunku? Koncepcja Międzymorza najprawdopodobniej nie da się urzeczywistnić w naj-

²⁷⁵ Włodzimierz Lewik (1905-1962), poeta i tłumacz polski (przekładał głównie z jęz. angielskiego, niemieckiego i francuskiego).

²⁷⁶ Aron Cotruș (1891-1961), poeta i dyplomata rumuński. Przekład autorstwa W. Lewika ukazał się: A. Cotruș, *Wybór wierszy*, Lwow 1936.

bliższym czasie, przynajmniej jeśli chodzi o jej kształt maksymalistyczny, ale myślenie historyczne nie mierzy się dniem dzisiejszym i zawsze jest wytyczone ku przyszłości. Jeśli czegoś powinniśmy się nauczyć u Moskali, to ich umiejętności planowania na wyrost, bez czego nie ma wielkiej polityki, a jest tylko spóźnione mądrzenie się po szkodzie. Marzycielem był Iwan Groźny gdy – uciekając z Moskwy przed Dewlet-Girejem – wciąż uważał się za następcę rzymskich cesarów, wizjonerem Piotr I, gdy – łatwo bity przez Turków w stepach multzańskich – nie przestawał myśleć o Carogrodzie. Jakże kpił sobie Stefan Batory z Iwana i jak sztydził z Piotra rzeźnicę seraju! Ale nam teraz nie bardzo do śmiechu! Polska nie dlatego upadła w XVIII w., że miała ustrój taki czy owaki, że była otoczona przez potężnych sąsiadów, ale dlatego że elita rządząca nie podjęła wielkiej idei historycznej, przepiła ją, przełajdaczyła i przerznęła w karty. Ideał był, ale bruku nie sięgnął.

Jednym z takich najbardziej krzyczących zaniedbań z naszej strony było niewątpliwie zrezygnowanie z idei panslawistycznej – i słusznie! – z wszechsłowiańskich bzdurzeń w stylu żeligowszczyzny,²⁷⁷ które w ostatecznej konsekwencji są mętną wodą na moskiewskie młyny, ale współdziałanie narodów słowiańskich, poczynając od terenu kulturalnego, to ani rasizm, ani nonsens, ani piąta kolumna rosyjskiego imperializmu. Trzeba umieć odróżnić chytre manipulacje moskiewskich stupajek od spontanicznych dążeń ludów słowiańskich, pamiętając także i o tym, że sama idea powstała na Słowiańszczyźnie zachodniej, skradziona i zniekształcona znacznie później przez Rosjan. Jeszcze w XVII wieku oczy wszystkich Słowian zwrócone były ku Polsce, a choć w znacznie mniejszej skali podobna koniunktura zarysowała się po pierwszej wojnie światowej. Niestety, nie zwróciliśmy na nią uwagi i nie wyzyskali w najmniejszym choćby stopniu.

Nie mogło być inaczej, skoro nacjonalizm polski wytworzył atmosferę getta, w którego zasięgu lubowano się w odurzaniu dymem kadzideł wielkomocarstwowych, ale nie myślano o tym,

²⁷⁷ Aluzja do słowianofilskich poglądów gen. Lucjana Żeligowskiego (1865-1947).

że bez stworzenia w Polsce ośrodka atrakcyjności dla narodów sąsiednich nie może być nawet mowy o odegraniu poważniejszej roli w Europie. Główny grzech naszej polityki kresowej polegał na odwróceniu się plecami do ziem, które uważaliśmy za swoje, nie zdobywając się na żaden wysiłek, aby je rzeczywiście swoimi uczynić, o ile oczywiście nie uznamy za taki wysiłek akcji pana majora Gąsioraka, przerabiającego zabytkowe organy w Dederkałach w kształt orła z rozpostartymi skrzydłami, bo to „pokrzepi na duchu żywioł polski na Wołyniu”. Właśnie na Wołyniu, z którego Zbyszewski zamierza usunąć całą ludność ukraińską, zjawisko getta wystąpiło w najjaskrawszej formie. Wyjawszy nieliczne jednostki, polska inteligencja nie tylko nie utrzymywała żadnego kontaktu z żywiołem ukraińskim, ale wręcz tak się zachowywała, jakby wszystkie zagadnienia wołyńskie zaczynały się na ulicy Jagiellońskiej w Łucku,²⁷⁸ a kończyły na ulicy Trzeciego Maja w Równem.²⁷⁹ Poza tym wszyscy ci „nosiciele polskiej kultury” i „misjonarze katolicyzmu” czuli się niesłuchanie szczęśliwi, gdy się im udało wrócić za Bug i zapomnieć o dziwnym kraju, w którym zdrajca – wojewoda²⁸⁰ rozmawia ze Stepanem Skrypnikiem po „małorusku”²⁸¹ i chodzi na jakieś wieczorynki, gdzie mu przygrywają na antypaństwowej bandurze i śpiewają pieśni o barwinku. „Włodzimierz, polska Syberia...” – takimi słowami zaczynał się nieoficjalny hymn podchorążówki Szkoły Artylerii,²⁸² ze straszliwą otwartością wyrażając to, co po cichu czuł i pan zastępca starosty, i panienska stukająca na maszynie w województwie, i przodownik policji uganiający się po koszyrskich lasach za *podpilnikami*.²⁸³

Nie żadna fatalność, jakby wynikało z artykułu mego sąsiada z Humańszczyzny, ale nasza własna ospałość i brak dynamizmu kulturalnego zadecydowały o smutnych rezultatach ostatniego

²⁷⁸ Ul. Jagiellońska (obecnie Łesi Ukrainki), główna ulica Łucka.

²⁷⁹ Ul. Trzeciego Maja, (obecnie Soborna), główna ulica Równego.

²⁸⁰ Chodzi o Henryka Józewskiego.

²⁸¹ Tzn. po ukraińsku.

²⁸² Wołyńska Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim.

²⁸³ Podpilnik, ukr. konspirator, członek należący do tajnej organizacji.

ćwierćwiecza. Jakże mogliśmy być atrakcyjni w Pradze czy w Belgradzie, jeśli nie potrafiliśmy stać się atrakcyjni nawet w Druhi i Kopyczyńcach? Po prostu nie reprezentowaliśmy żadnej idei, którą można by było przeciwstawić przenikaniu niemieckiemu i sowieckiemu. Gdy Karol Frycz²⁸⁴ ogłosił w „Marchołcie” artykuł, w którym zarzucał polskiej polityce zagranicznej bezideowość, za co, nawiasem mówiąc, prof. Kołaczkowskiego²⁸⁵ ukarano usunięciem z fotela redakcyjnego, opinia publiczna bodaj się nawet o tym nie dowiedziała.²⁸⁶ Ale ilu inteligentów polskich czytywało „Marchołta”? Poblężliwe poklepywanie po łopatkę każdej odważniejszej idei, gdy się – o dziwo! – wśród nas pojawi, dowodzi chyba tylko daleko posuniętego znużenia rozczarowanych poklęskowiczów, którym się wydaje, że to właśnie romantyczne idee na wyrost są naszym największym nieszczęściem. W rzeczywistości, nie wielkie idee, bo tych od dawna nie mieliśmy, ale wyuzdane frazesy bez żadnego pokrycia gubiły nas w przeszłości, jak gubią po dziś dzień. Czyż naprawdę tak trudno odróżnić frazesy od idei autentycznych?

Zbyszewski twierdzi, że „Europa Środkowa bez Niemiec nie jest ani całością wojskową, ani gospodarczą, ani kulturalną”. Bardzo to arbitralna opinia, którą trudno było by uzasadnić. Całość gospodarczą mierzy się zasobami podstawowych surowców, a pod tym względem Niemcy nie mogą dać narodom Międzymorza absolutnie niczego. Całość wojskowa przy dzisiejszym stanie techniki zaczyna się od kontynentu, zatem z Niemcami, czy bez nich, położenie nie ulega zasadniczej zmianie. Nie bardzo też rozumiem, co ma na myśli autor, pisząc o całości kulturalnej. Z równą albo i z większą racją można by oświadczyć, że Europa Środkowa nie jest całością kulturalną bez Włoch i Francji. Bliższy Split Wenecji, a Zamość

²⁸⁴ Karol Stefan Frycz (1910-1942), prawnik, dziennikarz i publicysta, członek Stron-nictwa Narodowego i redakcji „Myśli Narodowej”.

²⁸⁵ Stefan Kołaczkowski (1887-1940), historyk literatury, publicysta, założyciel i redaktor naczelny „Marchołta” (1934-1938).

²⁸⁶ S. Kołaczkowski przestał pełnić funkcję redaktora naczelnego „Marchołta” w styczniu 1939 r. Zastąpił go historyk literatury, dr Tadeusz Makowiecki (1900-1952). Wbrew twierdzeniu Łobodowskiego, opinia publiczna była poinformowana o przyczynie zmiany redakcji.

Bolonii niż Berlina. A jeśli nawet całe Międzymorze „nie będzie nigdy organizacją samoistną”, jak oświadcza Zbyszewski, i „może istnieć tylko” pod protektoratem Zachodu, albo „uzależnić się od Niemiec”, to jakież los czeka te same kraje, rozbite i zbałkanizowane? Tak więc, atakując koncepcję federalistyczną, Zbyszewski mimo woli przytacza argumenty na jej korzyść.

Ale, jak zwykle w polskich dyskusjach, prawdziwa bieda zaczyna się, gdy dochodzimy do sprawy ukraińskiej. Może by i nie było powodów do rozdzierania szat, gdyby chodziło o kogoś urodzonego w Koninie czy Lesznie, ale że to pisze brat – kresowiec z braclawskiego województwa, aż hadko robi się na sercu. Koncepcja ukraińska jest dla Zbyszewskiego po prostu spóźnionym echem polskiego romantyzmu, z którego jak najszybciej należy się wyleczyć; niepodległa Ukraina stanie się „natychmiast naszym nieubłaganym wrogiem”, powoływanie się zaś w tej sprawie „na wielkie nazwisko Piłsudskiego” jest zwykłym nadużyciem. W ostatnich czasach weszło w modę rozstawianie romantyzmu po najciemniejszych kątach, przy czym przypisuje mu się ojcostwo nawet takich dziełek, które miały już siwe brody, gdy poetyckie bociany dopiero wybierały się do Zaosia i Krzemieńca²⁸⁷. Koncepcji ukraińskiej nie wymyślił Goszczyński²⁸⁸ z Zaleskim,²⁸⁹ powstała ona o ładne dwa wieki wcześniej. Gdyby tacy „romantycy”, jak Kisiel²⁹⁰ i Ossolińscy,²⁹¹ wygrali walkę z „realizmem” Chmiela²⁹² i Jaremy,²⁹³ gdyby „romantyczna” unia hadziacka została urzeczywistniona zanim przyszedł

²⁸⁷ Miejsca urodzenia A. Mickiewicza i J. Słowackiego.

²⁸⁸ Seweryn Goszczyński (1801-1876), pisarz i poeta romantyczny, przedstawiciel tzw. szkoły ukraińskiej.

²⁸⁹ Józef Bohdan Zaleski (1802-1886), poeta romantyczny, zaliczany do „szkoły ukraińskiej”.

²⁹⁰ Adam Kisiel (1600-1653), wojewoda kijowski i braclawski, w czasie powstań kozackich przedstawiciel obozu ugodowego.

²⁹¹ Jerzy Ossoliński (1595-1650), kanclerz wielki koronny.

²⁹² Bohdan Chmielnicki (1595-1657), hetman zaporoski, przywódca powstania kozackiego, ukraiński bohater narodowy.

²⁹³ Jeremi Wiśniowiecki (1612-1651), książę, dowódca wojsk koronnych, wojewoda ruski.

Perejasław, to byśmy teraz ze Zbyszewskim nie tłukli się po Londynach i Madrytach, ale siedzieli gdzieś na wsi pod Humaniami i spijając miodek, pogwarzali o tym, jak pięknie obrodziła pszenica i buraki. Taki to, panie sąsiedzie, ów pogardzany romantyzm!

Wszyscy wrogowie koncepcji ukraińskiej uparcie przemilczają zasadniczy argument przeciwnego obozu. Umówmy się. Jeżeli systematycznie pomija się główną rację, nie ma prawdziwej dyskusji – jest – harcowanie, nie bitwa. Przez całe lata pisma ukrajinoznawcze, z „Biuletynem [Polsko-Ukraińskim]” Bączkowskiego na czele, wypisywały formułę prostą jak drut, że owa „nieubłagana wrogość” Ukrainy niepodległej zostanie natychmiast zneutralizowana przez rewindykacyjne parcie Moskwy. Od dwustu lat Polska jest miażdżona przymierzem rosyjsko-niemieckim. Od dwustu przeszło lat Ukraina jest główną podstawą imperialnego potencjału Moskwy. Niepodległy Kijów zaczęłyby natychmiast odgrywać rolę piorunochronu, ściągającego na siebie całą energię polityczną Eurazji. Że Ukraińcy zechcą prowadzić politykę jednocześnie antyrosyjską i antypolską, szukając oparcia w Berlinie? Niech sobie prowadzą. I tak stosunek sił ulega całkowitej zmianie na naszą korzyść. Zamiast sojuszu Niemiec z Rosją, rozporządzającą całym gospodarczym i ludzkim potencjałem ukraińskim, w najgorszym razie będziemy mieli przeciw sobie sojusz Berlina z Kijowem, przy czym Moskwa zamienia się w takim układzie z wroga na sprzymierzeńca. Zdawałoby się, dość nieskomplikowane. Ale przeciwnicy koncepcji ukraińskiej w ogóle nie chcą brać takiej argumentacji pod uwagę. Zamiast przyjąć bitwę z główną armią, uprawiają partyzantkę na skrzydłach.

„Piłsudski chciał stworzyć Ukrainę w roku 1920 – pisze Zbyszewski – ale w roku 1932,²⁹⁴ podpisując pakt nieagresji z Rosją, tę koncepcję przekreślił”. Brzmi to równie kategorycznie, jak gołosłownie. Piłsudski całe swoje życie poświęcił walce z Rosją i załatwienie zagadnienia w skali historycznej widział w rozbiciu imperium na składowe części narodowe. Usiłował to wytłumaczyć samurajom

²⁹⁴ Polsko-sowiecki pakt o nieagresji został podpisany 25 VII 1932 r.

w Tokio²⁹⁵ i własnym krajanom w Wilnie.²⁹⁶ Ratował Łotwę przed Moskalami i chciał ich na stałe usunąć z Kijowa. Nie udało się, więc poszedł na rozmowy i pakt. Podobnie zawarł pakt o nieagresji z Niemcami, gdy go do tego zmusiła głupota polityków zachodnioeuropejskich. Czy Zbyszewski chce nas przekonać, że Piłsudski liczył, iż paktem z roku 1932 załatwia raz na zawsze niebezpieczeństwo rosyjskie? Wszelką koncepcję historyczną, do której jak-że często Marszałek powracał w swoich pismach, byłoby w stanie przekreślić jedno posunięcie taktyczne? „Wieczystych pokojów z Moskwą mieliśmy już kilka – i wiadomo, co z nich wynikało”.

Ale założmy na chwilę, że Marszałek istotnie zaniechał swego dawnego programu i pakt o nieagresji z roku 1932 wziął na serio jako ostateczną postawę polityczną wobec Rosji. Sądzę, że nie ma na to żadnych obiektywnych danych, ale założmy, że istotnie tak było. Wielcy ludzie przechodzą nieraz gwałtowniejsze ewolucje. W takim wypadku wolno nam chyba wybierać, a gdyby już wybierać przyszło, wolę Piłsudskiego, który wyciąga braterską dłoń ku Petlurze na stacji w Winnicy, od Piłsudskiego z czasów „pacyfikacyjnych”.²⁹⁷ Czy to też będzie nadużyciem wielkiego imienia?

Trzeba zresztą przyznać, że Zbyszewski jest konsekwentniejszy od tych panów, którzy chcą mieć moskiewski porządek w Kijowie za cenę polskiego porządku we Lwowie. Nie życzy sobie Ukrainy niepodległej, ale również nie pragnie niepodległej Rosji. Wysuwa program zlikwidowania państwa rosyjskiego, bez tworzenia na jego miejscu innych organizmów politycznych. Chce mieć na wschód od granicy ryskiej tereny kolonialne, pojęcie geograficzne, coś w rodzaju Chin z ubiegłego stulecia czy Bliskiego Wschodu w obecnej chwili, przy czym dodaje argument, że kraje te mają „starszą i dostojniejszą tradycję państwową i kulturalną od barbarzyńskiej satrapii rosyjskiej”. Do tego właśnie powinniśmy dążyć i to doradzać

²⁹⁵ Aluzja do podróży J. Piłsudskiego do Japonii w 1904 r., kiedy próbował nawiązać współpracę polsko-japońską przeciwko Rosji.

²⁹⁶ Aluzja do planów federacyjnych J. Piłsudskiego.

²⁹⁷ Pacyfikacja b. Galicji Wschodniej, która miała miejsce od 16 IX do 30 XI 1930 r..

naszym przyjacielowi w Waszyngtonie i Londynie. Cała trudność polega tylko na tym, aby po pokonaniu bolszewików Anglosasi usłuchali właśnie nas, a nie Kierenskiego,²⁹⁸ Krawczenki²⁹⁹ i Dalina,³⁰⁰ hrabianki Tołstojówny³⁰¹ i Oksany Kosenkinowej.³⁰² Usłuchali i w nagrodę za dobrą radę powierzyli nam organizowanie i pilnowanie przyszłego „geograficznego pojęcia”, co powinno pójść tym łatwiej, że jużemy udowodnili posiadanie wybitnych uzdolnień do administrowania terenami o mieszanej ludności i skomplikowanych zagadnieniach. Niestety, program ten ma jedną małą wadę: jest absolutnie niemożliwy do urzeczywistnienia, właśnie – że użyję słów samego Zbyszewskiego – „romantyczny, typowo inteligentki, papierowy”. Jak sobie Zbyszewski wyobraża utrzymanie tych wszystkich ludów w posłuchu? Chodzi przecież o olbrzymi kontynent zamieszkały przez dwieście milionów ludzi! Ukraina to nie Transjordania czy Irak, a raz wyzwolona z jarzma moskiewskiego nie tak łatwo pogodzi się z rolą kolonii. No, a Moskwa? Jestem przekonany, że odmówił wielkich zdolności we wszystkich niemal dziedzinach, a nade wszystko geniusza politycznego. Eksperymenty kolonialne na tym terenie musiałyby w ostatecznej konsekwencji doprowadzić ponownie do koncepcji *jedynoj i niedielimoj*.

Z całością tych zagadnień łączy się ściśle sprawa mniejszości narodowych. Zwolennicy sztywnych granic etnicznych – a nie brakuje ich nigdzie – mają przed oczami piękne wzory hitlerowsko-

²⁹⁸ Aleksander Kiereński (1881-1970), polityk rosyjski, premier Rządu Tymczasowego, od 1918 na emigracji we Francji, a następnie w USA.

²⁹⁹ Wiktor Krawczenko (1905-1966), inżynier sowiecki, który „wybrał wolność” 3 IV 1944, opublikował wspomnienia: *I choose Freedom*, New York 1946.

³⁰⁰ Dawid Dalin (1889-1962), rosyjski historyk, mienszewik, od 1940 w USA.

³⁰¹ Aleksandra Tołstoj (1884-1979), najmłodsza córka pisarza L. Tołstoja, uciekła z ZSRR w 1929 r. i osiadła w USA, gdzie powołała Fundację Tołstoja.

³⁰² Oksana Kasenkina, nauczycielka chemii w sowieckim przedstawicielstwie przy ONZ, w lipcu 1948 r. uciekła z do domu należącego do białej emigracji Fundacji Tołstoja, gdzie napisała list do konsula generalnego ZSRR w USA, z prośbą o pomoc. Zabrała do konsulatu, 12 VIII 1948 r., wyskoczyła z trzeciego piętra konsulatu i „wybrała wolność”. Opublikowała wspomnienia: *Leap to Freedom*, London – New York 1949.

-bolszewickie: masowe wysiedlenie. Jednakże Zbyszewski nie widzi możliwości usunięcia Ukraińców obrządku unickiego, gdyż w ten sposób „zadalibyśmy... cios śmiertelny naszej duszy”, natomiast proponuje zastosowanie tych drastycznych środków wyłącznie do prawosławnych. Myślę – i w tym także jestem niepoprawnym romantykiem – że czyny niemoralne zawsze zadają „śmiertelny cios duszy”, niezależnie od tego, czy dotyczą unitów, prawosławnych, czy zgoła mahometan. Ale w danym wypadku rzecz nie wytrzymuje krytyki również ze względów pozaetycznych; przecież, stosując konsekwentnie receptę Zbyszewskiego, należałoby wyrzucić na wschodnie „tereny kolonizacyjne” np. tych Wołyniaków i Poleszaków, którzy walczyli w szeregach II Korpusu, bo należą do cerkwi prawosławnej, natomiast zaofiarować obywatelstwo polskie Stefanowi Banderze, bo to grecki katolik!

Widzę doskonale olbrzymie trudności, piętrzące się na drodze, jaką narody, zagrożone przez Niemcy i Moskwę, muszą przebyć, jeśli chcą uratować się od zagłady. Ale samym wskazywaniem na trudności niczego nie zdziałamy. Trzydzieści lat temu naród polski przeraził się wielkiej idei, zdradził traktatem ryskim swoich wschodnich sąsiadów, zapragnął żyć na miarę krawca, jednocześnie zerkając po falstaffowsku w stronę Fidasza, i zapłacił za to straszliwą hekatombą i utratą wolności. A po tym wszystkim wielu Polakom wydaje się po dziś dzień, że sam postulat nietykalności naszego stanu posiadania jest ideą, która wytrzyma przyszłe próby dziejowe. Więc, recytując we śnie i na jawie: „utrzymamy, cośmy zdobyli na Zachodzie, odbierzemy, cośmy utracili na Wschodzie”, przygotowują się psychicznie do powtórzenia takich samych błędów, które po pierwszej wojnie światowej utraciły święte plany Komendanta i uniemożliwiły nam stać się narodem uniwersalnym, „ludem świata”, zapowiadany niegdyś przez Słowackiego.

Ale wybaczenie, kochany sąsiedzie z Humańszczyzny, że powołuję się na Słowackiego. To przecież był tylko „romantyk”!

MASONSKIM DYSZLEM Z KRESZCZATIKU NA RAMBLAS

Dyskusja z Jędrzejem Giertychem, wywołana recenzją z jego książki, została w ostatnim artykule mego preopinanta („Wiadomości” nr 134)³⁰³ znakomicie rozszerzona wskutek uwag, które Giertych czyni w związku z kwestią ukraińską. Mój adwersarz nie chce ustąpić ani kroku. Chmielnicki i Mazepa to odwieczne nieboszczyki, niemające żadnego związku ze współczesnym nacjonalizmem ukraińskim, gdyż na początku XIX w. „sprawa ukraińska była już sprawą umarłą”. Jeśli narodziła się na nowo, to dlatego, że uzyskała poparcie ze strony wpływowych sił politycznych (czytaj: masonerii), podobnie jak to się stało w wypadku katalońskim, a nie stało się w Prowansji i na niemieckiej Północy. Z tego Giertych wysnuwa następujący wniosek: „warunki naturalne nie wystarczają... do narodzin ruchu narodowego”. W Meklenburgu i Prowansji nie zrodził się separatyzm polityczny, mimo że warunki naturalne (tak opiniuje Giertych) były nie gorsze niż w Katalonii czy Ukrainie, gdyż masoneria nie zainteresowała się ani Fritzem Reuterem,³⁰⁴ ani Mistralem.³⁰⁵ Natomiast zainteresowała się Szewczenką – i stąd cały mętlik z Ukraińcami, którzy bez wysokiego poparcia panów spod znaku kielni śpiewaliby dziś: „Umarł Maciek, umarł...”, zamiast *Rewe taj Stożne...*, i tańczyliby oberka, zamiast hopaka. Konkretyzując w paru słowach, tylko te spontaniczne tendencje naro-

³⁰³ J. Giertych, *Jeszcze raz o polityce Dmowskiego i o Ukrainie*, „Wiadomości”, nr 43 (134), 24 X 1948, s. 3.

³⁰⁴ Fritz Reuter (1810-1874), pisarz niemiecki, tworzył i był zaangażowany w działania mające na celu odrodzenie j. dolnoniemieckiego.

³⁰⁵ Frédéric Mistral (1830-1914), poeta francuski, tworzył w j. prowansalskim (oksytańskim), współtwórca Związku Felibrów, którego celem było odrodzenie języka prowansalskiego.

dowe, za którymi stała masoneria, przekształciły się w silne ruchy polityczne; wszystkie inne spaliły na panewce. Tak oto Giertych rozszerza naszą dyskusję na teren całej Europy, zwracając szczególną uwagę na Prowansję, Dolne Niemcy i Katalonię, a pomijając – przypuszczam, że z braku miejsca – nie mniej typowe ruchy wyzwolencze na Bałkanach i w krajach naddunajskich. Nie pozostaje mi więc nic innego, niż podjąć polemikę w całej jej szerokości i, zaprząwszy parę masońskich koników do dyszla, przejechać się z kijowskiego Kreszczatiku na barcelońskie Ramblas.

Zacznę od zasadniczego sprostowania. Twierdzenie Giertycha, że na początku XIX w. sprawa ukraińska była już sprawą umarłą i że sztucznie powołały ją do życia zastrzyki masońskie, jest całkowicie niesłuszne i nie znajduje pokrycia ani w faktach historycznych, ani w dokumentach literackich. Przypomnę, że Sicz Zaporoską zlikwidowali Moskale dopiero w r. 1775, a jej oddziaływanie na lud w tym końcowym okresie było tym silniejsze, że ostatni hetman koszowy, Kalnyszewskij – mówiąc nawiasem, wykształcony szlachcic podolski – zaczął ją przetwarzać z na pół anarchistycznego obozu w państwo, troszczące się o sprawną administrację, o rolnictwo, przemysł, a nawet o szkolnictwo. Kalnyszewskij, który w kilkadziesiąt lat później zmarł na zesłaniu na Solówkach, był bezpośrednim i świadomym kontynuatorem dzieła wielkiego Mazepy: zachowane dokumenty historyczne nie pozostawiają najmniejszej pod tym względem wątpliwości. Na koniec XVIII w. przypada działalność Skoworody (ur. w 1722 r.), pisarza znającego szereg języków europejskich i gruntownie czytanego w literaturze filozoficznej, którego pism zakazała carska cenzura nie tylko ze względu na posądzenie o herezję. W roku 1798 ukazało się pierwsze wydanie *Perełycowanaj Eneidy* Kotlarewskiego, utworu, w którym pod maską niefrasobliwej parodii uważny czytelnik znajdował bez trudu wyraźne akcenty narodowe i antyrosyjskie. Najpopularniejszą lekturą okresu była słynna *Historia Rusów* Połetyki³⁰⁶, gwałtowny pa-

³⁰⁶ *Historia Rusów*, traktat historyczny opublikowany w 1846 r., przypisywany m.in. Hryhorijowi Połetyce (1725-1784). Odegrał istotną rolę w rozwoju ukraińskiej myśli narodowej.

mfllet polityczno-historyczny o niedwuznacznej tendencji niepodległościowej. Wystarczy zresztą sięgnąć do pieśni ludowych z tych lat, aby przekonać się, że tradycje narodowe nie wygasły ani na chwilę. Ogień, tłumiony i przysypywany przez wrogie siły, tlił uporczywie w popiele, aż przyszedł genialny człowiek, który go rozdmuchał w potężne ognisko. Tym człowiekiem był Szewczenko. Bez Skowrody, Kotlarewskiego, Połetyki, bez żywych wspomnień kozaczyzny, przekazanych przez ustną tradycję i pieśń ludową, może by go nie było. Byłby na pewno i bez masonów. Że masoni zapragnęli przy ognisku, podsyconym przez autora *Kobziarza*,³⁰⁷ upiec własną pieczeń, to inna sprawa, i tu Giertych miałby pole do popisu. Ale ubocznych dopływów nie należy mieszać z głównym nurtem. „Na stepie wyrósł ja, Dniepr, Iwanhora, pieśń gdzieś w chacie starego znachora...” – pisał Bohdan Zaleski, tłumacząc, jak doszło do tematyki ukraińskiej w jego poezji. To samo mógłby powiedzieć Szewczenko, który stał się patriotą i niepodległościowcem ukraińskim jeszcze w dzieciństwie, gdy całą duszą chłonąc opowiadania swego dziada o zamierzonych przewagach kozackich, już wtedy przygotowywał się do przyszłej roli duchowego przywódcy swego narodu. No, a owego dziada poety, pańszczyźnianego chłopca, zapewne nie posądzimy o przynależność do żadnej loży wolnomularskiej.

W naszej imaginacyjnej podróży z Kreszcztiku na barcelońskie Ramblas warto zawadzić o Złotą Prahę. Jak wyglądało położenie Czechów w połowie XVIII wieku? Kto wtedy myślał o tradycjach Przemyslidów, Husa czy braci [nie byli braćmi – przyp. wyd.] Prokopów? Gdzie była literatura czeska? Kiedy po raz ostatni lała się krew czeska w walce o wolność? Stanowczo, Czesi jako naród o świadomości historycznej dawali o sobie mniej znaku życia niż Ukraińcy, byli – że użyję terminologii Brzozowskiego³⁰⁸ – pogrążeni znacznie głębiej w bezdziejowości. Gdybyśmy chcieli zastosować teorię Giertycha, musieliśmy uznać,

³⁰⁷ Nawiązanie do najważniejszego dzieła T. Szewczenki.

³⁰⁸ Stanisław Brzozowski (1878-1911), wybitny polski filozof, pisarz i publicysta. Autor m.in. *Płomieni*, a także głośnej *Legendy Młodej Polski* (1910) oraz ważnego dla lewicowej myśli tomu *Idee. Wstęp do filozofii dojrzałości dziejowej* (1910).

że Dubrovsky,³⁰⁹ Palacky,³¹⁰ Safarzyk,³¹¹ Nejedly,³¹² Jungman,³¹³ Prohazka³¹⁴ i tylu innych **sztucznie**³¹⁵ ożywili umarli już naród w myśl wskazań tych samych międzynarodowych sił, które Szewczenko kazały pisać o *neńce – krainie*, zamiast pokornie *prilnut’ k soscam* jedynej i niepodzielnej *matuszki – Rasiji*. Giertych może mi na to odpowiedzieć, że przykład czeski jest niewłaściwy, gdyż mamy tu do czynienia z różnicami rasowymi i językowymi, idącymi dalej niż w wypadku ukraińskim. Nie bez kozery przecież podaje przykład dolnoniemiecki i prowansalski, podkreślając, że w obydwu wypadkach proces nie wyszedł poza granice regionalizmu literackiego, podczas gdy na Ukrainie doprowadził do ruchu niepodległościowego. Otóż uważam, że analogie te są mocno naciągnięte, a samo zestawienie przykładów świadczy o dowolnym naginaniu geografii, historii i kultury do założonych z góry tez. Wbrew twierdzeniu Giertycha, Mistral i Fritz Reuter na pewno nie wytrzymują porównania z Szewczenką. Mistral był poetą na wielką miarę i jeśli zechcemy operować kategoriami wyłącznie estetycznymi, być może na większą niż autor *Hajdamaków*. Ale od znakomitego epika, rozmiłowanego w swojej mniejszej ojczyźnie i pragnącego uratować jej mowę od roztopienia się we francuszczyźnie, do natchnionego proroka i rewolucjonisty, na którego książkach modli się od stu lat wielomilionowy naród, przepaść jest zbyt wielka, aby ją można było przesłonić masońskimi fartuszkami całego świata. Przypominam sobie, jak pewien „turysta”, spacerujący

³⁰⁹ Josef Dobrovský (1753-1829), ksiądz, filolog i językoznawca czeski, odegrał dużą rolę w czeskim odrodzeniu narodowym.

³¹⁰ František Palacký (1798 – 1876), czeski historyk i polityk, związany z czeskim odrodzeniem narodowym w XIX w., współorganizator Zjazdu Słowiańskiego w Pradze w 1848 r.

³¹¹ Pavel Josef Šafařík (1795-1861), historyk, etnograf i poeta pochodzenia słowackiego, tworzył w j. czeskim, związany z czeskim odrodzeniem narodowym w XIX w.

³¹² Jan Nejedlý (1776-1834), wydawca, poeta, tłumacz i redaktor czeski.

³¹³ Josef Jungmann (1773-1847), czeski pisarz i językoznawca, związany z czeskim odrodzeniem narodowym w XIX w.

³¹⁴ Arnošt Procházka (1869-1925), czeski pisarz i krytyk literatury.

³¹⁵ Wyraz podkreślony (tłustym drukiem) przez autora tekstu.

w roku 1935 po sowieckim Podolu, prosił o gościnę u chłopca i póty nie mógł przełamać ponurej nieufności, póki nie zacytował urywka z wiersza Szewczenki. Wtedy znalazła się wieczerza i nocleg, i dobre słowo na odejście. Opowiadano mi że, gdy w czasie ostatniej wojny żołnierze niemieccy prowadzili jakąś chłopkę na stracenie, skazana zaczęła wołać pod wymierzonymi lufami: *Haj, żywe Szewczenko!* Niechże się Giertych zastanowi nad tymi przykładami, a może mu najdzie ochota zestawiać wielkiego Ukraińca z – pozał się, Boże! – z acnym Fritzem Reuterem, pielęgnującym – w znakomitej zresztą formie literackiej – swój dolnoniemiecki ogródek. Podobnie położenie znaku równania między „czcigodną i wspaniałą przeszłością literacką” w języku *plattdeutsch*, a kulturą katalońską świadczy albo o nieznanym kultury katalońskiej, albo o zbytnej pochopności w wypowiedaniu sądów i szukaniu analogii.

Dolne Niemcy nigdy nie stanowiły jedności politycznej w ciągu historii Niemiec, dotyczącej całości krajów, należących do obszaru językowego „*plattdeutsch*”. Literatura w tym języku zaczęła rozwijać się wcale pięknie, ale rozwój ten został zahamowany już w XVI wieku. Między *Vier niederdeutschen Scherzgedichten* Johanna Lauremberga,³¹⁶ a *Plattdeutschen Idyllen* Johanna Hebla³¹⁷ jest niemal zupełna pustka. Gdy następuje odrodzenie *plattdeutsch*, przesuwa się i sam ośrodek kulturalny. W średniowieczu literatura dolnosaska ciążyła raczej ku Niderlandom (Willem Flamandczyk), natomiast w XIX wieku ognisko regionalne znalazło się w Meklemburgu, zatem na ziemiach, które jeszcze sto lat przedtem miały na wsi przewagę elementu słowiańskiego. Nic dziwnego, że w tych warunkach o żadnym separatyzmie politycznym nie mogło być mowy i nikomu się nie śniło o tworzeniu jakiegoś ruchu narodowego. Mamy tu do

³¹⁶ Johann Lauremberg (1590-1658), matematyk, lekarz i pisarz, który tworzył w języku łacińskim i dolnoniemieckim. Jego zbiór satyr: *Vier niederdeutschen Scherzgedichten* (*Veer Schertzgedichte, In Nedderdüdisch gerimet*) ukazał się w 1652 r.

³¹⁷ Johann Peter Hebel (1760-1826), autor posługujący się dialektem, który spisał i wydał w formie kalendarza domowego należące do ustnej tradycji opowieści, znane pod nazwą *Plattdeutschen Idyllen*.

czynienia z czystym regionalizmem literackim, tego samego typu, co na przykład szkoła „szwarzwaldzka”, założona w tym samym czasie przez Auerbacha.³¹⁸ W Polsce za odpowiednik podobnych tendencji, choć w mniejszej skali, można by uznać grupę pisarzy podhalańskich.

Mniej więcęj to samo działo się w Prowansji. Wprawdzie tradycje odrębności kulturalnej, a nawet politycznej były tu znacznie silniejsze, ale nie wystarczające, by stworzyć ruch separatystyczny, cóż dopiero mówić o tendencjach niepodległościowych. Właściwie już wyprawy krzyżowe przeciw albigensom położyły kres politycznej niezależności Południa i zadały cios śmiertelny bujnie przedtem rozwijającej się literaturze langwedockiej. Inicjatywa akademii tuluzańskiej (Gai-Savoir) nie dała pozytywnych wyników, i w ciągu wielu stuleci piśmiennictwo regionalne ogranicza się do osamotnionych amatorów, nieznajdujących zresztą żadnego oddźwięku. Potem przysłała rewolucja francuska i dokończyła zjednoczenia Południa z Północą. Ruch „felibryzystów”, z Mistralem na czele, miał – podobnie jak szkoła „meklenburska” w Niemczech – charakter wyłącznie regionalny, a sam autor „Mireille” nie posuwał się poza żądanie decentralizacji kulturalnej. Znamienny jest fakt, że nawet ośrodki tej literatury powstawały poza Południem: „Cigale” i „Felibrige de Paris” miały swoje siedziby w stolicy Francji, a nie w Awinionie czy w Aix-en-Provence. Ostatecznie, odrodzona literatura langwedocka znalazła najżywszy oddźwięk w katalońskim Roselonie, a *Mireille* jest chętniej czytana po tamtej stronie Pirenejów – w Barcelonie czy w Geronie – niż w samej ojczyźnie autora.

Zupełnie inaczej potoczyły się dzieje Katalonii. Królestwo Aragony, którego najważniejszą część składową tworzyło hrabstwo Barcelony, miało za sobą kilka wieków nieprzerwanego istnienia państwowego i nie byle jakiej potęgi politycznej. Bierze wybitny udział w późnych wyprawach krzyżowych, staje się decydującym czynnikiem żeglarskim w zachodniej części Morza Śródziemnego,

³¹⁸ Ludwig Wilhelm Auerbach (1840-1882), kupiec, fabrykant i poeta niemiecki, tworzył na terenie Schwarzwald.

opanowuje na pewien okres Prowansję, Sycylię, Neapol i Sycylię (po dziś dzień zachowały się okolice, gdzie chłopci sardyńscy mówią czystym językiem katalońskim), a po połączeniu się unią, najpierw osobistą, a później dynastyczną, z Kastylią, zachowuje szereg ważnych odrębności i przywilejów. Tak więc w Barcelonie rządzi nie gubernator, ale wicekról, a miasto Saragossa posuwa swoją śmiałość do tego stopnia, że odmawia wykonania woli nie byle kogo, bo samego Filipa II, gdy jego rozkazy weszły w konflikt z przywilejami starej stolicy. Z biegiem czasu brak różnic językowych z Kastylijczykami zatarł tradycje dawnej odrębności we właściwym Aragonie, natomiast tradycje te utrzymały się w Katalonii, podsycane świadomością własnej osobowości kulturalnej. Podczas gdy literatura prowansalska urywa się w XIII wieku, a twórczość w języku dolnoniemieckim ogranicza się do poezji i prozy dydaktycznej, Katalończycy mogą powołać się na przeszło osiemset lat nieprzerwanej tradycji literackiej, obejmującej nie tylko tak zwane rodzaje piękne – typowa cecha wszystkich literatur regionalnych – ale również filozofię, historię, krytykę, nauki ścisłe, filologię, etnografię, leksykografię itd., itd. Chociaż będzie to brzmiało nieco paradoksalnie, właściwymi spadkobiercami średniowiecznej literatury langwedockiej wydają się nie „felibryżyści”, ale Katalończycy. W XII wieku nieraz nie sposób jest przeprowadzić wyraźnej linii podziału między trubadurami z francuskiego Południa, którzy chętnie odwiedzają dwór hrabiów barcelońskich, a poetami katalońskimi. Liryczna pieśń Alfonsa II *Per mantos quizas m'es datz*³¹⁹ cieszy się taką samą popularnością w Tuluzie, Albi i Arles, jak w Tarragonie i Perpignan. Nie ma jeszcze ścisłego podziału między językiem literackim tych i tamtych, a gdy mowa katalońska osiągnie swoją krystalizację ostateczną pod piórem Ramona Lulla, zwanego Doctor Iluminado,³²⁰ w zniszczonym przez Szymona de

³¹⁹ Alfons II Aragoński (1157-1196), król Aragonii, m.in. hrabia Prowansji, tworzył w j. katalońskim (m.in. *Per mantos quizas m'es datz*).

³²⁰ Rajmund Llull (ok. 1232 – ok. 1315), kataloński filozof, poeta i misjonarz, tworzył w j. łacińskim i katalońskim.

Montfort³²¹ Beziars³²² i w upokorzonych Tuluzie nie ma już trubadurów, których cienie daremnie będą starały się wywołać z niepamięci „turnieje poetyckie”, organizowane przez akademię Gai-Savoir.

Następuje trzysta lat świetnego rozkwitu literatury katalońskiej, jedynej w ówczesnej Europie, mogącej iść w paragon z Włochami. Mistyka i filozofia znajdują wielkiego przedstawiciela w osobie wspomnianego już Ramona Lulla, proza historyczna szczyści się nazwiskami Desclota i Muntanera, opisującego wyprawę na Wschód stylem godnym epepei, w liryce wschodzi gwiazda walen-sjańczyka Marcha, bodaj nieustępującego Petrarce. Kwitną powieść rycerska i teatr ludowy, a wspaniałe *Misterium zwiastowania* z Elche przetrwało siedem stuleci i co roku jest wystawiane, po dziś dzień ściągając tłumy widzów z całej Katalonii i Lewantu. Na długo przed odrodzeniem i humanizmem mnożą się przekłady z łaciny, głównie scholastyczne w języku katalońskim. Krótko mówiąc, nie ma rodzaju literackiego, który by już w XIV i XV wieku nie był uprawiany przez Katalończyków. Przyzna mi Giertych, że to trochę więcej niż miłosne pieśni trubadurów prowansalskich albo pocziwe dykteryjki dydaktyczne Eike von Repgowa czy Johanna Lauremberga!

Upadek literatury katalońskiej zaczyna się wraz z wojną separatystyczną w latach 1640-1651 i trwa około półtora stulecia, ale nie dochodzi nigdy do całkowitej próżni kulturalnej, jak się to działo w wypadku prowansalskim i dolnoniemieckim. Toteż, gdy przyszedł dzień odrodzenia, piśmiennictwo to rozwinęło się tak spontanicznie i potężnie, że wszelkie zestawienie z „felibryżystami” i Fritzem Reuterem musi wydać się śmieszne. Tendencja narodowa, niekoniecznie dążąca do odseparowania się od Hiszpanii, ale zawsze zazdrosna o prawo do własnej osobowości kulturalnej, przetrwała nietknięta od wczesnego średniowiecza, objawiając się z równą siłą w pieśniach trubadura Riquiera z XII wieku,³²³ jak

³²¹ Simon de Montfort (2 poł. XII w. - 1218), hrabia Tuluzy, jeden z przywódców krucjaty przeciwko albigensom.

³²² Béziars zostało zdobyte w trakcie wojen z albigensami, 22 lipca 1209 r., a jego mieszkańcy w liczbie kilkunastu tysięcy, wymordowani.

³²³ Giraut Riquier (XIII w.), pieśniarz uważany za ostatniego trubadura tworzącego w języku oksytańskim.

w *Odzie do ojczyzny* Aribau,³²⁴ która zainicjowała odrodzenie literackie na początku ubiegłego stulecia. Nie od rzeczy będzie podkreślić, że podczas gdy na terenie politycznym separatyzm kataloński szukał często kontaktów ze skrajną lewicą, piśmiennictwo całego tego okresu cechuje prawie zawsze głęboka religijność i przywiązanie do tradycji katolickich, co już samo przez się osłabia tezę Giertycha o masońskich inspiracjach ruchu katalońskiego, który opierał się raczej na mieszczaństwie niż na proletariacie, bardziej podatnym na wpływy międzynarodowe. Warto też zwrócić uwagę, że separatyzm w Galicji i w kraju Basków (Euzkadii) nie wydał prawie żadnej literatury i w ogóle trudno go brać na serio, choć pobożnych życzeń po różnych ośrodkach politycznych, jawnych i tajnych, ku temu nie brakowało. A stało się tak z tej prostej racji, że w Bilbao i w Corunii, podobnie jak w Aix-en-Provence i Schwerinie, zabrakło takich tradycji historycznych i kulturalnych, jakie zawsze istniały w Barcelonie. W Barcelonie i w... Kijowie.

Teraz, gdyśmy zakończyli naszą podróż znad brzegów Dniepru do podnóża Tibidabo,³²⁵ a dzielne masońskie koniki człapią po Ramblas de las Flores, spróbujmy podsumować, cośmy powiedzieli poprzednio. We wszystkich omówionych wypadkach rolę decydującą odegrało natężenie wspomnień przeszłości i świadomość odrębności kulturalnej. Tak więc niepodległościowcy ukraińscy mają na czym się oprzeć, gdy zwracają się twarzą do historii, bo chociaż w czasach nowożytnych niepodległy byt państwowy na Ukrainie nigdy nie wykroczył poza granice krótkotrwałego epizodu, naród ukraiński ani na chwilę nie pogodził się z narzuconą sobie bezdziejowością. Tradycje niepodległościowe są zawsze żywe, choć nie zawsze towarzyszy im jasno sprecyzowana myśl historyczna. Łatwo to sprawdzić z podręcznikiem historii w ręku. Kozaczyzna nawiązywała do kijowskiego średniowiecza i w słynnej *Protestacji* do sejmu Rzeczypospolitej z roku 1620 czytamy te znamienne słowa:

³²⁴ *Oda a la Pàtria*, wiersz napisany w 1832 r. w j. katalońskim autorstwa Bonaventury Caelesa Aribau (1798-1862).

³²⁵ Tibidabo, (512 m. n.p.m.), najwyższy szczyt Serra de Collserola, łańcucha górskiego, u stóp którego leży Barcelona.

„...bo ci rycerscy ludzie, Kozacy są... Z tegoż przesławnego ruskiego rodu, z Jafetowego nasienia, które wojowało z greckim cesarstwem na Czarnym morzu i na lądzie. Idzie to wojsko (zaporoskie) z tegoż pokolenia, co... za świętego ruskiego monarchy, Włodzimierza Wielkiego, wojowało z Grecją, Macedonią i Ilirią”...³²⁶ Ta wyraźna świadomość historycznej ciągłości, żywa za Piotra Konaszewicza Sahajdacznego, przeszła poprzez okres ruiny do Baturynu Iwana Mazepy i Filipa Orlika, po czym literatura XVIII wieku i pieśń ludowa przekazały ją w ręce Szewczenki i Pantelejmona Kulisza, a z ich wysiłku zrodził się i Petlura, i zimowy pochód,³²⁷ i współczesna nam epopeja ukraińskiej armii powstańczej. Czyn zbrojny i wysiłek kulturalny przeplatają się ze sobą, zanikają na krótko i znów się podnoszą z nicości.

Sprawa katalońska nie miała nigdy tego tragicznego aspektu, warunki też były zupełnie inne, ale i tu tradycja narodowa zachowała swoją ciągłość. Nacjonalista kataloński ma za sobą świetną historię potężnego państwa, wyprawy Jakuba Zdobywcy³²⁸ przeciw Maurom, epopeję Rogera de Flor na saraceńskim Wschodzie, panowanie nad brzegami Mare Tyrrenum, ruiny opactwa w Poblet, osiem wieków wspaniałego dorobku kulturalnego, wielkie osiągnięcia w dziedzinie literackiej, naukowej i artystycznej. Tu nie trzeba było niczego stwarzać sztucznie, tu każda piędź rodzinnej ziemi i każda karta starych foliałów podsycali poczucie odrębności i dumę narodową.

Do czego miał nawiązywać Niemiec ze Strelitz czy Rostocku, do jakiej minionej świetności miał tęsknić i jakie ambitne plany zakreślać, gdy mu znakomity Fritz Reuter dał do rąk swoje *Lauschen un Rimels*? Do rodowych tradycji książytek meklenburskich? Czy

³²⁶ Sejm obradował w listopadzie 1620 roku, podczas gdy *Protestacja* została wydana w 1621 roku przez Hioba (Boreckiego), prawosławnego metropolitę kijowskiego, w której krytykował zawarcie unii brzeskiej (1596 r.) i jej negatywne konsekwencje dla rozwoju relacji polsko-ruskich.

³²⁷ Pochód zimowy, kampania zimowa oddziałów armii Ukraińskiej Republiki Ludowej walczących z bolszewikami w okresie od 6 XII 1919 do 6 V 1920 r.

³²⁸ Jakub I Zdobywca (1208-1276), król Aragonii i hrabia Barcelony. Podbił wyspy: Majorkę, Minorkę i Ibizę.

też szukać jeszcze głębiej w przeszłości, by trafić na cmentarzyska wymordowanych plemion słowiańskich? Powtarzam: w Niemczech północnych nie było ani dostatecznie silnie zaznaczonych tradycji historycznych, ani świadomości odrębnej osobowości kulturalnej – i dlatego, choćby się wszyscy masoni uwzięli, nie byłiby w stanie wykrzesać z dolnoniemieckich torfowisk nawet tyle ognia, ile potrzeba do rozgrzania garnka zupy. A wreszcie istnieje niepisane prawo przelanej krwi. Temu, co codziennie stąpa po grobach poległych i pomordowanych przodków, łatwiej jest usłyszeć wołanie historii. Spójrzmy na naszą dyskusję pod takim właśnie kątem widzenia, a od razu zorientujemy się, na czym polega istotna różnica między Szewczenką, a Fritzem Reuterem i Mistralem.

Rzecz oczywista, ruchy wyzwolenicze na początku XIX wieku nie były przypadkiem. W jednych krajach ograniczały się do pracy „organiczej”, jak w Czechach, gdzie indziej parły do rozstrzygnięć gwałtownych, jak w Polsce, na Węgrzech i we Włoszech. Było to zjawisko powszechne, uzasadnione spontanicznymi dążeniami wszystkich narodów niezadowolonych, i ułatwione przez przełomowy charakter epoki. Odradzają się z niesłychaną szybkością Czechy, Gaj³²⁹ w Zagrzebiu, Blajwajs³³⁰ w Ljublanie podnoszą sztandar liryzmu; w Siedmiogrodzie Sincai³³¹ – według opinii węgierskiej cenzury *author patibulo dignus*³³² – kładzie podwaliny pod odrodzenie świadomości historycznej narodu rumuńskiego. Zaznaczę na marginesie, że Sincai był jezuitą, wychowankiem rzymskiego kolegium De Propaganda Fide, o ile wiem, żadnego fartuszka pod sutanną nie nosił, choć nie brak w jego twórczości gwałtownych akcentów społecznych. Jeśli Giertych wie o nim coś więcej i zna jego kontakty wolnomularskie, będę bardzo wdzięczny za sprostowanie. Sprawa stosunku, jaki zachodzi między rucha-

³²⁹ Ljudevit Gaj (1809-1872), poeta i polityk chorwacki, przedstawiciel ruchu iliryskiego, mającego na celu zjednoczenie Słowian południowych.

³³⁰ Janez Blejwejs (1808-1881), konserwatywny polityk słoweński, nazywany za życia ojcem narodu, konserwatysta, potem głoszący idee niepodległościowe.

³³¹ Gheorghe Șincai (1754-1816), rumuński historyk, poeta i tłumacz, przedstawiciel rumuńskiego odrodzenia narodowego w XVIII i XIX w.

³³² Łac., autor zasługujący na szubienicę.

mi narodowymi w XIX wieku, a działalnością tajnych towarzystw, jest zagadnieniem bardzo ważnym, które trzeba będzie przy jakiejś okazji potraktować obszerniej. Kończąc te, bardzo ogólne uwagi, chciałbym na razie podkreślić kilka momentów całego zagadnienia, dotyczących Katalonii i Ukrainy. W przelocie przyznam rację Giertychowi pod jednym względem. We Francji masoneria uczestniczyła w rządach, więc nie mogło jej zależeć na rozdmuchiwaniu jakiegokolwiek separatyzmu. Również w Hiszpanii loże nie mieszały się do sprawy katalońskiej, dopóki miały wpływ na politykę gabinetu madryckiego. Ale to wszystko razem mieści się doskonale na marginesie zagadnienia. Kontakty separatyzmu katalońskiego z masonerią są właśnie takim marginesem. Skrajna lewica katalońska, antyklerykalna, wolnomyślicielska, zerkająca w ostatnich czasach ku bolszewizmowi, nie dążyła do całkowitej niepodległości, zadowolając się szeroką autonomią administracyjną i kulturalną. Po dziś dzień anarchistom i komunistom w Barcelonie chodzi bardziej o program społeczny niż narodowy. Konsekwentni niepodległościowcy – jest ich zresztą niewiele – stanowią element raczej zachowawczy, o wyraźnym obliczu katolickim. Gdy któregoś z nich postawiono przed plutonem egzekucyjnym, zdjął buty i stanął boso, aby w chwili śmierci „lepiej czuć pod stopami świętą ziemię katalońską”. Osobiście uważam, że dążenie do całkowitego oderwania się od Hiszpanii jest równie błędne jak nieosiągalne, ale to nie powód, aby ludziom walczącym i ginącym za swoje idee podrzucać intencje, których nigdy nie mieli.

Zastrzeżenia te są jeszcze istotniejsze w stosunku do sprawy ukraińskiej. Nacjonalizm ukraiński nie cieszył się i nie cieszy sympatią lewicy międzynarodowej, a już Żydzi ustosunkowali się do niego z nieubłaganą wrogością. Wystarczy przypomnieć, co przedwojenny „Robotnik”³³³ pisał na temat dążeń do niepodległej Ukrainy. Toteż bardzo zabawnie wyglądają dziś ci polscy socjaliści na emigracji, którzy w swoich uniwersałach do narodu zapowiadają mgliście jakieś przyszłe sąsiedzkie układy z narodem ukraińskim.

³³³ „Robotnik”, organ Polskiej Partii Socjalistycznej.

Jeśli więc, jak chce Giertych, ukraiński ruch niepodległościowy jest „masońską intrygą”, należałoby wyjaśnić, dlaczego panowie wolnomularze są tak niekonsekwentni i zwrócili się przeciw własnemu dziecku. Czyżby to było dziecko wyrodne?

Koniki już są wyprzęgnięte i chciwie skubią soczystą trawkę. Ale jeśli Giertych będzie uważał za wskazane podjąć dalszą dyskusję, chętnie zaprzęgnę je znowu do dyszla i pojedziemy w powrotną drogę – z barcelońskich Ramblas, na kijowski Kreszczatik.

[„Wiadomości” 1949 nr 8]

MIĘDZY MUSZAŁSKIM A ZAGŁOBĄ

Mimo że sprawa stosunków polsko-ukraińskich ma znaczenie kluczowe dla całej Europy Środkowo-Wschodniej, publicystyka emigracyjna poświęca jej uwagę niedostateczną, sporadycznie i jak gdyby na marginesie innych, podobno ważniejszych zagadnień. Dla większości Polaków rzecz sprowadza się do utrzymania Lwowa i Tarnopola w granicach przyszłej odrodzonej Rzeczypospolitej, a reszta zaciera się we mgle niejasnych projektów lub w ogóle nie istnieje. A nie brak i takich, którzy w sennym marzeniu widzą całkowitą likwidację narodu ukraińskiego w jakiejś kosmicznej katastrofie, choćby miało ją stanowić rozpląnięcie się bez śladu we „wszechrosyjskim oceanie”.

W nr 244 „Wiadomości” wystąpił z zasadniczym na ten temat artykułem Władysław Studnicki.³³⁴ Czytałem go najpierw z zainteresowaniem, potem z rosnącym uczuciem zdziwienia, zawodu, żalu, wreszcie oburzenia i – będą szczery – wściekłości. Studnicki nie jest nieopierzonym publicystą, któremu wiele można wybaczyć, od Studnickiego wolno wymagać jeśli już nie słusznych tez politycznych, to przynajmniej niepisania na temat, którego nie zna.

³³⁴ W. Studnicki, *Sprawa ukraińska*, „Wiadomości”, nr 49 (244), 3 XII 1950, s. 2.

Klaudiusz Hrabyk ogłosił w nr 251 „Wiadomości” list, w którym bez trudu zbił szereg profesorskich argumentów.³³⁵ Tymczasem dyskusja rozszerzyła się poprzez artykuł Jędrzeja Giertycha o Chinach (nr 254),³³⁶ z nieuniknionym u tego publicysty kopniakiem, wymierzonym Ukrainie – poprzez słuszną reakcję Tadeusza Felsztyna³³⁷ (nr nr 256 i 269),³³⁸ która stanowi wymowne świadectwo zupełnego zwyrodnienia myśli wschodnioznawczej w pewnych środowiskach emigracyjnych. Sprawa jest zbyt poważna, by przejść nad nią do porządku, choć bicie głową o mur ignorancji i złej woli na pewno nie jest zajęciem przyjemnym. Błędy popełniane w stosunku do Ukraińców, niepoczytalna polityka kresowa, popierana i uzasadniana przez równie niepoczytalną publicystykę, przyniosły w latach wojennych straszliwą rzeź, która i nas, i Ukraińców kosztowała morze krwi.

Jak technikowi bez dyplomu inżyniera nie wolno budować mostów, a niedouczonemu studentowi medycyny leczyć chorych, tak nie wolno publiczście z poczuciem odpowiedzialności dotykać krwawiącego zagadnienia bez zdobycia podstawowej wiedzy historyczno-politycznej. W artykułach Studnickiego i Giertycha na tematy ukraińskie każde niemal zdanie roi się od błędów.

Oto jaskrawsze przykłady. Studnicki pisze, że głównymi członkami Bractwa Cyryla i Metodego byli poza Szewczenką Rosjanie, „sympatyzujący z narodowością ukraińską – jak prof. Antonowicz,³³⁹ Kulisz, Mykoła Kostomarow³⁴⁰ i inni”. Wskazałem już kiedyś w polemice z Giertychem, że Kulisz (już samo nazwisko na to wskazuje) był potomkiem starego rodu kozackiego. Przodkowie

³³⁵ K. Hrabyk, *Międzymorze i Ukraina. Do redaktora „Wiadomości”, „Wiadomości”, nr 3 (251), 21 I 1951, s. 3.*

³³⁶ J. Giertych, *Chiny, „Wiadomości” nr 6 (254), 11 II 1951, s. 2.*

³³⁷ Tadeusz Felsztyn (1894-1963), pułkownik WP, matematyk i fizyk, w l.30. kierownik Centrum Badań Balistycznych, po 1945 r. na emigracji w Wielkiej Brytanii.

³³⁸ T. Felsztyn, *Moralność jest niepodzielna. Do redaktora „Wiadomości”, „Wiadomości”, nr 8 (256), nr 25 II 1951, s. 4; Idem, Równe prawa do niepodległości. Do redaktora „Wiadomości”, „Wiadomości”, nr 21 (269), 27 V 1951, s. 4.*

³³⁹ Wołodymyr Antonowycz (1834-1908), historyk ukraiński polskiego pochodzenia.

³⁴⁰ Mykoła Kostomarow (1817-1885), ukraiński historyk, pisarz i krytyk, współzałożyciel Bractwa Cyryla i Metodego.

jego chadzali na Sicz, pułkownikowali w wojsku rejestrowym, bijali wojewodów moskiewskich. Sam Kulisz był wybitnym pisarzem i poetą ukraińskim, a Rosjaninem mianował go po raz pierwszy Studnicki. W Petersburgu uważano, że Bractwo Cyryla i Metodego wynikało z „polskiej intrygi”. Biedny pułkownik Dubelt!³⁴¹ Nic nie wiedział, że robota ukraińska powstała z inicjatywy „sympatyzujących Rosjan”, Kulisza i Antonowicza! Szkoda, że Studnicki nie poruszył sprawy Szeptyckiego. Może i on został metropolitą unickim z „sympatii” do Ukrainy? Był zapewne Polakiem. Czyż jego młodszy brat nie nosił munduru polskiego generała?³⁴² A może na odwrót? Wszystko mi się teraz poplątało i już nie wiem, czy metropolita był Polakiem udającym Ukraińca, czy generał Ukraińcem udającym Polaka. Z Ryłskimi, Karaszewiczami-Tokarzewskimi, Siedleckimi też musiało dziać się nie inaczej!...

Przedstawianie położenia na Ukrainie w przełomowych latach 1917-1921 jest równie tendencyjne i błędne. Zachowanie się Niemców na Ukrainie było według Studnickiego „wysoce lojalne”. Do wycofania się „zmusili ich sojusznicy”. Rუსyfikacyjna polityka [Pawło] Skoropadskiego miała wynikać z braku wykształconych Ukraińców, nadających się do obsadzenia administracji. Żadnego zbrojnego oporu przeciw bolszewikom nie było, a takie np. Kruty³⁴³ w ogóle nie istniały.

Na Ukrainie sowieckiej „treść życia duchowego” była od początku „rosyjska”. O niesłychanie bujnym rozwoju ukraińskiej literatury, teatru, sztuki w trzecim dziesiątku lat bieżącego wieku Studnicki

³⁴¹ Leontij Dubelt (1792-1862), pułkownik żandarmerii carskiej, szef Ochrony (1839-1856).

³⁴² Stanisław Szeptycki (1867-1950), generał Wojska Polskiego, był bratem Andrzeja (imię zakonne, pierwotnie: Romana) Szeptyckiego (1865-1944), biskupa grekokatolickiego, arcybiskupa metropolity lwowskiego i halickiego.

³⁴³ Bitwa pod Krutami toczyła się 29 I 1918 r., pomiędzy oddziałami bolszewickimi a ochotnikami armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. Przeważające oddziały bolszewickie (ok. 4 tys. ludzi) walczyły z nielicznymi obrońcami Krut (ok. 300 osób). Po kilkugodzinnej walce i kontratakach na bagnety obrońcy zostali zwyciężeni, wzięci do niewoli bolszewickiej i rozstrzelani.

nie słyszał. Kijowskich neoklasyków, Chwyłowego, z jego hasłem „Precz od Moskwy!”, które go kosztowało samobójczą kulę, świętego teatru Kurbasa,³⁴⁴ zwanego ukraińskim Meyerholdem³⁴⁵ – nie zna! Straszliwych prześladowań, wywołanych tym renesansem narodowym, wymordowania po piwnicach NKWD i łagrach syberyjskich elity ukraińskiej – nie raczył zauważyć. Nie raczył, a może nie chce, bo mu do podparcia jego naczelnej tezy potrzebne jest czyste sumienie: „treść duchowa rosyjska”, nie ma żadnej kultury ukraińskiej! Niedawno ambasador amerykański w Madrycie oświadczył dziennikarzom w Barcelonie, że o kraje za żelazną zasłoną nie ma co się troszczyć, bo im brak „osobowości narodowej”, która mogłaby skutecznie oprzeć się procesowi sowietyzacji. „A Polska – zapytał któryś z Hiszpanów – też nie ma osobowości narodowej?” – „Duch niepodległości polskiej – odparł świątły Jankes – został już zdruzgotany”. Ambasadorowi również potrzebne było to fałszerstwo, by uspokoić wyrzuty sumienia. Prawda, jaka zabawna analogia ze Studnickim?!...

I tak co zdanie, to błąd, pomyłka, przemilczenie, nieprawda, w najlepszym razie – niedokładność. „W czasie wojny – pisze Studnicki – w Małopolsce utworzono ukraińskie dywizje SS,³⁴⁶ ale nie były one użyte na froncie. Służyły do tłumienia powstania warszawskiego”. W rzeczywistości ukraińska SS w Warszawie nigdy nie była. W czerwcu 1944 wyszła na front pod Brodami, podczas ofensywy lipcowej została po trzydniowym boju rozbita przez bolszewików i przestała istnieć jako samodzielna jednostka.

Nawet nazwiska głośnego nacjonalistycznego przywódcy Studnicki nie potrafi napisać poprawnie: mówi o jakimś nieistniejącym Bandurze i bandurowcach. Tak, tak... Gdzieś tam zagrała mu ukraińska bandura, a gdzie i co – nie wiadomo.

³⁴⁴ Łeś Kurbas (1887-1937), ukraiński aktor i reżyser, twórca teatrów ukraińskich, m.in. teatru dramatycznego w Kijowie. W 1933 został aresztowany, skazany na 5 lat łagrów, a w 1937 r. skazany na karę śmierci.

³⁴⁵ Wsiewołod Meyerhold (1874-1940), rosyjski aktor i reżyser, twórca nowoczesnego teatru sowieckiego.

³⁴⁶ Powstała tylko jedna taka dywizja: 14 Dywizja Grenadierów SS (Galizien).

A oto bukiecik twierdzeń, wybranych z listu Giertycha, na który odpowiedział już Xawery Glinka w nr. 271 „Wiadomości”:³⁴⁷ „Odessa... jest miastem o ludności rosyjskiej, przez Rosję założonym na ziemi bezludnej, przez „rosyjską ludność skolonizowanej”... Tak samo Charków. Rosja ma prawa do Kijowa, który był ongi kolebką rosyjskiej państwowości i dynastii. (...) „Zadnieprze przyłączyło się do Rosji d o b r o w o l n i e” (podkr. moje – JŁ).

Niech sobie Giertych zajrzy do którejkolwiek encyklopedii rosyjskiej sprzed pierwszej wojny i poszuka danych statystycznych, dotyczących południowego Podola i Chersońszczyzny, skolonizowanych w jego wyobraźni przez ludność rosyjską. Po odebraniu Turkom Jenisansu podobało się petersburskim urzędnikom nazwać go Noworosją – i może właśnie ta nazwa zmyliła Giertycha. Ale Modlin również został przechrzczony na Nowyj Georgijewsk, a Dęblin na Iwanogorod. Jeśli chodzi o Charków, powstał on i rozwinął się jako miasto z szeregu połączonych wsi i chutorów w prowincji zwanej przez samych Moskali Słobożańską Ukrainą (Słabad-skaja Ukraina). Ludność chłopska była tu prawie w stu procentach ukraińska. Kijów był kolebką Rusi, nie Rosji. Kolebki państwowości rosyjskiej stały we Włodzimierzu nad Kłajmą, w Suzdalu i Moskwie. Zadnieprze nigdy się do Rosji nie przyłączało i „przyłączyć” w ogóle nie mogło, będąc pojęciem ściśle geograficznym, a nie politycznym. W Perejasławiu „całą” Ukrainę oddano pod opiekę cara moskiewskiego,³⁴⁸ ale nie był to ani akt wcielenia, ani przyłączenia. Zresztą bardzo szybko nastąpiło jego wypowiedzenie. O jakim innym wydarzeniu poza Perejasławiem myśli Giertych, używając tego słóweczka „dobrowolnie”? Może o Mazepie i Orłyku, idących

³⁴⁷ X. Glinka, *Kijów i Odessa. Do redaktora „Wiadomości”*, „Wiadomości”, nr 23 (271), 10 VI 1951, s. 4.

³⁴⁸ Ugodą w Perejasławiu (18 I 1654 r.) hetman Bohdan Chmielnicki poddał Ukrainę władzy cara Aleksego I.

za królem szwedzkim na wygnanie, albo o zaporoskim hetmanie Kalniszu, żywcem zamurowanym w sołowieckim ostrogu?

Proszę zwrócić uwagę, jak łatwo wszystkie argumenty anty-ukraińskie Giertycha każdy nasz wróg mógłby zwrócić przeciw Polsce. Rzeczpospolita „dobrowolnie” przyłączyła się do Rosji, bo była Targowica, bo panujący król zgłosił do niej akces, bo sejmy zatwierdzały rozbiory. Rosja – twierdzi Giertych – ma prawo do Ukrainy, gdyż w wielu miastach z Kijowem, Charkowem i Odesą na czele większość jest obecnie rosyjska. Cóż za wzruszająca logika! Giertych udaje, że nie wie, skąd się wziął taki stan rzeczy. W Bydgoszczy i Toruniu w roku 1918 było znacznie więcej Niemców niż Polaków, stąd należałoby przyznać racje pretensjom pruskim do Pomorza. A co ze Lwowem i Wilnem? Kto obecnie ma większość w tych miastach? Czy rusyfikacja miast ukraińskich nie odbywała się przy użyciu tych samych metod, co w Polsce Wschodniej w latach 1939-1941?

„MGLAWICA ETNOGRAFICZNA”

Podobnie jak dla Studnickiego, Ukraińcy dla Giertycha nie stanowią narodu w całym tego słowa znaczeniu. Nie mają skryształizowanego oblicza, są „etnograficzną mgławicą”, w której rozplywają się „ośrodki o konsystencji mocniejszej”. Dowody: w latach 1917-1919 nie utrzymali swej niepodległości, nie wyzyskali pomocy polskiej, nie udzielili Petlurze dostatecznej pomocy. Wszystko to prawda, ale żadnego dowodu nie stanowi. Giertych pomija milczeniem fakt, że Ukraina była wówczas ogarnięta rewolucją społeczną, że złudzenia socjalistyczne zrobiły swoje, że w zamęcie powszechnej wojny domowej instynkt narodowy sprowadzany był raz po raz na manowce przez błędne majaki ideologiczne, co uniemożliwiało skoncentrowanie energii w jednym kierunku. Zapomina też – a może nie wie – że brak zaufania do koncepcji petlurowskiej na wiosnę 1920 roku był w dużej mierze konsekwencją uprzedniego zachowania się polskich załóg wojskowych na Ukrainie prawobrzeżnej. Proszę

zajrzeć do wspomnień Hołówki *Przez dwa fronty*,³⁴⁹ a stanie się jasne, dlaczego agitacja Trockiego – „polscy panowie niosą nową pańszczyznę” – trafiała na podatny grunt. Jeśli się już ktoś uparł oświetlać wydarzenia historyczne, niechże bierze pod uwagę wszystkie działające elementy!

Uczciwie i beznamytnie oceniając wydarzenia ostatnich trzydziestu kilku lat, trudno nie przyznać, że naród ukraiński wykazał zdecydowaną wolę niepodległego istnienia. Mgławica!... Ileż w tę „mgławicę” wsiąkło krwi od końca pierwszej wojny światowej! Że często zawodziła jasna myśl polityczna, że jej krystalizacji stały na zawadzie ruchy anarchistyczne w stylu machnowszczyzny, że tradycje bezpańskiego stepu ożywały w nieskoordynowanych i rozwalających wysiłek państwowotwórczy akcjach atamańskich, że takie czy inne agentury i dywersje natrafiały na wyjątkowo sprzyjające warunki – nie ulega żadnej wątpliwości. Taki Chwyłowij był w latach wojny domowej czerwonym partyzantem, bo brał na serio propagandę bolszewicką – bo mu się wydawało, że hasła rewolucji społecznej, idące z Północy, dadzą się harmonijnie pogodzić z narodową ideą ukraińską. Ale w krwawym huraganie, poprzez ślepe zawieruchę rozkiełzanych sił, wciąż sprowadzanych na manowce, sama idea utrzymała się i przetrwała. Petlura, Zimowy Pochód, wspomniany już renesans kulturalny o cechach wyraźnie narodowych i antymoskiewskich, zaciekły opór przeciw kolektywizacji, w czasie wojny żywił rozwój ukraińskiej armii powstańczej, nie zlikwidowanej „po dziś dzień” – to chyba dowody wystarczające. Niektórzy z antyukraińskich publicystów powiadają: tak, ale ideę niepodległościową reprezentowała w gruncie rzeczy jedynie garść inteligencji ze Lwowa; masy na Ukrainie właściwej były i są wobec niej „obojętne”. Poszukajmyż symbolu tej „obojętności”.

³⁴⁹ T. Hołówko, *Przez dwa fronty*, Warszawa 1931.

³⁵⁰ Ołena Teliha (1906-1942), poetka ukraińska, w okresie międzywojennym uczyła w szkole ukraińskiej w Warszawie. Była córką Iwana Szowheniwa (1874-1943), urzędnika Ukraińskiej Republiki Ludowej i wykładowcy Ukraińskiej Akademii Gospodarczej w Podiebradach. Jej mężem był Mychajło Teliha.

³⁵¹ Mychajło Teliha (1900-1942), oficer armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, mąż Ołeny.

Na początku okupacji niemieckiej Gestapo rozstrzelało w Kijowie grupę działaczy ukraińskich za działalność niepodległościową. Znajdowała się wśród nich poetka Szowheniw-Teliha³⁵⁰ z mężem.³⁵¹ Prawda, przybyli tu z emigracji, idąc w ślad za armią niemiecką. Ale Teliha była kijowianką, a jej mąż Kozakiem kubańskim. Wraz z nimi poszło pod mur kilku dziennikarzy i działaczy naddnieprzańskich. Takie przykłady mógłbym mnożyć w nieskończoność. W Niemczech, Paryżu, w Buenos Aires, w Szwecji, w Stanach Zjednoczonych przebywają tysiące naddnieprzańców, którzy w chwili wybuchu wojny mieli po dwadzieścia lat, a więc wychowali się w szkołach sowieckich, w atmosferze „rosyjskiego życia duchowego”. To też o niczym nie świadczy? Oto poeta, liczący sobie w tej chwili pod trzydziestkę, opowiadał mi, że jakimś cudem otrzymał w sowieckiej szkole na Czernihowszczyźnie egzemplarze wychodzącego w Warszawie „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” i czytał w nim moje przekłady emigracyjnych poetów ukraińskich. Zmobilizowany do armii sowieckiej jako czołgista, przeszedł niewolę niemiecką, uciekł, znalazł się ponownie na Ukrainie i na krótko przed zakończeniem wojny przedostał się na Zachód, gdzie tłucze biedę emigracyjną. Syn chłopca, zesłanego na Sybir w którejś tam kolejnej czystce. To również nic nie mówi Studnickim i Giertychom?

Giertych twierdzi, że wobec Ukraińców możemy sobie pozwolić na każdą postawę, gdyż „żadnych zobowiązań moralnych wobec nich nie mamy”. A oto jeden z zasadniczych argumentów: „Umowę warszawską³⁵² spełniliśmy co do joty”. Jeżeli Giertych uważa, że uznanie w Rydze delegacji bolszewickiej w osobach Żydów rosyjskich, Rakowskiego i Joffego, za „pełnoprawnych” przedstawicieli narodu i państwa ukraińskiego stanowiło wykonanie konwencji warszawskiej „do joty”, w takim razie dyskusja z nim staje się bezprzedmiotowa.³⁵³ Ujęcie zasad moralności międzynarodowej jest,

³⁵² Umowa warszawska pomiędzy Rzeczpospolitą a Ukraińską Republiką Ludową została podpisana 21 IV 1920 r. (układ został uzupełniony konwencją wojskową podpisaną 24 IV 1920 r.).

³⁵³ Podczas rokowań polsko-bolszewickich w Rydze (X 1920 – III 1921 r.) strona polska uznała, że Ukraina jest reprezentowana przez USSR, a nie URL.

jak na moje podniebienie, zbyt... egzotyczne. Wymyślamy od rana do wieczora – i słusznie – na Jałtę. Traktat ryski, którym my sami przekreśliliśmy umowę warszawską, był dla narodu ukraińskiego tym samym, czym układ jałtański dla nas. A Giertych powiada, że *pacta sunt servanda* – i zgłasza pretensje do Ukraińców o niedotrzymanie konwencji warszawskiej.

A propos tej „mgławicy etnograficznej”. Gdy wybuchło powstanie styczniowe, jaki udział poza Żmudzią, Podlasiem i Puszczą Świętokrzyską wzięły w nim szerokie masy ludu polskiego? Czy jakiś rosyjski albo niemiecki Giertych nie miałby ówczesnie równego – co on dzisiaj o Ukraińcach – prawa napisać na widok chłopów wiążących powstańców i obnoszących na sukmanach medale *Za usmirjenje polskawo miatieża*,³⁵⁴ że wprawdzie istnieją „ośrodki o mocniejszej konsystencji”, ale całość narodu to „miazga jeszcze nie ukształcona”? Jak wyglądał wysiłek narodu w dobie insurekcji kościuszkowskiej w zestawieniu na przykład z późniejszą o kilkanaście lat walka Hiszpanów z inwazją napoleońską? Z ruin Saragossy i Gerony wyglądałibyśmy raczej dość „mgławicowo”.

PRZEDMURZE NA URALU

Wolno Studnickiemu i Giertychowi Ukraińców nie lubić, lekceważyć i życzyć im, by jak najszybciej stali się pognojem *jedinoj i niedielimoj*. Ale niechże przynajmniej robią to w imię „świętego egoizmu narodowego” (słusznie czy niesłusznie pojętego). Niech nie przerabiają historii, geografii i statystyki, a nade wszystko niech nie mówią o moralności. Wypatrując przez mroki dziejów przyszłej obrony Europy przez Rosję przeciw Chinom – takie przedmurze chrześcijaństwa na Uralu! – Giertych woła: nie osłabiać Rosjan przez odrywanie Ukrainy, muszą być silni, będą nas bronili przed nowym Dżyngis-chanem! W imię przyszłego uralskiego frontu trzeba więc poświęcić niepodległy Kijów. Tak mają uczynić Polacy. No, pięknie, ale co powiedzą Włosi, Francuzi i Hiszpa-

³⁵⁴ Medal Za Uśmierzenie Polskiego Buntu, rosyjskie odznaczenie, nadawane za udział w tłumieniu powstania styczniowego.

nie, raz przekonani, że Rosji nie należy osłabiać wobec zbliżającego się najazdu skośnookich Kubiłajów³⁵⁵ czy Mao Tse-tungów? Powiedzą: Giertych chce poświęcić Kijów, ale to nie wystarczy; skoro Rosja ma być dość silna, by skutecznie przeciwstawić się Azji, dołączmy jej i Warszawę, i Budapeszt i całą resztę majlandu. Bo przedmurze powinno być jak najszerze. A moralność? Och, powtórzy się za cytowanym uprzednio ambasadorem amerykańskim, że „duch niepodległości w Polsce został całkowicie zdruzgotany”. Na wschód od żelaznej zasłony istnieje już tylko „mgławica etnograficzna”.

Po przekazaniu Kijowa, „miasta na wskroś rosyjskiego”, Odessy i Charkowa w ręce moskiewskie, po ponownym sprowadzeniu na Krym wytępionych przez NKWD Tatarów, po podarowaniu Czerkiesom Kubania (protestuj! – Północny Kubań należy się Nogajom, wyciętym niegdyś w pień przez Suworowa; gdyby ich nigdzie nie znaleziono, można sprowadzić Tybetańczyków) i wykazaniu skromnej skłonności do rezygnacji z Kamieńca Podolskiego, Żytomierza i Berdyczowa, Giertych raz jeszcze podkreśla, że nie widzi żadnych zastrzeżeń moralnych przeciw „ugodzie polsko-rosyjskiej, kosztem Ukrainy”. Takie ugody już były. Najpierw Andruszów, na małą skalę pokój [Krzysztofa] Grzymułtowskiego,³⁵⁶ za naszych czasów Ryga.³⁵⁷ Do czego doprowadziły – widzieliśmy.

Ale założmy, że nie mam racji. Że wszystko co powiedziałem, wysane jest z ukrajinofilskiego paluszka. Że rację mają właśnie Studnicki i Giertych, gdy sprowadzają ukraińskość do słabego ruchu separatystycznego, nieuzasadnionego historycznie i sprawie polskiej przynoszącego wyłącznie szkodę. Nawet w takim wypadku teza ich nie wytrzymuje krytyki.

„Przyszłość sprawy polskiej – pisze Studnicki w końcowym zdaniu swego artykułu – w znacznej mierze zależy od tego, czy Zachód

³⁵⁵ Kubiłaj-chan (1215-1294), wnuk Czyngis-chana, wielki chan mongolski i pierwszy cesarz Chin z dynastii Yuan.

³⁵⁶ Pokój Grzymułtowskiego, traktat zawarty pomiędzy Rzeczpospolitą a Rosją podpisany 6 V 1686 r., potwierdzał warunki rozejmu andruszowskiego (30 I 1667 r.).

³⁵⁷ Traktat Ryski podpisany 18 III 1921 r.

zrozumie, że Ukraina zawsze będzie przednim posterunkiem Rosji i że na separatyzm ukraiński, który co najwyżej może osłabić Rosję, liczyć nie należy”.

Trudno o wywód mniej logiczny. Bo zważmy: Ukraina niepodległa będzie – według Studnickiego – „zawsze przednim posterunkiem” imperializmu rosyjskiego. Dlaczegoż więc ci nierozsądni Rosjanie bronią się rękami i nogami (i to niezależnie od przekonań politycznych) przed widmem niepodległego Kijowa? Ukraina niepodległa będzie instrumentem rosyjskim, natomiast Ukraina, włączona do Rosji instrumentem tym nie jest? „Separatyzm ukraiński ... co najwyżej może osłabić Rosję”. A o cóż innego powinno chodzić Studnickiemu? Giertych jest już bardziej konsekwentny. Pragnie całkowitej rusyfikacji Ukrainy, gdyż wierzy, że Rosja – jako nasz przyszły „sojuznik i przyjazny sąsiad ... – może stać się sferą naszego wpływu kulturalnego, rynkiem zbytu... terenem misyjnym dla naszego Kościoła” ... Wszystko to „w obliczu naporu chińskiego na Ural”. Tylko że ta konsekwencja oparta jest na przesłankach wysnutych z czystej fantazji. Czyńmy co w naszej mocy, by utrzymać imperium rosyjskie. Niech Moskwa ma czas na całkowitą likwidację narodu ukraińskiego, białoruskiego, gruzińskiego (bałtyckie chyba także, bo dla czegoż by nie?), a my będziemy im posyłali nasze perkaliki, misjonarzy i wytwory „wpływu kulturalnego”, zawsze licząc na kitajskie *deus ex machina*. Za to otrzymamy od „przyjaznego sąsiada” nie tylko Wilno i Lwów, ale na dokładkę Kamieniec Podolski, Żytomierz, Mińsk i Mohylów. Dodajmy od siebie – Smoleńsk. A w okolicach Smoleńska – jako czuły suwenir – cmentarzysko katyńskie.

MIĘDZY MUSZALSKIM I ZAGŁOBĄ

Dzieje polskiej łowajszczyzny³⁵⁸ w dziedzinie ukrainoznawczej zasługują na specjalne studium. Sienkiewicz, który w *Ogniem i mie-*

³⁵⁸ Dmitrij Łowajski (1832-1920), historyk rosyjski, autor podręczników szkolnych, które w tendencyjny sposób przedstawiały m.in. historię Polski.

czem ciężko pod tym względem nagrzeszył, zrehabilitował się częściowo w *Panu Wołodyjowskim*. W zimowy wieczór, w warownej stancji kresowej pan Muszalski opowiada zgromadzonym przy kominku rycerzom o dziejach sąsiedzkiej zwady z uszlachconym Kozakiem, która trwała tak długo, aż obydwaj znaleźli się przykuci do wiosła na tureckiej galerze. Dopiero w bisurmańskiej niewoli przebaczą sobie wzajemne winy, stają się przyjaciółmi i wspólnym wysiłkiem odzyskują wolność. Gdy opowiadanie dobiega końca, pan Zagłoba herbu Wczele, który spał sobie smacznie przy ogniu, budzi się i oświadcza kategorycznie: „Cham chamem!”. Oto i cała filozofia. Można zapisać grube foliały, zgromadzić liczne dowody, wyczerpać wszystkie argumenty, powołać się na doświadczenia historyczne, zawsze spod komina odezwie się ktoś herbu Wczele i zawoła: „Ukrainy nie ma i być nie powinno!”.

Każdy chętnie deklamował o polskiej misji kulturalnej na Wschodzie, ale na czym ona właściwie polegała i jakie były jej dokonania – któż by się tym interesował! Tyle mogliby na ten temat powiedzieć, co unieśmiertelniony przez Żeromskiego w *Przedwiosniu* pudel Gaga, który również godnie celebrował swą misję cywilizacyjną w saloniku panny Karoliny. I nie pan Muszalski, ale Zagłoba narzucił się wyobraźni mas. Ba! – gdybyż tylko chodziło o masy. Gdy ukazała się w przekładzie polskim trylogia historyczna Bohdana Łepkiego o Mazepie,³⁵⁹ pewna paniusia literacka napisała zdumiona recenzję, posądzając autora o liczne anachronizmy. Hetman kozacki recytujący wiersze łacińskie, to przecież niemożliwe. Toż Bohun ubrany w adamaszki kąpał się po prostu w dziegciu – a tu Łepkij opisuje wielkopański dwór, ceremonie, wykwint, wytworne maniery! Horacy w ustach Kozaka? Wersal w Baturynie? – Chyba autor patriotycznie przesadził.

Recenzja utrzymana była w tonie zdecydowanie przychylnym, ale czuło się, że paniusia filuternie mruży oko, jakby chciała oświadczyć: „Ty sobie bujaj zdrów, a my i tak wiemy, co o tym sądzić....

³⁵⁹ B. Łepki, *Motria: trylogii Mazepa* cz. 1 i 2 (autoryz. przekł. M. Lazar Bieńkowskiej), Warszawa 1937.

Ten twój Mazepa musiał być analfabetą, chlał samogon do utraty przytomności i wybijał prysiudy. Jaki tam znowu Horacy!...”

Wyraził się w tym, jak w błyskawicznym skrócie, cały kompleks psychiczny ignoranckiej wyższości i lekceważenia, zacierających właściwe perspektywy. Chłopska, anarchiczna, hajdamacka, wiatrem scytyjskiego stepu rozhuśtana Ukraina przesłoniła polskim oczom zarówno świetną przeszłość, jak długi i niełatwy proces narodowego odrodzenia. I gdy Zagłoba budzi się od czasu do czasu z drzemki i chwyta za pióro, nie jest zdolny wykoncypować niczego poza tradycyjnym: „Cham chamem”. W publicystycznym języku zamienia się to w „mgławicę etnograficzną”, „rosyjską treść duchową”, „brak energii psychicznej”, „miazgę nieukształtowaną”. Ale rachunek niebardzo się zgadza. I trzeba naciągać rzeczywistość, przemilczać niewygodne zjawiska, wyprawiać niesamowite łamańce na linie, ziać sztucznym ogniem z paszczy chińskiego smoka.

BRATOBÓJCZA RZEŻ

Z wiosną 1937 „Biuletyn Polsko-Ukraiński” ogłosił ankietę: *Czy grozi nowa chmielniczyzna na kresach?*³⁶⁰ Większość osób zaproszonych do ankiety – między nimi niżej podpisany – odpowiedziała afirmatywnie. Jakże trzęsły się od śmiechu dostojne kołduny braci szlachty spod znaku Imć pana Onufrego. Ale przyszedł wrzesień 1939, a wraz z nim wypadki na Wołyniu i w Sokalszczyźnie. Śmiech urwał się. Wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, nadeszły lata 1943 i 1944. Groźne przepowiednie spełniły się dokładnie.

Ale bo też przewidzieć nadciągającą rzeź było nietrudno. W swoich wspomnieniach z lat okupacyjnych, w rozdziale „Piłsudczycy” („Wiadomości”, nr 217) Goetel³⁶¹ napisał, że odosobnione wysiłki Henryka Józewskiego nie mały podczas wojny żadnego powodzenia, gdyż społeczeństwo polskie czuło „usprawiedliwiony wstręt” do Ukraińców, w związku z ich zachowaniem się po 1 wrze-

³⁶⁰ Patrz str. 81-97 niniejszego wydania.

³⁶¹ Ferdynand Goetel (1890-1960), pisarz i publicysta polski, po 1945 r. na emigracji. Łobodowski odnosi się do tekstu: F. Goetel, *Lata okupacji: Piłsudczycy*, „Wiadomości”, nr 22 (217), 28 V 1950, s. 2.

śnia 1939. Niestety, wiem aż nadto dobrze, co działo się w owych strasznych latach na Wołyniu i Ziemi Czerwieńskiej. Ale ważąc w mym sumieniu słowa z największą ostrożnością, muszę oświadczyć, że w okresie niepodległości strona polska zrobiła wszystko, by wywołać z przeszłości upiora hajdamaczyzny i koliwuszczyzny. I wielka szkoda, że ów „wstręt” przyszedł tak późno. Gdyby społeczeństwo polskie na czas poczuło i wyraziło swój, jakże usprawiedliwiony, wstręt do metod stosowanych przed wojną wobec Ukraińców, zapewne inaczej potoczyłyby się wydarzenia.

Gdy palono, rozbierano i wysadzano dynamitem cerkwie i kaplice w Chełmszczyźnie, gdy szalała akcja rewindykacyjna, gdy KOP urządził „dragonady” w powiatach pogranicznych, gdy znęcano się nad nacjonalistami ukraińskimi w Berezie, społeczeństwo dowiadywało się o tym bardzo niewiele. Ale to nie jest argument. Niemcy wykręcali się od odpowiedzialności, twierdząc, że nie wiedzieli o istnieniu obozów koncentracyjnych. W najlepszym dla nas razie odpowiedzialność ponoszą ci, do których należało informowanie opinii publicznej. Administracja i szereg wyższych wojskowych. I ci wszyscy, którzy dobrze wiedząc, co się dzieje, z wygody, lenistwa lub z obawy nie zdobyli się na protest.

Na jesieni 1938 roku pyszni „spadkobiercy” Żółkiewskich i Kościuszków zorganizowali akcję dywersyjną na Zakarpaciu.³⁶² Oddziały złożone z kilkunastu do kilkudziesięciu ludzi, przechodziły w nocy granicę, dokonywały zamachów i aktów sabotażowych, co wobec braku ochrony wsi pogranicznych było rzeczą łatwą i bezpieczną. Boże, gdy się pomyśli, że umieliśmy przerzucać dywersantów do Jasiny i pod Sweljusz, a nie potrafiliśmy przed Wrześniem przygotować dywersji antyniemieckiej w obronie własnego kraju! W obozie węgierskim w Murakeresztur,³⁶³ na krótko przed ucieczką

³⁶² Akcja dywersyjna „Łom” prowadzona przez Ekspozyturę 2 Oddziału II SG w dniach 11-30 XI 1938 r. na Rusi Zakarpackiej, miała na celu wywołać wrażenie istnienia antyczeskiej irredenty ukraińskiej, a jednocześnie spacyfikować miejscowe ośrodki polityczne ukraińskie.

³⁶³ Łobodowski został internowany na Węgrzech wraz z 10. Brygadą Kawalerii 19 IX 1939. Przebywał w obozach w Tapolca, Murakeresztur, Nagykanizsa, uciekł 19 X 1939 w stronę granicy jugosłowiańskiej, którą przekroczył 25 X; po czterech dniach dotarł do Zagrzebia.

do Jugosławii, poznałem gajowego ze stanisławowskiego, który był takim właśnie dywersantem. „Przychodziliśmy do wsi, które głośniały w całości na listę ukraińską i robiliśmy porządek”. – „W jaki sposób?” – „A na przykład była zabawa w największym domu we wsi, otoczyliśmy dokoła i grantami w okna, a do tych, co uciekali, z karabinów”. – „Przecież, jeśli zabawa, to musiały tam być i kobiety”. – „A, bywały i kobiety, i dzieci”. Opowiadający był święcie przekonany, że dokonywał doniosłych czynów i że dobrze zasłużył się ojczyźnie.

Tacy prości ludzie, obalamuceni przez ukraiñożerczą propagandę, ponoszą najmniejszą część winy. Ale powiedzieć o wysokim wojskowym, który długą dyskusję zakończył bezapelacyjnym stwierdzeniem: „Przez sto lat byliśmy pod wozem, i wszyscy nas bili. Teraz jesteśmy na wozie i musimy się odkuć”. Zupełnie jak plutonowy Kuczyk z rówieńskiej podchorążówki: „Mnie na kursie podoficerskim dali po d..., teraz ja wam oddaję za swoje”.

Atmosferę robiła prasa. Gdy Hrynki przeszły gromadnie na katolicyzm³⁶⁴, roztrąbiono wiadomość tłustym drukiem na pierwszej stronie. Gdy wróciły na prawosławie, tylko jeden dziennik warszawski podał krótką wiadomość *petitem*. „Ilustrowany Kuryer Codzienny” organizował zbiorową histerię antyukraińską. Ale nawet w pismach o skądinąd wysokim poziomie ukazywały się rzeczy niewiarygodne. Jerzy Bandrowski – nie mylić z Juliuszem³⁶⁵ – wydrukował w poznańskiej „Kulturze” artykuł *Widły w herbie*, pijąc do ukraińskiego tryzuba. Efekt taki sam, jakby Ukrainiec napisał o polskim orle: „Biała gęś w herbie”.

Po cóż mnożyć przykłady. Mógłbym napisać gruby tom, a i tak bym tematu nie wyczerpał. Ale i ta garść faktów daje pojęcie o atmosferze, w jakiej rosła i dojrzewała nienawiść ukraińska do Polski. Lata wojenne rozdmuchały ją jeszcze bardziej, a teraz przy ognieniu krzątają się nowi „historycy”, by – Boże, broń! – nie zagasł na wie-

³⁶⁴ Miało to miejsce w grudniu 1937 r.

³⁶⁵ Juliusz Kaden-Bandrowski (1885-1944), polski pisarz i publicysta, kapitan piechoty WP, wolnomularz, autor m.in. powieści *General Barcz* i *Czarne skrzydła*.

trze. A rachunek zapłacą kiedyś najmniej winni, jak już zapłaciły podczas wojny tysiące polskich chłopów i ziemian.

POSTSCRIPTUM DLA UKRAIŃCÓW

„Jam się za polskie winy spowiadał dość, teraz i ty mi klękaj do konfesjonau”. Rozumiem dobrze rozgoryczenie Ukraińców, gdy im odmawiają nawet prawa do samodzielnego istnienia, ale ich prasa i publicystyka również nie są w porządku. Gdy czytam określenie wypadków na Wołyniu i Ziemi Czerwieńskiej w latach 1942-1944, jako „akcję obronną ludności ukraińskiej przeciw Polakom”, gdy natrafiłam na miły eufemizm, mówiący o „przymusowym wysiedleniu wrogiej Ukraińcom ludności polskiej”, myślę, że Giertych mógłby zrobić nie mniejszą karierę jako publicysta ukraiński. „Wysiedlenie”! Czy tysiące Polaków wołyńskich, którzy schronili się do Janowej Doliny,³⁶⁶ też zostały wysiedlone – i dokąd? A przecież prócz uzbrojonych mężczyzn, było tam również wiele kobiet i nieletnich dzieci. I czy nie jest – mówiąc delikatnie – pewną przesadą umieszczenie w publikacji o historii UPA imiennego spisu dwunastu Ukraińców zabitych przez Polaków na Chełmszczyźnie, podczas gdy na stu kilkudziesięciu stronach książki daremnie szukać choćby najkrótszej wzmianki o straszliwej rzezi w Janowej Dolinie? Najwygodniejsze wyjście znaleźli ci Ukraińcy, którzy, należąc do ugrupowań politycznych wrogo nastawionych do Bandery, powiadają: „Polacy mają do nas pretensje? Niech je zgłaszają do banderowców, to oni ponoszą odpowiedzialność!”. Co im zresztą nie przeszkadza uważać UPA za własność całego narodu ukraińskiego.

Sprawiedliwość każe przyznać, że kierownictwo OUN, w komunikacie wydanym w listopadzie 1943, potępiło wzajemną rzeź i wezwało do powstrzymania się od aktów krwawego terroru. W odezwie z lutego 1944 OUN ostrzegała Ukraińców przed wstępowanie

³⁶⁶ Janowa Dolina, wieś na Wołyniu, 23 IV 1943 r. ukraińscy nacjonałiści wymordowali tam około sześciuset polskich mieszkańców tej i okolicznych wsi.

do pomocniczych oddziałów niemieckich, przeznaczonych do walki z Armią Krajową. Ale były to próby sporadyczne i najoczywściej spóźnione – a zresztą jakaż mogła być w ówczesnych warunkach kontrola! Jeśli jakieś porozumienie było w ogóle możliwe, to chyba tylko na samym początku wojny, ale wówczas Ukraińcy stawiali na Niemców, a i z polskiej strony niczego w kierunku porozumienia Ukraińcami nie uczyniono. Ani w Warszawie, ani tym bardziej w „Reginie”.³⁶⁷

Sześć lat powojennych położenia nie zmieniło. Toczące się dyskusje nie dają poważnych wyników. Wrogość i nienawiść, w najlepszym wypadku niechęć (pamiętam o nielicznych wyjątkach) nadal nadają ton naszym stosunkom. Na żaden kompromis się nie zanosi. Ale rozładowywanie atmosfery wrogości czy przynajmniej osłabienie jej napięcia byłoby przecież możliwe i bez porozumień czy traktatów między politykami. Na pewno nie dokonają tego pióra maczane w żółci, dłonie zaciśnięte w pięści, myśl publicystyczna żywiąca się ignorancją, ocena historyczna przeprowadzana przez fałszerzy.

Gdy nasi publicyści plotą duby smalone o Ukrainie, jej historii i kulturze, tamta strona nie pozostaje w tyle i oddaje nieraz z nawiązką. Cóż odpowiedzieć, gdy w poważnym czasopiśmie czytamy, że wyprawa kijowska stanowiła prowokację polsko-sowiecką, gdyż wszystko było z góry ułożone i uzgodnione, a Piłsudski prowadził osobistą korespondencję w sprawie ukraińskiej z... Dzierżyńskim! Co odpowiedzieć na zarzut, że Polacy chcieli granicy z roku 1772?! Pewnie niejednemu spadkobiercy podstarościego z Czehrynia³⁶⁸ marzył się słodki sen o ukraińskich burakach i pszenicy, ale nikt z ludzi trzeźwych i odpowiedzialnych o tym nie myślał.

Ale dajmy spokój piniaczeniu się o sprawy minione. Gorzej, że duży odłam ukraińskiej myśli politycznej zbacza na niebezpieczne tory tromtadracji w stylu Papkina, robiąc taką minę, jak gdyby na porozumieniu z Polakami wcale Ukraińcom zależeć nie powinno.

³⁶⁷ Paryski Hotel „Regina”, patrz przyp. 169.

³⁶⁸ Aluzja do Daniela Czaplińskiego, podstarościego z Czehrynia, osobistego wroga Bohdana Chmielnickiego.

Rozumowanie idzie mniej więcej po takiej linii: „Polacy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli. Rozmawiać z nimi to tyle, co rzucać groch o ścianę. Mają konflikty ze wszystkimi sąsiadami – nawet z Czechami – a jeszcze zgłaszają pretensje do ukraińskich ziem etnograficznych. Granica jałtańska i tak już krzywdzi Ukrainę, gdyż zostawiła po naszej stronie Podlasie, Chełmszczyznę i Łemkowszczyznę. Ukraińcy dla świętego spokoju i dobrych stosunków sąsiedzkich są gotowi zrezygnować z tych ziem, ale Polacy dalej pchają się na wschód. Nic z tego nie będzie. Naród ukraiński jest dostatecznie silny, by po rozpadnięciu się Rosji sowieckiej obronił swe granice na zachodzie”.

Bardzo niebezpieczne sformułowania. Jeśli chodzi o mądrość wniosków z doświadczeń historycznych, no to... jedni i drudzy mogliby przepić gorzałką i mówić do siebie per ty. Po klęsce Sowietów Polska będzie miała konflikty graniczne, Ukraina – konflikt o samo niepodległe istnienie. A konflikty graniczne, poza Ziemią Czerwieńską, też się znajdują. Na Bukowinie, w Besarabii, na Zakarpaciu. Kto wie czy nie na Kaukazie. W razie niedojścia do jakiejś formuły kompromisowej i stosowania polityki faktów dokonanych, łatwo Ukraińcy mogą spotkać się ze zwartym frontem wszystkich trzech zachodnich sąsiadów. Rosjanie już nie raz zaś wykazali, że nawet w kresach klęsk, katastrof i wewnętrznego rozkładu potrafią zawzięcie bronić tego, co uznali za swoją „świętą własność”. Może powstać takie położenie, że spokój od ściany zachodniej będzie zasadniczym warunkiem zatknięcia żółto-błękitnego sztandaru nad Kijowem i Charukowem. Nie musi, ale może. I odrzucanie z góry takiej możliwości na pewno o trzeźwej myśli politycznej nie świadczy.

Co zaś do kwestii rozgraniczenia obszarów etnograficznych... Polacy na Ziemi Czerwieńskiej większości nie stanowili. Ale było ich chyba znacznie więcej, niż Ukraińców w Lubelszczyźnie i na Zasaniu. Nie stanowili ludności napływowej, sprowadzonej przez rządzącą administrację z czwartku na poniedziałek. Byli autochtonami, osiadłymi tu od grubo dawniejszych czasów niż Ukraińcy na przykład w Dżankaju albo w Majkopie. Jeżeli zaś przyjmiemy

za zjawisko ostateczne fakt ich wysiedlenia czy wytepienia, wówczas argument Giertycha o rosyjskiej większości w wielu miastach ukraińskich również trzeba wziąć pod uwagę. Jedno z dwojga: albo w każdym wypadku będziemy mierzyli jedną miarą, albo po starciu zaczniemy przeprowadzać rozgraniczanie przy pomocy takich narzędzi mierniczych, jak koły, obrezy i siekiery. Po czym nieuchronnie zjawi się dobrze nam znany rozjemca i pozbiera nas jak grzyby do kosmatej czapki Monomacha.³⁶⁹

* * *

Niejednokrotnie wypowiadałem się przeciw sztywnym granicom etnograficznym, dziś mającym jeszcze mniej sensu niż w wieku XIX. Zawsze sądziłem, że przy dobrej woli możliwe jest zgodne współzycie dwóch narodów na tej samej ziemi. Być może panowie politycy uśmiechną się litościwie na te słowa, przypisując je poetyckiej wyobraźni. Ale politycy nie powinni pogardzać poetami, ci bowiem udowodnili, że stanowią czulszy sejsmograf dziejów od najbardziej wytrawnych zawodowców. Od lat byłem jak czarny ptak kraczący na złą wróżbę na Kisielinem i Zbarażem. To zaczęło się już wtedy, gdy jeszcze żył Hołówko, a Szolem Szwarbard³⁷⁰ jeździł z odczytem *Jak zabiłem atamana Petlurę*, oklaskiwany po stolicach znikczemiałej Europy – i nie znalazła się dlań kula w ładownicy żadnego ukraińskiego nacjonalisty. Gdy polski stryżek zaciskał

³⁶⁹ Oznaka władzy wielkich książąt moskiewskich i carów Rosji, miała należeć do wielkiego księcia Rusi Kijowskiej Włodzimierza II Monomacha (1053-1125). Symbolizuje ciągłość z cesarstwem bizantyjskim i Rusią Kijowską.

³⁷⁰ Szolem Szwarbard (1886-1938), żydowski zegarmistrz, żołnierz Legii Cudzoziemskiej i Armii Czerwonej. 25 V 1926 zastrzelił w Paryżu Symona Petlurę. W trakcie procesu twierdził, że zabójstwa dokonał z zemsty za członków jego rodziny, którzy zginęli w trakcie pogromów na Ukrainie, za które miał odpowiadać Petlura. Bronił go komunistyczny adwokat i członek KPF, Henri Torres. Ostatecznie, pod naciskiem opinii publicznej ława przysięgłych uznała, że Szwarbard jest niewinny. W rzeczywistości Szwarbard miał działać na zlecenie OGPU, a śmierć Petlury miała uniemożliwić współpracę polsko-ukraińską, która miała być wznowiona po dojściu J. Piłsudskiego do władzy (12 V 1926 r.).

się na szyjach Biłasa i Danyłyszyna.³⁷¹ Gdy parobcy wołyńscy przekradali się przez Czarnohorę do Siczy Zakarpackiej,³⁷² a potem, na szosie pod Husztem, ręce madziarskich honewedów przywalały kamieniami ich zwłoki. Złe sny straszyły mnie nie na próżno i wciąż szukam osinowego koła takiej sprawnej myśli i takich celnych słów, które by raz na zawsze przygwoździły do ziemi krwawego upiora nienawiści i bratobójczej walki.

Gdy znów Sanem i Dniestrem spłyną trupy polskie i ukraińskie, marna to będzie pociecha, że się widmo rzezi i pożaru pragnęło zatrzymać u progu i nosiło w sercu nieomylną miarę sąsiedzkiej, wciąż żywej waśni i ciągle odrzucanego porozumienia.

[„Wiadomości” 1951 nr 26]

PRZECIWI UPIOROM PRZESZŁOŚCI³⁷³

Mój artykuł *Między Muszalskim i Zagłobą*,³⁷⁴ drukowany ubiegłego lata w „Wiadomościach”, podsycił i rozszerzył dyskusję toczącą się uprzednio na łamach tegoż pisma, zresztą dyskusję dość marginesową, bo ograniczoną niemal w całości do działu „Korespondencja”. Tym razem jednak Jędrzej Giertych wystąpił z obszernymi uwagami,³⁷⁵ dołączył się Zbyszewski,³⁷⁶ napisali listy profesor Studnicki³⁷⁷ i Jan Tokarski.³⁷⁸ Żywo zareagowała strona ukraińska. Sze-

³⁷¹ Wasyl Biłas (1911-1932) i Dmytro Danyłyszyn (1907-1932), członkowie OUN, dokonali zamachu na T. Hołówkę (29 VIII 1931 r.). Skazani na karę śmierci za napad na pocztę i urząd skarbowy w Gródku Jagiellońskim (30 XI 1931 r.).

³⁷² Sicz Karpacka, siły zbrojne Ukrainy Karpackiej (a następnie Karpato-Ukrainy) w Czechosłowacji. Formowane przy wsparciu Abwehry, funkcjonowały do momentu aneksji Karpato-Ukrainy przez wojska węgierskie (9 XI 1938- IV 1939 r.).

³⁷³ Stanowisko J. Łobodowskiego w sprawie ukraińskiej, sprecyzowane w tym artykule, odpowiada poglądom zespołu „Kultury” [przyp. Redakcji „Kultury”].

³⁷⁴ Patrz wyżej, str 197.

³⁷⁵ J. Giertych, *Sprawa Ukrainy a Polska*, „Wiadomości”, nr 34 (282), 26 VIII 1951, s. 2.

³⁷⁶ W. A. Zbyszewski, *Polscy ukraińofile. Do redaktora „Wiadomości”*, nr 28 (328), s. 4.

³⁷⁷ W. Studnicki, *LdR.*, „Wiadomości”, nr 35/36 (283/284), 9 IX 1951, s. 6.

³⁷⁸ J. Tokarski, *LdR.*, „Wiadomości”, nr 40 (288), 9 IX 1951, s. 4.

reg czasopism, wychodzących w Europie i Ameryce, ogłosił przedkład mojej pracy w całości lub obszernych wyciągach, zaopatrując je w komentarze; zasadniczo odpowiedziało paryskie „Ukraińskie Słowo”. Wreszcie otrzymałem sporo prywatnych listów, przeważnie od osób mi nieznanych.

Niektórzy korespondenci zwrócili uwagę, że artykuł mój był prawie w całości polemiczny, natomiast zabrakło w nim konkretnego programu ugody polsko-ukraińskiej. „Bo przecież – słusznie pisze jeden z nich – praktycznie biorąc, cała sprawa sprowadza się do pogranicznych ziem spornych. Gdyby któraś ze stron zrezygnowała na rzecz drugiej ze Lwowa, nic nie stało by porozumieniu na przeszkodzie. Ci z Polaków, którzy usiłują udowodnić, że Ukraina powstać nie może, a gdyby nawet powstała, nie utrzyma się pod naporem Rosji, bardziej wpatrują się w Lwów i Tarnopol niż w Kijów i Połtawę. Ukraińcy znów wszystkie problemy, łączące się z Polską, rozpatrują w skali: Zbrucz–San. Skoro ustępstwo którejkolwiek ze stron wydaje się – przynajmniej w chwili obecnej – niemożliwe, pisanie na ten temat ma sens tylko wtedy, gdy autor widzi i proponuje trzecie rozwiązanie – i to bardzo konkretnie sprecyzowane. Cała reszta, włącznie ze szlachetnym wzywaniem do nieprzelewania krwi w bratobójczych walkach, nosi charakter zdecydowanie utopijny i z politycznego punktu widzenia – obojętny”.

Jest w takim sformułowaniu sporo racji, ale nie całkowita. Myślę, że nawet w wypadku nieznaalezienia trzeciego rozwiązania, wzajemne rozmowy i rozładowywanie sąsiedzkiej nienawiści nie stanowią utopii i mogą okazać się pożyteczne. Nie znaczy to jednak, abym innych możliwości nie widział. Zanim dojdę do sedna zagadnienia, trzeba podsumować dotychczasową dyskusję i odeprzeć wysunięte zarzuty. Nawet marginesowa polemika miewa niekiedy swą pozytywną podszewkę. Gdy się kompromituje fałszywą argumentację, przyczepioną do niesłusznej i szkodliwej tezy, również i sama teza zaczyna chwiać się w oczach czytelnika. Teren, na którym odbywają się nieliczne spotkania polsko-ukraińskie, jest tak najeżony kolczastymi zasiekami, przekopany wilczymi dołami, zaśmiecony

wzajemnymi uprzedzeniami i podejrzeniami, przesiąknięty stęchlą wodą anachronicznych opinii, że trzeba go choćby częściowo oczyścić i zdrenować – bo inaczej zagubimy się w nim bez ratunku. Oczywiście, po obydwu stronach barykady są ludzie, którym już nic nie pomoże. Jedni zawsze oświadczą: „Ty sobie gadaj, co chcesz, a ja wiem, że Ukraińcy to czarnopodniebienne gady!” – A inni odpowiedzą: *Lach, Żyd i sobaka – wira odinaka*.

Zatem spróbujmy raz jeszcze podsumować zarzuty, z różnych stron pod moim adresem wysunięte, i cierpliwie na nie odpowiedzieć, choć w wielu wypadkach należałoby ich autorów odesłać do szkółki, by trochę posłęczeli nad logiką, historią, a nawet nad podręcznikiem elementarnej geografii. Innym znowu – i to przeważnie tym, co najgłośniej krzyczą o katolicyzmie i moralności, przydałby się i katechizm.

STUDNICKI – PIERWSZY

Zacznę od profesora Studnickiego. Z wieku mu i urzędu ten zaszczyt się należy. Powołując się na moje własne wyznanie, że czytałem jego artykuł z uczuciem „oburzenia i wściekłości”, profesor w liście do „Wiadomości” przygważdża mnie spokojnie i lakonicznie: „Te stany uczuciowe nie pozwoliły mi ocenić mych zasadniczych twierdzeń, opartych na obiektywnych danych...” Inaczej mówiąc – wpadł we wściekłość, o logicznym rozumowaniu nie ma mowy. Opowiem tu autentyczną anegdotę, dotyczącą znakomitego pisarza hiszpańskiego, Miguela Unamuno. Był on wielkim śpiochem, co mu zresztą nie przeszkadzało w bardzo intensywnej pracy. „Don Miguel – zagadnął go kiedyś na wszechnicy w Salamance pewien młody żartownis – czy to prawda, że pan przesypia po kilkanaście godzin na dobę?” „Tak, to prawda – odparł żywo Unamuno. – Ale pamiętaj, młodzieńcze, że ja nawet we śnie bywam czujniejszy niż ty na jawie!”. Trawestując powiedzenie znakomitego Hiszpana, mógłbym i ja oświadczyć przy nadarzającej się okazji: „Tak jest, często daję się ponosić uczuciom oburzenia i wściekłości, ale nawet

wówczas, gdy wpadam we wściekłość, lepiej panuję nad moimi argumentami, niż pan profesor nad swoimi na spokojno”.

„Zasadnicze twierdzenia, oparte na obiektywnych danych”. Badajmyż te twierdzenia, a może czegoś się nauczymy. Pan profesor operuje zarówno czasem terażniejszym, jak przeszłym. Czas terażniejszy mówi mu, że „Ukraińcy na terytorium Ukrainy stanowią mniejszość”. Na jakich „obiektywnych danych”, na jakich statystykach Studnicki się oparł, nie wiemy. Nie cytuje żadnego źródła i słusznie, bo nawet praca Stanisława Skrzypka,³⁷⁹ ostrożna i solidna, choć miejscami zbyt daleko idąca, nie wypadłaby po jego myśli. Więc po prostu „obiektywne dane”, bez bliższych, najwidoczniej zbędnych, wyjaśnień.

Czas przeszły powiada mu znowu, że na Ukrainie „nigdy nie było woli niepodległości”. Cytuje Hruszewskiego, a z cytowanego tekstu wynika, że „żołnierze pochodzenia ukraińskiego rozjeżdżali się do domów” i o niepodległość Ukrainy walczyć nie chcieli. To samo w wieku XIX. „Kulisz był politycznie Rosjaninem”. Zatrzymajmy się nad sprawą Kulisza, bo tu jak na dłoni cały profesor Studnicki. Zresztą on sam tego chciał, jak ów bohater molierowskiej komedii albo fredrowski szambelan z *Pana Jowialskiego*.

„Pan Łobodowski – pisze Studnicki – oburza się, że nazwałem Kulisza i Kostomarowa Rosjanami. Pisze, że Kulisz należał do starożytnego rodu ukraińskiego i że pisał wiersze ukraińskie. Wierszy tych nie znam, lecz znam i cytowałem memoriał Kulisza, zalecający środki rusyfikacyjne na Litwie”. A więc nareszcie coś konkretnego. Studnicki „wierszy Kulisza nie zna”. Niech się czytelnik wczuje w te słowa. „Wierszy Kulisza nie zna”, natomiast „zna jego memoriał antypolski”. Wielkim poetom zdarzało się pisywać różne memoriały i nie według nich przywykliśmy oceniać ich rolę we własnym narodzie. Wyobraźmy sobie, że jakiś cudzoziemiec insynuuje sfalszowany wizerunek Mickiewicza, a gdy mu się wskaże na *Dziady*, *Konrada Wallenroda*, *Pana Tadeusza*, odpowie z czarującą s t u d n i c k ą dezynwolturą: „Wierszy Mickiewicza nie znam, natomiast znam taki a taki artykuł z «Trybuny Ludów»”.

³⁷⁹ Prawdopodobnie chodzi o książkę S. Skrzypka, *Ukraiński program państwowy na tle rzeczywistości*, Londyn 1948.

Kulisz nie miał Mickiewiczowskiego geniuszu, ale w rozwoju literatury ukraińskiej i myśli politycznej odegrał rolę zasadniczą. Tłumaczył Szekspira, Goethego, również pisarzy polskich, z intencją zbliżenia Ukrainy do Zachodu. Był namiętnym szermierzem pojednania polsko-ukraińskiego. W książce *Malowana Hajdamaczyna* gwałtownie zaatakował anarchiczne instynkty ukraińskiego stepu. Ujemnie oceniał kozaczyznę, przez co wszedł w konflikt z niejednym współczesnym Ukraińcem. Ostro przeciwstawiał się pisarzom idealizującym ślepą nienawiść do Polaków. Cóż z tego wyszło? We własnym obozie spotkał się z niechęcią, po stronie polskiej, gdy zaczął działać we Lwowie, z całkowitym lekceważeniem. Wtedy przecież „Rusinów” w Galicji nie brano na serio. Cóż tam Kulisz i jego dłoń wyciągnięta do Polaków! Rozgoryczony pisarz zaczął szukać porozumienia gdzie indziej. Stąd jego przejściowy flirt z Rosją. Ale na tym się nie zatrzymał, umieszczając swe nadzieje w innym kierunku. W każdym razie, choćbyśmy najsurowiej oceniali pomyłki i złudzenia polityczne Kulisza, opinia Studnickiego nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Jeśli Kulisz w okresie swojej orientacji prorosyjskiej był „politycznie Rosjaninem”, w takim razie w latach orientacji propolskiej musiał być „politycznie Polakiem”.

Ani jedno, ani drugie. Był Ukraińcem i szukał takich rozwiązań, jakie mu w danej chwili wydawały się dla jego ojczyzny najkorzystniejsze. I czy nie wystarczy fakt, że w czasach, gdy taki Hohol-Janowski stawał się Gogolem i oddawał swój geniusz w służbę literatury rosyjskiej, Kulisz pisał po ukraińsku, a przede wszystkim, że całą swą twórczość pisarską wypełniał narodową treścią ukraińską? A co do pomyłek... Czy Mickiewicz w okresie ideologicznych szaleństw, poczętych z towiańszczyzny, nie wyskakiwał z dziwacznymi pomysłami, które tyle krwi napsuły Krasińskiemu,³⁸⁰ a Słowackiego odstręczyły raz na zawsze od towiańczyków? Czy nie zamierzał nawrócić cara Mikołaja? A cóż powiemy o Czajkowskim?³⁸¹ Sturczył

³⁸⁰ Zygmunt Krasiński (1812-1859).

³⁸¹ Michał Czajkowski (Sadyk Pasza, 1804-1886), polski działacz niepodległościowy i pisarz, w 1850 r. przyjął islam i przeszedł na służbę turecką.

się, więc przestał być Polakiem. Gdy zaś na starość „pokajał się” w upokarzającej formie i błagał o pozwolenie na powrót w ojczyste strony, stał się Rosjaninem? To są wolne żarty ichmościów, ani biorących pod uwagę ówczesnej sytuacji politycznej, ani umiejących wnikać w psychologię pisarzy, o których wydają arbitralne sądy.

Jeśli profesor Studnicki powróci kiedykolwiek do tego tematu, z góry zapowiadam, że nie będę z nim więcej dyskutował, jeśli uprzednio nie pofatyguje się sprawdzić, kim był Kulisz – podobnie jak nie polemizowałbym z Ukraińcem, który by wydawał lekko-myślne sądy o Mickiewiczu, oświadczając bez żenady: „Wierszy Mickiewicza nie znam”.

„Patrioci ukraińscy pragnęli chwilowego zerwania z Moskwą... trwałej woli oderwania się od Rosji nie było...” – twierdzi Studnicki, pisząc o latach 1917-1920. Ma rację o tyle, że istotnie pewne frakcje czy partie myślały o zachowaniu związku federacyjnego z Rosją. Ale nie wszystkie. Petlura był niepodległościowcem. Anarchiści Nestora Machna³⁸² bili się tak samo z bolszewikami, jak z Denikinem i Wranglem. Ale istota rzeczy na pewno nie tkwi w tym, jaką orientację wyznawały poszczególne partie ukraińskie przed trzydziestoma przeszło laty. Dla trzeźwego polityka, który szuka właściwej drogi w stosunkach polsko-ukraińskich, najważniejsza jest terażniejszość. Nie to, czego Ukraińcy kiedykolwiek chcieli czy robili, ale czego chcą i do czego dążą w chwili o b e c n e j. Pawło Kotowycz słusznie wskazał w swym liście do „Wiadomości”,³⁸³ iż fakt, że sto tysięcy Ukraińców z Ukrainy Sowieckiej, którzy znaleźli się w Niemczech w charakterze dipisów,³⁸⁴ zorganizowali się w ukraińskim obozie niepodległościowym, jest bardziej wymowny niż dziesiątki pseudohistorycznych spekulacji. Ktoś powie: „To są po prostu ludzie, niechący wracać pod sowieckie panowanie, wrogowie Stalina i jego systemu, a nie Rosji”. Świetnie. Dlaczego więc nie idą do obozu Kiereńskiego, choć ich tam zapraszają czapką

³⁸² Nestor Machno (1888-1934), anarchista ukraiński, po 1921 r. na emigracji w Polsce i we Francji.

³⁸³ P. Kotowycz, *LdR*, „Wiadomości”, nr 45 (293), 11 XI 1951, s. 4.

³⁸⁴ Dipisi, ang. displaced persons – wysiedleni, bezpaństwowcy.

i papką? Dlaczego nie chcą słyszeć o federacji z Rosją, dlaczego psują krew rosyjskim *jedino–niedielimowcam*?³⁸⁵

„Pan Łobodowski nie rozumie zasadniczego antagonizmu polsko-ukraińskiego. Ten antagonizm ma podstawy bardzo realne, sprawę Małopolski Wschodniej. Czym jest historia Ukrainy tak jak ją ujmują Ukraińcy? Historią rzezi Polaków, walk polsko-ukraińskich. Bohaterami jej są Gonta i Bandera”. Trudno w kilkunastu słowach zmieścić więcej nonsensów i fałszów historycznych. Spór polsko-ukraiński nie zaczął się od Małopolski Wschodniej. To raz. Rzezie Polaków przez Ukraińców nie wyczerpują dziejów tego sporu ani w pracach historyków naszych, ani ukraińskich. Poza tym ten medal miał odwrotną stronę, gdyż rzezie były wzajemne. Nie wiem, czy profesor Studnicki słyszał o krwawej pacyfikacji „prewencyjnej” na Wołyniu, tuż przed pierwszym rozbiorem, pacyfikacji niczym przez chłopów wołyńskich niesprowokowanej. Mam na to koronnego świadka w osobie króla Stanisława Augusta, który gorzko skarżył się na samowolę szlachty, na własną rękę przeprowadzającej masowe egzekucje Bogu ducha winnych chłopów. Pisałem już o Kuliszu, że w swych pracach historycznych stanowczo potępia cały ruch hajdamacki wraz z Gontą. A co do Bandery... No, nie wszyscy Ukraińcy uważają go za bohatera. Niech by pan profesor pofatygował się i poczytał sobie, co o Banderze piszą na przykład melnykowcy,³⁸⁶ ci sami, z których Studnicki już kiedyś w polemice, toczącej się na łamach „Lwowa i Wilna” zrobił mi e g u n o w c ó w, za jednym pociągnięciem pióra mianując nacjonalistą ukraińskim jednego z szefów „Sojuza bor'by za swabodu Rassij”. He, he... Jeśli Kulisz był Rosjaninem, dlaczego Mielgunow³⁸⁷ nie

³⁸⁵ Polecam profesorowi Studnickiemu, a również Giertychowi, który dla odmiany widzi w Kuliszu „tajemniczą postać” i wielką figurę międzynarodowej masonerii, moje obszerne studium o pisarzu ukraińskim, drukowane w miesięczniku „Problemy Europy Wschodniej”, styczeń 1939. Tam znajdują wszystkie interesujące ich szczegóły [przyp. J. Łobodowski].

³⁸⁶ Melnykowcy, frakcja skupiona wokół Andrija Melnyka (1890-1964), powstała w lutym 1940 r. w wyniku podziału OUN na frakcje: banderowców i melnykowców.

³⁸⁷ Sergiej Mielgunow (1879-1956), rosyjski historyk i polityk, był przewodniczącym „Sojuza borby za swobodu Rossji” (1948).

ma być Ukraińcem? Tak to się panu profesorowi beztrząsco mylą nazwiska, sprawy i fakty.

Natomiast o walkach ukraińsko-rosyjskich Studnicki woli nie wspominać. Nawet gdy chodzi o walki, w których malinowy sztandar kozacki szedł obok złotego sztandaru polskiej Korony. Nie mówi, jakiego zerwania z Rosją chciał hetman Mazepa: „chwilowego” czy „po wieczne czasy”. Żadnych rewelacji na temat stosunku Szewczenki do „Małopolski Wschodniej” nie ogłasza. Symona Petlury indygenatem rosyjskim nie obdarza. Szkoda! Bo gdyby przypomniał sobie, że jednak istnieli Konaszewicze, Kisiele i Niemiryce, a w bliższej przeszłości inni Ukraińcy, którzy pragnęli porozumienia z Polakami, może by nie napisał, że wszystko sprowadzało się do „rzezi”. I gdyby mnie po przeczytaniu tej haniebnej bzdury nie dławiał wstyd za Studnickiego, gdyby nie to, że nie chcę obrażać ani tych Polaków, którzy dalecy są od podobnego stanowiska, ani tych Ukraińców, którzy portretu Gonty nad łóżkiem nie wieszają, miałbym prawo powiedzieć wszystkim upiorom bratobójczej przeszłości: „Rzezi Polaków? Tak! Bo macie Ukraińców właśnie takich, jakimi chcecie ich mieć!”

Najzabawniejsze, że pisząc w roku Pańskim 1951 o ziemiach będących przedmiotem sporu, Studnicki sięga do argumentów niemal typu biologicznego. „Małopolska Wschodnia była krajem rolniczo przeludnionym. Walka o ziemię była ważnym elementem”. Była przeludniona... Ale teraz chyba już nie jest. Jeden ważny element ubył. Może więc zacniemy używać argumentów nieco mniej pachnących niemieckim *Blut und Boden*, byśmy się zaś nie wykiepowali na drogi inaczej niespodziewane.

Profesor Studnicki jest człowiekiem starym i ma za sobą niejedną piękną kartę polityczną i pisarską. Ale sprawa, o którą toczy się spór, to nie fraszka. Zbyt wiele krwi lepi się nam na rękach, abyśmy tracili czas na wzajemnych reweransach, podczas gdy nieodpowiedzialni ludzie przygotowują grunt pod nową, być może jeszcze straszniejszą walkę. Więc powiem Studnickiemu twardo: zarówno on, jak inni, którzy dmą w miechy przy ogniu polsko-ukraińskiej

nienawiści, będą współodpowiedzialni za tę krew, która się jeszcze w przyszłości poleje. I lepiej nie zapisywać ostatnich rozdziałów długiej pracy publicystycznej słowami, które poczęła ślepa niechęć, a trzymała do chrztu zarozumiała ignorancja.

Pozostaje mi tylko zapewnić pana profesora, że nie poczułem się dotknięty jego lekceważącym zwrotem końcowym, w którym odmawia mi, jako poecie, prawa do szukania leków na konflikty historyczne. Ale przypomnę mu jego własne słowa, jakimi uważał za możliwe podsumować swe wspomnienia sprzed dnia wojny, drukowane w 1947 roku w „Wiadomościach”. Oto po omówieniu tego, co by się stało lub stać mogło, gdyby armia polska uderzyła wraz z Niemcami na Rosję, Studnicki dodał: „Po zwycięstwie na Wschodzie nastąpić by musiał kompromisowy pokój na Zachodzie. Rosja bolszewicka zwyciężona. Europa sfederowana”.³⁸⁸ Postawić takie twierdzenie w roku 1939 mógł człowiek nieorientujący się, czym jest bestia hitlerowska; powrócić do niego w osiem lat później – jedynie ktoś, dla kogo doświadczenia historyczne nie mają żadnej wartości, jeśli nie potwierdzają jego własnej tezy. A jeśli nie potwierdziły, tym gorzej dla tych doświadczeń. Czy więc na podstawie podobnego oświadczenia, wydrukowanego czarno na białym w dwa lata po zagaśnięciu ostatniego pieca krematoryjnego, nie mógłbym, chociaż tylko poeta, zarzucić profesorowi Studnickiemu właśnie... „poetyzowania”?

Być może, że – jak pisze pan profesor – nigdy „nie znajdę lekarstwa” na „zasadnicze prawo biologiczne”, jakim jest „walka o ziemię”, w danym wypadku o Ziemię Czerwieńską. Pozostanie mi pociecha, że go szukałem. Natomiast profesor Studnicki chce nam sprzedać truciznę, blekot polityczny, szaleń nienawiści, odwieczną, dobrze znaną otrutę w pseudo-historiozoficznym opakowaniu. Jego list, który obecnie kwituję, przekonał mnie o jednym: że po przeczytaniu mego artykułu, bądź co bądź dostatecznie nabitego argumentami i faktami historycznymi, dowiedział się tylko tego, jak się poprawnie pisze nazwisko Bandery. To wiele. Pogratulować!...

³⁸⁸ W. Studnicki, *Z tragicznych dni: W przededniu drugiej wojny światowej*, „Wiadomości”, nr 19 (58), 11 V 1947, s. 1.

Jędrzej Giertych odpowiedział mi niekrótkim listem, jak profesor Studnicki, ale obszernym artykułem. Okazuje się jednak, że miejsca było za mało. „Aby odeprzeć skutecznie – pisze Giertych – zbiorową proukraińską sugestię – a więc, na przykład, aby odpowiedzieć p. Józefowi Łobodowskiemu – nie wystarcza artykuł, lecz potrzebna jest właściwie książka”. Niestety jednak, na książkę w sprawie ukraińskiej Giertych „zdobyć się w tej chwili nie jest w stanie”. Ha, trudno! Oczekując z niecierpliwością, aż publicystyka polska wzbogaci się o nowe dzieło, poprzestańmy na razie na artykule.

Giertych zaczyna od oświadczenia, że „zabierając czasem głos w sprawie ukraińskiej, występuje nie tyle przeciw Ukraińcom, ile przeciw polskiemu obozowi proukraińskiemu”. Mówi, że nie ma nic przeciw powstaniu niepodległej Ukrainy, byle by polscy ukrajinofili nie angażowali żywych sił narodu w tej sprawie, która jest sprawą „nie tylko cudzą, lecz i niedwuznacznie wrogą”. Inaczej mówiąc, Ukraińcy mogą spać spokojnie – ze strony Giertycha nic im nie grozi. Kogo chce zniszczyć – to właśnie nas, niepoprawnych, niczego nierozumiejących, dążących do samobójstwa narodowego, zwariowanych „Ukraińców”. „Trwoniliśmy już siły – powiada Giertych – na budowanie Ukrainy wielokrotnie. Owo budowanie zawsze kosztowało nas wiele, a czasem wręcz groziło nam katastrofą lub wręcz katastrofę na nas sprowadzało. Oby nie sprowadziło na nas nowych katastrof w przyszłości!”. Po czym omawia plusy i minusy, jakie w jego pojęciu miałyby z polskiego punktu widzenia niepodległa Ukraina, i dochodzi do kategorycznego wniosku, że minusy stanowczo przeważają.

Zdawałoby się, to powinno wystarczyć. I nawet stanowisko Giertycha, choć w moim przekonaniu całkowicie błędne, należałoby uszanować. Uważa, że powstanie niepodległej Ukrainy stanowić będzie poważne niebezpieczeństwo dla Polski, a że polska koszula bliższa ciała niż ukraińskie hajdawery, więc dbajmy przede

wszystkim o koszulę. *Punctum*. Nie ma o czym gadać. Ale nie – to dla Giertycha za mało. Chce mieć czyste sumienie i wyjść z polemiki w godowej szacie niepokalanego anioła. Więc swój ściśle polityczny wywód podbudowuje rozważaniami natury historycznej, kulturotwórczej, nawet lingwistycznej, by ostatecznie oświadczyć, że naród ukraiński w gruncie rzeczy nie istnieje i prawa do niepodległości nie posiada.

I tu zaczyna się zwykły mętlik, stawanie na głowie, szastanie faktami historycznymi w najbardziej bezceremonialny sposób, reprezentacyjny popis ignorancji, a także wyraźnie złą wolą nacechowane fałszowanie wydarzeń z najbliższej, a więc bardzo łatwo sprawdzalnej przeszłości.

Pisze Giertych, że między dwoma ośrodkami narodowego ruchu ukraińskiego – na Zadnieprzu i na Ziemi Czerwieńskiej – ruch ten albo w ogóle nie istnieje, albo jest „niezmiernie nikłą roślinką”. Między Lwowem i Kijowem rozpościera się „etnograficzna mgławica, wśród której proklamują przynależność do tego narodu tylko doktrynerzy, podobni do naszego Floriana Ceynowy,³⁸⁹ który głosił ideę kaszubskiej odrębności narodowej”. A naród „nie może składać się z kilku luźnych ośrodków, przedzielonych ową m g ł a w i c ą”. Zaiste, rewelacyjna teoria! Przypuśćmy, że istotnie poza „kilku luźnymi ośrodkami na wschód od Bugu i Zbrucza” – bo Ukraińcom halickim Giertych świadomości narodowej łaskawie nie odmawia – rozciąga się ziemia niczyja pod względem narodowościowym. Ale wszędzie na tej „ziemi niczyjej” mówi się tym samym językiem, śpiewa się te same pieśni, czyta się tych samych pisarzy, tańczy się te same tańce. „Doktrynerów” coraz więcej – i wcale żwawo sobie poczynających. W „mgławicy” odbywa się ciągły ruch. Nasz specjalista od narodowej astronomii i kosmologii powinien wiedzieć, że z takiej „mgławicy” musi prędzej czy później wyłonić się jakaś planeta – kometa choćby. Niestety, muszę Giertycha rozczarować. Zapomniał on w swoim historiozoficznym ferworze, że na przykład Wołyń już

³⁸⁹ Florian Ceynowa (1817-1881), lekarz, działacz kaszubski, twórca pisowni kaszubskiej i pierwszych utworów w j. kaszubskim, „budziciel Kaszub”.

przed wojną szybko nadrabiał swe opóźnienia w świadomości narodowej w stosunku do Ziemi Czerwieńskiej. Krwawy pług wojny przeorał go do głębi i przyspieszył ten proces. Chłop wołyński masowo szedł do szeregów UPA, która była zbrojnym ramieniem obozu niepodległościowego. To samo działo się na sąsiednim Podolu, a nawet – *horrible dictu*, do czego dożyliśmy! – na Polesiu! Giertych opisuje z rozrzewnieniem swoje wycieczki kajakiem po Łużycach. Ja też jeździłem kajakiem, ale po Styrze, Horyniu i Prypeci. Bywał tam i Giertych, ale nigdy go nie spotkałem. Natomiast często spotykałem różnych Grzesiów, kubek w kubek, jak z Giertychowej powieści,³⁹⁰ i wiem, jak niewiele ze swych kresowych wycieczek wynosili. Zapewniam Giertycha, że dzisiejszy Wołyń do jego mgławicowej teorii już nie pasuje. Mgławica kurczy się, coraz liczniejszy zastęp „doktrynerów” i to nie takich, jak poczciwy Ceynowa, ale takich, którzy w razie potrzeby strzelają. Ejże, panie Onufry herbu Wczele, czy to waszmości nie przerywa słodkich snów o „etnograficznej mgławicy”?

Giertych raz jeszcze rozwija tezę, że w latach 1917-1920 narodu ukraińskiego nie było. „Była partia polityczna – jeden z prądów politycznych na Ukrainie, i to wcale nie najsilniejszy”. Giertych nie rozumie mechaniki rewolucji społecznej, która nastąpiła na Ukrainie jednocześnie ze zrywem niepodległościowym. Zawsze w takich okolicznościach następuje zatarcie ostrych linii, zamęt ideologiczny, rozbitcie, a przynajmniej osłabienie ośrodków krystalizacyjnych. Przypomnijmy czasy napoleońskie. Nawet narody o takiej historii i kulturze, jak niemiecki i włoski, znalazły się w stanie wrzenia na poły rewolucyjnego i na żadne zwarte działanie nie zdobyły się. Czy lud wenecki bronił sztandaru świętego Marka przed najazdem francuskim? Aby mnie nie posądzono o dobieranie wygodnych przykładów, wezmę przykład inny, właśnie najmniej mojej tezie odpowiadający: Hiszpanię. Gdyby nie bezceremonialność, z jaką Napoleon potraktował rodzinę królewską, nie bezwzględność generałów i brutalne zachowanie się żołnierzy francuskich, wypadki potoczyłyby się zupełnie inaczej. Ogromną rolę odegrał kler kato-

³⁹⁰ Aluzja do powieści J. Giertycha: *W Polsce między wojnami. Rodzina Pasków*, t. 1, Londyn 1950.

licki, który „widział w Napoleonie przede wszystkim wroga religii i Kościoła”. A i tak spora liczba intelektualistów i tych wszystkich, którzy, znajdowali się pod wpływami osiemnastowiecznego racjonalizmu, stanęła po stronie najeźdźcy, a w każdym razie „kolaborowała”. Pierwsza polityczna emigracja hiszpańska to przecież właśnie emigracja „profrancuska”. Zrobię Giertychowi przyjemność i dam jeszcze jeden przykład, na pewno bardzo miły jego sercu: zachowanie się szlachty ariańskiej i kalwińskiej podczas najazdu szwedzkiego. Wówczas, jak utrzymuje sam Giertych, działała w Polsce piąta kolumna protestancka. Więc na Ukrainie działała piąta kolumna komunistyczna. Lubię wybitnych świadków. Przed chwilą w polemice ze Studnickim powołałem się na Stanisława Augusta – obecnie powołałam się na Lwa Trockiego. To właśnie on, w przemówieniu pożegnalnym do agitatorów, po ukończeniu specjalnego kursu wyruszających na Ukrainę, by siać zamęt ideologiczny, oświadczył: „Pamiętajcie, że wpływy niepodległościowców na Ukrainie są bardzo silne. Niekiedy powinniście udawać, że jesteście petlurowcami, by tym łatwiej zdobyć zaufanie”.* Omaliałem kiedyś szczegółowo to przemówienie na łamach „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”. Giertych, oczywista, go nie zna. A może... może Trocki był również... ukrainofilem?

Co bodaj najbardziej zaważyło na losach Ukrainy w owych przełomowych latach, to zjawisko „atamańszczyzny”. Typu anarchistycznego, jak Nestor Machno, bolszewickiego jak Kotowski,³⁹¹ najczęściej zaś po prostu „tutejszego”, w granicach jednego powiatu czy gminy. I w Polsce były takie tendencje, że przypomnę czerwony sztandar na wieży magistratu lubelskiego³⁹² czy ogłoszenie

* Dziś historycy traktują to zdanie z ulotki jako propagandowe fałszerstwo.

³⁹¹ Hryhorij Kotowski (1881-1925), złodziej, katorżnik, a następnie dowódca czerwonych oddziałów (m.in. czerwonych kozaków) w czasie wojny cywilnej w Rosji, członek władz republik ukraińskiej, Mołdawskiej i CKW ZSRR.

³⁹² Prawdopodobnie pomyłka. Łobodowskiemu chodziło zapewne o utworzenie w Lublinie rządu Ludowego Republiki Polskiej, z Ignacym Daszyńskim na czele (6/7 XI 1918 r.). Siedzibą rządu nie był ratusz lubelski, ale Pałac Potockich, dawna siedziba rosyjskiego, a później austriackiego generał-gubernatora.

„republiki tarnobrzeskiej”.³⁹³ Tyle, że inna była struktura społeczna, inne okoliczności, inne tradycje, no i różny stopień uświadomienia narodowego. Na marginesie zabawna anegdota – za republiki hiszpańskiej pewna zabita gmina andaluzyjska ogłosiła „niepodległość i suwerenność”, zaznaczając w wydanym manifestie, że pragnie żyć w zgodzie i pokoju z okolicznymi gminami i „państwami całego świata”. Znowu zastanawiająca analogia, którą trzeba wziąć pod uwagę. Zjawisko dość powszechne, a jeśli je pomnożymy przez step, przez Hulaj-Pole,³⁹⁴ przez Czarny Szlak, przez niezagasłe czy choćby we krwi drzemiące tradycje Zaporozża, otrzymamy to, co działo się wówczas na Ukrainie.

Giertych wątpi, aby na Ukrainie było wiele ludzi umięjących napisać list poprawną pisownią – ba, w ogóle znających język ukraiński i nieodnoszących się do niego z drwinami. Jako do lingwisty, nie mam do Giertycha zaufania od czasu, gdy z poważną miną napisał, że dłuższy czas po rewolucji Rosjanie mówili z akcentem żydowskim. Sam słyszał w pociągu, gdy jeździł do Sowietów jako urzędnik MSZ, zanim go brzydki Beck posłał na zieloną trawkę.³⁹⁵ Z równą racją mógłby Giertych napisać, że mówiono: – *Ach, dusza łubeznyj, ty znajisz paczamu Tyfłys samyj gławnyj gorod?* – z akcentem ormiańskim. Jeśli wszystkie wiadomości, które Giertych przywoził z urzędowych wyjazdów do Rosji, były na tym samym poziomie, trzeba przyznać, że Beck słusznie ocenił jego kwalifikacje.

Ale do rzeczy. „Wolne żarty!” – wykrzykuje Giertych pod adresem tych, którzy, jak niżej podpisany, twierdzą, że nie było tak źle z literackim językiem ukraińskim w omawianym okresie. To prawda. Żarty. Bardzo kiepskie żarty. Niestety, żartowniszem jest właśnie sam Giertych. Czy słyszał on o tych wszystkich pisarzach, filologach, historykach, naukowcach ukraińskich pierwszej połowy

³⁹³ Republika Tarnobrzaska została utworzona 6 XI 1918 r. na wiecu chłopów w Tarnobrzegu. Została zlikwidowana przez władze RP w 1919 r.

³⁹⁴ Republika Hulajpole, anarchistyczna republika utworzona 1 IX 1919 r. przez oddziały podporządkowane Nestorowi Machno. Istniała do końca 1919 r.

³⁹⁵ J. Giertych był pracownikiem MSZ w latach 1927-1932; aluzja do wymiany kadrowej przeprowadzonej po objęciu ministerstwa przez Józefa Becka (1932-1939).

XX wieku, którzy w najbardziej niesprzyjających warunkach pisali w języku ojczystym? Przecież intensywniejszy ruch artystyczny i kulturalny nie jest możliwy, jeśli nie istnieje odpowiednie środowisko i zainteresowanie. Jeśli nie istnieje odbiorca. Jakże sobie wyobrazić bujny renesans kultury ukraińskiej, począwszy od 1921 roku, gdyby nic się przedtem nie działo w samym społeczeństwie, gdyby nie było wytworzonej już uprzednio przychylniej atmosfery! Teatr, publicystyka, poeci przekładający na język ukraiński – i jak przekładający! – największych pisarzy świata, od Greków i Rzymian poczynając – toż to nie wyskakuje jak murawa spod ziemi, na ugorze się nie rodzi, ale wymaga długiej pracy przygotowawczej. Giertych tego wszystkiego nie wie. To jeszcze nie grzech. Grzech powstaje z chwilą, gdy nie tylko wygłasza on absurdalne i krzywdzące adwersarzy sądy, ale wygłasza je *ex cathedra*, owinięty w toż nieomyślności.

Nie od dziś Giertych zabawia się w poprawianie i rewizję historii. Już mu kiedyś Tadeusz Siuta³⁹⁶ w bardzo spokojnej i delikatnej formie wytknął całkowite nieliczenie się z rzeczywistością historyczną oraz bezceremonialne naginanie jej do własnych tez politycznych. To w stosunku do historii Polski. Ale włosy stają dęba na głowie dopiero z chwilą, gdy Giertych „rewiduje” historię Ukrainy.

„Ukraina nie została przez Moskwę podbita, lecz w Perejasławiu dobrowolnie się pod władzę cara oddała”. Iłowajskij twierdził to samo. Ale mnie w szkole uczono, że perejasławska umowa nie została dotrzymana przez żadną z umawiających się stron. Że istniało pewien czas niezależne państwo pod buławą Chmielnickiego. Z polskiego punktu widzenia tylko *de facto*, dla niektórych państw, jak Porta Otomańska, Chanat Krymski i Multany – również *de iure*. Że po Perejasławiu był Hadziacz. I bitwa pod Konotopem.³⁹⁷ I Doro-

³⁹⁶ Tadeusz Siuta (1913-1978), absolwent UJK, członek konspiracji antysowieckiej we Lwowie, aresztowany i zesłany do łagrów, wyostał się z ZSRR z Armią Andersa, po 1945 r. na emigracji w USA.

³⁹⁷ Bitwa pod Konotopem została stoczona 8 VII 1659 r. przez hetmana kozackiego Iwana Wyhowskiego, który na czele wojsk polsko-kozacko-tatarskich pokonał wojska moskiewskie.

szenko.³⁹⁸ Że lewobrzeżna Ukraina dostała się pod władzę Moskwy – zresztą przy zachowaniu hetmanatu – dopiero na mocy pokoju w Andruszowie. Że wreszcie opór przeciw włączeniu definitywnemu trwał odtąd kilkadziesiąt lat – i to opór w wielu momentach zbrojny. Czego mnie jeszcze uczono? Że kto te sprawy ignoruje, powinien siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i głosu publicznie nie zabierać. Więc do tego dobrnęliśmy, że na łamach poważnych czasopism emigracyjnych mamy wyklądać szkolny kurs historii?

Tak, tak... Gdyby Giertych był Turkiem, napisałby zapewne, że w końcu wieku XVII Polska była lennem tureckim, ponieważ po upadku Kamieńca komisarze Rzeczypospolitej, by zyskać na czasie, zgodzili się na coroczny okup i sułtan posłał królowi Michałowi³⁹⁹ kaftan lennika. Ale Giertych tego nie napisze, bo jest Polakiem. Historiografia turecka straciła nie byle jakie pióro.

Według Giertycha, ukraiński nacjonalizm nie ma żadnego prawa do spadku po dawnej Rusi Kijowskiej i Halickiej. To tylko „polscy ukrainofile dobudowują narodowi ukraińskiemu genealogię tysiącletnią”. Czyli starym rosyjskim systemem: ukrainizm – „polskaja intryga”. Ukrainofile niczego nie muszą „dobudowywać”, bo Ukraińcy sami sobie dawno tę genealogię zbudowali. Kozaccy przywódcy XVII wieku mieli już jasną tego świadomość i na książąt kijowskich stale powoływali się jako na swych antenatów. Nie tylko ludzie miary Chmielnickiego i Konaszewicza-Sahajdacznego, ale i pomniejsi, typu Ostranicy⁴⁰⁰ czy Nalewajki, choć większość polskich dziejopisów uważa ich za ciemnych i niepiśmiennych watazków. Na przykład w *Kronice Samiły Wełyczki*⁴⁰¹ można sobie teksty odpowiednich uniwersałów i „hramot” z pożytkiem przeczytać – i słusność słów moich sprawdzić.

³⁹⁸ Piotr Doroszenko (1627-1698), hetman kozacki, początkowo starał się niezależnie od Rzeczypospolitej i od Rosji, ale ostatecznie przyjął protektorat moskiewski.

³⁹⁹ Chodzi o króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego.

⁴⁰⁰ Jakub Ostranica (?-zm. 1641), hetman kozacki, przywódca powstania skierowanego przeciwko Rzeczypospolitej.

⁴⁰¹ Samiło Wełyczko (1670- zm. po 1728), kronikarz ukraiński.

O poziomie wywodów Giertycha najlepiej niech zaświadczy opinia, że „wspólny między polskimi Rusinami i Rosją alfabet” jest „moskiewskiej proveniencji”. Daję słowo honoru, że profesor Stanisław Horyszewski⁴⁰² z gimnazjum Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie⁴⁰³ nie puściłby mnie z szóstej do siódmej klasy, gdybym powyższe zdanie napisał. Przecież to są czyste kpiny z historii, chronologii, elementarnej znajomości dziejów cywilizacji na Wschodzie Europy! Alfabet na Ukrainie proveniencji moskiewskiej! Musiałby Giertych przedtem udowodnić, że w Moskwie kwitły nauki, gdy na miejscu przyszłego Kijowa był pusty majdan – że kultura szła znad Kłajmy nad Dniepr, a nie odwrotnie. Jakim alfabetem posługiwał się Jarosław Mądry? Jakim – poza łaciną – posługiwano się w akademiach kijowskich? Jakich czcionek używano do druku książek, przeznaczonych na eksport do Moskwy? Niech się Giertych nie krępuje. Niech wygarnie tym samym tchem, że święty Cyryl⁴⁰⁴ urodził się w Suzdalu, a wynalazku swego⁴⁰⁵ dokonał w Solwyczegodskiej Pustelni.⁴⁰⁶ I znów trzeba siadać na szkolnej ławce, otwierać podręcznik i dowiadywać się, że na Białorusi i Ukrainie powstawały drukarnie w tym samym czasie, gdy w Moskwie Iwanów Srogich i Groźnych drukarzy – przybyłych z zagranicy – palono na stosach. Zaś rosyjska grażdanka stanowiła taki sam wynalazek, jak dorobienie nowego ucha do starego czajnika. Ot, wam i „moskiewska proveniencja”!

Na deser Giertych używa typowego chwytu spod znaku *jedynoj i niedielimoj*, porównując Ukrainę do Prowansji, a Szewczenkę do Mistrała. Przed paru laty jużemy na ten temat polemizowali w „Wiadomościach”, przy czym, jak mi się wydało, kwestię wyczerpałem w artykule *Masońskim dyszlem z Kreszczatiku na Ram-*

⁴⁰² Stanisław Horyszewski (1879-1966), historyk, filolog, nauczyciel gimnazjum, pracownik Biblioteki im. H. Łopacińskiego w Lublinie.

⁴⁰³ Łobodowski uczęszczał do Gimnazjum im. J. Zamoyskiego w latach 1924-1931.

⁴⁰⁴ Św. Cyryl (ur. ok. 815-885), apostoł Słowian, był synem bizantyjskiego senatora.

⁴⁰⁵ Św. Cyryl przetłumaczył Pismo Święte na j. słowiański i zapisał alfabetem greckim (głagolicą), która po wprowadzeniu pewnych zmian przyjęła postać cyrylicy.

⁴⁰⁶ Solwyczegodsk, miasto na północy Rosji, w obwodzie archangielskim.

blas.⁴⁰⁷ Giertych, choć zwykle chętny do dyskusji, wówczas z dalszego ciągu zrezygnował. Teraz powraca do starych i dawno obalonych argumentów. „Prawo Prowansji do niepodległości – pisze z całą powagą – mierzyć trzeba nie prowansalską dwu tysiącletnią historią, ale siłą lub słabością ruchu prowansalskiego od czasu założenia «Felibrige». Podobną miarą mierzyć trzeba sprawę Ukrainy”.

Mierzmy. Prowansja utraciła niezależność bardzo wcześnie. Stała się obiektem walk feudalnych i dynastycznych. Andagawenowie, królowie aragońscy, później francuscy, a nawet książęta sabaudzcy, którzy od czasu do czasu również wtrącali trzy grosze. Właściwie już za Walezjuszów, nie mówiąc o Burbonach, kwestia ta nie istnieje. Rewolucja francuska zmiata resztki politycznych tradycji. Odrodzenie języka langwedockiego w literaturze, zainicjowane przez Jeana Jasmina,⁴⁰⁸ a kontynuowane przez felibryzystów z Mistralem na czele, skutków politycznych nie miało. Gdzież tu analogia z Ukrainą? Gdzież zrywy niepodległościowe, choćby w przybliżeniu dające się porównać z ukraińskim XVII i XVIII wiekiem? Również analogia Mistral–Szewczenko świadczy jedynie o tym, że Giertych nie bardzo wie, o czym pisze. Na Szewczenkę wychowały się i modliły całe pokolenia, jak u nas na Mickiewiczu i Słowackim, – *Mirellę* Mistrala czytano jako piękny poemat i ciekawostkę językową. Ukraina w czasie drugiej wojny światowej dała potężny ruch narodowy i armię powstańczą: Prowansja – *marché noir*⁴⁰⁹ między Marsylią i Niceą i zjazd dam z półświatka do Juan-les-Pins, na wywczasy z amerykańskimi żołnierzami. Jeśli zaś dała – również *résistance*, to pod sztandarem ogólnofrancuskim, a nie prowansalskim. Oto i Giertychowe analogie!

A teraz sprawa umowy warszawskiej i pokoju w Rydze. Giertych podtrzymuje swe stanowisko, twierdząc, że „nie pogwałciliśmy żadnego z artykułów umowy”. Zgadzam się, że Wyprawa

⁴⁰⁷ Patrz str. 188-200.

⁴⁰⁸ Właściwie: Jasmin (pseudonim Jacquesa Boé) (1798-1864), poeta tworzący w jęz. oksytańskim.

⁴⁰⁹ Fr., czarny rynek.

Kijowska skończyła się „aktem siły wyższej, zamykającym sprawę”. Prowadzić wojnę po bitwie niemeńskiej⁴¹⁰ ani przygotowywać się do nowej wyprawy na wiosnę 1921 nie mogliśmy. Ale uznawać w Rydze Rakowskiego i Joffego jako przedstawicieli Ukrainy nie mieliśmy prawa. Oddziały Petlury dotrzymały wierności do końca. W krytycznych momentach bitwy warszawskiej odegrały swoją rolę, broniąc uporczywie Zamościa, co nie było bez znaczenia dla powodzenia kontrataku znad Wieprza. Dla całego świata różnica między Rygą i Jałtą jest właśnie taka, jak między szarżą pułku ułanów pod Komarowem,⁴¹¹ a wybuchem bomby atomowej w Hiroszynie. A dla Ukraińców Ryga miała identyczną wymowę, co Jałta dla nas. W tym sensie analogia jest pełna.

Wśród fint i chwytów stosowanych przez Giertycha są i takie, za które na ringu groziłaby natychmiastowa dyskwalifikacja. Giertych przyznał rację memu oskarżeniu niepoczytalnej polityki kresowej, stosowanej w Polsce przedwojennej. Ale zarzuca mi nielojalność, twierdząc, że metody gwałtu wobec Ukraińców nie mają nic wspólnego z polskim obozem antyukraińskim – czytaj: Stronnictwem Narodowym i samym Giertychem. Albo Giertych cierpi na amnezję, albo liczy na krótką pamięć u innych. Według niego, „metody gwałtu były ubocznym wytworem kierunku proukraińskiego”. Zrodziły się one z irytacji, że z Ukraińcami nie można się dogadać, i wyrażały odruchową reakcję: „Jeśli jesteście tacy, to my wam pokażemy!” A więc coś w rodzaju krwawej zemsty zawiedzionego kochanka.

Chętnie wierzę Giertychowi na słowo, że jeśli „nie protestował” przeciw polityce kresowej, to wyłącznie ze względów cenzuralnych, natomiast protestował w formie mu dostępnej, między innymi, tłumacząc lwowskiej młodzieży akademickiej, że „pacyfikacja jest zarówno niepoczytalnością, jak zbrodnią”. Jeśli tak było –

⁴¹⁰ Bitwa niemeńska, w wojnie polsko-bolszewickiej, toczona w dniach 20-26 IX 1920 r., zakończyła się polskim zwycięstwem.

⁴¹¹ Bitwa pod Komarowem miała miejsce w trakcie wojny polsko bolszewickiej 31 VIII 1920 r. Kawaleria polska odniosła zwycięstwo nad kawalerią bolszewicką.

a powtarzam, że wierzę mu na słowo – Giertych jest pod tym względem w porządku. Ale widać, miał w swym obozie nikłe wpływy, skoro interwencje jego żadnego skutku nie odniosły.

Co się działo na zamkniętych konwentykłach lwowskiej młodzieży narodowej, oczywiście wiedzieć nie mogłem. Ale jakie były nastroje i poglądy wśród ogółu młodzieży narodowej, wiem bardzo dobrze. Byłem stałym i gorliwym czytelnikiem prasy narodowej, od stołecznej poczynając, a na lokalnych czasopismach kończąc. Chyba się jeszcze znajdują gdzieś roczniki tych pism – łatwo sprawdzić, czy Giertych ma rację. Bo dzieją się rzeczy, zaiste, rewelacyjne. Okazuje się, że zwolennicy „polityki gwałtów” ograniczali się do grupki „istniejącej na peryferii obozu narodowego, ze Stanisławem Grabskim⁴¹² i Klaudiuszem Hrabym na czele”. Zaś cała reszta była czysta jak łaźnia.

Pomówmy więc o faktach konkretnych. Czy Giertych pamięta reakcję prasy swego obozu, gdy wybuchła „rewindykacja wołyńska”? Właśnie główne organy prorządowe zachowywały raczej kłopotliwe milczenie, a taki „Głos Lubelski”,⁴¹³ że wezmę przykład mi najbliższy, dał we wszystkie surmy i złote rogi zwycięstwa. Przypomnę, że nagonka, rozpętana przeciw wojewodzie Józewskiemu, który rewindykacji usiłował przeciwdziałać, miała gorliwych pomocników, a w wielu wypadkach inicjatorów wśród publicystów obozu narodowego. Akurat w tym czasie byłem na Wołyniu i widziałem z bliska, co się działo.

Społeczeństwo polskie w Łucku i innych miastach Wołynia to był cocktail ideologiczny zupełnie specjalnego rodzaju. Różnice polityczne zacierały się i ustępowały miejsca pełnej harmonii, gdy chodziło o „świętą wojnę” przeciw Ukraińcom i „zdradzającemu sprawę polską” wojewodzie. Przysięgły sanator był za pan brat z miejscowym prezesem Stronnictwa Narodowego; były legionista

⁴¹² Stanisław Grabski (1871-1949), polityk i ekonomista, poseł na Sejm RP, związany z Narodową Demokracją.

⁴¹³ „Głos Lubelski” gazeta codzienna w Lublinie, ukazywał się w latach 1913-1939 i był związany z narodową demokracją.

całował się z dubeltówki z Januszajtisem,⁴¹⁴ czule patronował im ksiądz Tokarzewski,⁴¹⁵ który z tej racji, że przez pewien czas był kapłanem w Belwederze, uważał siebie za najbardziej autoryzowanego wykładnika ideologii Piłsudskiego. Do tego dochodził KOP i Sąd Okręgowy, a wszystko znajdowało swój wyraz publicystyczny w dymiącym kociołku „Kuriera Wołyńskiego”,⁴¹⁶ gdzie pewien pułkownik w stanie spoczynku, w asyście pewnego kaprała na emeryturze i dziennikarza spod ciemnej gwiazdy, szkalował co tydzień Józewskiego i nawoływał do „ratowania polskość”. Otóż bardzo mi przykro, ale muszę stwierdzić, że w tej równie brudnej, co samobójczej robocie brało czynny udział Stronnictwo Narodowe – i na to Giertych poniewczasie nic nie poradzi. Trzymało się z dala od tej akcji kilku wyższych wojskowych, którzy widzieli rzeczywistość inaczej, ale wpłynąć na nią nie mogli czy nie chcieli, spora część duchowieństwa i ziemiaństwa, wreszcie – w miarę swych sił – starało się ratować dobre imię narodu polskiego nauczycielstwo, a przynajmniej jego duży odłam, ośrodek krzemieniecki, „Rocznik Wołyński” Hoffmana,⁴¹⁷ poszczególni działacze ze Związku Młodzieży Wiejskiej, ten i ów ze starostów.

Nigdy nie miałem zwyczaju potępiania wszystkiego w czambuł, więc chętnie się zgodzę, że niejeden z członków Stronnictwa Narodowego, gdyby wiedział dokładnie, co się dzieje na Wołyniu, zaprotestowałby z oburzeniem. Szkoda więc, że Giertych nie zawadził wówczas o Łuck. Miałby wdzięczne pole do działania w uśmie-

⁴¹⁴ Marian Żegota-Januszajtis (1889-1973), generał, od 1929 r. w stanie spoczynku, gospodarował na działce wojskowej na Kresach. Był członkiem Związku Osadników Wojskowych i Stronnictwa Narodowego.

⁴¹⁵ Marian Tokarzewski (1874-1941), ksiądz katolicki, kapłan Naczelnego Wodza (1920), a następnie prezydenta S. Wojciechowskiego (1922). Po zamachu majowym zrzekł się tej funkcji. Od 1930 r. przebywał na Wołyniu, gdzie wykładał w seminarium w Łucku i pełnił funkcję proboszcza w Kowlu. Zamordowany przez Sowietów.

⁴¹⁶ „Kurier Wołyński” tygodnik ukazujący się w latach 1937-1938, będący w opozycji wobec wojewody Henryka Józewskiego, znajdował się pod wpływami narodowej demokracji.

⁴¹⁷ Jakub Hoffman (1896-1965), redaktor „Rocznika Wołyńskiego” (1930-1939), poseł na Sejm RP, po 1945 r. na emigracji.

rzaniu miejscowych entuzjastów pałki i kolby, jako uniwersalnego środka na spolszczenie i skatolicyzowanie Wołynia.

Powiem więcej, skoro się już o tym zgadało. W ostatnich latach przedwojennych reżim sanacyjny poszedł na kokietowanie skrajniejszej młodzieży narodowej uważając, że jest to najwartościowszy element z wojskowego punktu widzenia. Na pewnych odcinkach życia społecznego powstało zjawisko wzajemnej osmozy, którą ktoś celnie określił jako „endeczenie się sanacji”. Papierek lakmusowy tej tendencji stanowiły choćby zmiany w zespole współpracowników „Polski Zbrojnej”, a barometr publicystyczny – oślawiony „Merkuriusz Ordynaryjny”. Między moim kolegą szkolnym, korporantem z KUL – który po powrocie ze ślubowania w Częstochowie, gdzie krzyczał w pochodzie: „Precz z sanacją!”, oświadczał mi kategorycznie: „Co? Ukraińcy? Trzymać za mordę! Za mordę!...” – a sanacyjnym starostą w Tomaszowie Lubelskim, wysadzającym dynamitem cerkwie prawosławne, nie było już żadnej różnicy.

Zanotujmy inny niedozwolony chwyt. Giertych daje do zrozumienia, że sanacja a „obóz ukrajinofilski” – to jedno i to samo. Giertych był i jest wojującym członkiem swojej partii; moje partyjniactwo trwało krótko choć intensywnie i skończyło się przeszło szesnaście lat temu. Byłem przed wojną takim „ukrajinofilem”, który artykuły polityczne w „Biuletynie Polsko-Ukraińskim” musiał pisywać pod pseudonimem, bo dla „opiekunów” byłem trefny.⁴¹⁸ Włodzimierz Bączkowski, nie chcąc rezygnować z mojej współpracy, musiał trzymać mnie pod korcem. Łatki sanatora Giertych mi nie przypnie, chociaż wiem, że mnie uważa za człowieka, którego mentalność ukształtowała się w kręgu „piłsudczyzny”. Mego pozytywnego, a nawet jeśli ktoś chce, entuzjastycznego stosunku do Marszałka nie ukrywałem nawet wobec dygnitarzy paryskiej „Reginy”,⁴¹⁹ tym bardziej nie będę ukrywał go dziś. Ale od tego do

⁴¹⁸ Od sierpnia 1938 r. Łobodowski drukował w „Biuletynie Polsko-Ukraińskim” teksty o charakterze politycznym pod pseudonimem Stefan Kuryłło (zob. wstęp).

⁴¹⁹ W 1939 roku w Hotelu „Regina” w Paryżu mieściła się siedziba Sztabu Naczelnego Wodza i Ministerstwa Spraw Wojskowych, gen. Władysława Sikorskiego.

„sanacji” daleko. Nieszczęście Polski przedwojennej polegało głównie na tym, że obóz Piłsudskiego nie stworzył zwartej ideologii, nie stał się partią polityczną w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Gdy dawne orliki legionowe zaczęły obrastać tłuszczem, została już tylko siuchta, z niedojrzałych jajek ideowych wykluwały się hasła rocznicowe, a z liści obsypujących się z wieńca więdnącej legendy można było uwarzyć już tylko zupkę osobistej kariery. Polski obóz ukrajinofilski – to były jednostki. Jedni, jak Hołówko, Wasilewski odchodzili na zawsze. Inni, jak Łoś,⁴²⁰ Dunin-Borkowski coraz rzadziej brali pióro do ręki. Jeszcze inni, jak Pruszyński⁴²¹ zdradzali; reszta szamotała się bezsilnie w narzuconych ograniczeniach i sieciach. A teraz przychodzi Giertych i powiada, że to właśnie „ukrainofile”, obrażeni na Ukraińców za ich upór, wymyślili pacyfikację, Berezę, rewindykację i palenie świątyń prawosławnych.

A wreszcie pomówmy i o tym, jak wyglądały sprawy przed rokiem 1926. Czy Giertych zna różne wyczyny na Wołyniu za czasów wojewody Aleksandra Dąbskiego,⁴²² który przecież piłsudczykiem nie był? Czy słyszał o słynnych wypadkach w Łucku, na które musiały reagować aż czynniki wojskowe w Warszawie, a zareagowały tak, że kilkunastu funkcjonariuszy policji wyleciało ze służby państwowej? Czy zna okoliczności śmierci Olhi Basarab w więzieniu lwowskim?⁴²³ I dziesiątki i setki innych wypadków. Tego „sanacyj-

⁴²⁰ Jan Stanisław Łoś (1890-1974), ziemianin, dyplomata, konserwatysta. W okresie międzywojennym m.in. pracownik MSZ i Ambasady RP w Londynie, od 1931 r. na emeryturze, zajmował się działalnością publicystyczną. Po 1945 r. pozostał w Polsce, był profesorem KUL.

⁴²¹ Ksawery Pruszyński (1907-1950), dziennikarz, publicysta, członek „Myśli Mocarstwowej”, dziennikarz „Słowa” i pism wydawanych przez J. Giedroycia. Po 1945 r. pozostał w Polsce.

⁴²² Aleksander Dąbski (1890-1942) był wojewodą wołyńskim (w latach 1925-1926), wieloletnim działaczem ruchu narodowego i jego władz.

⁴²³ Olha Basarab (1889-1924), działaczka ukraińskiego ruchu niepodległościowego, aresztowana przez policję polityczną pod zarzutem przynależności do UOW w lutym 1924 r. Po przesłuchaniu została odnaleziona w celi martwa, powieszona na ręczniku. Policja zataiła jej śmierć oraz miejsce pochówku i twierdziła, że przyczyną zgonu było samobójstwo. Działacze organizacji ukraińskich uważali, że została zamordowana w trakcie przesłuchania.

nym ukrajinofilom” nie podrzuci. To przecież było za czasów „demokracji” i „parlamentaryzmu”!

W tym moim wodzeniu się za czuby z Giertychem pozostaje sprawa najtragiczniejsza: lata 1939-1945. „Ukraińcy – pisze Giertych – zastosowali wobec nas metodę rzezi. Rzeź ta nie była nieopanowanym wybrykiem motłochu, ale planową operacją... Odpowiada jej w zupełności wynalezione przez kilku laty słowo: *génocide*”.⁴²⁴

Ciężko mi pisać o tej sprawie, o której wolałbym zapomnieć. Ale zapomnieć można by tylko pod warunkiem, że obydwie strony przeprowadzą rachunek sumienia i, wyznawszy wzajemne winy, będą prosiły o wzajemne wybaczenie. Ton, w jakim pisze Giertych, ton, jakiego używa niejedno pismo ukraińskie, świadczą, że jeszcze daleka droga do Jordanu, którego świętą wodą zmylibyśmy piętno Kainów z naszych czoł. Materiał, jakim rozporządzam, jest tylko drobnym ułamkiem tego, co się działo, ale i on wystarczy, by móc zabierać głos z pewnym poczuciem odpowiedzialności za swoje słowa. Więc w innej części artykułu omówię i tę hańbiącą sprawę dokładnie.

MIĘDZY KIJOWEM I MOSKWA

A teraz przejdźmy do kwestii zasadniczej. Czy powstanie niepodległej Ukrainy leży w interesie Polski – czy nie? Jeżeli tak, warto dalej prowadzić dyskusję, jeżeli nie – cała reszta traci znaczenie. Bo jeśli prawdą jest – jak utrzymują Giertych, Studnicki, Zbyszewski – że przykładanie przez nas ręki do budowania ukraińskiej niepodległości lub choćby nieprzeszkadzanie temu budowaniu grozi narodowi polskiemu całkowitą zagładą, cóż któregośkolwiek Polaka mogą obchodzić zagadnienia, które tu zostały poruszone! Są Ukraińcy narodem czy nie, mają prawo czy nie mają do spadku po Rusi Kijowskiej, był Szewczenko prorokiem czy rodzajem ukraińskiego Mistrała – wszystko to przesuwają się na płaszczyznę za-

⁴²⁴ *Genocidium*, łac. – ludobójstwo. Autorem tego określenia był polski prawnik, Rafał Lemkin (1900-1959).

interesowań czysto akademickich. A jeśli Giertych ma rację? Jak tu ratować, a choćby tylko współczuć tonącemu, jeśli natychmiast po uratowaniu przebije mnie nożem, albo inni, silniejsi ode mnie, rozgniewani, że wtrącam się do nieswoich spraw, mnie samego wrzucą do rzeki?

Rzeczywiście, niepodobna! Więc czy nie lepiej, otarłszy „ukrainofilską” łezkę z powieki, dać sobie spokój i rodakom czulej wątroby nie jątrzyć?

Właśnie takie stanowisko zajął Zbyszewski w artykule *Wedle stawu grobla*.⁴²⁵ Nie interesuje go „nastawienie sentymentalne p. Łobodowskiego” ani „strona historyczna polemiki”. Natomiast w zgodzie z Giertychem twierdzi, że nasza czynna interwencja w walce narodu ukraińskiego o swój niepodległy byt skończyć się może straszliwą katastrofą, ponieważ Zachód utwierdziłby się w przekonaniu, że „jesteśmy narodem awanturczym, którego nie można brać na serio”, no i dlatego, że „dla Rosji kwestia Ukrainy jest kwestią życia i śmierci”. Giertych przytacza argumenty bardzo zbliżone. Stanowisko proukraińskie mogą poprzeć wyłącznie Niemcy, ale będzie to poparcie zdradzieckie, zaś „Rosji narazimy się na śmiertelną nienawiść i zemstę”.

Przede wszystkim wyrażę przekonanie, że w sprawie ukraińskiej, jak i w każdej innej, musimy zdobyć się na stanowisko czynne. Zbyszewski sugeruje zachowanie się wręcz odwrotne. Ponieważ nie mamy sił na rozbijanie Rosji, a nasze urojenia mocarstwowe i tak już nam wiele szkody przyniosły, więc „nie wkładać palca między drzwi”, pamiętać, że „wedle stawu grobla”, i w ogóle trzymać się przysłowia ukraińskiego: *Moja chata z kraju, ja niczoho ne znaju*. Gdyż „maksimum, czego w najpomyślniejszym wypadku możemy oczekiwać, to to, że będziemy p r z e s ł u c h i w a n i w sprawie naszych granic”.

To wszystko brzmi wielce rozsądnie, ale ma jeden logiczny mankament. Oto wcale nie jesteśmy w sytuacji owego gospodarza,

⁴²⁵ Zob. W. A. Zbyszewski, *Wedle stawu grobla*, „Wiadomości”, nr 30 (278), 29 VII 1951, s. 2.

którego chata stoi „z kraja”. Nigdy nie stała. Dziś mniej niż kiedykolwiek. Więc albo Zbyszewski zmieni geografę, przesunie na wzór genialnego Stalina góry i zmieni kierunek rzek, albo przeniesie polską „chatę” na inne wygodniejsze miejsce. Mamy spór z Niemcami, mamy spory ze wszystkimi wschodnimi sąsiadami i musimy się zdecydować, na którym froncie pójdziemy na ugodę. Natomiast nie stać nas – jak proponuje Zbyszewski – na czekanie, aż zwycięscy Jankesi zawołają nas do stołu przykrytego zielonym sukniem i łaskawie zapytają: „No, a ty, pętaczyno, coś przykucnął pod miedzą, czego właściwie sobie życzysz?”

Tragedia polega jeszcze i na tym, że zanim możni tego świata zaczną nas „przesłuchiwać”, już cegły polecą nam na głowy. Zanim zaczęła się konferencja w Wersalu,⁴²⁶ już był front ukraiński,⁴²⁷ a potem awantury z Grenzschutzem,⁴²⁸ kłopoty z Litwinami⁴²⁹ i nawała bolszewicka⁴³⁰ od wschodniej ściany. Tym razem może to wyglądać jeszcze groźniej.

Więc gdy Zbyszewski twierdzi, że nie stać nas na politykę w większym stylu, ja postawię tezę wręcz przeciwną: jeśli na co nas nie stać, to na bierność, na koncepcje połowiczne, na przeczekiwanie burzy pod dziurawym parasolem oportunistów. Jeśli stoimy na stanowisku, że idealne dla nas rozwiązanie na Wschodzie to granica ryska z przyszłą Rosją – chcą tego i Giertych, i Zbyszewski, choć widzą trudności – zaś niepodległej Ukrainy trzeba się strzec, jak diabeł święconej wody, czemuż zwlekamy? Jest Kiereński, są inne grupy emigracyjne, większość przyjmie nasze oferty z wyciągniętymi rękami. Zbyszewski jednak w ogóle z Rosjanami zadawać się nie chce, bo to *raby* i kraj nadający się wyłącznie pod okupację i kolonie. Giertych chciałby, ale konkretnego programu w tej mierze również nie precyzuje.

⁴²⁶ Traktat wersalski został podpisany 28 VI 1919 r.

⁴²⁷ Wojna polsko-ukraińska toczyła się od 1 XI 1918 do 16 VII 1919 r.

⁴²⁸ Oddziały niemieckiej formacji paramilitarnej Grenzschutz były czynne na terenie Wielkopolski, Śląska i Pomorza w latach 1918-1921.

⁴²⁹ Chodzi o konflikt polsko-litewski z lat 1918-1921.

⁴³⁰ Wojna polsko bolszewicka, lata 1919-1920.

Gdzież wzór dla ogarniętych duchem don Kichota Polaków? Zbyszewski już go znalazł. W Sztokholmie. „Szwecja też pewno wolałaby, by Rosja była pokawałkowana, ale mimo to przezornie zapomniała o Karolu XII i Mazepie, i pary z ust nie puszcza na temat Ukraińców”. Ja wiem, że Zbyszewski jest dowcipnym człowiekiem, ale gdzie Kijów, gdzie Moskwa, gdzie karczmy sztokholmskie? Szwecja miała konflikty z Rosją, dopóki chciała odgrywać rolę głównego mocarstwa w północnej Europie i panować nad Bałtykiem. Wyprawa ukraińska, zakończona katastrofą połtawską,⁴³¹ była funkcją tych dążeń. Skończyło się! Szwedzi fabrykują zapałki, sprzedają żelazo, jeżdżą raz na tydzień na wycieczki za miasto, co czwartek folgują sentymentom, wódkę piją na naparstki, do nikogo pretensji nie mają, ani nikt do nich – i tyle. Tu rzeczywiście „moja chata z kraju” ma pełne zastosowanie. Niech Zbyszewski odgrodzi nas Bałtykiem od Moskali i też będzie spokój. Ale zamiast Bałtyku równinka – i trzeba się do przyszłego „przesłuchiwania” jakoś przygotować.

Giertych grozi „śmiertelną nienawiścią i zemstą Rosji”, Zbyszewski poszukał straszaka w postaci Żydów. To Żydzi decydują o wszystkich posunięciach w skali światowej – i oni „nigdy przynigdy do powstania niepodległej Ukrainy nie dopuszczają”.

Dotychczas Zbyszewski zgadzał się we wszystkim z Giertychem, tu wynikła poważna kontrowersja. Bo ten drugi twierdził przecież przy innej okazji, że ukraiński ruch niepodległościowy powstał z natchnienia masonerii. A masoneria – wiadomo. Zabawne, jak to się wszystko plecie. Paru Rosjan przekonywało mnie niedawno, że największym wrogiem *jedynoj i niedielimoj* jest żydowska masoneria, działająca za parawanem Białego Domu. Gdyby nie ona, już dawno Truman⁴³² zaprosiłby Władimira Kiriłłowicza⁴³³ na weekend

⁴³¹ Bitwa pod Połtawą (8 VII 1709 r.), w której wojska króla Szwecji, Karola XII zostały rozbite przez wojska rosyjskie, co przekreśliło szwedzkie plany ekspansji w tej części Europy.

⁴³² Harry Truman (1884-1972), prezydent USA w latach 1945-1953.

⁴³³ Władimir Kiriłłowicz Romanow (1917-1992), syn wielkiego księcia Kiryła Władymirowicza Romanowa (1876-1938). Od 1938 r. tytularny imperator Wszechrosji.

nad brzegi Potomacu. Dziwni ci Żydzi i masoni – ciągle cierpią na rozdwojenie jaźni.

Inny argument: „Żadna Ukraina wobec Rosji nie utrzyma się trzech miesięcy bez obcej okupacji. Tak przecież było w roku 1918”. Wprawdzie Dniepr wielka rzeka, ale dla wielu osób woda w niej stała najwidoczniej na miejscu w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Nie zamierzam bawić się w prorocтва, bo nie wiem, w jakich okolicznościach zewnętrznych i wewnętrznych nastąpi krach sowiecki. Od tego i od zachowania się Zachodu, Stanów Zjednoczonych przede wszystkim, zależeć będzie niemal wszystko. Ale coś zostanie i dla nas. Pewnie, że jeśli naród ukraiński nie wykaże dostatecznej decyzji i siły w owym momencie, to i nasza ewentualna pomoc na nic się nie zda. Ale chodzi o coś innego. O to mianowicie, by nie powtórzyła się wojna rozbijająca nasze siły. By Ukraińcy mieli rozwiązane ręce na Północy, a my na innych, żywotnych dla nas odcinkach. A do tego nie dojdzie bez uprzedniego porozumienia.

We wszystkich polemikach z przeciwnikami tezy proukraińskiej zauważyłem uparte przechodzenie do porządku dziennego nad głównym argumentem adwersarzy. Tak i tym razem. Giertych w ogóle go ignoruje. Studnicki również, Zbyszewski ledwie o niego potrąca. Tego argumentu nie wymyśliłem ani go podaję po raz pierwszy. W „Biuletynie Polsko-Ukraiński”, w „Myśli Polskiej”, w „Problemach Europy Wschodniej”⁴³⁴ zapisaliśmy na ten temat tony papieru – a tu nic, szanowni przeciwnicy wciąż udają, że nic o tym nie wiedzą. Więc Giertych mówi: „Ukraina byłaby nieuchronnie sojuszniczką Niemiec, a więc brałaby nas wraz z Niemcami nieuchronnie w kleszcze”. Pamiętam, w roku 1938 identyczny argument wysunął po odczycie Bączkowskiego w Równem świeżo z pułkownika zaawansowany generał brygady Korytowski.⁴³⁵ „Być może, panie generale – odparł Bączkowski – ale wówczas Rosja

⁴³⁴ „Biuletyn Polsko-Ukraiński” (1932-1938), „Myśl Polska” (1935-1939), „Problemy Europy Wschodniej” (1939) i niewymienione przez Łobodowskiego „Wschód-Orient” (1930-1939) – czasopisma związane z ruchem prometejskim.

⁴³⁵ Adam Korytowski (1886-1942), pułkownik, dowódca Brygady Kawalerii Równe od 1930 r. 13 III 1938 r. został awansowany do stopnia generała.

stałaby się naszym naturalnym sprzymierzeńcem, neutralizując ukraińskie ramię tych kleszczy. Mielibyśmy tylko jednego przeciwnika – na Zachodzie”. Po namyśle Korytowski przyznał mu rację.

Zdawałoby się: proste. Rosja, usunięta z basenu czarnomorsko-kaspijskiego, będzie dążyć do powrotu. Ukraina będzie więc miała zbyt wiele kłopotów z obroną własnej niepodległości, aby myśleć o atakowaniu Polski. Natomiast w razie sojuszu Berlina z Moskwą Kijów stałby się natychmiast naszym sprzymierzeńcem, nawet w wypadku rozstrzygnięcia spornych granic nie po myśli ukraińskiej. Nieprześlągani nacjonałiści ukraińscy mogą mówić i pisać dzisiaj inaczej. To nie zmienia faktu, że w razie powstania przedstawionej powyżej sytuacji Ukraina byłaby naszym sprzymierzeńcem. Takie były od początku tezy zwolenników niepodległej Ukrainy, do których niżej podpisany ma zaszczyt zaliczać się. Powtórzmy: niepodległa Ukraina będzie neutralizować niebezpieczeństwo rosyjskie. I osłabiać tym samym skuteczność ewentualnego porozumienia Moskwy z Berlinem. Takie są rozumowe podstawy mego „ukrainofilstwa”. A to, że podobają mi się pieśni ukraińskie, że staję się lirycznie roztkliwiony, gdy słyszę granie bandury, że mam w krwi pewne tradycje stepowe, to już jest moja sprawa prywatna, w niczym nieosłabiająca przedstawionego wyżej argumentu. To dla amatorów wylapywania moich sentymentów osobistych.

No dobrze – odpowiedzą stratedzy – ale co nam po takim sojuszniku, który nie utrzyma się w walce z Rosją nawet trzech miesięcy, jak zapowiada Zbyszewski. Wtedy czeka nas straszna zemsta Rosji, jak zapowiada Giertych. Teraz ja powiem: Wolne żarty, panowie! Po wojnie, przegranej przez Sowiety, Rosjanie utrzymają się na Ukrainie lub nie. Jeszcze raz: wszystko zależy od okoliczności, w jakich nastąpi przełomowy moment. Ale Ukraina, która będzie miała za sobą choćby kilka lat samodzielnego życia, stanie się orzechem niełatwym do zgryzienia nawet przez Rosję – i skuteczną przeciwwagą eurazjatyckiego olbrzyma. Moi adwersarze widzą wszystko w perspektywie kilku miesięcy powojennych; ja uparłem się patrzeć – cóż za niepoprawny romantyk! – w perspektywie historycznej.

Przy okazji trzeba wywrócić na nice jeszcze jeden argument Giertycha i Zbyszewskiego. Obydwaj są zgodni w tym, że dla Rosji „kwestia Ukrainy jest kwestią życia i śmierci, a nie zachłanności imperialistycznej” – a nawet, jakby się umówili, formułują tę opinię w identycznych słowach. Dlaczego kwestią życia i śmierci? Czy Rosja nie ma dość bogactw na Uralu i Syberii, dość obszarów rolniczych, dość terenów pod kolonizację w miarę wzrostu ludności? Naród rosyjski może żyć, rozwijać się i prosperować zarówno bez Ukrainy, jak bez Kaukazu i Turkiestanu. Tyle, że gdy nareszcie zrozumie, iż jego sąsiedzi mają prawo do rządzenia się samodzielnie, zrezygnuje ze swych planów hegemonicznych i straci niezdrowe apetyty, może i w tej części świata zapanuje nareszcie spokój i jako takie współzycie narodów. Bardzo zabawnie wyglądają ci Polacy, którzy wyrażają dziwną pewność, że kuracja odtłuszczająca musi zabić nazartego rekina.

Boją się oni sojuszu Berlin–Kijów zapominając, że sojusz Berlin–Moskwa działa już od dwustu lat. „Kleszcze niemiecko-ukraińskie” będą stanowić wielkie niebezpieczeństwo. „Będą” dopiero, bo dotychczas ich nie było. Natomiast był sojusz Fryderyka z Katarzyną, Bismarcka z Aleksandrem, Ribbentropa z Mołotowym. Było Rapallo. Ciekawe, że osoby tak bardzo wyczulone na sojusz niemiecko-ukraiński, zawsze zapominają w polemice o sojuszu niemiecko-rosyjskim. Profesor Studnicki zagalopował się tak bardzo, że uznał niepodległą Ukrainę za wysunięty posterunek imperializmu rosyjskiego. Napisałem mu, że Ukraina – włączona do imperium rosyjskiego – jest takim samym posterunkiem, tyle, że o większej potencji, a więc zwiększającym możliwości porozumienia Prus z Moskwą. W swej odpowiedzi Studnicki raczył tego argumentu nie zauważyć.

A cała dyskusja sprawia takie wrażenie, jak gdyby moi adwersarze zatrzymali się w swej „znajomości” problemu ukraińskiego na jakiejś bardzo zamierzchłej reminiscencji historycznej. Przypomina się anegdota o tym diaku, co to zaczął czytać gazety dopiero na starość. Zbierał więc chłopów wieczorami i czytał im stare pisma,

które do niego dotarły. Przez kilka dni cała wieś była niesłychanie przejęta wiadomościami z frontu bałkańskiego. Aż znalazł się ktoś, bardziej wprowadzony w rzeczywistość, kto wytłumaczył pobożnym parafianom, że wojna rosyjsko-turecka skończyła się przed dwudziestu laty. Proszę nie mieć do mnie pretensji, jeśli wyznam, że nie mam najmniejszego pojęcia, w którym roku skończyła się dla Giertychów i Studnickich historia wojen polsko-kozackich.

Giertych przewiduje następującą możliwość. Oto jeśli w świecie zwycięży koncepcja budowania nowej Europy jako systemu niemieckiego, wówczas może powstać sprzymierzone z Niemcami państwo ukraińskie nie nad Dnieprem bynajmniej, lecz na Ziemi Czerwieńskiej, „ewentualnie z Bukowiną, Rusią Zakarpacką, Wołyniem, może Chełmszczyzną, Przemyślem itd.”. Jak widzimy, Giertych ma nie byle jaką fantazję. Liczy się poważnie z powstaniem niepodległej Ukrainy ze Lwowem, a bez Kijowa, Połtawy, Charkowa i Odessy. Gdy Giertych któregoś dnia zamiast artykułów zacznie pisać romantyczne wiersze, będzie to niepowetowana strata dla publicystyki narodowej.

Muszę jeszcze pokwitować pewną uwagę, zwróconą pod moim osobistym adresem. Giertych wyraża z lekką ironiczną przesławdzeniem, że dobrze znam jego książkę *O program polityki kresowej*, wydaną w roku 1932.⁴³⁶ Niestety, nie znam. Mimo to znam dostatecznie poglądy Giertycha w sprawie ukraińskiej na podstawie tego, co napisał na emigracji – podobnie jak on zna poglądy moje, choć na pewno tego, co pisałem przed wojną, nie czytał.

Giertych jest dumny z tego, że w swoim czasie zwalczał metody gwałtu, stosowane wobec Ukraińców. Właśnie we wspomnianej książce opowiedział się przeciw „uciskowi ludności ruskiej i nietolerancji wobec jej dóbr, takich jak obrządek czy mowa ojczysta”. To bardzo ładnie. Ten liberalizm nie przeszkodził mu jednak twierdzić, że „musimy n a r z u c i ć naszym Rusinom alfabet łaciński” i w ogóle „włączyć społeczność ruską w nasze życie narodowe w podobny sposób, jak Walia włączona jest ze swoją odrębnością

⁴³⁶ J. Giertych, *O program polityki kresowej*, Warszawa 1932.

językową w życie brytyjskie, a Bretania w życie francuskie”. Czyli – modlił się pod figurą, a diabła miał za skórą. Przecież program taki z góry implikował zastosowanie metod gwałtu, od których Giertych tak żarliwie się odzęgnuje. A wreszcie jest to typowe bujanie w obłokach – oraz bujanie czytelników i samego siebie. Dla Giertycha Ukraińcy są czymś w rodzaju polskich Walijszczyków czy rosyjskich Szkotów. A jakże, toż napisał, że między Kijowem i Moskwą jest akurat taki dystans, jak między Edynburgiem i Londynem. Rozumiem, że panu Onufremu Zagłobie mogą się śnić przy kominku bardzo smaczne sny, ale po cóż po przebudzeniu się podawać te sny za rzeczywistość! Jako bajkopisarz Giertych mógłby być zabawny; jako publicysta i historyk jest niepoważny, nieuczciwy⁴³⁷ i szkodliwy.

REAKCJA UKRAIŃCÓW

Jak zaznaczyłem na wstępie, artykuł mój *Między Muszalskim i Zagłobą* odbił się dość szerokim echem wśród Ukraińców. Regularnie dochodzą do mnie tylko nieliczne pisma ukraińskie, inne od przypadku do przypadku, zapewne więc nie rozporządzam całym materiałem. „Soborna Ukraina”, wychodząca w Paryżu, zamieściła skrót artykułu, zaopatrując go krótkim komentarzem, w którym między innymi zwraca uwagę na to, że „Łobodowski traktuje skomplikowane i drastyczne sprawy w sposób nie znieważający ukraińskich sentymentów narodowych”. Katolicki dziennik „Amerika”, wychodzący w Filadelfii, ograniczył się do przedrukowania artykułu w całości, nie dodając żadnego omówienia. Dał je natomiast monachijski dwutygodnik „Suczasa Ukraina”. Komentarz ten podaję w całości, gdyż dobrze precyzuje ukraińskie stanowisko i nie ujmuje sprawy fanatycznie, jak to często zdarza się

⁴³⁷ Dla uniknięcia nieporozumień od razu zastrzegam się, że słowo „nieuczciwy” stosuję wyłącznie do publicystyki Giertycha i nie jest moim zamiarem obrażać go osobiście. „Nieuczciwością publicystyczną” nazywam zabieranie głosu autorytatywnym tonem w sprawach, których się nie zna. W sprawie ukraińskiej Giertych musiałby dopiero postudiować stronę rzeczową zagadnienia [przyp. J. Łobodowskiego]

Ukraińcom. Napisał go Jewhen Wreciona,⁴³⁸ wybitny publicysta, znany czytelnikom „Kultury” z przełożonych przeze mnie wspomnień z Berezy Kartuskiej.⁴³⁹

„Ogłosiliśmy artykuł Józefa Łobodowskiego jako rzeczowy i bezstronny głos w tak doniosłej ukraińsko-polskiej dyskusji. W dyskusji tej istnieje pewien zasadniczy moment, nad którym osoby dyskutujące zwykle pragną przechodzić do porządku dziennego: wyjściowe pozycje Polaków i Ukraińców są różne, aczkolwiek nie są całkowicie przeciwstawne. Polacy wciąż jeszcze pragną rozpatrywać ukraińskie walki wyzwolenicze wyłącznie z punktu widzenia polskich interesów państwowych, Ukraińcy – z punktu widzenia interesów ukraińskich. Nie możemy zgłaszać do Polaków żadnych zastrzeżeń z tego powodu, że sprawy własne i obce rozpatrują właśnie z takiego punktu widzenia, ale mamy prawo wymagać, aby rozumieli i nas. Cały czas po roku 1918 (oczywista, również i przedtem) Polacy widzieli w nas wyłącznie zbuntowanych obywateli polskiego państwa, podczas gdy moralnie myśmy się nimi nie czuli i czuć nie mogli. Nie chodzi o to, jaka była nasza sytuacja prawna, gdyż wynikała ona z organicznego faktu przegranej wojny, o czym w dyskusji nie wolno zapominać. Dlatego też nie warto powtarzać słusznych uwag autora artykułu o polskiej polityce w latach 1918-1939. O wiele bardziej istotną rzeczą jest zrozumieć, że po roku 1939 widzieliśmy dla naszych wyzwoleniczych zmagani całkiem określoną polityczną koniunkturę, którą chcieliśmy wykorzystać, co prawda bez natychmiastowego powodzenia. Czy celowe jest powracanie do tych czasów tylko po to, aby nawzajem przypominać sobie pomyłki? Polacy prowadzili wojnę z Niemcami, ale ta wojna nie była i nie mogła być naszą wojną. Po roku 1941 i my znaleźliśmy się w wojnie z Niemcami, ale wówczas Polacy byli sojusznikami bolszewików, naszych wrogów.

Kwestia odpowiedzialności jest bardziej skomplikowana, niż jej prawne sformułowanie. Oprócz indywidualnej i zbiorowej odpowie-

⁴³⁸ Jewhen Wreciona (1905-1975), działacz niepodległościowy ukraiński, dziennikarz i publicysta, członek OUN i UW. Członek prowidy OUN-B. Po wojnie na emigracji.

⁴³⁹ J. Wreciona, *Bereza Kartuska z innej strony* (tłum. J. Łobodowski), „Kultura” 1950, nr 3/40.

działności istnieje również odpowiedzialność historyczna. Zgadza-
my się, że okres 1941-1945 nie zapisał się w naszej wspólnej historii
złotymi literami. Ale czy szanowny autor zadał sobie trud przeprowa-
dzenia chronologicznej rekonstrukcji faktów? Nie ma wielkiego zna-
czenia, ile ofiar padło z obydwu stron, bo to jest kwestia stosunku sił
w danym okresie. W każdym zderzeniu ktoś wygrywa i ktoś przegry-
wa. Przypomnijmy, że zanim doszło do pożalowania godnych wyda-
rzeń na Wołyniu i w Galicji, miał miejsce powszechny terror Polaków
przeciw Ukraińcom na terenach obsadzonych przez Niemców przed
rokiem 1941. Wystrzeliwanie wiejskich nauczycieli, pracowników
spółdzielni, palenie cerkwi i nawet „podziemne” pacyfikacje całych
miejscowości w Hrubieszowszczyźnie i Chełmszczyźnie – takie
były preliminaria smutnych wydarzeń. Ukraińcy byli wówczas bez-
bronni, zaś Polacy wykorzystywali dziwną bezczynność niemieckiej
żandarmerii i policji, wymierzając karę *zdrajcom*. Janowa Dolina
to osobny rozdział, ale czy wiedzą nasi polemści, że przed Janową
Doliną był Dermań,⁴⁴⁰ gdzie ludzi wbijano na pał, a dzieci rzucono
do studni? Czy wiedzą nasi polemści, że po odejściu ukraińskiej
policji w las zjawiała się na Wołyniu policja polska i słynny oddział
wołyńskiej żandarmerii w niemieckich mundurach? Nie możemy
zgodzić się z twierdzeniem autora, że odezwę OUN przeciw terro-
rowi były spóźnione i że nie można było przeprowadzić odpowied-
niej kontroli. Przypomnijmy jednak, że identycznych odezw, choćby
i spóźnionych i niekontrolowanych, ze strony polskiej nie było.

Możliwe, że próby dogadania się były spóźnione, ale nie należy
ich nie doceniać. Od roku 1942 toczyły się między miejscowymi
Polakami i Ukraińcami rozmowy, które dały nawet poważne prak-
tyczne wyniki, co więcej – doprowadziły do nienotowanego od stu-
leci polsko-ukraińskiego braterstwa broni.⁴⁴¹ Niestety, nie z naszej
winy rozmowy te nie mogły rozwinąć się na szerszej politycznej

⁴⁴⁰ Pomyłka. Oddziały policji, w których służyli Polacy pojawiły się w okolicy
dopiero po mordach w Janowej Dolinie.

⁴⁴¹ Rozmowy prowadzone w tym okresie nie doprowadziły do porozumienia,
patrz więcej: G. Motyka, *Ukraińska partyzantka 1942-1960*, Warszawa 2015.

plaszczyźnie. Polacy wciąż jeszcze chcieli widzieć w nas buntowników, z którymi trzeba rozmawiać w terenie, ale nie przy okrągłym stole. Ukraińscy rozmówcy dobrze to wyczuwali i zrozumieli całą nienaturalność polskiej sytuacji. Być może, że i wówczas gdzieś od góry burczał głos Zagłoby i przeszkadzał miejscowym Muszalskim być sobą.

Jesteśmy dalecy od pobrzękiwania szabelką, ale gdy nam przypominają Tucholę, Dąbie, Brześć,⁴⁴² trudno nam milczeć i, chociaż nie chcielibyśmy tego, wracamy do starych urazów. To niedobrze. Ale jakie inne wyjście? Do platonicznej miłości jeszcześmy politycznie nie dojrżeli i co najwyżej staramy się nie iść drogą dawnych pomyłek.

Istnieje inne jeszcze zagadnienie, związane z kwestią pokojowego współżycia dwóch sąsiednich narodów – zagadnienie etnograficznych granic. Na naszej ziemi chcemy być gospodarzami – i w tej sprawie próżne są powoływania się na rozsądne kompromisy. Ale nie odmawiamy Polakom dawno osiadłym na Ukrainie prawa do pozostania na tej ziemi. Teraz jest jeszcze za wcześnie, ale gdy przyjdzie czas, powiemy owym z dawna osiadłym Polakom: wracajcie, życie, mieszkajcie wraz z nami jako ukraińscy obywatele. Wówczas przyjdzie czas nie tylko na rozwiązanie sprawy pokojowego współżycia dwóch narodów i dwóch państw, ale i na kładzenie trwałych podwalin pod wspólne wysiłki dla zabezpieczenia istnienia i potęgi tych dwóch narodów, które stojąc ramię przy ramieniu, będą bronić nowego, sprawiedliwego porządku w Europie. Nie wiemy, jak daleko jeszcze do tego czasu, ale chcemy wierzyć, że ani Sanem, ani Dniestrem nie popłyną polskie i ukraińskie trupy – a jeśli, to trupy tych, którzy padną we wspólnym boju za wspólną sprawę”.

Jak widzimy, Wreciona słusznie kładzie nacisk na dwa momenty, które nasi „wąskotorowi” konduktorzy polityki kresowej stale przeocza – kwestię odpowiedzialności historycznej i psychologiczny kompleks Polaków, widzących w niepodległościowcach ukraińskich zwykłych „buntowników” i zdrajców obywatelskiego

⁴⁴² Miejsowości, w których znajdowały się obozy internowania żołnierzy Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej po podpisaniu przez Polskę Traktatu Ryskiego 18 III 1921 r.

obowiązku. W dalszym ciągu pomówimy zarówno o tym, jak i o sposobie postawienia sprawy wydarzeń z lat 1939-1945. Wreciona docenia w całej pełni znaczenie porozumienia polsko-ukraińskiego, ale – jak wszyscy Ukraińcy – zagadnienie Ziemi Czerwieńskiej stawia sztywno i bezkompromisowo.

Jeśli jednak odpowiedź Wreciony utrzymana jest w tonie, który nie tylko nie zamyka dalszych rozmów, ale wręcz do nich zachęca, trudno powiedzieć to samo o obszernym artykule, zamieszczonym na naczelnym miejscu w paryskim „Ukraińskim Słowie”. Jest to wystąpienie ściśle i wszechstronnie anonimowe. Nie wiadomo, kto pisze ani też komu i na co odpowiada. Ukraińiec, który poza tym pismem niczego więcej nie czytuje, nie dowiedział się wiele. Tyle tylko, że toczyła się jakaś dyskusja i że była ona całkowicie „chybiona”. Po prostu „w polskiej prasie zjawiało się kilka artykułów na ukraińskie tematy. Natychmiast to podchwyciła część ukraińskiej prasy, a nawet ten i ów przedrukowuje te i owe artykuły, które przy użyciu taktyki Łosia i Hołówki usiłowały uspakajać (*usmiriwaty*) Ukraińców. Poniektóry Polak (to niby ja – JŁ) nawet obraża się, żeśmy swego czasu napisali, że „Polacy niczego nie nauczyli się i niczego nie zapomnieli”. Poniektóry (to znowu ja – JŁ) przy pomocy taktyki Hołówki pragnie przekonać Ukraińców, że możliwości powstania niepodległej Ukrainy są niezbyt duże i że – chcemy czy nie – trzeba chwycić się za polską połą...”

Duże welmiszahnnoho pana redaktora pereproszuju! Ja takiej *dywowyży* nie napisałem. Twierdziłem natomiast, że spokój od zachodniej granicy może stać się warunkiem powstania ukraińskiej niepodległości. I żeby nikt nie miał najlżejszej wątpliwości, sprecyzowałem moją myśl raz jeszcze w tych niedwuznacznych słowach: „Nie musi, ale może”. Jeżeli się z czyjąś opinią polemizuje, to trzeba ją przedstawiać w relacji autentycznej. Więc *bud' laska* moich twierdzeń nie przekręcać.

„Polacy niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli”. Pragnę zwrócić uwagę Ukraińców dobrej woli i niezaślepionych nienawiścią, że jednak ci i owi sporo się nauczyli. Ukrainożercze

artykuły Giertycha spotkały się na łamach „Wiadomości” z niejedną zdecydowaną odprawą – i to bynajmniej nie ze strony osób znanych z dotychczasowej pracy w dziedzinie ukrainoznawczej. Szkoda, że polakożercze artykuły, drukowane bardzo często właśnie na łamach „Ukraińskiego Słowa”, nie spotykają się z podobną reakcją ze strony swych czytelników. I czy „Ukraińskie Słowo” wydrukowałyby odpowiedź na nie, jak redaktor „Wiadomości” wydrukował listy Kosarenki-Kosarewycza⁴⁴³ i Pawła Kotowycza?

Ale mniejsza o galanterię. Streszczę rozumowanie autora zaciepionego artykułu już choćby z tego względu, że „Ukraińskie Słowo” reprezentuje wcale poważny odłam politycznej emigracji ukraińskiej.

Punkt wyjścia jest następujący. Sytuacja Ukrainy nie jest gorsza niż Polski. Bliska jest ta chwila, gdy Niemcy „znów wdzieją buty”. Nikt na Zachodzie, nawet Francja, nie uznał i nie uzna granicy na Odrze i Nysie. Podczas trzeciej wojny światowej Polska spłynie krwią, podobnie jak Ukraina spływała podczas drugiej. Przyszła walka polsko-niemiecka nie będzie łatwiejsza niż ukraińsko-rosyjska. Straszyc zatarciem z Rumunią również nie ma sensu, bo Rumuni będą mieli dość kłopotu z Węgrami. Polska znalazła się między dwiema potęgami i jej los bardziej jest od nich zależny niż los Ukrainy. „Szans na trwałą niepodległość” Polska nie ma. Wniosek, którego autor artykułu nie dopowiada, ale który wynika logicznie z całego rozumowania: Ukrainie na ugodzie z Polską zbytnio nie zależy. I drugi wniosek, sformułowany w sposób niepodlegający wątpliwości: „Prowadzenie dyskusji z Polakami jest rzeczą zbędną, bo do niczego nie prowadzi”.

Na tym można by właściwie skończyć. Jak Giertych nie chce słyszeć o Ukrainie, bo to sprawa stracona i może nam najwyżej popsuć dobre sąsiedzkie stosunki z przyszłą Rosją i narazić na straty na Zachodzie, tak „Ukraińskie Słowo” nie chce słyszeć nawet o rozmowach, bo i tak „Polska na niepodległość nie ma szans”. Poza

⁴⁴³ W. Kosarenko-Kosarewycz, *Polacy, Moskale i Ukraińcy. Do redaktora „Wiadomości”*, „Wiadomości”, nr 32 (280), 12 VIII 1951, s. 4. Patrz też przypis 383.

tym wszystko przewidziane i jasne. Wehrmacht „wdzieje buty” lada dzień, Polska spłynie krwią i będzie bezsilna, Rumuni podrą się z Węgrami i ani im będą w głowie Besarabia i Bukowina. Nad Kijowem zwycięski znak tryzuba, o Lwów w ogóle żadnych kłopotów nie będzie. „Otom Papkin, Lew Północy, rotmistrz sławny i kawaler!” – jak powiada stary Fredro.

No, dobrze, a *podywysia druże*, co się stanie, jeśli wszystko potoczy się innym torem, niż to sobie wykoncypował publicysta z „Ukraińskiego Słowa”? Jeśli wojna wybuchnie i Moskale pomaszerują przez Paryż ku Pirenejom, zanim Amerykanie zdążą wylądować w Hamburgu pierwszą partię butów dla odrodzonego Wehrmachtu? Jeśli wojna obejdzie Polskę? Jeśli powtórzy się na wielką skalę operacja krymska i nie Polska, ale Ukraina spłynie krwią? Jeśli bomby atomowe posypią się na Donbas i Zaporozże? Jeśli Moskwa poprosi o zawieszenie broni w chwili, gdy front będzie o tysiące kilometrów od granic sowieckich? Jeśli sztab amerykański pójdzie w pewnym momencie na wysuwaną już w projekcie operację spadochronową na węzeł warszawski i Polska stanie pod bronią, gdy na Ukrainie będą jeszcze stały garnizony sowieckie? Ja tu niczego nie twierdzę, nie prorokuję ani bawię się we wróżenie ze szklanej kuli – ja tylko przewiduję inne wersje wojenne, równie logiczne i prawdopodobne, jak podana przez mego adwersarza. Takich wersji można ułożyć jeszcze kilka – i nie wiadomo, która z nich stanie się rzeczywistością.

Więc może jednak, szykując się na najgorsze, lepiej nie urządzać sobie kpin z tych Polaków, którzy pragną powstania niepodległej Ukrainy i trwałej z nią ugody? Bo właśnie rok 1919 może się powtórzyć. Powtarzam, jak uprzednio: *n i e m u s i*, ale *m o ż e*. A wiadomo, kto z ówczesnej wojny polsko-ukraińskiej wyciągnął największe korzyści.

Taka pewność siebie gubiła już wielokrotnie i nas, i Ukraińców. „I Lachów rozbijemy, i Tatarów zniszczymy, i na tureckiego sułtana wojną pójdziemy, i przy pożarze Galaty lulki będziemy zapalać” „Hej – jak krzyknął Hamalija – bracia, będziemy żyli, będziemy żyli,

wino pili, bisurmanów bili, a kurenie aksamitem aż po dach ścielili!” A Polacy z drugiej strony dziarsko odkrzykują: „Ani jednego guzika! I to obronimy i tamto odbierzemy, kupą, mości panowie!” Prawda, jakie to wszystko proste, łatwe i zabawne?

Pewni publicyści polscy nie są w stanie napisać dwóch słów, nie uraziwszy boleśnie ukraińskiej ambicji narodowej. Pewni publicyści ukraińscy nie chcą pozostać w tyle i godnie stają do licytacji. Ktoś, cytując francuskiego durnia, przyświadcza mu z przekonaniem: „Polska istnieje tylko po to, by było kogo rozbierać”. Ktoś napisał, że w czasie pierwszej wojny światowej Polacy kolaborowali z Niemcami, a w czasie drugiej z bolszewikami. Ktoś dodał, że podczas, gdy UPA trwa w walce, Polacy wysługują się Rokossowskiemu.⁴⁴⁴ A w ogóle byli oni „jak dotychczas, politykami w skali sezonowej”. Połknijmy z pokorą tę gorzką pigułkę w przeświadczeniu, że pochodzi ona od polityków nie w skali sezonowej, lecz epokowej. Poczekajmy tylko, a przekonamy się, do jakich epokowych wyników doprowadzi myśl polityczna podążająca przedstawionymi powyżej szlakami.

Trzeźwi Ukraińcy wiedzą doskonale, że sprawa ukraińska na terenie międzynarodowym dobrze nie stoi. Na niektórych jego odcinkach w ogóle nie stoi. Oczywiście, od czasu wojny wiele uległo zmianie na lepsze, ale do optymizmu wciąż jeszcze powodu nie ma. Wpływy polskie na świecie są bardzo niewielkie, wpływy ukraińskie znacznie mniejsze. Niedawno jedno z pism emigracyjnych wystąpiło ze skrajnie pesymistyczną tezą, że amerykańska polityka zewnętrzna musi być, jeśli chodzi o „plan prometejski”, zawsze i stale prorosyjska, a tym samym wrogo nastawiona do ukraińskich postulatów niepodległościowych. Sądzę, że autor tej tezy przesolił, ale faktem jest, że bardzo wiele musiałoby się zmienić na szerokim świecie, aby Waszyngton zaczął myśleć na serio o niepodległej Ukrainie. „Ukraińskie Słowo” twierdzi, że sytuacja Polski wcale nie

⁴⁴⁴ Konstanty Rokossowski (1896-1968), marszałek PRL i ZSRR, poseł na sejm PRL I kadencji, minister obrony narodowej PRL, wiceminister obrony narodowej ZSRR.

jest lepsza od sytuacji Ukrainy. To jest polityczna ślepota, zrodzona chyba tylko z antypolskiego urazu. Praw Polski do niepodległości nie kwestionuje nikt. Najwyżej poddawana jest dyskusji kwestia granic. Te same prawa Ukrainy są kwestionowane na każdym kroku. Nawet George Kennan,⁴⁴⁵ który napisał niedawno w emigracyjnym piśmie rosyjskim „Nowyj żurnal”, że w zasadzie Ukraina zasługuje na pełną niepodległość, dodał natychmiast, że jednak z punktu widzenia gospodarczego Ukraina stanowi część składową Rosji w takim samym stopniu, w jakim Pensylwania stanowi część składową Stanów Zjednoczonych. A nie zapominajmy, że Jankeśi myślą przede wszystkim kategoriami gospodarczymi i że forma wielkich zgrupowań federacyjnych jest ich ideałem również i dla Europy. Stąd koncepcje Kiereńskiego zawsze będą rozpatrywane w Białym Domu w sposób raczej przychylny. Zresztą ten sam Kennan, będący w Departamencie Stanu rzeczoznawcą od spraw rosyjskich, ostrzega Amerykanów przed mieszaniem się w „separatystyczne konflikty”, jakie powstaną po upadku sowieckiego reżimu. „Amerykanie – oświadcza Kennan – nie powinni brać na siebie odpowiedzialności za określone stanowisko w tej dziedzinie”.

Czy Ukraińcy nie zdają sobie z tego sprawy? Zdają, i to jak najbardziej. Niektórzy tak wzięli na serio flirt Amerykanów z Kiereńskim, że wpadli w nastrój nieledwie graniczący z paniką. Toć są już i tacy, którzy zakładają możliwość zbrojnego wystąpienia (na Ukrainie) przeciw wojskom amerykańskim, gdyby Waszyngton miał nie uznać postulatów niepodległościowych. Czy w tych warunkach jakkolwiek sprzymierzeniec – a choćby sąsiad, z którym dogadało się do wzajemnej neutralności – będzie do pogardzenia?

Ale jak się tu do takiej c h o ć b y n e u t r a l n o ś c i dogadać? Przekleństwem wszystkich emigracji politycznych jest ich rozbitcie. Sądzę, że się na mnie Ukraińcy nie obrażą, jeśli napiszę, iż rozbitcie wśród emigracji ukraińskiej jest jeszcze większe, niż w innych środowiskach. Nie ulega wątpliwości, że skuteczność ich działania i oddziaływania na opinię międzynarodową byłaby znacznie

⁴⁴⁵ George Kennan (1904-2005), dyplomata i polityk amerykański.

większa, gdyby nie walka partii i koteri, wzajemne podstawianie sobie nogi, rozwalanie silniejszych ośrodków. Jota w jotę, można powiedzieć to samo o Polakach. Z tych samych powodów rozmowy między nami muszą ograniczać się do publicystycznych dyskusji. Nie można usiąść do okrągłego stołu, nawet, gdyby znaleźli się partnerzy. Bo okrągłego stołu nie ma ani po tej, ani po tamtej stronie. Jest kilkanaście czy kilkadziesiąt kawiarnianych stolików, przy których siedzą nabunduczeni i poodwracani plecami ichmoście i – grzebiąc łyżeczkami w gorzkiej emigracyjnej kawie – udają, że robią w wielkiej polityce.

SĄSIEDZKIE KOMPLEKSY I URAZY

Jednak i w tych rozmowach, które się toczą, rzadko kiedy obywa się bez wzajemnego przydeptywania obolałych nagniotków. I trudno, żeby było inaczej, skoro zjawisko nie powstało wczoraj ani przedwczoraj, ale tkwi głęboko w przeszłości. Każdy Ukrainiec nosi w sobie zadawnione poczucie krzywdy, a sentyment ten podsycany był systematycznie z jednej strony przez literaturę i historię polską pewnego typu, z drugiej – przez pisarzy i historyków ukraińskich. Wśród Polaków panoszyła się ignorancja, zupełna nieznajomość przemian odbywających się tuż o miedzę; ukraiński nacjonalizm celowo odgradzał się od wszystkiego, co polskie szczelnym murem zasadniczej wrogości. Wojna 1918-1919 roku – zamiast stać się dla strony polskiej źródłem dociekań, dlaczego do niej w ogóle doszło – pogłębiła jeszcze bardziej wspólnie wykopaną przepaść. Wreszcie przyszły mity jurnej krzepy, które tyle złego narobiły jednym i drugim. U Ukraińców „doncowszczyzna”, u nas – mocarstwowa frazeologia.

Świetne ziarno, rzucone przez romantyków: że „szkoły ukraińskiej”, nie znalazło w następnych pokoleniach czujnych i starannych ogrodników; zdrowe tendencje, tkwiące w „bałagulstwie”, rozeszły się po kościach. Jak przystało na społeczeństwo naskórkowych wzruszeniowców, problem ukraiński widziany był głównie od

strony swej „malowniczości” i tradycyjnych legend i legendek. No, jakżeby inaczej! Przecież Chmielnicki powstał przeciw Rzeczypospolitej, bo mu Czapliński zabrał „rudą kosę”, a Bohun, gdyby Helena Kurcewiczówna nie zapatrzyła się w pięknego husarza, już by zwołał swych kozaków i rozniósł Chmiela na kopytach. A poza tym: „Ej, ty na szybkim koniu...”⁴⁴⁶ „nie masz bo rady dla duszy kozaczej...”⁴⁴⁷ „Bałku Josype, na armaty wiedz”⁴⁴⁸ – i cała reszta poetyckiego sztafażu, za który nie wychodzono. Dopieroż potem zdumienie: – Jak to, to ci Rusini uważają siebie za odrębny naród, a nie za „lud”? Więc żądają niepodległości? Ale jeszcze i po 1920 roku był czas na odrobienie błędów przeszłości. Był czas, nie było programu. Ani złego, ani dobrego. Naiwność pewnych ludzi była, zaiste, bezgraniczna, ale gdy chodzi o polityków odpowiedzialnych za losy dużego państwa, naiwność jest gorszym grzechem niż zła wola.

Toż dla byłego, a wieloletniego premiera Rzeczypospolitej jeszcze dziś, po dwunastu latach, nacjonalizm ukraiński wypłynął w y ł ą c z n i e z niemieckiego natchnienia.⁴⁴⁹ To tak, jakby pan doktor Składkowski chciał leczyć chorego na gruźlicę przez wycinanie wyrostka robaczkowego. W roku 1937 toczył się w Łucku proces z oskarżenia Stronnictwa Narodowego przeciw tygodnikowi „Wołyń”, oficjalnie wydawanemu przez prywatne towarzystwo, a faktycznie – co było publiczną tajemnicą – kierowanego przez wojewodę Józewskiego. Na rozprawie doszło do gorszącego wywleknięcia prochów Piłsudskiego. Wspomniany już przeze mnie ksiądz prałat Tokarzewski wręcz określił wojewodę jako zdrajcę ideologii Piłsudskiego. Przewodniczący sądu zadał odpowiednie pytanie Waleremu Sławkowi,⁴⁵⁰ który występował jako świadek. „Marszałek mianował Józewskiego wojewodą, Marszałek trzymał go na Wołyniu przez cały czas” – odparł lakonicznie Sławek. Nazajutrz „Kurier Wołyński” również i Sławka mianował „zdrajcą”.

⁴⁴⁶ Fragment poematu *Maria. Powieść ukraińska* Antoniego Malczewskiego.

⁴⁴⁷ Fragment utworu Józefa B. Zaleskiego, *U nas inaczej...*

⁴⁴⁸ Fragment *Śpiewów historycznych* Artura Oppmana.

⁴⁴⁹ Chodzi o Sławoja Składkowskiego (1885-1962), premiera RP w latach 1936-1939.

⁴⁵⁰ Walery Sławek (1879-1939), działacz niepodległościowy, polityk.

A w gruncie rzeczy, o co chodziło tym wszystkim obrońcom polskości „zagrożonej na Kresach”? Prawdziwie poważną sprawą, o którą Józewski się przewrócił, była dopiero rewindykacja. Ale kochanym rodakom nie mogło pomieścić się w zakutych łbach, że wojewoda rozmawia z Ukraińcami „po rusku” i chętnie chadza do *Ridnej Chaty*, gdzie mu śpiewają przy bandurze pieśni o Bajdzie Wyszneweckim. A ten Bajda... już samo imię wskazuje, że rznął Polaków. A przy tym, czyż Józewski nie przeforsował na posła do Sejmu Skrypnika, który był adiutantem „tego Petlury”?

Napisałem wówczas wierszyk satyryczny *Lament polskiego patrioty*, który mógł ukazać się dopiero po poważnych retuszach. Było to krzywe, ale wiernie odbijające zwierciadło.

O, ty polski narodzie,
czy ty wiesz, co się dzieje?!
Że już ku twojej szkodzie
zmawiają się złodzieje,
by w masońskim niewodzie
zagmatwać twe koleje
i na manowce zwabić,
oszukać i oszwabić.

Bo sprzedał cię wojewoda
przedwczoraj w mieście Łucku
Żydom o długich brodach.
Gadali nie po ludzku,
po chińsku, po kałmucku,
nim stanęła ugoda,
grzebali w długich sakwach,
szeptali: K u k a r a k w a !

Wołali: R e v i d e n t o r
pstrikundi pamałwajem!
A potem hostię świętą

– tak mi się zdaje –
dawali jeść żydziętom
i ponad całym krajem
rzucali czar żydowski...
– Cóż na to pan Składkowski?

Widziałem wreszcie, przebóg!
jak wśród masonów ścisku
ukazał się Belzebub
z pianą na rudym pysku,
podskakiwał ku niebu,
połączony w uścisku
z sprzedawczykiem Józewskim.
O, mój Królu Niebieski!

Tak plugawili żartem
kraj polski, katolicki.
Przyszła do nich Astarte
z długimi cycki,
sprawował straszną wartość
Bohdan Chmielnicki,
pluli i rechotali,
świętość szargali.
I znów pejsaty łajdak,
włazłszy na gazet stertę,
głosił, że w i t e r a j d a
redintach peterwerter
że rezun i że B a j d a
złożyli mu ofertę...
Szczekał godziny całe.
Niewiele zrozumiałem.
Lecz, choć masońską mową
– niechaj ich gromy trzasną!
dość mi było pół słowa,

by pojąć całkiem jasno,
że szlachtę zagrodową
i całą polską własność
sprzedano – albom ślepiec?
Petlurze i Mazepie.

O, panie generale!
Czy słyszysz jako bluźnią
Polsce, Bogu i chwale
i w swych szatańskich kuźniach
szczekają jak szakale?!

... Dopóki nie za późno,
oczyść Wołyń z tych zakal:
przyszlij Hauke-Nowaka!!!

Patriotyczny lament został wysłuchany. Józewski pojechał do Łodzi. W Łucku zainstalował się Hauke-Nowak.⁴⁵¹ Rewindykacja rozszerzała się jak trąd. Coraz więcej złotych krzyży zasługi zdobiło piersi „obrońców polskości”.

Wreciona napisał w zacytowanym uprzednio artykule, że Ukraińcy moralnie nie czuli się zbuntowanymi obywatelami. Zastanówmy się spokojnie nad tym oświadczeniem. Jaki był stan faktyczny? Na terenie pięciu województw południowo-wschodnich Ukraińcy stanowili większość. Przygniatającą na Wołyniu i ukraińskiej części Polesia. Zdecydowaną na Podkarpaciu. Większa równowaga była we Lwowskim i Tarnopolskim, głównie dzięki znacznieszemu procentowi ludności miejskiej. Stopień uświadomienia narodowego – bardzo nierówny. Najwyższy w byłej Galicji, najniższy – na Polesiu. Niewątpliwie przy mądrej – jeśli kto woli: sprytniej – polityce można było w ciągu dwudziestu lat część chłopów poleskich i wołyńskich spolonizować. Ale pod dwoma zasadniczymi warunkami:

⁴⁵¹ Aleksander Hauke-Nowak (1896-1956), major, w 1931 r. przeniesiony do rezerwy, wojewoda łódzki (1933-1938) i wołyński (1938-1939). Po wojnie na emigracji w Argentynie.

posyłając do administracji, szkolnictwa, handlu element najwartościowszy i dobrze rozumiejący złożoność problemu oraz systematycznie podnosząc poziom gospodarczy najbardziej zacofanych regionów Polski B. I jedno, i drugie było w ówczesnych warunkach marzeniem ściętej głowy. Żywiolowego procesu ukraiinizacyjnego „Rusinów” i „tutejszych” nawet Mahomet nie potrafiłby zatrzymać.

Ukraińcy halicycy ogłosili w roku 1918 niepodległość – i doszło do walki o Lwów. Ukraińcy naddnieprzańscy również ogłosili niepodległość – i doszło do walki o Kijów. Jedni i drudzy przegrali.

Ale niepodległości nie wyrzekli się. Skoro program federacyjny zawalił się zarówno na skutek klęsk wojennych, jak i zupełnej niedojrzałości obydwu narodów do wprowadzenia w rzeczywistość tej idei, Rzeczpospolita Polska miała do wyboru trzy drogi. Ogłoszenie szerokiej autonomii, przy zrównaniu w prawach miejscowej ludności polskiej i ukraińskiej. W tym wypadku moralna sytuacja Ukraińców, idących do podziemia i strzelających do Polaków, byłaby zupełnie inna. W tym wypadku – naturalnie przy dotrzymaniu przez nas owej autonomii – walka z Rzeczpospolitą byłaby robotą w stu procentach prosowiecką i samobójstwem nawet ze stanowiska Ukrainy Sobornej.⁴⁵²

Na drogę prowadzącą w kierunku wręcz odwrotnym weszlibyśmy, gdyby ster państwa znalazł się na stałe w rękach Stronnictwa Narodowego. Ta droga – to program Giertycha. Nie ma Ukraińców, są Rusini, których trzeba odciąć od kontaktu ze Wschodem, narzucić im alfabet łaciński, związać mocno z kulturą polską, aż wreszcie zaczną patrzeć na Warszawę tak, jak patrzą Szkoci na Londyn lub Bretończycy na Paryż. Program o tyle dobry, że w razie jego zrealizowania załatwił sprawę raz na zawsze. O tyle zły, że łatwiejszy do zrealizowania na księżycu niż – powiedzmy – w Kopyczyńcach.

Rzeczpospolita poszła drogą trzecią, której na imię: zupełny bałagan. Ideowy, polityczny, administracyjny. Od wypadku do wypadku, od pomysłu do pomysłu, od wojewody do wojewody.

⁴⁵² Tzn. Ukrainy łączącej wszystkie terytoria zamieszkałe przez Ukraińców.

Program kresowy tworzony był przez miejscowych wojskowych, komisarzy policji, starostów, a często po prostu przez przodowników policji i starszych sierżantów KOP. Panowie w Warszawie budzili się od czasu do czasu na odgłos strzałów w Gródku Jagiellońskim lub na odbłask pożarów w majątkach polskich pod Lwowem. Słynna pacyfikacja,⁴⁵³ po dwudziestu latach nazwana przez Sławoja po wersalsku „bezkrwawą”, przyszła w chwili, gdy trzeźwiejsza część społeczeństwa ukraińskiego, przerażona skutkami masowej akcji sabotażowej, zaczęła nawoływać do opamiętania. Prawdziwą pacyfikację można więc było przeprowadzić bez dragonad, w rozmowach z Ukraińcami. Chciano zgnieść podziemie, a uczyniono wszystko, by zyskać mu nowych zwolenników.

To są wszystko bładania po niewczasie, ale jednak konieczne. Bo jeśli ma dojść do jakiegoś porozumienia, Polacy muszą zrozumieć psychiczne nastawienie strony przeciwnej. Nie może być skutecznego leczenia urazów, jeśli się nie zna ich przyczyn.

Wreciona pisze o „odpowiedzialności historycznej”. Tak, ona również istnieje. Ta odpowiedzialność historyczna istnieje i działa również i w sporze polsko-ukraińskim.

Wychowaliśmy się na tym, że, jak mówi poeta, epoka jagiellońska była „złotym wiekiem pogody ludów” Rzeczypospolitej. Dumni jesteśmy z dzieła unijnego, a przecież po tamtej stronie barykady unia przedstawiana jest jako nadużycie i oszustwo, jako kres niepodległości i zamknięcie dróg harmonijnego rozwoju narodowego. Gdzie jest prawda, kto ma rację? Jak zwykle, prawda leży pośrodku.

Wielkie Księstwo nie było państwem jednolitym narodowo. Ruszcząca się szybko dynastia złączyła pod swym kołpakiem, poza Litwą historyczną, dzisiejszą Białoruś i Ukrainę oraz szereg ziem, które wcześniej padły ofiarą imperialistycznej Moskwy i których ludność wchłonięta została bez reszty przez naród rosyjski. Gdy za Olgierda państwo litewskie sięga niemal do rogatek miejskich Moskwy, już za jego prawnuków nie tylko Kozielsk, Siewiersk, Drohobuż, ale nawet Smoleńsk i nieco później Połock znajdują się

⁴⁵³ Pacyfikacja b. Galicji Wschodniej miała miejsce od 16 IX do 30 XI 1930 r.

pod ciężką ręką carów moskiewskich. Zwycięstwa Batorego i Wazów zahamują i odrzucą ten pochód ku Wschodowi. Nieprzeprowadzenie na czas rekonstrukcji państwa Jagiellonów – bo Hadziacz był spóźniony o dobre kilkadziesiąt lat – powoduje wojny kozackie, Wielką Ruinę – i historyczna walka jest przesądzona rzecz Moskwy, przekształcającej się właśnie w imperium rosyjskie.

Związek [Wielkiego] Księstwa [Litewskiego] z Polską miał sporo stron ujemnych, o których nie miejsce tu mówić szczegółowo. Większość ukraińskich historyków wyolbrzymia je, wielu historyków polskich grzeszy tendencją odwrotną. Że sprawa jest mocno skomplikowana i tylko bezstronna rewizja historyczna mogłaby oddać Bogu, co boskie i cesarzowi, co cesarskie, niech zaświadczy fakt, iż najbardziej zainteresowani – Ukraińcy, Białorusini, Litwini – nie mogą po dziś dzień pogodzić się co do wielu zagadnień, przypisując sobie pierwsze miejsca w minionym koncercie i zgłaszając się po lwią część historycznego spadku. W jednym są zgodni – w negatywnej ocenie trzywiekowego współżycia z Polską. Próby retrospektywnej rekonstrukcji „ciągów” dziejowych mają wartość względną, bo nigdy nie ma się w rękę wszystkich elementów. Ukraińcy w swych rozważaniach lubią jednak dywagować na te tematy i opisywać, co by się stało, gdyby Ukraina nie połączyła się w końcu XIV wieku z Polską. Gdyby... *Kaby da kaby, tak wo rtu roslib griby, i byłby to nie rot, a cały agorot!* [Gdyby, gdyby, to by w gębie rosły grzyby i nie byłaby to już gęba, a cały ogród.] No cóż, popuszczę i ja wodzów poetyckiej fantazji i oświadczę, że jednak w ostatecznym rozrachunku wyniki nie były najgorsze. Nie będę powtarzał truizmów o kulturalnej roli Polski na Wschodzie. Negować ją w całości mogą jedynie ludzie, o których powiedziałem, że obolałe nagniotki nie pozwalają im rozumować spokojnie. Chodzi mi o co innego. Postawię mianowicie twierdzenie, które zresztą nie jest moim wynalazkiem, że mapa etnograficzna na olbrzymiej przestrzeni między Bugiem a Dońcem od wschodu i Dźwiną od północy wyglądałaby dziś zupełnie inaczej, gdyby nie Unia Horodelska, a później Lubelska. Ryzykowne? Postarajmy się udowodnić.

Dzięki małżeństwu Jadwigi z Jagiełłą podcięte zostały korzenie potęgi krzyżackiej. W świetle nowszych badań historycznych okazuje się, że inicjatywa tego związku wyszła nie tyle od panów małopolskich, jak dotychczas sądzono, co od bojarów litewskich, co niewątpliwie świadczy, że zdawali sobie jasno sprawę z takich rzeczy, z jakich nie zdaje jej sobie niejedyn „polityk” emigracyjny. Można sobie łatwo wyobrazić, co by się stało, gdyby Niemcy utrzymali Żmudź na stałe w swoich rękach. Powstałoby potężne państwo teutońskie, od Noteci po Zatokę Fińską.

Z narodu litewskiego zostałyby strzępy. Białoruś znalazłaby się w kleszczach niemiecko-moskiewskich już w wieku XV i, nolens volens, musiałaby schronić się w cieniu *bielokamiennoj*.⁴⁵⁴ Polska spadłaby do roli wasalnego państewka. Mazowsze i Kujawy pod krzyżacką ostrogą. A Ukraina? Czy – zdana na własne siły – obroniłaby się Półksiężycowi od południa, Moskwie od północy? Przed Moskwicinami Wielkie Księstwo bronić się samo nie umiało. Ani za Iwanów i Wasylów,⁴⁵⁵ ani za Romanowych. Były zwycięstwa, jak pod Orszą,⁴⁵⁶ ale w ciągu stuleci zaledwie ziemia po ziemi, miasto po mieście wpadały jak dojrzałe gruszki do podstawionej czapki Monomacha. Dopiero Unia Lubelska odwróciła kolej rzeczy. Nie spostrzeżono niebezpieczeństwa tatarsko-tureckiego i księżęta ruscy, wówczas jeszcze niespolszczeni, nie tylko nie udzielili pomocy Polsce, gdy usiłowała utrzymać się w Kili i Białogrodzie, ale czynnie, z bronią w ręku, przeciwdziałali próbom ratowania Genuieńczyków na Krymie. Wampir tatarski, który tyle krwi wyssał później z narodu ukraińskiego, nie został zlikwidowany na czas. Sicz Zaporoska – przy całym szacunku dla jej cnót wojennych – umiała jedynie prowokować wojny z Turcją w najmniej odpowiednich chwilach. Ukraińcy mogą mi na to odpowiedzieć, że bitwa pod Chocimiem – jedna z najważniejszych w historii Euro-

⁴⁵⁴ Jedno z określeń Moskwy.

⁴⁵⁵ Imiona kniaziów moskiewskich, dominujące do końca XVI w.

⁴⁵⁶ Bitwa pod Orszą, w której wojska polsko-litewskie pokonały wojska moskiewskie, miała miejsce 8 IX 1514 r.

py, choć głucho o niej w zachodnich annałach – wygrana była dzięki pomocy kozackiej. Słusznie, ale czy wygrałby ją Konaszewicz bez Chodkiewicza i Lubomirskiego?

Miron Korduba⁴⁵⁷ postawił kiedyś tezę, że granice etnograficzne, ukraińsko-rosyjska i białorusko-rosyjska, ustaliły się dość dokładnie na linii granic Rzeczypospolitej sprzed Andruszowa, za co dostał wielkie zmywanie głowy od innych ukraińskich historyków. A jednak... Gdyby nie związek Księstwa z Polską, Moskwa wdarłaby się na ziemie białoruskie i ukraińskie znaczenie wcześniej i miałyby czas na dokonanie większych zniszczeń, niż dokonała. I znów słyszę odpowiedź: Potrafił stary Chmiel wyrzucić Lachów z Ukrainy, dałby rady i Moskalom. Albo: Nie udało się Petersburgowi narzucić sztancy wszechrosyjskiej w wieku XIX, gdy Rosjanie kulturalnie mogli imponować wielu Ukraińcom, tym bardziej nie daliby rady w wiekach poprzednich. Otóż Moskwa działałaby znacznie sprytniej i skuteczniej niż Polacy. Nie miałyby przeciw sobie patriarchy konstantynopolitańskiego i Porty Otomańskiej ani obciążeń w postaci jezuitów i Żydów. Wyłuskiwałyby miasto po mieście, powiat po powiecie. A opory miejscowej ludności... Przypomnijmy sobie losy Tweru, Wielkiego Nowogrodu, Pskowa.

Po co te wszystkie rozważania? Bo była mowa o odpowiedzialności historycznej. Więc tak! – Polska popełniła wiele błędów, pomyłek, grzechów nawet. Nie wpadajmy tylko w powszechną przesadę i nie mierzmy tamtych czasów miarką dzisiejszą. Już kiedyś proponowałem, by zechciano porównać zachowanie się Polaków na Ukrainie – w iluż wypadkach spolszczonych Rusinów! – z zachowaniem się Anglików w Irlandii, Niemców w Zachodniej Słowiańszczyźnie i Prusach, Francuzów w Katalonii, dokąd przyszli jako sprzymierzeńcy, Węgrów w Słowacji... Jeszcze nie wypadniemy tak źle!

Grzechy grzechami, ale trzystoletni kontakt z kulturą zachodnią, idącą wprawdzie nie tylko przez Polskę, ale głównie przez nią i z niej, to również nie byle co. Bo – jak słusznie w swym zarysie

⁴⁵⁷ Myron Korduba (1876-1947), ukraiński historyk, profesor UW i UJK, po 1945 r. został we Lwowie.

literatury ukraińskiej pisał Bohdan Łepkij – Ukraina dawała Polsce wielkie bogactwa i ludzi, Polska dawała Ukrainie idee.

Ale niestety, historia obydwu narodów pisana była w czasie, gdy nad Ukrainą i Polską stała czarna noc niewoli. Nienajwłaściwsza to atmosfera dla bezstronnych badań i beznamiętnych sformułowań. I tak oto dla nas przewodnikiem po odwiecznym pobojowisku stało się *Ogniem i mieczem*, dla nich – podrzucony przez tragicznego „chochła” *Taras Bulba*.⁴⁵⁸

Więc u nich powstał kompleks krzywdy, u nas kompleks wielkopańskiego zdziwienia – że ktoś, kto otrzymywał same niemal „dobrodziejstwa”, ośmiela się zgłaszać pretensje. Nauka historii w szkole kompleksu tego nie łagodziła, choć w niektórych podręcznikach przyczyny powstań kozackich przedstawiane były dość przyzwoicie. Ale większość młodzieży odklepywała historię byle dalej, a na wyobraźnię działali Sienkiewicz, Małaczewski,⁴⁵⁹ Kossak-Szczucka.⁴⁶⁰ Inteligencja obydwu społeczeństw właściwie kontaktu ze sobą nie miała. Na Wołyniu w każdym razie polskie środowiska miejskie żyły w szczelnie zamkniętych gettach, na co inicjatywa nielicznych jednostek wpłynąć nie mogła. A żyli przecież jedni od drugich na wyciągnięcie ręki. Spotkali się też na wyciągnięcie ręki w latach wojennych, ale wtedy w rękach były noże i karabiny.

Poczucie krzywdy i rozdrażniona ambicja narodowa. Przeciętny Ukraińiec nie czytywał pism wschodoznawczych ani książek takich historyków, jak Bobrzyński⁴⁶¹ czy Konopczyński. Natomiast w każdym kiosku ulicznym znajdował „Ilustrowany Kurier Codzienny” i „Słowo Lwowskie”, a w nich artykuły, które już samymi nagłówkami raniły jego dumę narodową, upokarzały i budziły nienawiść.

⁴⁵⁸ *Taras Bulba*, powieść Nikołaja Gogola, uważana przez długi czas za antypolską.

⁴⁵⁹ Eugeniusz Małaczewski (1895-1922), żołnierz formacji wschodnich przed 1919 r., następnie pisarz i prozaik.

⁴⁶⁰ Zofia Kossak-Szczucka (1889-1968), pisarka, autorka m.in. wspomnień o sytuacji ziemiaństwa polskiego na Kresach w okresie I w. św. (*Pożoga*, Warszawa 1922).

⁴⁶¹ Michał Bobrzyński (1849-1935), polityk i historyk polski, założyciel krakowskiej szkoły historycznej.

Cenzura dbała o poprawny ton prasy w stosunku do Niemiec, bo mieliśmy pakt nieagresji.⁴⁶² Ale żaden cenzor nie położył kresu dzikiej hecy antyukraińskiej, prowadzonej systematycznie przez „Ikaca”, żaden prokurator nie wystąpił przeciw codziennemu poniewieraniu godności tych, od których żądało się przecież, aby byli lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej. A nienawiść, narastająca latami, sączona kropla po kropli od najwcześniejszych lat, zwykła wyładowywać się właśnie tak, jak się wyładowała podczas wojny.

Stąd dalsze kompleksy i urazy. Brak własnej państwowości, zapóźnienie w osiągnięciach kulturalnych w stosunku do innych narodów, przy jednoczesnym poczuciu własnej wartości i wielkich możliwości w innych, pomyślniejszych warunkach, musiał podniecać wyobraźnię i dawać asumpt do podrabiania antenatów świetniejszych, niż byli w przeszłości. Społeczeństwa zbyt długo żyjące w stanie tłumionego gniewu dobrze znają te fenomeny. Więc w broszurkach propagandowych, przeznaczonych dla zagranicy, pisało się, że Szewczenko jest pierwszym poetą Słowiańszczyzny, a czumacy stanowili potężną organizację, na miarę bałtyckiej Hanzy. Zjawisko psychologicznie dobrze zrozumiałe, jego skutki – raczej negatywne.

Wreszcie – podejrzliwość. Gdy się od paruset lat ponosi stałe klęski, gdy się jest wielokrotnie wywodzonym w pole, instynktowna nieufność słabszego osiąga stopień chorobliwego natężenia, przerażda się właśnie w skrajną podejrzliwość. Stąd przy całej wrażliwości na każde dobre słowo i przyjazny gest, Ukraińcy instynktownie otaczają się ostrokołem nieufności: – „A nuż to podstęp, a nuż znowu nas oszukają...”. To dlatego, gdy ze strony polskiej zjawia się próba lojalnego dogadania się, pierwsza reakcja jest następująca: „Oho, chcą nas ugłaskać, dostać w swoje ręce, wykorzystać i *zostać w durniach*. Znów reakcja psychologicznie uzasadniona, choć niekiedy wręcz denerwująca. Grupka Rosjan w Madrycie urządziła

⁴⁶² Deklaracja o niestosowaniu przemocy pomiędzy II RP a III Rzeszą została podpisana 26 I 1934 r.

w rocznicę katyńską „panichidę” za *polskich woinow, ubijonnych bolszewikami w Katynie*. Odprawiał mszę ksiądz gruziński, wygłosił piękne propolskie przemówienie. Na mszy byli przedstawiciele polskiej kolonii, z posłem Rzeczypospolitej na czele. Przecież zbojkotowanie mszy, która nie miała żadnej politycznej wymowy, byłoby zwykłą nieprzyzwoitością. A jednak od razu podejrzenie: Polacy zwąchują się z Moskałami. A skoro jednocześnie wiadomo, że Rosjanie wyłazą ze skóry, by nie dopuścić do powstania ukraińskiej audycji w radiostacji madryckiej, dalszy wniosek: „Trudności, jakie mamy z audycją, są zasługą wspólnej akcji polsko-rosyjskiej”. W rzeczywistości było akurat odwrotnie i Polacy zachowali się w tej sprawie z całkowitą lojalnością wobec Ukraińców.⁴⁶³ Ale byli na mszy – i to wystarczyło.

Naród walczący od wieków o swój niezawisły byt, co więcej, o prawo do własnej kultury, ba, nawet do nazwy, musi egzaltować się patriotycznie. Polakowi najłatwiej to zrozumieć, bo my również mamy skłonność do przyciskania pedałów, bicia w bębny i trąbienia we wszystkie możliwe surmy. Do tkliwej łezki i patetycznego frazesu. Ta ukraińska „naprużennost”, także brużdżąca w literaturze i publicystyce, w nie mniejszym stopniu utrudnia zbliżenie i porozumienie, ponieważ wpływa hamująco na samokrytycyzm – i to pomimo, że Ukraińcy są narodem o bardzo żywym poczuciu humoru. Ale bywają sytuacje, w których nawet humor zawodzi.

Inną niebezpieczną cechę w działaniu politycznym – też nie obcą Polakom – stanowi łatwość przerzucania się z jednego nastroju w drugi, z jednej skrajności w drugą, zazwyczaj jeszcze większą. Ciągła huśtawka między niczym nieusprawiedliwionym optymizmem i najczarniejszym pesymizmem. „Ukraina została uznana w Organizacji Narodów Zjednoczonych za państwo niezawisłe, o własnej reprezentacji zagranicznej – dobra nasza, teraz tylko zaczekać, aż przewróci się Stalin”. „Prasa amerykańska pisze o od-

⁴⁶³ Radio Madryt (Radio Nacional de España) rozpoczęło nadawanie audycji w języku ukraińskim 13 listopada 1951. Audycje, trwające po pół godziny, były nadawane we wtorki o 20³⁰-21⁰⁰ czasu środkowo-europejskiego.

działach *ubowców*, przedzierających się zbrojnie do Bawarii – cudownie, cały świat o nas wie”. Prasa amerykańska wyłapuje każdą sensację, a na drugi dzień o niej zapomina. Emigrantom, marzącym o rychłym powrocie do ojczyzny, zbyt często zakręciło się w głowie, więc tym silniejszy jest katzenjammer. I już zapowiada się partyzantkę przeciw Amerykanom, gdy ci dotrą na Ukrainę.

Czas byłby najwyższy, aby Polacy zrozumieli, że Ukraińcy są odrębnym narodem o takim samym prawie do samoistności, jakie przysługuje każdemu innemu narodowi. Że szereg cech ujemnych, które nas rażą albo dają się nam dotkliwie we znaki, powstało na skutek tragicznej historii i nienormalnego rozwoju kultury narodowej, stale krępowanej przez nieprzyjazne okoliczności.

Że wreszcie zły to patriota, który sąsiadowi zza miedzy odmawia takich samych uczuć patriotycznych, choćby z tym sąsiadem miał sto razy na pieńku. A przede wszystkim trzeba skończyć z fałszywym jaśniepaństwem, które widzi w innych narodach „hetki-pętelki” tylko dlatego, że odegrali mniejszą rolę w historii albo nie mają Kopernika i Szopena. Bo prawdziwe „państwo”, oparte na spokojnej świadomości własnych walorów, nie wyżywa się w śmiesznej pysze ani wzdorliwej niechęci. Te uczucia cechują tylko „nuworiszów”.

Ukraińcom zaś wyszłoby na dobre, gdyby przeprowadzili chociaż częściową rewizję swych poglądów na dawną Rzeczpospolitą, a na międzywojenne dwudziestolecie spojrzeli także i od strony polskiej. Ja tu nikogo nie chcę rozgrzeszać ani niczego nie usprawiedliwiać. Chcę po ludzku dojść do wytłumaczenia każdego zjawiska. Polacy też przez sto kilkadziesiąt lat znajdowali się w nienormalnej sytuacji, a obciążeń stąd powstałych tak łatwo się nie usuwa. Ukraińcy dobrze wiedzą, co to jest system rosyjski, zwłaszcza system rosyjski w „poprawionym” sowieckim wydaniu. Z systemami niemieckimi również mieli okazję zapoznać się. Bo jednak, bo mimo wszystko – a wolno mi to chyba, po wypowiedzeniu tylu gorzkich słów pod adresem własnej ojczyzny, podkreślić – fakt, że ekscesy antyukraińskie działy się w ramach adminis-

tracyjnego i politycznego bezhołwia, a nie sztywnego, konsekwentnego systemu, świadczy, że – Bogu dzięki – „nie dorosiliśmy” ani do moskiewskiej tyranii, ani do zimnego, teutońskiego okrucieństwa.

Więc popatrzmy sobie w oczy i przyznajmy nawzajem, że ani jedni nie są tylko „rezunami”, jak tego chce pan Zagłoba, któremu bielmo przesłoniło rzeczywistość, ani drudzy tylko lackimi “zajmancami”, jak tego chce ukraiński, nie mniej ślepy Zagłobienko czy Zagłobiuk.

HAŁYCZYNA CZY MAŁOPOLSKA WSCHODNIA?

Tamto były wszystko orzeszki, teraz dotarliśmy do prawdziwego orzecha. Hałyczyna czy Małopolska Wschodnia? Czytelnik już zapewne zauważył, że stale używam w tym artykule nazwy Ziemia Czerwieńska. W ten sposób nie urażam uczuć narodowych żadnej ze stron, a z historią jestem w zgodzie, skoro określenia: Chrobaci Czerwoni, Grody Czerwieńskie, Ruś Czerwona – mają a l k u r n i ę nie byle jaką, bo tysiącletnią.

Nie będę wdawać się w akademickie rozważania, co to za jedni byli ci Chrobaci ani kto zamieszkiwał te ziemie w czasie, gdy – jak zanotował Nestor – książę Włodzimierz „wybrał się na Lachy”. W zaraniu naszych dziejów Grody Czerwieńskie przechodziły kilkakrotnie z rąk do rąk, faktem jest jednak, że już od drugiej połowy XI wieku istnieją tu niezależne księstwa ruskie. Polska władza państwowa ustali się tu dopiero w wieku XIV. W średniowieczu granica etnograficzna polsko-ruska odpowiadała mniej więcej linii Wieprza w jego górnym i środkowym biegu i bardziej ku południowi – Wisłoku. Lublin i Sandomierz były wówczas miastami prawie pogranicznymi.

Od Kazimierza Wielkiego zaczyna się intensywna kolonizacja zarówno Ziemi Czerwieńskiej, jak nieco później Podola, Wołynia i Kijowszczyzny. Logicznie kierowała się ona ku obszarom żyzniejszym, stąd procent Polaków na przykład na wschodnim Wołyniu, w Żytomierszczyźnie i Zasławskim był wyższy niż w powiatach

nadbużańskich. Ale proces ten, jako spontaniczny i niekontrolowany przez państwo ani poddany przemyślanemu systemowi, przynosił wiele niespodzianek. Polonizowały się rody książęce, bojarskie i szlacheckie, natomiast mieszczanin, a zwłaszcza chłop trwał przy języku i religii. Z drugiej zaś strony kolonista polski z łatwością ruszczył się, jeśli nie był szlacheckiego pochodzenia. Tak trwało aż do naszych czasów, choć oblicze społeczne procesu było już zupełnie inne. Niedaleko od prawdy znalazł się ten, kto oświadczył, że granica etnograficzna polsko-ukraińska przechodzi przez łoża małżeńskie. Niejeden Polak, który skoczyłby z pazurami do oczu, gdyby mu to powiedzieć, nosił nazwisko wyraźnie ukraińskiego pochodzenia; kiedy indziej nazwisko szczerego Ukraińca wskazywało niemniej wyraźnie na mazurską proweniencję. Wreszcie zjawisko jedyne w swoim rodzaju: rodziny dwujęzyczne i dwuobrzędowe. Rozchodzenie się dróg narodowych dzieci tego samego małżeństwa – Szeptyccy, Antonowicze, Siedleccy, Tokarzewscy... Ale podczas, gdy w ciągu wieków żywioł polski na Ziemi Czerwieńskiej, Chełmszczyźnie i Podlasiu wzmacniał się, katastrofy historyczne powodowały jego gwałtowne kurczenie się na terenach bardziej wysuniętych ku wschodowi. Pierwszy cios przyszedł wraz z wojnami kozackimi, drugi w epoce rozbiorowej. Powstania listopadowe i styczniowe dokonały nowych wyrw. Tu i ówdzie chłopiały i prawosławiły się resztki szlachty zagrodowej, a w okresie „chłopomańskim” przyszło zjawisko reukranizacji wielu rodzin spolszczonych już od pokoleń. Mimo to jeszcze w roku rewolucji bolszewickiej mniejszość polska na wschód od Zbrucza liczyła około miliona głów, zaś jej rola społeczna i kulturalna była niewspółmiernie doniosła [w porównaniu] do jej liczebności. Nie wdając się w tej chwili w dalsze rozważania, stwierdzić wypada, że obecność tych Polaków na Ukrainie prawobrzeżnej powstała dzięki metodom różniącym się bardzo mocno od stosowanych przez Niemców wobec Słowian – czy przez Rosjan wobec ich mniejszości narodowych.

Gdyby w roku 1920 Rosja poniosła klęskę totalną i nastąpiłoby rozgraniczenie niepodległej Ukrainy z Polską na podstawie Kon-

wencji Warszawskiej, kto wie, czy z biegiem czasu nie doszłoby do częściowej przynajmniej wymiany ludności, co – zakładając, że tyluż Ukraińców wyemigrowałoby za Zbrucz, ilu Polaków przybyło z Podola i Naddnieprza – dałoby żywiłowi polskiemu w Ziemi Czerwieńskiej wyraźną przewagę i poważnie wzmocniło go na Wołyniu. Wypadki potoczyły się inaczej, powstała typowo sowiecka tragifarsa, z autonomicznym terytorium dokoła Marchlewska, zaś druga wojna światowa dokonała dzieła zniszczenia również między Zbruczem i Sanem.

Aby w tym okresie nie zabrakło żadnej ciemnej barwy, komuniści zniszczyli żywił ukraiński na Chełmszczyźnie, Łemkowszczyźnie, w powiatach przyszańskich. Siedzimy w tym samym worku, oni ze swą „niepodległością” trzydziestoletnią, my – z siedmioletnią.

Sprecyzujmy obydwa skrajne punkty widzenia. Ukraińcy powiadają: „Ziemia Halicka jest nasza od wieków; utraciliśmy ją na rzecz Polski, aleśmy nigdy z niej nie zrezygnowali. Była okupacja polska, potem austriacka, znowu polska, wreszcie sowiecka. Ale oblicze tej ziemi, mimo polonizacji i opanowania wielu miast przez polską ludność napływową, pozostało ukraińskie. Gotowi jesteśmy w imię zgody sąsiedzkiej przystać na obecną granicę – i to jest już z naszej strony poświęcenie, gdyż w ten sposób tracimy Chełm, Hrubieszów, Jarosław i Przemyśl. Ale to maksimum, na jakie możemy się zgodzić. I jeśli chodzi o tę sprawę, wszelkie powoływanie się na rozumne kompromisy jest nadaremne”.

Polacy odpowiadają: „Małopolska Wschodnia była najpierw nasza. Utraciliśmy ją za pierwszych Piastów, odzyskaliśmy za ostatniego. Odtąd nieprzerwanie należała ona do nas, nawet wówczas, gdy znaleźliśmy się pod zaborem austriackim. Lwów jest polski. Podnieśliśmy go z gruzów w wieku XIV i stał się najwierniejszym miastem Rzeczypospolitej. Nasze prawa historyczne i moralne nie podlegają wątpliwości. To, że nas na tej ziemi częściowo wymordowano, a resztę wysiedlono siłą, niczego nie przesądza. Przeciwnie, za tę krzywdę należy się nam zadośćuczynienie. I wreszcie nie możemy zrezygnować ze wspólnej granicy z Rumunią. *Non possumus.*”

Zanim podam mój osobisty punkt widzenia – a z góry oświadczam, że żadne z tych skrajnych stanowisk do mnie nie przemawia – trzeba z lekka przeegzaminować racje historyczne, etnograficzne i moralne, wysuwane przez pieniactzące się strony.

Co od razu uderza we wszystkich polemikach tego rodzaju to fakt, że argumenty dobierane są zawsze według własnej wygody. Raz wysuwa się rację historyczną, kiedy indziej etnograficzną. Wyjątkowo tylko zbiegają się one ze sobą. Ale historia i polityka to nie brydż, w którym wybiera się raz kiery, a kiedy indziej piki, bo tak graczowi wypada z układu kart. Prawo bezsporne i w y ł ą c z n e do jakiejś ziemi posiada się tylko wówczas, gdy wszystkie racje działają na naszą korzyść. Jeśli nie – powinno się myśleć o kompromisie. Oczywiście, istnieje jeszcze jedna racja. Racja silniejszego w danej chwili historycznej, racja faktów dokonanych. Ale i Ukraińcom, i Polakom nie bardzo przystoi uciekać się do takich racji.

Polaków na wschód od Sanu nie ma, a jeśli są, to jakieś mizerne strzępy. To jest fakt dokonany. Pisałem już kiedyś, że nie wiadomo, czy nie powstaną inne fakty dokonane, czy w latach definitywnych rozstrzygnięć nie spotka to samo Ukraińców. Może bowiem dojść do przesiedleń i zsyłek w skali, jakiej jeszcze ludzkość nie widziała. Już dziś Lwów jest bardziej miastem rosyjskim niż ukraińskim, bardziej Lwowom niż Lwiwem. Stwierdzić więc trzeba, że usunięcie Polaków z tej ziemi ma taką samą wartość prawną i moralną, jak w identycznej formie przeprowadzone usunięcie Ukraińców z Chełmszczyzny i Łemkowszczyzny. I gdy skrajni nacjonaści z obu stron barykady tęsknią do „sztywnej” granicy, choć nie mogą się co do niej pogodzić, ja będę stał uparcie przy twierdzeniu, że osiągnięcie prawdziwej historycznej ugody będzie możliwe dopiero wówczas, gdy się fakty dokonane przekreśli, wyrządzone krzywdy naprawi, popełnione zbrodnie odrobi.

Jeżeli do terytorium narodowo mieszanego chce się stosować zasadę sztywnej granicy etnograficznej, jedynym rozstrzygnięciem słusznym może być przesiedlenie ludności. Obliczyć ile jest jednych, ile drugich i podzielić sporny obszar proporcjonalnie. Przy-

zna mi każdy, znający jako tako stosunki narodowościowe na Ziemi Czerwińskiej w chwili wybuchu minionej wojny, że granica nie wypadłaby wówczas na Sanie. Określając granice narodowego terytorium, Ukraińcy czynią to według najdalszego zasięgu swego osiedlenia, koincydującego mniej więcej z granicą zachodnią księstwa halickiego w średniowieczu. Dążą oni do suwerenności niepodzielnej i nie życzą sobie nosić obywatelstwa polskiego. Pięknie, ale również Polacy mają prawo nie życzyć sobie obywatelstwa ukraińskiego, które im proponuje Jewhen Wreciona, nie wiem czy w zgodzie z większą liczbą swych rodaków na emigracji.

Więc jeśli prawo etnograficzne, to dla wszystkich, a jeśli sztywne granice, to wyznaczone proporcjonalnie. Oczywiście, według stanu z roku 1939, bo wysiedleńcy zechcą powrócić, a głosu umarłych i pomordowanych po obu stronach również należy wysłuchać.

Spór o Ziemię Czerwińską nie jest jedynym sporem granicznym ani dla nas, ani dla Ukraińców. Jakie prawa historyczne mają Ukraińcy do Besarabii i Bukowiny? Mniejsze od rumuńskich. Etnograficznie są one usprawiedliwione tylko do części tych terenów, ale wówczas Rumunia może zgłaszać pretensje do skrawka Zadniestrza. Jakie prawa historyczne ma Ukraina do Kubania? Żadnych, jeśli nie wywoływać z mroku dziejów Księstwa Tmutarakańskiego, tzn. dzisiejszego Temriuka i Tamania. Co prawda, do północnego Kubania nikt praw historycznych zgłaszać nie może, gdyż nieboszczycy Nogajcy głosu nie mają. Ale co z Kubaniem południowym, z dorzeczem Urupu, Białej i Łaby, z Armawirem, Majkopem i Neftiogorskiem? Co wreszcie z Pogórzem Stawropolskim, nie tak dawno jeszcze domeną Kabardyńców? Czy górskie ludy Kaukazu nie będą mogły zgłosić się z żądaniem oddania im ich odwiecznych dziedzin, do których pierwszy ukraiński kolonista przybył zaledwie przed kilkudziesięciu laty? Pamiętam, pamiętam ostre starcia między Kaukazczykami i Ukraińcami na ten temat, na terenie warszawskiego klubu „Prometeusz”. Do tych ziem Ukraińcy nie mają najmniejszych praw historycznych i moralnych, gdyż ich zjawienie się tam było funkcją rosyjskiego imperializmu. Mają natomiast prawa etnograficzne. Czy i tu rozsądny kompromis nie byłby wskazany?

„Ukraińskie Słowo” napisało mi ironicznie, że zamiast martwić się o Majkop i krymski Dżankoj, lepiej pomyśleć o Szczecinie i Wrocławiu. Nie pierwszy to raz ukraińscy publicyści oskarżają nas o hipokryzję, wskazując na rozbieżne jakoby stanowiska w sprawie Ziemi Czerwieńskiej i Pomorza oraz Śląska. Otóż istotnie, stanowiska są zupełnie różne, bo też i zagadnienia te nic wspólnego ze sobą nie mają. Przed wojną żaden Polak o zdrowych zmysłach pretensji do granicy na Odrze i Nysie nie zgłaszał. Mogliśmy wskazywać na całą nienaturalność sytuacji Gdańska, upominać się o Śląsk Opolski, Warmię i Pojezierze Pruskie, ale i nic ponad to.

Wojna i okupacja niemiecka zmieniły wszystko. Niemcy udowodniły światu, a i dziś to potwierdzają na każdym kroku, że tak długo, dopóki dwa ramiona, którymi głęboko wdarły się w krwawe trzewia Słowiańszczyzny, nie zostaną odcięte na stałe, nie zarzucą swych snów o *Drang nach Osten*. A są to sny nie tylko o mazowieckim piaseczku i lubelskiej borowinie, ale również o chersońskim czarnoziemiu, krzyworskiej stali i węgłu donieckim. Byłoby niesprawiedliwością wystawiać dzisiejszym Niemcom ciężki rachunek za Henryka Lwa, Albrechta Niedźwiedzia i Mistrzów Krzyżackich, gdyby nie fakt, że nie tylko w Warszawie, Oświęcimiu i Majdanku, ale również w Kijowie, Połtawie i Mariupolu wykazali, że w całości ten rachunek żyrują i biorą za niego pełną odpowiedzialność. Jeśli ktoś nie chce wyrzec się zbrojeckiej części swej historii narodowej, to mu się tę część wykrawuje żywcem z jego własnego terytorium.⁴⁶⁴ Etnograficznych praw do Wrocławia i Szczecina Polska nie miała, historyczne prawa uległy przedawnieniu, ale sami Niemcy je odnowili, moralnie zaś wypisane zostały dymami krematoriów na nierychliwym, ale sprawiedliwym niebie.

I dlatego Wrocławia ze Lwowem, jak Szczecina i Gdańska z Wilnem, zestawiać nie należy.

⁴⁶⁴ Zgadając się z autorem co do meritum, uważamy jego uzasadnienie praw polskich do Ziemi Odzyskanych za zbyt emocjonalne, a przede wszystkim za zbyt wąskie. Nie można rozpatrywać tej sprawy bez uwzględnienia Europy jako całości, bez wizji jej regeneracji i uporządkowania. Mówiliśmy już o tym w Berlinie jesienią ub. roku („Kultura” nr 47) i powrócimy do tego problemu w najbliższej przyszłości (Red.) [przyp. Redakcji „Kultury”].

Tu jeszcze jedna uwaga na marginesie. Niezależnie od tego, jak zostanie rozstrzygnięty spór o Ziemię Czerwieńską, w interesie narodu ukraińskiego, w interesie całej Europy Środkowo-Wschodniej leży utrzymanie granicy na Odrze, jako najlepszej gwarancji, że stary prusko-teutoński duch ulegnie osłabieniu i z czasem całkowitej likwidacji. Toteż bardzo dziwnie wyglądają ci Ukraińcy, którzy z nieukrywaną satysfakcją wróżą rychły marsz niemiecki *nach Breslau, Stettin und Danzig*. Równie dziwnie, jak ci Polacy, którzy radzi by po wieki wieczne widzieć rosyjskich generał-gubernatorów w Kijowie i Odessie.

Wracajmy do sprawy zasadniczej. Trzeba konkretyzować. Wiem, że posypią się na mnie gromy z jednej i drugiej strony – jak zawsze, gdy jakiś wariat uparł się siedzieć okrakiem na barykadzie.

Bo cóż to, u licha, za przyjaciel Ukrainy, który nie zgadza się na granicę na Sanie – i cóż to za Polak, który nie żąda granicy na Zbruczu? Ziemia Czerwieńska historycznie, etnograficznie i kulturalnie nie jest ziemią ukraińską tylko ani polską tylko. Jest ziemią wspólną, o wspólnych zazębiających się o siebie osiągnięciach cywilizacyjnych i kulturalnych, i wspólnej sześćsetletniej historii. Od wieków lwowska katedra łacińska i kaplica Boimów, i Świąty Jur, i cerkiew wołoska stoją obok siebie – i przez przyszłe wieki zgodnie stać obok siebie powinny. Prochy polskie i ukraińskie przemieszały się ze sobą na cmentarzach i niech nikt nie próbuje oddzielić ich od siebie chociażby wyimaginowaną granicą. Można się nawzajem wymordowywać, jeśli taka wola. Można przeciąć tę krwawą, prawdziwie „czerwieńską” ziemię na pół, można raz jeszcze położyć profesorskie podpisy pod niegodnym Europejczyka i chrześcijanina: m y – a l b o o n i. Można bić żelazne słupy na Zbruczu lub na Sanie, można wyżenać precz za graniczne miedze tych albo owych. Zobaczmy, czy i o ile wzbogacą się przez to ludzkie dusze i serca. Jedni i drudzy nagrzeszyli ponad miarę, jedni i drudzy cierpią dziś również ponad miarę. Ale jeśli to cierpienie ma być prawdziwą ekspiacją, musi mu towarzyszyć twórcza myśl historyczna i głębokie czucie moralne, które uczynią, aby to, co było kamieniem

obrazy, kością niezgody i zachętą do bratobójczych czynów, stało się zarzewiem porozumienia, współpracy i wspólnego władania tą samą ojczyzną.

Więc nie starcie się dwóch skrajnych stanowisk, nie kompromis graniczny ani przesiedlanie ludności, nie fakty dokonane, które najajutrz mogą być obalone przez rywala lub trzeciego mediatora – i nie nowa, nieuchronnie takim rozwiązaniom towarzysząca rzeź. A wreszcie tu chodzi nie o Lwów tylko i nie o to, czy w Husiatynie i Trembowli będzie powiewać sztandar biało-czerwony czy żółto-błękitny. Konwulsje miotające światem spychają go do wielkiego konfliktu, z którego wyłoni się coś zupełnie „nowego”, innego niż było uprzednio. Dla dwóch emigrantów, wygrażających sobie pięściami gdzieś na paryskim czy manchesterskim bruku, kwestia czy jego rodzinne przedmieście będzie nazywało się Lewandówką czy Lewandiwką, może być najważniejsza. Ale w tych ośrodkach, gdzie wazą się losy ludzkości, taka postawa „nie popłaca”. Tylko ślepiec może się łudzić, że w Waszyngtonie i Londynie będą zadawać sobie trud wnikania w racje narodów, których akcje na politycznej giełdzie są prawie nienotowane – albo notowane bardzo nisko – lub troszczyć się o narodowe postulaty jednego powiatu czy gminy. Ukraińcy skarżą się na popieranie Kiereńskiego przez Amerykanów. Otóż Kiereńskij ma koncepcję – z naszego punktu widzenia złą, szkodliwą, dla nas wrogą – ale ją ma, i to w takiej skali, do jakiej przywykł szeroki rozmach amerykański. Ukraińcy przeciwstawiają tej koncepcji własną niepodległość, a wraz z nią i szereg sporów granicznych. Takie same obciążenia wloką się młyńskim kamieniem, uwiązany u nogi każdej emigracji środkowo- i wschodnio europejskiej. Ukraina nie chce federacyjnego związku z Rosją, bo się boi – i słusznie. Ale wielkim koncepcjom trzeba przeciwstawiać również koncepcje w zbliżonej choćby skali, bo rzewnych skarg dwóch pokłóconych obywateli z Lewandówki nikt słuchać nie będzie. Jeśli spory graniczne przeszkadzają zainteresowanym narodom w synchronizowaniu ich działalności politycznej, konieczna jest uprzednia likwidacja tych sporów na drodze prowadzącej do

wielkiego programu federacyjnego nie pod kierownictwem Rosji, ale bez niej i poza nią.

Liczyć na to, że wiatry wiejące w Stanach Zjednoczonych zmienią kierunek same przez się – lub że Waszyngton pójdzie pod wpływem polskiej czy ukraińskiej propagandy na konsekwentny program rozbijania Rosji – raczej nie należy. Gdyby jednak doszło do porozumienia choćby paru narodów, a przede wszystkim porozumienia polsko-ukraińskiego, szanse zainteresowania Amerykanów inną, nie rosyjską koncepcją federacyjną wzrosłyby niepomiaralnie. Sama Ukraina – jak sama Polska, Rumunia czy Węgry – to dla waszyngtońskich businessmanów żaden kontrahent, zwłaszcza w zestawieniu z Rosją. Minęły czasy, kiedy z kilkoma taczankami i dwustu jazdy można było uganiać się po stepie, i również minęły czasy powersalskiej „bałkanizacji” Europy. UPA może w odpowiednim momencie odrodzić się jeszcze liczniejsza i silniejsza niż była za poprzedniej wojny, dokonać najbardziej bohaterskich czynów – a nawet postrzelać z kozacką fantazją do Amerykanów, jeśli ci w ogóle na tych terenach się zjawią – ale koncepcji politycznej, która by w Stanach Zjednoczonych przypadła do smaku, to nie zastąpi.

Narody tak długo bezpaństwowe, jak Ukraińcy, czują instynktowną obawę i niechęć w stosunku do pomysłów federacyjnych. To zrozumiałe. Tym, co już wyżyli się suwerennie i państwowo, łatwiej pójść na takie koncepcje, a poza tym działa tu tradycyjna podejrzliwość narodu, tylekroć oszukiwanego i rozczarowanego. Ale Ukraina jako członek federacji, obejmującej kraje Europy Środkowo-Wschodniej, nie powinna żywić obaw tak daleko idących. Jej potencjał ludzki i gospodarczy, niewystarczający wobec Rosji, byłby w takim układzie dostatecznie wysoki, aby czuła się ona pewną siebie. Niewątpliwie pewniejszą niż w najbardziej nawet demokratycznym sam na sam z Rosją.

Ale żadna federacja nie jest w stanie wykluczyć automatycznie konieczności jakiegoś rozgraniczenia, skoro nawet państwo narodowo zwarte musi mieć jakiś podział administracyjny. Ziemia Czerwieńska, jako członek terytorialnie pośredni, powinna otrzymać

swój własny status na podstawie całkowitego równouprawnienia ludności i zachowania identycznych form związkowych z Warszawą i Kijowem. Wówczas miałyby pełną szansę stać się pomostem między dwoma narodami, ich cywilizacją i kulturą, zamiast – jak było w czasach ostatnich – przepaścią. Niechby na rogu „bacjar-skiej” ulicy zawisły dwie tabliczki – obok siebie, a nie, broń Boże, jedna pod drugą! „Łyczakowska” – i „Łyczakiwska”. A na Wałach Hetmańskich można by wystawić pomniki na przykład hetmana Mazepy i króla Leszczyńskiego. Niech i zakuci w bronz spiskują przeciw Moskwie. Albo nawet pomniki Żółkiewskiego i Chmielnickiego. Byli przecież razem pod Cecora!

Jak taki status miałyby wyglądać w swoim ujęciu prawnym, tego nie podejmuję się rozstrzygać. Od tego są fachowcy, prawnicy, socjolodzy, ekonomiści – i do nich należałoby ostatnie słowo. W każdym razie, byłby to obszar dwujęzyczny w szkolnictwie, sądach i administracji, podobnie jak dwujęzyczne było Wielkie Księstwo Litewskie, a współcześnie Królestwo Belgijskie.

Ale samo oswojenie się z myślą o tak „rewolucyjnym” rozstrzygnięciu konfliktu kosztowałyby i nas, i Ukraińców wysiłek zaiste heroiczny. Trzeba by przeskoczyć przez wszystkie uprzedzenia, urazy i kompleksy, zrezygnować z nacjonalistycznej pychy i zapomnieć o dzielących nas reminiscencjach historycznych. Dlatego właśnie pisałem tyle o podłożu psychologicznym zjawiska, by dotrzeć do samych źródeł choroby. Istnieje jednak jeszcze jedna bolesna sprawa, uprzednio zaledwie dotknięta, a ze stanowiska etycznego najważniejsza. Sprawa, która tylekroć nas dzieliła w przeszłości i rozdzieliła jeszcze bardziej obecnie. Świeżo przelana krew...

„Z KURZEM KRWI BRATNIEJ...”

W toczącej się niedawno dyskusji, której podsumowanie dałem w pierwszych częściach tego artykułu, najwyraźniej określili swe stanowiska wobec tragicznych wydarzeń w latach 1939-1945, ze strony polskiej Jędrzej Giertych, ze strony ukraińskiej – Jewhen

Wreciona. Pierwszy całą winą obciąża Ukraińców, drugi wskazuje na chronologię faktów.

Stanowisko Giertycha jest nie do przyjęcia, gdyż pisze on takim tonem, jak gdyby rzeź nie była „wzajemna”. W identyczny sposób wypowiadali się w różnych okolicznościach i różnym czasie Tadeusz Piszczkowski,⁴⁶⁵ Wojciech Wasiutyński,⁴⁶⁶ Władysław Studnicki. A jednak wina jest obopólna – i nie zrobimy ani kroku w tej sprawie, jeśli będziemy smutnej prawdzie zaprzeczać.

Giertych podkreśla, że Polacy nie zapłacili Niemcom za Oświęcimy i Majdanki powszechną rzezią ludności cywilnej. Ten argument jest również nie do przyjęcia. Okoliczności bowiem były najzupełniej inne. Analogia byłaby pełna, gdyby Śląsk i Pomorze znalazły się podczas wojny pod okupacją sowiecką i działała tam jednocześnie partyzantka polska i niemiecka. Czy i w tym wypadku nie doszłoby do wzajemnej rzezi ludności?

Ze strony ukraińskiej spotykałem się często z twierdzeniem, że walki, a następnie rzezie zrodziły się z prowokacji sowieckiej. Oddział spadochroniarzy sowieckich przychodził do wsi ukraińskiej i robił „porządek”, udając Polaków – albo wycinał ludność polską, udając Ukraińców. Wreciona znów oddaje pierwszeństwo i inicjatywę stronie polskiej. Bo „przed Janową Doliną był Derman”, a wcześniej jeszcze „powszechny terror Polaków przeciw Niemcom na terenach obsadzonych przez Niemców przed rokiem 1941”. Chodzi więc o chronologię: kto zaczął pierwszy? Gdybyśmy chcieli ustalić chronologię bardzo ściśle, musielibyśmy cofnąć się głęboko w historię. Natomiast chronologia minionej wojny rozpoczyna się wypadkami we wrześniu 1939 roku. Jeśli nasiona przyszłej rzezi zasadzone zostały w ciągu dwudziestolecia, to w czasie kampanii wrześniowej zbieraliśmy pierwsze żniwo tej „zbożnej” pracy ogrodniczej. W odpowiedzi na dywersję ukraińską w Samborszczyźnie i Drohobyckim, której ofiarą padli zresztą głównie marude-

⁴⁶⁵ Tadeusz Piszczkowski (1904-1990), dyplomata i historyk, profesor PUNO.

⁴⁶⁶ Wojciech Wasiutyński (1910-1994), prawnik i publicysta związany z obozem narodowym. Po 1945 r. został na emigracji.

rzy z rozbitych oddziałów, Polacy spalili parę wsi, między innymi bodajże przedmieście Mikołajowa. Było sporo zbrojnych napadów na polskie domy ziemiańskie. Pod Sokalem wycięto w pień obóz uciekinierów. Na Wołyniu zamordowano wielu osadników wraz z rodzinami. Doszło do bezmyślnych wybryków i ze strony polskiej. Oto jeden z przykładów. Jadący motocyklem oficer spotkał po drodze uciętą i wbitą na żerdź ogrodzenia głowę w kapitańskiej rogatywce, wszedł do pierwszej z brzegu chaty i na stół, przy którym siedziała rodzina ukraińska, rzucił odbezpieczony granat. Tak to się zaczęło.

Przeszedłem kampanię wrześniową w oddziale, który do końca zachował zwartość i trzymany był żelazną ręką dowódców. Wyłącznie dlatego nie doszło w paru wsiach do krwawych represyj.

Żołnierze z mego szwadronu (akurat Poznaniacy), wchodzący do chałupy i proszący o sprzedaż żywności nie wiedzieli, czy i jakie krzywdy spotkały mieszkańców tej wsi w swoim czasie. Wiedzieli tylko, że „nie ma jaj”, „nie ma masła”, „nie ma mleka”, choć wieś była zasobna jak rzadko i zamożność biła w oczy na każdym kroku. Jakby się zachowali w takim wypadku Niemcy lub sowieciarze? Ale był wyraźny rozkaz poprawnego traktowania ludności i żołnierze, zacinając zęby, wychodzili z chałup jak niepyszni. Dopiero moja interwencja w języku ukraińskim odniosła skutek. Zaraz znalazły się jaja, masło i mleko.

A po skończonej kampanii wrześniowej zaczęły szaleć emocje. Obecność Ukraińców wśród strażników więziennych na Pawiaku, pomocnicza służba ukraińska w zbrojnej ochronie zakładów w Stalowej Woli, inne objawy kolaboracji z Niemcami na terenie Gubernatorstwa – wszystko to, w połączeniu z wyolbrzymionymi zresztą wiadomościami o zachowaniu się Ukraińców podczas kampanii wrześniowej, wystarczyło, by rozhuścić nienawiść, której ofiarą padło, jak zgodnie z prawdą informuje Wreciona, tylu działaczy ukraińskich na Chełmszczyźnie.

W takich warunkach wzajemna rzeź w powszechnej skali była już tylko kwestią czasu. Cytowałem przy innej okazji słowa metro-

polity Szeptyckiego, który nawołując do zaprzestania bratobójczej walki, mówił: „Gdy dżungla płonie, zwierzęta się nie gryzą”. To zwierzęta – ale ludzie!... Wstyd powiedzieć, ale póty było względnie spokojnie, póki we Lwowie i na Wołyniu rządziło NKWD. I wina spada nie tyle na zwykłych prostych obywateli, co na ośrodki kierownicze. Znam Polkę, której męża zabili na jej oczach chłopci gdzieś pod Kowlem. Jeszcze dziś, po tylu latach, dostaje niemal hysterii na sam dźwięk ukraińskiego imienia. Ale od polityków wolno wymagać, by nie kierowali się wyłącznie emocjami. Z góry przyjmuję, że przy największych wysiłkach ze strony ośrodków politycznych i tak doszłoby do krwawych wydarzeń. Ale na pewno nie w takich rozmiarach. No, cóż... w Paryżu ani później w Londynie o zapobieżeniu zbliżającej się tragedii nie myślano, bo były ważniejsze sprawy. Ważniejsza była walka z cieniem Piłsudskiego, reforma hymnu narodowego polegająca na zamianie *Marsz, marsz, Dąbrowski* na *Marsz, marsz, Sikorski*, spory o konstytucję i prerogatywy prezydenta. Dołączył się automatyzm myślenia politycznego. Po cóż wchodzić w jakieś układy z Ukraińcami, po cóż szukać dróg porozumienia, skoro i tak wszystko idzie jak po maśle. Mamy pakt z Wielką Brytanią, jesteśmy sojusznikami Francji, zawarliśmy porozumienie z towarzyszem Majskim. „Córuś, córuś, czegoż ty jeszcze chcesz”? Przewidywania i inicjatywy nielicznych sprawiedliwych odrzucano z najwyższym lekceważeniem i pogardą. We *Wspomnieniach ukrainofila*,⁴⁶⁷ drukowanych przed kilku laty w „Wiadomościach”, opowiedziałem o zupełnie operetkowej historii z ulotkami, zamówionymi u mnie przez słynną „Reginę”. Chodziło o rodzaj proklamacji do ludności na terenach okupowanych przez Sowietów, proklamacji wzywającej Polaków i Ukraińców do zgody i współdziałania. Pośpiech był straszny, bo miano je zrzucić z samolotów. Drukowały się te ulotki i drukowały, aż do dnia ewakuacji z Libourne. Czy drukowały się jeszcze w Anglii, nie wiem, gdyż dzięki czujności hiszpańskiej Guardia Civil, patrolującej na szosie między Figueras i Geroną, oszczędziłem sobie widoków wojennego Londynu.

⁴⁶⁷ Patrz str. 124-143 Tekst ulotki patrz s. 29-32.

Przeciwdziałać skutecznie można tylko zawczasu. Gdy żywioli raz wystąpią z brzegów, żadna straż pożarna ich nie opanuje. Na wiosnę 1943 roku rozmawiałem o tych sprawach z młodym socjalistą, wysłanym z kraju do Londynu, a zatrzymanym przez siły wyższe na parę tygodni w Hiszpanii. „Nie byłem w Małopolsce Wschodniej – oświadczył mi – i nie wiem, czy jest jeszcze coś do zrobienia. Ale znając dobrze nastroje w kraju, mogę pana zapewnić, że wszelkie próby łagodzenia są już raczej spóźnione. A nawet sądzę, że ktoś, kto by wystąpił z taką inicjatywą, mógłby za nią drogo zapłacić”. Po wojnie pewien oficer AK, który przeszło dwa lata trwał w walce w województwie Lwowskim, potwierdził w całej rozciągłości opinię owego emisariusza. „Może jeszcze w roku 1942, a i to wątpliwe. Ale już w rok później taki kandydat na mediatora najprawdopodobniej dostałby kulę od pierwszego lepszego „Polaka ...” Oto, do czego doprowadza zatruty posiew nienawiści!

Wreciona pisze, że były próby porozumienia ze strony czynników miejscowych, ale najwidoczniej „od góry burczał głos Zagłoby” i uniemożliwiał rozwinięcie się dobrej inicjatywy na szerszej płaszczyźnie politycznej. Wreciona orientuje się lepiej, bo ja czerpię informacje z drugiej ręki, on zaś był świadkiem naocznym. Czy jednak ci Ukraińcy, którzy chcieli zapobiec rzezi, wyczerpali wszystkie środki? „Przed Janową Doliną był Dermań... Wiem ci ja dobrze, że w Janowej Dolinie stały oddziały polskie, które przedtem dobrze „pohulały” z ludnością ukraińską. Rozumiem, że chciano wziąć na nich zemstę, choć i one do zemsty miały powody. Ale kobiety i dzieci polskie, które poszły pod nóż Dermania, nie zawiniły. Ślepa nienawiść nie rozumuje. Czy jednak nie można było zapobiec właśnie tej rzezi, skoro rozpaczliwa obrona Janowej Doliny trwała kilka długich dni? Wiedziano o toczącej się walce i w Równem, i w Kostopolu. Kierownictwo OUN, które wydawało odezwy uspokajające, miało w tym wypadku okazję udowodnić, że również potrafi opanować konkretną sytuację. Szkoda, że tego dowodu nie złożyło.

Zdziczenie stało się powszechne. Nie lękano się śmierci, lękano się wpadnięcia żywcem w ręce przeciwnika, bo to oznaczało

śmierć bardzo powolną i urozmaiconą. Jak w Arizonie przed stu laty w walkach między białymi kolonistami i Apaczami. Amatorom nowej walki, nienawistnikom wszelkiego kalibru i „niezłomnym” z tej i tamtej strony opowiem taką pouczającą historię. Młody chłopiec traci we Lwowskim całą rodzinę. Ukraińcy zamordowali mu rodziców, brata, dwie nieletnie siostry. Wygląd trupów świadczył o zadawaniu tortur przed śmiercią. Młodzieniec zaciąga się do oddziału leśnego Armii Krajowej, wybija się szybko jako dzielny żołnierz i odznacza się skrajnym okrucieństwem. Któregoś dnia, już zaawansowany na podoficera, wpada z patrolem do mieszanej, polsko ukraińskiej wsi, a raczej jej resztek, gdyż większość domów spłonęła podczas uprzednich walk. Mężczyzn prawie nie ma. Starcy, kobiety i dzieci. Akowcy wpadają do chałupy, w której ukryło się kilkanaście osób. „Ukraińcy na lewo, Polacy na prawo!” Kilka serii z automatu. Ale Polacy informują poniewczasie, że wśród zamordowanych znajduje się Polka z dzieckiem, która w przerażeniu, widząc zbrojnych ludzi czy to nie dosłyszawszy dobrze, o co chodzi, czy też sądząc, że do izby weszli Upowcy, i chcąc się ratować, przeszła na stronę ukraińską. Zabójca załamał się. Nazajutrz napisał pożegnalny list do swego dowódcy i odebrał sobie życie. Oto skutki ślepej zemsty, oto skutki dawania „odstrasżających przykładów”!...

Jakież jest wyjście z krwawego kręgu tej nienawiści, która potrafi rodzić podobne tragedie? Spierać się bez końca o to, kto pierwszy zaczął, kto bardziej zawinił, kto przelał więcej krwi? Czy może właśnie pokusić się o inne pierwszeństwo – o pierwszeństwo wyciągniętej dłoni?

Dziesięć lat temu, siedząc w więzieniu,⁴⁶⁸ nie wiedząc, kiedy z niego wyjdę i nie wiedząc prawie nic o tym, co dzieje się w kraju, ale przeczuwając nieomylnie dalszy rozwój wydarzeń, pisałem te strofy:

⁴⁶⁸ Łobodowski został aresztowany 22-23 II 1940 r. i osadzony w więzieniu Cherche-Midi w Paryżu, gdzie przebywał do 14 VI 1940 r. Fragment cytowanego poniżej wiersza pochodzi z utworu: *Światosławowi Hordyńskiemu* (J. Łobodowski, *Modlitwa na wojnę*, Londyn 1947, s. 47-48)

Więc nie powtarzaj słów nienawistnych w malignie,
zawołaj raczej:

– Ten z nas zwycięży, który się pierwszy wydzwignie
w Anielską Łaskę Przebaczeń!

Może przez ową nienawiść poddani-śmy anathemom
przez strasznego Sędziego,
a ręka, która nas gniecie, i barbarzyńców przemoc
to tylko kary narzędzie.

I nie usłyszą nas Święci, gdy nie dochodzi do nich
w bluźnierstwie poczęty pacierz,
aż ci wypadnie pozew z ściśniętej dłoni
i szepniesz: Bracie!

A jeśli takie słowa nie mają żadnego znaczenia wobec „doniosłych”
racji politycznych, jeśli mają nadal rządzić żelazne prawa – my albo
oni – zaś faktami dokonanymi kierować serie z automatów, od-
dawane do bezbronych kobiet i dzieci, Dermanie i Janowe Do-
liny, to przynajmniej nie bądźmy hipokrytami. Przynajmniej nie
uzurpujmy sobie nazwy chrześcijan! To widać, Święty Jur i Katedra
lwowska, kolegiata w Ołyce i Ławra Poczajowska stoją nadaremnie
od tyłu wieków na Ziemi Czerwieńsko-Wołyńskiej. I widać, mają
rację barbarzyńcy ze Wschodu, gdy nasze kościoły i cerkwie
zamieniają na kina i kluby komsomolskie!

NA PIĘĆ PRZED DWUNASTĄ

Czas nie stoi na miejscu. Gdy się zestawi doniosłe przemiany, jakie
zaszły w świecie od zakończenia wojny, z dokonaniem naszych
emigracji, wniosek nasuwa się tylko jeden: znowu pozwalamy dy-
stansować się wydarzeniom. Sprawa porozumienia polsko-ukra-
ińskiego nie posunęła się ani o jedną piędź naprzód, choć tyle już

„natchnionego” atramentu wsiąkło w cierpliwy papier. Gesty pojednania – i tyle! Ach, piękne gesty! Nie brakowało ich przecież i w Polsce, gdy przed trumną petlurowskiego generała, zmarłego w Warszawie, szła kompania honorowa. Gdy grupa polskich oficerów zgłaszała się na audiencję do metropolity Szeptyckiego, by go przeproszać za niepoczytalne wyczyny „rewindykatorów”. Ale gesty takie, nawet jeśli ratują honor jednostek czy pewnych zespołów, burzy dziejowej nie odwrócą. Kierunku nie nadadzą, wichrów w żagle, by niosły ku upragnionym wybrzeżom Itaki nie nabiorą.

Wystarczy wskazać na fakt, że pismo, noszące wymowny i ze wszech miar obowiązujący tytuł „Lwów i Wilno” (czynię ten zarzut mimo całego szacunku i uznania, jakie zawsze żywiłem dla Stanisława Mackiewicza), przez całe lata swego istnienia nie poruszyło żadnej z sąsiedzkich bolączek. Nie przeprowadziło rewizji żadnego z anachronicznych poglądów w dziedzinie polityki wschodniej, nie wyszło naprzeciw jednemu choćby zagadnieniu z kręgu polsko-ukraińskich i polsko-białoruskich stosunków. I to samo trzeba powiedzieć o ludziach, skupionych pod znakiem kresowego pochodzenia i obrony ich mniejszej ojczyzny, których sentymenty patriotyczne nie podlegają zakwestionowaniu, ale którym zabrakło twórczej myśli ożywiającej każde działanie. Przedsiónek piekła jest wybrukowany patriotycznymi sentymentami, ale do nieba można się dostać jedynie na skrzydłach jasnej myśli i świadomego czynu.

Po jednej i drugiej stronie jest mnóstwo ludzi organicznie niezdolnych do otrząśnięcia się z urazów i zapiekłych wspomnień. Ci aż do śmierci będą trwali na starych stanowiskach, zapatrzeni w upiory przeszłości. Będą grać rolę „bohaterów” i „ojców ojczyzny”, składać huczne deklaracje, potrząsać woreczkiem żółciowym z braku lepszego sztandaru, zachować się jak pijany parobek na weselu, co to i rywala nożem porżnie, i do kryminału zawędruje, świstać w puste orzechy i puszczać łódeczki z papieru na jeszcze krwią dymiące kałuże. Napoleony z szablami z połączanego łuczywa, burmistrze miast dawno pobitych przez zarazę, zakatażeni buchalterzy prawdziwych i urojonych krzywd, szamani, tań-

czący dokoła parafialnych totemów, obleśni starcy, nadaremnie wdzięczący się do dziewiczej Pallady, manekiny wypchane trocinami frazesów i zaklęć!

Od siedmiu lat nie słabnie prasowa kampania nienawiści. Co gorzej, okresami przybiera na natężeniu. Nie jest to zarzut odnoszący się do wszystkich, ale na pewno do bardzo wielu. Są pisma, są publicyści, którzy sprawiają takie wrażenie, jakby im specjalnie zależało na tym, by ognisko tej nienawiści nigdy nie zagasło. Niechże grzeją swe wychłódłe serca przy jego płomieniu. Ale nigdy nie uwierzę, aby poza nimi nie znalazły się w szeregach naszych emigracji ludzie skłonni do patrzenia w przyszłość, mający dość odwagi cywilnej, by nie dać się sterroryzować własnemu środowisku – i świadomi niebezpieczeństw, jakie znów nam wyjdą naprzeciw, jeśli będziemy trwali przy starym uporze i wrogości.

Siedem lat emigracji zmarnowaliśmy właściwie bez reszty. „Ustąp się z drogi, bo to moje!” – oto jedyne słowa, jakie słyszy się po obydwu stronach barykady. Ledwie zmyli z siebie bojowy kurz i krew, ledwie wyrwali się z dipisowskich baraków, ledwie uchwycili w ręce kromkę emigranckiego chleba, a już im się zachciewa nowej walki. Za którą nieuchronnie wlecze się cień nowej klęski, a w najlepszym razie kilkudniowego zwycięstwa.

A czas leci. Nikt z nas nie jest w stanie przewidzieć, kiedy nowy huragan zerwie się nad światem. Może mamy jeszcze przed sobą długie lata. Ale na wzajemne rozmowy, na znalezienie przyszłego *modus vivendi*, na wypracowanie form sąsiedzkiego współżycia, na prowizoryczne choćby porozumienie się zostało już nam bardzo niewiele czasu. To już naprawdę zbliża się północ, naprawdę mamy pięć minut na zakreślenie święconą kredą magicznego koła, zanim znów zlecą się czarownice i zaczną podnosić ciężkie powieki hoholewskiemu Wijowi, by nas uderzył ślepiami śmiertelnego przerażenia.

Nie jestem optymistą. Zdaję sobie dobrze sprawę ze wszystkich trudności, piętrzących się na proponowanej drodze. A jednak trzeba na nią wejść. Abyśmy nie zachowali się ponownie jak skorpiony,

zamknięte w szklanym słoju, które, miast szukać sposobu na odzyskanie wolności, grożą sobie zatrutymi kolcami. Mówił mi kiedyś młody ukraiński publicysta, siedząc w tawernie przy zacnym hiszpańskim winie: „Tak, my tu rozmawiamy przyjaźnie, czujemy się dobrze ze sobą, zgadzamy się w wielu sprawach, ale myślę, że za kilka lat spotkamy się na moście w Przemyślu i będziemy strzelać do siebie”. Może to i prawda. A przecież, i takie możliwości biorąc pod uwagę, każdy z nas, noszący poczucie odpowiedzialności wobec Boga i swego narodu, winien uczynić wszystko, by przynajmniej w drobnej części przyczynić się do rozładowania wzajemnej nienawiści. Jeśli fatalizm historyczny ciąży nad nami do tego stopnia, że do ugody nie dojdzie, że pozostaniemy wrogami, jeśli mamy w przyszłości spotkać się nie na odległość przyjaźnie wyciągniętej dłoni, ale na odległość miecza, to niechże to będzie naprawdę miecz, naprawdę rycerska szpada, a nie zbójcecki nóż i siekiera!

Dzieli nas morze krwi i wieki zacieklej walki. Ale czy nic nas nie łączy? Czyż nie ma w przyszłości i takich wydarzeń, takich zjawisk, o które mógłby się zahaczyć wąty bluszcz przyszłej przyjaźni i z czasem, w przychylniejszych warunkach rozrósć się w potężne drzewo? A nawet i w latach ostatnich. Oto cmentarz na Monte Cassino. Śpią tam snem wiecznym, pod ramionami tego samego krzyża, obok Polaków również i Ukraińcy. Czy nikt z pielgrzymów do monte kassyńskiego pobojowiska tego nie zauważył? Więc jeśli żywych nie stać na wyrwanie się z objęć przedwiecznych widm, niech chociaż ten żołnierski cmentarz zastąpi drogę powracającym upiorom przeszłości!

* * *

Cóż... prorokowanie na puszczy nigdy nie było zajęciem łatwym ani przyjemnym. Gdy się jednak wybrało swój sztandar, trzeba przy nim trwać. Nawet gdyby wojsko miało się składać wyłącznie z chorążego. Gdy nie ma szans na zwycięstwo, zawsze pozostaje duma płynąca z przeświadczenia, że się swej idei broniło nawet w sytuacji beznadziejnej. „Moja walka jest moim zwycięstwem,

moja klęska mojej prawdzie niech świadczy”. Donkiszoteria? Być może... Ale wiatraki, o które wyszczerbił swą kopię rycerz z La Manczy, dawno rozsypały się w proch, a pomnik błędnego wariata po dziś dzień stoi na madryckiej Plaza de España. Gdy przepiszę na czysto te ostatnie słowa, pójdę posiedzieć przy nim na ławeczce i popatrzeć na jego głupio natchnioną twarz. Może mi poradzi, jak ukraińskich „rezunów” i lackich „pacyfikatorów” namówić, by wstąpili do rycerskiego zakonu.

POSTSCRIPTUM RYMEM

Jak ryba, w piach rzucona, kiedy w dyszących skrzelałach
czarna krew się przesącza, tak jak nassawszy się trójdziela
zatrutego, przed mrocznym skarżę się obliczem
nieubłaganym sądów i twardych kondemnat.
Natarczywy jest głos mój. Mowa nadaremna
i krtań zaschnięta, którą w pustkę krzyczę.
Tylko echo, dalekie echo w mej ojczyźnie głuchej.
Któryś wiódł mnie w tę głuszę,
raz jeszcze wysłuchaj!

I.

Oto się głos wzruszony na półsłowie zaciął
i ciepłe dłonie słońca muskają po twarzy.
Przed wieczorem, w ogrodzie, w gromadzie przyjaciół
dobrze o sprawach minionych pogwarzyć,
dobrze odpędzić natrętną tęsknotę,
wspomnieniem chwili, której dawno nie ma,
a wdzięczne rymy, prześwielane złotem,
układają się same w najczulsze poema.

Lecz nie po to–m wziął pióro, by śniedzią elegij
zarosły słowa rwące się do bitwy.
Któryś mnie wywiódł przed pierwsze szeregi
i nauczyłeś żołnierskiej modlitwy,
do ciebie krzyczę, mroczny wywoływacz
umarłych duchów, zapomnianych wieków:
– W rwącej zawiei, Chrzcicielu, przybywaj,
daj nam znak Boga i zbudź go w człowieku!

Ochraniałeś nas w wojennych okazjach,
zbliżałeś chwile szczęścia ku gorzkim zgryzotom.
Przed Twoją twarzą upadała Azja,
wstecz odrzucana starorzymską cnotą:
Usłysz i dziś nas, kiedy moc sprzedajna,
bluźni Ci co dzień, w błyskawicach stań się,
Porwij wicherę i oczyść i daj nam,
raz jeszcze walczyć w Twoim ordynansie.

W imię potrzeby rycerskiej i męstwa
odpuść nikczemnym bratobójczym czynom,
wielkim tchem odkupienia, płomieniem zwycięstwa
wstań ponad Polszcza i nad Ukrainą,
objaw się w chmurach łyskającą twarzą,
uchwyć dłońią za włosy wylękłe i dyktuj.
Niech nas nawiedzą i ogniem porażą
złote litery Twojego werdyktu!

Z ręką na szabli, z modlitwą na wargach
czekają jasne duchy na ostatnie larum,
ufne, że wicher, co dziejami targa,
nienadaremnie wzywa ku sztandarom
i manifesty, z których wiek ich długi stał już
bukwy, złożone mądrością najstarszą,
objawia światu i w wojenny diariusz
wpisuje datę pierwszego wymarszu.

G ł o s y w o ł a j ą :

Ziemio leśna i wodna, zagubiona wśród pól,
płynna od mleka i miodu,
wysrebrzona od wiosennych świtań,
jedne na szlaku czumackim
były nam biały chleb i sól
i jedna od Wschodu do Zachodu
ojczysta Rzeczpospolita.

Przelatywały niżowe wiatry przez Perejasław,
krążyły orły nad Beresteczkiem i Hadziaczem.
Zapaliła się wielka zorza wolności
i krwawo zgasła,
nie tak nocką ciemną zachmurzona,
jak lamentem ludzkim i płaczem.

Na nic nie zda się stepowa ukraińska uroda,
jeden dzień się przepalił,
do drugiego już śmierć się uśmiecha...
Oj, popiła się szlachta i kozactwo
po slobodach i grodach,
popili się, na ziemię popadali,
zaplątani w kainowych grzechach.

Naleciała horda mongolska,
jak szarańcza obsiadła,
nadcignął chan tatarski, świątynie złupił,
poszedł jęk i rozpacz po narodzie,
zrównały się w niewoli Ukraina i Polska
i jak głupi
teraz radzą po szkodzie.
Ziemio leśna i wodna, zagubiona wśród pól,

złota od słońca zachodów,
wysrebrzona od wiosennych świtań,
czas podzielić raz jeszcze biały chleb i miód i sól,
nim cię znowu przemierzą i zdepczą
zbliżających się jeźdźców kopyta.

Były znaki na starych kurhanach,
tętent niósł się po Rosi,
od samego, od białego rana
zajęczały w niebie stada żurawi,
już nad stepem z północy czarna mgła się podnosi
z Zbawiciel na krzyżu
krwią najświętszą z ran pięciorga krwawi.

Którzy w piśmie uczeni, niech dadzą Słowo,
niechaj piszą nowe hramoty –
lud je przyjmie, uzna i wysłucha,
i z kozacką chorągwią malinową
znowu zbrata się sztandar złoty
w imię

O j c a S y n a D u c h a

II.

Przebrzmiały słowa, grzmiące na pustyni,
i mroczny step odkrzyknął się głuchym tętentem.
Jedni śmieli się głośno po izbach, a inni
krzywili usta niechętnie wydęte.
Trzykroć zawołał gniewny głos i trzykroć
pustka odpowiedziała i znów było cicho,
jak gdyby już do głosu Bożych trąb przywykło
urągające i pyszne Jerycho.

Tak, wiatr przerzuca karty cesarskim edyktom,
a nie chce oddać chwały swemu Bogu.

Zmilknie złamane pióro i żelazny liktor
stopę nieprzeblaganą zatrzyma na progu.
Gwizd spali usta biegnącym gawroszom,
tłum uniesie bożyszczą, z pozłacanej gliny
ulepione niezdarnie, i konie się spłoszą,
tratując w tłoku wczorajsze wawrzyny.

Jeszcze chcieliśmy śpiewać krzyczącej gawiedzi,
biec przez ulice z innymi na równi,
lecz słowa nam zgłuszyło larmo pustej miedzi
głoszące chwałę jednodniowych mównic;
jeszcze nas nawiedziły duchów gniewne posły,
rozpytując się mową ciemną i zawiłą...
Wybiegliśmy przed domy, ręce się uniosły
do werbla, ale obok nikogo nie było.

I oto się od wieków powtarza to samo:
wciąż wróżymy, natchnieni i śmieszni prorocy,
Szepczemy słowa zesłowiecznych hramot,
manifestów spóźnionych, a kiedy dłoń nocy
kładzie się na daremnych i mrocznych zakłęciach,
boleśnie bardzo wołać wytężonym płucem,
że była zdobycz i sława do wzięcia,
i pominięto je i już nie wróca.

III.

Kończy się gorzka pieśń, nim ramię ją przedłuży,
i czeka synów księga, co była testamentem.
Jeszcze ostatnie słowa, płomieniem złotym zdjęte,
jak ptactwo na spotkanie nadchodzącej burzy
wzlatują i daleki odzywa się chór.

Mrok podstępnie bliżej, szumiący jak bór,
i chłód wieczorny idzie, lecz wargi nie stygną.
Wczoraj jeszcze gorączką, dzisiaj już maligną
porwane mroczne nuty jednostajnych wyznań.

O, nieprzekupna duma tego fanatyizmu,
co płomień miast powietrza wciąga w chore płuca
i w krzyk natrętny powszedniego obłąkania
zamienia ludzkie życie.

Jak ptak, co porzuca
rodzinną ciszę gniazda i wiatrom nie wzbrania
podsadzać się pod skrzydła Smutkiem ociążałe,
tak pieśń...

Który—żeś poznał niepodjętą chwałę,
uniwersał mogilny, zbutwiały depozyt
i ślepo patrzysz w oczy otworzone grozy,
zaklinaczu przyszłości, spadkobierco prochów!

Przyschnie ręka znużona do drzewa posochu,
przepędzi własne miasto i wyśmieje uczeń.
Pył żrenice zasypie, deszcz ciało opłucze,
boleśnie szarpną włosem przydrożne gałęzie...

Będiesz szedł, nocnych marzeń wiekuisty więzień,
i głosił swoją prawdę.

A jest w tym najwyższa
duma, gdy głos odrzuca obojętna cisza
i śmiech szydrczy wpada w pieśni interwale
i więcej mrocznym tłumom nad twą mękę znaczy.

Jeno Anioł unosi ku niebieskiej chwale
pismo bez czytelników i śpiew bez słuchaczy.

[„Kultura” 1952 nr 2/3]

SCYLLE I CHARYBDY UKRAIŃSKIEJ POEZJI

I.

„Francja – to klasycyzm!”, wołał niegdyś w najwyższym uniesieniu Charles Maurras.⁴⁶⁹ „Klasycyzm – to twoja droga, Ukraino” – pisał w tym samym czasie Mykoła Zerow⁴⁷⁰ – zanim go barbarzyńscy septetrioni⁴⁷¹ wyprawili utartym zwyczajem na Wyspy Sołowieckie, gdzie ukradkiem i aż do śmierci z katorżniczej pracy, wyczerpania, głodu i cyngi⁴⁷² przekładał Horacego i Wirgiliusza.

Hasło w zasadzie takie same, ale jakie olbrzymie dysproporcje! Maurras apoteozował klasycyzm, ponieważ widział w nim dziejową dumę i zarazem misję starej, tradycyjnej Francji, jej namacalną rzeczywistość i spełnienie przeznaczeń. Dla Zerowa klasycyzm miał być odtrutką na rozkładowe wpływy Moskwy, na wampira stepowej przeszłości, wysysającego krew i mózg ukraińskiego narodu, gwarancją uzyskania niepodległości i niezakwestionowaną legitymacją powrotu do kultury zachodniej.

Plastyczny kształt, poddany jasnym liniom,
w metalu kuty zarys, zwarty styl –
oto jest twoja droga, Ukraino...

⁴⁶⁹ Charles Maurras (1868-1952), publicysta francuski, twórca nacjonalizmu integralnego i członek Action Française.

⁴⁷⁰ Mykoła Zerow (1890-1937), poeta, tłumacz i literaturoznawca ukraiński.

⁴⁷¹ Łac., dosłownie: kraje północne, słowo używane przez H. Sienkiewicza w *Trylogii* dla określenia Rosji i Rosjan, stosowane w celu ominięcia cenzury carskiej.

⁴⁷² Cynga, szkorbut.

Brzmiało to na pozór – zwłaszcza w ustach szczerego wielbiciela i świetnego tłumacza Heredii⁴⁷³ i Leconte de Lisle'a⁴⁷⁴ – jako niewinny manifest poetycki, coś jakby kijowskie echo gautierowskiego⁴⁷⁵ wiersza w wersji Miriama.⁴⁷⁶

...i by swobodnym był krok twój,
na nogi
obcisły koturn lekko wzuj!

Ale w ówczesnych warunkach Zerow, rzecz prosta, nie mógł ograniczać się do poezji tylko. Hermetyczna, zwarta, oszczędna forma sonetu była dlań całym programem narodowym i politycznym. Energicznym odcięciem się – od malowniczych hajdawerów z soroczyńskiego⁴⁷⁷ jarmarku i od monotonnego śpiewu bandurzystów. Banicją, wydaną zarówno na epileptyczną dostojewszczyznę, jak i czumacko-małosyjski romantyzm. Skuteczną szczepionką przeciw dżumie wichrów eurazjatyckich. Wskazaniem kierunku *ad fontes* cywilizacji śródziemnomorskiej i zachodnioeuropejskiej. A nade wszystko odważnym aż do prowokacji odrzuceniem słynnej teorii „inżynierów dusz”, pomnożonej przez marksizm i elektryczność. Sonet stawał się w rękach tego skromnego profesora filologii klasycznej czternastostrzałową bronią, wymierzoną przeciw panowaniu Moskwy w Złotym Kijowie. Toteż czujni opiekunowie „młodszego brata”⁴⁷⁸ bardzo szybko to zrozumieli.

Funkcja literatury – i to właśnie w jej społecznym i politycznym aspekcie – przejawia się niekiedy w sposób jak najbardziej niespodziewany. Mogło się wydawać, że klasycyzujący poeta, przekłada-

⁴⁷³ José María de Heredia (1842-1905), poeta francuski pochodzenia kubańskiego.

⁴⁷⁴ Charles Leconte de Lisle (1818-1894), poeta i filozof francuski.

⁴⁷⁵ Théophile Gautier (1811-1872), pisarz, poeta i krytyk francuski.

⁴⁷⁶ Zenon Przesmycki (ps. Miriam) (1861-1944) poeta, tłumacz i krytyk literacki.

⁴⁷⁷ Soroczyński Jarmark, słynny coroczny ukraiński jarmark we wsi Soroczyńce (Połtawszczyzna).

⁴⁷⁸ Aluzja do stosunku Rosji do Ukrainy.

jący Rzymian i Greków, a sam piszący wytrzymał do ostatnich granic technicznej surowości Aleksandryny i „zimne”, „suche” sonety o Herkulesach i Nauzykach, Astreach i Owidiuszach, stał całkowicie poza jakąkolwiek walką i konfliktami bieżącego dnia. Ukraina ówczesna przechodziła przecież przez ostre zmagania narodowe i społeczne; bliski już był proces Związku Wyzwolenia,⁴⁷⁹ przymusowa kolektywizacja, połączona ze sztucznym głodem, a na terenie literackim pogrom neoklasyków, zesłanie Mykoły Kulisza⁴⁸⁰ i samobójcza śmierć Chwyłowego. A jednak Zerow był pisarzem zaangażowanym w całym znaczeniu tego słowa.

Wdzięczna Nauzyka, jasny kwiat Feaków!
Złotym promieniem na ziemię zesłana!
Przed tobą pielgrzym w wędrownych łachmanach
i bezgraniczna przestrzeń morskich szlaków.

Królewskim gestem rozpierzchną gromadę
służebnic wołasz i strach uspokajasz,
a nimb świetlisty głowę twą przystraja
i wdzięcznie świeci ponad czołem bladym.

A Odyseusz na twarzy się mieni
i już jest gotów pod czarem jej źrenic
zapomnieć bezmiar smutków, trosk i zdrady.

Jasna i prosta, jak żywiąca rosa,
różowym pluskiem cichych mórz Hellady
śmieje się ufnie Piękność złotowłosa.

⁴⁷⁹ Proces Związku Wyzwolenia Ukrainy, nieistniejącej organizacji ukraińskiej, której wykrycie przez OGPU USSR było podstawą do aresztowań wśród inteligencji ukraińskiej w latach 1929-1930, odbył się w Charkowie (9 III - 19 IV 1930 r.).

⁴⁸⁰ Mykoła Kulisz (1892-1937), pisarz, reżyser i dramaturg ukraiński.

Wprowadzając artystyczny ład i równowagę marmurowego posągu do rozwichrzonej i cierpiącej na wszelkiego rodzaju przerosty poezji ukraińskiej, kładąc fundamenty surowej dyscypliny na piachu – wciąż podmywanym przez prop-agitki wojującej majakowszczyzny, a najczęściej po prostu przez wzburzone bałwany partyjnej grafomanii – Zerow działał z pełną świadomością. Nie chodziło mu o to, aby współcześni Ukraińcy „śmieli się śmiechem Rzymian, płakali łzami Greków”, ale o przeciwstawienie klasycznego ładu stepowej anarchii, zorganizowanej architektury – rozplywającej się w palcach bolszewickiej „małorosyjszczyźnie”, tradycji antycznego artystostwa – kolektywnej użytkowości „społecznego zamówienia”. Rekonstruując na papierze ruiny Chersonezu Taurydzkiego,⁴⁸¹ wskazywali Ukrainie drogę do Europy. I być może właśnie ta świadomość wzmogła w nim przyrodzony spokój, jakże lekkomyślnie utożsamiany niekiedy z brakiem większego temperamentu.

Kiedy majowa wstanie noc bezchmurna,
gdy się rozwija kwiat i rosną żyta,
wówczas i ona najczyściej rozkwita,
jako w miniony, stary wiek Saturna.

Spoglądasz: gaje i rozlew spokojny
przypominają tamte lata złote,
gdy tarczą lud nie zbroił się, ni grotem
i spały dzikie a bezsławne wojny.

Aż krew spłynęła w hucznych surm rozgwarze,
stąpają woły pod ciężarem jarzem,
więc z ziemi grzesznej Astrea odlata.

⁴⁸¹ Chersonesz Taurydzki, miasto greckie na Krymie. Miejsce chrztu Włodzimierza Wielkiego i symbolicznego chrztu Rusi (988 r.).

I tylko w niebie dalekim, o wiośnie
gwiazdami srebrzy się jej wiotka szata
i zgody kłos w wzniesionej dłoni rośnie.⁴⁸²

Spuścizna Zerowa jest bardzo szczupła rozmiarami. Wydany jeszcze za życia zbiorek „Kamena”⁴⁸³ zawiera – poza przekładami, przeważnie mistrzowskimi – garść sonetów i aleksandrynow. Na emigracji ukazał się ostatnio *Katalepton*,⁴⁸⁴ w którym wydawca, brat Zerowa, również poeta i tłumacz, piszący pod pseudonimem Oresta,⁴⁸⁵ zebrał całą resztę skąpej twórczości przywódcy kijowskich neoklasyków. Ale wpływ Zerowa na współczesną poezję ukraińską był olbrzymi, działa po dziś dzień i jest utrwalany świadomie przez niektóre odłamy krytyki emigracyjnej. Jak później zobaczymy, nie zawsze z pozytywnymi wynikami.

Krytyka ta nie od dziś grzeszy skrajnością swoich ocen i tez, nic więc dziwnego, że dla jednych Zerow stał się niemal największym poetą ukraińskim XX wieku, dla innych w ogóle poetą nie jest. Prawda leży, oczywiście, pośrodku. Niewątpliwie Zerow był poetą ograniczonym w swoich możliwościach, poetą w pewnym sensie gabinetowym, choć i o tym nie trzeba zapominać, że okna takich gabinetów nierzadko wychodzą na szerokie drogi i że widać z nich dalekie perspektywy. Znał zbyt dobrze swój własny warsztat i nie szukał nowych narzędzi. Jego szklanka mogła być niewielka, ale „pił tylko ze swojej szklanki”. Ale w jego, na pierwszy rzut oka beznamiętnych wierszach – „przeintelektualizowanych”, jak chcą nie-

⁴⁸² W obydwu przekładach tłumacz zgrzeszył dowolnością formalną, mianowicie nie zachował poczwórnych rymów w pierwszych zwrotkach. Przeszkody były nie do pokonania, a mając do wyboru: zachowanie wierności filologicznej i obrazowej albo odejście zbyt daleko od treści za cenę zachowania rymów oryginału, wybrałem to pierwsze. Wiem zresztą, że sam Zerow byłby wielce zgorszony tak daleko posuniętym liberalizmem [przyp. J. Łobodowskiego].

⁴⁸³ М. Зеров, *Камена*, Київ 1924.

⁴⁸⁴ М. Зеров, *Catalepton*, Филадельфия 1951.

⁴⁸⁵ Mychajło Zerow (ps. Orest), (1901-1963), brat Mykoły Zerowa, poeta i tłumacz ukraiński, przed 1939 r. uciekł z USRR i przebywał na emigracji.

którzy – czujniejsze ucho uchwyci bez trudu przyspieszony rytm owych tragicznych lat, w których rozwijała się twórczość poety, aż do zwykłej w sowieckich warunkach katastrofy.

Wysoka w stepie wznosi się mogiła:
ziemskie w niej ziemi oddano opiece.
Tam wieczny sen po dni burzliwych spieczę
wreszcie znalazła zniweczona siła.

Lecz czymże śmierć, gdy pieśń rozlewa w żyłach
ognisty napój, blask z wichurą miecze
i wolne duchy zwołuje na wiece,
jakimi bujnie stara przeszłość żyła.

Pobożny gościu, na ziem padnij czołem!
Z swej duszy hymny wyśpiewaj wesołe,
choć łza powieki twe i rzęsy klei:

Tam pradziad Dniepr, stepowych dal rozstajów,
a tutaj góra, szum szerokich gajów
i krzyż, jak symbol męki i nadziei.

Ten poetycko wcale nienajlepszy, pod względem treści wielce wymowny sonet stanowi jeden z nielicznych wyjątków w liryce Zerowa. Głównie przez nadmierną, jak na twórcę tego typu, bezpośredniość i więcej: deklaratywność. Zerow nie musiał pisać o *Mogile Szewczenki*, by celnie wyrazić sens swojej epoki. Gdy w jednym z jego aleksandrynów czytelnik trafił na skargę Owidiusza, rzuconego między barbarzyńskie otoczenie, wiedziano dobrze, o co chodzi. Bohdan Krawciw,⁴⁸⁶ nie krytyk, ale właśnie poeta najlepiej scharakteryzował tę cechę Zerowa:

⁴⁸⁶ Bohdan Krawciw (1904-1975), ukraiński działacz niepodległościowy, członek OUN, poeta i tłumacz, po 1949 r. na emigracji w USA, redaktor „Swobody” i „Suczasnosti” (1970-1975).

I żal, i ostry ból, i trwoźnych dni niepokój
tyś umiał wcielić w rytm, nie nagłąc swego kroku,
w sonetów zwarty gest, w aleksandrynow ład...

Nie nagłąc swego kroku... Inni spieszyli się nadmiernie, potykając się, myśląc drogę i tracąc oddech. Większość ich ulegnie zasłużonemu zapomnieniu, podczas gdy nieliczne wiersze Zerowa pozostaną w antologii ukraińskiej poezji. I nie tylko jako świadectwo przebycia ważnego etapu rozwojowego na drodze do ostatecznego wyklarowania własnej osobowości.

II.

Zerow nie był sam. Jeśli neoklasycyzm kijowski związany jest przede wszystkim z jego imieniem, stało się tak dlatego, że był on najbardziej konsekwentny i skoncentrowany w jednym kierunku. Jednak narzucenie liryce ukraińskiej koniecznej dyscypliny, klarowności i wyrazistych konturów było dziełem wielu pisarzy. I tu paść musi przede wszystkim nazwisko Maksyma Rylskiego, którego sam Zerow, oficjalny przywódca kierunku, nazywał *p o e t a m a x i m u s*.

Rylskij, podobnie jak autor „Kameny”, otrzymał staranne wykształcenie klasyczne. Syn ziemianina-chłopomana, który zdecydował się, jak tyłu innych na „reukrainizację”, przeszedł na prawosławie i ożenił się z wiejską dziewczyną, ale tkwił nadal w kręgu kultury polskiej z wszystkimi jej zachodnimi powiązaniem. Maksym wychował się w atmosferze rozległych zainteresowań literackich i niewątpliwie posiadał wszechstronne odczytanie. Dokładna znajomość starożytnych, bliski kontakt z francuskimi parnasistami, dobrze przetrawione wpływy Mickiewicza i Puszkina ułatwiły mu – a w pewnym sensie i predysponowały do odegrania zasadniczej roli w rozwoju ukraińskiej poezji. Większej niż rola Tyczyny – bo ten po wspaniałym fajerwerku *Słonecznych klarnetów* stoczył się w objęcia partyjnej grafomanii i zaczął parodiować sam siebie. Większej niż

rola Zerowa – bo ten ani talentem, ani zasięgiem nie dorównywał autorowi *Pod gwiazdami jesieni*. Podkreśliłem już wysoką kulturę literacką Rylskiego. Czytelnikowi zachodniemu takie podkreślenie może wydać się najzupełniej zbędne, bo jakże wyobrazić sobie poetę dużej miary, miary bezwzględnie europejskiej, bez literackiej kultury! Ale w kraju takim, jak Ukraina – gdzie życie narodowe jest systematycznie i od lat niszczone, gdzie celowe obniżanie poziomu intelektualnego i artystycznego stanowi zasadniczy punkt realizowanego programu – ważkość bagażu literackiego nabiera zupełnie innych proporcji. I Zerow posiadał dużą kulturę, ale trąciła ona u niego biblioteczną erudycją; u Rylskiego jest czymś zrozumiałym sama przez się. Nie ma w nim nic z ludowego etnografizmu, nawet w skali Szewczenki, parafialnego zasklepienia, upartego wieszania poetyckiego garnka na kołku chruścianego płotu od wiśniowego i słowiczego ogrodu. Nie jest przypadkiem, że zarówno Zerow, jak Rylskij – i to w jeszcze silniejszym stopniu – świadomie, programowo odeszli od Szewczenki. W studium o poetach słowiańskich, które narobiło wiele hałasu, Rylskij wysunął na pierwsze miejsce Puszkina i Mickiewicza. Szewczenko znalazł się zaraz po nich, ale jak gdyby od niechcienia „dla honoru domu”. Złośliwi twierdzili, że Rylskij najchętniej zastąpiłby autora *Kobziarza* własnym nazwiskiem. Nie lękajmy się herezji i oświadczmy bez ogródek: ze stanowiska ściśle artystycznego miałyby całkowitą rację.

W pogodny dzień wczesnego winobrania
spotkali się. Na mułach dwóch powolnych
zobaczył ją, gdy zaprząg swój pogania,
cała radosny blask i śmiech swawolny.

Więc spytał pannę: Jakich uczuć grzywną
mam płacić, abym poznał tve słodycze?
A ona na to: – Lampkę pal wotywną
Cyprydzie dobrej... I klasnęła biczem

i popędziła z śmiechem zaprzęg muli,
aż jeden z nich po sobie uszy stulił,
i złoty pył spod kopyt poszedł gęściej.

A on przeciągnął się, iż wzrok mu mgła przesłania
rozkoszy, i pomyślał: Jakie szczęście
być młodym w dniu wczesnego winobrania!

W tej miniaturze, której nie mógłby niczego zarzucić sam surowy poetycki matematyk, [José-María de] Heredia, ani autor *Pieśni Bilitis*,⁴⁸⁷ która sprawia wrażenie odłamka antycznego marmuru, naświetlonego złotym słońcem pogodnej jesieni, jest cały Rylskýj. Wrażliwość na urodę świata, afirmacja życia, harmonijna pogoda, celność nieomylnie dopasowanego do ekspresji słowa. Jeśli czytelnik polski odniesie inne wrażenie, proszę zapisać całkowitą winę na konto nieudolności tłumacza.

W interesującym artykule o Rylským, wydrukowanym w czasopiśmie „Kijów” (Nr 4, Lipiec–Sierpień 1951), Jewhen Małaniuk oddaje, co należne wielkiemu talentowi i poetyckiej sztuce pisarza, ale jednocześnie podkreśla, że zabrakło mu tego wewnętrznego żaru, tego duchowego potencjału, jaki sprawia, że możemy mówić o wielkim poecie. Według Małaniuka, Rylskýj był i pozostał poetą „bez problemu”. On sam określił siebie bez reszty jako „mnicha bez Boga i kapłana bez modlitwy”. Rylskýj odkrzykuje się jak echo na świat i jego zjawiska. Tak, Rylskýj, jak może nikt inny w takiej formie, umie odczuć i wierzbę, co „zrzuca srebrne baze na staw”, i ową Hanusię, co „płacze, bo już pora”. Można twierdzić, że nie potrafił kochać ani nienawidzić – „do końca”. I może niezupełnie przypadkowo zjawilo się u Rylskiego to aż do doskonałości wykończone sformułowanie:

I martwy gniew, i miłość nieżyjąca...

⁴⁸⁷ Pierre Louÿs (1870-1925), pisarz i poeta francuski, autor *Pieśni Bilitis* (Paryż 1898), które zostały przedstawione pierwotnie jako tłumaczenie oryginalnego tekstu greckiego.

„Maksym Rylśkyj – dodaje Małaniuk – pomimo całego diapazonu swoich możliwości poetyckich, pomimo całego bogactwa tematycznego, pomimo całej potęgi tak wcześnie dojrzałego artystostwa, pozostał poetą niezbyt wielkiego napięcia, indywidualnością o słabym potencjale duchowym”.

Ale motto umieszczone przez Małaniuka przed artykułem budzi w czytelniku dość energiczne zastrzeżenie w stosunku do nazbyt już surowych osądów końcowych: „Wiedz, że najciężej na świecie nosić jest serce wyziębłe. Niech już będzie lepiej szalone, spowite w czułość i gniew”. Te wiersze ukazały się w roku 1944, po wszystkich załamaniach i gorzkich kompromisach, po „reedukacji” łagrowej, po stracie przyjaciół, po ustępstwach na rzecz żądań partyjnych. Przyznanie się do klęski – zapewne – ale i pełna „świadomość upadku”. To nie nasi Tuwimowie i Słonimscy,⁴⁸⁸ którzy wrócili dobrowolnie, a po powrocie nie stać ich było nawet na milczenie. W Polsce można „jeszcze” milczeć. Na Ukrainie nie można – już od dawna. Rylśkyj ma obecnie pięćdziesiąt siedem lat. Gdy otwarta walka z kulturą ukraińską nabrała drastycznego charakteru, miał lat trzydzieści parę. To znaczy, że martwa glina przymusu, któremu można było przeciwstawić jedynie postawę bohaterską (a w tych warunkach postawa bohaterska oznacza śmierć fizyczną), spadła na poetę w okresie dochodzenia do pełni dojrzałości twórczej. Więc nie wolno nam przesądzać niczego. Bowiem człowiek w kajdanach porusza się inaczej niż człowiek wolny.

Polskiego czytelnika poezji Rylskiego zainteresować musi zarówno jego pochodzenie, jak intymny stosunek do Mickiewicza. Rylscy byli rodziną ukraińską, całkowicie w ciągu wieków spolonizowaną. Wśród ziemian na prawobrzeżnej Ukrainie było takich rodzin wiele. W okresie ruchu „chłopomańskiego” niejednen stawał się Ukraińcem – Tadeusz Rylski⁴⁸⁹ właśnie, Włodzimierz Antonowicz, młodszy Siedlecki – przy czym rola ich w budzeniu świa-

⁴⁸⁸ Julian Tuwim i Antoni Słonimski po 1945 r. wrócili do Polski Ludowej i brali czynny udział w życiu literackim.

⁴⁸⁹ Tadeusz Rylski (1841-1902), ekonomista i etnograf, ojciec poety Maksyma Rylskiego.

domości narodowej była poważna, gdyż nadawali oni charakter „polityczny” wezbranemu nurtowi ludowemu („narodnictwo”). Jak już zanotowałem, ojciec Maksyma porzucił katolicyzm i ożenił się z Ukrainką. Stanowiło to akt świadomego wyboru, ale oczywiście nie mogło przekreślić psychicznego i kulturalnego spadku. Tym samym Rylśkyj-syn, będąc Ukraińcem, musiał częściowo tkwić w kręgu kultury polskiej. Jego kult Mickiewicza (z czasem nazwie go największym poetą epickim ludzkości) i kongenialny przekład *Pana Tadeusza* świadczą o tym najwymowniej. Pamiętam, w roku 1937 Henryk Józewski zdjął z półki *Pana Tadeusza* w przekładzie Rylśkiego i, pokazując mi, powiedział, wyraźnie wzruszony: „Gdy czytam tę książkę po ukraińsku, czuję się dumny, że jestem Polakiem”. Niewątpliwie, przekład ten był jednym z niematerialnych mostów, zawieszonych między Warszawą i Kijowem. Jednym z mostów zawieszonych nad przepaścią i coraz bardziej kruszejących.

„Domyślamy się – pisze Małaniuk w cytowanym już artykule – że Mickiewicz Rylśkiego, to przede wszystkim autor *Sonetów Krymskich* i *Pana Tadeusza*. Mickiewicz-romantyk i Mickiewicz-mystyk pozostali dlań, jeśli wolno sądzić, jeśli nie obcy, to obojętni. Logicznie naprasza się jeszcze jeden wniosek, mianowicie, że Mickiewicz Rylśkiego mieścił w sobie bardzo niewiele tego, co popularnie biorąc, składa się na jego *polskość*. W istocie rzeczy był to Mickiewicz, który *przekroczył* granice owej *polskości*. Czy to nie krew matki usunęła z psychiki Rylśkiego *mesjanistyczne* elementy mickiewiczowskie?”

Myślę, że Małaniuk poszedł zbyt daleko. Dla Polaków Mickiewicz to przede wszystkim właśnie autor *Pana Tadeusza*, ukochanej książki na całe życie (obok *Trylogii!*...). *Dziady* stanowiły obowiązkową (i nudną!) lekturę w szkole – i poza szkołę nie wychodziły. Gdy się czyta przekład ukraiński Mickiewiczowskiej epepei, widać od pierwszej strony, jak bardzo tłumacz cieszy się swoją pracą, jak smakuje – i to nie tylko po artystowsku – każde zdanie, jak bardzo czuje się „u siebie” wśród kłótlivej szlachty dobrzyńskiej i pod walącymi się stropami zamku Horeszków. Ciekawe – zwraca

na to słuszną uwagę Małaniuk – że na twórczości Rylskiego nie znać najmniejszego wpływu Słowackiego, którego na pewno przecież czytał. Widocznie liryczne uniesienie i mistyczne głębie krzemienieckiego archanioła, który przyznawał się do synostwa *Matki Ukrainy*, mało odpowiadały klasycznie zrównoważonej postawie tłumacza nie tylko *Pana Tadeusza*, ale i – nie zapominajmy! – *Orleańskiej Dziewicy* Woltera.

A jednak pod tą równowagą krył się od początku niepokój. Gdy Rylskij uciekał od rzeczywistości w egzotykę i antyczną przeszłość, powstawały utwory przesycone słońcem i łagodnym uśmiechem, jak sonet cytowany uprzednio, lub taka reminiscencja lektury Wirgiliusza:

Syn Anchizesa schylił się w ukłonie
i w ślad bogini patrzył: sina przystań
tonęła w słońcu, a w obłoku mglista
postać ginęła w cichym nieboskłonie.

Z złotej pogody cały świat korzystał,
łabędzie stada modliły się do niej,
do tej, co z piennej zrodziła się toni
i rządzi ludźmi, pani wiekuista.

Zamarł Eneusz. Dłoni jej dotykiem
płonęły skronie. A pod wiatrem żwawym
fale goniły się jak konie dzikie,

na grzbietach swych trojańskie niosąc nawy,
i dwa spojrzenia – przyjazne i wrogie –
patrzyły na nie za niebiańskim progiem.

Ale kiedy indziej tragiczna rzeczywistość wdzierала się w opanowane ścisłym rygorem strofy i „żądała odpowiedzi” od artysty, rozmiłowanego w harmonii i odgradzającego się światem grecko-rzymskich bogów od powszedniej ohydy niewolniczego bytowania.

I znowu Sfinks, i żąda odpowiedzi.
Stepami pełźnie zmij żelaznostopy.
Chytrym przemysłem Dedalowy dziedzic
jak ptak wylata pod niebieskie stropy.

Idziesz, człowieku. Skry z pochodni sypiesz.
Lecz coraz głębsza stoi mgła nad światem.
Czyliż i tobie, nowych dni Edypie,
ślepą wędrówkę wyznaczyło Fatum?!

Fatum nie oślepiło poety, ale za jego własną zgodą zawiązało mu oczy i kłamstwem oniemiło usta. Za cenę życia. I, co gorsze, za cenę śmierci artystycznej. Ale pokażcie mi, ilu jest na Zachodzie pisarzy i artystów, którzy mieliby prawo rzucić w Rylskiego kamieniem!...

III.

Klasycyzm nie stanowił narzuconej mody literackiej, lecz wynikł z logicznego rozwoju pewnych tendencji, zaznaczających się wyraźnie na całej przestrzeni dziejów ukraińskich. Jego zjawienie się było przygotowane znacznie solidniej niż narodziny impresjonizmu czy symbolizmu, nie mówiąc już o futuryzmie. Kijowscy neoklasycy nie stanowili „szkoły” poetyckiej w prawdziwym tego słowa znaczeniu ani nawet pretendowali do tej nazwy. Zresztą Jurij Kłen (Oswald Burghardt)⁴⁹⁰ wyraźnie wyłamuje się z granic „neoklasycyzmu”. Fyłypowycz⁴⁹¹ i Draj-Chmara⁴⁹² zostali aresztowani i zesłani w okresie dochodzenia do krystalizacji twórczej, a spuścizna przez nich pozostawiona jest bardzo szczupła.

⁴⁹⁰ Jurij Kłen (Oswald Burghardt) (1891-1947), poeta, tłumacz i literaturoznawca ukraiński niemieckiego pochodzenia.

⁴⁹¹ Pawło Fyłypowycz (1891-1937), ukraiński poeta i historyk literatury.

⁴⁹² Mychajło Draj-Chmara (1889-1939), poeta, tłumacz i literaturoznawca ukraiński.

Tych dwóch zniszczono fizycznie, podobnie jak Zerowa. Jedy-ny Kłen zdołał wydostać się za granicę. Rylśkyj załamał się. A jednak warsztat poetycki autora *Przez burzę i śnieg* nie uległ całkowitemu zniszczeniu, choć zaczął służyć celom niemającym nic wspólnego ze sztuką. Bagaż kulturalny i samowiedza artystyczna ochroniły jego literacki okręt od definitywnej katastrofy. Nie uniknął jej Pawło Tyczyna, który zapowiadał się jako poeta genialny, a przynajmniej, jak słusznie określa Małaniuk, „graniczący z genialnością”, a po kilku zaledwie latach stoczył się w objęcia skrajnej grafomanii. W przeciwieństwie do Rylskiego, zabrakło mu fundamentu tradycji kulturalnej, kontroli intelektualnej,⁴⁹³ a zatem gdy poddał się fizycznemu gwałtowi, zawieść musiała nawet technika formy, nawet sprawność językowa.

Zerow powiedział kiedyś, że „Tyczyna wyłożył wszystkie swoje atuty w *Słonecznych klarnetach*, a następnie przeszedł na grę bez atutową”. Można by dodać, że zmuszono go do gry fałszywymi kartami, więc zaczął iść od jednej przegranej do drugiej. Wszystkie jego późniejsze książki cechuje całkowita „atrofia najbardziej elementarnej smaku i zupełny brak śladu jakiegokolwiek kultury”. A początki graniczyły z genialnością!

Debiut młodego Tyczyny był triumfalnym wtargnięciem żywiołu muzycznego, wpisywanego niezbyt świadomą, ale pewną ręką w partytury oryginalnego i świeżego symbolizmu. Taka sama świeżość i siła, ale podparte o wiele większą świadomością artystyczną, cechowały wystąpienie Mykoły Bażana, najmłodszego z pokolenia

⁴⁹³ Ze zdziwieniem czytałem opinie niektórych krytyków, którzy Tyczynę uważają za „wysoce intelektualnego poetę”. Właśnie trudno o przykład poezji bardziej samorodnej i spontanicznej, a jednocześnie w tak dużym stopniu pozbawionej hierarchii środków artystycznych i wyrobienia myślowego. Tyczyna wszedł do literatury, jak nikt przed nim ani po nim. *Słoneczne klarnety* są arcydziełem muzyczności, tak swoiście ukraińskiej, że powiedzenie, iż „przemówił przez nie duch narodu”, nie wydaje się najmniejszą przesadą, ale gdzież owe „głębie intelektualne”? Gdy sterroryzowany poeta dał się ostrzyć marksistowskim Filistynom, utracił to, co było jego prawdziwą siłą: szczerść, bezpośredniość i żywiołowość. Słowikowi kazano kuć dziobem w bęben. Oczywiście, nic z tego nie wyszło [przyp. J. Łobodowskiego].

„ukraińskiego renesansu” (ur. 1904 r.). Nawiązał on wyraźnie do zesłowiecznego romantyzmu, co zresztą nie przeszkodziło mu stać się poetą całkowicie współczesnym. Romantyzm na Ukrainie wyżywał się niemal całkowicie w kręgu ludowości, która po raz pierwszy została przełamana w twórczości Iwana Franki⁴⁹⁴ i Łesi Ukrainki,⁴⁹⁵ ale bruździła jeszcze przez czas dłuższy; toteż, gdy poeta dużej bezsprzecznie miary wchodził na drogę romantyczną, mógł opierać się tylko częściowo na rodzimej tradycji, pod tym względem na pewno niewystarczającej. Stąd nieuniknione koligacje obce, niekiedy świadome, kiedy indziej przypadkowe. Nie sądzę, aby Bażan znał romantyczną poezję hiszpańską, ale jakże bardzo jego *Nocny rejs* przypomina korsarskie wiersze Esproncedy!⁴⁹⁶ Ten „neoromantyzm” (spłaćmy wspaniałomyślną dań zwolennikom klasyfikacji i „szufladkowości”) wyglądał bardzo swoiście, skoro znajdujemy w nim oczywiste wpływy ekspresjonistyczne, futurystyczne, a nawet formistyczne. Na skutek żywiołowej tendencji do szybkiego wyrównania zaległości i opóźnień w stosunku do literatur zachodnich, w piśmiennictwie ukraińskim owego okresu powstał następujący fenomen: poszczególne prądy, tendencje i szkoły występowały obok siebie bez żadnego związku przyczynowego i często mieszały się nawet w twórczości poszczególnych pisarzy. Anachronizmy szły w parze z nowatorstwem, niekiedy najskrajniejszym, parnasizm przeplatał się z futuryzmem, krzyżowały się style i epoki. Opóźnienie było oczywiste, bujność i dynamizm owych przełomowych lat nadawały mu skrajny charakter. Przypomnijmy, że fenomeny takie znała i kultura polska; już przekwitał renesans, budził się do życia barok, a po miastach Rzeczypospolitej wznoszono jeszcze gotyckie kościoły. Najpiękniejsza bodaj pamiątka tego spóźnionego gotyku w polskim wydaniu, wileńska Święta Anna, powstała przecież mniej więcej w tym samym czasie, co podwórzec wawelski i kaplica Boimów.

⁴⁹⁴ Iwan Franko (1856-1916), pisarz, poeta i działacz ukraiński. Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli literatury ukraińskiej.

⁴⁹⁵ Łarysa Kosacz-Kwitka (ps. Łesia Ukrainka) (1871-1913), poetka i pisarka ukraińska.

⁴⁹⁶ Jose de Espronceda (1808-1842), poeta i dramaturg hiszpański.

Mykoła Bażan debiutował dopiero w roku 1926, gdy Rylśkyj miał już za sobą sześć tomów wierszy i ustaloną pozycję literacką, zaś Tyczyna, który skończył się na *Złotej wrzawie*, dawna już grzązł aż po uszy w grafomańskiej prop-agitce. Romantyczny rewolucjonizm, telluryczne widzenie świata, organiczna ukraińskość, tragiczny patos, a jednocześnie nowatorstwo stylistyczne, ocierające się o futuryzm, ale w istocie niemające z nim wiele wspólnego – oto bardzo ogólna charakterystyka Bażana. Nazywano go przez pewien czas „ukraińskim Majakowskim”, niewątpliwe nadużycie, choć pozornie usprawiedliwione pewnymi zbieżnościami. Oto bardzo charakterystyczne dla młodego Bażana urywki poematu, *Imobe z Halamu*:

Gdy ptaki stęsknione
 krzykną
 w papirusach znojných
 i czarnym muskusem zgęstnieje niebo,
 w gąszczach lasu
 kryje się wojownik
 starożytnego zakonu Maghrebu.
 W niebo wpiły się jak kraby,
 w ziemię wsącza się namuł cieni,
 a pod liśćmi rudych baobabów
 rozkwita emalia żrenic.

Imobe z krainy Halamu,
 a z nim czarnych niewolników ławy
 w noc powstańczę i pod wtór tam–tamu
 nabijają karabin rdzawy.

Nie marabut to od rzeki krzyczy,
 nie kobiety biją w piersi buklaki,
 to tam–tam dudnieniem tajemniczym
 niewolnikom podaje znaki.

W noc powstańczą, w noc ślepiów tygrysih
przez sitowia przemyka murzyn.
I nie wiedzą biali spahisi,
czemu mrok krwawe gody wróży.

W noc powstańczą, w noc tęsknej żaloby,
kiedy księżyc banany cmoktał,
podpełził czarny niewolnik Imobe
pod biały francuski blokhaus.

Groźny jęk mroczne niebo rozkrywał,
Z łona nocy pełźnie wycie hyjen.
To dla ciebie, Halam, czarny kraju,
Imobe w bagnisku gnije.

Wiosną znowu zapachnie bambuh
i czad żeńskich piersi nieprzytomny.
Znojna noc kraj Halamu otuli
i o wszystkim jego serce zapomni.

Któż spamięta w noc zmysłowej zawieruchy,
kiedy zapach bambuli żądzą chlusta,
jak wpełzały sinawe muchy
w zakrwawione Imobe usta?

Ale Murzyn

 sam się stanie

 samumem,

bojownicy wstaną z rabów rzeszy
i rebelia rozjarzonym szumem
w twarz blokhausu uderzy.

Poemat powstał w roku 1926. Był to okres sielankowy dla literatury w zestawieniu z późniejszymi czasami. Toczyły się żywe, niekiedy gwałtowne dyskusje literackie, różne tendencje i kierunki miały pełne prawa obywatelskie. Dopiero w kilka lat potem zaczęło się przyciskanie śruby, ustawianie pisarzy w szeregu i rozciąganie ich na Prokrustowym łożu doktryny marksistowskiej. Od biedy *Imobe z Halaamu* zmieściłby się nawet w ramach „sorealizmu”, jako poetycki wyraz „współczucia w stosunku do walki ludów kolonialnych” i dowód „marksistowskiego internacjonalizmu”. Nie potrzeba zresztą wielkiej przenikliwości, by odkryć w zacytowanych urywkach takie ciężkie grzechy, jak „dowolność ideowa” i „nadmiar estetyzmu”. Bażan z roku 1936 już by tego wiersza nie wydrukował. A oto sonet z tego samego, wczesnego okresu: *Noc Żalziak*:

Zbliżyli się do jaru. Cień ponury płynie
za każdym, jak ponocna czarna mara.
Skrzyp wozów – muzyka stepowa stara –
i koła grzęzną w rozmieszanej glinie.

Snuje się nurt odwiecznych groźnych narad
na śmierć i pomstę szlachcie w Ukrainie.
Do cerkwi zimnojarskiej ściąga w tej godzinie
hreczkosiej, mnich, koniokrad i psiawiara.

I wzburzył się i zacichł naród w lasach bujnych
Chłop, kozak, mnich ponury i rozbójnik
wsłuchani w wieszczce krzyki kurów trzecich.

Aż na zbudzone cerkwie spadł spizowy alarm
i cieni buntowniczych rozjuszona fala
od jaru urocznego w mroczne stepy leci.

Ujęcie ludowej rebelii od strony bujnej malowniczości, jakże przypominającej *Zamek Kaniowski*⁴⁹⁷ Goszczyńskiego i *Sen Srebrny*

⁴⁹⁷ Poemat romantyczny nawiązujący do wydarzeń koliszczyzny.

Salomei,⁴⁹⁸ nie ma oczywiście nic wspólnego z marksistowskim widzeniem historii. Co więcej, nawiązanie do anarchistycznych, hajdamackich tradycji miało dla czytelnika, nieostyglęgo jeszcze od ognia rewolucyjnej „atamańszczyzny”, specjalny posmak, na pewno bardzo daleki od wszelkich socrealizmów. Gdy zacznie się systematyczne przyciskanie śruby, Bażan wierszy tego typu pisać już nie będzie. Ucieknie we wschodnią filologię i prace przekładowe, schroni się za malowniczym murem gruzińskich i uzbeckich motywów. Oczywiście, nawet i tam musi odklepywać urzędowy paciorek, wspomnieć o młodym Stalynie, spacerującym po górach kaukaskich (*Poranek w Gori*), zapewnić o szczęściu i braterstwie narodów, żyjących w granicach Związku Sowieckiego. Za tę cenę udaje mu się w innych wierszach być sobą. Najczęściej jednak marksistowski dydaktyzm narzuca się natrętnie i podcina żyły, wypuszczając krew poetycką.

Poemacik *Tancerka* zaczyna się świetnym opisem. Żywioł tańca porywa uzbecką dziewczynę. Żywioł muzyki. Zawierucha gestów i barw.

Z śpiewu i złota spienione jedwabie,
ramiona jak płomienie, pnące się ku górze,
zastygły w niemym geście – i coraz im słabiej.
I bębna rytm. Wpatrzona, bezwiednie mu wtórzę.
To dziewczyna z odwiecznych wybrzeży Egiptu
przechodzi przez księżycy cienie srebrnolite.
A szaty moje są, jak strony manuskryptu,
na których usnął Hafis w skrętach liter.

Khorezmu stary zew w porywach bębna głuchych
potężnym echem przestrzeń wskroś przerażał.
Drząc, czekam. Muzyka, jak płomień zawieruchy
wyrasta w górę. Huk we wściekłych trąbach.

⁴⁹⁸ *Sen srebrny Salomei*, dramat J. Słowackiego (1844).

I w lesie dźwięków, po orkiestry śladach,
gdy stopy me ogarnia płomień barwnych wiatr,
unoszę się i lecę, wstaję i upadam!
I wplątam życie w tańca znojnny wiatr!

Ale żywioł tańca i muzyki nie zdołał zagłuszyć „świadomości proletariackiej”. Poeta przypomniał sobie na czas, że w Sowietach życie jest „zamożne i szczęśliwe” i że trzeba to jakoś uczcić. To, co zapowiadało się jako doskonały poemat, roztapia się w obowiązkowym dydaktyzmie.

Ach, znam zwyczaje wszystkie stare i podstępny
pramatek moich, smutnych, niemych i bez siły.
Tak samo dla nich grzmiąły niegdyś bębny,
tak samo trąby hucznie zawodziły.

Noszę je w sobie, niepoznane ale żywe,
ich czar, ich chytryść we mnie snów wyzwała taniec,
tych, co ginęły wśród pól gliniastych Chiwy,
w sogdiańskich piachach, w stepach i Ferganie.
Widzę ich ciała, gesty rąk powolnych,
zwichrzone, ciemne włosy, ich spojrzenia chyże;
czuję ich wzrok – nałożnic i niewolnic,
dręczących się do śmierci w służbie i jasyrze.
Każdym krokiem ich starą boleść śledzę
i tańca mego pieśnią uroczystą
dziś wypowiadam całą życia wiedzę
o szczęściu i miłości wolnych ludzkich istot.

Aż dźwięk zwycięskiej trąby, idąc po mych śladach,
skończy ten taniec: – Serce, spocznij już!
Tak radość spowiadając, widzom opowiadam
kobiece dzieje, dzieje naszych dusz!

W tomie *Budowle*, wydanym w roku 1929, Bażan osiągnął punkt kulminacyjny swego rozwoju. *Getto w Humaniu*, *Noc Hoffmana* – to prawdziwe arcydzieła, w których niesamowita wyobraźnia, ostry, do karykatury prowadzący zmysł satyry, brutalna, a zarazem niezwykle celna metafora, maksymalna kondensacja treści i rozpalona do białości mowa łączą się harmonijnie w zamierzony kształt architektoniczny. Potem – zwykła dola sowieckiego pisarza! – przyszło nocne przesłuchanie w NKWD, załamanie się i postępowy paraliż wielkiego poetyckiego talentu.

IV.

Rozwój poezji ukraińskiej na emigracji, z głównym ośrodkiem w Pradze Czeskiej (Małaniuk, Łypa, Darahan,⁴⁹⁹ Olżycz, Laturyńska⁵⁰⁰ Stefanowycz,⁵⁰¹ Teliha, Mosendz⁵⁰²) i na Ziemi Czerwieńskiej (była ona w stosunku do Kijowa i Charkowa literacką prowincją, trącą swoistą parafianstwą) – szedł własnymi drogami. Z biegiem lat, zwłaszcza po wojnie, wpływy klasycystyczne przybierały systematycznie na nasileniu. Jeśli ów klasycyzm był u późniejszego Małaniuka wynikiem naturalnego uspokojenia i dojrzałości, a u Stefanowicza i Olżycza przyrodzonym żywiołem, w innych wypadkach stanowił tyranię mody literackiej albo po prostu terror krytyki, zanadto zapatrzonej w Zerowskie Nauzyki i Astreje.

Nietrudno odróżnić, gdzie mamy do czynienia z autentycznym przeżyciem i świadomą, samodzielnie wypracowaną postawą artystyczną, a gdzie z mozolną kopią pilnych uczniów, którym sztywna pedagogia utrudnia odnalezienie własnej drogi.

Największym wydarzeniem poetyckim ostatnich lat było ukazanie się dwóch tomów wierszy: Małaniuka *Władza* i Oresta *Gość*

⁴⁹⁹ Jurij Darahan (1894-1926), ukraiński wojskowy i poeta.

⁵⁰⁰ Oksana Laturyńska (1902-1970), poetka ukraińska, po 1945 r. na emigracji w USA.

⁵⁰¹ Oleksa Stefanowycz (1899-1970), poeta ukraiński, po 1945 r. na emigracji w USA.

⁵⁰² Leonid Mosendz (1897-1948), pisarz, poeta i tłumacz ukraiński, po 1945 r. na emigracji w Szwajcarii.

i gospoda. Dla czytelnika polskiego, który śledził przekłady poezji ukraińskiej, często ukazujące się na łamach prasy literackiej przed wojną (Hollendera,⁵⁰³ Jastrzębca-Kozłowskiego,⁵⁰⁴ Czechowicza,⁵⁰⁵ niżej podpisanego), Małaniuk jest starym znajomym. Autor *Pierścienia Polikratesa* wypełnił osobny rozdział w historii współczesnej poezji ukraińskiej. Po wyzwoleniu się spod silnych niegdyś wpływów rosyjskich (wpływ Błoka⁵⁰⁶ był raczej ujemny, bo zbyt powierzchowny; Gumilowa⁵⁰⁷ – dodatni), Małaniuk zdobył się na własną wizję historiozoficzną i artystyczną Ukrainy – i pod tym względem jedynie Oleh Olżycz mógłby się z nim mierzyć. Ale ten zginął zbyt młodo w nazistowskiej katowni i jego wielkie możliwości nie doczekały się pełnej realizacji. W jednostronnym i krzywdzącym pamflecie, wydanym przed samą wojną w Warszawie, Andrij Kryżaniwśkyj⁵⁰⁸ nazwał Małaniuka ironicznie „wieszczem”. Możemy śmiało przystać na to określenie, odarłszy je uprzednio z ironicznego cudzysłowu. Jeśli bowiem wieszczowanie narodowi w romantycznym tego słowa znaczeniu polega na odkrywaniu mrocznego sensu dziejów, prostowaniu dróg przyszłości i poddawaniu bezlitosnej chłości „rubasznego czerepu”, by wyzwolić z niego „duszę anielską”, Małaniuk istotnie jest wieszczem. Bez cudzysłowu.

O *Pierścieniu Polikratesa*⁵⁰⁹ pisałem już przy innej okazji, że stanowi szczytowe osiągnięcie poezji Małaniuka i zarazem punkt triangulacyjny poezji ukraińskiej XX wieku. Ostatnio wydany tom, *Władza*⁵¹⁰ (w ł a d a w języku ukraińskim brzmi silniej i ostrzej, posiada pewien posmak archaiczny) nie rozszerzył zakresu tej liryki, najwyżej bardziej uwypuklił ton apokaliptyczny, akcenty kata-

⁵⁰³ Tadeusz Hollender (1910-1943), poeta i tłumacz polski.

⁵⁰⁴ Czesław Jastrzębiec-Kozłowski (1894-1956), poeta, tłumacz i filozof.

⁵⁰⁵ Józef Czechowicz (1903-1939), poeta i prozaik tzw. II awangardy.

⁵⁰⁶ Aleksander Błok (1880-1921), poeta i dramaturg rosyjski.

⁵⁰⁷ Nikołaj Gumilow (1886-1921), poeta rosyjski.

⁵⁰⁸ Andrij Kryżanywśkyj, (1906- zm. po 1945), współtwórca ukraińskiego czasopisma „My”. Pracownik Ukraińskiego Instytutu Naukowego, działacz ruchu prometejskiego. Po 1945 r. mieszkał w Niemczech.

⁵⁰⁹ Є. Маланюк, *Перстень Полікрата*, Львів 1939.

⁵¹⁰ Є. Маланюк, *Влада*, Філадельфія 1951.

strofizmu dziejowego w „czasach pogardy i lęku”. Ból i cierpienie z rzadka tylko wybuchają w rozpacz i gniew; melancholia i rezygnacja coraz częściej przecinają drogę wierszom, zawsze zachowującym tę samą równowagę formalną, jaka przejawiała się w pełni dojrzałości już w zbiorze poprzednim. Wielkie uspokojenie – tak by można nazwać ten zbiór. To nic, że jest ono zaprawione goryczą tragicznych przeżyć, klęsk i rozczarowań; smak piołunu nie wykrzywia ust do grymasu, ale układa je w spokojnym choć bolesnym uśmiechu w obliczu nędzy i upadku naszej epoki.

Charakterystyka ta dotyczy przede wszystkim wierszy pisanych po wojnie. Liryki wojenne (niektóre z nich były drukowane na łamach „Kultury”) przypominają bardziej dawnego Małaniuka, który nie stronił od inwektywy i persyflażu, ani od publicystyki polityckiej, w najszlachetniejszej zresztą odmianie tego rodzaju, który legitymuje się przecież *Piekieł* Dantego i *Grobem Agamemnona* Słowackiego.

O, jakież trudny wiosny poród –
w żalości, plusze i tumanach.
Jak jad – niedopełnionej zmory
ta noc, od łez i kwiatów pijana.

A dni jak martwe wody świecą,
trzeźwości w nich i grzechu tyle.
I sił już brak. Zaczekaj nieco –
jeszcze słoneczne przyjdą chwile.

W błękit się zmieni niebo szare
i nurt rozleje się szeroki
Więc połóż znak modlitwy starej
przeciw zatracie złej epoki.

Nie ma ruin. Huk wojny tu nigdy nie gościł.
Nikt przez góry jej ognia na miasto nie rzucił.

Siwy Heidelberg śni o wesołej przeszłości,
co minęła i już nie powróci.

Tak i my powtarzamy naszą młodość i radość,
tak i my, zagubieni, błądzimy boleśnie.
I te noce i dni, ogarnięte złą zdradą,
przeżywamy nie na jawie a we śnie.

I oto radość z wiatrem się poniosła,
zmroczył się dzień, choć w kwiatkach stoi ziemia.
Rytmicznie w wodę zanurzone wiosła
i śpiewa fala... Ale wiosny nie ma.

Spłoszony ptak odleciał gdzieś na wyraj.
Daremnie wołać i powrotu czekać.

I płynie rzeka w obojętnych wirach.
Czas płynie, obojętny jak ta rzeka.

Małaniuk drukuje ostatnio bardzo niewiele i nie bierze żadnego prawie udziału w życiu literackim. A szkoda, gdyż ma wszelkie dane po temu, aby odegrać rolę przewodniczą w stosunku do młodszych generacji poetyckich, przeważnie zdanych na własny brak doświadczenia w niełatwej żegludze między mieliznami i podwodnymi rafami, wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw. Trudno przewidzieć dalszy rozwój poetycki Małaniuka, dobiegającego już sześćdziesiątki. Ale jako eseista i krytyk literacki miałby wiele do zrobienia.

* * *

Najbardziej konsekwentnym kontynuatorem kijowskiego „neoklasycyzmu” jest niewątpliwie młodszy brat Zerowa, pisujący – jak już zaznaczyłem uprzednio – pod pseudonimem Mychajły Oresta. Urodzony w roku 1901, przeszedł (nieodłączny los ukraińskiego pisarza!) przez aresztowania, badania w NKWD, więzienia i de-

portacje. Był zbyt młody, jako pisarz, w latach generalnej eksterminacji i to prawdopodobnie pozwoliło mu uratować się przed fatalnym końcem. Pierwszy jego zbiór wierszy, *Echa lat* wyszedł we Lwowie pod okupacją niemiecką, ostatni, najdojrzałszy, *Gość i gospoda*, w roku 1952.

Jeśli w poprzednich zbiorach było jeszcze sporo werbalizmu, pustki zatykanej byle jakimi słowami, tego, co u nas teoretycy awangardy piętnowali jako „automatyczne strofkarstwo”, „niekontrolowane lirycznie”, „tromtadratyzm tematyki”, „mechaniczność skojarzeń”, ostatnia książka stanowi (z minimalnymi wyjątkami) dowód całkowitej artystycznej samowiedzy i pełnego zharmonizowania przeżycia z jego poetyckim wyrazem.

Serce lipowym wita aromatem
zalana złotem słońcem Fuggerstrasse.
Jak słodko być przez chwilę poza światem
i poza obcym, nieprzyjaznym czasem.

On płynie – gorycz wzbiera coraz częściej,
że tyle pustych miejsc przy stołach naszych.
I ciężka дума o straconym szczęściu
i szlak wygnańczy smutne oczy straszny.

Ani nas cieszą słynne w świecie miasta,
nie wzruszą się ich pięknem zmysły słabe
i serce jadem gorzkich słów przerasta:
*Was frommts, dergleichen viel gesehen haben?*⁵¹¹

Może, iż w czas ponury pożegnania
nikt nas na drogę nie pobłogosławił
dusza pod męki popiołem się slania
nie wierząc nawet, że ją przyszłość zbawi.

⁵¹¹ Cóż mi, zem widział tylu rzeczy rozczyn? [Hugo von Hofmannstahl, *Ballade des ausseren Leben – Ballada o życiu zewnętrznym*, przeł. Z. Przesmycki].

Lecz od udręki wolny dzisiaj jestem,
przez chwilę poza obcym, zimnym czasem.
I w serce lipy wieją swym szelestem
i tonie w słońcu cicha Fuggerstrasse.

Raz jeszcze w myśli młodość ma przemija –
O, tak, umarła – lecz dla mnie jedynie;
i jest obecna – wszystkich i niczyja
i jasną strugą przez powietrze płynie.

Tak, jest obecna. W jasnych oczach świeci
w beztróskich, ufnych oczach skryć się umie,
w dzwoniących głosach rozbawionych dzieci,
w liściastej gęstwie i w kasztanów szumie.

Radosny tułacz, wiem, że nie ominą
mej gorzkiej drogi Boży wiatr łaskawy
aż tam w obłokach, co na skrzydłach płyną
w wysoki błękit nietutejszej sławy.

Elegijny nastrój nieodłączny jest od liryki Oresta. Ale jest to elegijność przyrodzona, którą los bezdomnego wygnańca przesycą niekiedy większą goryczą czy nawet protestem, ale jej w żadnym wypadku nie determinuje. W parze z nią idzie filozoficzna zaduma nad światem i sensem istnienia. Wszechobecność przemijania ciąży nad tą liryką nieustannie, ale jej nie przytłacza ani nie budzi w niej buntu czy lęku. Poeta idzie wędrownym zagajnikiem, słyszy szelest opadających liści, oddycha pełnią dojrzałości, która za chwilę ulegnie gniciu – i na korze spotkanych drzew zaciosuje swoje wędrowne znaki.

Jeszcze świąteczny zieleni się wieniec
i w świetle liście kasztanów i cisów

lecz spójrz: powoli zaczyna czerwienieć
ukryty w ciszy owoc berberysu.

Co rok odchodzi lato i corocznie
czujemy z bólem tych odejść ukłucie.
Tak rzadko serce w pełnym szczęściu spocznie,
tak mało dla nas radości i uciech.

Bogactwo duszy! Radosne marzenie,
którym na zawsze dobry los nas darzy!
...Nagle na świecie światła i zieleni
stajemy smutni, pobladli i szarzy.

Mądre pogodzenie się z losem sprowadza na panteistyczne wiersze Oresta aurę łagodnego spokoju i równowagi. Nie ma tu dysonansów, gwałtownych kontrastów, wyrwywającego się ze ściśniętych ust krzyku, jaskrawych kolorów, za to mamy przed sobą wielką przezroczystość wysokiego nieba i czyste chłodne powietrze całkowitego uspokojenia. Podchwyciła tę cechę krytyka literacka, która w osobie profesora Dierżawina⁵¹² proponowała dla tomu Oresta tytuł *Przezroczystość* (w polszczyźnie brzmi to raczej sztucznie, ukraińska *Prozorist* jest znacznie lepsza).

Minęły dni słoneczne, kiedy przyszedł
czas, który w ustach ufność pragnień budził.
W obwarowanej przeczuciami ciszy
trwa smutnooki twych osiągnięć udział.

Tyś nieodrodnym synem listopada,
ze skąpstwa jego rozsądnie korzystaj...
Oto z chłodnących wierzchołków opada
spizowych płodów prawda wiekuista.

⁵¹² Władimir Dierżawin (1908-1975), sowiecki poeta i tłumacz.

Z tradycyjnym pojęciem klasycyzmu łączy się dyscyplina myślowa i formalna, oszczędność i jasność słowa, celna a daleka od rozrzutności metafora, nieomylna koordynacja wszystkich środków technicznych. Orest posiada wszystkie te cechy w identycznej proporcji. Ponieważ jednak toczący się w ukraińskiej prasie literackiej spór między obrońcami „klasycyzmu”, z Dierżawinym na czele, a zwolennikami stylu „organicznie narodowego” (tu ukłon należy się profesorowi Szerechowi⁵¹³), doprowadza bardzo często do zajmowania skrajnych stanowisk, utrudniających lub wręcz paraliżujących wszelki obiektywizm, doszło do tego, że jedni przesadzają w pozytywnej ocenie Oresta, inni zaś po prostu odmawiają mu miana poety, traktując go jako epigona, „małpującego” innych, czy też zgoła (jeśli wierzyć Todosiowi Ośmaczce⁵¹⁴) jako „plagiatora” i „złodzieja”. Ale wraz z tym wkraczamy w dziedzinę jednego z największych nieporozumień w ukraińskim życiu literackim.

Na marginesie muszę podzielić się z czytelnikami pewną wątpliwością. Mam na myśli nie tyle czytelnika polskiego, co ukraińskiego – co o tyle ma sens i usprawiedliwienie, że „Kultura” dociera i do Ukraińców. Ogłosiłem w swoim czasie w tejże „Kulturze” szkic o ukraińskiej literaturze emigracyjnej. Zapewne, było tam sporo luk czy pomyłek, może były i niesprawiedliwe oceny, ale pisałem go z całą dobrą wolą. Na moje nieszczęście szkic ten został w całości lub we fragmentach przedrukowany przez niektóre czasopisma ukraińskie. Mówię – na nieszczęście, bo w ten sposób wspomniany przed chwilą „pogromca” Oresta, pan Todoś Ośmaczka, dowiedział się, że jego poematy nie znalazły u mnie uznania. Po czym zapalał świętym gniewem i na kilkuwierszową o sobie wzmiankę odpowiedział na dwudziestu szpaltach kanadyjskich „Nowych Dni”, niszcząc mnie osobiście, moje wiersze, a ponadto dopatrując się w moim

⁵¹³ Jurij Szewelow (ps. Szerech) (1908-2002), lingwista, historyk literatury i krytyk ukraiński niemieckiego pochodzenia. Początkowo w USSR, po 1945 r. na emigracji w USA, gdzie wykładał w tamtejszych uniwersytetach.

⁵¹⁴ Teodosij Ośmaczka (1895-1962), poeta i tłumacz ukraiński, początkowo żył w Ukrainie sowieckiej, a po 1945 r. na emigracji w USA.

artykule tradycyjnej polskiej intrygi, boć atakując jego, Ośmaczkę, atakuje się w ogóle najwyższe wartości kultury ukraińskiej. Todsiam zajmę się szczegółowiej przy innej okazji, bo mi dostarczył iście klinicznego przykładu pewnych ukrytych kompleksów patologicznych i, w charakterze żaby, rozpiętej na laboratoryjnym stole, może okazać się pożyteczny. Polemika literacka z nim byłaby natomiast o tyle bezprzedmiotowa, że – jak na razie – skrajne wypadki paranoi i schizofrenii nie są włączane do poetyki, zaś jegomościa, który sam o sobie pisze, że jest wyjątkowym poetą w światowej skali, tylko dlatego nieuznanym, iż go (*eheu, eheu!!!*) nie tłumaczono na obce języki, najlepiej polecić miłosierdziu Bożemu. Ale i ja przy tej okazji poproszę o litość. Czy zadanie pisarza, który uparł się od czasu do czasu informować polską czytającą publiczność o literaturze ukraińskiej, polega na chwaleniu wszystkiego w czambuł? Mogę się pomylić w tej czy innej ocenie – nie ja pierwszy i nie ostatni. Ale czy naprawdę ujemna opinia o tym czy innym ukraińskim poecie powinna, jak w artykule Ośmaczki, wydrukowanym w „Nowych Dniach”, utożsamiać się z nowym zamachem *lackoho woroha* na niepodległy Kijów? Zamachem tym nikczemniejszym, że obejmującym i Ośmaczkę, siedzącego w charakterze narodowej relikwii na szczycie Złotej Bramy! A ja anim się spodziewałem, że pisząc o nim popełniam świętokradztwo i bluźnierstwo!

V.

Zaraz po wojnie powstała w Niemczech – gdzie skupiała się wówczas lwia część ukraińskich pisarzy – organizacja literacko-artystyczna pod nazwą MUR. Jej zadania określono w następujący sposób: „MUR powinien stać się ideowo-organizacyjną federacją wszystkich literackich kierunków” – z tym, że mogą one istnieć obok siebie, a nawet rywalizować i przeciwstawiać się sobie nawzajem. Rychło przecież powstały komplikacje i konflikty, które z biegiem czasu doprowadziły do rozłamów, a wreszcie do całkowitej likwidacji MUR.

W zaciętych polemikach, związanych z tym okresem, a sporadycznie rozwlekanych i na dzień dzisiejszy, zbyt często spotykano się na marginesach zagadnienia. A – jak to często bywa w takich wypadkach – momenty polityczne, a nawet osobiste grały za dużą rolę. Na niepowodzeniu zaciążył przede wszystkim nadmierny pośpiech. Upierano się, by z czwartku na poniedziałek określić jakiś ogólny i – jakżeby nie! – wszystkich obowiązujący styl literacki, wynikający „organicznie” z psychiki i kultury narodowej. Szalały najrozmaitsze interpretacje. Pozwy, wyroki, kondemnaty, banicje, manifesty i uniwersały mnożyły się jak grzyby po deszczu. Styl „organiczny” stał się i „wańką-wstańką” w rękach prestidigitatorów i czekiem bez pokrycia, którym legitymowali się przysięgli grafomani, i czapką niewidką na rozczochranej głowie wciąż jeszcze powracającego widma pseudoludowości. W imieniu tegoż nieistniejącego stylu można było udowodnić właściwie wszystko: potępić neoklasyków i postawić na piedestale Ośmaczkę i Barkę,⁵¹⁵ albo właśnie na odwrót – stawiać neoklasyków za wzór, odrzucając Barkę i Bahriane-go;⁵¹⁶ przekreślać współczesną literaturę albo ogłaszać ją za równą literaturze Zachodu, a nawet proponować surrealizm jako najwłaściwszy wyraz epoki – choć gdzie indziej przestał on w ogóle cokolwiek „wyrażać”. Jak powiedziałem, cały ten mętlik wynikł z nadmiernego pośpiechu; w rozgorączkowaniu zapominano, że prawdziwy styl narodowy nie tworzy się w referatach i teoretycznych dyskusjach, a przede wszystkim że odgrywa on rolę mianownika, a w żadnym wypadku nie może być uzurpatorskim licznikiem ani nawet sumą wszystkich istniejących liczników.

Główna batalia między regimentarzem „narodowych organiczników” Jurijem Szerechem i marszałkiem *europaizantów*, Włodzimierzem Dierżawinym, skończyła się bez przelewu krwi. Miecze skrzyżowały się raz i drugi, a następnie zawisły w po-

⁵¹⁵ Wasyl Oczeret (ps. Wasyl Barka) (1908-2003), poeta, prozaik i tłumacz ukraiński. Mieszkał na Ukrainie sowieckiej, a po 1945 r. na emigracji w Niemczech i w USA.

⁵¹⁶ Iwan Bahriany (1907-1963), pisarz, publicysta i polityk ukraiński. Do roku 1939 w ZSRR, po 1945 r. na emigracji, członek władz emigracyjnych ukraińskich.

wietrze. A właściwie mówiąc, nie było o co wyruszać do boju. Bo jeśli Szerech oświadczał przy jakiejś okazji, że „w literaturze ukraińskiej należy kultywować wszystkie style i wszystkie rodzaje”, zaś jego przeciwnik z całą słusnością odnawiał stary postulat Jewszana⁵¹⁷ – „trzeba stanąć na stanowisku wyłącznie estetycznym i przykładać do literatury jej własną miarę”, zaś kiedy indziej podkreślał oczywistą prawdę, że „w narodowej literaturze w s z y s t k i e style są narodowe” – to gdzie właściwie była różnica, domagająca się aż wyciągania szabel z pochew? Otóż różnice były i to poważne – w ocenie poszczególnych zjawisk literackich. Tu dochodzimy do sedna rzeczy: kryteria artystyczne były niewspółmierne – i takimi w krytyce emigracyjnej pozostały po dziś dzień. Fakt, że bajkopisarstwo Manyły w o g ó l e mogło wzbudzać jakieś dyskusje literackie, stanowi tego dowód najjaskrawszy.

Neoklasycyzm był literaturze ukraińskiej nie tylko potrzebny, ale i k o n i e c z n y. Oczywista, krytyk, który każde zjawisko chce podciągać siłą swego autorytetu pod klasycystyczne kryteria, popełnia błąd i wyrządza szkodę. W wypadku Oresta klasycyzm jest zrozumiały sam przez się, bo wyraża autentyczną postawę autora; w wielu innych wypadkach staje się wynikiem pozy, mimikry, ulegania estetycznemu terrorowi. Z drugiej strony, anatemy rzucane z z a s a d y na kontynuatorów „Chwyłowizmu”⁵¹⁸ grzeszą taką samą jednostronnością.

Każda tradycja literacka ma prawo obywatelstwa, chodzi tylko o to, czy się ją podejmuje w sposób twórczy czy epigoński.

Przykład: Wasyl Barka stanął szeregami swoich wcześniejszych utworów na linii Tyczyny i wyglądało na to, że ją będzie kon-

⁵¹⁷ Mykoła Jewszan (1890-1919), ukraiński krytyk literacki.

⁵¹⁸ „Chwyłowizm” łączy się z nazwiskiem wybitnego prozaika ukraińskiego, Mykoły Chwyłowego, który pod naciskiem żądań partyjnych popełnił samobójstwo na początku trzydziestych lat XX wieku. Wiele w jego koncepcjach ideowo-literackich tłumaczy się okolicznościami, w jakich powstawały: to i owo nie straciło aktualnej wartości i po dziś dzień. Na temat Chwyłowego i „chwyłowizmu” pisano już parokrotnie na łamach „Kultury” [przyp. Redakcji „Kultury”].

tynuować właśnie twórczo. Jeśli stało się inaczej, winy nie ponosi zasada: zawiniło wykonanie. Nie c o, ale j a k. Ciekawe – Bażan nie znalazł kontynuatorów. A szkoda! – W jego liryce pierwszego okresu otwiera się wiele perspektyw, prowadzących ku nie byle jakim horyzontom. Takich ścieżek, zaledwie wydeptanych u swoich początków, jest znacznie więcej. Zatrzymam się na jednej z nich. Chodzi o coś bardzo ważnego, bo ni mniej ni więcej, tylko o barok ukraiński.

Jego ciężar gatunkowy odczuwa się we współczesnej poezji ukraińskiej jedynie sporadycznie. Silnie dochodził do głosu u Małaniuka z okresu *Ziemi i żelaza*.⁵¹⁹ Gdyby Antonycz nie zmarł tak młodo, zapewne po przewyciężeniu zrozumiałego w tym wieku rozwichrzonego imażynizmu doszedłby do baroku. Tkwi w nim bardziej całym swym temperamentem artystycznym niż świadomością Jurij Kosacz. U młodych i najmłodszych świeci raczej nieobecnością. U niektórych przybiera formy parodii.

Ta nieobecność – czy też obecność fragmentaryczna – baroku we współczesnej poezji ukraińskiej wydawała mi się zawsze zjawiskiem paradoksalnym. Nie będę zastanawiać się na powodami, bo zresztą i niedostateczna znajomość przedmiotu na to mi nie pozwala, wystarczy wskazać na fakt. Bo przecież merytorycznie i historycznie barok ukraiński aż prosi się o świadome podjęcie i twórczą kontynuację... Bliższe przyjrzenie się literaturze hiszpańskiej i polskiej w całości wydaje się potwierdzać taką opinię. Pozornie nie ma to nic do rzeczy, ale tylko pozornie. Literackie studia porównawcze dają niekiedy najlepszy klucz do wielu zagadnień – i tak właśnie jest w tym wypadku. Barok hiszpański był logiczną konsekwencją długotrwałego obcowania z kulturą arabską (nie zapominam i o innych źródłach, ale nie obchodzą nas one w tej chwili); barok polski musiał przyjść i przyszedł w najbujniejszym wydaniu na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, gdzie spadek grecko-bizantyński poddany był smalącym wichrom eurazjatyckim. Gdy Juliusz Słowacki w *Beniowskim* i dramatach doby mistycznej włączył do

⁵¹⁹ Wydanie: Paryż 1930.

swej twórczości motywy ukraińskie, natychmiast podjął całe bogactwo tradycji barokowej, a to, że *Principe Constante* Calderona de la Barca⁵²⁰ spotkał się wówczas z konfederatami barskimi, z Sawą i Wernyhorą, a także – podkreślam – z Semenką ze *Snu srebrnego Salomei*, stanowi dowód nieomylnego instynktu artystycznego u krzemienieckiego poety, a przede wszystkim właściwego wyczucia stylu. Oczywiście, Słowacki, przenosząc barok w dobę romantyzmu, komentował go po swojemu: dawał jego nową, współczesną wersję, ale stylistycznej integralności to nie naruszyło w najmniejszym stopniu. I ten właśnie styl decyduje bardziej niż cokolwiek o jego uniwersalizmie artystycznym, co zgodnie podkreślają najwybitniejsi sławiści współcześni, z profesorem Backvitem⁵²¹ na czele.⁵²²

Rzecz prosta, nie tematyka zadecydowała u autora *Beniowskiego*. Narzuciła się ona spontanicznie, ale zadecydować nie mogła. Tematykę ukraińską znajdujemy już w młodzieńczych utworach Słowackiego, ale tylko jako czystą anegdotę. *Żmija** mógł wyjść spod pióra któregośkolwiek z licznych w ówczesnej Europie bajronistów – i to niezależnie od jego narodowości. Wschodnia polskość i ukraińskość Słowackiego – pamiętam o wszystkich możliwych zastrzeżeniach – objawiły się w całej pełni w zetknięciu z barokiem. Sądzę, że właśnie tak należy rozumieć „organiczność” stylu „narodowego”.

* *Romans poetyczny z podań ukraińskich w sześciu pieśniach*, osnuty na ukraińskiej legendzie. Jego bohaterem jest ataman zaporoski o przezwisku Żmija.

⁵²⁰ Pedro Calderón de la Barca (1600-1681), hiszpański poeta i dramaturg. Jednym z jego najważniejszych dzieł był *Książę niezłomny*, wydany w 1629 r. Na j. polski dramat przetłumaczył w 1843 r. J. Słowacki.

⁵²¹ Claude Backvis (1910-1998), belgijski sławista specjalizujący się w historii literatury polskiej.

⁵²² Myślę, że kiedyś, gdy czas i odzyskana niepodległość złagodzą kompleksy antypolskie, twórczość Słowackiego owego okresu doczeka się solidnych studiów ze strony ukraińskiej. Jak na razie, trzeba się zadowolić krótkimi wzmiankami Jewhena Małaniuka i Światosława Hordyńskiego (w czasopiśmie „Kijów”) [przyp. J. Łobodowskiego].

VI.

Powiedziałem, że we współczesnej poezji ukraińskiej barok występuje raczej sporadycznie. Wśród wymienionych przykładów zabrakło nazwiska Bażana. Skorygujmy ten brak. Zaryzykuję twierdzenie, że gdyby Kompartia nie wykończyła Bażana jako twórcy, dałby on swoistą wersję ukraińskiego baroku. Co najmniej posiadał wszystkie dane ku temu. Bujna wyobraźnia, uchwycona w rygor architektoniczny, bogactwo szczegółów porządkowanych idei całości, skłonność do artystycznego brutalizowania, świadoma deformacja, zatrzymująca się na granicy karykatury czy groteski – toż to typowe elementy barokowego stylu. Wszystkie te elementy znajdziemy w najlepszych utworach Bażana.⁵²³

I czyż jego zamiłowanie do orientalizmu (Bażan dał świetne przekłady z poezji gruzińskiej, perskiej, tiurskiej i uzbeckiej) nie stanowi jeszcze jednego wymownego dowodu?! Zdaje się, że to niemiecki historyk Werner Weisbach pierwszy określił barok jako „sztukę kontrreformacji”. Chciał przez to przede wszystkim podkreślić jego charakter religijny, pojęty nie jako z góry powzięte założenie, ale jako wynik klimatu psychicznego i duchowego.

Otóż dla mnie barok jest czymś więcej niż „sztuką kontrreformacji”. Jest sztuką uniwersalizmu chrześcijańskiego w znacznie większym stopniu niż jakakolwiek inna, z gotykiem łącznie, nie wspominając już pseudogotyku kirch protestanckich. Proszę zwrócić uwagę z jaką łatwością, w sposób najzupełniej naturalny mazepińska Ukraina przyjęła architekturę barokową. Jezuickie kolegiaty niczym nie rażą na tle wołyńskich Ołyk czy miasteczek białoruskich. I nie o pejzaż tu chodzi, bo pejzaż nie decyduje o wszystkim. Ostatecznie pejzaż niektórych zakątków Wołynia i – powiedzmy – Ile-de-France

⁵²³ Żałuję, że nie mam pod ręką moich przedwojennych przekładów *Getta w Humaniu*, a zwłaszcza *Nocy Hoffmana*. Zacytowane uprzednio poezje Bażana nie ilustrują w dostatecznym stopniu mojej o nim opinii [przyp. J. Łobodowskiego].

nie różni się tak bardzo. Rzecz w tym, że uniwersalizm barokowy podawał dłoń i bizantyzmowi, i innym stylom orientalnym.⁵²⁴

U jego fundamentów tkwiła ta sama idea, która, choć później wypaczona, doprowadziła jednak do Unii Florenckiej i Brzeskiej.⁵²⁵ W zestawieniu z nią włoski renesans i jeszcze bardziej pseudoklasycyzm Oświecenia – to po prostu zachodnioeuropejskie partykularyzmy.

A teraz – proszę się nie śmiać – wysunę „rewolucyjną” tezę, że poezja typu dawnego Bażana, zatem barokowa i n p o t e n t i a, nie tylko nie zaprzecza poezji typu kijowskiego „neoklasycyzmu”, ale ją organicznie uzupełnia. Renesans w swojej czystej treści stanowił całkowicie sztuczne przedłużenie starożytności, bowiem przeżytego czasu cofnąć nie można; barok – to autentyczna klasycyzność chrześcijańska. W tym więc sensie spod kolumn Partenonu jest znacznie bliżej do pierwszego lepszego jezuickiego kościoła, niż do włoskiej Santa Maria Maggiore. W barokowym Baturynie szkolna łacina i greka hetmana Iwana Mazepy czuły się u siebie w domu. I analogicznie – między zimnymi sonetami Zerowa i wybuchową liryką młodego Bażana istnieje bliższy i ściślejszy związek, niż to się wydaje wielu powierzchownym obserwatorom. Ale całe zagadnienie wymagałoby więcej od kilku luźnych uwag na marginesie i n f o r m a c y j n e g o szkicu.

VII.

Temat narodowy w jego patriotyczno-politycznym aspekcie panuje w całej poezji emigracyjnej. Zjawisko dobrze rozumiało u każdej emigracji, ale nie zawsze uzasadnione artystycznie. Podobnie jak

⁵²⁴ Podczas moich młodzieńczych wędrówek kajakiem po Polesiu trafiłem w jakiejś zapadłej wiosce (niestety nazwa wyleciała mi z głowy) na malowidło ściennie w miejscowej cerkiewce, przedstawiające Sąd Ostateczny. Prymitywny malarz dał w granicach techniki bizantyjskiej typowo barokowy obraz. Wiem, że w starych cerkwiach na Podolu było wiele malowideł podobnego typu [przyp. J. Łobodowski].

⁵²⁵ Unia florencka (1439), nieudana próba połączenia kościołów katolickiego i prawosławnego. Kontynuacją tych planów była Unia brzeska (1596).

wielu poetów przyjmuje zdeterminowany styl, zamiast dopracować się stylu własnego, tak prawie każdy z nich (wyjątki należą do białych kruków) składa dań narodowej sprawie. Wszyscy chcą wieszczować, choć nie każdego na to stać. Z pomocą przychodzi sztanca, gotowy odlew. Chór wygląda pokaźnie, ale wielka poezja nie ma nic wspólnego ze zbiorowymi popisami wokalnymi. Od razu też poznać, czy ktoś śpiewa „sobie a Muzom” (ową Muzą może przecież być z pełnym powodzeniem Nike Samotracka kłęski i nadziei), czy też pilnie śledzi poruszenia batuty dyrygenta. Podobnie na innym terenie nie trudno zorientować się, czy ktoś pisze sonety, bo je pisywali „neoklasycy”, czy też dlatego, że najpełniej wypowiada się za ich pośrednictwem.

Ale tonacji głosu, a przede wszystkim szczerości jego brzmienia jeszcze nikt nie podrobił. Z punktu widzenia artystycznego nieważne jest, jakim celom służy „propagitka” – usprawnieniu stachanowskiej rywalizacji czy chwale udręczonej ojczyzny. W jednym i drugim wypadku mamy do czynienia z tandetą, która nie ma najmniejszych szans przetrwania. Niepodrabianie narodowa – niech będzie i polityczna! – tematyka u Małaniuka, Olżycza, Telehy brzmiała naturalnie, a ponadto zawsze miała swój własny, indywidualny wydźwięk. Autentyczność katastrofizmu tegoż Małaniuka czy nieco później Hordyńskiego⁵²⁶ nie podlega najmniejszej wątpliwości, jak – znowu inny aspekt – nie podlega żadnym zastrzeżeniom przyrodzony klasycyzm Oresta.

Zresztą los narodowy, postawa wobec niego nie musi szukać natchmiasowego wyrazu w plakacie, manifestacie; może być równie dobrze – albo lepiej – nagrana na samotny flet, jak na dętą orkiestrę.

Zraniony dzień odchylił skroń na zachód,
jak książ schyliwszy tarczę swą czerwoną.
Trysnęły krwi rubiny ponad dachy
i wody stawu od czerwieni płoną.

⁵²⁶ Światosław Hordyński (1906-1993) poeta, tłumacz i malarz ukraiński, po II wojnie światowej na emigracji w Stanach Zjednoczonych.

Wiatr jak westchnienie ciszy i żaloby,
kadzidłem dymi jesień. O, jak dobrze!
Wieczór na oczy zsuwa ciemny kłobuk
i smutny odprawuje obrzęd.

A harc był huczny! Grzmiała przestrzeń sina.
Mój Boże! Dźwięczną słyszę surmę.
Niech i ja, gdy przyjdzie ma godzina,
z równą radością umrę.

Ten drobny wiersz Darahana, jakże oszczędny w słowach, a jak narzmiął od treści – wiersz, który na pierwszy rzut oka może wydać się zwykłą liryczną impresją – więcej mówi o postawie pokolenia i jego tragedii, niż niejeden opasty tom, deklinujący na wszystkie sposoby słowo – Ukraina.

Jak się zdaje, poezja patriotyczna znalazła się w ostatnich latach w ślepej uliczce. Przypomnijmy w kilku słowach okres przedwojenny. Pod opiekuńczymi skrzydłami doncowskiego „Wistnyka” kohorta poetów propagowała woluntaryzm, który z jednej strony potraçał o Zaraturę, z drugiej – kumał się – *avant la lettre* – z patetycznym egzystencjalizmem. „Tragiczny optymizm”, przebudowa narodowej psychiki według „gotyckiego” czy „wareżskiego” wzoru, przyjęcie jako jedynej rzeczywistości „okrutnej wilczej epoki” – to były dominujące hasła. Łypa, Małaniuk, Mosendz, Olżycz stali w pierwszym szeregu, ale była to postawa szczerą, niewymuszona psychicznie, więc dawała w wyniku autentyczną poezję. Stefanowycz uderzał w tony apokaliptyczne:

Cała w bogactwie zboża:
klątwa się z niego poczyna.
Tu sąd, zagłada i pożar –
Apokalipsy równina;

już czas, byś księgę otwarł
zbożem na czarnych kartach,
otwarta księga żywota,
krwawą czerwienią otwarta.

Apokaliptyczny pochód dziejów ponownie stratował Ukrainę. „Tragiczny optymizm” zmeł się w kłach „wilczej epoki”. Łypa zginął w partyzantce, Olżycz i Teleha w hitlerowskich katowniach; Mosendz i Kłen umarli w skrajnej nędzy na emigracji. Ze starej gwardii pozostał na placu jeden Małaniuk. Charakteryzując jego ostatni tom użyłem określenia – „wielkie uspokojenie”. Niekiedy przecież powojenne poezje autora *Pierścienia Polikratesa* sprawiają wrażenie również zwątpienia i rezygnacji. Poetycko zawsze pięknej, ale – rezygnacji.

O, serce zbyt kruche! O, duszo przeklęta, z kamienia!
Czy widzisz. To świat wasz się kończy – i mrok już i zamęt.
Epoka odchodzi, wyroku swojego nie zmienia.
I gdzie wasz przytułek? I kto wam zostawił testament?

To plucha jesieni rdzą zżera i barwy i nuty,
I znika już wszystko, rozplywa się wszystko z tumanem.
A tu barbarzyńca pozostał, w żelazo zakuty,
i ziemi synowie, porwani przez wichry w nieznane.

Tak epoka, którą poeta już znacznie wcześniej widział pod znakiem „ślepego Homera i głuchego Beethovena”, nie uległa nasyceniu dymem poboju i hukami katastrof – i przedłuża się w apokaliptycznej wizji niemal w nieskończoność.

Gdy zawiodła dawna postawa, gdy z krwawej burzy nie wyrzuciła się ani oczekiwana „scytyjska Hellada”, ani obwarowany wareżskim żelazem nowy „stepowy Rzym”, gdy minioną, a wciąż odnawiającą się w bolesnym wspomnieniu tragedię zasypała wędrownie drogi popiołem gorzkich elegii, trzeba było zdobyć się na

wysiłek tworzenia nowej wizji i „nowego humanizmu” – na miarę strasznych przeżyć i dopiero nadchodzących, kto wie, czy nie straszniejszych jeszcze, wydarzeń.

To niełatwe, zwłaszcza w warunkach emigracyjnego życia, zagadnienie łączy się bardzo ściśle z problemem literackich pokoleń.

VIII.

Wymieńmy najwybitniejszych żyjących poetów ukraińskich, którzy przebywając na emigracji, zachowują swobodę działania i pisania. Małaniuk, Stefanowycz, Laturyńska – skrytykowali się jako twórcy na długo przed wojną. Można od nich oczekiwać nowych osiągnięć, trudno natomiast przypuszczać, aby osiągnięcia te stworzyły rewolucyjny etap na rozwojowej drodze ukraińskiej poezji. Nieco młodszy – Krawciw, Hordyński – odzywają się niezwykle rzadko, a przy tym i u nich może być mowa, jak się zdaje, jedynie o doskonaleniu dobrze już opanowanego warsztatu. Mychajło Orest jest typowym przykładem poety samotnika. Wszyscy oni – niektórzy dość dawno – przekroczyli pięćdziesiątkę (badażę z wyjątkiem jednego Hordyńskiego). Stanowią pokolenie – w dość umownym tego słowa znaczeniu – całkowicie dojrzałe, które wyszło na emigrację z dostatecznym zasobem wiedzy i doświadczenia, aby zdobyć się na własną postawę i samoobronę.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja „młodych”. Ująłem przymiotnik m ł o d y w cudzysłów, bo na emigracji – nie tylko ukraińskiej – jest to pojęcie bardzo względne. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że na przykład u nas nazywa się młodymi pisarzy, którzy istotnie nimi byli w roku... 1939. Czas jak gdyby przystanął na miejscu; nie starzejemy się, choć tak już zestarzeliliśmy się, bowiem czujemy instynktowny strach przed skonfrontowaniem naszego wieku z prawdziwymi osiągnięciami.

Nie dziwny się zatem, że ukraińska młodzież poetycka liczy sobie przeciętnie dobrze ponad trzydzieści lat. W lwiej części należą oni do generacji, która próbowała pierwszych kroków na Ukra-

inie Sowieckiej, w przeddzień drugiej wojny światowej. Karpenko-Krynycia,⁵²⁷ Oleh Zujewskij,⁵²⁸ Kaczurowśkij,⁵²⁹ Weretenczenko,⁵³⁰ Leonid Łyman,⁵³¹ Jar Sławutycz,⁵³² Leonid Połtawa,⁵³³ Michajło Sytnyk.⁵³⁴ Wszystkich ich łączy dość zdezorientowane (przy braku solidnej krytyki) poszukiwanie właściwej formy poetyckiej, ale nade wszystko indywidualnej i narodowej prawdy, która by poprzez trudność – czy nawet niemożliwość aklimatyzacji na obczyźnie, smutek i samotność, żrącą nostalgię i zwątpienie – doprowadziła do pewnego portu. Ich uczucia patriotyczne szarpią się między gniewem i rozterką, raz po raz nawracają do „tragicznego optymizmu” i doncowskiego woluntaryzmu, albo znów próbują osiągnąć – tymczasowe, bo przedwczesne – uspokojenie na melancholijnych szczytach panteistycznej pokory. Zachód, gdzie znaleźli chwilowy przytułek, nie budzi w nich zaufania ani szacunku. Pewności rychłego powrotu do porzuconych ojczystych larów i penatów nie zastąpi przejęty od poprzedniego pokolenia bojowy ton, jakże często przeradzający się w bezsilną, nadrabianą schryplym patosem buńczuczność.

Problem tej młodzieży literackiej, oderwanej od rodzimego gruntu, a nieumiejącej znaleźć sobie miejsca na Zachodzie, poruszył ostatnio Jurij Szerech w znamienym artykule *Pokolenie bierze*

⁵²⁷ Petro Karpenko-Krynycia (1917-1989), poeta i dziennikarz ukraiński.

Po 1945 r. na emigracji w USA.

⁵²⁸ Ołech Zujewskij (1920-1996), poeta i tłumacz ukraiński, po 1945 r. wykładowca uniwersytecki na emigracji w USA i w Kanadzie.

⁵²⁹ Ihor Kaczurowśkij (1918-2013), poeta, tłumacz, dziennikarz i literaturoznawca ukraiński. Początkowo w USSR, po 1945 r. na emigracji w Austrii, Argentynie i w Niemczech.

⁵³⁰ Ołeksza Weretenczenko (1918-1993), dziennikarz, tłumacz i poeta ukraiński. Po 1945 r. na emigracji w USA.

⁵³¹ Leonid Łyman (1922-2003), poeta i pisarz ukraiński. Po 1945 r. na emigracji w USA.

⁵³² Jar Sławutycz (1918-2011), dziennikarz, tłumacz i poeta ukraiński. Po 1945 r. na emigracji w Niemczech i w USA.

⁵³³ Leonid Połtawa (1921-1990), dziennikarz i poeta ukraiński. Początkowo w USSR, po 1945 r. na emigracji w Niemczech i w USA.

⁵³⁴ Mychajło Sytnyk (1919-1959), ukraiński dziennikarz i poeta. Początkowo w USSR, po 1945 r. na emigracji w Niemczech i w USA.

falszywy ton („Nowe dni”, styczeń 1953). Jest w nim sporo przesady i zbyt ostrych ocen krytycznych, a głównie typowo profesorskiej pedanterii, ale samo postawienie centralnego zagadnienia słuszne i celne. „Nienawiść tych poetów – pisze Szerech – do sowieckiego systemu nie podlega wątpliwości. Ale tam był ich grunt. Spotkanie z Zachodem wykazywało ich nieprzygotowanie i bezradność... Z niemożności wejścia w świat zachodni rośnie ich do niego podświadoma nienawiść. I równie podświadoma tęsknota za światem pozostawionym w domu. Dwie nienawiści, miłość do znienawidzonego, zazdrość, a przede wszystkim całkowity brak jakiegokolwiek gruntu, więcej – powiedziałbym: brak powietrza – stwarzają stan permanentnego braku równowagi, duszności, niemożności normalnego, głębokiego oddechu, wykrzywienia całego duchowego życia. I tu zaczyna działać sowiecki pogląd na literaturę. Istnieje ona nie po to, by dusza przemawiała do duszy, ale po to, aby przyswajając sobie oficjalnie przyjęte poglądy. Zatem doszlusujemy do jakiegokolwiek partii i piszmy tak, jak życzą sobie redaktorzy jej organów prasowych. Tym bardziej, jeśli często jest to jedyna możliwość, by dostać się do druku, a nawet – rzecz niesłychana! – otrzymać jakieś żalosne honorarium. Jednak sprawa polega nie tylko na wygodnictwie i nie tylko na resztkach sowieckiego podejścia do literatury. Chodzi o to, że wszystko to samemu poecie daje złudzenie jakiejś działalności i to pożytecznej literackiej działalności. To wypełnia próżnię w duszy i w czasie. To na krótkie chwile rodzi złudzenie realnego otoczenia i trwałego gruntu pod nogami. Zapomina się, że prawdziwy twórca nigdy nie idzie za hasłem *Śpiewaj, poeto, z nami do wtóru*. Że jest on właśnie dlatego twórcą prawdziwym, iż śpiewa własnym tonem, iż narzuca swój głos otoczeniu.

Poprzednio jeszcze Szerech zwrócił uwagę na „wspólną cechę przedstawicieli tego pokolenia”, jaką jest według niego „brak pozytywów”. „Są szczerzy, dopóki ironizują, płaczą, nienawidzą, znieważają. Gdy tylko dochodzi do pozytywów, zaczynają przemawiać fałszywym głosem. Śpiewają na ton najbliższego partyjnego otoczenia. Wykonują społeczne zamówienie”. Winę tego stanu rzeczy

przypisuje Szerech po części krytyce literackiej, a również i samemu sobie. Podkreśla, że gdy ukazywały się tomy wierszy bezwzględnie szczerych, a wypowiadających bez ogródek istotę przeżywanego dramatu, odzewu nie było. Tak na przykład stało się z wydaną w 1948 roku niewielką książeczką Leonida Połtawy *Żółte karuzele*, która „była krzykiem poety o pustce dokoła niego. Tak i pozostała krzykiem w próżnię. Nikt nie odkrzyknął się, nikt nie wyciągnął do poety ręki... Zbiorek zanadto odcinał się od urzędowo optymistycznego stylu ukraińskiej literatury tak w kraju, jak na emigracji”.

Tak się złożyło, że właśnie mam pod ręką ostatni tom wierszy poety, którego dotychczasowa twórczość dała Szerechowi asumpt do napisania jego oskarżającego artykułu – *Ukraińskie ballady* Połtawy.

Owej „urzędowej”, pod wymagania partyjnego środowiska podciąganej poezji tu raczej nie znajdziemy, a jeśli, to bardzo niewiele. Za to sztanca patriotyczna w pierwszej części zbioru świeci częstą obecnością. Łatwizna felietonowych przeciwstawień: pierścien z syberyjskiego złota na palcu angielskiej lady — Ukrainiec Ostap, zamarzający na śniegu. Wyciąganie za włosy tematyki i problematyki narodowej, co zwłaszcza razi w wierszach bardziej osobistych. Natomiast druga połowa zbioru ma znacznie większy ciężar gatunkowy i zaraz o niej pomówimy.

Ale wróćmy do diagnozy Szerecha. „Brak powietrza”, „podświadoma nienawiść” do Zachodu i „niemożność wejścia do niego” – wszystko to znajduje w *Balladach Ukraińskich* dość jaskrawą ilustrację. Cytujmy: „Syn twój błądzi po świecie, syn twój szuka przyjaciół, ale nie ma odzewu, wiernych przyjaciół nie ma. I milnący nocny Paryż. Samotność. Pokój i cienie. I lampa pochylona jak kłos”; „w zaułku Europy wiatr zamiata po ziemi, rozwiewając popiół piaszczystych idei...”; „w obcym kraju można żyć tylko w pieśni, ale nigdy nie można żyć naprawdę, ani kochać...”. Nawet spotkanie z ukochaną w paryskim parku prowokuje takie wyznanie: „Dziwne nasze spotkania: pocałunki i słowa nie nasze, jak gdybyśmy je chcieli zachować dla innych, piękniejszych spotkań...”.

Oczywista, chodzi o przyszłe spotkania na U k r a i n i e. Zachód europejski Połtawy widzi wyłącznie w kategoriach eschatologicznych. Już sam tytuł jednego z cyklów zbioru ma pogardliwy wydźwięk: *Po Europach* – forma ta wyraźnie implikuje i niechęć, i pogardę. Nad Lipskiem, Wiedniem, Paryżem, wszędzie, gdzie poeta postawi wędrowną stopę, rozciąga się „europejska noc”. W sumie – coraz ostrzejsza tęsknota, coraz większa obcość, coraz krótszy, wichrem zabijany oddech. Czyżby nie było żadnych innych perspektyw?

Otóż książka Połtawy jest tragicznie pesymistyczna, ale nie ma w niej beznadziejności. Bo chociaż „w oczach coraz mniej oczu, a w duszy coraz więcej, coraz więcej samotności”, „nie straszno nam dogasać, jeśli nasze ciepło choć w jednej duszy, choć na chwilę zajęło się ogniem”. I śmierć niestraszna, bo jeszcze nie czas, bo zbyt wiele jest do przeżycia i dokonania. To nie żaden biologiczny optymizm, który u silnych, zdrowych jednostek potrafi iść w parze z pesymistycznym odczuciem świata. To wyraźnie zarysowany moralny stosunek do siebie samego i swego powołania artystycznego. Więc i o ślepej uliczce nie może być mowy, choćby wszystkie pozory najbardziej o tym świadczyły. A cały sztafaż patriotyczny? W najlepszych wierszach Połtawy, czy w najlepszych tych wierszy fragmentach (zbiór jest bardzo nierówny) żywił liryczny i problematyka narodowa zrastają się już w organiczną całość, znika frazeologia, triumfuje szczerłość i jej adekwatny wyraz. Zapewne daleko jeszcze do całkowitej krystalizacji, ale możliwości wyraźnie już zaznaczone. Solidniejsze umiejscowienie poetyckiego warsztatu – i w ściśle artystycznym i po prostu życiowym, nawet materialnym sensie ułatwiłoby całą resztę. Bo koczownicze życie jedynie pogłębia rozterkę wewnętrzną. Jeśli już nie można zapuścić korzeni w żaden obcy grunt, to przynajmniej trzeba zarzucić kotwicę tak, by mocno sięgnęła dna.

Pokój i radość ci,
ziemio, co życie pochwalasz

nad morzem wiekuistym,
nad pracowitym morzem!
Pokój i radość, narodzie,
zupełny jak morska fala –
i w najtrudniejszej walce
żadna cię siła nie zmoże!

Pokój i radość tobie,
Odesso zielonooka,
czarnomorko urodna
w ptasich skrzydeł zakolach.
Dla ciebie, jak i dla narodu,
burza i cisza głęboka
i ty, jak naród,
nigdy nie padasz do kolan!

Oto brzegi i woda,
jak dłonie, krzepko ściśnięte.
Szumi morze,
jako szumiało w wieków minionych chluście;
jakaż radość,
gdy się zapieni słonym odmętym,
jakaż radość poczuć
potężny fal jego uścisk!

I dlatego cię kocham,
zmiennie–niezmienny żywiolo,
duszo mej ziemi,
przygodo zielono–sina!
Minęła radosna noc.
Zorza skrzydła rozwija sokole.
Znowu budzi się dzień –
Znów się
wieczny początek
zaczyna.

W ten sposób Połtawa znajduje wyjście z fatalnego koła dręczących go mar i przywidzeń. We wspomnieniu czarnomorskiego wiatru, w pełganiu świeczki samotnych paryskich nocy objawia mu się zwykła, nieskomplikowana prawda wieczystego przemijania i odnowy, nierozzerwalnego związku żywych z martwymi i śmierci z życiem, które z niej powstaje. To za mało na światopogląd, to wystarcza jako punkt wyjścia. I w tym jednym jedynym punkcie diagnoza Szerecha, skądinąd całkowicie słuszna, ponosi porażkę. Ale jest to porażka doniosła, bo przecież chodzi o sprawę jak najbardziej zasadniczą.

Dni za dniami jak fale
po ziemi płyną,
Plemiona i ludy przechodzą,
znikając, jak cienie;
listowie na drzew konarach
umarłą się sypie gęstwina,
ażeby z wiosną powrotną
jeszcze radośniej zieleńić.

IX.

„Ale czas już przejść od analizy do rady – kończy swój artykuł Szerech. – Oświadczyć poetom tego pokolenia, czego mają się uczyć, choć już nie są tacy młodzi? Tak, to byłoby słuszne, ale oni sami to wiedzą (choć, najwidoczniej, postępują inaczej). Powiedzieć im, że sztuka nie powinna obawiać się, jeśli trzeba, przeciwstawiania własnemu społeczeństwu? Wiedzą, zapewne, i o tym. Wydaje mi się jednak, że jedynym prawdziwym wyjściem z sytuacji byłoby znalezienie gruntu pod nogami. Emigracja sama przez się takiego gruntu nie daje. Trzeba ją uzupełnić tym, co można znaleźć w kraju, z którym los związał pisarza. Dostyc przebywania na wyspie – należy zanurzyć się w falach otaczającego życia. Nie trzeba bać się o swoją ukraińskość. Nie zatraci się – chyba że w ogóle przestanie się być pisarzem”.

Wszystko to święta prawda. Ale jeśli kultywowanie absolutnej izolacji psychicznej w stosunku do obcego otoczenia musi się zemścić skostnieniem i – prędzej czy później – wyjałowieniem, kontakt z ziemią, na której się wyrosło, jest również bezwzględnie konieczny. Dla pisarza to nie tylko tęsknota ani tematyka, to przede wszystkim s t y l. Polski emigrant Słowacki, który całe życie dojrzałe spędził poza krajem i spoczął na paryskim cmentarzu, żył za pan brat z Szekspirem, Dantem i Calderonem, ale spacerując nad Sekwaną słyszał na co dzień szum rodzinnej Ikwy. W języku krytyka literackiego można to wyrazić mniej więcej tak: trzeba umieć znaleźć właściwy stosunek między problematyką narodową a uniwersalną i, kultywując te warianty stylu narodowego, które indywidualnie najbardziej odpowiadają, szukać powiązań z tradycjami piśmiennictwa zachodnioeuropejskiego. W praktyce wszystko sprowadza się do tego, by usprawiedliwionej tęsknoty i po stokroć słusznego żalu nie wstawiać między siebie i otaczający świat, jak grubą szybę akwariów, w jakim żadna ryba głębinowa nie wytrzyma. Inaczej: skazywanie się na podwójną emigrację – przymusową z własnej ojczyzny, d o b r o w o l n ą z kraju wygnania, równoważne jest wyrokowi śmierci.

A więc znowu zagadnienie stylu. „Wszelka próba teoretycznego syntetyzowania byłaby również niemożliwa, jak śmieszna, a ponadto groziłaby wpadnięciem w manię *szufladkowości*, którą lepiej zostawić zbieraczom motyli i filatelistom. Ci przynajmniej mają sprawę ułatwioną”.

Sądzę, że w poezji ukraińskiej ostatnich czterdziestu lat nie ma takiej tendencji czy kierunku, które by nie posiadały swojej projekcji w przyszłość. Byleby uniknąć tej zabójczej mechanizacji tematu i formy, która najzdolniejszych sprowadza na manowce. W omówionym przed chwilą zbiorze Połtawy znalazłem parę szczęśliwych prób kontynuacji bażanowskiej „barokowej romantyki”, czy jeśli ktoś woli, „romantycznego neobaroku” (nie ośmielam się proponować „neoromantycznego neobaroku”, bo to już byłby zwykły dziwoląg). Konkretnie, *Moneta Mefistofela* ma kilka poetycko

JÓZEF ŁOBODOWSKI

ZŁOTA
HRAMOTA

(DRZEWORYTY — JURIJ KULCZYCKYJ)

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1954

Okładka tomu wierszy *Złota hramota*, wydanego w 1954 r. przez paryski Instytut Lieracki. Ze zbiorów Pawła Libery.

pustych miejsc, ale jako całość sytuuje się – i to wcale nie po epi-gońsku – na przedłużeniu linii bażanowskiej *Nocy Hoffmana*.

A gdzie się podział spadek wczesnego Tyczyny? Czyżby nikt z młodych nie zechciał zbliżyć się ku ustom *Słonecznych klaratów*?

Rafael brzegiem Tybru szedł
w czerwcowych zmierzchów łunie
– to szum, to sen, lelujny szept
ljoluni ja ljoluni.

Zadrzało serce. Schylił skroń;
o, jakież czar w jej śpiewie!
– czy lju czy nie – załamie dłoń,
a on i drży i nie wie.

I bliżej pieśń. I spoza drzew
gołębiem jasność sina.
Kto jesteś, panno? Jak się zwiesz?!
(nieśmiało): Fornarina.

Rafael ujął ją za dłonie,
milcząca wziął w ramiona.
I zapłakała. A on do niej:
Madonna!

Był okres, gdy Wasyl Barka zapowiadał twórcze podjęcie polifonicznej muzyki Tyczyny i to w sposób równie naturalny, jak daleki od zwykłego naśladownictwa. Oto przykład:

Słoneczniki modlą się ogniem żywym.
Grom w chmurach czyta Pismo. Straszy.
Topola szepcze: Jakież przeraźliwy
twój płacz, Izajaszu!
Słoneczników modlitewne złoto.

Matka niemowlę zabija... Głód nadszedł.
Topola krzyknęła: Widzisz, oto
mój raj, Izajaszu!

Nie wiadomo, dlaczego Barka zszedł rychło z pięknie zapowiadającej się drogi, by zagubić się w zupełnie nieudanych stylizacjach starokozackiej poezji epickiej i w wątpliwej wartości elukubracjach filozoficzno-ewangelicznych. Właściwie i w tym pozostał wierny tradycjom Tyczyny, ale w znacznie gorszym wydaniu; mam na myśli bardzo zły poemat *Skoworoda*, w którym nie znajdziemy ani śladu świeżości i oryginalności lirycznej *Słonecznych klarnetów*. Dla spokoju sumienia muszę zaznaczyć, że parę drobnych wierszy Barki nadesłanych mi w maszynopisie (*Trojandnyj roman*), zdaje się wskazywać, że poeta ten jeszcze nie powiedział swego ostatniego słowa.

To tylko parę luźnych uwag, być może pożytecznych na tle ogólnej dyskusji na temat „organicznego stylu narodowego” w poezji ukraińskiej. Cóż jeszcze dodać? Przychodzą mi na myśl dwa wiersze Maksyma Rylskiego, których zacytowanie będzie, jak sądzę, nie od rzeczy. Dręcząc się w porewolucyjnym, podsowieckim Kijowie, gdy się jeszcze nie znało późniejszego, zorganizowanego terroru, ale już można było przeczuć jego nadejście, Rylskij ewokował wizję dalekiego Paryża.

Zakłęte w głązy stare dzieła,
a każdy kamień – wieczny ślad
miłości, która przeminęła,
i zmarłych, nieśmiertelnych lat.

Kawiarnie, wieże, zjawia żywa,
Rabelais, Rimbaud i sen, i żal –
i ktoś w nieznanie mnie przyzywa,
uśmiechem szczęścia wabiąc w dal.

Fijołki, widma od Wersalu
i karmin ust i zabaw czad,
i cierpki czar dawnego balu
skroś smutek trąb i skrzypiec jad.

Taki był sen, który znakomitemu poecie przyśnił się w, rozbitej granatami, odartej z chwały historycznej stolicy, pohańbionym i upośledzonym Kijowie. A rzeczywistość?

Samogon snem cię zmorzył twardym
i trwasz w pijanym, brudnym śnie...
A tam gołębie i mansardy,
tam Paryż, słońce, wolna pieśń!...

„Tam Paryż, słońce, w o l n a pieśń!”. Gdy któryś z gorzkich spadkobierców Rylskiego dotarł do wysnionego Paryża i przyjrzał mu się w blasku świeczki dymiącej w emigranckiej mansardzie, cóż zobaczył, cóż dostrzegł?

Autor *Ukraińskich Ballad* stoi przy cynku w barze przy placu Bastylli. Otoczenie widzi w kategoriach zbliżającej się nowej katastrofy i eschatologii. Usta pali mu persyflaż i namiętne oskarżenia. Wróży rychłą zagładę światu, który nie potrafił go przygarnąć i nie miał mu niczego do ofiarowania.

„Czekajcież! Kamienie ruszyły już w pościg
i biegną, spiętrzając się cieniem ponurym –
to już wyrastają na placu Wolności
kremlowskie bastiony, strzelnice i mury!”
A wtedy zza lady, gdzie tuman i pustka
i wina, znaczone pieczęcią Bastylli
– Tyś spił się! – ktoś w dymie tytoniu się schylił,
zapachem zgnilizny dmuchnąwszy mi w usta.

Więc tak! Zadnieprzański poeta zobaczył po jednej stronie „tuman i pustkę”, po drugiej – zbliżający się cień zwycięskiego Kremla. A jego ostrzegającą wizję przyjęto jako majaczenie pijanego. Tak wyglądało spotkanie, o którym przed trzydziestu laty marzył Maksym Rylskij.

Ale nie w barach paryskiej dzielnicy Świętego Antoniego szukać wschodnim emigrantom prawdziwej Europy. A wreszcie pozostały „zaklęte w głązy stare dzieła” i „miłość lat”, wprawdzie „zmarłych” a jednak „nieśmiertelnych”. I jeszcze coś, na co najdroższa cena okazuje się tania: „wolna pieśń”. Na samym skrzyżowaniu największych klęsk i katastrof modlił się do niej Rylskij:

Nie zdradź mnie, cicha i łagodna,
moja ostatnia i jedyna!
Z mych własnych rąk wypilem do dna
zatruty kubek złego wina.

Ten posąg czule serce strzegł ci
surowym Pięknem białych linii,
jakbyś w noc Pańskiej Rezurekcji
wzruszony znalazł się w świątyni.

Patrzę ku białej, ku łaskawej,
którą Apollo błogosławił,
gdy wszystkie ludzkie mroczne sprawy
na naszym brzegu pozostawił.

A proste fałdy jasnej togi,
surowej twarzy czysty profil
wróżą dymiący czad pożogi
i serc i królestw katastrofy.

Ale ja znam twój uśmiech czuły –
kamienna! – znam twój ciepły uśmiech.

Tak czasem z chmur, co świat zasnuły,
wybiegnie blask, nim w mroku uśnie.

Wtedy ożywa zimny marmur
i tulą boskie dłonie białe
tego, co z kurzu i alarmu
wybiega jednostajnym cwałem.

Ze wszystkich sióstr tyś mi najbliższa,
w modlitwach ciebie tylko wzywam:
– W jesiennym dniu, gdy wichur gwizdże,
ogrzej mnie, ogrzej, litościwa!

Litościwa muza dawno już opuściła Maksyma Rylskiego, a jeśli zagłąda, to ukradkiem. Odstraszyła ją luksusowa willa z sowieckim lokajem na ganku (zapewne agentem NKWD) i bolszewickie ordery, i nagrody imienia Stalina. Niechże będzie łaskawsza dla tych wszystkich, którzy pragną znaleźć związek między własną tęsknotą i bólem narodowym, a wielkimi tradycjami kulturalnymi zdradzającej samą siebie Europy. Niech wejdzie i do nędznej paryskiej mansardy, i do fabrycznej hali amerykańskiej, i do samotnych pokoików wielkich miast Argentyny i Kanady. Niech sprawi, aby podwójni emigranci poczuli się jak u siebie na tym Zachodzie – za prawo należenia do którego ich umęczona ojczyzna zapłaci jeszcze niejedną daninę krwi i żelaza, zanim wśród ruin mazepińskiego Baturynu znów zadźwięczy arystotelesowska greka i horacjańska łacina.

PS

Wprawdzie podkreśliłem, że artykuł ten został pomyślany jako informacyjny, jednak konieczność skoncentrowania się wzdłuż pewnych linii orientacyjnych zmusiła mnie do potraktowania po macoszemu szeregu poetów, zwłaszcza jeśli chodzi o młodsze pokolenie. Dotyczy to również, choć w ograniczonym stopniu, doboru

wierszy, których przekłady zamieściłem w charakterze ilustracji. Niekiedy decydował pod tym względem zwykły oportunizm – sporo przekładów miałem gotowych – lub konieczność – materiał oryginalny, którym rozporządzałem przy pisaniu. Powstały zatem nieuniknione w takich wypadkach pominięcia i laguny. Postaram się odrobić moje grzechy przy najbliższej okazji.

Scylle i Charybdy ukraińskiej poezji, „Kultura” 1954 nr 4;
Scylle i Charybdy... (dokończenie), „Kultura” 1954 nr 5.

POEZJA JEWHENA MAŁANIUKA

I.

W trzydzieści lat po debiucie poetyckim Jewhena Małaniuka Naukowe Towarzystwo im. T. Szewczenki w Ameryce wydało obszerny wybór wierszy tego czołowego ukraińskiego poety.⁵³⁵ Nie jest łatwo dotrzeć do twórczości pisarzy, a zwłaszcza poetów ukraińskich. Nie istnieje żadna, najszczuplejsza choćby antologia, a nie zastąpią jej zbiory o charakterze deklamacyjno-okolicznościowym, z dominującą tendencją patriotyczną. Towarzystwo im. Szewczenki zamierza widocznie uzupełnić tę lukę, skoro w ciągu ostatniego roku wydało obszerny zbiory prozy Janowskiego, poezji Małaniuka i Ośmaczki.⁵³⁶ Nazwiska Janowskiego⁵³⁷ i Małaniuka mówią same za siebie, ale już przy Ośmaczce trzeba zgłosić poważne zastrzeżenie. Dlaczego właśnie on? Dlaczego nie Tyczyna, Rylśkyj, Stefanowycz albo Laturyńska, których zbiory są całkowicie niedostępne? Dlaczego nie Olżycz lub Antonycz, poeci nieżyjący, których twórczość stanowi zamkniętą całość? Zgłaszam osobistą pretensję i jako czytelnik, i jako tłumacz poezji ukraińskiej.

⁵³⁵ Є. Маланюк, *Поезії в одному томі*, Нью-Йорк 1954.

⁵³⁶ Były to (oprócz cytowanego powyżej tomu J. Małaniuka): Т. Осьмачка, *Из-над світу*, Нью-Йорк 1954; Ю. Яновський, *Майстер корабля*, Нью-Йорк 1954.

⁵³⁷ Jurij Janowski (1902-1954), poeta i prozaik ukraiński, żył i tworzył w USRR.

To trochę tak, jakby gościnny gospodarz, o którym wiadomo, że ma w piwniczce doskonały miód, smaczną zapiekankę, wytrawne wina, zacne starki i w słońcu dojrzałe nalewki, stawiał na stole flaszkę źle oczyszczonego samogonu. Ale *ad rem*. Wróćmy do szlachetnych napojów, w tym wypadku do Małaniuka. Szczupła notatka, otwierająca przeszło trzystustronicowy tom, podaje garść wiadomości biobibliograficznych. Przedrukowuję ją w całości.

„Jewhen Małaniuk, jeden z najwybitniejszych poetów, urodził się w roku 1897, na stepowej Ukrainie, w rodzinie kozacko-czumackiego pochodzenia. Ukończył Elżbietańską szkołę realną i wydział inżynieryjny Gospodarczej Akademii w Podjebradach. Brał udział w wojnie o Niepodległość. Od roku 1921 na emigracji.

Dotychczas ukazały się następujące zbiory jego poezji: *Sztylet i stylos*, Podjebrady 1924; *Herbariusz*, Hamburg 1925; *Ziemia i żelazo*, Paryż 1930; *Ziemska Madonna*, Lwów 1934; *Pierścień Polikratesa*, Lwów 1939; *Poezje wybrane*, Lwów–Kraków 1943; *Władza*, Filadelfia 1951; *Piąta symfonia* (poemat), Filadelfia 1953.

Poszczególne wiersze Małaniuka przełożono na niemiecki, czeski, rosyjski, polski i francuski. Najobszerniejszy zbiór, *Hellada Stepowa*, ukazał się przed drugą wojną światową w przekładzie polskiego poety, Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie.⁵³⁸ Ponadto Małaniuk jest autorem prac z dziedziny kultury i sztuki oraz znanym krytykiem literackim. Do zbioru weszły wiersze wybrane z poprzednich sześciu tomów oraz tom *Pielgrzymka*, wydrukowany tu po raz pierwszy”.

II.

Po pierwszej wojnie poezja ukraińska znalazła się w sytuacji zupełnie wyjątkowej. Lata rewolucji i zmagania wolnościowych przygotowały grunt pod prawdziwą eksplozję młodych i oryginalnych talentów. Muzyczna liryka Tyczyny stała się swego rodzaju objawieniem. Neoklasycy kijowscy z Rylskim i Zerowym na czele pracowały się tego, czego w liryce ukraińskiej najbardziej bra-

⁵³⁸ E. Małaniuk, *Hellada stepowa*. Wybór i przekład C. Jastrzębiec-Kozłowski, Warszawa 1936.

kowało: precyzji i dyscypliny. Na poetę o wielkim rozmachu i szerokich perspektywach zapowiadał się Mykoła Bażan. Ten bujny rozkwit zduszony został całkowicie już po kilku latach przez bezwzględny terror sowiecki. Ośrodek ukraińskiej poezji przeniósł się na emigrację.

Powiedzmy od razu, że nie była to i nie jest poezja nowatorska. Po pierwsze: zaciążył nad nią, jak ciąży po dziś dzień, narzucony okolicznościami szarwark patriotyczno-narodowy. W ze wszech miar interesującej książce Mykoła Szlemkewycza⁵³⁹ *Zagubiony ukraiński człowiek*⁵⁴⁰ trafiamy na następujący passus: „Okres pomiędzy dwiema wojnami to okres wszechwładnej mody, ducha czasu, wszechwładzy milieu, środowiska i wszechwładzy demagogii, która umie łaskotać to środowisko i zdobywać rozgłos wśród mas lub podtrzymanie panującej klikii... Literatura, której założono lejce, stawiała się sztuką *przykładową*, to znaczy dawała przykłady też ideologicznych. A w najlepszym wypadku stawiała się grafiką, dostarczającą inicjałów, zastawek i ilustracji dla ideologicznych tekstów”. Szlemkewycz określa współczesną literaturę ukraińską jako „Erosa w niewoli”, „spętanego Erosa na służbie”. Opinia bodaj przesadzona, ale niewątpliwie zbliżająca się do rzeczywistości.

Po drugie: nie można było żądać od poezji ukraińskiej, by natchmiaszt włączyła się w nurt nowatorski liryki europejskiej, przeskakując przez etapy poprzednie. Parnasizm na przykład rozwinął się na Ukrainie z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem, ale był potrzebny, co więcej – konieczny. W kulturze i sztuce skoki zbyt gwałtowne zawsze powodują w następstwie cofanie się. Stało się więc dobrze, że poezja ukraińska poszła drogą organicznego rozwoju – a najwyżej można postawić zarzut, że etap obecny trwa zbyt długo i grozi zamianą nurtu na stojącą wodę.

Już w pierwszym tomie, wydanym w roku 1924 w podjebradzkiej drukarni⁵⁴¹, Małaniuk odezwał się własnym głosem, choć widać było,

⁵³⁹ Mykoła Szlemkewycz (1894-1966), polityk, filozof i publicysta ukraiński, po 1919 r. na emigracji.

⁵⁴⁰ *Загублена українська людина*, Нью-Йорк 1954.

⁵⁴¹ *Стилет і стилос*, Подєбради 1925.

że przemawia poeta, który pilnie przysłuchiwał się głosom innych współczesnych. Jego forma poetycka wykształciła się niewątpliwie na klasykach kijowskich i na tych poetach rosyjskich, którzy byli im artystycznie najbliżsi, a więc w większej mierze na akmeistach niż symbolistach. Forma bardzo konkretna, o wyraźnych zarysach, jasna i przejrzysta. Strofa prawie zawsze regularna, ale o dość dużej różnorodności metryczno-rytmicznej, z oczywistą przewagą jambu, najlepszego w tym wypadku wehikułu dla energicznej i zwartej treści ideowej. Metafora oszczędna, pogłębiająca się i oczyszczająca biegiem czasu z „literackości” i efektownych błyskotek. Rytm i język sprzymierzone w dążeniu do organicznego stopu muzycznego.

Od razu też u młodego Małaniuka wystąpią wszystkie elementy treściowo-ideowe, które w przyszłości ulegną przetrwaniu i przekształceniom, wzbogacą się i pogłębią, ale pozostaną jednak w pierwszym zasadniczym kształcie. Jest to poezja gniewu i bólu narodowego, przeżytych osobiście, zatem związanych z autorem w sposób jak najbardziej intymny. Taka liryka bywa autentycznie dynamiczna tylko wówczas, gdy wyrasta z autentycznie osobistych emocji.

Tak więc pierwszą jej cechą będzie dynamizm. Poczucie klęski i chęć odwetu, upokorzenie i wola zadośćuczynienia, znieważona duma i uporczywe dorabianie się wizji przyszłości. Stąd już krok jeden do bolesnego profetyzmu i rozwijania szerokich, historiozoficznych perspektyw. Małaniuk wszedł do literatury ukraińskiej jako poeta historiozoficzny i takim pozostał na całe życie. I jeszcze katastrofizm. Ledwie otrząsnąwszy się z piekących jak rana obrazów katastrofy minionej, Małaniuk zapowiada katastrofę nadchodzącą, mającą stać się katharsis dziejów, oczyszczeniem i dokonaniem. Profetyzm, historiozofia i katastrofizm – oto główne linie rozwojowe tej poezji.

Burza. I zachód krwią opłynie.
Obwieści głosem nieucichłym.
że w nowej klęsce znów zaginiem,
że step, ruiny, mrok i wichry.

Ze dzień nasz w czarną noc się schyli,
ze wszystko żywe płomień zmoże,
ze tylko wieszczcy gwizd Sybilli
nad ślepym wzniesie się bezdrożem.

Z umarłych gwiazd nad krwią i zemstą.
Bóg splecie koła i trójkąty
i nowy siądzie pisać Nestor
w samotnych katakumbach świętyń.

Ten wiersz, wydrukowany w zbiorze *Sztylet i stylos*, nosi datę 1924 roku. Takich poezji w ówczesnych latach nikt w Europie nie pisał. Nikt nie przeczuwał dalekiej jeszcze Apokalipsy. Trzeba było na to poety, który czuł wszechobecność ledwie zacichłej burzy i widział świat w kategoriach eschatologicznych. W swojej najgłębszej istocie międzywojenna liryka Małaniuka stanowi logiczne przejście od jednej burzy dziejowej do drugiej – i wiersze pisane w Pradze Czeskiej w pierwszej połowie lat dwudziestych łączą się bezpośrednio z wierszami warszawskimi z lat drugiej wojny światowej. Bo też oczom ukraińskiego poety emigranta ukazywała się jednolita wizja tej samej epoki – nic, że przelotne pozory zdawały się świadczyć inaczej.

Liryka urodzona z klęski wieściła nie tyle przyszłe zwycięstwo, co ekstatyczną wiarę, że zwycięstwo to nadejdzie, w przeciwnym bowiem razie musiałaby stać się poezją rozpaczki. Wiara, a może tylko wysiłona wola zdobywania się na wiarę? „Tragiczny optymizm” miał więcej z tragedii niż optymizmu. Wieszczczenie na dystans, gdy ani na chwilę nie odstępkuje przecucie, że spełnienie już nie nadejdzie za naszego życia, musi być przesycone goryczą, choćby się z zasady przyjmowało postawę wojownika wykutego ze spiżu. I jest to zbyt ludzkie, aby było nieprawdziwe. Małaniuk rzucał w twarz wydarzeniom żelazne manifesty, ale czytelnik bez trudu dostrzegał, że to żelazo i ten spiż są podszyte grubą podszewką zwątpienia, żeby nie powiedzieć – przerażenia, jakże uzasadnionego

w świetle późniejszych lat. Toteż podczas wojny i po wojnie niczego nie musiał odwoływać ani poprawiać. Wszystko było przewidziane i osądzone z góry.

Pesymistyczna jest też wizja Ukrainy. Zarzucano Małaniukowi, że jego step, o którym mówi na każdej stronie, w rzeczywistości nie istnieje. Że Dzikie Pola należą do przeszłości. Poecie chodziło przecież o „step psychologiczny”, a jeszcze bardziej o odwieczne przekleństwo stepu „historycznego”, rozwartej na przestrzał nieobronnej przestrzeni. Stepy to temat w ukraińskiej literaturze podjęty również przez licznych pisarzy rosyjskich i polskich.

Tyś ciągle taka sama. Rozstajna droga hord,
wędrownym szczepom od wieków szlak szeroki...

Step-wampir, nie tylko pijący krew narodu, ale zatruwający go niemocą, symbol niesformowanych, wrogich wszelkiej konstrukcji sił, bezwolnie przyjmujący oddech Azji. Bezgraniczna, nieujęta w żadne rygory przestrzeń; buntująca się na ślepo ziemia-niewolnica. Wszystko to, co jest dziką anarchią, zaprzeczeniem, architektury, matematyki, państwowej i społecznej organizacji.

Jak do Ciebie nakierować stopy?
Iść przez siwą mgłę za drogowskazem?
Czyż przepali siny żar Europy
azjatycką złocistą zarazę?

Oto milczysz, niezgłębiona, nieznana.
jak październik przejrzysty nieżywa.
Cóż dla Ciebie – klątwa czy hosanna? –
każde słowo martwym dźwiękiem spływa.

Równa przestrzeń, cała w ranach złotych,
w grubym pyłe od prawieca tonie,
tylko czasem – Twój jedyny gotyk –
smukłych topól ofiarnicze dłonie;

wyprężone beznadziejnie ku chmurom
pion i miara w nizinym bezkraju –
co bezbronny przed każdą wichurą
smutno śni o niegdyjszym raju.

Sam powołujący się wielokrotnie na swoją stepowo-kozacką prozapię Małaniuk od pierwszych wierszy wypowiedział bezlitosną walkę upiorowi przestrzeni, przejawiającemu się albo w postaci rozkiełznanej, żadnym rygorom nie poddającej się hajdamaczyzny, albo w wegetatywnej, ckliwo sentymentalnej formie bezwolnego bytu gogolowskich „staroświeckich ziemian”. Step – to z jednej strony koczownicze hordy, napływające z głębi Azji, z drugiej – wypaczona przez klęski historyczne, rozleniwiona w gorącym słońcu, raz uniesiona pijanym szalem, kiedy indziej „słowiczoczereśniowa” psychika własnego narodu. Stąd ulubione u młodego Małaniuka przeciwstawienie tatarskiego chana i ukraińskiej brankinałożnicy, dochodzące niekiedy aż do obsesji.

U żadnego też ukraińskiego poety, nawet u Iwana Franki (trzeba by sięgnąć aż do Pantelejmona Kulisza) nie znajdziemy tylu namiętnych ataków, bolesnych persyflaży, skrajnie brutalnych inwektyw, „świętokradczych” wystąpień, po prostu nieledwie obelg. „Niewolnica każdego, kto zechce, dzikie ciało, które kocha przemoc... bezsilną rozkosz płaczu...”, „Uciecho katów i matko janczarów”, „Tyś nie matka! Gdy zaśwista arkan, sama idziesz w jasyr... zradliwa branko stepowa...”. Powtarza za wspomnianym przed chwilą Kuliszem: „Narodzie bez czci i powagi!”, „Idziesz przez wieki i w dzi kim łonie, jak kamień, dojrzewa mongolski bękart”, „Straszliwa... lecisz na sabat, spijać krew swoich dzieci bękartich...”

Zatruty miód sarmackich ust, pijana,
Tatarzynowi oddałaś w niemocy
i słyszał śmiech twój namiot Batu-chana...

A w chwilach największego uniesienia jeszcze ostrzej, jeszcze rozpaczliwiej, niemal już bluźnierczo:

Nie, tyś tatarską brudną pierzyną,
gamratką plemion i ras.

Obrazy tego typu powtarzają się raz po raz. Dla poety, który młodzińcem widział, jak „step... nasuwa się na nas w spiczastych tatarskich czapkach”, wizja pozostała niezmienna: „Koczownicze hordy – szarańczą, wędrowne ludy – czarnym pomorem, armata – pługiem, szabla – broną, historia – wichrem nad przestrzenią”. Nie ma ucieczki, bo nawet „daremnie błaga śmierci przepalona bólem blizna ust”.

Nie, nie umrzesz! I widmem przeklętym
w męce tułać się pójdiesz przez świat,
gryźć z rozpaczą pięści ściśnięte
w głodnym mroku nędzarskich chat.

I w udręce, w bezsile dzikiej
hajdamackich zdławionych dusz
cieszyć palce zimnym dotykiem,
kryjąc w dłoni zdradziecki nóż

Nie zratuje ten nóż, nie pomoże,
czarne stepy i dziki wiatr, –
tylko bodziak – o Boże nasz, Boże!
czarcim zieleń wyrasta na świat

W rozpaczliwych inwektywach tego rodzaju, pod adresem swej ojczyzny, celowali przedrewolucyjni poeci rosyjscy, zwłaszcza Błok i Briusow.⁵⁴² Ale nie przeciwstawiali tym inwektywom żadnej wizji

⁵⁴² Walerij Briusow (1873-1924), poeta, prozaik i tłumacz rosyjski, po rewolucji bolszewickiej pozostał w Rosji.

historycznej czy moralnej – a jeśli, to w sposób całkowicie mglisty i nieskoordynowany. Małaniuk szuka przeciwstawienia, znajdując go w micie helleńskiej Ukrainy, a najczęściej na progu średniowiecza, gdy „wareżska stal”, bijąc w „bizantyńską miedź”, wykuwała z mieszkańców pontyjskiej równiny człowieka woli i hartu, fundując nad Dnieprem „stepowy Rzym”. Mit helleński zjawiał się po raz pierwszy u Zerowa; mit kijowskiego wareżskiego średniowiecza uskrzydlił poezję Darahana, a nieco później Stefanowycza i Laturynskiej, ale Małaniuk w jednym i drugim wypadku zdobył się na wizję całkowicie samodzielnej i rozpracował ją najbardziej historiozoficznie.

Echa siedemnastowiecznej epopei kozackiej odzywiają w tej poezji znacznie rzadziej, przy tym Małaniuk najchętniej zwraca wzrok ku postaci hetmana Mazepy, który ze wszystkich wodzów kozackich był najbardziej konstruktywny, najbardziej państwowcem. Nieprzypadkowy to wybór, jak nie z przypadku autor *Ziemi i żelaza* i inni współcześni rozmyślali się w kijowsko-halickim średniowieczu. Trzeba było przerzucić most nad wiekami chaosu i „ruiny” – i szukać baz wyjściowych w czasach, gdy Ruś–Ukraina była najbliższa Zachodowi i nie stała się jeszcze Hulaj–polem dla rozszalałych żywiółów.

Nie ulega wątpliwości, że na postawę Małaniuka wpłynęła w dużym stopniu atmosfera, wytworzona dokoła czasopisma „Wistnyk”, kierowanego przez znakomitego publicystę Dymitra Doncowa. Inna rzecz, że wpływy były wzajemne, bo i sam poeta przyczynił się w jakiejś mierze do utworzenia tej atmosfery. Kult silnego człowieka, trochę zarażony nietzscheanizmem, trochę zerkający w stronę Schopenhauera, a na pewno mający sporo wspólnego z nacjonalizmem typu Barresa⁵⁴² i Maurrasa. Irracjonalistyczny wolutaryzm, właściwy ludziom „z jednej bryły”, niepoddający się zwątpieniu i gardzącym analizą, podpowiadał wybór bohaterów: twardej i szorstkiej Waregów, którzy przekuwają ziemię na żela-

⁵⁴³ Maurice Barrès (1862-1923), pisarz i polityk francuski.

zo, a na „chleb i miód słowiańszczyzny” niosą lekarstwa w postaci miecza. Tak kiedyś Żeromski żądał od Polski, by stała się „młyńskim kamieniem albo sama będzie zmielona”.⁵⁴⁴

III.

Osobny temat to stosunek Małaniuka do Rosji. Już sam fakt, że formacja artystyczna poety nie mogła powstać w absolutnej separacji od kręgu kultury rosyjskiej świadczy, że mamy do czynienia ze zjawiskiem co najmniej złożonym. Niejeden z polskich pisarzy poznał dobrze atrakcyjną siłę literatury, a zwłaszcza poezji rosyjskiej. Na pewno łatwiej było wstąpić do petlurowskich szeregów i walczyć przeciw Czerwonej Armii czy Denikinowi, niż oprzeć się uwodzającym głosom Muz eurazjatyckich, Małaniukowi wielokrotnie wytykano wpływy rosyjskie – przy innej okazji wskazywałem, że chodzi tu głównie o Błoka i Gumilowa, przy czym wpływ tego pierwszego był ujemny, drugiego – dodatni. Ktoś złośliwy, a mający z Małaniukiem na pieńku, zauważył, że w *Ziemnej Madonnie* odezwało się nawet echo Siewierianina⁵⁴⁵ i Wiertyńskiego⁵⁴⁶ („uszminkowany Pierrot”⁵⁴⁷). W artykule o „ukraińskiej literaturze na emigracji”, wydrukowanym w rosyjskim „Nowym Żurnale” (XXVIII, 1952), Jurij Kosacz posunął się jeszcze dalej i zaryzykował opinię, że Małaniuk jest „kość z kości poetą rosyjskim”, bo w jego liryce zjawia się to samo „pęknięcie, nieprzypadnie zawadzająca retoryka, upozowana spiżowość, właściwe wielu rosyjskim poetom lat rewolucyjnych”. Mówiąc lakoniczniej, Kosacz widzi w poezji Małaniuka typowo rosyjską „histerię”.⁵⁴⁸

⁵⁴⁴ Cytaz z powieści S. Żeromskiego, *Wierna rzeka*.

⁵⁴⁵ Igor Siewierianin (1887-1941), poeta rosyjski, po rewolucji na emigracji.

⁵⁴⁶ Aleksander Wertyński (1889-1957), aktor, kompozytor i pieśniarz rosyjski, po rewolucji przebywał na emigracji, ale w okresie II wojny wrócił do ZSRR.

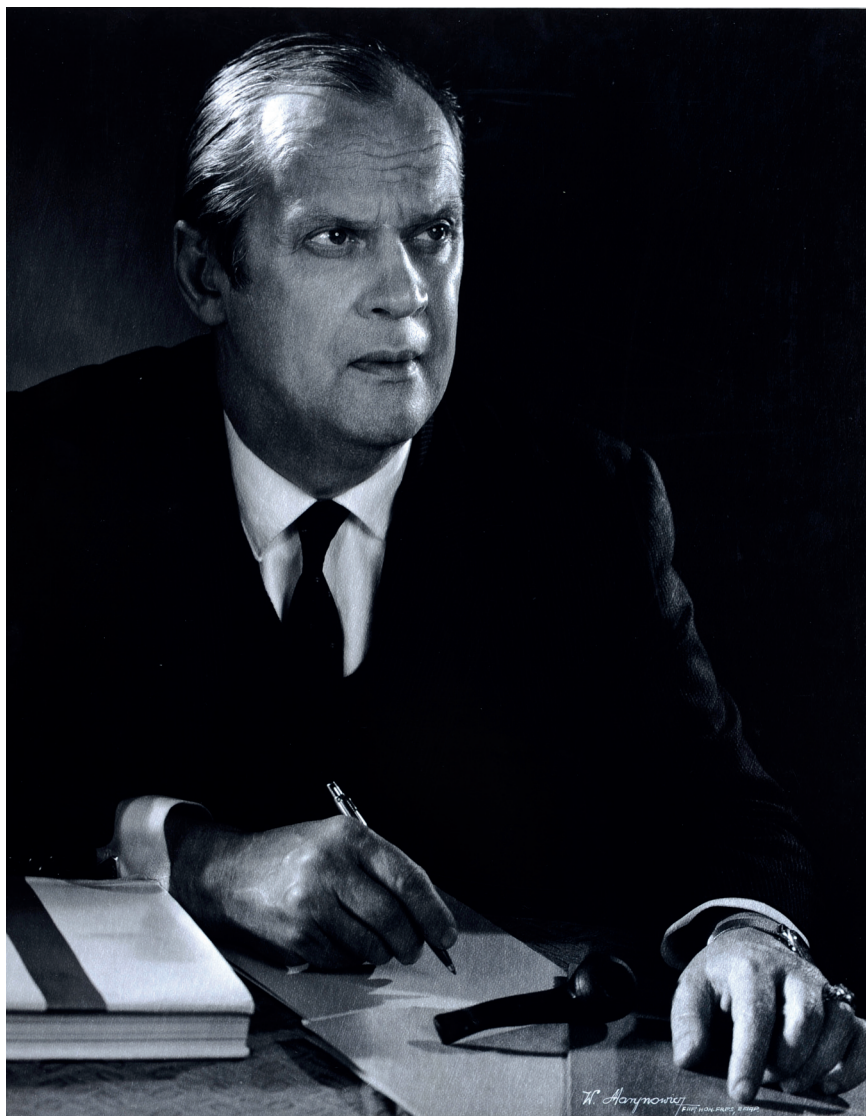
⁵⁴⁷ Aluzja do stroju, który A. Wertyński nosił w czasie występów.

⁵⁴⁸ Do tego fragmentu tekstu (i innych, w których Łobodowski odwoływał się do opinii J. Kosacza) odniósł się Jurij Kosacz w liście do redakcji „Kultury” (patrz: „Kultura” 1955, nr 12/98, s. 156-158).

Jak zwykle bywa w takich wypadkach, nawet opinie najbardziej przesadzone można zilustrować odpowiednio dobranymi tekstami. Znajdą się też u Małaniuka takie właśnie teksty na poparcie skrajnej opinii Kosacza. Ale twórczość poety należy brać w całości, orientować się bardziej według szczytów niż dolin – i nie wysuwać na pierwszy plan momentów słabości. Prawda, niekiedy w głosie Małaniuka zadźwięczy nuta historyczna, spowodowana zarówno doprowadzoną do punktu wrzenia namiętnością, jak i nadmiernie napiętą struną, w sumie przecież mamy do czynienia z poezją autentycznie heroiczną. Histeria poetów rosyjskich z lat 1900-1921 wynikała z poczucia bezwyjściowości; miotając się na wszystkie strony, złorzecząc i przeklinając, padali na kolana przed tą samą rewolucją, która miała ich zniszczyć. Była to zatem liryka „samozniszczenia”, historycznego i psychicznego „samobójstwa”. Tragiczny okrzyk Maksymiliana Wołoszyna:⁵⁴⁹ „Rosji nie ma, spaliła sama siebie” – z jeszcze większą racją można zastosować do rosyjskiej literatury. Wszystko to jest jak najbardziej obce małaniukowej Muzie.

Jednak problem Rosji ciążył zawsze nad tą poezją. Według świadectwa Światosława Hordyńskiego, Jurij Łypa zauważył kiedyś w prywatnej rozmowie, że temperatura wierszy Małaniuka wywodzi się przede wszystkim z jego nienawiści do „małorosyjszczyzny”. W ciągu trzystoletniej niewoli Rosja zaraziła Ukrainę niewolniczym kompleksem „prowansalskiej” prowincji, malowniczej, rozśpiewanej, ale niewychodzącej poza regionalizm składowej części imperium. Zredukowanie narodu do szarawarów, hopaka i smętnych dumek – topolowa i słowicza Małorosja, zamiast Ukrainy. Stąd tyle razy u Małaniuka powtarza się obraz Rosji – gnijącego trupa, zarażającego wszystko dokoła swoim oddechem. Więc nienawiść. Nienawiść do Rosji – rosyjskiego imperium raczej – a jeszcze bardziej rodzimej „małorosyjszczyzny”, pochodnego produktu moskiewskiego panowania.

⁵⁴⁹ Maksymilian Wołoszyn (1878-1932), malarz, historyk sztuki i poeta rosyjski, po rewolucji bolszewickiej pozostał w sowieckiej Rosji.



Portret Józefa Łobodowskiego z fajką, fot. Adam Tomaszewski, fotografia powojenna.

Oto niezmiernie charakterystyczny dla Małaniuka wiersz z okresu *Ziemia i żelazo* i *Ziemskiej Madonny*:

I.

Zdawało się, żem włożył w rwący wiersz
wyroki wszystkie... A Rosja dogniwa
jak zdechły brontozaur, jak wzdęty zwierz,
ciążąca ciągle, chociaż już nieżywa.

Przeklęte ścierwo! Twój pośmiertny duch
mści jeszcze – trupi, beznadziejny Łazarz –
ale na marne: głuchnie nawet cuch
i tylko dołem ścieli się zaraza.

Daremnie wznosi się szamański wrzask
nad hucznym azjatyckim synhedrionem –
nie wskrzesi ciebie, czas twój dawno zgasł,
minęłaś. Słońce ponad twoim zgonem

zwiastuje wiek modlitwy i pożaru,
już ziemia spiętrza się w strzelisty gotyk
i tam, gdzie dzisiaj liszaj trądu narósł,
jasnego dnia zadzwoni uśmiech złoty.

Cmentarze ruin świeży pęd umai
niepowstrzymaną i zwycięską wiosną,
i miast okaleczonych dziś ukrain
młode narody bujnym zieleń wzrosną.

Jeszcze zahuczy sądny grom, a z nim
ponad bezładem, nad przestrzenią zdrady
żelaznym dębem wzrośnie nowy Rzym
z mocnego łona Scytyjskiej Hellady

II.

Minionym dniom kadzidło epitafij,
nie żalność łez, ni krzyk, co w tłumie zgasł.
Jak wrący stos, co ogniem w niebo trafi,
rozwijają się niepowstrzymany czas.

Potop i wicher ku ziemi drżącym szczytom –
do dna wybrano Chrystusową krew
i oto idzie Wielki Inkwizytor,
na jego czole mściwy płonie gniew.

Tak: zemsta prawdy! Kłamstwa już nie schować
za mgłą skazanych na zaturę lat;
nad starą ziemią burza rwie gromowa
i w ogniu krwi odnowi się nasz świat.

III.

To jeszcze wstęp. I chciwe serce wierzy,
Że to nie tylko bujny rozrost ziół i traw
że wzbiera krew kosmiczna w pędzie łodyg świeżym,
że ład gotycki spełnia się na jaw.

I wiedzie nas pielgrzymka nieskończona
na przełaj ludów, lat, na przełaj pól i miast,
a tam przestrzeni wicher w burzanach rwie i kona
I zemstę niesie z mroku wywołany czas.

Kopyta biją. Ziemia głucho dudni.
I chrapie koń Mazepy jak przed złem.
Zejdź ku nam, Boży Roku, w znojny czas południa,
na step spragniony spadnij krwawym chrztem!

Wrogość do Rosji, przejawiająca się najczęściej w formie pamfletu, poetyckiej inwektywy, łączy się ściśle z centralnym tematem:

przebudową ukraińskiej psychiki, zanadto lirycznej, uwikłanej w sprzecznościach, zdanej na rozwichrzoną grę ślepych żywiołów. Wareżski, średniowieczny mit⁵⁵⁰ to przede wszystkim symbol tej przebudowy; można się spierać co do dokonanego wyboru, niepodobna zaprzeczyć samej diagnozie. Podobnie obrazy napadów tatarskich, mongolskiej niewoli są tylko symbolicznymi znakami ciężącej nad Ukrainą przemocy moskiewskiej. Bękarci płód, wynoszony pod sercem chańskiej niewolnicy – to właśnie po tysiącokróć wyklinana „chochłacka małorosyjszczyzna”.

Tam, gdzie wrogość czy nienawiść przejawiają się w sposób tak gwałtowny i jaskrawy, łatwo powstać może podejrzenie, czy nie mamy do czynienia z kompleksem zawiedzionej miłości. W wypadku Małaniuka z sukcesem przychodzą jego prace publicystyczne i literackie, stanowiące rodzaj komentarza do twórczości lirycznej. Przypominam sobie obszerny esej o Gogolu-Hoholu, drukowany na kilka lat przed wojną w kwartalniku „Wschód”.⁵⁵¹ Na przykładzie autora *Martwych dusz* Małaniuk obnażył psychiczny mechanizm tragicznej małorosyjszczyzny, pokazując jej wszystkie możliwe bifurkacje i zalewy. Bez lirycznego uniesienia, bez bolesnej gorączki przeprowadził wiwisekcję narodowego dramatu, dając jednocześnie spokojne uzasadnienie bezpardonowej wrogości do Rosji. Małaniuk eseista skompletował i osłonił przed możliwymi zarzutami Małaniuka poetę.

To już przeszło dwadzieścia lat, jak w „Wiadomościach Literackich” ukazał się w przekładzie Tuwima poemacik *Warszawa*.⁵⁵² Bodaj jeden Zawodziński⁵⁵³ zwrócił na niego należną uwagę, podkreślając celność historycznej i – dziś można to już powiedzieć – proroczej wizji. Wyczulenie na wschodnie niebezpieczeństwo – tak wytężone, że stwarzające pozory obsesji – zagrało tu z całą siłą. Ukraiński emigrant zatrzymał się przy pomniku Mickiewicza i zetknął się z nim twarzą w twarz. Wiersz jest datowany z roku 1932.

⁵⁵⁰ Aluzja do legendy według której przybysze ze Skandynawii – Wikingowie (Waregowie) mieli stworzyć pierwsze państwa ruskie.

⁵⁵¹ E. Małaniuk, *Tajemnica Hohola*, „Wschód-Orient” 1934 nr 2-4.

⁵⁵² E. Małaniuk, *Warszawa* (tłum. J. Tuwim), „Wiadomości Literackie” 1933 nr 12.

⁵⁵³ Karol Wiktor Zawodziński (1890-1949), krytyk literacki.

Wypatrując twarzą w spiż zakutą,
ponad dachy, nad przechodniów pośpiech,
a pod tobą burzliwą nutą
gwar codzienny stolicy rośnie.

Nadwiślańskie mewy głośno krzyczą,
fala piachy wybrzeżne liże...
Czarne miasto twe, Mickiewiczu,
eurazjatyckim jest dla mnie Paryżem.

Dyryguje Szopen jesienią,
głuchą nutę preludiów przędzie.
Tutaj ludzie – zawsze zapóźnieni,
władza tutaj – zastygła w legendzie.

Śpi Belweder, otulony mgłami,
petersburskim tumanem się dławi.
W czarnych oknach – czy płomień je splamił? –
szare widmo – we śnie czy na jawie?

A gdy znowu rozkrzyczą się wici,
Wschód uderzy mroźnym akordem –
wiatr w Alejach Ujazdowskich z wyciem
szlak przekłada idącym hordom.

Rdzawym liściem ścieli i szasta
tatarskimi, burymi makatami...
...Pilnuj, pilnuj twój miasto,
wartownika spiżowy, Adamie!

To, co wówczas mogło wydawać się przesadą zawiedzionego i zranionego w narodowej dumie człowieka, okazało się wkrótce dokładnym stenogramem nadszarpniętych wydarzeń. Historia poezji zna takie paradoksy: lirycy bywają najprecyzyjniejszymi poli-

tykami. Zużyte i oklepane, ośmieszone nawet, słowo wieszczka nabiera pierwotnej świeżości. Ale wraz z tym dotykamy jednego z najważniejszych elementów poezji Małaniuka: historycznego profetyzmu.

IV.

Już w *Biografii* z roku 1924 Małaniuk zapowiadała: „Muszę być pochodnią dla Ciebie jednej (tzn. dla Ukrainy – JŁ), ja – apostoł skrwawionych dróg”. Rzuca „anatemę epokom”, modli się: „Uczyńże tarczę moją z adamantu, miecz archanielskim ogniem rozpal!”. Dopóki, mimo wszystkie tragiczne przeczucia, górowała młoda zuchwałość, upojenie wypowiedzianą walką, Jeremiaszowy ton przepalał się z optymistyczną pewnością siebie. W słynnym *Napisie na tomie wierszy* Małaniuk nazywa siebie „niezlomnie–dumnym imperatorem żelaznych strof”, który „przed obliczem twórczych katastrof” prowadzi „kohorty swych wierszy”. Wierzył, że jego jamby, jak „muskularne stopy”, wybijają dytyrambiczny rytm „rzeczywistości, nie utopii”. Przekazywał swój trud potomnym, którzy będą w stanie ocenić, dlaczego pióro poety było sztyletem, a sztylet zamieniał się w pióro.

Ta pewność nie zniknie całkowicie u Małaniuka dojrzałego nawet wtedy, gdy zapowiadany „czas żelazny Waregów i Rzymian, czas stalowy ognia i miecza” przyniósł Ukrainie nowe straszliwe klęski, a całej ludzkości niebывały chaos i moralną dezorientację. Nawet i wtedy poeta, świadom już przegranej osobistej i przegranej swego pokolenia, zapowiada, że „nie na próżno”, że jego „krzyk i ból, wypalające rdzę i grzech... stal i kamień słów... wejdą w skład przyszłej budowy”. Zmienia się jednak sama atmosfera uczuciowa. Zmienia się temperatura i opada barometr. „Wyję – pies na martwym polu bitwy” – to coś innego niż dumne wyrzucanie hetmańskiej buławy ku wytyczonym metom.

Zresztą profetyczna wizja zawiodła w swojej części pozytywnej, bo zawieść musiała. Małaniuk nie mylił się ani na jotę, gdy wieszczyl burzę i katastrofy; pod tym względem jego poetycki sejsmograf

działał nieomylnie. Natomiast wiara w odrodzenie epoki poprzez racjonalistyczny woluntaryzm, poprzez żelazny pochód nowych Waregów, rozsypała się popiołem w palcach, zmartwiałych z przeżycia. Małaniuk widział dobrze zmierzch naszego czasu i, pukając ostrym piórem w jego gładką powierzchnię, wyczuwał próchność i rozkład. W znamiennym wierszu z 27 lutego 1939 roku, pisany zatem niemal w przededniu wojny, mówił o Atenach Peryklesa, które będą musiały „zdać bezlitosną sprawę przed oślepył w boju wyciem Sparty”. Ci wyjący Spartanie istotnie nadciągnęli, ale nie było w nich nic z wymarzonego „gotyckiego średniowiecza.” Jeszcze w pierwszych latach – czy też raczej miesiącach wojny – Małaniuk czepiał się instynktownie ostatniej nadziei, jeszcze próbował żyć dawne prorocstwo. Jeszcze nazywał stulecie „straszny i wielki”, jeszcze pisał, że „prawnukowie będą zazdrość tym, co widzieli oblicze zemsty i gniewu, gockie nawały, falangi nowych Aleksandrów, gorejące oczy Cezarów, spiz zmartwychwstałego Rzymu, ciężki legionów chór w dymie żelaza i krwi, twardy teutoński krok, nieubłagany jak czas...”. Jeszcze mu się zjawi na chwilę słoneczna wizja Partenonu, płynąca „w noc gotycką średniowiecza” – ale i ta ostatnia struna rychło zaczyna dźwięczeć głuchym tonem i urywa się ze świstem. Charakterystyczne, jak mało wierszy napisał Małaniuk w pierwszych latach wojny; większość ich pochodzi z roku 1944, gdy z optymizmu i wiary pozostały zaledwie strzępy.

Heroiczna retoryka, zdruzgotana ciężkimi kołami wojny, słabnie i zanika, poeta staje się bardziej refleksyjny i liryczny. To właśnie z tego okresu pochodzi jeden z najlepszych wierszy Małaniuka (drukowany swego czasu w „Kulturze”), w którym ogląda on epokę w cieniu ślepego Homera i ogłuchłego Beethovena.⁵⁵⁴ W tym samym czasie pisze znakomite *Podsumowanie*, pozornie tylko stanowiące bilans osobisty, choć nie ma w nim ani słowa o sprawie narodowej. Któż z nas nie odnajdzie własnego i zbiorowego losu w tych prostych, zdławionych słowach:

⁵⁵⁴ J. Małaniuk, *Epoka*, [w:] *Współcześni poeci ukraińscy* (wybór i tłum. J. Łobodowski), „Kultura” 1950, nr 7/33-8/34, s. 104-105.

Tyś mnie wyśniła we snach pełnych gwiazd,
w nocie uroczne, twe nocie dziewczęce...
Wiosnę za wiosną ze sobą niósł czas,
sosny jak morze huczały w udręce
i rzeczne fale jak morze szumiały.

Wieczór miłości, nasz wieczór zaręczyn!
splotami kwiatów, ogniami Kupały
usta połączył i czoła uwieńczył.
Jasno się ścielił słoneczny nasz czas:
radość i praca, i dziecko i uśmiech...
Któż się spodziewał, że burza nam chluśnie
w twarze i grom będzie bił raz po raz,
ciszę zrujnuje i spokój zniweczy
wichrem – i dom nasz poniesie się z nim?

Skronie się srebrzą. Schylają się plecy.
Oczy żre dym.

Tyś mnie wyśniła, najbielsza panno
(och, dyjamenty dziewczęcych łez!)

Mięśnie ze spiżu i wzrok kapitana,
morze i powiew, łagodny jak pies,
jacht białoskrzydły – –
I wszystko ochyba,
wszystka na marne. O głuchły mój rym,
w muzykę własną wsłuchany...
Więc wybacz,
wybacz, jedyna, że popiół i dym.

To nie tylko stwierdzenie klęski życiowej, ale i pośrednia odpowiedź na dramatyczne zapytanie sprzed kilkunastu lat: „Kiedyż odnajdziesz spiż własnego państwa, przeklęty kraju, Hellado Ste-

poważ!?” W innym wierszu, pisanym w jesieni 1942 roku, zwartym jak serce ściśnięte w pięści, wypowiada pewność, że nigdy już nie wróci do rodzinnych stron, nad którymi stoją „wrzaski głodnych Chozarów”.

Cykl wierszy *Pielgrzymka*, zamykający tom, zawiera garść poezji przedwojennych, które nie weszły do poprzednich zbiorów, lwia część jednak powstała przy końcu wojny i po wojnie. Jak już wspomniałem, panuje w nich liryczna zaduma, cicha rezygnacja, refleksyjność – prawie zupełny brak patetycznej retoryki.

Jesień w płomieniu od zimnych wiatr –
i obca i obojętna.
Niekiedy tylko znajomy wiatr
podnieca jej słabe tętna.

Rodzinny wicher – jakże go znam –
co z stepów chersońskich dmucha.
I przywiduje się dzień taki sam,
matka i sad i Siniucha.

Ojciec posępny, rozumny dziad,
bratowie kochani...

Gdzie wy?

Jesień i jesień. Zanika ślad.
Ponad falami – mewy.

Jednak nie wszystko jest melancholią i rezygnacją. Pozostaje świadomość walki o słuszną sprawę, walki, która nigdy nie toczy się na próżno. Świadomość, że chociaż stulecie, „ślepy przewodnik czy widzący złoczyńca” zawiodło na manowce, tyle ofiar, poświęceń, krwi i pożarów zaważy kiedyś w ostatecznym rozrachunku. Więc wiara w imponderabilia. „Sądne dni nie próżno zdjęły pożarem twój czarny raj... i przez jęk z żelaza, przez ryk zwierzęcy i dym ruiny nowy człowiek ujrzy Ukrainę”. Toteż książkę zamyka lapidarny, dla większej prostoty ujęty w wiersz pozbawiony rymu, noworoczny toast:

Wypijmyż więc za trzeźwość i za jasność,
za zimny rozum i zgłodniałe serce,
za logikę, co muzykę odrzuca,
za matematykę, lekarstwo na truciznę
złośliwych chimier.

Za nasz ostatni hart!

V.

Pierścień Polikratesa – oto tytuł ostatniego z przedwojennych zbiorów Małaniuka.⁵⁵⁵ Przypomnijmy z lektury szkolnej znaną balladę Schillera: Polikrates pragnął pozbyć się fatalnego pierścienia, który stale do niego powracał. Takim wciąż powracającym pierścieniem stała się dla ukraińskiego poety sprawa ojczyzny i służba tej sprawie. To jego siła i jego ograniczenie. Znów zacytuję Szlemkewycza, o którego książce pisałem na wstępie.

„Czytacie utwory Jewhena Małaniuka, największego emigracyjnego poety. Przypominają się słowa innego, obcego poety: wszedł jak do więzienia – w jedną ideę. Małaniuk przyjął ją, wszedł w nią. Jak samowładny jesion z Ziemi, wypił wszystkie poetyckie soki z tej idei. I jak jesion, zostawił dokoła ubogą w zieloność smugę. Wszystko dał swemu wzrostowi w jednym kierunku, swemu listowiu, swym potężnym obrazom, swemu naprawdę wielkiemu mistrzostwu, ale zwęził i ograniczył życie dokoła... Podobnie jak Olżycz, co zazielenił się ale nie rozkwitł na ideologicznym urwisku. Małaniuk jest między nami, pełen jeszcze sił – i o jego duszę i twórczość zmagają się nadal ideologiczna przeszłość i żywa terażniejszość”.

Szlemkewycz napisał te słowa w ramach ogólnych rozważań nad literaturą ukraińską. Widzi przyczyny ograniczenia zubożenia jej rozwoju w splecaniu nadmiernego trybutu ideologicznego. Nawet tak rozkochany w „urodzie życia” poeta, jak Bohdan Ihor Antonycz, który „był wróblem i mieszkał na wiśni”, który przemawiał do „karp i delfinów, do wszystkich braci ze słodkich i słonych wód”,

⁵⁵⁵ *Перстень Полікрата*, Львів 1939.

nawet on dał się wciągnąć „na prokrustowe łoże panujących ideologii”. Inaczej mówiąc, poezja ukraińska cierpiała i cierpi na przerost publicystyki i utylitaryzmu.

Jak widzieliśmy, nie uchronił się przed tym zarzutem i Małaniuk. Niewątpliwie w najmniej szczęśliwych momentach jest w nim sporo typowo dziennikarskiej deklaratywności – zwłaszcza wówczas, gdy namiętny liryk bierze do ręki różgę pamflecisty. Kiedy indziej przecież treść ideologiczna, nie tracąc nic ze swej wyrazistości, przemawia poprzez plastyczne obrazy – i wówczas publicysta ustępuje miejsca autentycznemu poecie. Bywa i tak, że jeden zwarty obraz, zamknięty w lapidarnym zdaniu, sugeruje cały proces historyczny, stawia na nogi rozległe zagadnienie. W *Piątej symfonii* czytamy: „Zaorywa wołyniak Beresteczko i nie może zorać w żaden sposób” – i to wystarcza za ewokację przeszłości i stosunków polsko-ukraińskich. Gdy napisze o Oksanie Laturyńskiej, że „w lekkich buciczkach wychodzi doglądać pawie... i wypuszcza pieśń-sokoła z haftowanego rękawa”, te dwa obrazy staną nam za obszerny esej o poetce.

Nie lęka się Małaniuk i wielkiej metafory, zresztą prawie zawsze w zastosowaniu do swoich historiozoficznych koncepcji. Taką metaforę stanowi powtarzająca się parokrotnie wizja bezgłowej Nike Samotrackiej, na osłep pędzącej nad pobojuwiskiem, w której to wizji Hordynskyj, w recenzji w czasopiśmie „Kijów” (marzec-kwiecień, 1955), doszukał się słusznie „straszliwej”, jak pisze, „logiki” bowiem Ukraina „wciąż jeszcze w jakimś stopniu stanowi ślepy, żywiołowy ruch naprzód, wciąż jeszcze jest zjawiskiem niecałkowicie sformowanym, czymś co nasza współczesność dopiero formuje”. I właśnie poezja Małaniuka – znów z całą słusznością dodaje Hordynskyj – świadomie spełnia to zdanie: „dodaje głowę tym ślepym, żywiołowym siłom”. Tych kilka przykładów wystarczy, jak sądzę, by zredukować i wyznaczyć odpowiednie miejsce zarzutom o „deklaratywności”, „wierszowanej publicystyce” i „płaskim utylitaryzmie” wierszy autora *Pierścienia Polikratesa*.

Nie sądzmy jednak, że poetycka natura Małaniuka wyżywa się

bez reszty w zakłętym kole historyzmu i wieszczania narodowi. Już niektóre z zacytowanych wierszy zaprzeczają takiemu postawieniu sprawy. W swoim czasie nieobca mu była liryka erotyczna, ze swoistym przeciwstawieniem dwóch koncepcji *ewig weibliche*: Carmen-Beatrycze. Mówiąc nawiasem, poeta czuje specjalną predylekcję do takich przeciwstawień, jak na przykład w innym aspekcie Judea–Hellada, w których widzi symbole nieubłaganej, antynomialnej wrogości (dalsze rozwinięcie tej samej koncepcji prowadzi do antytezy Rzym–Moskwa).

Osobną pozycję stanowią wiersze, w których wyładowała się właściwa wielu współczesnym poetom ukraińskim tęsknota za egzotyką. Motywy morza i dalekich egzotycznych krajów występują u Kłena, Bażana, Łypy, Kosacza; znajdujemy je i u młodego Małaniuka.

Nęcił go kiedyś „widnokraż nabrzękły wiatrami”, „las dzwoniący hymnami pijanych ptaków”, „złote ciała” wyspiarskich dziewcząt. Pisał o dalekim Tahiti, o podwodnych skałach z koralu, o „złotym piasku” i marzył – bardzo po literacku – że czeka go czarny sztandar korsarza na dwumasztowym „brygu”. Te same motywy powrócą kilkakrotnie w dojrzałym wieku, zabłyszczą „przyływem fal”, malowniczością kupieckich faktorii, odezwią się nawet w zacytowanym powyżej wierszu *Podsumowanie*: „morze i powiew... jacht białostrzydły...”. Te próby odrzucenia wciąż powracającego pierścienia Polikratesa nie dały trwalszych wyników; ostatecznie Małaniuk zdeklarował się jako piewca troski i bólu narodowego, prostowacz dróg przyszłości, namiętny herold Ukrainy wojującej.

Motyw morza jednak pozostał – tyle, że przeniesiony w inny, właśnie narodowy wymiar. Marynistyka we współczesnej literaturze ukraińskiej, zarówno emigracyjnej, jak tworzonej w warunkach sowieckich (tu trzeba wymienić przede wszystkim Jurija Janowskiego i Bażana), posiada charakter bardzo specjalny i odrębny. Znów klucza należy szukać w historii. Ukraina przez całe stulecia była odcięta od morza, które uważała za swoje – za Mare Nostrum, stając się, paradoksalnie, krajem typowo kontynentalnym. Odgradzały ją

od morza koczownicze stepowe ludy: Chozarowie, Pieczyngowie, Połowcy, Tatarzy. Nie było bandery ukraińskiej na masztach okrętów ani portów ukraińskich. Były greckie, genueńskie, tureckie, potem rosyjskie. Morskie tradycje Waregów podejmowali Kozacy Zaporoscy w sporadycznych wypadkach, ale i oni musieli przepychać się przez wąską gardziel dniewrowego limanu, ściśniętą kamiennymi szponami fortec Kinburnu i Oczakowa.

Któż, jeśli nie pokolenie poetów rozmiłowanych w kijowskim średniowieczu, miał rewindykować ciemne fale pontyjskie dla Ukrainy?! Małaniuk robi to na swój sposób. „Stepowy suchodół” dusi się na wichrach eurazjatyckich i jedyny dla niego ratunek – wyjście ku morzu, którego „horyzonty otwierają wieczność”, które jest dziedziną ludzi wolnych i silnych. Morze jako lekarstwo na step (a już wiemy, czym jest step w poetyckiej mitologii Małaniuka) – oto przemożna idea wierszy marynistycznych, stanowiących osobny cykl *Pierścienia Polikratesa*. Na czele jednego z tych poematów autor położył motto z Baudelaire'a: *Homme libre, toujours tu cheriras la mer! La mer est ton miroir...*⁵⁵⁶ – a jeden z sonetów tegoż cyklu zakończy namiętym pytaniem:

Och, kiedyż bezwład nizinnego świata.
oberwie się urwiskiem ostrych skał?
Kiedyż falanga siny rozlew fal
powiła krzykiem spragnionym: Thalatta!

Tak zamyka się magiczny krąg narodowego mitu. To Waregowie przełożyli szlak z Północy ku Bizancjum, prowadzący przez Czarne Morze; to pontyjska fala kołysała bajdaki Szewczenkowskiego Hamaliji, gdy niósł ogień i śmierć przedmieściom Sambułu. To na brzegach Euksynu, na białych skałach krymskiej Taurydy stoją po dziś dzień wyszczerbione jońskie kolumny, znak i świadectwo Scytyjskiej Hellady. Wszystko łączy się w harmonijną całość. Mit

⁵⁵⁶ Miłość dla morza wieczna w twoim wolnym łonie! Morze jest twym zwierciadłem..., fragment wiersza *Człowiek i morze*, przeł. Antoni Lange.

morza unosi szumiącym przyływem wszystkie koncepcje i symbole Małaniukowej poezji, przekazując je przyszłym pokoleniom i szczęśliwszej przyszłości.

* * *

Z Małaniukiem spotykałem się w przedwojennej Warszawie bardzo często, z racji moich zainteresowań wschodoznawczych i współpracy z „Biuletynem Polsko-Ukraińskim” i „Myślą Polską”. Zdarzało się nam spotykać i przy biurku redakcyjnym, i przy czarce gorzałki. Przekładałem już wtedy jego wiersze. Ostatni raz widzieliśmy się u schyłku lata 1939 roku, gdy nad Polską i światem zawisały czarne chmury wroźonego przez niego nieszczęścia.

Przed kilkoma miesiącami w dalekim Nowym Jorku tamtejsza kolonia ukraińska obchodziła uroczyste trzydziestolecie pracy literackiej Małaniuka. Niechże ten artykuł i ta garść nowych przekładów będą przyjęte jako skromny wkład z polskiej strony do jubileuszu ukraińskiego poety.

[„Kultura” 1955 nr 10]

DWIE ANTOLOGIE

I.

*Rozstrzelane Odrodzenie*⁵⁵⁷ to jeden z najwymowniejszych dokumentów terroru sowieckiego w stosunku do kultury podbitych przez bolszewicką Moskwę narodów.

Nie stanowi pierwszej antologii tego typu, ale najobszerniejszą, najpełniejszą, najlepiej zorientowaną. Obszerne komentarze pozwalają czytelnikowi, nawet słabo znającemu zagadnienie, ustawić proces w szerokiej perspektywie, zaś bogactwo szczegółów nie pozostawia żadnych wątpliwości ani niedomówień. Temat książki

⁵⁵⁷ Jurij Ławrynenko *Rozstrzelane Odrodzenie*, Antologia 1917-1933, *Poezja Proza. Dramat, Esej*. Biblioteka „Kultury”, Tom XXXVII (w języku ukraińskim) [przypis autorstwa J. Łobodowskiego].

niebывały w dziejach cywilizowanych narodów: stopniowe, zamierzone z góry, systematycznie przeprowadzone wyniszczenie kultury ukraińskiej. Gdzie można było – przy pomocy cenzury, nacisku, groźby i szantażu; gdzie opór wydawał się silniejszy – poprzez śmierć fizyczną, obojętne, w łagrze, czy w piwnicy GPU. Prawdziwie naukowa, metodyczna eksterminacja.

Mongołowie Dżyngis-chana, mordując masowo ludność zdobytych miast, często oszczędzali elitę: kapłanów, uczonych, artystów, muzykantów, rzemieślników. Nowoczesny dżyngis-chan nie bawi się w takie liberalizmy. Koniec okresu, przedstawionego w antologii, przyniósł ukraińskiemu narodowi dwa tragiczne wydarzenia: decydujący cios, zadany warstwie chłopskiej... przy czym liczba ofiar deportacji i sztucznego głodu szła w miliony, i ostateczną likwidację kulturalnego odrodzenia. Oto suche liczby, które od razu wprowadzą czytelnika w sedno sprawy i zorientują w ogromie dokonanych zbrodni. W ciągu kilku lat życia literackiego Ukrainy znikło przeszło dwustu pisarzy; rozstrzelano siedemnastu, śmierć samobójczą wybrało ośmiu, stu siedemdziesięciu pięciu zesłano do łagrów, nieznany los spotkał siedmiu. Ci, co uratowali się, zapłacili za łaskę życia najwyższą cenę dla pisarza: upadkiem artystycznym i obowiązkiem nieustannego gloryfikowania własnych oprawców. Po bujnym rozkwicie kulturalnym, odrabiającym wiekowe zaległości i opóźnienia, zostały groby i ruiny. Ach, tak i coraz to rosące sterty książek, w coraz wyższych nakładach, mających świadczyć o błogosławionym wpływie socjalizmu na literaturę. Zgrany, zdyscyplinowany chór panegirystów, wesolutko potrząsających kajdanami.

Dwa lata temu wyszła w Kijowie urzędowa antologia poezji ukraińskiej, której ostatni, czwarty tom obejmuje okres po omawianej likwidacji. Nic bardziej przerażającego, niż jej zestawienie z wyborem Ławrynenki. Jakby kto powrócił do znanego mu sprzed lat, bujnie zieleniącego się lasu i na tym samym miejscu zastał wśród szerniałych pniaków rachityczne sadzonki, oplecione kolczastym drutem.

II.

Zanim przejdę do omówienia antologii, wypada poświęcić kilka słów pisarzowi, który ją opracował i zaopatrzył obszernymi komentarzami. Urodzony w roku 1905, na Kijowszczyźnie, Jurij Ławrynenko odbył studia filologiczne na uniwersytecie charkowskim. Usuwano go ze wszechnicy parokrotnie za „burżuazyjny nacjonalizm”, a następnie pozbawiono prawa do naukowej i wykładowczej pracy. Aresztowany po raz pierwszy w roku 1933, zwolniony po trzech miesiącach, uwięziony ponownie, powędrował do obozu Noryłłag na półwyspie Tajmyrze. Niemal cudem uratowany od śmierci, przeniesiony został na Północny Kaukaz, a w drugim roku wojny sowiecko-niemieckiej udało mu się uciec pod okupację hitlerowską. Był do 1945 Ost-Arbeiterem, brał następnie żywy udział w organizowaniu emigracyjnego życia literackiego w Niemczech. Od dziesięciu lat przebywa w Stanach Zjednoczonych, poświęcając się krytyce, publicystyce i badaniom sowietoznawczym.

Jak widzimy, zwykle losy ukraińskiego pisarza, o tyle mniej typowe, że uniknął zguby, która stała się udziałem olbrzymiej większości jego towarzyszy. Ławrynenko przeżył bezpośrednio proces „rozstrzeliwania” narodowego odrodzenia, był więc jak mało kto predysponowany do opracowania obchodzącej nas antologii. Opowiadanie *Czarna zamieć*, drukowane w roku 1948 w „Ukraińskich Wistiach”, a oparte na wspomnieniach z Tajmyru, należy do najbardziej wstrząsających pozycji tak licznej już literatury o sowieckim systemie łagierniczym. Byłoby dobrze, gdyby autor znalazł czas na literackie wykorzystanie całości swych wspomnień, pod pewnymi względami najzupełniej wyjątkowych.

III.

Ławrynenko szczęśliwie uniknął pospolitego grzechu wielu antologii, w postaci przeładowania. Dał czterdziestu autorów, w większości, zgodnie z rzeczywistym stanem rzeczy, poetów. To celowe ograniczenie pozwoliło utrzymać wysoki na ogół poziom literacki

i przeprowadzić wybór utworów, wystarczający dla pełnego scharakteryzowania każdego pisarza. Wytknąłbym jednak parę luk. Dlaczego nie ma w książce O. Burkhardta-Kłena i Iwana Bahriana? Wprawdzie Kłen wyjechał na Zachód, zanim przyszła fala najcięższych represji, ale data opuszczenia Ukrainy nie powinna była spowodować pominięcia. Bahriany również powinien być wejść do antologii, zarówno z uwagi na treść swych ówczesnych wierszy, jak i losy osobiste. Jurija Jankowskiego reprezentuje jedynie urywek prozy, a sądzę, że zasługiwałby on na skromne choćby miejsce i w dziale poezji.

Wybór prawie zawsze trafny, zachowujący właściwe proporcje między poszczególnymi pisarzami. Czwórka najwybitniejszych poetów: Tyczyna, Rylskij, Zerow, Bażan – występuje na pierwszy plan, pokazana wszechstronnie i w najlepszym wyborze. Osobiście upomniałbym się o parę liryk więcej ze *Słonecznych klarnetów* Tyczyny,⁵⁵⁸ o któryś z kaukaskich czy turkiestańskich wierszy Bażana. Ale to drobiazg, selekcja przeprowadzona jest pewną ręką i z niemal nigdy niezawodzącym smakiem artystycznym.

Komentarze imponują ogromem pracowicie zgromadzonego materiału biobibliograficznego, dając czytelnikowi świetnie podmalowane tło polityczne, społeczne i kulturalne ukazanego procesu. Więc nie tylko antologia, również historia literatury ukraińskiej na przestrzeni ćwierćwiecza, książka absolutnie niezbędna dla każdego, kto interesuje się losami Europy Wschodniej naszego czasu.

Oceny literackie Ławrynenki wpadają niekiedy w przesadę. Pochylony nad tragedią ludzi mu bliskich – których znał, lubił, podziwiał – daje wielu z nich rangę wyższą, niż na to zasługują, co zresztą od razu staje się oczywiste po konfrontacji z ich utworami. Na szczęście tej przesady jest stosunkowo mało i przeważnie dotyczy ona pisarzy, których pozycja po dziś dzień pozostaje dość sporna dla krytyki ukraińskiej.

⁵⁵⁸ *Сонячні кларнети*, Київ 1918.

Tu dotykamy zasadniczego zagadnienia. Czy ten przejmujący dokument ludzkiej i narodowej tragedii może zainteresować ze stanowiska czysto artystycznego? Ostatecznie o pozostaniu w literaturze decydują nie cierpienia i krzywdy, nie najbardziej choćby bohaterska walka i męczeńska śmierć, lecz wyłącznie osiągnięcia pisarskie. Cyprian Godebski⁵⁵⁹ i Mieczysław Romanowski⁵⁶⁰ polegli na polach bitew, a stanowią nikły margines w zestawieniu z Mickiewiczem czy Słowackim, którzy nigdy nie wachali prochu. Jakże wypadnie beznamiętna ocena przedstawicieli Rozstrzelanego Odrodzenia, w oderwaniu od ich wkładu w walkę narodową? I więcej: czy wytrzymują porównanie ze współczesną literaturą Zachodu, do kontaktu kulturalnego z którym rwali się z taką siłą i przekonaniem?

Dla znających dobrze i czujących język ukraiński taka wątpliwość nie istnieje. Zamiast dawać gołosłowne bądź co bądź zapewnienia, lepiej byłoby dołączyć kongenialne przekłady z kilku poetów owego okresu..., gdyby te przekłady istniały. Zwlekałem długo z napisaniem tej recenzji, w nadziei, że uda mi się zilustrować ją choćby garścią poprawnych tłumaczeń. Nie dało się na czas, może wyrównam ten dług, zaciągnięty przy lekturze antologii, w najbliższej przyszłości.

Ale i tak opinia nie wypadnie całkowicie na wiarę, gdyż przed wojną niektórzy poeci Rozstrzelanego Odrodzenia tłumaczeni byli na polski, często ze znacznym powodzeniem. Przypomnę, że Adolf Nowaczyński ogłosił kiedyś, zapominając o własnej filiacji politycznej, artykuł *Wernyhora*, w którym zwracał uwagę na poezje Tyczyny, w całkiem udanych przekładach Józefa Czechowicza. Jestem przekonany, że przede wszystkim Tyczyna i Bażan zdobyły światową pozycję, gdyby nie trudności językowe. Wymieniam właśnie tych dwóch – nie, żebym zapominał o innych: Rylskym, Zerowie, Płużniku,⁵⁶¹ Klenie, etc. Ale w tamtych u k r a i ń s k o ś ć

⁵⁵⁹ Cyprian Godebski (1765-1809), oficer, poeta, kultywował ideę żołnierza-poety.

⁵⁶⁰ Mieczysław Romanowski (1833-1863) polski poeta romantyczny. Jego najpopularniejszy poemat nosi tytuł *Dziewczę z Sącza*.

⁵⁶¹ Jewhen Płużnik (1898-1936), poeta, dramaturg i tłumacz ukraiński.

doszła do głosu w formie najbardziej czystej i spontanicznej, łącząc egzotyzm (z zachodniego punktu widzenia) z doskonałością kształtu artystycznego.

Konkludując: w najwyższych swoich wzniesieniach poezja Rozstrzelanego Odrodzenia jednym skokiem osiągnęła poziom europejski. I właśnie to, bardziej niż „burżuazyjny nacjonalizm”, zdecydowało o ich zgubie. Ośmielili się wbrew woli i radom „starszego brata” wydzwignąć zbyt gwałtownie ponad „czereśniowo-słowiczą” prowincję, ponad ludową „oświatę”, ponad małoruskie szarawary, więc zostali rozstrzelani lub zniszczeni psychicznie i moralnie.

Dotychczas była mowa wyłącznie o poezji. Nic dziwnego, bo w przełomowych okresach liryce bywa najłatwiej zdobyć się na pełny wyraz artystyczno-ideowy swego czasu. Proza i dramat dojrzewają znacznie wolniej. Mykoła Chwyłowij i Mykoła Kulisz zdobyli się przecież w tej epoce „burzy i naporu” na dzieła, które rozwały na oścież zgniłe ogrodzenie zaścianka i wyszły na bity trakt wolnej twórczości, jeszcze zapatrzonyj przede wszystkim w narodowe sprawy, ale już chwytającej pod skrzydła wiatry uniwersalne. Drogę przegrodziły im karabiny maszynowe. Żółto-błękitny usiłował skończyć przekład *Eneidy* Wirgiliusza w konc-lagrze na Wyspach Sołowieckich. Wśród innych – może najwyższy to symbol losów ukraińskiej kultury.

IV.

Krwawy terror nie zakończył procesu. Bolszewikom potrzebna była n i e literatura ukraińska, lecz literatura w języku ukraińskim – by zachować pozory. Podobnie jak z tych samych powodów potrzebna im jest fikcja Republiki Ukraińskiej, reprezentowana nawet, o ironio, na forum międzynarodowej spółki zawodowych ślepców, zwanej Organizacją Narodów Zjednoczonych. Podobnie w pertraktacjach ryskich „reprezentowali” Ukrainę Christian Juriewicz Rakowskij i Adolf Joffe.

Więc proszę – oto *Antologia poezji ukraińskiej*, wydana w Kijowie, w roku 1958.⁵⁶² Trzeci tom obejmuje okres od rewolucji do mniej więcej drugiej wojny światowej, czwarty – poezję wojenną i przedwojenną. Przerzucam kartki i sprawdzam, jak przedstawiono Rozstrzelane Odrodzenie w tomie trzecim. Jak wygląda poezja po jego zlikwidowaniu, w czwartym.

Z dwudziestu sześciu poetów uwzględnionych przez Ławrynenkę, w antologii kijowskiej znajdujemy zaledwie dziesięciu. Reszta, wśród nich tak wybitni, jak Zerow, Draj-Chmara, Fyłypowycz, Włyżko⁵⁶³ – znikła bez śladu. Z tak zwanej szkoły „neoklasyków”, która odegrała ogromną rolę w rozwoju ukraińskiej poezji, nie ma, z wyjątkiem Rylskiego, n i k o g o. Jedynie we wstępie czytamy o nich, że stanowili reakcyjne ugrupowanie „konserwatywno-estetyczne”.

Dlaczego udzielono swoistej amnestii kilku innym, trudno domyśleć się. Szkurupij,⁵⁶⁴ Płużnyk, Mysyk⁵⁶⁵ znaleźli się w antologii, choć bardzo szczupło i źle zaprezentowani. Ale cóż za eufemizm w notatkach biograficznych! O jednym lakoniczna informacja podaje, że zmarł w roku 1943, drugi – w 1936. O wyrokach śmierci, zamienionych później na dziesięcioletnią katorgę, której obydwaj poeci nie wytrzymali, żadnej wzmianki. Cóż chcecie, socjalistyczna dyskrecja!

Notatka o Wasylu Mysyku wygląda jeszcze weselej. Urywa się na roku 1932, po czym dodane jest krótkie zdanie: „Brał udział w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej”. Cóż robił w międzyczasie? Bądź co bądź, całe dziewięć lat! Skazany na śmierć w 1934 i ułaskawiony, poszedł do obozu z dziesięcioletnim wyrokiem. Widocznie należał do tych, którzy zgłaszali się z łagrów do „batalionów śmierci”, celowo rzucanych na rzeź. Jakiś procent tych desperatów uchował

⁵⁶² М. Рильський, М. Нагнибіда, *Антологія української поезії: в чотирьох томах*, Київ 1957-1958.

⁵⁶³ Ołeksza Włyżko (1908-1934), poeta ukraiński (USSR).

⁵⁶⁴ Geo (Jurij) Szkurupij (1903-1937), pisarz ukraiński (USSR). Został rozstrzelany.

⁵⁶⁵ Wasyl Mysyk (1907-1983), poeta, prozaik i tłumacz ukraiński (USSR).

się, a wśród nich i nasz poeta. Te „nieważne” rozdziały zostały, naturalnie, z jego życiorysu wykreślone.

Myślę, że jeszcze gorzej obeszli się redaktorzy antologii z najwybitniejszymi poetami – jak Tyczyna, Rylskij, Bażan – których polityczny oportunizm, zastosowany na czas, uratował od śmierci lub zsyłki. Bardzo nieliczne z ich najlepszych utworów weszły do zbioru, ton nadają wierszowane agitki z lat życiowego dobrobytu, urzędowych dostojenstw i stalinowskich nagród, z lat artystycznego upadku. I tak oto nastąpiło żalosne rozdwojenie: ze stronic antologii Ławryniienki wstają znakomici lirycy, ze stron antologii sowieckiej spoglądają smutne oblicza nadwornych wierszopisów, coraz to grzęznących w błocku typowo komunistycznej grafomanii. Jak gdyby chodziło o ludzi niemających ze sobą nic wspólnego, poza nazwiskami!

Emigracyjna poezja w antologii nie istnieje. Ani dawniejsza, sprzed wojny, ani obecna. Tak jakby jej nigdy nie było. I nawet trudno brać za złe niešťczęsnym redaktorom to „przeoczenie”. Konfrontacja utworów poetów emigracyjnych z krajowym wierszorstwem musiałaby wypaść fatalnie, kompromitacja socrealizmu byłaby nie do odrobienia. Więc najlepiej przemilczeć, półgębkiem tylko warknąwszy na „zdrajców”, „najmitów burżuazyjnego imperializmu”.

V.

Lektura ostatniego tomu kijowskiej antologii jest wręcz przygnębiająca. Gruba księga, kilkadziesiąt nazwisk, kilkaset wierszy – i ani jednej żywej twarzy, ani jednego ludzkiego głosu. Czasami spod zwałów marksistowskich trocin przebija się jakiś bardziej szczerzy, prawdziwy ton – i natychmiast głuźnie, zduszony w zarodku.

Jednostajna tematyka polaryzuje się przy nieśmiertelnych, socrealistycznych kanonach. Wiersze produkcyjne, uwydatniające radosne piękno socjalistycznej pracy. Odgrażanie się „bankierom” i „podpalaczom” z Zachodu. Sowiecki patriotyzm, zawsze uwydatniający przewodniczącą rolę Rosji. Mnóstwo wspomnień wojen-

nych, przepisowo optymistycznych, dziarskich, sławiących władzę, że „obroniła”. Tony słownej sieczki, monotonne przytupywanie prymitywnych rymów – żadnej inwencji rytmicznej, absolutny brak poetyckiej wyobraźni.

A co najgorsze, wszystko tonie w gęstym sosie jakiegoś pseudoklasycznego sentymentalizmu, dziwacznie przeszczepione na marksistowskie podwórko. Ckliwe to, ufarbowane, mizdrzące się. Kolchoźnicza Phyllis, z kwiatami wpiętymi we włosy, doi wspa- niałe socjalistyczne krowy; Laura została przodownicą i czeka pod ulubionym jaworem na Filona traktorzystę. Tyle to ma wspólnego z ludem i proletariatem, co osiemnastowieczne hrabiny w strojach mitologicznych pasterek z pańszczyźnianymi dziewczuchami.

Najgorsze style ubiegłego stulecia spotkały się tu i podały sobie zgodnie ręce. Wyczupirzona pseudoludowość i naiwne czytankowe obrazki, ociekające łojem marksistowskiej pedagogii. Taki dialektyczny Jachowicz⁵⁶⁶ dla dorosłych. „Kto ty Jesteś? Komunista!” Dęty patos, jaskrawe malowanki „przepojonego słońcem” socjalizmu. Każdy układa buzię w słodki ciup, radośnie świergoce, trzepoce skrzydełkami, przysięga na wierność, zapewnia o dozgonnej miłości, wydaje entuzjastyczne okrzyki. Zaiste, zdrowe, syte, wyszorowane ryżową szczotką byczki poetyckie.

Nigdzie ani śladu jakiegoś niepokoju czy choćby wątpliwości, ani cienia pesymizmu, rozterki wewnętrznej. I wszyscy są niezmiennie zakochani. W sowieckiej Ukrainie, w socjalizmie, w kremłowskich gwiazdach, w Leninie, w kolektywizmie. Słowo „kocham” brzęczy jak natrętna osa niemal na każdej stronicy antologii. Jednej tylko wielkiej miłości już nie ma: do Stalina. Rzeczą prostą: książka uka- zała się w roku 1958 [właśc. 1957], więc niezliczone madrygały ku czci „ojca narodów” starannie pozmiatano do archiwum. Chruszczow jeszcze się nie zjawił. Poczekajmy do następnego wydania.

⁵⁶⁶ Stanisław Jachowicz (1796-1857), poeta, pedagog, działacz charytatywny, bajkopisarz. Autor wierszy dla dzieci, m.in. *Kto dzieckiem kochać kraj zaczyna, będzie pociechą narodu*.

We wstępie do antologii towarzyszy krytyk Nowyczenko utrzymuje, że w formowaniu młodych poetów Sowieckiej Ukrainy znaczną rolę odegrały wpływy Mickiewicza i Puszkina, Goethego, Byrona, Verhaerena i Whitmana. Dla sprawdzenia, a także dla zabawy i nauki, kilka przykładów.

„Kocham, kocham Ukrainę – śpiewa Dmytro Pawłyyczko⁵⁶⁷ – tę Ukrainę co z Moskwą złączyła Kijów na wieki, tę Ukrainę co w łachmanach poszła na październikowy bój!”. „Władza sowiecka rodzoną dla nas matką – zapewnia Paraska Ambrosij⁵⁶⁸ – za nią życie gotowiliśmy oddać!”. „Na Moskwę nastawiamy zegarki – uderza w podobny ton Iwan Techoda – na Moskwę nastawiamy serca! Cała ludzkość nadzieje przyszłości nastawia na Moskwę!”. „Rosjo-matko – modli się na kolanach Mykoła Upenik⁵⁶⁹ – kraino męstwa i dobroci, która siejesz prawdę na świecie, od dniewprowych brzegów pokłon ci, Rosjo, aż do ziemi!”. I tak przez kilkanaście strof: „Tyś bratnią rękę nam podała, tyś naszą wolność hartowała... za życie jasne i szczęśliwe, pokłon ci, Rosjo, aż do ziemi!”.

Mychajło Stelmach⁵⁷⁰ jest niemniej kochającym synem. „Gdyby nie ty, o Rosjo-matko, już byśmy słońca nie widzieli, gwiazdy na niebie by przypadły... trucizna morza wypełniła...”. Platon Woronka⁵⁷¹ Moskwy nie widział, ale nie traci nadziei: „Może się uda – śni na jawie – zawieźć złotą pszenicę na Kreml...!”. Uda się, uda na pewno!

Hryćko Bojko⁵⁷² przysięga, że tak już będzie na zawsze, na wieki:

Sowiecka Kraina
dla świata całego,
jak sen o pokoju, swobodzie.

⁵⁶⁷ Dmytro Pawłyyczko (ur. 1929), polityk, dyplomata i poeta ukraiński (USRR), ambasador Ukrainy w Polsce (1999-2001).

⁵⁶⁸ Paraska Ambrosij (1910-1997), poetka ukraińska (USRR).

⁵⁶⁹ Mykoła Upenik (1914-1994), poeta i publicysta ukraiński (USRR).

⁵⁷⁰ Mychajło Stelmach, pisarz i dramaturg ukraiński (USRR).

⁵⁷¹ Platon Woronko (1913-1988), poeta ukraiński (USRR).

⁵⁷² Hryćko (Hryhorij) Bojko (1923-1978), poeta i tłumacz ukraiński (USRR).

Pyszni się Moskwą,
cieszą się szczęściem
wraz z tobą, rosyjski narodzie!

Prawda, jak bardzo przypomina i Mickiewicza, i Goethego?! Absolutny prymitywizm, ożeniony z cynicznym zakłamaniem, kiepsko rymowana wiernopoddańcza publicystyka. W sumie – dno upadku. Tytułem dalszego przykładu, choćby takie arcydzieło Juri-ja Hojdy.⁵⁷³

Stała dziewczyneczka, krucze ma warkocze,
boso przed nową chatą swe wypatruje oczy,
stała dziewczyneczka, rumie licem twarz objęta,
koszulka na niej biała, w ręku elementarz.

Ja nie wiem, dziewczyneczko z warkoczem rozwichrzonym,
czy będziesz kołchożnicą, czy może agronomem?
Lecz wiem: zawsze uczciwie będzie praca podjęta,
bo w życie cię wprowadza sowiecki elementarz...

Ileż doniosłej treści w tym wdzięcznym poemaciku! Czy dziecko, które uczy się z sowieckiego elementarza, może być w dojrzałym życiu nieuczciwe? Wykluczone!

Celebrują tę wierszowaną grafomanię z niebywałą powagą i, zakłamanii do reszty, nie są w stanie zdać sobie sprawy, że to mimowolna parodia literatury, ludzkich uczuć, języka, żalosne podrygiwanie papierowych pajaców, uwiązanych do tego samego sznurka, podskakujących na głos bębna. Nie słyszających, że im głośniejszy i wymowniej gadają, tym większa cisza dokoła. Cmentarna cisza nad zamordowaną poezją.

Niekiedy wybuchają gniewem. Także na komendę. Przeciw imperialistom Zachodu, a głównie „rekinom Wallstreetu” i „podpalaczom wojennym”. Przeciw emigrantom, tym „katom z tryzubami”,

⁵⁷³ Jurij Hojda (1919-1955), ukraiński poeta (USRR).

którzy „na śmietnikach Europy ostrzą noże...”. Któryś zapowiada, że „nie wypuści karabinu z rąk, aż o brudny rzymski bruk strzaska-na zostanie tiara papieska”. Zdarzają się efekty wbrew zamierzeniu komiczne, na przykład w wierszu Andrija Małyszki,⁵⁷⁴ *Winda*. Autor opisuje, jak w Nowym Jorku, jadąc windą, obsługiwaną przez starą Murzynkę, uchylił przed nią kapelusza ku zdumieniu bankierów, „zdziczałych byczków”, „z mordami jak rostbef...”. Murzynka, matka czterech zlinczowanych komunistów, od razu pojęła, że to gość ze Związku Sowieckiego. Łzy szczęścia zabłysły w oczach u ramion urosły skrzydła, zaś na bankierów padł blady strach.

Takich propagandowych obrazków znajdziemy w tomie bardzo wiele. A i to trzeba dodać, że Małyszko nie należy do autorów gorszych ani najbardziej prymitywnych. Niech to posłuży miarą ogólnego upadku.

VI.

Te dwie antologie, zestawione ze sobą, stają się wymownym symbolem losów narodu, którego osobowość kulturalną bolszewicka Moskwa skazała na zagładę. Pierwszą część wyroku wykonano przy pomocy fizycznej eksterminacji. Wykonywanie drugiej części, rękami skomunizowanych i sterroryzowanych Ukraińców trwa nadal.

Antologia kijowska ozdobiona jest podobiznami wszystkich zamieszczonych poetów. Wielu z nich pozowało fotografom w wyszywanych koszulach. Że niby – treść socjalistyczna w narodowej formie. I tyle właśnie ma według planu pozostać z każdej odrębnej kultury narodowej: zewnętrzne, malownicze cechy, przy całkowitym zatraceniu duchowej treści. Koncepcja właściwie nienowa. „Radians'ka Ukraina”⁵⁷⁵ to tylko skorygowana i udoskonalona wersja dawnej „Małorosji”, którą również usiłowano sprowadzić do wyszywanych koszul, szarawarów i hopaka.

⁵⁷⁴ Andrij Małyszko (1912-1970), poeta, tłumacz i krytyk literacki ukraiński (USRR).

⁵⁷⁵ Dosłownie: Radziecka Ukraina.

Reasumując: omówione antologie to dwa wstrząsające dokumenty zbrodni już dokonanych i wciąż dokonywanych na kulturze narodu ukraińskiego.

[„Kultura” 1960 nr 6]

SĄD NAD UMARŁYM

W kilka tygodni po głośnym procesie moskiewskim Siniawskiego⁵⁷⁶ i Daniela,⁵⁷⁷ odbył się w Kijowie inny proces, bliźniaczo do tamtego podobny pod wieloma względami, choć były, naturalnie, także poważne różnice. W Moskwie sądzono i skazano pisarzy rosyjskich, oskarżonych o pisanie „antysowieckich, oszczerczych książek”, przemycanie ich i wydawanie pod pseudonimami za granicą. W Kijowie sądzono i skazano dwóch ukraińskich krytyków literackich, oskarżonych o szerzenie poglądów, sprzecznych z oficjalną linią partii, a zatem „wrogich ludowi”.

Przebieg pierwszego procesu jest dobrze znany, omawiała go również prasa sowiecka, rozgłoszono go na cały świat. O przebiegu procesu kijowskiego można się tylko domyślać, w prasie sowieckiej było o niej głucho, oddźwięk za granicą był nieporównanie mniejszy. Ale najważniejsza różnica polega na tym, że w wypadku Switłycznego⁵⁷⁸ i Dziuby⁵⁷⁹ zasadniczą rolę odegrała ich u k r a - - i ń s k o ś ć, piętnowana zawsze i wszędzie jako „nacjonalistyczne odchylenie”.

Wymienieni krytycy nie tylko bronili pisarzy, zwłaszcza młodych, przed unicestwiającyimi prawdziwą twórczość zakusami

⁵⁷⁶ Andriej Siniawski (1925-1997), pisarz i dysydent rosyjski. W 1966 r. został razem z J. Danielem osądzony i skazany na 7 lat łagrów. Od 1971 r. na emigracji we Francji.

⁵⁷⁷ Julij Daniel (ps. Nikołaj Arżak) (1925-1988), poeta, pisarz i dysydent sowiecki. W 1966 r. został osądzony i skazany razem z A. Siniawskim na 5 lat łagrów.

⁵⁷⁸ Iwan Switłyczny (1929-1992), ukraiński poeta i krytyk literacki, aresztowany w 1965 i 1972, prześladowany i poddawany represjom przez władze sowieckie.

⁵⁷⁹ Iwan Dziuba (ur. 1931), filolog, dysydent ukraiński, po 1966 r. prześladowany i poddawany represjom przez władze sowieckie.

partyjnej biurokracji, nie tylko upominali się o prawo do żywych kontaktów z kulturą zachodnią, nie tylko zdobywali się na ostrą krytykę uświęconych przez partię i reżym, więc nietykalnych arcykapłanów socrealizmu, ale ponadto do tych trzech niewątpliwych „zbrodni” dorzucili czwartą, najgorszą. Występowali w imieniu odrębnej literatury narodowej.

Ostatnio dotarł na Zachód tekst przemówienia, wygłoszonego przez jednego ze skazanych, Iwana Dziubę, na publicznym zebraniu literackim, w obecności wysokich dygnitarzy, zasiadających w prezydium. Oto krótki ale wystarczająco wymowny urywek, dobrze wprowadzający w istotę zagadnienia:

„Kiedyś Dostojewski zapytywał: *Czy zgodzilibyście się zbudować harmonię świata na jednej jedynej łzie jednego tylko bezbron- nego dziecka?* Więc i my zapytujemy: czy może istnieć harmonia świata, czy może istnieć ogólnoświatowa społeczność, czy może istnieć ogólnoludzka sprawiedliwość, jeżeli dla ich osiągnięcia potrzebna jest najmniejsza niesprawiedliwość w stosunku do jednego tylko narodu, w danym wypadku do ukraińskiego?”

W tym pytaniu zawarta była odpowiedź i zarazem oskarżenie: narodowi ukraińskiemu dzieje się w Związku Sowieckim niesprawiedliwość. Powyższe słowa, w warunkach sowieckich nie tylko odważne, lecz wręcz prowokujące, wygłoszone zostały na zebraniu poświęconym pamięci przedwcześnie zmarłego poety, Wasyla Symonenki.⁵⁸⁰ I gdy po kilkunastu miesiącach Iwan Dziuba zasiadł, wraz z Iwanem Switłyicznym, na ławie oskarżonych, na sali był obecny cień nieżyjącego poety. On także siedział na tej ławie, jego także sędzono, jego również skazano. Tyle, że pośmiertnie.

Symonenko żył zaledwie 28 lat. Podobnie jak inni wybitniejsi pisarze młodego pokolenia – Lina Kostenko,⁵⁸¹ Iwan Dracz,⁵⁸²

⁵⁸⁰ Wasyl Symonenko (1935-1063), ukraiński poeta i dziennikarz, przedstawiciel grupy szistdesiatnyków.

⁵⁸¹ Lina Kostenko (ur. 1930), ukraińska poetka i tłumaczka, przedstawicielka grupy szistdesiatnyków.

⁵⁸² Iwan Dracz (ur. 1936), poeta i polityk ukraiński.

Mykoła Winhranowskyj, Witalij Korotycz⁵⁸³ – od pierwszych debiutanckich kroków wyłamał się z socrealistycznego szablonu. Nie miał czasu na osiągnięcie pełnej dojrzałości, ale z tego, co po nim zostało, można wybrać wiązanekę dobrych wierszy – wśród nich kilka doskonałych. Nie piszę tu recenzji literackiej – chodzi o postawę, o antykonformizm. O bezkompromisowe poszukiwanie nowych dróg, o wyraźny bunt przeciw sowieckiej rzeczywistości. Bunt zarazem artystyczny, społeczno-polityczny i narodowy.

Urodzony w roku 1935, gdy ukraińska wieś już była skolektywizowana, a rozpaczliwy opór chłopów barbarzyńsko spacyfikowany, lat przedwojennych nie mógł pamiętać, zaledwie lata wojny. Więc mamy do czynienia – i to napawa największą otuchą – z buntem pokolenia wychowanego w twardych trybach komunistycznej ideologii, poddanego ścisłej kontroli, a w razie nieposłuszeństwa bezwzględny represjom.

Mimo to, a może właśnie dlatego – niepodobna zdobywać się na oceny kategoryczne – po tylu latach, gdy dozorcóm więziennym zaczyna wydawać się, że mogą spać spokojnie, budzi się i kielkuje bunt. Różnie się to może zaczynać, gdyż duch technie tam, gdzie chce. Jakieś opowiadania starszych, jakaś przypadkowa, nieprzewidziana w oficjalnym programie lektura, jakaś ustnie przekazana tradycja rodzinna – któż wie, co jeszcze? – może stać się pierwszą iskrą, skrzesałą na uśpione prochy.

Ale najbardziej decyduje zdrowie moralne – bez tego żadne iskry nie pomogą – przeniesione przez wszystkie trzęsawiska sowieckiego wychowania. Tylko obecność takiego zdrowia warunkuje zrodzenie się spontanicznego protestu przeciw systemowi, gwałcącemu samą naturę człowieka. Młoda, niewykrystalizowana do końca, poszukująca ostatecznego kształtu liryka Symonenki jest takim właśnie protestem, i to protestem wielostronnym: człowieka, który nie mieści się w ciasnym gorsecie koszarowego kolektywu; artysty, który nie dopuszcza zewnętrznej, natrętnej ingerencji do

⁵⁸³ Witalij Korotycz (ur. 1936), poeta i publicysta ukraiński.

swoich przeżyć i wzruszeń. Ukraińca, który widzi na każdym kroku krzywdę i poniżenie swojej ojczyzny.

A więc poetycki bunt w imię wolności człowieka i wolności w nie mniejszym stopniu uciemżonego narodu. Bunt niekiedy zakamuflowany w tak powierzchowny czy może świadomie niezręczny sposób, że aż dziwić się należy naiwności, albo bałaganiarskim niedopatrzeniom cenzury. Trzeba jej przyznać, że starała się wiersze Symonenki, które dostały łaski druku, odpowiednio dopasować do obowiązujących strychulców. W swoim dzienniku poeta skarży się, że redaktorzy „znęcają się nad wierszami”. Jakże to wyglądało?

Poemat, zaczynający się od słów „Znów się zapatrzyłem w twoje oczy...” – czytelnik znajdzie go w przekładzie z oryginalnego tekstu w dołączonym poniżej wyborze – został przez cenzurę zredukowany z ośmiu zwrotek do czterech. I jedna, „niewinna” zmiana. W zakończeniu ostatniej zwrotki autor napisał: „Jeszcze jedną kroplą krwi upadnę na twój sztandar. Sztandar twój najświętszy!” Mowa o Ukrainie. Cenzor zmienił jedno tylko słowo: zamiast „najświętszy” – c z e r w o n y. A czerwony sztandar – wiadomo.

Zupełnie nonsensownego zabiegu dokonano w stosunku do wiersza zamykającego mój wybór, mianowicie zaopatrzone go w tytuł *Proroctwo 17 roku*. Że niby ta gniewna inwektywa dotyczy carskiej Rosji. Trochę to dziwne, takie namiętne wypady liryczne przeciw czemuś, co było rzeczywistością na dwadzieścia lat przed przyjściem na świat autora, a poza tym skąd ten czas t e r a ż n i e j s z y, a zapowiedź zemsty i kary w czasie p r z y s z ł y m? Z równą racją i logiką można by inwektywę skierować przeciw czasom Iwana Groźnego.

W innych wypadkach zrezygnowano w ogóle z jakichkolwiek zabiegów kosmetycznych – po prostu uznano wiersze za nienadające się do druku i odrzucono. W załączonym wyborze, składającym się z dziesięciu krótkich utworów, połowa z nich należy do odrzuconych i mniej lub bardziej przefastrygowanych przez cenzurę.

* * *

Za życia Symonenki wyszedł tylko jeden zbiór poetycki *Cisza i grom*.⁵⁸⁴ Drugi, *Ciążenie ziemi*⁵⁸⁵ – ukazał się już po śmierci autora. Ale jednocześnie w licznych odpisach krążyły wiersze zakazane i przerobione przez cenzurę, w oryginalnych, nielegalnych tekstach. Razem z intymnym dziennikiem poety – *Urywki myśli* – przedostały się za granicę, częściowo zostały wydrukowane w ukraińskim miesięczniku emigracyjnym „Suczasnist” („Współczesność”), a potem ukazały się w osobnym zbiorze pod tytułem *Brzeg wyczekiwań*.⁵⁸⁶

Nie trzeba było długo czekać na gniewną reakcję prasy sowieckiej w języku ukraińskim. Z artykułów, ogłoszonych w czołowych czasopismach literackich, wynika, że należy bronić pamięci Symonenki przed nadużyciem jego imienia ze strony emigracyjnych „burżuazyjnych nacjonalistów”. Wykręcono kota ogonem, pisząc, że zmarły poeta był przez swoje krótkie życie „dobrym komunistą”, zaś pewne „wątpliwe” akcenty zjawyły się w jego twórczości „przypadkowo”. Resztę zwalono na tendencyjną interpretację przez wrogów Związku Sowieckiego.

Wystarczy przecież nawet pobieżny rzut oka na wiersze i na dziennik zmarłego, aby przekonać się, że nie ma tu nic „przypadkowego” i nie ma mowy o interpretacji niezgodnej z intencją autora. Gdy młody poeta, zwracając się do Ukrainy, woła – „Ponad światem najstraszniejsza bitwa o twe prawa i o życie samo...” – gdy w innym wierszu stwierdza: „Mój naród żyje! Nie podda się, nie ugnie się przed niczym!” – a zaraz potem rzuca patetyczne słowa: „Już naród jedna rozjątrzona rana...” – któż może mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że chodzi o codzienną, namacalną rzeczywistość, a nie o żadne retrospektywne wycieczki w przeszłość.

„Gdyby dać mowę wszystkim oszukany, zamordowanych gdyby z grobu zbudzić...” – o kimże mowa? Niezdarne, humory-

⁵⁸⁴ *Тиша і грім*, Київ 1962.

⁵⁸⁵ *Земне тяжіння*, Київ 1964.

⁵⁸⁶ *Берег чекань*, Мюнхен 1973.

styczne wysiłki, by te wiersze odnieść do epoki przedrewolucyjnej, ośmieszają się same przez się, skoro zaraz na następnej stronie Symonenko, zwracając się do matki-Ukrainy, pisze: „Nie odeszły jeszcze wszystkie diabły, tyle ich wałęsa się po ziemi...”. Carskie, burżuazyjne diabły odeszły wraz ze zwycięstwem rewolucji; diabły kułackie – wraz z kolektywizacją; hitlerowskie – również, o jakie więc diabły mogło Symonence chodzić? Czuły słuchacz dośpiewuje sobie w duszy bez trudu. Cenzor także sobie dośpiewał, skoro wiersze te wykreślił z poematu czerwonym ołówkiem, nie pytając o zgodę autora.

Socrealizm ustanowił na Ukrainie ściśle przestrzeganą regułę, że każdy pisarz, deklarując swój ukraiński patriotyzm, powinien nakrywać go ogólnosowieckim daszkiem. Obowiązuje zawsze wiernopoddńczy ukłon pod adresem Moskwy, kremłowskich gwiazd, dawnej także Stalina, dziś bardziej ogólnie, pod adresem partii, a jeżeli przy tym wspomni się ciepło o Gruzinach i Uzbekach, Estończykach i Mordwinach, tym lepiej – lojalność wszechsowiecka zostaje uwypuklona jeszcze bardziej. Wspólnym mianownikiem musi być jednak miłość do „starszego brata”, do „wyzwalającej i prowadzącej” Rosji.

U Symonenki tego nie szukajmy. Przeciwnie, w tym samym, cytowanym już poemaciku znajdziemy dumny, wyzywający wiersz: *Co mi tam głos Rosji i Ameryk!...*, również wykastrowany przez cenzurę. Znowu trzeba orientować się dobrze w warunkach sowieckiego życia, by właściwie ocenić całą prowokacyjną wymowę tego wzgardliwego zwrotu. Poeta nie tylko nie chce słuchać głosu Rosji, ale stawia ją na równej płaszczyźnie z Ameryką. Proszę zwrócić uwagę: z imperialistyczną Ameryką!!!

Tu konieczny jest krótki komentarz. Nonsensowna w wielu wypadkach nowa pisownia zaciemnia niejednokrotnie sens, tu – całkowicie. Powinno być nie Rosji, lecz R o s y j – liczba mnoga, analogicznie do A m e r y k. Rosjanin powie „Ech te wasze J e w r o p y!” – i to ma wyraźny odcień lekceważenia i pogardy. Symonenko z całą premedytacją użył tego zwrotu – „Rosje i Ameryki”, właśnie

w liczbie mnogiej, jakby tych Rosji było wiele, obojętnie jakich, ale zawsze odrzucanych przez świadomego swej odrębności Ukraińca. To niby tylko niuans, zwrot retoryczny, ale w tym retorycznym niuansie zawiera się wszystko. Gdyby krytyka sowiecka nie uparła się odgrywać nad grobem poety ponurej, małpiarskiej farsy, musiałaby przyznać że „burżuazyjni nacjonaści” na emigracji, wydając te utwory – i legalne, i zakazane czy okaleczone, przywracając im autentyczność – nie popełnili żadnego nadużycia, po prostu potraktowali poetę jako s w o j e g o. Ale to byłoby jednoznaczne z rzuceniem na zmarłego komunistycznej anatemy, a tego ze względów propagandowych nie uznano za wskazane. Więc trzeba stroić dobrą minę do złej gry i upierać się, że autor *Brzegu oczekiwania* był „dobrym komunistą”, chwilami tylko zdezorientowanym – co ostatecznie wolno złożyć na karb niedowarzonej młodości, a może nawet postępującej w ostatnim okresie choroby. Trzeba ratować twarz, choć i tak każdy widzi, że krzywa.

Symonenko – nie orientuję się, w jakim stopniu świadomie – nawiązał swoją postawą do pisarzy ukraińskiego odrodzenia lat dwudziestych, słusznie potem określonego – czy nie Jurij Ławrynenko ma prawo do ojcostwa? – jako „rozstrzelane odrodzenie”, do kijowskich neoklasyków, do wczesnego Tycyny, zanim ten załamał się i przyjął dworską liberię, a chyba przede wszystkim do Mykoły Chwyłowego. I to po trzydziestu latach przerwy, wypełnianej swędem prop-agickiej paplaniny! Dowód, że drzewo zostało ścięte toporem bezpośredniego terroru, ale nie wykarczowane. Teraz wypuściło młode pędy, a więc żyje, a więc komunistyczne próchno nie zdołało dostać się do korzeni.

* * *

Pisząc o procesie Switłycznego i Dziuby, prasa zachodnia połączyła go ściśle z przemyceniem przez kordon i opublikowaniem na emigracji utworów Symonenki: wierszy i dziennika. Miesięcznik „Współczesność”, który pierwszy drukował te utwory, w styczniu ubiegłego roku, stawia tę wersję pod znakiem zapytania, uważając,

że proces kijowski jest normalnym objawem zaostrzonego kursu w stosunku do literatury i sztuki w ogóle, a ukraińskiej, zawsze podejrzewanej o nacjonalizm, w szczególności.

Jak podkreśliłem na wstępie, przebieg procesu na emigracji nie jest znany, wszelkie supozycje więc mogą być uznane za dowolne, tak samo słuszne jak niesłuszne. Wydaje się jednak, że nawet jeśli sprawa opublikowania utworów Symonenki nie była punktem wyjścia, to za szczelnie zamkniętymi drzwiami trybunału musiano o niej wspominać i brać pod uwagę. Są na to oczywiste i bardzo poważne poszlaki.

Gdy Dziuba wygłaszał swoje niezwykle odważne przemówienie na zebraniu ku czci Symonenki (16 stycznia 1965 r.), o wydrukowaniu jego utworów za kordonem nic jeszcze w Kijowie nie wiadano. Ale niewątpliwie to wystąpienie przypomniano sobie we właściwym czasie i zapisano ryzykanckiemu mówcy jako dług do spłacenia.

Iwan Switłyecznyj obciążony był znacznie mocniej – i zapewne dlatego sąd potraktował go surowiej. 5 kwietnia 1965 roku „Sowiecka Ukraina” ogłosiła list matki zmarłego poety, Hanny Szczerbań, zwracający się do Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Ukrainy, z prośbą, żeby pamięć jej syna wzięto w obronę przed tymi, którzy nadużywając jej dobrej wiary, „przywłaszczyli sobie jego rękopisy” i „puścili w ruch”. Prosta, niepiśmienna kołchoźnica wiedziała nawet o tym, że teksty tych „wyłudzonych” rękopisów są nadawane przez zagraniczne radiostacje.* Rzecz oczywista, list został zredagowany przez samych adresatów, w łonie Centralnego Komitetu, a nieszczęsnej Hannie tylko kazano go podcyfrować – kto wie, czy nie trzema krzyżkami.

Jako nieuczciwych „przywłaszczycieli” list wymienił z imienia i nazwiska dwie osoby, a jedną z nich jest właśnie Switłyecznyj. Taki publiczny pręgierz z oskarżenia, sfingowanego jako prywat-

* Łobodowski jest w błędzie, matka W. Symonenki, Hanna Szczerbań (1908-1998), rozpoczęła studia w Instytucie Pedagogicznym w Łubniach, lecz z powodów rodzinnych wróciła do domu i pracowała w kołchozie.

ne, niezmiernie utrudnia obronę. Gdyby Świtłycznego zaatakował któryś z partyjnych dziennikarzy czy dygnitarzy nawet, można by próbować jakoś przeciwdziałać, ale jak tu dyskutować na taki temat ze starą kobietą, co do której wiadomo, że jest tylko podstawioną figurantką!

Zwłaszcza ten incydent z listem świadczy, że proces obydwu krytyków łączy się najbardziej intymną pępowiną ze sprawą Symonenki. Nie znaczy to, że bez niej tego procesu by nie było, ale publikacja emigracyjna *Brzegu wyczekiwań* nie mogła nie rozjątrzyć partyjnej góry, nie mogła nie przyczynić się do zaostrzenia kursu i represji. Dziuba i Świtłycznyj to duchowi bracia Symonenki; gdy ich sądzono, również pośmiertnie sądzono i jego, wyrok w pełni dotyczy także i tej przedwcześnie przerwanej twórczości.

Nie ma więc żadnej przesady w twierdzeniu, wyrażonym w tytule tego szkicu: wczesną wiosną 1966 roku, w starym Kijowie odbył się sąd nad żywymi, ale tylko formalnie; faktycznie był to także sąd nad u m a r ł y m .⁵⁸⁷

[„Kultura” 1966 nr 6]

PO ŚMIERCI MAŁANIUKA

W połowie lutego bieżącego roku w Stanach Zjednoczonych zmarł poeta ukraiński Jewhen Małaniuk. W kwietniowym numerze „Kultury” ukazało się krótkie wspomnienie Pawła Hostowca,⁵⁸⁸ który dobrze znał zmarłego pisarza w okresie międzywojnia. Ale pamięć Małaniuka zasługuje z polskiej strony na znacznie więcej – i to nie tylko z racji jego pozycji we współczesnej literaturze ukraińskiej.

Poznałem go w Warszawie gdzieś na początku roku 1936. Zbliżyłem się ówczesnie do warszawskiego ośrodka wschodnioznaw-

⁵⁸⁷ Artykuł Łobodowskiego był wydrukowany z wyborem wierszy i prozy W. Symonenki (Ibidem, s. 9-17).

⁵⁸⁸ P. Hostowiec [J. Stempowski], *Jewhen Małaniuk (1897-1968)*, „Kultura” 1968, nr 4 (246), s. 130-132.

czego, a zarazem do klubu „Prometeusz”, co zresztą mniej więcej pokrywało się ze sobą. Wtedy też przeczytałem książki Małaniuka, z których uprzednio znałem tylko poszczególne wiersze. Wkrótce niektóre z nich przełożyłem dla tygodnika „Biuletyn Polsko-Ukraiński”. Spotykałem się z Małaniukiem dość często w redakcji „Biuletynu”, rzadziej na terenie towarzyskim.

Zwolennicy tytułomanii zwracali się do niego per „panie inżynierze”, gdyż był absolwentem Akademii w Podiebradach, chociaż – o ile wiem – nigdy w swoim zawodzie nie pracował. Zamieszkał na stałe w Warszawie, publikował sporo w „Wistnyku” Dmitra Doncowa, a z polskich czasopism w dwutygodniku „Myśl Polska”. Parę większych prac ukazało się w kwartalniku „Wschód”, między nimi rewelacyjny dla wielu czytelników szkic o *Hoholu – Gogolu*.⁵⁸⁹

Miał wtedy około czterdziestki, życiowo był ustabilizowany, a jeżeli kiedy klepał emigracyjną biedę, to w owym okresie należała ona już do przeszłości. Wyrobił sobie pewne stosunki w stołecznym środowisku literackim, utrzymywał kontakty z kilkoma wybitnymi poetami – m.in. z Tuwimem i Wierzyńskim. Powszechnie go uważano za pierwszego ukraińskiego poetę na Zachodzie.

Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, o oszczędnych ruchach i spokojnym, rzadko kiedy podnoszącym się głosie, trzymał się raczej z pewną rezerwą, bez nadmiernej wylewności, właściwej wielu jego rodakom. Nie była to jednak rezerwa krępująca rozmówcę ani utrudniająca obcowanie. Gdy dochodziło do dyskusji, twardo bronił swojej postawy, ale bez zacietrzewienia i doktrynerskich uproszczeń. Zdecydowany antykomunista, jednocześnie nie ukrywał swej rusofobii, choć wpływy literackiej kultury rosyjskiej były w jego formacji i twórczości oczywiste. Przewyciężenie ich szło w parze z dojrzewaniem artystycznym i upewnianiem się w racjach narodowych.

Miał liczne urazy w stosunku do Zachodu i jego aktualnej cywilizacji, a zwłaszcza do Francji. W najbliższym gronie mówiono mu, że przesadza w swoich pesymistycznych opiniach. Istotnie przesadzał – niekiedy bardzo mocno – w poszczególnych sformułowa-

⁵⁸⁹ Zobacz przypis 551.

niach i zarzutach. Przyszłość udowodniła, że ogólny kierunek jego ocen był trafny.

Lubił trochę pozować na nieszczęśliwego wygnańca z ziemi rodzinnej, bolesnego tułacza, z lekka zerkając ku romantycznym poetom... i wtedy dźwięcznie, ale bez przyciskania pedałów, mówił o „wędrownych namiotach”. Ktoś dobrodusznie, choć nie bez ironii zwrócił mu uwagę, że cóż to za namiot, skoro „wędrowny” dom zbudowany jest z solidnej cegły. Małaniuk nie obraził się, a tylko okrągłym gestem dał do zrozumienia, że to nie to samo.

Ciekawe: wśród osób, które nigdy nie zasiadły przy jego stole, Małaniuka uważano za skrajnego skąpca. Prawda – nie lubił płacić za nikogo w kawiarni, tym bardziej w restauracji. W najlepszym razie płacił swoją część, a i to nie zawsze. Za to we własnym domu – zastaw się, a postaw się! Czego tam tylko pani Małaniukowa⁵⁹⁰ nie wyciągała ze spiżarki, o napojach nie mówiąc! Ale na udział w tych lukullusowych rozkoszach trzeba było zasłużyć.

* * *

O Małaniuku i jego twórczości pisałem w „Kulturze” wielokrotnie, za każdym razem ilustrując moje opinie licznymi przekładami co celniejszych wierszy (*Scylle i Charybdy ukraińskiej poezji* 1954, nry 5/79 – 6/80, *Poezja Jewhena Małaniuka* 1955 nr 10/96, *Ostatnia wiosna* 1959 nr 7/141 – 8/142).

Dziś, gdy na ostatniej stronie jego poezji wyciśnięta została czarna pieczęć śmierci, niewiele mam do dodania czy uzupełnienia.

Był to poeta klęski narodowej, ale nigdy nie zadowolił się rolą płaczkę żałobnej, rozpaczającej w ruinach. Owszem, potrafił napisać: „Wyję – pies na martwym polu bitwy, biednych kości i popiołów stróż...” Albo: „Burza. I zachód krwią opłynie, obwieści głosem nieucichłym”, że „w nowej klęsce znów zaginiem, że step, ruina, mrok i wichry...” – ale zaraz z samego dna tej „nowej klęski” podnosił się mocny głos, zarazem gniewu i nadziei. Więc – budzenie

⁵⁹⁰ Bohumiła Sawicka (druga żona poety).

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/224

1966



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

J. ŁOBODOWSKI : **SĄD NAD UMARŁYM**

W. A. ZBYSZEWSKI : **STANISŁAW
MACKIEWICZ**

J. MIKORSKI : **WATYKAN A ŚWIAT
KOMUNISTYCZNY**

Okładka miesięcznika „Kultura”, numer z czerwca 1966 roku, w którym J. Łobodowski opublikował tekst m.in. na temat twórczości oraz pośmiertnych losów Wasyla Symonenki *Sąd nad umarłym*.

sumienia narodowego. Więc nawoływanie do dokładnego poznania sensu własnych dziejów, jakże zakłamanych przez obcych, jakże słabo uświadomionych przez swoich.

Ktoś – właśnie ze *swoich* – napisał o Małaniuku ironicznie, że pozuje na wieszczka narodowego. Patetyczny, niekiedy nadmierne wyśrubowany ton istotnie mógłby na to wskazywać. Nie było w tym jednak żadnej konwencji literackiej ani z góry powziętego zamiaru. Temperatura wierszy Małaniuka jest funkcją serca, a nie wyrachowania. Ich klasycyzująca tendencja ogranicza się do roli autodyscypliny, skutecznego antidotum na pokusy rozwichrzenia.

Wciąż zahaczająca o wydarzenia czy raczej procesy polityczne, jest to poezja dociekań historiozoficznych, nieustające ścieranie się z mrocznymi wyrokami dziejów, wyzywanie na rękę nieubłaganego losu. Elegijny ton, jeśli się zjawia, wzmacnia raz po raz gniewna inwektywa, bijąca jednocześnie we wroga i we własny naród.

Wspomniałem przed chwilą o budzeniu sumienia narodowego. Pod tym względem autor *Pierścienia Polikratesa* szedł wiernie po linii wytyczonej przez Tarasa Szewczenkę, Pantelejmona Kulisza, Iwana Frankę. Jak ci wielcy poprzednicy, znieważał swój naród, aby go zmusić do gwałtownej reakcji, do wielkiego wysiłku i zrywu odrodzenia. Każdy z wielkich duchów literatury ukraińskiej zaglądał do swego *Grobu Agamemnona*, każdy rozrywał rany, by nie zabiżniały się błoną podłości. Podobnie i Małaniuk.

Historyzm Małaniuka łączy się z posępną wizją eschatologiczną naszych czasów („Gdy wiek nasz – to oślepył Homer, gdy wiek nasz – to Beethoven głuchy...”). Historyzm popychał go ku koncepcjom równie efektownym poetycko, jak niedostatecznie sprawdzalnym w przeszłości i teraźniejszości. W poszukiwaniu stałych ciągów historycznych Małaniuk tworzył wielkie metafory na miarę swoistej mitologii narodowej, dając im wyraz poetycki, a jednocześnie starając się je rozwinąć i rozpracować w dość bogatej prozie eseistycznej, o czym będzie mowa w dalszym ciągu. A więc mit hellenistyczny (*Stepowa Hellada*), mit skandynawskich Wikingów („droga od Wariagów do Greków”, Światosław Zdobycwa, zawie-

szający swój szczyt na bramie Carogrodu), przechodzący w postulat „gotyku” i „żelaznego Rzymu”, którego nadejście wróżył i oczekiwał.

To po stronie pozytywów. A jako przeciwstawienie, zwalczane i przeklinane z całą pasją, koczownicza, chozarsko-połowiecko tatarska Azja, anarchistyczny step, etnograficzna „małorosyjszczyzna” narzucona przez spadkobierczynię Batu-chanów – imperialistyczną Moskwę–Rosję. Oto główne, krzyżujące się i przeplatające nawzajem linie poetyckiej mitologii Małaniuka. Mitotwórczy wysiłek to zasadnicza cecha jego twórczości.

W hierarchii poezji ukraińskiej półwiecza Małaniuk zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Tu przecież zastrzec się trzeba, że w nie-normalnych warunkach, w jakich rozwijała się literatura ukraińska, wszelkie hierarchizowanie jest niezmiernie niebezpieczne. Przypomnijmy, że w s z y s c y wybitni poeci na Ukrainie Sowieckiej zostali w latach trzydziestych zniszczeni przez moskiewski terror: jedni bezpośrednio, fizycznie, inni – moralnie i artystycznie. A że ofiarami terroru padali z reguły poeci stojący na progu dojrzałości, a często zupełnie młodzi, któż zaryzykuje twierdzenie, jakie wartości i możliwości in potentia zostały wówczas zmarnowane!

Małaniuk – najpierw żołnierz, potem emigrant – uniknął tego losu. Gdyby został na Ukrainie, czekałoby go to samo. Może uratowałby się od fizycznej zagłady, ale nie uratowałby swej poezji. Jego artystyczne dojrzewanie przypadło właśnie na najgorsze lata barbarzyńskiego ucisku, niewoli i masowej eksterminacji. Ten rozwojowy proces uległby więc przerwaniu lub okaleczeniu.

Ale czy byt emigracyjny nie powoduje również okaleczeń, względnie wykrzywień, innego wprawdzie typu, zawsze przecież dotkliwych i uniemożliwiających normalne, organiczne dojrzewanie twórcze? Przeglądam bibliografię Małaniuka. Pierwszy, debiutancki tom *Sztylet i stylos* ukazał się w czeskich Podjebradach, następny – w Hamburgu. Potem kolejno Paryż, Lwów, Filadelfia, Nowy Jork, Toronto. Słupy graniczne, wyznaczające krótsze i dłuższe etapy czy nawet postoje emigracyjnej wędrówki. Wydawało się, że warszawski „namiot” zbudowany był najsolidniej, ale i on rozsypał się pod dotknięciem ognia i żelaza.

Sądę, że szczytowym wspięciem się liryki Małaniuka był *Pierścień Polikratesa*, wydany na kilka zaledwie miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej, w dziewięć lat po *Ziemi i żelazie*, najbardziej dynamicznej eksplozji poetyckiego mitotwórstwa. W *Pierścieniu...* mamy ten sam dynamizm, ale bardziej opasowany, dojrzałszy, ujęty w ściślejsze rygory artystyczne. Poeta miał przed sobą jeszcze prawie trzydzieści lat życia i wzbogacił swój dorobek niejednym pięknym wierszem, jednak nie wyszedł już poza poetykę swych lat męskich ani rozszerzył jej granice żywymi i twórczymi doświadczeniami wieku podeszłego. Używając terminologii sportowej, utrzymywał się w formie, ale o poprawianiu rekordów nie było mowy.

Trudno przesądzać, co tu zaważyło najbardziej. Czy wstrząs, wywołany przez drugą wojnę światową i zawalenie się wszystkich nadziei z nią związanych, czy po prostu zbyt wielkie oddalenie geograficzne od dawnego, własnego świata? Z Warszawy do Lwowa jechało się ledwie kilka godzin pociągiem, a dalej była wieś, nie całkiem taka sama jak w rodzinnej Chersońszczyźnie, ale tak czy owak odradzająca oddech poetycki emigranta. A w najbliższym sąsiedztwie bujne lasy Wołynia i białe wieże Ławry na Poczajowskim wzgórzu i wyszczerbiony kikut zamku Lubarta.

Małaniuk nie lubił nadwiślańskiej stolicy i lekcewał ją, co miało zmienić się dopiero podczas wojny, ale mimo wszystko warszawski bruk sprzyjał mu bardziej niż bruki wielkich metropolii amerykańskich. Nowy Jork aż do końca pozostał dla ukraińskiego poety zmechanizowanym, bezdusznym Babilonem, nieświadomym bliskiego dnia nadciągającej Apokalipsy.

Statek, którym Małaniuk opuścił na zawsze starą Europę, zawiązał do Bostonu 8 sierpnia 1949 roku; następnego dnia – Nowy Jork. Był późny wieczór, Małaniuk ujrzał nocną panoramę olbrzymiego miasta, przejeżdżając promem przez Hudson.

„Wrażenie – pisze w swoich *Notatkach z podróży* – bardzo ostre i – trzeba przyznać – niesamowite... Możliwe, że tak właśnie wyglądał w nocy starożytny Babilon”. A po trzech latach pobytu zanotuje:

„Nie ma tu i nie może być miejsca dla *homme libre*.⁵⁹¹ Tu w ogóle nie odczuwa się obecności człowieka”. I przywidziało się niepogodzonymu z miastem przybyszowi widmo „w narzutce, z czarnym, szerokim krawatem, z oczami nalanymi alkoholem”, przechodzące starymi uliczkami Manhattanu – Edgar Allan Poe. Gdyby Małaniuk żył sto lat wcześniej, może poczułby się tam znacznie lepiej.

Nic dziwnego, że aż do końca – a życie trwało jeszcze przez osiemnaście lat – Małaniuk nie zmienił swojej postawy; o zapuszczeniu korzeni w nowym i jakże obcym świecie nie było mowy. Toteż twórczość poetycka tego ostatniego okresu jest właściwie tylko rozpamiętywaniem, echem poprzedniego, p r a w d z i w e g o życia. Znamienne – w owych latach powstało sporo esejów literackich i historycznych, sporo publicystyki. Ameryka świeci w nich niemal absolutną nieobecnością.

* * *

Lekarstwo na wszystkie niedomagania kultury ukraińskiej, na jej „małorosyjskość”, zaściankowość, na spowodowane przez wroga prowincjonalne zapóźnienie Małaniuk upatrywał w klasycznej dyscyplinie i równowadze. A więc emigracyjny odpowiednik szkoły kijowskich „neoklasyków”? I tak, i nie.

Pisząc o zdolnym, ale zmarnowanym w koszmarnych sowieckich warunkach poecie, Marku Woronym,⁵⁹² Małaniuk rzucił taką uwagę: „Romantyzm – to zawsze początek epoki, p r a w d z i w y jej początek”. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek podczas naszych warszawskich spotkań rozmawiał z nim na ten temat. W gruncie rzeczy autor *Sztyletu i stylosu* debiutował jako niewątpliwy neoromantyk, choć najprawdopodobniej niezupełnie zdawał sobie z tego sprawę.

⁵⁹¹ Fr., wolnego człowieka.

⁵⁹² Właściwie: Mykoła Woronyj (1871-1938), poeta ukraiński, należał do pokolenia Rozstrzelanego Odrodzenia.

Sama wizja poetycka jest romantycznej prozapii – stale powtarzający się obraz bezgłowej Nike pobojowisk, wyostrzona do ostatecznych granic inwektywa, przechodząca niekiedy w persyflaż, zamierzona monumentalność, szeroki gest, drapowanie poetyckiego płaszcza („żelaznych imperator strof”), ciągle apelowanie do potomności („Widzę ich wyniosłych i wysokich, całkiem innych niżli dzisiaj my...”) – to przecież niewątpliwe atrybuty romantyzmu.

Ale tym stwierdzeniem zagadnienia nie wyczerpiemy. Wizja romantyczna – owszem, ale od początku towarzyszył jej świadomy wysiłek klasycyzujący, chociaż nie od razu zostanie on uwieczniony powodzeniem. Znowu trzeba powtórzyć to samo: – Czy zaważyły tu wpływy kijowskich „neoklasyków”? Zestawienie odpowiednich dat nie potwierdza tego przypuszczenia. Więc czy tylko zbieżność, wynikała z identycznych dążeń?

W roku rewolucji bolszewickiej Małaniuk miał dwadzieścia lat. Do roku 1921 pozostawał w szeregach armii, nie znaczy to przecież, że owe cztery lata były dla niego jałowe, jeśli chodzi o zainteresowania literackie, niewątpliwie obudzone jeszcze na szkolnej ławie. W jednym ze swoich szkiców przedwojennych Małaniuk wspominał, że środowisko kijowskie, na długo przed objawieniem się grupy neoklasycyzującej, a więc przed rewolucją, wykazywało zdecydowane tendencje okcydentalizujące. Wymienił poetów, może i nie wysokiego lotu, ale za to o tym samym nastawieniu kulturowym – Narbuta,⁵⁹³ Elsnera,⁵⁹⁴ Liwszyca⁵⁹⁵ – dodając, że nawet gdy pisali po rosyjsku, włączali się do tegoż kierunku.

Zresztą Małaniuk uwydatnia wszystkie „niezdrowe oznaki” klasycznego „aleksandrynizmu”: brak głębiej sięgających korzeni, mimozowatość, niedokrwistą „międzynarodowość”, snobistyczny formalizm, a do tego ideową jałowość. Ale – dodaje natychmiast – trzeba z całą siłą podkreślić także pozytywne strony tego „aleksandrynizmu”: jego poziom kulturalny, całkowitą odmienność od

⁵⁹³ Jurij Narbut (1886-1920), grafik ukraiński.

⁵⁹⁴ Władimir Elsner (1886-1964), poeta rosyjski.

⁵⁹⁵ Benedikt Liwszyc (1886-1938), poeta i tłumacz rosyjski, autor wspomnień (polskie wyd. *Półtoraoki strzelec*, tłum. A. Pomorski, Warszawa 1995).

wszelkiej „rosyjskości”, ba, nawet jawną wrogość w stosunku do kultury rosyjskiej (zwłaszcza w moskiewskim wydaniu), wreszcie jego wyraźną prozachodniość. Kijowska „Aleksandria” literacka była zdecydowaną forpoczta wprawdzie słabowitego, hipertroficznie anemicznego (pod względem formalnym), bezsilnego ideowo, ale prawdziwego okcydentalizmu.

Droga była wytyczona. Trzeba było tylko zdobyć się na siłę, anemię zastąpić krwistym temperamentem, wyrzec się formalnego snobizmu, a przede wszystkim wysunąć na czoło określoną, w tym wypadku narodową, przetrwioną historiozoficznie ideę, słowem – z d y n a m i z o w a ć ó w „aleksandryнизм”. Zadania tego podjął się właśnie Małaniuk. I nieważne czy ambitny zamiar powstał i wykrystalizował się jeszcze w latach rewolucji i wojny domowej na Ukrainie, czy dopiero na emigracji, podobnie jak nieważne, czy dojrzewał powoli, czy też przyszedł na drodze nagłego objawienia. Myślę, że właśnie tu należy doszukiwać się poetyckiego rodowodu Małaniuka.

Doszedł niepodlegający wątpliwości wpływ – a może tylko przykład? – Mikołaja Gumilowa. Pozorna sprzeczność – antyrosyjskość i Gumilow. Otóż nie – autor *Zdobywców* był ze wszystkich poetów rosyjskich „srebrnego wieku” najbardziej zachodni, w pewnym sensie „średniowieczny”, formalnie przeciwstawiający się mgłom symbolizmu i dekadencej histerii. Więc chyba raczej przykład, a nawet pokrewieństwo, niż zwykły wpływ. Amatorzy wpływologii powinni pamiętać, że gdy chodzi o mocne indywidualności, należy wprowadzić pojęcie analogii z w y b o r u, a to nigdy nie może być kwestią naśladownictwa ani tak zwanej „bluszczowatości”.

Mówiłem o wybitnym stanowisku, jakie zajął Małaniuk we współczesnej poezji ukraińskiej. A jak to wygląda w hierarchii ogólnoeuropejskiej? Jednoznaczna odpowiedź byłaby i niesłuszna, i krzywdząca. Bo poezja ta rozwijała się nie stopniowo, jak to się dzieje w normalnych warunkach, nie poprzez przechodzące jeden w drugi etapy, lecz gwałtownymi zrywami. Historyk literatury, a nawet krytyk oceniający z bezpośredniego dystansu, musi tę oko-

liczność brać pod uwagę, w przeciwnym bowiem razie zawiśnie w dziejowej próżni.

Naturalny rozwój literatury ukraińskiej był stale hamowany i przerywany, a tym samym w krótkich okresach sprzyjających temu rozwojowi, musiano uciekać się do improwizacji. Taką wielką dynamiczną improwizacją była na przykład liryka Pawła Tyczyny i świetny barok poematów młodego Mykoły Bażana. Małaniuk zdawał sobie sprawę z fatalnej dorywczości procesów kulturalnych na Ukrainie – i dlatego cały jego wysiłek poszedł w kierunku twórczego kontynuowania i ciągłości. Wiemy jak natarczywie i boleśnie prześladowała go świadomość nieobecności gotyku, pojętego jako centralna idea średniowiecza, w dziejach Ukrainy. Wcześniejsze hellenistyczne źródła stratowały kopyta koczowniczych koni. Literatura miała dać to, czego zabrakło w historycznej tradycji albo zostało zniszczone czy też wypaczone przez obce i wrogie siły.

Jestem przekonany, że w świetle tych wszystkich rozważań nie trudno wyznaczyć główne determinanty wojującej, mitotwórczej i wyraźnie kontynuatorskiej poezji Małaniuka. Żaden więc łokieć zachodnioeuropejski do niej nie pasuje i żadna krytyczno-szkolarska szufladka jej nie obejmie.

* * *

Między rokiem 1962 a 1966 wyszły w kanadyjskim Toronto dwa obszernie tomy prozy Małaniuka, pod wspólnym tytułem *Knyha spostereżeń*⁵⁹⁶ Dosłownie byłoby *Książka spostrzeżeń* i brzmi po polsku bardzo niezręcznie. *Księga obserwacji?* – też niedobrze. *Księga uwag?* Albo – wprawdzie niedosłowne, ale dobrze oddające intencje autora – *Notatki i komentarze*.

Dwa solidne tomy, liczące razem nieco ponad tysiąc stron, obejmują kilkadziesiąt dłuższych i krótszych prac, z których większość można zaliczyć do literackiej i historycznej eseistyki. O zwartej budowie tych tomów nie ma co mówić, zbyt wielkie jest w nich bowiem „materii pomieszanie”, a ponadto ogromna rozpiętość w cza-

⁵⁹⁶ *Книги спостережень*, t. 1-2, Торонто, 1962, 1966.

sie. Najwcześniejsze z zamieszczonych prac powstały w latach 1927-1928, najpóźniejsze na kilka lat przed śmiercią pisarza.

Z tym wszystkim nie trudno wytyczyć główne linie, po których postępowała krytyczna i historiozoficzna myśl Małaniuka. Można tylko żałować, że nie zdobył się na zwarte dzieło, w którym jego wizja otrzymałaby kształt definitywny. Stać go było na to, a jeżeli w ogóle się do tego nie zabrał, to na pewno z powodu okoliczności zewnętrznych. Wielka szkoda! Mogłaby powstać wielka konstrukcja – zamiast niej mamy ułamki, z których trzeba odgadywać ogólną ideę architektoniczną. Nie jest to zresztą praca trudna ani nadaremna.

Najważniejsze eseje, decydujące o ciężarze gatunkowym obydwu tomów, koncentrują się na dwóch przecinających się osiach: proces wytoczony Rosji i proces wytoczony własnemu narodowi. Rosji – bo Małaniuk widział w niej upiora, od przeszło dwustu lat wysysającego „serce i mózg” ukraińskiego narodu; własnym rodakom, bo w swojej masie nie zdobyli się na właściwy opór i wysiłek. Ani cywilizacyjno-moralny na co dzień, ani zbrojny w dniach wojennej i rewolucyjnej próby.

Swoje tezy Małaniuk sprawdzał zarówno na materiałach historycznych, jak literackich. Snuł swoje rozważania równoległe do twórczości poetyckiej. Każdy z jego programowych, nasyconych ideologią i historiozofią wierszy natychmiast znajdował – jak już podkreśliłem na wstępie – rozwinięcie i uzupełnienie w prozie esejistycznej. Więc z jednej strony śledzenie losów Ukrainy od najdawniejszych czasów, bo od prehistorii, gdy przy ujściu rzek nadpontyjskich Hiperborejów powstawały pierwsze greckie kolonie, aż po nadaremne zmagania wyzwolencze w latach rewolucji rosyjskiej. Zmagania, w których Małaniuk brał bezpośredni udział.

Dalej śledzenie rozwoju literatury ukraińskiej, jako wyrazicielki przede wszystkim dążeń narodowych. Wytyczanie punktów triangulacyjnych, według których należy orientować się w podróży poprzez dzieje, walka z tym wszystkim, co pisarz uważał za zgniły balast albo obce, więc wrogie wtręty. Dotykając tych zagadnień,

pióro Małaniuka stawało się bezlitosne, zaprawione jadem i żółcią, wycelowane prosto w serce wybranej ofiary. Wystarczy przeczytać choćby to, co pisał o Wynnyczenko,⁵⁹⁷ którego potępił i skazał bezpardonowo jako jednego z głównych winowajców utraty busoli narodowej w okresie najcięższego przełomu. A przecież gdy Małaniuk wystąpił z tym gwałtownym atakiem, Wynnyczenko był wciąż wielkim autorytetem i zamach na niego niejednemu wydał się świętokradztwem.

Gdy pisarz bierze na siebie rolę oskarżyciela, chłoszczącego narodowe przywary, nie podobna, a w każdym razie bardzo trudno ustrzec się skrajnych sądów i przesady. Małaniuk nie zawsze potrafił zdobyć się na całkowity obiektywizm, podobnie jak nie zawsze unikał pokusy „połączania narodowych posągów”. Podobnie jak dość często nie znał miary w potępianiu, nie cofał się przed gloryfikacją bez zastrzeżeń. W obydwu wypadkach decydowała rozpalna żarliwość wyznawcy. Mógłby powtórzyć za Słowackim: „jeżeli gryzę co, to sercem gryzę”, i mógłby usprawiedliwić wprowadzenie do Panteonu swoich bohaterów koniecznością wydzwignięcia narodowego mitu, bo bez bohaterów nie ma świadomości historycznej. A właśnie o nią Małaniuk zmagał się przez całe życie każdym swoim słowem.

Rosja... Przy tym temacie pasja i gniew dochodzą u ukraińskiego poety do ostatecznego napięcia. Rosję moskiewską, Rosję petersburską, autokratyczną i liberalną, carską i sowiecką, Rosję we wszystkich odmianach – spotyka to samo namiętne potępienie. Małaniuk znakomicie orientował się w rosyjskiej problematyce historyczno-kulturalnej i faktograficzna podbudowa jego aktu oskarżenia nie podlega najmniejszemu zakwestionowaniu.

Jak zawsze jednak istnieje sposób na odpowiednie przetasowanie talii faktów historycznych, co przy specjalnym nastawieniu emocjonalnym rodzi jednostronność, polegającą na wyborze

⁵⁹⁷ Wołodymyr Wynnyczenko (1880-1951), polityk i pisarz ukraiński, m.in. pierwszy premier Ukraińskiej Republiki Ludowej (1917), Przewodniczący Dyrektoriatu URL (1918-1919).

i układzie kart wprowadzonych do gry. Małaniuk oskarża Rosję na podstawie materiałów autentycznych i przeprowadza dowód winy w przekonującej formie, nie dopuszcza jednak do głosu obrońcy i nie uwzględnia w s z y s t k i c h bez reszty okoliczności. W tej moskiewskiej Sodomie i Gomorze prawie nie ma Abrahama [powinno być: Lotów – przyp. wyd.]. I na tym właśnie polega pewna jednostronność.

Dla uniknięcia niedomówień czy nieporozumień: piszący te słowa uważa wywody Małaniuka za najzupełniej słuszne w ich zasadniczym ujęciu, wolałby jednak, aby ta zasadnicza słuszność nie unikała konfrontacji z racjami strony przeciwnej. Przydałoby się więcej światłocienia, zamiast jednolitej czerni.

Obszerne, całe epoki obejmujące, koncepcje historyczne nie mogą obejść się bez pewnych uproszczeń. Historyk światowej sławy Arnold Toynbee uległ tej fascynującej pokusie i dał konstrukcję niezwykle efektowną – cóż z tego, skoro fałszywą. Poszczególne elementy architektoniczne wypadają albo kłócą się z ideą całości, albo w ogóle istnieją tylko na papierze, więc w rzeczywistości ich nie ma. A propos: wielkim kusicielem Toynbee'go był Oswald Spengler, bo to chyba on podsunął angielskiemu profesorowi pomysł teorii o cykliczności cywilizacji, zbyt ułatwiony, by można go było sprawdzić. Ale to osobna kwestia, wychodząca poza artykuł o Małaniuku.

Próby syntezy zresztą nigdy nie są całkowicie chybione, gdyż ułatwiają pracę porządkującą, ale nie mogą pretendować do roli wszechstronnego klucza, otwierającego wszystkie drzwi. „Otwórz się, Sezamie!” – działa nieomyślnie w bajce, ale nie w życiu. Marksisci cieszą się jak dzieci sądząc, że oni jedni są w posiadaniu takiego uniwersalnego klucza, a nie zdają sobie sprawy, że to nie klucz, lecz wytrych. W stosunku do kas ogniotrwałych historii marksistowski wytrych staje się narzędziem tak bezradnym, że aż śmiesznym.

Naturalnie, syntezy i uniwersalne koncepcje Małaniuka także grzeszyły jednostronnością i uproszczeniem, co nie znaczy, że nie

nosiły w sobie jakiejś, w trudnym do określenia stopniu, ograniczonej prawdy. Poeta w ogóle lubił przeciwstawienia: albo – albo. Tak na przykład ułożył sobie teorię o kobietach – przeciwstawienie dantejskiej Beatryczy andaluzyjskiej – z lekkiej ręki Mérimée'go⁵⁹⁸ – Carmen. Pamiętam – na początku 1936 roku poznał w towarzystwie Tuwima, z którym spotykał się dość często, Zuzannę Ginczanę⁵⁹⁹ i przeczytał kilka jej młodocianych wierszy.

Małaniuczyszczce – jak go nazywali niektórzy przyjaciele – wpadł w zachwyty, a w ogóle skłonny bywał do entuzjazmu, chociaż – przyznać trzeba – umiał później te swoje zachwyty przeżuwać i kontrolować. „Macie nową, znakomitą poetkę!”. Czy do nasilenia tego entuzjazmu przyczyniła się w jakimś stopniu wielce efektowna aparycja Ginczanki, nie wiem, ale podejrzewam, że chyba tak.

Zaraz też włożył jej swoją teorię o kobietach. Osiemnastoletnia, świeżo upieczona maturzystka z wołyńskiej prowincji także zachwyciła się, a co najmniej przejęła. Nazajutrz powtórzyła mi całą teorię, sądząc, że jej nie znam. Powiadam: „Sana, a ty co wybierasz? Chcesz być Beatryczą czy Carmen?”. Dziewczyna szybko ochłonęła i po namyśle doszła do wniosku, że nie odpowiada jej ani jedno, ani drugie. Teoria była efektowna, ale zbyt wąska, by ją stosować do wszystkich.

Jeszcze jedno przeciwstawienie, także dotyczące typów kobiecych, ale tym razem mocniej osadzone w określonych kręgach cywilizacyjnych: helleńska Nauzykaa i judejska Salome. Zjawia się ono po raz pierwszy u kijowskich neoklasyków (Zerow przede wszystkim, Fyłpowycz); prawdopodobnie Małaniuk, zafascynowany kontrastem, przetłumaczył sobie później Nauzykaę na córkę Fulka Portinari, a Salome na sewilijską miłośnicę.

To tylko anegdotyczno-literacka dygresja, przydatna przecież jako interesujący przyczynek, bo oświetlający skłonność naszego poety do pewnych mitologizujących uproszczeń.

⁵⁹⁸ Prosper Mérimée (1803-1870), francuski pisarz i historyk, autor *Carmen* (1845).

⁵⁹⁹ Zuzanna Ginczanka (1917-1944), poetka polska.

Historyczne oceny Małaniuka, prawie zawsze starannie uzasadnione, budzą niekiedy sprzeciw. Wspomniałem o „połączeniu narodowych posągów”. Bohdana Chmielnickiego Małaniuk gloryfikuje bez najmniejszych zastrzeżeń, pisząc o nim w samych superlatywach: „genialny, bohodannyj” (Bogiem dany, przez Boga zesłany – wykorzystanie imienia B o h – d a n). Że Chmielnicki był człowiekiem wielkiej miary, to oczywiste i tylko ktoś, kto nie wyszedł poza Sienkiewiczowską wizję z *Ogniem i mieczem*, może taką ocenę kwestionować. Ale wielcy ludzie także popełniają fatalne pomyłki – i Chmielnicki nie był wyjątkiem.

Twierdzenie – raczej sugestia – Małaniuka, że tylko śmierć hetmana przekreśliła szansę wybicia się Ukrainy do całkowitej niepodległości, wydaje się zbyt ryzykowne. Między polskim młotem a moskiewskim kowadłem (i ze straszliwym tatarskim „sprzymierzeńcem” nad głową) nie było na to żadnych szans, zwłaszcza po Batochu. Rzeź wziętych pod Batochem jeńców przekreśliła raz na zawsze możliwość nowego kompromisu Chmielnickiego z Rzeczpospolitą. Dogadanie się ze Szwedami? W roku śmierci hetmana Karol Gustaw mógł już tylko obiecywać, ale uczynić ewentualnego sojuszu naprawdę efektywnym nie mógł.

Małaniuk chwali dynastyczne zamiary Chmielnickiego i w zasadzie ma rację, ale zapomina, że mołdawska polityka była prowadzona na wyrost i tylko przyśpieszyła katastrofę. Aż do beresteckiej potrzeby Chmielnicki postępował zgodnie z nakazami racji stanu i z możliwościami – potem już n i e ! Ale tych spraw nie można omówić w kilku zdaniach, zahaczam tylko o nie mimochodem.

Na marginesie: ukraińscy historycy i publicyści stale mówili i mówią o tatarskiej „zdradzie” pod Beresteczkiem. Nie wydaje się to słuszne. Tatarzy istotnie zdradzili pod Zborowem i pod Żwańcem – jak później, już jako sprzymierzeńcy Rzeczypospolitej, zdradzili Polaków pod Ochmatowem, umożliwiając wycofanie się kozackiego taboru. Ale za każdym razem brali okup i uprowadzali jasyr, więc zdrada im się opłacała. Spod Beresteczka uciekli, ogarnięci paniką, dopiero po trzydniowej bitwie i ciężkich stratach. Tym razem „zdrada” byłaby bezinteresowna, a to nie leżało w tatarskich zwyczajach.

Byłoby kwestią dokładnego zbadania i solidnej dyskusji, czy Małaniuk nie przesadza, gdy uwydatnia znaczenie i wpływy kręgu antycznej cywilizacji greckiej na Ukrainie. „Fakt, że nasza ojczyzna należy do tego kręgu – powiada w jednym z najważniejszych szkiców II tomu – fakt długotrwałego przebywania w nim naszych przodków (od VIII wieku przed narodzeniem Chrystusa) pozostawił po sobie, musiał pozostawić ogromne następstwa, które w nas istniały, istnieją i będą istnieć – w naszej podświadomości, w naszym organizmie, nawet w „unerwieniu”. Obawiam się, że tu Małaniuk poszedł zbyt daleko w mitologizowaniu, poczętym zresztą z najbardziej szlachetnej intencji.

Znowu można tylko zahaczyć w paru zaledwie zdaniach o to zagadnienie. Ileż tu nierozstrzygniętych pytań! Czy Antowie byli na pewno Słowianami? Jak daleko sięgało w głąb kraju oddziaływanie greckich kolonii? Czy pomieszanie się ludów irańskich z tubylcami miało zasadnicze znaczenie na przyszłość? Jaki procent koczowników, napływających okresowo z głębin Azji Środkowej, pozostał na dzisiejszej Ukrainie na stałe? Historia i archeologia jeszcze nie dały na te pytania definitywnych odpowiedzi – i kto wie, czy kiedykolwiek wszystkie wątpliwości zostaną wyjaśnione. W poezji Małaniuka i w nie mniej poetyckich uniesieniach jego wywodów historiozoficznych wyjaśnienie i rozwiązanie zostały znalezione. Zaakceptujmy to właśnie tak – jako jeden z pięknych mitów, które uskrzydliły twórczość znakomitego poety.

Co osobiście uderzyło – i to uderzyło nieprzyjemnie! – autora tego artykułu, poświęconego pisarzowi już nieżyjącemu, który na żadną krytykę odpowiedzieć nie może i nigdy nie odpowie, to opinia o słynnej pseudo-historycznej powieści Hohola – Gogola *Taras Bulba*. „Niezależnie od tego – napisał Małaniuk w eseju *Bezpaństwo noc* – jak ustosunkujemy się do ściśle n a r o d o w e j wartości tego utworu, pozostaje on utworem monumentalnym, prawdopodobnie wiecznym. Mimo wszystko wskrzesił d u c h a kozackiej epoki: za Wiarę i za Naród”. Myślę, że tym razem instynkt zawiódł Małaniuka i jako pisarza, i jako Ukraińca.

Taras Bulba jest powieścią nieprzytomnie antypolską, więc łatwo podejrzewać Polaka, że nie potrafi o niej napisać obiektywnie. Nie o to przecież chodzi. Jestem absolutnie na te rzeczy zahartowany. I nawet nie o to chodzi, że końcowy wydźwięk powieści, gdy konający bohater marzy o Ukrainie pod ręką „prawosławnego cara”, nie mógł Małaniuka i żadnego Ukraińca, świadomego historycznych losów swej ojczyzny, nie urazić.

Zdziwiło mnie, że Małaniuk, tak bardzo wyczulony, uwrażliwiony na historię, nie uchwycił, że powieść Gogola o ś m i e s z a kozaczyzną zaporoską, że daje jej karykaturę. Że to nie bohaterska opera, lecz operetka. Pomijam już wszystkie błędy historyczne, często elementarne. Jedyne, co w tym romantycznym poemacie prozą, typu b u f f o, ma wartość bezsporną, to opisy ukraińskiej przyrody. Naprawdę piękne, przepojone liryzmem, chociaż biorąc rzecz poważnie, i tu nie brakuje grandilokwencji i gigantycznych superlatywów. Owe ptaki, które nie są w stanie dolecieć nawet do połowy dniewprzewodnego nurtu!

Powiedziałem, że Gogol (czy Hohol) kozaczyzną ośmiesza – i podejmuję się przeprowadzić dowód prawdy. *Taras Bulba* na naradzie siczowej wysuwa argument, że konieczna jest nowa wyprawa, ponieważ jego synowie, Ostap i Andrij, jeszcze nie wypróbowali szaberek. I zaczyna się operetkowa kłótnia, potraktowana przez autora z całą powagą. Doprawdy, źródła historyczne wystawiają zapożyczonemu nieco inne świadectwo.

Cała przygoda Andrija, z jego miłością do pięknej Polki i zdradą w imię tej nagłej miłości, aż śmierdzi tanim felietonowym romansidłem francuskim w stylu ostatnich, postromantycznych popłuczyn. Coś jak *Garbus albo chevalier de Lagardere*,⁶⁰⁰ mój ulubiony bohater, gdy miałem trzynaście lat. I ta wyprawa Tarasa Bulby do Warszawy, by znaleźć się w pobliżu syna Ostapa w dniu jego egzekucji, i ten okrzyk: „Słyszę!” – toż żywcem wykrojone z hollywoodzkiego filmu w najgorszym wydaniu. Nie wiem, jak można dopatrywać się cech monumentalności w takim pseudohistorycznym kabarecie.

⁶⁰⁰ Popularna powieść dla młodzieży, autorstwa francuskiego pisarza Paula Févala (1816-1887).

Bardzo żałuję, moja w tym wielka wina, miałem napisać recenzję z dwutomowego zbioru prozy Małaniuka przed paru laty, spóźniłem się, a obecnie bezpośredniej polemiki podjąć, niestety, nie sposób. A może znajdzie się ktoś, kto by zechciał podtrzymać zadziwiające dla mnie opinie Małaniuka o *Tarasie Bulbie*. Mogłaby z tego wynikać dyskusja całkiem pouczająca.

Małaniuk był pisarzem zbyt poważnym, aby takie potknięcie się mogło zachwiać jego pozycją. Zaś porachunki z umarłymi, nawet najostrzejsze, byle w zasadniczych sprawach, stanowią miarę ich znaczenia. Właśnie dlatego, że znaczą i ważą, trzeba z nimi wciąż rozmawiać i spierać się do końca. P a n e J e w h e n e, jestem przekonany, że gdyby pan żył, nie wzięłby mi mego pieniactwa za złe.

Historyczny konflikt Moskwa–Kijów dominuje w problematyce Małaniuka. Natomiast o sporze polsko-ukraińskim pisze zadziwiająco niewiele, wyraźnie spycha te sprawy ku marginesom – co nie znaczy, że ich nie dostrzega. Pretensje, które zgłasza tu i ówdzie pod polskim adresem, są, niestety, prawie zawsze uzasadnione. Nasza polityka międzywojenna wobec Ukraińców była nie tylko niesłuszna i krzywdząca – gorzej, była ahistoryczna, nonsensowna i przyniosła fatalne konsekwencje.

Przyznając zasadniczą rację gorzkim uwagom Małaniuka, trzeba jednak dodać, że parę razy przegiął on pałkę zbyt mocno. Przesadził, gdy polski nacjonalizm wpakował do wspólnego worka z rosyjskim *jedino-niedielimstwem*, przesadził, gdy postawił znak równania między polskim i rosyjskim mesjanizmem. Przy pewnych zewnętrznych zbieżnościach mesjanizmy te miały ze sobą niewiele wspólnego, gdyż wypłynęły ze źródeł całkowicie odmiennych. Także trudno się zgodzić z opinią, że katastrofa wrześniowa 1939 roku przyszła w wyniku złej polityki wobec mniejszości narodowych. Oczywiście, polityka była bardzo zła, ale nie widzę tu żadnego związku przyczynowego.

Nie z pedanterii, lecz dla porządku kilka rzeczowych sprostowań. Zresztą Małaniuk sam wychodzi im naprzeciw, podkreślając, że nie zawsze mógł sprawdzić fakty i daty, skoro potrzebne mate-

riały musiała zastąpić mu pamięć. Nie mogło się zatem obejść bez pomyłek, zwłaszcza drobnych. Tak na przykład, o Aleksieju hrabim Tołstoju Małaniuk napisał, że „oprócz tytułu, nie miał nic wspólnego z rosyjskim rodem tego nazwiska, był potomkiem Aleksego Rozumowskiego, męża carycy Elżbiety”.

To nie tak. Tołstoj pochodził istotnie z Rozumowskich, ale po kądzieli. Jego pradziadem był – wbrew temu, co napisał Małaniuk – nie Aleksy, lecz Cyryl Rozumowskyj, brat tamtego, ostatni hetman lewobrzeżnej Ukrainy. Matka Tołstoja była naturalną córką jednego z Rozumowskich, sytuacja prawna i jej, i rodzeństwa została zalegalizowana jeszcze za życia ojca: wszystkich zaliczono carskim dekretem do szlachty, pod nazwiskiem Pierowskich.

Siedemnastoletnia Anna wyszła za mąż za hrabiego Konstantyna Tołstoja i z tego związku urodził się w roku 1817 przyszły pisarz.

Małaniuk przyjmuje za pewne szkockie pochodzenie poety Lermontowa – od jakiegoś Lermonta. Nie ma na to żadnych dowodów. Owszem, Lermontow pisał o Szkocji jako o swojej rzekomej ojczyźnie, ale było to fantazjowanie. Kiedy indziej zapewniał, że pochodzi z Hiszpanii, z arystokratycznej rodziny de Lerma. Najprawdopodobniej ani jedno, ani drugie.

O bitwie pod Legnicą czytamy, że Tatarzy zniszczyli tam rycerstwo czesko-polskie. Czesi pod Legnicę nie zdążyli, stawili opór Batu-chanowi dopiero pod Ołomuńcem. Zaskakuje twierdzenie, że większość kadry oficerskiej w Białej Armii Denikina i Wrangla stanowili nie Rosjanie, lecz Ukraińcy, Polacy i inni i n o r o d c y. To co najmniej ryzykowne.

Takich błędnych informacji jest więcej, ale nie tyle, by podać w wątpliwość skrupulatność autora. Gdy się nie rozporządza własną biblioteką, przy utrudnionym dostępie do źródeł, pomyłki są nieuniknione.

Szkoda że Małaniuk nie włączył do żadnego z dwóch tomów prozy niezmiernie interesujących, *Kartek z notatnika*, drukowanych swego czasu w polskim przekładzie, w „Kulturze” (nr 6/32 1950). W tych lakonicznych zapiskach z lat 1937-1940 i z 1945, zajmują-

cych razem zaledwie pięć stron druku, jest cały Małaniuk. Warto przypomnieć na przykład, jak po raz pierwszy w odmiennym świecie ujrzał nielubianą Warszawę, po obronie w 1939 roku.

„Warszawa – czytamy pod datą 30 września, a więc w kilka dni po kapitulacji – była dla mnie miastem, gdzie *przemijają dni*, miastem, *gdzie nie urodził się żaden poeta*. Warszawa w ogóle znajdowała się *poza granicami wielkiej poezji i tragedii*. Nie ratowało jej nawet Norwidowskie: *ideal sięgnął bruku*”. I oto pierwsze wyjście na scenę po zakończeniu pierwszego aktu, który, jak się później okazało, był tylko uwerturą: Niesamowite wrażenie. I wrażenie dziwne: Warszawa *spompeizowana* stała się jakoś niewiarygodnie u d u c h o w i o n a. *Operetka* znikła całkowicie. Warszawski *półstyl* zniknął definitywnie. I ruiny miasta nabrały wyrazu wysokiej sztuki i wysokiego stylu...”

I jeszcze taki zapis, z 16 sierpnia 1945 roku, a więc w dziesięć dni po Hiroshimie: „Rozbicie atomu... Czymże to jest, jeśli nie zniszczeniem muzyki, harmonii, struktury. Wszystko leci w przepaść. Biedni ludkowie, co *trzymają w swoich rękach losy świata* – nawet nie domyślają się, jak żałośni są w swej bezradności i nieświadomości tego, co się dzieje n a p r a w d ę”.

Przed wojną Małaniuk wróżył nadchodzącą katastrofę, ale w mrocznych objęciach tej wróżby kielkowała nadzieja, że w wyniku katastrofy przyjdą odnowienie świata i odrodzenie wolnej ojczyzny. Po wojnie – podkreślić należy, że tuż po wojnie – nie było już miejsca dla nadziei, co najmniej w granicach jednego ludzkiego żywota. To zapewne tłumaczy, dlaczego Małaniuk nałożył tłumik na swoją dalszą twórczość.

Dopiero dystans czasu pozwala na właściwą ocenę. Życiowy dorobek autora *Pierścienia Polikratesa* stanowi zamkniętą całość. Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że w dniu, gdy naród ukraiński zacznie iść swoją własną, swobodnie wybraną drogą historyczną i będzie mógł nieskrępowanie wybierać drogowskazy i czcić swoich najwybitniejszych synów, w przyszłym panteonie Ukrainy znajdzie się poczesne miejsce i dla Jewhena Małaniuka. Zasłużył na nie, jak mało kto ze współczesnych.

PS

Już po śmierci poety, w miesięczniku ukraińskim „Suczasnist” („Współczesność”), wychodzącym w Monachium (marzec br.), zamieszczono osiem wierszy zmarłego, pochodzących z lat ostatnich. Pisane były w przeczuciu rychłego zgonu. I niezmiennie powtarza się jak obsesja miesiąc l u t y. I w lutym, dnia 16, nastąpiło ostateczne rozwiązanie.

Z tego cyklu przełożyłem pięć liryk jako uzupełnienie artykułu. Są to raczej bruliony wierszy, krótkie liryczne notatki, zapisywane w pośpiechu, a sprawiające przejmujące wrażenie migotania latarki idącej nikłym światłem po śladach zbliżającej się śmierci. Przeczucie nie oszukało poety.

Jewhen Małaniuk

LUTY

Miesiąc luty – prawdziwie l u t y.
Przyczałeś się, czuwasz i czekasz,
aż poskręca nerwy zły smutek,
aż na serce zabraknie lekarstw;

wtedy ku mnie jak wilk wygłodniały
skoczysz w nocy zniecka do gardła,
i kręgosłup zdrętwiałego ciała
z trzaskiem złamie się...

Wiosną zamarłą
znajdą ludzie całkiem przypadkowo
coś, co t u t a j przemknęło cieniem,
ale było siedzibą Słowa,
co łączyło pracę i natchnienie;
z losem wiodło walkę wytrwałą,
rozkochane w namiętnościach świata,
w ogniu żyło...

I zgubę spotkało,
gdzie nie bój, ani ból, ani żalność,
tylko wichur pustkę zamiata.

Dobrze wiem, że ten miesiąc I u t y,
bo ta pewność wciąż za mną się wlekle,
i ty także wiesz: z gniewnej nuty
w gniewnym sercu miłość zaciekle.

28 II 1964

* * *

Już aniołowie nie chcą więcej mówić ze mną.
Duch odlatuje, ciało coraz cięższe
w głąb ziemi ciągnie...

I powstaje wiersz przyziemny,
bezskrzydły, czołgający się jak węże,
co ledwie dyszy, ledwie coś bełkoce...

O, jakże słabnie nędzne ciała truchło!

Nad czarną ziemią już jesienne noce
złocą się pożegnalnie i żalobnie głuchną.

1 XI 1966

BEZSENNOŚĆ

Nad Białym morzem
nawet noce białe,
nad Czarnym
Czarne nawet dni...

4/5 X 1967

Naczynie ciała głucho pęknie –
ta wszystkich grzechów krucha przystań.
Nigdzie od siebie nie uciekniesz.
Dokoła nędzna rzeczywistość,
a dzień – zazdrosny cyklop – śledzi
twój każdy krok.

I kiedy stopę
postawi noc, to nurt stuleci
zaleje cały świat potopem.
I mrok zaszumi wodospadem,
jakbyś w podwodnej był mogile.

Lecz sen, co idzie mroku śladem
ani na jedną zajrzy chwilę.

10 IX 1967

* * *

W miesiącu Februarze febra i angina,
i grypa. U nas miesiąc zwie się Lutym.
Lecz nagle wybuch, nowe się zaczyna
i słońce tnie jak szabla w dniu pokuty.

Wtedy złociste zaczną grzmieć tympany,
Marzec z swych zmarszczek zetrze szarą słońce.
I wstanie z martwych Kwiecień zapomniany
i padną mury chmur pod pierwszym grzmotem.

10 X 1966

* * *

Podkraść się luty – niezauważony...

W tym szarym dniu – to było w Wielkim Poście –
Chyłkiem się skradł i niespodziewanie

uderzył słońcem w plecy i na oścież
zdradliwym ruchem ku tej nagłej zmianie

otworzył padół i niebios. Prościej
nie bywa. Wód spod śniegu zmartwychwstanie
rozbiło zimy lodowaty kościec
i dzień za dniem objawia się wiośnianiej.

Obłoki popłynęły jak okręty –
i żagle – skądże ich gromada cała?
A biała zima wnet poblękitniała

i maszty sosen, wiatrem ogarniętych!
I kontynenty z śmierci znów wyrosły
płynąc kosmicznym oceanem wiosny.

28 II 1966

[„Kultura” 1968 nr 10]

SPRAWA REWINDYKACJI – PONOWNIE

Przed niespełna rokiem redaktor „Kultury” przysłał mi pracę niezującego już pułkownika Bolesława Ostrowskiego⁶⁰¹ (zmarł w Argentynie w roku 1965) pod tytułem *Prawda o Hrynkach, czyli polska akcja rewindykacyjna na Wołyniu*. Z inicjatywą jej ogłoszenia w „Kulturze” lub „Zeszytach Historycznych” wystąpił przyjaciel zmarłego, pułkownik Tadeusz Boguszewski,⁶⁰² który przysłał masyzynopsis wymienionej pracy. W liście do redaktora określił ją jako

⁶⁰¹ Bolesław Ostrowski (1891-1964) pułkownik WP, osadnik wojskowy, w latach 1937-1939 był dowódcą Pułku KOP „Zdobunów” i Brygady KOP „Podole”, po 1945 r. na emigracji w Argentynie.

⁶⁰² Tadeusz Boguszewski (1906-1988), pułkownik WP, w czasie II w. światowej w Związku Jaszczurczym i NSZ, po II wojnie na emigracji w USA.

„uczciwe przedstawienie wypadków. Bez kolorów i tendencji. Pułkownik Ostrowski znał teren, znał wszystkie osobistości kierownicze, tak ze strony polskiej, jak i ukraińskiej. Przed ludźmi takimi jak ja nie miał potrzeby taić niczego wówczas, a w swoim pisanym sprawozdaniu z dalekiej Argentyny nie miał potrzeby taić, przeinaczać lub koloryzować. Był dociekliwy i doszukiwał się przyczyn rusyfikacji. W rezultacie był daleko lepiej zorientowany, niż Józewski i podlegli mu urzędnicy”.

Redaktorowi ta praca – właściwie osobiste wspomnienia o zacięciu polemicznym – wydała się zbyt obszerna. Istotnie, jest to maszynopis na dwudziestu stronach bitego pisma bez odstępów: w „Kulturze” zająłby od 25 do 30 stron. Chodziło więc o przeprowadzenie dużych skrótów i odpowiednie przepracowanie. Ostatecznie zdecydowałem się pracę śp. Ostrowskiego po prostu streścić, cytując niektóre fragmenty *in extenso*. Osoby, które znają oryginalny tekst, będą mogły sprawdzić, czy streszczenie uwzględni wszystkie argumenty autora.

Ale nie ograniczyłem się do streszczenia. Naświetliłem te wspomnienia krytycznie, raz po raz wdając się w polemikę z autorem. Tamte sprawy należą już do historii, ale jak widzimy, budzą namiętne kontrowersje po dziś dzień. Zresztą, zostałem zaczepiony także osobiście, i to w sposób również domagający się repliki. I nie chodzi o rzeczy bagatelne.

JŁ

Z tak zwaną rewindykacją, której Hrynki były etapem najbardziej głośnym, zetknąłem się oczywiście podczas mojej dziennikarskiej pracy na Wołyniu. Kilka słów, jak do tego doszło. W marcu 1937 roku zacząłem wydawać w Lublinie dziennik „Kurier Lubelski”. Żywość jego była krótkotrwała, ale pismem zainteresował się wojewoda wołyński, Henryk Józewski, ze względu na sposób, w jaki tam stawiałem sprawę ukraińską. Zaprosił mnie najpierw do stałej współpracy z tygodnikiem „Wołyń”, a następnie zaproponował objęcie, zresztą nieoficjalne, jego redakcji. W październiku

przeniosłem się do Łucka i redagowałem „Wołyń” do maja 1938 roku. Pułkownik Ostrowski podaje, że na Wołyniu przebywał przez cały rok, od wiosny 1937 do wiosny 1938, a więc synchronizacja w czasie z moim pobytom całkiem dokładna. W kwietniu Józewski został przeniesiony do Łodzi, więc i moja dalsza praca w „Wołyniu” stała się niemożliwa.

Pułkownik Ostrowski miał służbowy przydział do Równego, dużo jeździł – jako dowódca pułku KOP w powiecie krzemienieckim, zdołbunowskim i części równieńskiego musiał poznać całe pogranicze. Wieś Hrynki znajdowała się właśnie na jego terenie. On sam wypowiada się o polityce Józewskiego zdecydowanie negatywnie i, jako jeden z promotorów akcji rewindykacyjnej, broni jej równie zdecydowanie. Ale nie chodzi mi już o słuszność czy niesłuszność tej akcji, lecz o zdumiewające zjawisko, że osoby znajdujące się na tym samym terenie i w tym samym czasie nie tylko oceniały rzeczywistość we wręcz sprzeczny sposób, ale i s a m e f a k t y widziały zupełnie inaczej.

Czy naprawdę pułkownik Ostrowski mógł poznać teren i ludzi w ciągu jednego roku lepiej, niż Józewski i jego urzędnicy w ciągu dziesięciu lat? Ale nie przesądzajmy sprawy – czas zająć się pracą autora tych polemicznych wspomnień.

„Na wstępie mych służbowych powinności – czytamy zaraz na pierwszej stronie – stwierdziłem z zadowoleniem, że miejscowa ludność zachowywała się spokojnie, do państwa ustosunkowywała się lojalnie, zaś do KOP odnosiła się z szacunkiem, zaufaniem i życzliwością, wdzięczna za bezpieczeństwo, jakie jej zapewniała obecność oddziałów KOP, oraz za pomoc i opiekę nad nią ze strony KOP”.

Wydaje mi się, że w tym jednym zdaniu znajduje się klucz do tych wszystkich złudzeń i nieporozumień, jakimi żywił się wówczas – a i później – pułkownik Ostrowski. Chłop wołyński był nieufny i podejrzliwy, zamknięty w sobie – logiczna konsekwencja ciężkich losów historycznych. Cóż dopiero, gdy chodziło o kontakt z przedstawicielami władzy, wojska, policji! Nie znaczy to, aby nie

można było Polakowi wejść z nim w konfidencję, co jednak wymagało spełnienia różnych warunków. Józewski na przykład umiał doskonale dawać sobie radę z chłopami z północnego Wołynia, z myśliwskich wsi. Świetnie strzelał, co myśliwym z dziada pradziada musiało imponować, ale najważniejsze: znał doskonale język ukraiński i „nie wstydził się” używać tej mowy przy każdej okazji.

Z pułkownikiem Ostrowskim nie zetknąłem się osobiście ani razu. Nie wiem, czy był obecny na odczycie, wygłoszonym w Równem przez Włodzimierza Bączkowskiego (bodaj w lutym 1938) na temat stosunków polsko-ukraińskich; jeżeli był, udziału w dyskusji nie wzięł. Jakoś w tym samym czasie doszło do polemiki między „Wołyniem” i „Polską Zbrojną”, która to polemika wyglądała raczej jak rozmowa między jegomościem siedzącym na ławie oskarżonych i pełnym temperamentu prokuratorem i sędzią w jednej osobie.

Oto w „Wołyniu” ukazał się artykuł, w bardzo ostrożnej formie zwracający uwagę na wzrost antypolskich nastrojów na wsi wołyńskiej. „Polska Zbrojna” natychmiast zareagowała ostrym artykułem, przekreślając wszystkie wysunięte argumenty. Autorem był zdaje się pułkownik Sadowski,⁶⁰³ bardzo przyjaźnie wspomniany przez Ostrowskiego, szef sztabu w DOK Przemyśl i prawa ręka generała Głuchowskiego⁶⁰⁴ w akcji rewindykacyjnej na terenie województwa lwowskiego. Trudno było dać „Polsce Zbrojnej” właściwą odprawę – Józewski, który już wisiał wtedy na jednej nitce, bał się dalszych zadrażnień z wojskiem.

Pamiętam dobrze cotygodniowe posiedzenia komitetu redakcyjnego „Wołynia”. Brał w nich niezmiennie udział Józewski, nominalny redaktor Janisławski,⁶⁰⁵ stary Podolak, Joachim Wołoszynowski,⁶⁰⁶ były wicewojewoda Śleszyński,⁶⁰⁷ paru zaufanych urzędników

⁶⁰³ Stanisław Sadowski (1896-1969), podpułkownik WP.

⁶⁰⁴ Janusz Głuchowski (1888-1964), generał WP, m.in. dowódca DOK X w Przemyślu (od 1933 r.).

⁶⁰⁵ Roman Janisławski (1898-1981), dziennikarz, m.in. korespondent „Gazety Polskiej” w Łucku, redaktor tygodnika „Wołyn”, po 1945 r. pozostał w PRL, pracował w PAP.

⁶⁰⁶ Joachim Wołoszynowski (1870-1945), dziennikarz i polityk, poseł na Sejm i senator.

⁶⁰⁷ Józef Śleszyński (1888-1943), pełnił obowiązki wojewody łuckiego w 1930 r.

z województwa i, naturalnie, niżej podpisany. Za każdym razem głowiono się, czy któraś z pozycji zakwalifikowanych do druku nie wywoła zbyt ostrej reakcji wojskowych. Stawałem dęba, ale rzadko kiedy udawało mi się przeforsować bardziej zdecydowane wystąpienie.

Artykuł „Polski Zbrojnej” (co do autorstwa Sadowskiego nie jestem pewny) był właściwie czymś w rodzaju reprimendy. Że niby my, wojskowi, doskonale znamy rekrutów z Wołynia, cenimy ich jako żołnierzy i wiemy, że w każdym wypadku dochowają wierności Rzeczypospolitej. Cóż było na to odpowiedzieć? Że żyją panowie w sferze słodkich złudzeń? Obawiam się, że pułkownik Ostrowski, kiedy pisał swoją *Prawdę o Hrynkach*, tkwił nadal w złudzeniach. Po tym wszystkim, co działo się na Wołyniu w latach 1942-1945, po Dermaniu, po Janowej Dolinie!

Wspomnienia Ostrowskiego, ograniczone w czasie do jednego roku, przechodzą następnie w polemikę z Władysławem Pobóg-Malinowskim, przy czym dostało się przy tej okazji i mnie, ponieważ to, co kiedyś o Hrynkach napisałem, pokryło się z relacją Malinowskiego, w tomie drugim *Najnowszej Historii Politycznej Polski*.

Rewindykacja przeprowadzana była dobrowolnie i dotyczyła wyłącznie chłopów polskiego pochodzenia, niegdyś zmuszonych lub namówionych podstępnie do przejścia na prawosławie. Nieprawdą jest, jakoby ludność Hrynek powróciła potem gromadnie na prawosławie. Wojewoda Józewski prowadził politykę szkodliwą dla Polski i składał kłamliwe raporty, w wyniku których został wkrótce z Wołynia usunięty. Wszystkie zarzuty przeciwników rewindykacji pod adresem wojska oparte były na fałszach. Oto dłuższy cytat zawierający charakterystykę działalności wojewody Henryka Józewskiego:

„Zaraz po objęciu mej funkcji, stwierdziłem z głębokim zdziwieniem, że społeczeństwo polskie na Wołyniu czuło się mocno przygnębione, rozgoryczone i nawet zastraszone polityczną działalnością wojewody wołyńskiego, Henryka Józewskiego. Nastrojowi temu ulegały nie tylko poszczególne osoby, lecz i całe zespoły, jak duchowieństwo rzymsko-katolickie, Macierz Szkolna, Związek Oficerów Rezerwy, Związek Podoficerów Rezerwy, Związek Osad-

ników i pozostałe polskie organizacje społeczne. Nie lepiej czuły się zarówno podległe wojewodzie, jak i niezależne od niego władze i urzędy administracyjne państwowe czy komunalne na terenie Wołynia. Niezgadzających się z jego szowinistyczną, a prowadzoną z wielkim fanatyzmem, zaciekłością i tupetem politykę ukrainizacji Wołynia wojewoda usuwał, względnie stawiał wnioski do złożonych w Warszawie o ich usunięcie z terenu. Używał przy tym różnych pretekstów, niemających nic wspólnego z istotą sprawy. W środowiskach polskich świecił nieobecnością, za to brał pilny udział w zebraniach i obchodach ukraińskich. Aby założyć «Proswitę» czy teatr ukraiński, sprowadzał działaczy i aktorów z Małopolski Wschodniej, wobec braku takowych na miejscowym terenie. Nie chciał nigdzie dopuścić Polaków, a nie mając odpowiednich kandydatów, Ukraińców lokalnych, sprowadzał emigrantów – Ukraińców zza kordonu i przeforsowywał ich jako posłów z Wołynia do Sejmu Polskiego...”

To są jedyne argumenty na rzecz oskarżenia wojewody Józewskiego o „ukrainizację Wołynia”. Nieco dalej autor powtórzył te same zarzuty, pisząc o „zakładaniu filii «Proswity», teatrów, chórów, bibliotek” i tak dalej.

„A jak nazwać – zapytuje Ostrowski – umiejętność Józewskiego wprowadzenia do Sejmu w Warszawie, jako posłów z Wołynia, Ukraińców, emigrantów z Wielkiej Ukrainy, z czołową postacią Skrypnyka na czele?”

Jak widzimy, repertuar zarzutów raczej ubogi. Ktoś, kto zna wieś wołyńską i w ogóle ukraińską, uśmiechnie się mimo woli, że potrzeba było dopiero inicjatywy Józewskiego, by zaczęły powstawać... chóry! Toż w każdej najmniejszej wsi istniał chór: za Drugiej Rzeczypospolitej, pod zaborem rosyjskim – zawsze! Szkoda, że autor cytowanego tekstu nie podał nazwisk tych działaczy, sprowadzanych rzekomo z Małopolski i zza kordonu. W rzeczywistości była ich garstka.

Oczywista, Józewski żadnych chórów, teatrów i organizacji ukraińskich nie zakładał, natomiast prawdą jest, że ich powstawaniu

nie przeciwstawiał się. I o to właśnie poszło. W Łucku parę razy w miesiącu występował teatr ukraiński, w trzech czwartych amatorski. To już był kamień obrazy. Wojewoda zaprosił Marię Dąbrowską do „Ridnoj Chaty” na ludowe przedstawienie – skandal! Wojewoda rozmawia z Wołyniakami po ukraińsku – niewątpliwa zdrada narodowa! Pułkownik Ostrowski najwidoczniej wpadł od razu w środowisko szowinistyczne, które odpowiednio go nastawiło. A co tu dużo gadać – urzędnicza inteligencja polska w Łucku, Równem i gdzie indziej w znacznej większości tworzyła nacjonalistyczne getto, bez żadnego kontaktu z terenem. Józewskiego nienawidziła – i nie mogło być inaczej.

Co do elementu napływowego – jak napisał Ostrowski – „z Małopolski i Wielkiej Ukrainy”, jakże łatwo ten zarzut odwrócić! A Polacy – w administracji, sądownictwie, władzach miejskich, policji, nauczycielstwie – ilu wśród nich było rodowitych wołyńców? Czemuż więc stosować taką podwójną miarę?! A może samo mianowanie Józewskiego wojewodą wołyńskim stanowiło bezprawie? On przecież także był przybyszem z Wielkiej Ukrainy, podobnie jak poseł Stepan Skrypnyk!

Pułkownik Ostrowski napisał, że Józewski został na wiosnę 1938 roku przeniesiony z Wołynia do Łodzi na skutek nieprawdziwego raportu o sprawie Hrynek i całej akcji rewindykacyjnej. To niezupełnie tak. Hrynki tylko dołąły oliwy do ognia, przyczyny tkwiły gdzie indziej. Dopóki żył Piłsudski, Józewski był „żelaznym wojewodą” i trudno było przeciw niemu występować. Wkrótce po śmierci Marszałka zaczęła się nagonka, która coraz to przybierała na sile, aby dojść do apogeum w zimie z roku 1937 na 1938. Ostrowski w ogóle o tej nagonce nie wspomniął, choć przecież przez cały rok swego pobytu na Wołyniu z bliska ją obserwował. Nic nie wie o istnieniu tygodnika „Kurier Wołyński”, specjalnie założonego w Łucku dla zwalczania i szkalowania Józewskiego. Pewien podoficer w stanie spoczynku, nazwiskiem Witczak, kawaler Virtuti Militari, wystąpił z listem otwartym, oskarżając wojewodę, jako również odznaczonego tym samym krzyżem, o zwykłe nadużycie. Sprawa

poszła do Kapituły Orderu, która oczyściła Józewskiego z zarzutów, co nie przeszkodziło „Kurierowi Wołyńskiemu” do ich podtrzymywania w dalszym ciągu. I wtedy zaczęła się krzepiąca na duchu kołomyjka: województwo konfiskowało „Kurier”, zaś sąd łucki, wrogo ustosunkowany do wojewody, za każdym razem uchylał konfiskatę. Józewski do Sławoja – co robić? – Sławoj: konfiskować w dalszym ciągu! Wzruszający i niezwykle praworządny wyścig kompetencji! Czyżby o tym wszystkim pułkownik Ostrowski nie wiedział? A może zapomniał, gdy pisał swoje wspomnienia?

Co uderza w dwudziestostronicowym tekście, to minimalna liczba zacytowanych nazwisk i niedokładna chronologia. Nawet nazwisko J ó z e f s k i – „f” zamiast „w”! Co prawda, sam autor zastrzega się, że żadnymi notatkami nie rozporządzał i pisał po kilkunastu latach. To brzmi przekonywająco, ale gdy się nie ma pełnego zaufania do własnej pamięci, lepiej unikać kategoriycznych twierdzeń.

Tu parę słów pro domo sua. Ostrowski wspomniał o mnie dwukrotnie, ale nie w związku z moim pobytem na Wołyniu w tym samym okresie. A jednak byłem w Wołyniu *spiritus movens* w walce z „Kurierem Wołyńskim” i napsułem wrogom wojewody sporo krwi. W Łucku ludzie czekali z tygodnia na tydzień, co też „Kurier Wołyński” napisze o Józewskim i co na to odpowie Łobodowski. Poza tym namówiłem wojewodę na założenie miesięcznego dodatku literacko-artystycznego, który miał jednak swoje maleńkie znaczenie i podniósł poziom pisma.

Ostrowski wymienił mnie dwukrotnie w swojej pracy, ale z innych powodów. Wspominając o *Najnowszej Historii Politycznej Polski* Pobóg-Malinowskiego, napisał, co następuje:

„Co prawda, już wcześniej ukazał się w londyńskich «Wiadomościach» artykuł krytykujący akcję rewindykacyjną na Wołyniu, pióra p. Łobodowskiego, który jeszcze do dziś pobąkuje z przekąsem o tej akcji. Początkowo warunki nie pozwoliły mi odpowiednio zareagować; potem wyperswadowałem sobie replikę, gdyż artykuł ten nie wnosił nic ponad zarzuty, stawiane swego czasu przez posłów ukraińskich na komisji sejmowej, zbadane i odrzucone przez

rząd jako niepolegające na prawdzie i wręcz kłamliwe. Artykuł ten świadczy, że p. J. Łobodowski, wywodzący swój ród od kozackiego atamana i, chociaż już nie komunista, ale pisarz polski, który *wybrał wolność* po przekonaniu się (zdaje się na własnej skórze), czym była i jest wroga Polsce propaganda, nie otrząsnął się ze swej niedawnej przeszłości i w dalszym ciągu pozostaje tej wrogiej propagandy echem...”.

Jak wynika z tego tekstu, pułkownik Ostrowski nie orientował się że „wolności nie wybierałem”, bo jej nie straciłem, i że ta moja przeszłość, rzekomo „niedawna”, skończyła się na parę lat przed zapoznaniem się z rzeczywistością wołyńską⁶⁰⁸.

Gorzej, gdy autor w swojej polemice z Pobóg-Malinowskim, popełnia następujący lapsus: „Nie słyszałem, aby Józewski był zwalczany przez komunistów. Sądząc po stanowisku byłego komunisty, p. Łobodowskiego, który będąc w Polsce ustosunkowywał się do rewindykacji na Wołyniu, podobnie jak czyni to i obecnie na emigracji, to polityka Józewskiego, osłabiająca Polskę przez pogłębianie obcej irredenty na jej terenie, była przez komunistów, działających na rozkaz Moskwy, przyjmowana raczej z uznaniem”.

Ano, insynuacja całkiem wyraźna i niedwuznaczna. Józewski działał na korzyść komunistów i Moskwy, więc „były komunista” Łobodowski chwalił go i chwali po dziś dzień. Więc może wcale nie taki był y ?

To jedno wystarczy, by stwierdzić, jak bardzo zmarły pułkownik nie orientował się w wołyńskiej rzeczywistości i jakich nierzetelnych miał informatorów. Józewski był zniechęcony przez komunistów, ponieważ pod wieloma względami wytrącał im argumenty typu, powiedzmy, „narodowego komunizmu”, streszczające się w hasło: „Niech żyje Wolna Ukraina pod ręką ojca Stalina!”. Gdzieś koło roku 1930, czy też nieco później, wyszła w Sowietach książka, której tytułu dokładnie nie pamiętam; coś w rodzaju: *Imperialistyczni panowie i ich psy łańcuchowe*.

⁶⁰⁸ Łobodowski zerwał z ruchem komunistycznym w latach 1934-1935.

Kilkadziesiąt sylwetek najwybitniejszych polityków, głównie europejskich i amerykańskich, ale był także Czang Kaj Szek, bodajże Kemal Pasza, cesarz japoński i tak dalej. Polskę reprezentowali jako „psy łańcuchowe kapitalizmu i imperializmu” marszałek Piłsudski i właśnie... Henryk Józewski. Do tego odpowiednie karykatury. Józewski był przedstawiony jako okrutny prześladowca chłopów wołyńskich, a przede wszystkim jako kat i oprawca komunistów. Pamiętam, że wojewoda był bardzo dumny z tego wyróżnienia.

Najwidoczniej pułkownik Ostrowski nie słyszał, że podczas okupacji Józewski, który w podziemiu prowadził żywą działalność, padł ofiarą zamachu i wyszedł z niego ciężko poraniony; zamachu tego dokonali komuniści. Gdyby o tym wiedział, może nie napisałby słów powyżej zacytowanych.

Polemizując z Pobóg-Malinowskim, Ostrowski kilkakrotnie z oburzeniem pisze o szkalowaniu wojska, w czym miał brać udział również wojewoda Józewski. Jego stosunki z wojskiem były od początku raczej niedobre, z biegiem czasu coraz gorsze. Rewindykacja dokonała reszty. Tu konieczna jest mała dygresja. Zawodowi wojskowi byli w Polsce wyjątkowo wyczuleni. Z zasady przyjmowali krytykę jednego z nich jako atak na wojsko w ogóle. Ta postawa przetrwała do pewnego stopnia i na emigracji. Jest to osobny temat, którego nie zamierzam tu wyczerpać. Ograniczę się jedynie do stwierdzenia, że z chwilą, gdy do Józewskiego przyłgnęła opinia „tępiciele polskości” i „ukrainizatora”, wojsko wypowiedziało mu bezpardonową walkę. Nieliczne wyjątki nie zmieniały ogólnego obrazu.

Pułkownik Ostrowski, zdaje się, nie wiedział, że na decyzji odwołania Józewskiego najbardziej zaważył ówczesny dowódca OK Lublin, do którego należał Wołyń, generał Mieczysław Smorawiński. Gdy zgłosiła się do niego delegacja oficerów, meldując że nie odpowiadają za siebie, jeżeli Józewski nie zostanie odwołany, Smorawiński, zamiast posłać ich na odwach, złożył odpowiedni raport ministrowi Kasprzyckiemu, a ten z kolei poszedł do Sławoja.

„Albo zabierzecie Józewskiego z Łucka, albo go zastrzelimy” – taki był sens tej interwencji. W tym samym czasie „Kurier Wołyń-

ski” zamieszczał artykuły, histerycznie bijące na alarm: „Pięć minut przed dwunastą”, „Miara cierpliwości przebrała się...”

Czytelnik nieorientujący się w sytuacji mógł łatwo dojść do wniosku, że polskości na Wołyniu grozi całkowita zagłada. Że jeszcze kilka dni, a społeczeństwo, z wojskiem na czele, zrewoltuje się przeciw „zbrodniczemu” wojewodzie.

Czy wśród polskich oficerów nie było ludzi ograniczonych, tępych, a nawet zupełnych kretynów? Byli głupcy i kretyni wśród administratorów, prawników, lekarzy, dziennikarzy, literatów, księży, we wszystkich zawodach! – wśród zawodowych wojskowych być ich nie mogło, taka opinia byłaby równoznaczna z obrazą munduru! Wojewoda Józewski miał z wojskiem mnóstwo przykrości, często zupełnie niezwiązanych z jego polityką na tym trudnym terenie. Przytoczę dwa wypadki, jakby żywcem wyjęte z humorystycznej anegdoty.

Pułkownik Ostrowski wymienił w swoich wspomnieniach podpułkownika Gąsiorka,⁶⁰⁹ dowódcę baonu „Dederkały”, który odegrał niemałą rolę w „nawróceniu” Hrynek. Parę lat przedtem Gąsiorek, ówczasie jeszcze w randze majora, wszedł w konflikt z konserwatorem wojewódzkim, Józefem Dutkiewiczem.⁶¹⁰ Dutkiewicz, którego poznałem tuż przed wojną w Lublinie, nie miał nic wspólnego z żadną polityką. Architekt z zawodu, historyk z zamiłowania, dbał tylko o to, by gmachy objęte uchwałą o ochronie zabytków nie były niszczone ani przerabiane w niewłaściwy sposób. Bolał nad stopniowym niszczeniem zamku Lubarta w Łucku; nawet na jego zabezpieczenie, cóż dopiero restaurację, nie miał żadnych funduszy; roczna dotacja była śmiesznie niska.

Jak mi opowiadano, z majorem Gąsiorkiem doszło do awantury w związku z inicjatywą odrestaurowania nieczynnych organów w kościele w Dederkałach. Organy były zabytkowe, z epoki baroku, Dutkiewicz przeciwstawił się zbyt oryginalnemu planowi ich prze-

⁶⁰⁹ Stanisław Gąsiorek (1896-1940), ppłk WP, zginął rozstrzelany w Charkowie.

⁶¹⁰ Józef Dutkiewicz (1903-1968), historyk sztuki, malarz i konserwator zabytków, m.in. konserwator zabytków w woj. wołyńskim (1932-1935) i lubelskim (1935-1939).

róbki. Chodziło o ułożenie rur organowych w kształcie orła z rozpostartymi skrzydłami. Awantura! Wojewoda poparł Dutkiewicza. Trudno o lepszy dowód antypolskiej działalności! Nie chcieli mieć w kościele godła Rzeczypospolitej!!!...

Dutkiewicz miał tego dość i po pewnym czasie postarał się o przeniesienie do Lublina, gdzie na krótko przed wybuchem wojny udało mu się przywrócić do pierwotnego, pięknego stanu Stary Rynek wraz z przylegającymi uliczkami. Mówiąc nawiasem, jeśli na Wołyniu oskarżono go o ukrajinofilizm i polakożerstwo, w Lublinie uzyskał miano antysemity. Powyrzucał sklepiki i warsztaty ze sklepionych bram starych domów. Ukrajinofil i antysemita – jak to pięknie się łączy!...

Druga historyjka wypadła jeszcze zabawniej. Jej biernym bohaterem stał się wójt z Ołyki. Był nim popularny na Wołyniu Edmund książę Radziwiłł,⁶¹¹ syn księcia Janusza.⁶¹² Oskarżono go przed wojewodą Józewskim o niewłaściwe traktowanie żon oficerskich. Książę, witając się, ścisnął piękne, białe dłonie, ale nie składał na nich pocałunków. Obraża! Wojewoda odmówił interwencji w tej sprawie, ergo stał się moralnym współnikiem niegrzecznego księcia. A kto nie szanuje żon oficerskich, wiadomo...

To nie są zmyślane anegdoty. Tak było! I te historyjki, żywcem wyrwane z surrealistycznej farsy, przyczyniały się do utwierdzenia zbiorowej psychozy dokoła rzekomo antypolskiej i ukrajinizacyjnej akcji Józewskiego. Żałuję bardzo, że śp. pułkownik Ostrowski padł bezbronną ofiarą tej psychozy.

Wkrótce po przyjeździe do Łucka byłem na odczycie, wygłoszonym przez miejscowego adwokata, bardzo dynamicznego członka Stronnictwa Narodowego. Temat odczytu: przeszłość i terażniejszość Wołynia. Duża sala kinowa, nabita do ostatniego miejsca. Urzędnicy państwowi, sporo młodych oficerów, przedstawiciele palestry, redakcja i współpracownicy „Kuriera Wołyńskiego” *in corpore*. Odczyt miał charakter raczej wiecowego przemówienia,

⁶¹¹ Edmund Radziwiłł (1906-1971), XIV ordynat ołycki.

⁶¹² Janusz Radziwiłł (1880-1967), polityk, senator, XIII ordynat ołycki.

demagogiczny, rojący się od historycznych błędów i fałszów. Wymowny przykład: drugi rozbiór nie objął zachodniego Wołynia, ponieważ caryca Katarzyna wiedziała, że większość jego ludności była polska. Znakomity mecenas w ogóle nie orientował się, że największe skupienia Polaków znajdowały się właśnie na Wołyniu wschodnim, w Żytomierszczyźnie. I cały odczyt był na tym samym poziomie.

Nazwisko Józewskiego nie padło ani razu, ale wszyscy obecni dobrze wiedzieli, przeciw komu skierowane są najbardziej gwałtowne zarzuty – i reagowała na nie frenetycznymi oklaskami. Trzeba jeszcze raz powtórzyć: zbiorowa szowinistyczna psychoza, pogłębona okolicznością, że to polskie inteligenckie getto nie miało żadnego kontaktu z szerokimi masami ludności. Znana to rzecz, że atmosfera każdego getta najbardziej sprzyja powstawaniu wszelkiego rodzaju psychicznych epidemii.

Ale już czas oddać głos pułkownikowi Ostrowskiemu w sprawie, która go obchodziła najbardziej: przejście mieszkańców wsi Hrynków na katolicyzm, co miało być jednoznaczne z repolonizacją.

„Studia nad zagadnieniem narodowościowym – czytamy w tekście Ostrowskiego – doprowadziły mnie do wniosku, że na Wołyniu winno się być znajdować co najmniej około trzysta pięćdziesiąt do czterystu tysięcy ludności polskiej lub pochodzenia polskiego, ponad liczbę Polaków oficjalnie zarejestrowanych przez nasze statystyki urzędowe; a więc drugie tyle, nie 16,6 procent, lecz około 32 procent ogółu ludności Wołynia”.

Niestety, czytelnik musi to przyjmować na wiarę, gdyż autor nie podał, jakich metod badawczych używał w tych „studiach narodowościowych”. Dodatkową nieufność budzi okoliczność, że doszedł do takich rewelacyjnych wniosków w zaiste rekordowym czasie: wystarczyło mu parę miesięcy poruszania się po terenie. Zresztą on sam zdał sobie sprawę, że twierdzenie wypadło gołosłownie, bo natychmiast dodaje:

„Dziś, gdy piszę z pamięci, bez posiadania jakichkolwiek podręczników czy notatek, trudno mi dokładnie uzasadnić te moje ów-

czesne kalkulacje. W owym czasie pokrywały się one z danymi, do jakich doszedł w swych badaniach – niezależnie ode mnie – szef wydziału narodowościowego w Ministerstwie Spraw Wojskowych, pułkownik dyplomowany Sadowski. Pracował on pod kierownictwem generała Janusza Głuchowskiego, który z ramienia Ministra Spraw Wojskowych, generała Kasprzyckiego⁶¹³ sprawował nadzór nad mniejszościami narodowymi na wschodnich terenach Polski...”

Nie wiem, na czym polegały badania pułkownika Sadowskiego. Uzasadnienie tezy, że na Wołyniu było kilkaset tysięcy ludności pochodzenia polskiego, n i e w y k r y t e j przez oficjalną statystykę, wymagałoby co najmniej kilku lat żmudnej pracy, prowadzonej przez liczne i wykwalifikowane ekipy. Nikt takich prac nie przeprowadzał. Nie posądzam ani Ostrowskiego, ani Sadowskiego, ani innych wojskowych o złą wolę, ale chyba wolno stwierdzić, że najlepsza nawet wola nie mogła zastąpić specjalistów od historii, etnografii i statystyki. Wróćmy jednak do Hrynek.

„Wieś Hrynki – czytamy w pracy pułkownika Ostrowskiego – w pierwszej połowie XIX wieku małe osiedle, nieprzekraczające stu mieszkańców, w roku 1829, a więc w przeszło trzydzieści lat po pierwszych carskich ukazach, liczyła jeszcze wówczas ponad czterdzieści *duś* katolickich, dawniej tam osiadłych. Mimo że później sprowadzono do niej wielu chłopów-osadników z piotrkowskiego, to do naszych czasów zachowała się we wsi jedna tylko rodzina rzymsko-katolicka, o nazwisku Zalewskich. Niezależnie od moich badań, powszechnie było wiadome, że wieś Hrynki liczy sporo mieszkańców pochodzenia polskiego. Mieszkańcy wsi brali chętnie i licznie udział we wszystkich uroczystościach i obchodach narodowych polskich, oraz zabawach, urządzanych przez miejscowy oddział KOP. W parafii rzymsko-katolickiej Łanowce, odległej o trzy kilometry, zachowały się stare metryki parafialne z Hrynek, przeniesione tam podczas likwidowania przez Moskali kościoła w Hrynkach. Wertując te metryki, okazało się, że większość ludności Hrynek to potomkowie Polaków”.

⁶¹³ Tadeusz Kasprzycki (1891-1978), generał, m.in. minister spraw wojskowych (1935-1939), po II wojnie światowej na emigracji w Kanadzie.

Z dalszego opisu tych wydarzeń, w wersji pułkownika Ostrowskiego, wynika, że nie było „jakichś specjalnej agitacji, aby wieś przywrócić do polskości”. Ot, zwyczajne kontakty między oficerami KOP i mieszkańcami wsi. „Utworzyli oni komitet – czytamy we wspomnieniach – i zwrócili się do księdza w Łanowcach z prośbą o przyjęcie w poczet Kościoła rzymsko-katolickiego”. Prośba została przyjęta. Pułkownik Ostrowski był obecny na uroczystości przejścia na katolicyzm. Podaje, że na siedemset pięćdziesiąt osób czterysta osiemdziesiąt przyjęło wiarę rzymsko-katolicką. Mieli to być potomkowie Polaków, którzy kiedyś zruszczyli się i przyjęli prawosławie. Niestety, nie rozporządzałem spisem imiennym tych konwertytów, jak nie rozporządzał nim pułkownik Ostrowski, gdy przed wieloma laty pisał swoją pracę w dalekiej Argentynie.

Jedno nazwisko utkwilo mi jednak w pamięci po dziś dzień. Achtiachtiarow – były żandarm rosyjski, który po upadku carskiego imperium osiedlił się w Hrynkach i ożenił ze starszą wdową, Ukrainką. On również poczuł się nagle Polakiem i przeszedł na katolicyzm. Ostrowski opisał uroczystość w sposób dość wzruszający.

„Obserwowałem twarze uduchowione, rozradowane i uśmiechnięte, cieszyli się jak dzieci. Gdy ich pytałem, dlaczego tak długo zwlekali z przyjęciem katolicyzmu, odpowiadali, że gdy Polska „zmartwychwstała”, oczekiwali, że wyjdzie *ukaz* powrotu ich do polskości; tymczasem takie rozporządzenie się nie ukazało, a ponieważ nikt do tej pory nie zwracał się do nich w tej sprawie, więc myśleli, że Polska ich nie potrzebuje i nie chce...”

„Gdy w kilka miesięcy później – uzupełnia Ostrowski te informacje – odwiedziłem Hrynki, ludność wsi, ku memu zażenowaniu, witała mnie przy bramie triumfalnej. Ponieważ w międzyczasie ukazały się wzmianki w prasie, jakoby większość nawróconych wróciła z powrotem do kościoła prawosławnego, pytałem, o ile ta pogłoska polega na prawdzie. Odpowiedzieli, że na prawosławie nikt z nowo nawróconych nie wrócił; natomiast ze śmiechem opowiadali o tym, jak miejscowy żebrak-pijak kajał się publicznie przez kilka niedziel z rządu, a ksiądz prawosławny pokrapiał go przy tym wodą

święconą. Wobec Polaków zaś usprawiedliwiał się: *Cóż mam robić? Jestem biedny i muszę z czegoś żyć!*”

Pułkownik jeździł do Hrynek, kiedy chciał. Byli jednak tacy, którzy bardzo chcieli, a jednak w żaden sposób dostać się tam nie mogli. Prawosławny biskup, który usiłował jeszcze przed masowym nawróceniem pojechać do Hrynek (należały do jego diecezji), został zatrzymany w drodze przez posterunek KOP i zawrócony do Łucka; nie miał przepustki koniecznej w terenie pogranicznym.

Dziennikarze z tegoż Łucka, dziwnym trafem, nie zostali na uroczystość zaproszeni. Gdybym, jako faktyczny redaktor „Wołynia” znalazł się tego dnia w Hrynkach, napisałbym całą prawdę i może także uległbym wzruszeniu na widok „uduchowionych” konwertytów. Odebrano mi tę okazję. Tak się jakoś składało, że na tereny pograniczne było niezmiernie trudno otrzymać przepustkę, a już zwłaszcza po rozpoczęciu akcji rewindykacyjnej. Dlaczego?

Wojewoda Józewski odbierał meldunki od podległych mu władz, a przede wszystkim od policji; brzmiały one nieco mniej pogodnie i różowo, niż relacja pułkownika Ostrowskiego. Wspomniał on o wzmiankach w prasie, jakoby większość nawróconych wróciła do prawosławia. Oświadczył, że sprawdzał te pogłoski na miejscu, gdzie zaprzeczono im kategorycznie. Rzekomo chodziło tylko o jednego żebraka-pijaka. Powstaje logiczne chyba pytanie: dlaczego zainteresowani n i e s p r o s t o w a l i prasowych informacji o powrocie Hrynek do prawosławia? Ta część prasy, która zachłystywała się zachwytem na wiadomość o uroczystym przejściu na katolicyzm, potem nabrała wody do ust i już do tej sprawy nie powracała. Pułkownik Ostrowski stwierdził lakonicznie, że „piórem się nie parał”, ale chyba mógł napisać list do tej czy innej redakcji (do „Polski Zbrojnej” na przykład), zaprzeczając pogłoskom, które uznał za nieprawdziwe. Żałuję, ale nigdzie żadnych sprostowań nie spotkałem. O Hrynkach przestano pisać – i tyle!

Wspomniałem uprzednio, że spora część pracy Ostrowskiego jest poświęcona polemice z Pobóg-Malinowskim. Obydwaj adwersarze nie żyją od lat. Jak mogło dojść między nimi do tak jaskrawej

kontrowersji? Pobóg-Malinowski napisał w drugim tomie *Najnowszej Historii Politycznej Polski*, że Hrynki zostały sterroryzowane; Ostrowski kategorycznie temu zaprzeczył, a nawet wyśmiał tę wersję. Nawet kolejność wypadków uległa zasadniczemu przetasowaniu. Ostrowski podał, że ołtarz polowy został zbezczeszczone już po powzięciu decyzji przejścia na katolicyzm; Malinowski, zgodnie z tym, co wówczas słyszałem, napisał, że akt świętokradczy stał się punktem wyjścia dla akcji rewindykacyjnej.

Jestem najdalszy od przypisywania pułkownikowi Ostrowskiemu świadomego przeinaczania faktów. W wielu wypadkach zawiodła go po tylu latach pamięć, ale to wszystkiego nie wyjaśnia. Przypuszczam, że był wprowadzany w błąd przez swoich podkomendnych i przez szowinistyczne otoczenie. O tym jak „przygotowywano” Hrynki do konwersji, mógł nie wiedzieć. Najwidoczniej grzeszył naiwnością, skoro brama triumfalna wzbudziła w nim tylko „zażenowanie”, a żadnych podejrzeń. Nie pomyślał, nie zdał sobie sprawy, że w owej chwili szybował nad wołyńską wsią nieśmiertelny duch potiomkinowski!...

Nie brakuje też w jego wspomnieniach poważnych, wykluczających się nawzajem sprzeczności. Zacytowałem już uprzednio opinię Ostrowskiego, że „miejscowa ludność zachowywała się spokojnie, do państwa ustosunkowywała się l o j a l n i e”. Nieco dalej trafiamy na następujące zdanie: „Moja działalność repolonizacyjna wpływała również z włożonego na mnie obowiązku zabezpieczenie granicy, zwłaszcza przeciw penetracji komunistyczno-szpiegowskiej, bardziej bowiem mogłem polegać na lojalności ludności polskiej, niż na najbardziej r z e k o m o l o j a l n e j (podkreślenie moje – JŁ) ludności obcej...”.

Więc ostatecznie jak? Była ta ludność lojalna – czy tylko „rzekomo lojalna”? „Uważałem – zapewnia autor – że Ukraińcy w Polsce mieli prawo do swobodnego rozwijania się i kultywowania swej narodowości...”. W takim razie, dlaczego oburza się na Józewskiego, że tolerował „Proświtę”, teatr, chóry i tak dalej? Mówiąc nawiasem, istnienie tych instytucji i organizacji było zagwarantowane konstytucją

i obowiązującymi w Rzeczypospolitej prawami. Nie ma więc w tym, co pułkownik Ostrowski napisał, nawet elementarnej konsekwencji.

Wspomniałem uprzednio o odczycie Włodzimierza Bączkowskiego, wygłoszonym w Równem gdzieś na początku roku 1938. Na sali siedział świeżo upieczony generał, nazwiskiem bodajże Korytowski (nie jestem pewny). Potem doszło do rozmowy w ograniczonym gronie osób. Generał słuchał argumentów Bączkowskiego i moich z dużym zainteresowaniem, ale trochę tak jakby chodziło o bajkę o żelaznym wilku. Widać było, że jednocześnie wywołują w nim zdziwienie, bo nigdy z takim postawieniem sprawy nie spotkał się, i stopniowo trafiają do przekonania. Jaka szkoda, że pułkownik Ostrowski nie wziął udziału w owej rozmowie!

Józewskiego oskarżono o ukrainizację Wołynia. A właściwie co miał oznaczać sam termin „ukrainizacja”? Czy można „ukrainizować” Ukraińców, czy można „polonizować” Polaków? Nonsens w założeniu! Natomiast można budzić uśpioną świadomość narodową – albo sztucznie ją tłumić czy też opóźniać naturalne procesy. Można więc było starać się jak najdłużej dzielić Wołyniaków na „Rusinów” i „tutejszych”, zaś określenie „Ukraińcy” w ogóle wykreślić ze słownika. I w gruncie rzeczy o to właśnie poszło. Henryk Józewski rozumiał, że „tutejszość” i „rusińskość” to już anachronizmy, których utrzymać się nie da nawet siłą. Poza tym widział sprawę ukraińską w szerszej perspektywie. Nie kończyła się ona dla niego na granicznych szlabanach.

Nic dziwnego, że ci wszyscy, którzy uważali, że należy spolonizować możliwie największą liczbę „Rusinów”, zaś resztę „trzymać za mordę”, uznali wojewodę za zdrajcę sprawy polskiej. Miałem w podchorążówce rówieńskiej kolegę o nazwisku Smółko. Był prawosławny, pochodził z Ostroga. Zapytany o narodowość oświadczył: – Jestem Ukraińcem! – I usłyszał w odpowiedzi: – Jesteście gówniarzem, a nie Ukraińcem! Gdzie ta wasza Ukraina?!

Zakładam, że pułkownik Ostrowski był człowiekiem zbyt kulturalnym, by zdobyć się na takie „zupackie” wystąpienie wobec żołnierza przyznającego się do narodowości ukraińskiej. Ale nie

chodzi o takie czy inne formy. Chodzi o mentalność, niedopuszczającą myśli, aby chłop, który powiedzmy, w roku 1914 uważał się za „tutejszego”, nagle mógł stać się Ukraińcem. Sam fakt, że wojewoda Józewski odważył się uznawać Wołyniaków za Ukraińców, doprowadzał do wściekłości. Nie tylko wojskowych. I tak doszło do wspólnego frontu, dość jak na polskie stosunki polityczne oryginalnego: Stronnictwo Narodowe i „Strzelec”, ksiądz prałat Tokarzewski z Kowla i Sąd Okręgowy w Łucku, wojsko i palestra, a nawet poszczególni starostowie, naczelnicy bezpieczeństwa, pomniejsi urzędnicy, część policji...

Tej potężnej koalicji nie mogły skutecznie przeciwstawić się inne, mniej wpływowe czynniki – jak światlejsze nauczycielstwo, ośrodek krzemieniecki, co rozsądniejsi ziemianie, mimo że nieprzebierająca w środkach nagonka przeciw Józewskiemu zaczynała wśród ludzi kulturalnych budzić coraz większe obrzydzenie. Ale na kontrakcję było już za późno.

„Na Józewskiego – napisał Ostrowski, jak gdyby odgradzając się od tej nagonki – nie złożyłem żadnego meldunku, ani ustnego, ani pisemnego; w prasie go nie szkalowałem”. Chętnie przyjmuję to oświadczenie. Ale pułkownik Ostrowski nie mógł nie wiedzieć, że swoją postawą i działalnością udziela automatycznie moralnego poparcia tym wszystkim, którzy wojewodę otwarcie zwalczali i szkalowali. I jeszcze jedno jest pewne: o istocie i ciężarze gatunkowym zagadnienia ukraińskiego Ostrowski nie wiedział absolutnie n i c. Ani w Polsce przed wojną, ani na emigracji. Według jego obliczeń, akcja rewindykacyjna na Wołyniu dała co najmniej dziesięć tysięcy konwertytów. Już w kilka lat później nikogo z nich nie zostało. Natomiast zostało nienawistne wspomnienie, jeszcze jedna cegiełka w murze bratobójczej wrogości, dzielącym dwa sąsiednie narody.

* * *

Wyrównanie polsko-ukraińskich stosunków jest historycznym nakazem, zgodnie z interesami obydwu narodów. Nigdy do tego nie doprowadzimy, jeżeli nie będziemy mówili i pisali całej pra-

wdy, choćby najbardziej bolesnej. To jest zasadnicza racja, dla której zająłem się polemicznymi wspomnieniami śp. pułkownika Ostrowskiego i przeciwstawiłem im własne racje, w przekonaniu, że moja znajomość tamtych spraw sprzed przeszło trzydziestu lat o wiele bardziej odpowiada rzeczywistości.

I był jeszcze inny powód, częściowo osobisty. W owym najgorętszym okresie przebywałem w Łucku, współpracowałem z Józewskim, obcowałem z nim prawie na co dzień. Były wojewoda wołyński żyje, ale z wiadomych powodów nie jest w stanie brać udziału w naszych polemikach ani wystąpić w obronie swego imienia. Uważałem więc za swój obowiązek wyręczyć nieobecnego.

[„Zeszyty Historyczne” 1970 nr 18]

PROF[ESOR] KUBIJOWYCZ

Nakładem Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki (NTSZ) ukazała się niewielka objętością książka Wołodymyra Kubijowycza *Mam 70 lat, (Meni 70)*, Paryż–Monachium 1970. Profesor Kubijowycz⁶¹⁴ jest znaną osobistością na emigracji ukraińskiej. Od dwudziestu lat stoi na czele Naukowego Towarzystwa, z siedzibą w podparyskiej miejscowości Sarcelles oraz jest naczelnym redaktorem Ukraińskiej Encyklopedii. Jednocześnie prowadzi prace w ściślejszej dziedzinie swoich zainteresowań naukowych: geografii i kartografii.

Większą część książki zajmuje autobiografia autora, uzupełniona krótkim omówieniem jego działalności naukowej przed wojną i na emigracji oraz kilkunastu bibliografią. Książka jest dość obficie ilustrowana zdjęciami, a niektóre z nich mają już dziś wartość historyczną i archiwalną.

⁶¹⁴ Wołodymyr Kubijowicz (1900-1985), etnograf i geograf ukraiński, wykładowca m.in. UJ, w okresie II wojny światowej przewodniczący Ukraińskiego Komitetu Centralnego w Krakowie, po wojnie na emigracji we Francji, sekretarz generalny Towarzystwa Naukowego im. T. Szewczenki w Europie.

Najciekawszy jest życiorys, a w nim prawie czterdziestostro-
nicowe omówienie lat drugiej wojny światowej. Na razie jednak
wypadnie cofnąć się do roku 1900, w którym przyszedł na świat
autor interesującej nas książki. Przede wszystkim dowiedziałem się
nie bez pewnego zdziwienia, że Kubijowycz jest mieszanego po-
chodzenia: z ojca Ukraińca i matki Polki, z domu Dobrowolskiej.

Urodził się w Nowym Sączu, gdzie z krótką, jednoroczną
przerwą zamieszkiwał aż do roku 1918, w którym złożył maturę
w nowosądeckim gimnazjum. W szkole początkowej miewał spo-
ro przykrości z racji swego „rusińskiego” pochodzenia, natomiast
okres gimnazjalny wspomina zupełnie inaczej:

„Miałem – pisze w autobiografii – normalne stosunki z moimi ko-
legami, a z niektórymi zaprzyjaźniłem się; często dyskutowaliśmy,
nawet ostro, zwłaszcza w wyższych klasach, także na tematy pol-
sko-ukraińskich zagadnień, ale zawsze w granicach przyzwoitości.
Bliższe przyjacielskie stosunki połączyły mnie na kilkadziesiąt lat
z Józiem Wąsowiczem.⁶¹⁵ Jak dziwnie ułożyły się nasze losy! Obaj
byliśmy zapalonymi turystami i w gimnazjalnych czasach urządzali-
śmy wspólne wędrowki, podczas wojny polsko-ukraińskiej znaleź-
liśmy się po przeciwnych stronach frontu, obaj służyliśmy w artylerii
i przez pewien czas nasze baterie stały naprzeciw siebie na tym
samym odcinku, z czasem obaj studiowaliśmy geografię i staliśmy
się docentami antropogeografii (on na uniwersytecie lwowskim ja –
krakowskim), często spotykaliśmy się, zawsze podtrzymując naszą
przyjaźń... Po wielu latach przerwy nawiązaliśmy znowu kontakt
i w roku 1963 mój przyjaciel odwiedził mnie we Francji; po drugiej
wojnie był profesorem uniwersytetu we Wrocławiu...”

Cóż, takich przyjaźni, na tle ogólnej wrogości było więcej,
a zresztą i sam wypadek Kubijowycza, który będąc pół Ukraińcem,
pół Polakiem wybrał narodowość swego ojca, nie był odosobnio-
ny. Zdarzało się przecież, że rodzeństwa z mieszanych małżeństw
rozchodziły się pod względem narodowym i nieraz bliscy kuzyni,

⁶¹⁵ Józef Wąsowicz (1900-1964), geograf i kartograf, wykładowca UJ,
a po wojnie Uniwersytetu Wrocławskiego.

a nawet bracia znajdowali się po przeciwnych stronach frontu. Pewna wyjątkowość tego wypadku polega chyba na tym, że młody Kubijowycz wychowywał się w środowisku polskim, choć jak sam podkreśla, sporą rolę odegrała bliskość Łemkowszczyzny, obejmującej południową część powiatu nowosądeckiego.

Po zakończeniu wojny polsko-ukraińskiej Kubijowycz rozpoczął studia uniwersyteckie na Wszechnicy Jagiellońskiej, ukończył je po niecałych czterech latach, a w roku 1928 został mianowany docentem. Na skutek swej działalności, częściowo naukowej, częściowo politycznej, docenturę utracił decyzją Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, na krótko przed wybuchem wojny.

O swoich przygodach, zakończonych usunięciem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kubijowycz opowiada spokojnie, z dość dużym obiektywizmem. Kamieniem obrazy stały się badania narodowościowo-statystyczne, mające na celu wykazanie, że oficjalny spis ludności z roku 1931 przyniósł dane sfałszowane na niekorzyść Ukraińców. Pod koniec zanosilo się nawet na nieprzyjemne represje, ale przyszła druga wojna światowa i wszystko przewróciło się do góry nogami.

Wybuch wojny zastał Kubijowycza w Mysłowicach, ale już po paru dniach wrócił on do Krakowa, tuż przed zajęciem go przez Niemców. W dwa tygodnie później, 17 września, uderzyła Czerwona Armia i tysiące Ukraińców zaczęły napływać w masowej ucieczce z terenów okupowanych przez Sowiety. W samym tylko Krakowie skupiło się ich kilka tysięcy. W oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń powstała konieczność utworzenia jakiejś organizacji, uznanej oficjalnie przez niemieckiego okupanta. Doszło więc do powstania Ukraińskiego Centralnego Komitetu, na którego czele stanął właśnie Kubijowycz. W roku 1941 komitet ten rozszerzył swoją działalność dalej na wschód, ale wobec polityki, stosowanej przez Berlin na zajmowanych w miarę postępu Blitzkriegu terenach, jego możliwości były zawsze mocno ograniczone, a często całkowicie skrzępowane.

Dokładniejsze streszczanie tej części wspomnień rozszerzyłoby nadmiernie ramy krótkiego omówienia, ograniczę się zatem do

dwóch zasadniczych spraw: zachowanie się władz niemieckich wobec Ukraińców oraz narastające z biegiem czasu walki polsko-ukraińskie i wzajemna eksterminacja, zwłaszcza w latach 1943-1944. Przedtem warto podać, jak Kubijowycz uzasadnił swoją działalność i jego najbliższych współpracowników, działalność, która z natury rzeczy zmuszała do stałych kontaktów z przedstawicielami hitlerowskich władz okupacyjnych.

„Wydawało mi się (wszyscy w kierownictwie UCK byli ze mną zgodni), że w owym czasie najważniejsze nasze zadanie polegało na takim postępowaniu, żeby w tej straszliwej wojnie naród ukraiński, przynajmniej w Generalnej Guberni, poniósł najmniejsze straty. Żeby wzmocnić nasz stan posiadania, zwłaszcza w na pół opustoszałych po nazistowskiej eksterminacji Żydów, miastach, a nawet żeby tworzyć pewne wartości kulturalne. Należy przyznać, że w zestawieniu z innymi ziemiami ukraińskimi, w Generalnej Guberni mieliśmy na razie najlepsze warunki istnienia. Przyszłości nie znaliśmy, dalsza niemiecka okupacja mogła nam przynieść straszne następstwa, ale musieliśmy postępować zgodnie z wymaganiami bieżącej chwili...”

Niemcy, z nielicznymi wyjątkami, zachowywali się jak barbarzyńcy i zarazem szaleńcy. W listopadzie 1941 roku Kubijowycz pojechał do Równego i przeprowadził tam rozmowę z zastępcą komisarza Reichu na Ukrainie, prezydentem Dargelem.⁶¹⁶ „Mamy tu – oświadczył Dargel – pewne trudności językowe w związku z wydawaniem rozporządzeń ludności. Na razie ogłasza się te rozporządzenia po niemiecku i po ukraińsku. Ale moi *giebietskomisarze* informują mnie, że ludność nie rozumie ukraińskiej mowy”.

Zdumiony Kubijowycz zapytał, jaką mowę – zdaniem Dargela – znają wołyńscy Ukraińcy. Odpowiedź brzmiała: „Rosyjską, ale pan rozumie, ze względów politycznych nie mogę jej używać. Najlepiej będzie, jeśli ograniczę się do niemieckiego”. „Ależ panie prezyden-

⁶¹⁶ Paul Dargel (1903-?), członek NSDAP, w czasie II w. św. m.in. szef II wydziału Komisariatu Rzeszy Ukraina.

cie, tutejsza ludność nie rozumie po niemiecku i nie będzie w stanie wykonywać rozkazów”. „To ja ich każę rozstrzeliwać!”

Tak oto nawet u najwyższych dygnitarzy skrajne barbarzyństwo łączyło się z głupotą i analfabetyzmem. Do tego dochodziła niepo czytalna pycha. Kubijowycz opowiada, że kiedy w zimie 1943 roku znalazł się w Berlinie, by władzom Gestapo przedstawić memoriał w sprawie masowych rozstrzeliwań na Chełmszczyźnie, generał Mueller⁶¹⁷ rozpoczął rozmowę następującymi słowami: „Czy pan wie, kim jestem? Jestem szefem Gestapo na cały świat!” „Odwiedziny te – zauważa Kubijowycz – nie należały do przyjemnych...”. Istotnie!

W innym miejscu Kubijowycz stwierdza, że przez pierwsze dwa lata niemieckiej okupacji Ziemia Czerwieńska (po ukraińsku Hałyczyna, w Polsce przyjęła się niehistoryczna nazwa Małopolski Wschodniej) była w zestawieniu z Ukrainą Naddnieprzańską i Polską czysto etnograficzną „oazą spokoju”. Wszystko zmieniło się w lecie 1943 roku. Najpierw nastąpił wielki partyzancki, bolszewicki zagon słynnego Kowpaka.⁶¹⁸

„Kowpak zostawił swoich agentów, rozdmuchał namiętności Ukraińców i Polaków; dochodziło do coraz częstszych aktów wzajemnego terroru między Ukraińcami, Polakami i Niemcami, w jesieni zaś Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) przeniosła ośrodek swoich działań z Wołynia na Hałyczynę. Na zamachy na poszczególnych Niemców i rabunek państwowej własności policja niemiecka odpowiada masowym terrorem. Należy założyć, że zabójstwa pojedynczych Niemców, Polaków a nawet Ukraińców-lacinników nie były inspirowane przez górę banderowskiej OUN i UPA, najpewniej straciła ona panowanie nad organizacyjnymi dołami. Konsekwencje szybko szerzącej się anarchii odbijały się głównie na wiejskiej ludności ukraińskiej, która często płaciła podwójne kontyngenty (Niemcom i różnym grupom partyzanckim)

⁶¹⁷ Heinrich Mueller (1900-1945), członek NSDAP, szef Urzędu IV (Gestapo) w RSHA.

⁶¹⁸ Sidor Kowpak (1887-1967), dowódca jednego z ugrupowań partyzantki sowieckiej, generał Armii Czerwonej.

i odczuwała boleśnie na własnej skórze najgorsze akty niemieckiego terroru (...). Jeszcze więcej strat niż na Hałuczynie, ponieśliśmy na Chełmszczyźnie i Podlasiu, gdzie niewątpliwie pod wpływem bolszewickich agentów, doszło do krwawych starć polsko-ukraińskich. Działy tu dwie polskie partyzanckie formacje (Polska Armia Krajowa i Polska Armia Ludowa), oraz stosunkowo słaba UPA, ale głównie dawały o sobie znać niekontrolowane przez nikogo lokalne grupy. W Hrubieszowskim spalono kilkadziesiąt wsi, zginęło kilka tysięcy ludzi. Niewątpliwie do tego stanu rzeczy przyczyniła się również władza niemiecka i nonsensowne przesiedlenia Polaków i Ukraińców”.

O walkach i rzeziach polsko-ukraińskich Kubijowycz napisał dość pobieżnie, zresztą w szczupłej książeczce na więcej nie było miejsca. Czy przywódcy z obu stron rzeczywiście nie ponosili żadnej odpowiedzialności? Nie umiem na to odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. Gdyby po obu stronach było mniej nacjonalistycznego zacietrzewienia – uwaga ta nie dotyczy Kubijowicza – być może, bolesna sprawa wzajemnych walk polsko-ukraińskich podczas drugiej wojny światowej została już dawno omówiona i wyjaśniona. Ale gdy się ma do czynienia niemal wyłącznie z wzajemnymi oskarżeniami, o takim obiektywnym wyjaśnieniu na razie nie może być mowy. A już kijowscy bolszewicy i warszawscy komuniści na pewno nie są tym zainteresowani.

Powściągliwie i raczej niechętnie Kubijowycz wspomina tu i ówdzie o starciach między poszczególnymi frakcjami politycznymi wśród samych Ukraińców, przy czym nie zawsze kończyło się na polemikach. Kubijowycz nie należał do żadnej partii – i to wystarczyło, żeby w różnych okresach zasłużyć na wrogość: „że niby, kto nie z nami...”. Nie bez pewnej pobłażliwości wspomina o donosach na niego, w pierwszym okresie powojennym, gdy przebywał w Bawarii. Jeden z tych donosów kosztował go sześć tygodni pobytu w amerykańskim więzieniu, ale ostatecznie wszystko skończyło się dobrze. Ale w pewnej chwili groziło Kubijowyczowi wydanie władzom sowieckim.

Okres niemiecki trwał całe pięć lat, a w roku 1950, jak napisałem na wstępie, Kubijowycz objął kierownictwo ukraińskiej placówki naukowej we Francji, w Sarcelles, gdzie przebywa po dziś dzień, całkowicie oddany swojej pracy. Z rzadka zabiera głos w czasopiśmie emigracyjnych. Nie od rzeczy będzie powtórzyć końcowe słowa jednego z jego artykułów, wydrukowanego w roku 1964.

„Nasze istnienie na emigracji nie ma sensu bez utrzymywania wartości duchowych i kulturalnych... Bez tego nie przyjdziemy z pomocą naszemu krajowi. Robimy wiele w tych dziedzinach, ale nie na właściwym poziomie... Uciekamy od problematyki, obniżamy nasz lot. Mamy słowo *Ukraina* na ustach, za mało w sercu i za mało jest w naszej pracy realnych osiągnięć... Jesteśmy zbyt zadowoleni z samych siebie i zanadto sobie nawzajem schlebiemy. Starsi z nas zdobywają się na takie posunięcia, które nie są w stanie pociągnąć za sobą młodzieży i wyrobić w niej miłość i szacunek do ukraińskości.... Pamiętajmy w naszej działalności, że miliony naszych braci na ojczyźnej ziemi patrzą na nas i przyglądają się naszej pracy. Pamiętajmy, że stanowimy ich wielką nadzieję... Nieustanna myśl o zniewolonych braciach w naszym kraju powinna dać nam wewnętrzną podniecie do tworzenia konkretnych dzieł dla Ukrainy, by w ten sposób móc przyciągnąć do ideowej pracy ludzi z młodszych pokoleń...”

Do niejednej z politycznych emigracji dałoby się zastosować powyższe słowa bez większych czy nawet żadnych zmian. A z jeszcze większą racją parę melancholijnych zdań o tych najbliższych współpracownikach naukowych NTSZ, co odeszli na zawsze i nadal odchodzą.

„Jestem jeszcze zdrowszy – pisze Kubijowycz w zakończeniu swej autobiografii – i zdolny do pracy. Mam przed sobą konkretne zadania, jakie chciałbym wykonać: dokończyć drugą wersję Ukraińskiej Encyklopedii i wydać tom uzupełnień tego dzieła; wydać drugi tom (a może i trzeci?) o stosunkach narodowościowych na Hałyczynie, gdyby się dało opracować drugi tom historii UCK, wydać a co najmniej zapoczątkować wydanie słownikowej encyklo-

pedii ukrainoznawczej w języku angielskim, i wyszukać takich, którzy będą w stanie doprowadzić do drugiego, poprawionego wydania Ukraińskiej Encyklopedii. Daj Boże, aby przy Jego i naszego społeczeństwa pomocy udało się te plany urzeczywistnić. Przynajmniej częściowo!”

Profesor Kubijowycz nie miał w Polsce przedwojennej dobrej prasy, a już najgorzej go traktowano w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, niezmiernie czułym na kwestię ukraińską. Zarzucano mu w owych latach, że swoje prace geograficzne zabarwia nacjonalistyczną tendencją, wrogą Polsce, Kubijowycz zaś zarzucał identyczną tendencję, wrogą Ukraińcom, profesorowi Romerowi⁶¹⁹ i jego uczniom. Ten spór ma już dziś charakter czysto historyczny, a to z tej zasadniczej racji, że oblicze etnograficzne spornych terenów zmieniło się całkowicie. Zmieniło się na niekorzyść jednych i drugich, choć na pewno w odmiennych proporcjach. We Lwowie pozostały niedobitki polskości, historyczna Żółkwia nie stała się Żółkwą lecz Niestierowym, przesiedlono Łemków i Bojków, zamieniając ich piękne cerkwie w obiekty muzealne, zniszczono Huculszczyznę. Gdyby profesor Kubijowycz mógł wrócić na te tereny, musiałby zacząć swoje badania etnograficzne od początku.

Toteż krótkie omówienia przedwojennych prac Kubijowycza, zamieszczone w drugiej części książki, czyta się z niemalą melancholią jako już tylko przyczynki do niepowrotnej przeszłości. Do stanu rzeczy, którego nie potrafiliśmy wspólnym wysiłkiem uratować. Bo wysiłki te niemal zawsze szły w zupełnie odmiennych, przeciwnych kierunkach, więc też i skutki musiały być żałosne. Książka profesora Kubijowycza nie ma zamierzonego charakteru politycznego, ale – pisząc o swoim życiu i działalności – nie mógł nie potrącać na każdym kroku o sprawy właśnie polityczne. I również na każdym kroku samą wymową faktów podsuwa uważnemu czytelnikowi gorzkie refleksje na temat stosunków polsko-ukraińskich, bezsensownych sporów, rozpalanych w najmniej odpowiednich chwilach,

⁶¹⁹ Eugeniusz Romer (1871-1954), kartograf i geograf polski, uważany za twórcę nowoczesnej kartografii polskiej.

samobójczych poczynań, zaprzepaszczonych możliwości historycznych, tego wszystkiego, co jak w soczewce skupiło się w życiu i doświadczeniach jednego człowieka.

[„Kultura” 1971 nr 10]

LIKWIDATORZY UNII

Rzym z pierwszej połowy lutego bieżącego roku. Zimny, siąpiący deszczyk. Na placu przed Bazyliką prawie pusto, nieliczni przechodnie przemykają wzdłuż kolumnady Berniniego. Przed głęboką, ciemną bramą sylwetki Szwajcarów. Sądziłem, że ta szwajcarska gwardia już nie istnieje, że została zniesiona falą reformatorskich poczynań i zamachów. Byłem w błędzie. Są – w swoich „łowickich” pasiakach, tyle, że zamiast halabard karabiny z nasadzonymi bagnetami, zamiast hełmów – berety. Pilotuje mnie Witold Zahorski.⁶²⁰ Krótkie pertraktacje, idziemy dalej. Teraz obstępuje nas trzech panów, ubranych na czarno, ale w białych rękawiczkach. Znowu króciutka indagacja. Przed nami Palazzina dell’Arciprete, gdzie rezyduje kardynał Józef Slipyj.⁶²¹

Potężne drzwi w obramowaniu nałożonych na mur kamieni, nad nimi herb, także kuty w kamieniu. W głębi ciemniej niewyraźne o tej porze zarysy drzew ogrodów watykańskich. W przedsiönku trzeba się opowiedzieć po raz trzeci – telefonicznie. Wjeżdżamy windą, na spotkanie wychodzi szambelan, o. Iwan Choma,⁶²² najbliższy współpracownik kardynała. Nie ma go jeszcze, wróci za kilkanaście minut. Rozmawiam z ojcem Chomą w pięknej, renesan-

⁶²⁰ Witold Zahorski (1912-1989), nauczyciel, dziennikarz, po 1945 r. na emigracji we Włoszech.

⁶²¹ Josyf Slipyj (1892-1984), biskup greckokatolicki, od 1944 r. następca abp. A. Szeptyckiego we Lwowie, aresztowany przez władze sowieckie, został zesłany do łagrów (1945-1963), po zwolnieniu wyjechał do Watykanu.

⁶²² Iwan Choma (1923-2006), ksiądz greckokatolicki, m.in. kanclerz abp J. Slipego (od 1963 r.), od 1977 r. biskup przemyski.

sowej sali. Długi, masywny stół, na nim rozłożone wydawnictwa, książki. Wolno mi zabrać te z nich, które zawierają najciekawszy dla mnie materiał. Wybieram, mój rozmówca zapewnia, że następnego dnia wyśle paczkę pod moim adresem. Rozmowa początkowo nieco utyka, jak zwykle, gdy stykają się ze sobą dwie nieznające się osoby, ale już po kilku minutach rozwija się gładko.

W pewnej chwili O. Choma znika. Teraz czekam bardzo krótko, otwierają się boczne drzwi, w nich znana z tyłu zdjęć sylwetka kardynała. Szerokim gestem zaprasza, bym mu towarzyszył do sąsiedniej, nieco mniejszej sali. Przyglądam się. Nie, nigdy bym się nie domyślił, że za tydzień skończy osiemdziesiąt lat. Słusznego wzrostu, wyprostowana postać, pewne ruchy, siwa broda i wąsy, ale włosy tylko przyprószone siwizną. W głosie ani śladu starczego brzmienia, stanowczo, gdyby nie ta biała broda, można by mu dać sześćdziesiąt.

Dopiero po prawie godzinie bardzo żywej rozmowy dostrzegam pierwsze lekkie objawy zmęczenia. Głos zaczyna opadać, traci swoje nasilenie, gest ręki jest mniej pewny, rozmowa zwalnia tempo. Przecież wiem, ten potężnie na pierwszy rzut oka wyglądający starzec ma za sobą prawie osiemnaście lat spędzonych w sowieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych. Każdy, kto tam był albo zna odpowiednie relacje, orientuje się, co to znaczy.

„GALERNIK CHRYSZTUSOWY”

Podejrzewam, że czytelnik polski na emigracji (o krajowym nie mówiąc) nie wie nic, a w najlepszym razie niewiele o osobie kardynała Slipyja. Oto garść informacji w telegraficznym skrócie. Józef Kubernyckyj-Slipyj urodził się 17 lutego 1892 roku, gimnazjum ukończył w Tarnopolu, po czym wstąpił do lwowskiego seminarium. Świecenia kapłańskie otrzymał w roku 1917, studia uzupełnił na uniwersytecie w Innsbrucku i w rzymskim Gregorianum. Gdy wrócił do Lwowa, był już doktorem teologii i posiadał tytuł *magister agregatur*, zdobyty właśnie w Gregorianum. W roku 1925 został rektorem

seminarium we Lwowie, a jednocześnie – zgodnie z wolą metropolity Szeptyckiego – przygotowywał się do objęcia po nim stolicy metropolitalnej. Oficjalna nominacja nastąpiła w listopadzie 1939, w kilka tygodni po wejściu Armii Czerwonej do Lwowa. Ówczesny papież, Pius XII, natychmiast zatwierdził tę nominację.

Władzę nad metropolią arcybiskup Józef Slipyj objął w roku 1944, zaraz po zgonie metropolity Szeptyckiego, już pod powtórzoną okupacją sowiecką. Przez całą pierwszą zimę NKWD nie ruszało arcybiskupa; aresztowało go dopiero w kwietniu 1945. Zaczęła się długoletnia martyrologia. Najpierw prawie dwa lata pobytu w więzieniu w Kijowie, uciążliwe badania, nawet fizyczne tortury. W wyniku odmowy przejścia na prawosławie i podporządkowania się władzom cerkiewnym, wyznaczonym przez Moskwę, [otrzymał] wyrok na osiem lat. W roku 1953 ponowny wyrok, tym razem bezterminowy. W 1957 – dalsze siedem lat. Jednocześnie wędrówka etapami z jednego więzienia do drugiego, łagry w autonomicznej Republice Komi, w kraju Jenisejskim, wreszcie w lasach mordwińskich. Droga Uchta–Kožwa–Pieczora–Inta–Workuta dobrze musiała zapaść w pamięci niejednego polskiego zesłańca z lat 1940-1941. Kardynał Slipyj przebył ją na samym początku swej martyrologii.

Przez długi czas na Zachodzie nie wiadomo było o jego losach, nawet – czy żyje. Pierwsza autentyczna wiadomość przysłała wiosną 1956 roku, a więc po jedenastu latach katorgi. Była to kartka pocztowa, zaadresowana do O. Łady, zamieszkałego w Wiedniu. Jak wynikało z adresu nadawcy, kartka nadana została w łagrze Makłakowo, poczta Kuzminka, Krasnojesejskij Kraj. Oto lakoniczny, ale jakże wymowny tekst:

„Drogi Bracie! Serdecznie dziękuję za pamięć, za tak wielką ofiarę i pomoc. Niech modły do Najwyższego będą dla Was zapłatą. Niestety, proszę nie wysyłać więcej, by jeszcze bardziej nie komplikować mojej sytuacji. Niechaj Chrystus będzie z Wami. Józef M.”.

To zrozumiałe. Paczki z zagranicy narażały arcybiskupa na dodatkowe przykrości i szykany, więc wołał z nich zrezygnować. Kartka ta to jedyny znak życia, podany osobiście. Należy zało-

żyć, że poczta sowiecka przekazała ją do Wiednia przez nieuwagę. Niekiedy nawet bolszewicy cenzorzy zapadają na brak czujności klasowej i uprawiają zdrożne brakoróbstwo.

W roku 1959 ukazała się książka włoskiego jezuita, Pietro Leoni,⁶²³ *Watykański szpieg*. Leoni był podczas wojny kapelanem przy włoskim korpusie ekspedycyjnym na wschodnim froncie. Pozostał w Odessie przy tamtejszym kościele katolickim i wkrótce został aresztowany. Oskarżony o szpiegostwo na rzecz Watykanu (stąd tytuł książki), otrzymał 25 lat ciężkich robót. W roku 1955, na skutek licznych i wpływowych interwencji, zwolniono go i pozwolono wrócić do Włoch.

W jesieni 1947 roku Leoni zetknął się z arcybiskupem Slipyjem w etapowym więzieniu w Kirowie. Rozmawiał z nim a następnie odbył razem część katorżnej podróży – aż do Pieczory, gdzie nastąpiło rozstanie. *Galeotto di Gesu Cristo* – „galernikiem Jezusa Chrystusa” – nazwał Leoni arcybiskupa.

W roku 1961 ukazało się w jednym z kanadyjskich wydawnictw wspomnienie Ukraińca, który przebywał przez prawie cztery lata w tym samym łagrze, co metropolita (w Tiemriakowskim rejonie, na terenie Mordwińskiej Republiki Autonomicznej). Z relacji tej dowiedziano się wielu szczegółów. Że metropolita ciągle choruje, ale nie załamał się psychicznie ani na chwilę. Że kilkakrotnie zabierano go z obozu na ponowne badania, raz zawieziono aż do Kijowa „na dodatkowe przesłuchiwanie, próby i pokusy”. Współwięźniów często wypytywano, co arcybiskup mówi, jakie są jego poglądy, a szczególnie o stosunek do prawosławia i oficjalnej cerkwi prawosławnej. Widocznie wciąż jeszcze żywiono nadzieję, że ugnie się i pójdzie na kompromis.

Już po zwolnieniu metropolity i jego przyjeździe do Rzymu, w wiedeńskim dzienniku „Neues Oesterreich” ukazało się wspo-

⁶²³ Pietro Leoni (1909-1995), zakonnik jezuita, studiował w Russicum, w 1941 r. dotarł do ZSRR wraz z oddziałami włoskimi, w 1943 r. postanowił pozostać w ZSRR, w 1945 r. aresztowany i skazany na 25 łagrów, został zwolniony w 1955 r. po interwencji Watykanu, wyjechał i osiadł w Kanadzie.

mnienie Franza Grobauera,⁶²⁴ jeńca wojennego, skazanego na katorgę i repatriowanego do Austrii po wielu latach. Grobauer spotkał metropolitę w łagrze Inta, niedaleko Workuty, i poznał go bardzo blisko. Z jego wspomnień wyłania się postać człowieka, który w najstraszliwszych warunkach, poddany nieludzkim cierpieniom, schorowany i sponiewierany, potrafił zachować się z najwyższą godnością, dając przykład towarzyszom niewoli i budząc szacunek nawet u swoich katów.

Sam metropolita niechętnie opowiada o swoich przeżyciach w sowieckich więzieniach i łagrach. Raz tylko, w dwa lata po zwolnieniu, podczas uroczystego wręczenia kapelusza kardynalskiego, wyrwało mu się kilka słów nie tyle może skargi, co stwierdzenia, jak wyglądały te prawie osiemnaście lat. „Musiałem przejść przez palenisko męki i wypić do dna gorzką czaszę cierpienia. Zbyt świeży jest ten ból, zarówno naszego Kościoła, jak mój, aby się nad nim zatrzymywać...” (22 lutego 1965 r.).

„Zarówno naszego Kościoła...” Oto lista biskupów, którzy podzielili losy metropolity – z tą zasadniczą różnicą, że żaden z nich nie wydostał się z domu niewoli. Biskup przemyski, Jozafat Kocyłowski⁶²⁵ i stanisławowski, Hryhorij Chomyszyn,⁶²⁶ zmarli wkrótce po uwięzieniu w roku 1945. Biskup-sufragan lwowski, Nykyta Budka,⁶²⁷ zmarł w roku 1949, na zesłaniu w Karagandzie. Sufragan przemyski, Hryhorij Łakota,⁶²⁸ zmarł na Workucie w roku 1950. Sufragan

⁶²⁴ Franz Grobauer (1915-2009), austriacki jeńiec wojenny, w 1944 został zesłany do łagrów, gdzie przebywał do 1953 r. Po zwolnieniu wrócił do Austrii, gdzie pracował jako wykładowca historii i filologii klasycznej.

⁶²⁵ Jozafat Kocyłowski (1876-1947), biskup greckokatolicki, biskup przemyski. W 1945 r. aresztowany przez UB, deportowany do ZSRR, wrócił w 1946 r. Ponownie aresztowany i przekazany do ZSRR, torturowany i skazany na 10 lat. Zmarł w łagrze.

⁶²⁶ Hryhorij Chomyszyn (1867-1945), biskup greckokatolicki, związany z Ukraińską Odnową Ludową. Dwukrotnie aresztowany przez Sowieców (1939, 1945), zmarł w więzieniu w Kijowie.

⁶²⁷ Nykyta Budka (1877-1949), biskup greckokatolicki, biskup pomocniczy we Lwowie, aresztowany w 1945 r. i skazany na 8 lat łagrów, zmarł w obozie.

⁶²⁸ Hryhorij Łakota (1883-1950), biskup greckokatolicki, biskup pomocniczy przemyski, aresztowany przez Sowieców w 1946 r., skazany na 10 lat łagrów, zmarł w obozie.

stanisławowski, Iwan Łatyszewskij,⁶²⁹ zmarł wkrótce po zwolnieniu w roku 1957, na skutek nabytych w łagrze chorób i ogólnego wycieńczenia; z tych samych powodów zmarł w 1959 biskup chełmski, podlaski i wołyński, Czarneckyj.⁶³⁰ Listę uzupełniają wizytator apostolski na Niemcy (opiekun zamieszkałych tam Ukraińców), Petro Werhun,⁶³¹ zmarły na Sybirze w roku 1957, i trzech biskupi z Zakarpacia – mukaczewski, Teodor Romża, rozstrzelany w roku 1947,⁶³² priaszowski, Pawło Gojdyecz, zmarły w łagrze w roku 1960,⁶³³ sufragan priaszowski, Wasyl Hopko, zwolniony po siedemnastu latach.⁶³⁴

Ofiary wśród księży, zakonników i zakonnice poszły w setki i tysiące. Nikt ich nie zliczy, a ich męczeńskie zgony były przeważnie bezimiennie.

JAK DOSZŁO DO ZWOLNIENIA

Zwolnienie i przyjazd metropolity Slipyja do Rzymu były tak niespodziewane, że całkowicie zaskoczyły opinię włoską i międzynarodową. Wszystko odbyło się w największej tajemnicy. Do Mos-

⁶²⁹ Iwan Łatyszewskij (1879-1959), biskup greckokatolicki, biskup pomocniczy stanisławowski, aresztowany przez Sowieców w 1945 r. został skazany na 10 lat łagrów, zmarł w obozie.

⁶³⁰ Mykoła Czarnecki (1884-1959), redemptorysta, biskup tytularny Lebedus, wizytator apostolski na Wołyniu i Podlasiu dla wiernych obrządku bizantyjsko-słowiańskiego. W 1939 r. osiadł w klasztorze we Lwowie. W 1945 r. aresztowany przez Sowieców i skazany na zesłanie. Zwolniony w 1956 r. mieszkał we Lwowie.

⁶³¹ Petro Werhun (1890-1957), ksiądz greckokatolicki, duszpasterz emigracji ukraińskiej w Niemczech. W 1945 r. aresztowany przez Sowieców i skazany na 7 lat łagrów, po zwolnieniu przbywał na zesłaniu, gdzie zmarł.

⁶³² Teodor Romża (1911-1947), biskup Rusińskiej Cerkwi Greckokatolickiej, biskup mukaczewski. Zginął w następstwie wypadku drogowego spowodowanego przez NKWD.

⁶³³ Pawło Gojdyecz (1888-1960), bazylianin, biskup greckokatolicki, biskup preszowski. W 1950 r. został aresztowany i skazany na dożywotnie więzienie. Zmarł nie w łagrze, a w więzieniu.

⁶³⁴ Wasyl Hopko (1904-1976), ksiądz greckokatolicki, od 1947 biskup pomocniczy preszowski. Aresztowany w 1950 r., był torturowany i skazany na 15 lat więzienia, zwolniony po 13 latach z powodu słabego stanu zdrowia, mieszkał na terenie Czech, a następnie, w 1968 r., wrócił do Preszowa.

kwy pojechał po metropolitę kardynał Jan Willebrands,⁶³⁵ droga do Rzymu prowadziła przez Wiedeń, gdzie obydwaj dostojnicy zatrzymali się na dwa dni. By uniknąć spotkania z dziennikarzami, którzy tłumnie zjawili się na Termini, metropolita wysiadł, nie dojeżdżając do Rzymu, na niewielkiej stacji Orte, gdzie już oczekiwała watykańska limuzyna. Zawieziono go początkowo do klasztoru w Grotta Ferrata, na odpoczynek. Dopiero po dwóch tygodniach przeniósł się na stałe do Rzymu i zamieszkał w obrębie Watykanu, w Palazzina dell’Arciprete, gdzie przebywa po dziś dzień. Tam, jak już napisałem na wstępie, przyjął mnie 9 lutego 1972 roku, dokładnie w dziewiątą rocznicę swego przybycia do Rzymu.

Gdy sensacyjna wiadomość stała się ogólną własnością, zadawało sobie pytanie: „Jak do tego doszło, dlaczego Chruszczow zgodził się na zwolnienie metropolity i jego wyjazd za granicę?” Dziś, gdy Jan XXIII od dawna nie żyje, wszystkie tajemnice zostały wyjaśnione, znikły nieudomowienia. Ale wtedy, na początku roku 1963, prasa gubiła się w domysłach i sprzecznych hipotezach. A gdy wkrótce potem (w marcu) Ojciec Święty przyjął na audiencji towarzysza Adżubeja,⁶²⁶ czołowego w owym czasie publicystę sowieckiego i jego żonę, Radę, rodzoną córkę Chruszczowa, wiadomość tę przyjęto jako pierwszorzędną sensację. Nie zabrakło ostrych protestów. Rzymski tygodnik „L’Espresso” napisał bez ogródek, że „wizyta Aleksiego Adżubeja u papieża stała się dla katolickiej opinii wielkim psychicznym wstrząsem”. Większość komentatorów skłaniała się do przypuszczenia, że chodzi o taktyczne posunięcie ze strony Moskwy.

Interpretacja najbardziej rozpowszechniona: przyjęcie zięcia Chruszczowa przez Jana XXIII było swego rodzaju rewanżem za uwolnienie metropolity Slipyja. Włoski tygodnik „II Borghese” poszedł nieco dalej, sugerując, że inicjatywa wyszła od Chruszczowa,

⁶³⁵ Johannes Willebrands (1909-2006), ksiądz katolicki, urzędnik Kurii Rzymskiej, sekretarz w Sekretariacie ds. Jedności Chrześcijan (od 1960 r.), biskup (od 1960 r.), kardynał (od 1969 r.).

⁶²⁶ Aleksiej Adżubej (1924-1993), polityk i dziennikarz sowiecki, redaktor naczelny „Izwestii” (1959-1964). 7 III 1963 r. został przyjęty na audiencji przez papieża Jana XXIII.

że to on wpadł na cały pomysł, przyjęty następnie z radością przez Stolicę Apostolską. Ten sam tygodnik pisał w owych dniach, co następuje: „Stwierdzamy, że poruszenie w obozie katolickim weszło w niebezpieczne stadium i że obowiązują obecnie zasady wyłącznie czysto religijne, oparte na dogmatach, Objawieniu, prawdach Wiary. Cała reszta się nie liczy. W ten sposób autor artykułu dawał do zrozumienia, że papież pozostanie nadal najwyższym autorytetem w sprawach wiary, natomiast jego dyplomatyczne poczynania w stosunku do Moskwy zasługują na odrzucenie i nawet najbardziej prawowierny katolik nie musi się do nich stosować.

Owa wizyta miała natychmiastowe i dość niewesołe skutki. Faktem jest, że z najbliższych wyborów lewica włoska wyszła wzmocniona; sami komuniści otrzymali o przeszło milion głosów więcej. Trudno było nie dostrzec tu związku przyczynowego. Co prymitywniejsi wyborcy rozumowali, że skoro papież przyjmuje komunistów na audiencji, nic nie stoi na przeszkodzie, aby katolik oddał głos na listę komunistyczną. Później rozeszła się wiadomość – może plotka – że Jan XXIII rozplakał się, gdy mu to wytknięto. Bo przecież działał z całą dobrą wolą, nie spodziewał się takich konsekwencji. Zakładam, że, tak było istotnie. Ale Jan XXIII pierwszy zaczął wydeptywać ścieżki, na które za Pawła VI Watykan wszedł jawnie i wyraźnie, żeby nie powiedzieć – z całą ostentacją. Polityka wschodnia Stolicy Apostolskiej skonsolidowała się w latach 1970-1971, a ironia losu chciała, że jej nasilenie zbiegło się w czasie z 375-tą rocznicą Unii Brzeskiej i 325-tą Unii Użhorodskiej,⁶³⁷ która rozszerzyła dzieło unijne na Zakarpacie, stanowiące od dawna część państwa węgierskiego.

Odpowiedzią Moskwy na przypomnienie tych historycznych rocznic było uroczyste oświadczenie o definitywnej likwidacji Unii na ziemiach okupowanych przez Sowiety w wyniku drugiej wojny światowej. Owa uroczysta proklamacja nastąpiła podczas introni-

⁶³⁷ Unia w Użhorodzie została zawarta 24 IV 1646 r. doprowadziła do powstania Rusińskiej Cerkwi Greckokatolickiej.

zacji nowego patriarchy moskiewskiego, Pimena,⁶³⁸ w Zagorsku – w obecności przedstawicieli Watykanu, którzy nie uważali za wskazane założenie protestu. Powiedzmy, że taki protest, założony na gorąco, w samym Zagorsku, mógłby być uznany za jaskrawe nadużycie gościnności, a nawet za prowokację. Niestety post factum Stolica Apostolska również nie zabrała głosu. Jednostronne, uzurpatorskie skasowanie Unii nastąpiło przy akompaniamencie głuchego milczenia Stolicy Apostolskiej. A w takich wypadkach milczenie bywa zazwyczaj uważane za zgodę.

Przypomnijmy, że władze sowieckie skasowały Unię w roku 1946, na tzw. synodzie, zwołanym do Lwowa przez NKWD. Spędzono wówczas garść księży odstępców (nie było wśród nich ani jednego biskupa), którzy zgodzili się przejść na prawosławie – i ci uchwalili wszystko, co im podyktowano. Głównym likwidatorem był towarzysz Podgorny⁶³⁹ – ten sam, co po latach został prezydentem Związku Sowieckiego. Ten sam, którego Paweł VI przyjął stosunkowo niedawno na audyencji. Po co była Moskwie potrzebna ta uroczysta powtórka po 25. latach? Prawdopodobnie chodziło o danie Rzymowi ostrzeżenia: „Niech się wam nie marzą jakieś rewindykacje kościelno-religijne, nie ma żadnych unitów, wolno wam rozmawiać wyłącznie z przedstawicielami patriarchatu moskiewskiego, ściśle kontrolowanymi przez towarzysza Kurojedowa!”. Nieco dalej wypadnie mu poświęcić więcej uwagi.

KILKA DANYCH HISTORYCZNYCH

Unia Florencka, zawarta w połowie XV wieku, nie udała się z bardzo wielu przyczyn i pozostała na ozdobnych pergaminach. Nie udała się przede wszystkim dlatego, że Zachód europejski nie był w stanie przyjąć ze skuteczną pomocą dogorywającemu cesar-

⁶³⁸ Pimen (1910-1990), biskup prawosławny, wieloletni patriarcha prawosławny Moskwy i Rusi w ZSRR (1971-1990).

⁶³⁹ Nikołaj Podgorny (1903-1983), sowiecki polityk, m.in. przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR (1966-1977).

stwu bizantyńskiemu. A gdy po bohaterskiej obronie padł Konstantynopol i półksięzyc ukazał się zamiast krzyża na kopule katedry świętej Zofii, sprawa została przesądzona na niekorzyść.

Dopiero po stu kilkudziesięciu latach idea florencka podjęta została w Rzeczypospolitej Polskiej, zyskując gorliwych zwolenników i bojowników zarówno po polskiej, jak ruskiej (ukraińskiej i białoruskiej) stronie. W listopadzie 1596 roku, w cerkwi św. Mikołaja w Brześciu Litewskim (nie w Brześciu nad Bugiem, jak się podo- bało nazwać historyczne miasto jakimś tępych urzędasom) nastąpiło proklamowanie Unii. Głównymi promotorami ze strony ukraińskiej byli metropolita kijowski, Rohoza,⁶⁴⁰ oraz biskupi, Cyryl Terleckyj⁶⁴¹ i Potij⁶⁴² (Pociej). Ówczesny papież, Klemens VIII, rozumiejąc doniosłość zjednoczenia kościołów, poszedł na wszelkie ustępstwa co do zachowania obrzędowości wschodniej, a zwłaszcza – co miało decydujące znaczenie – udzielania Komunii Świętej pod dwoma postaciami.

Unia Brzeska, uzupełniona w pięćdziesiąt lat później przez Unię Uzhorodzką, rozszerzającą zjednoczenie na Podkarpacie, miała stać się pierwszym krokiem na drodze do utworzenia Patriarchatu Ukrainy, z dalszym zadaniem promieniowania na cały Wschód prawosławny. Tak właśnie widziano rolę przyszłego patriarchatu w Rzymie, jak o tym dobitnie świadczą komentarze sekretarza Świętej Kongregacji do Spraw Rozszerzania Wiary, O. Francesco Ingo- liego,⁶⁴³ [sporządzone] do projektu wysuniętego w roku 1629 przez metropolitę Welamina Rutskiego⁶⁴⁴ (katolika), oraz biskupów Hioba

⁶⁴⁰ Michał Rahoza (ok. 1540-1599), prawosławny metropolita kijowski, zwolennik unii brzeskiej (1596), a następnie pierwszy zwierzchnik kościoła grekokatolickiego i metropolita Kijowa, Halicza i całej Rusi.

⁶⁴¹ Cyryl Terleckyj (zm. 1607), biskup prawosławny, zwolennik unii brzeskiej (1596), a następnie biskup łucki.

⁶⁴² Hipacy Pociej (1541-1613), biskup prawosławny, współtwórca unii brzeskiej (1596), a następnie po śmierci M. Rahozy metropolita halicki i kijowski.

⁶⁴³ Francesco Ingoli (1578-1649), ksiądz katolicki, prawnik, kanonista.

⁶⁴⁴ Józef Weliamin Rutski (1574-1637), bazylianin, biskup grekokatolicki, metropoli-ta kijowski.

Boreckiego⁶⁴⁵ i Piotra Mochyły⁶⁴⁶ (prawosławnych). Gdyby projekt ten został zrealizowany, za jednym zamachem ucięto by wszystkie wpływy obydwu rywalizujących na tych terenach patriarchatów: konstantynopolińskiego i moskiewskiego.

Ale ta potężna historyczna wizja nie mogła się zrealizować, gdyż na przeszkodzie stały niefortunne wojny polsko-kozackie, a w ich wyniku rozcięcie żywego ciała Ukrainy w Pokoju Andruszowskim. Niepełny sukces Unii legł u fundamentów niepowodzenia Unii Hadziackiej, która nie potrafiła odrobić fatalnych postanowień perejasławskich. Czyja wina? Jeżeli zechcemy ją przypisać tylko jednej stronie, na pewno rozminiemy się z prawdą. Gdy pod kijami czerni kozackiej w Niżynie padł Jurij Niemirycz, Unia Hadziacka już była pogrzebana. Nieustępliwość polskiej strony też zrobiła swoje. A i to trzeba przypomnieć, że nuncjusze papiescy nieustępliwość tę utwierdzali, wywierając stały nacisk na króla, senat i sejm.

W ciągu wieku XVIII Unia Brzeska stopniowo opanowała przeważną część Białorusi i Czarnej Rusi, metropolię halicko-lwowską, część Wołynia i Podola. W cesarstwie Habsburgów rozszerzyła się na Ruś Zakarpacką, na Bukowinę i częściowo na rumuńskie połacie Siedmiogrodu. Rozbiory Rzeczypospolitej zadały Unii pierwszy potężny cios. Katarzyna II, która w swej polityce była na tyle elastyczna, że w pewnej chwili stała się protektorką zakonu jezuitów (na Witebszczyźnie, Mohylowszczyźnie), z miejsca przystąpiła do likwidowania Unii – przy pomocy najbardziej drastycznych i barbarzyńskich środków.

Po jej śmierci nastąpiło czasowe złagodzenie i odprężenie. Paweł I, który nienawidził swojej matki, z zasady odrabiał jej poczynania; jego syn, Aleksander, starał się zarobić na opinię oświeconego liberała. Dopiero represje, podjęte przez Mikołaja I po upadku powstania listopadowego, ponownie całą siłą uderzyły w Kościół unicki.

⁶⁴⁵ Hiob Borecki (zm. 1631 r.), biskup prawosławny, przeciwnik unii brzeskiej, pierwszy metropolita prawosławny kijowski po 1596 r. nieuznawany przez władze Rzeczypospolitej.

⁶⁴⁶ Piotr Mochyła (1596-1647), biskup prawosławny, metropolita kijowski.

Za panowania Mikołaja I i Aleksandra II Unia znikła na wschód od Bugu. Za Aleksandra III przyszła kolej także na tereny zabużańskie: Chełmszczyznę, Polesie. Martyrologii unitów chełmskich nie potrzeba opisywać, znana jest powszechnie. Gdy, zmuszony przez ruch rewolucyjny, Mikołaj II ogłosił edykt tolerancyjny,⁶⁴⁷ sprawosławieni siłą unicy przechodzili najczęściej na rzymski katolicyzm.

Unia utrzymała się pod zaborem austriackim i trwała, rzecz oczywista, w Drugiej Rzeczypospolitej. W drugiej połowie września 1939 roku, gdy Armia Czerwona wdarła się w prawie niebronione granice i załała kraj między Zbruczem i Sanem, metropolita Andrzej Szeptyckij zwrócił się do podległego mu duchowieństwa z następującymi słowami: „Przewróciła się stronica historii nastąpiła nowa epoka. Spotkajmy ją pokorną modlitwą i mocną nadzieją na bezgraniczną dobroć i miłosierdzie Jezusa Chrystusa, który wszystko obraca na chwałę Bożą i ku naszemu dobru...”.

Istotnie! W nowo powstałej sytuacji cóż pozostało unickiemu duchowieństwu, prócz modlitwy i cichej nadziei? Ale wówczas, w roku 1939, jeszcze nie wybiła ostatnia godzina grozy i męczeństwa. Wprawdzie władze sowieckie prawie natychmiast zlikwidowały Akademię Teologiczną we Lwowie, zamknęły sporo świątyń unickich, aresztowały pewną ilość księży, ale masowych prześladowań na razie nie było. Dopiero druga okupacja bolszewicka, poczynając od lata roku 1944, przyniosła to, czego można było obawiać się od początku: likwidację Kościoła unickiego. Pewnie, nie była to likwidacja całkowita. Mimo poniesionych straszliwych strat, Kościół ten istnieje nadal, zeszedł do podziemi, do katakumb. Wiadomo, że nielegalnie działa pewna ilość księży, że odprawiają oni potajemnie nabożeństwa i udzielają sakramentów. Ilu ich jest – któż obliczy! Dzieje tego Kościoła zostaną kiedyś napisane; ufajmy, że w szczęśliwszej przyszłości!

⁶⁴⁷ Edykt (ukaz) tolerancyjny został ogłoszony 20 IV 1905 r. Oznajmiał on m.in., że: „odpadnięcie od religii prawosławnej do innej chrześcijańskiej religii lub nauki, nie podlega prześladowaniu i nie powinno pociągać za sobą żadnych następstw, szkodzących pod względem praw osobistych i cywilnych”.

CZY ODPISANI NA STRATY?

W miarę rozwijania się dialogu między Watykanem i Moskwą, rósł niepokój w ukraińskiej diasporze. Doszła najeżona ostrymi kolcami sprawa negatywnego ustosunkowania się do projektu utworzenia ukraińskiego patriarchatu. Szerokim echem odbił się na ukraińskiej emigracji znany list zmarłego niedawno, a wtedy jeszcze żyjącego kardynała Tisseranta⁶⁴⁸ (pisałem o tym szczegółowo przed rokiem w „Kulturze”, w artykule *Cień Possewina*⁶⁴⁹). Paweł VI przez dłuższy czas nie zabierał głosu osobiście w tej sprawie i z jego milczeniem łączono pewne nadzieje, które ostatecznie okazały się bezpodstawne. Gdy Ojciec Święty wreszcie odezwał się, potwierdził wszystkie obiekcje, wysunięte uprzednio przez Sekretariat Stanu.

Są to przede wszystkim obiekcje typu formalnego; ich roztrząsanie zajęłoby zbyt wiele miejsca. Nietrudno obalić argument, że ogłoszenie Patriarchatu rozjątrzyłoby władze sowieckie i pociągnęło za sobą jeszcze większe prześladowania unitów narodowości ukraińskiej. Prasa emigracyjna odpowiada na to z pełną racją, że pogorszenie sytuacji jest w ogóle niemożliwe; większych prześladowań niepodobna sobie wyobrazić. I gdybyż chodziło tylko o patriarchat! Panuje ogólne przekonanie, że Watykan zrezygnował z obrony Kościoła unickiego w imię mglistych nadziei na ekumeniczne zbliżenie z rosyjskim prawosławiem. Niepodobna oprzeć się wrażeniu, że chodzi nie tylko o ekumenizm – że odżyło stare marzenie o nawróceniu Rosji na katolicyzm. Jak to sobie purpuraci rzymscy wyobrażają w praktyce – nie wiadomo. Pięćsetletnie przeszło doświadczenia z Moskwą (poczynając od Unii Florenckiej) najwidoczniej poszły w las.

Jakiegokolwiek kontakty Watykanu z Rosjanami nigdy nie były i nie są w stanie zmienić bezkompromisowo wrogiej postawy Moskwy wobec Kościoła unickiego. Tak było za carów, tak jest obecnie.

⁶⁴⁸ Eugène Tisserant (1884-1972), kardynał francuski.

⁶⁴⁹ W rzeczywistości chodzi o fragment artykułu: *Zżyźliwe uwagi na tematy ukraińskie*, „Kultura” 1971, nr 3/ 282, s. 93-106.

Nie chodzi tylko o sprawy religijne, bardziej jeszcze – o narodowe. Unia brzeska uznana została od samego początku za podstępną próbę (wiadomo: *kawarnyje Lachi!*) wbicia klina między „dwa odgałęzienia jednego narodu rosyjskiego. Prawosławie miało niwelować różnice narodowe, psychiczne i kulturalne między Moskwą i Ukrainą; Unia te różnice podtrzymywała.

Niszcząc Unię, reżym sowiecki nie zrobił żadnego oryginalnego wynalazku. Nawiązał do starej tradycji, poszedł drogą dokładnie wytyczoną przez Katarzynę II i Mikołaja I. Skrajnie nacjonalistyczny, monarchiczny odłam emigracji rosyjskiej, przyjął likwidację Unii z nieukrywaniem entuzjazmem. Pisałem już przy innej okazji, że czasopismo „Nasza Strana” („Nasz Kraj”), wychodzące w Buenos Aires, nazwało tę likwidację „aktem sprawiedliwości historycznej”. Oto „sztucznie oderwana od jedności religijnej część narodu rosyjskiego” powróciła do tej jedności. Jakże się nie radować! A że „aktu sprawiedliwości dokonały ręce enkawudzistów sowieckich – trudno. Różnie z tym bywa. Duch Święty tchnie, gdzie chce, zaś Opatrzność Boska przejawia się nieraz w sposób najbardziej niespodziewany. Wrogość czerwonego Kremla do Unii odziedziczona została po Imperium carskim, jako jeden z postulatów typu *non possumus*.

Kardynał Slipyj jeszcze przebywał w sowieckim łagrze, gdy nastąpiło otwarcie II Soboru Watykańskiego. Znaleźli się na nim, w charakterze obserwatorów, dwaj przedstawiciele oficjalnej cerkwi prawosławnej w Sowietach: protojerej Witalij Borowoj⁶⁵⁰ i archimandryta Władimir Kotlarow.⁶⁵¹ Zgromadzeni na soborze unicki biskupi ukraińscy postanowili wykorzystać tę okazję i ogłosić memoriał w sprawie prześladowań Kościoła unickiego w Sowietach. Memoriał ten został storpedowany i tylko jego urywki trafiły do prasy, dzięki niedyskrecji amerykańskiego dziennikarza, wydawcy i redaktora „Saturday Review”, Normana Cousinsa,⁶⁵² który następnie odegrał pewną rolę przy zwolnieniu Slipyja.

⁶⁵⁰ Witalij Borowoj (1916-2008), ksiądz prawosławny w ZSRR.

⁶⁵¹ Włodzimierz Kotlarow (ur. 1929), ksiądz prawosławny, otrzymał sakrę biskupią (od 1964), później sakrę arcybiskupa (od 1967).

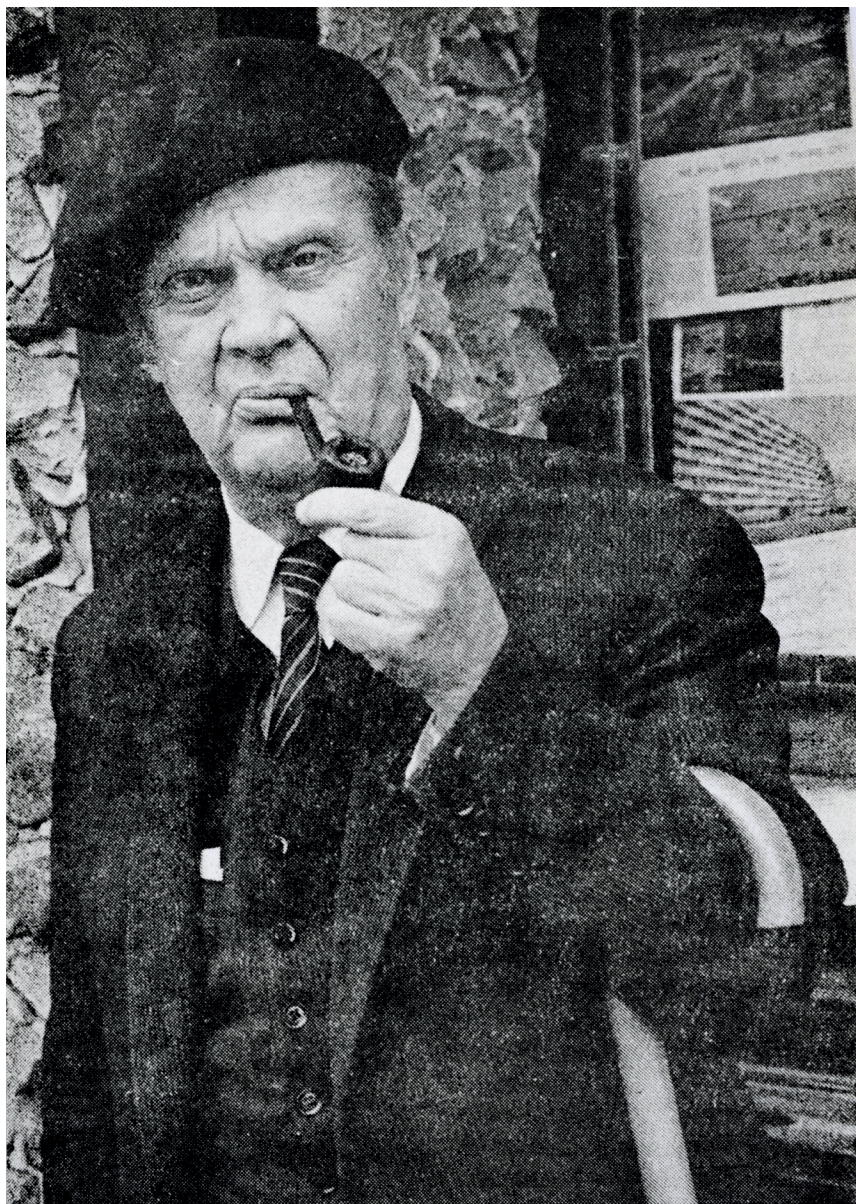
⁶⁵² Norman Cousins (1915-1990), dziennikarz i pisarz amerykański.

Archimandryta Kotlarow zaprotestował przeciw memoriałowi w dość ostrej formie. „Obiecujący początek soboru – oświadczył – przekonał nas, że zgromadzeni Ojcowie także w pracach końcowych wypowiedzą się na rzecz pokoju i międzynarodowej współpracy. Muszę jednak stwierdzić obiektywnie, że w soborze biorą udział osoby, którzy wcale nie są zadowolone z takiego obrotu rzeczy. Należą do nich przede wszystkim emigranci polityczni, wchodzący w skład ukraińskiego duchowieństwa. Próbowali oni zakłócić przyjazną atmosferę, jaka towarzyszyła naszemu przyjazdowi i rozbić początek dobrych stosunków z Kościołem katolickim. Próby te jednak zostały jednogłośnie potępione... i nie znalazły odzewu w szerokich kołach kościelnych...”

Kotlarow miał o tyle rację, że istotnie w Watykanie uczyniono wszystko, by inicjatywa kilkunastu biskupów ukraińskich nie chwyciła i nie nabrała rozgłosu. Ale lęk, że biskupi mogą do niej powrócić, pozostał. Może właśnie dzięki temu udało się wytargować uwolnienie biskupa Slipyja? Czy myśl o nim dojrzała podczas „dyplomatycznej herbatki”, urządzonej dla gości z Moskwy przez generała Gustavo Testę,⁶⁵³ z udziałem kardynała Willebrandsa? Tak właśnie przedstawił tę sprawę znany włoski dziennikarz Fabrizio de Santis, w mediolańskim „Corriere della Sera”. De Santis jest zazwyczaj dobrze poinformowany o zakulisowych rozgrywkach w Watykanie.

Jak tam było, tak było, ale niewątpliwie na Kremlu doszli do wniosku, że dla utrzymania polityki zbliżenia trzeba pójść na efektowny gest, na jakieś sensacyjne posunięcie, które ułatwiłoby Watykanowi kontynuację podjętej polityki. Interes leżał jak na dłoni, więc też nie trzeba było czekać zbyt długo na odpowiednią decyzję. Sobór rozpoczął się w październiku 1962 roku, w połowie listopada utracono memoriał ukraińskich biskupów, „dyplomatyczna herbata” odbyła się gdzieś na początku grudnia, a już 27 stycznia 1963 roku kardynał Willebrands przybył samolotem do Moskwy, by zaopiekować się Slipyjem, zwolnionym z łagru poprzedniego dnia.

⁶⁵³ Gustavo Testa (1886-1969), biskup katolicki, kardynał, m.in. sekretarz i prefekt Kongregacji Kościołów Wschodnich (1959-1967).



Józef Łobodowski, zdjęcie poety zrobione w czasie pobytu w Toronto, 1977 r.

Willebrands to niewątpliwie *persona grata* w sowieckiej stolicy. Jeszcze przed soborem odbył on podróż otoczoną ścisłą tajemnicą – choć nie mogła utrzymać się w sekrecie. Mam na myśli jego moskiewskie pertraktacje (wrzesień 1962) w sprawie przybycia obserwatorów na Sobór, przed czym sam patriarcha Aleksiej tak energicznie się zastrzegął. Misja Willebrandsa uwieńczona została pełnym powodzeniem. Jako osoba dobrze już wprowadzona w „środowisko”, pojechał po kardynała Slipyja, a w osiem lat później reprezentował Watykan na uroczystościach w Zagorsku, gdzie raz jeszcze pogrzebano Unię Brzeską. Przy milczącej, jako się rzekło, aprobacie Rzymu. Ale wtedy, w okresie soborowym, jeszcze nie podejrzewano, że może dojść do tak drastycznych posunięć, będących, niestety, oczywistą kapitulacją wobec Moskwy.

O memoriale biskupów ukraińskich rychło zapomniano, bo też wydarzenia szły jedno po drugim z piorunującą szybkością. W lutym przyjechał do Rzymu kardynał Slipyj, w marcu przyznano papieżowi nagrodę szwajcarsko-włoskiej Fundacji Bolzano, za działalność na rzecz pokoju, zaraz potem przysłała wizyta Adzubeja, a w czerwcu tegoż roku zmarł Jan XXIII. Nowym papieżem został dotychczasowy arcybiskup Mediolanu, kardynał Montini, który pod imieniem Pawła VI kieruje nawą Piotrową po dziś dzień [papież zmarł w 1978 r. – przyp. red.]. Polityka zbliżenia do Związku Sowieckiego nabrała za jego pontyfikatu jeszcze większego dynamizmu.

Nie brakuje przecież głosów protestu, choć nie zawsze wymierzonych bezpośrednio. W jesieni 1971 roku odbył się w Rzymie V Synod Episkopatu ukraińskiego, z udziałem dwudziestu biskupów unickich, przybyłych ze wszystkich ośrodków ukraińskiej diaspory – z krajów Zachodniej Europy, ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Brazylii, Argentyny, nawet z Australii. Uroczystości obchodzono 375. rocznicę Unii Brzeskiej i 132. rocznicę Unii Użhorodzkiej. Z tej okazji wydano wspólny list pasterski do wszystkich wiernych, rozsianych po całym świecie. List ten zredagowany został bardzo ostrożnie, by nie urazić Watykanu. Znalazło się w nim kilka zdań protestu przeciw prześladowaniom religijnym w Związku Sowiec-

kim, a zwłaszcza przeciw oświadczeniu patriarchy moskiewskiego Pimena, o likwidacji Unii.

Delikatnie poruszono sprawę Patriarchatu, którego powstanie „byłoby zgodne z naszą historyczną walką i z postanowieniami II Soboru Watykańskiego”. A jednocześnie: „musimy zrozumieć chwilowe trudności, na jakie natrafia obecnie Ojciec Święty Paweł VI, niezależnie od Jego najlepszej woli...”. Ostrzejszych słów użył w swoim przemówieniu, wygłoszonym podczas poświęcenia cerkwi Żyrowickiej Matki Boskiej w Rzymie, arcybiskup-metropolita Winnipeg, Maksym Hermaniuk:⁶⁵⁴

„Protestujemy przed całym cywilizowanym światem przeciw deptaniu przez sowiecki reżym komunistyczny podstawowych praw człowieka, poprzez bezwzględne i bezlitosne prześladowanie Ukraińskiego Kościoła Katolickiego i Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, oraz innych chrześcijańskich gromad w Związku Sowieckim. A specjalnie zgłaszamy nasz ostry protest przeciw oświadczeniu nowego patriarchy Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, Pimena, który na soborze w Zagorsku, w czerwcu 1971 roku, oświadczył, że likwidacja Unii Brzeskiej w 1946 roku, we Lwowie i w 1950 w Piaszowie, stanowi wielkie wydarzenie w historii Cerkwi Rosyjskiej. Cerkiew rosyjska nigdy nie miała i dziś także nie ma najmniejszego prawa do przemawiania w imieniu naszego Katolickiego Kościoła Ukraińskiego”.

Zarówno w liście pasterskim, jak w przemówieniu Hermaniuka, został energicznie podkreślony fakt, że walka toczy się nie tylko o Kościół Unicki, ale również o wolność i niepodległość ukraińskiego narodu. W prasie międzynarodowej uroczystości rocznicowe i wydane oświadczenia odbiły się bardzo słabym echem. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju enuncjacje najchętniej są pomijane milczeniem. A już Watykanowi na pewno nie zależy na ich rozpowszechnianiu.

Wśród Ukraińców coraz bardziej utrwala się gorzkie przekonanie, że Kościół ich, na terenach znajdujących się pod władzą

⁶⁵⁴ Maksym Hermaniuk (1911-1996), biskup greckokatolicki, od 1951 r. w Kanadzie, m.in. arcybiskup Winnipeg.

sowiecką, został definitywnie odpisany na straty. Paweł VI wielokrotnie dawał wyraz swoim ojcowskim uczuciom do ukraińskich katolików wschodniego obrządku, ale piękne słowa nie mogą przekreślić faktów. W swojej odpowiedzi na hołdownicze pismo, złożone przez Synod biskupów ukraińskich, datowanej pod 6. listopada 1971 roku, Paweł VI udzielił apostolskiego błogosławieństwa, ale wyraźnie podkreślił, że chodzi o Ukraińców unitów, rozsianych po świecie (*fidei ucraini sparsi net mondo*).

EKUMENISTYCZNE ZŁUDZENIA

Z fotografii sprzed dziesięciu lat spogląda dobrotliwe oblicze Jana XXIII: przyjazny gest, uśmiech nieco jowialnego, wiejskiego proboszcza. Papież rozmawia z obserwatorami wydelegowanymi na Sobór przez moskiewski Patriarchat. Sztuczne, asyryjskie twarze, oczy ledwie spoglądają spod opuszczonych powiek, wyraz ust gubi się w gęstych, czarnych brodach. „Ojcowie” – Witalij Borowoj i Władimir Kotlarow, wyznaczeni – przez kogo? Formalnie przez ówczesnego patriarchę Aleksego,⁶⁵⁵ faktycznie – przez szarą eminencję oficjalnego Kościoła prawosławnego, metropolitę leningradzkiego, Nikodima.⁶⁵⁶

Ten Nikodim (Nikodem) nazywa się w rzeczywistości Boris Rotow i, jak się zdaje, dobiega obecnie czterdziestki. Nie znam dokładnej daty jego urodzenia, ale jeżeli pomyliłem się, to zaledwie o parę lat. Ma za sobą karierę prawdziwego meteoru. Wyszedł z akademii duchownej w 1955 roku, a już po czterech latach został sekretarzem patriarchatu i zastępcą Karpowa,⁶⁵⁷ przewodniczącego tzw. Rady do Spraw Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej przy Radzie Ministrów ZSSR. Wkrótce potem zostaje metropolitą leningradzkim. W wieku

⁶⁵⁵ Aleksy I (1877-1970), biskup prawosławny, prawosławny patriarcha Moskwy i całej Rusji w ZSRR (1945-1970).

⁶⁵⁶ Nikodem (Borys Rotow) (1929-1978), biskup prawosławny, metropolita leningradzki i nowogrodzki w ZSRR (1963-1978).

⁶⁵⁷ Geоргij Karpow (1898-1967), generał NKGB, przewodniczący Rady ds. Rosyjskiej Prawosławnej Cerkwi przy Radzie Ministrów ZSRR (1943-1960).

32 lat! Zaiste, kariera bez precedensów! Co do Nikodima, nikt zorientowany nie wątpi, że jest wybitnym agentem KGB – podobnie jak wyznaczeni przez niego wysłannicy na Sobór.

Wspomniana Rada jest zresztą nadrzędną władzą nad Patriarchatem. Pomysł był niewątpliwie genialny. Bolszewicy znieśli Swiatiejszyj Sinod⁷, odrodzili Patriarchat, ale uczynili z niego swoje posłuszne narzędzie. Towarzysz Kurojedow,⁶⁵⁸ obecny przewodniczący Rady, bardziej rzutki, dynamiczny i bezwzględny od swego poprzednika, jest po postu sowieckim wcieleniem osławionego ober-prokuratora Pobiedonoscewa.⁶⁵⁹ Patriarchat to parawan dla oszukiwania naiwnych lub takich, którzy chcą być oszukani. Gdy Jan XXIII przyjął Adzubeja, niektórzy uznali to za policzek pod adresem chrześcijan różnych wyznań, prześladowanych i cierpiących w Związku Sowieckim. Paweł VI poszedł dalej, przyjmując Podgornego, a w 50. rocznicę wznowienia Patriarchatu wysłał do Moskwy pismo gratulacyjne, w którym wspomniał z uznaniem o odrodzeniu się i uniezależnieniu prawosławia od władzy świeckiej. Czy chodziło tu o absolutną, przerażającą dezinformację, czy o coś innego? I czy w o l n o być t a k dezinformowanym?!...

Ekumenizm ma sens, gdy włączają się w jego nurt hierarchie kościelne mające za sobą zaplecze w postaci masy wiernych. Otóż prawdziwi prawosławni uważają oficjalną Cerkiew prawosławną, tę od Aleksych, Pimenow, Nikodemów, Borowojowych i Kotlarowych za instytucję wysługującą się Antychrystowi. A tych, co wchodzi z nimi w konszachty, traktują nie jako sługi Chrystusa, lecz wrogów Chrystusa. Nie udała się próba podporządkowania Cerkwi prawosławnej na Zachodzie moskiewskiemu patriarsze. Osiągnięte pod tym względem sukcesy wyglądają raczej mizernie w stosunku do zakreślonych planów. I zdarzyła się rzecz niespodziewana.

⁶⁵⁸ Władimir Kurojedow (1906-1994), sowiecki działacz partyjny, m.in. przewodniczący Rady ds Rosyjskiej Prawosławnej Cerkwi przy Radzie Ministrów ZSRR (1960-1965).

⁶⁵⁹ Konstantin Pobiedonoscew (1827-1907), polityk i prawnik rosyjski, oberprokurator Świętobliwego Synodu Rządzącego (1880-1905), który kierował Rosyjskim Kościołem Prawosławnym.

Aleksander Solżenicyn wystosował list do Patriarchatu, oskarżając go o zdradę chrześcijaństwa. Gdyby ten list napisał ktoś inny, nikt nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi. A że to jednak laureat Nobla, prasa na Zachodzie nadała mu rozgłos, dość nieprzyjemny dla entuzjastów, z takim zapalem rozszerzających ekumenizm na oficjalną Cerkiew rosyjską, na przebiegłych agentów policyjnych, poprzebieranych w szaty biskupie.

* * *

Gdy wczesnym wieczorem 9 lutego br. kończyłem rozmowę z „galernikiem Chrystusowym”, ex-katorżnikiem sowieckim, wygnańcem z metropolii, odziedziczonej po Andrzeju Szeptyckim, rześisty deszcz zaciął w ciemne szyby Palazzina dell’Arciprete. Kardynał Slipyj starał się nie okazywać zmęczenia, ale nie miałem wątpliwości, że już czas kończyć. Kardynał niechętnie spotyka się z dziennikarzami, nie udziela wywiadów i ma ku temu poważne powody. Może bym nalegał, gdybym nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. Ale w pewnych układach życiowych milczenie bywa wymowniejsze od wielosłownych oświadczeń.

Kardynał Slipyj spędził prawie osiemnaście lat w więzieniach i łagrach sowieckich. Gdy go aresztowali ci, co dziś gadają głośno o pokojowej koegzystencji i wyrażają się z najwyższym uznaniem o idei ekumenizmu, był w sile wieku; obecnie jest starcem, na którego barki spadła niełatwa walka o sprawy, jakże w dzisiejszym świecie niepopularne. Ma przeciw sobie sprzysiężenie potężnych sił, tym trudniejszych do zwalczenia, że często działających z ukrycia.

Poruszone tu zagadnienia rzadko bywają omawiane na łamach polskiej prasy emigracyjnej; w kraju w ogóle o nich pisać nie wolno. A nie powinny być obojętne Polakom. To jednak osobny temat: czy i jaką rolę strona polska odgrywa w tym wszystkim? Nie należy tego pytania pomijać. Sądzę, że w najbliższym czasie „Kultura” zamieści wyczerpującą odpowiedź, choćby miała ona wypaść dla nas nieprzyjemnie.

[„Kultura” 1972, nr 7]

DZIEJE OSIEMDZIESIĘCIOLECIA

„Starszemu pokoleniu, które wyszło z Ukrainy i marzy o niej – jako pamiątkę przeszłości – młodszemu pokoleniu, które Ukrainy nie zna – dla informacji i nauki – jednemu i drugiemu – dla zastanowienia się nad przeszłością, teraźniejszością i przyszłością Ukrainy i wolnej społeczności ukraińskiej w świecie”.

Tak brzmi dedykacja, którą Iwan Kedryn poprzedził potężny rozmiarami tom swoich wspomnień.⁶⁶⁰

Obejmują one osiemdziesiąt lat (1896-1975), a więc całą epokę, i to nie byle jaką. Autor był osiemnastoletnim młodzieńcem, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa; był w sile wieku, gdy przyszła jej tragiczna powtórka; zaczął pisać swoje wspomnienia, mając 77 lat, na emigracji w Stanach Zjednoczonych. Warto przytoczyć parę zdań z przedmowy, wyjaśniającej, *Jak powstała ta książka*:

„Spieszyłem się – podaje autor – z jej napisaniem, nie tylko dlatego, że bez co miesięcznego przekazywania *towaru* moim sponsorom nie otrzymywałbym umówionego, skromniutkiego, ale koniecznego do przeżycia honorarium, lecz głównie dlatego, że naglił mój wiek. Błagam Boga, aby pozwolił mi dokończyć tę pracę, choćbym nawet nie miał ujrzeć jej druku”.

Książka miała już wiele recenzji w emigracyjnej prasie ukraińskiej, przeważnie bardziej krytycznych niż przychylnych. Jeden z recenzentów napisał, że jej dokładne omówienie nawet w długim artykule jest absolutnie niemożliwe; należałoby jej poświęcić całą broszurę. Istotnie, materiał historyczny, który praca Kedryna objęła, jest olbrzymi. Wystarczy, jeśli powiem, że wykaz nazwisk zamykający opasły tom liczy prawie 1500 pozycji (dokładnie 1485!).

⁶⁶⁰ Iwan Kedryn, *Życie – wydarzenia – ludzie. Wspomnienia i komentarze*. Spółdzielnia Wydawnicza „Czerwona Kałyna” – Nowy Jork, 1976, str. 724 [przyp. J. Łobodowskiego].

W tym nazwisk Polaków sto kilkadziesiąt, czyli kilkanaście procent, co samo przez się świadczy, jak wiele uwagi poświęcił Kedryn stosunkom polsko-ukraińskim.

Wspomnienia te mają wyraźny charakter autobiograficzny, autor opisuje szczegółowo wszystkie etapy długiego żywota, ale to tylko tło dla rozwijających się akcji historycznych. Jest w tej książce mnóstwo dygresji i powtórzeń, synchronizacja niekiedy zawodzi, opowiadacz wybiega daleko naprzód albo cofa się wstecz, często powtarza się – więc pozorny chaos. Pozorny, bo te nawroty i powtórzenia nie naruszają żywości narracji, a jednocześnie lepiej uwypuklają to, co Kedrynowi wydawało się najważniejsze. A przeważnie w wyborze tych najważniejszych wydarzeń nie chybia.

Zresztą, uprzedzając „surowych krytyków”, autor w przedmowie sam wylicza wady swojej książki: „niepotrzebne powtórki, zbyt wiele dygresji, przeskakiwanie ponad datami i wydarzeniami”. Jak już przed chwilą podkreśliłem, wady te coraz to stają się zaletami.

„Oczywiście – przyznaje Kedryn – na pewno zdarzają się błędy rzeczowe, dotyczące dat, nazw, imion. Na swoje usprawiedliwienie podam nie tylko pośpiech, z jakim książka była pisana, ale także wielką trudność ze znajdowaniem źródłowej literatury dla sprawdzania historycznych dat i faktów”.

Nieco dalej autor zastanawia się, czy te wspomnienia kogokolwiek interesują. Jednych tak, innych – nie! „Na pewno – zauważa – odrzucą tę książkę ci wszyscy, którym nie po drodze z moimi ocenami różnych zjawisk, wydarzeń i osób... Nie istnieje idealny obiektywizm w oświataniu ludzi i wydarzeń, wszelkie komentarze są subiektywne, bo w przeciwnym razie wspomnienia byłyby nie wspomnieniami, lecz kroniką...”.

Moja opinia jest jednoznaczna: to książka niezmiernie interesująca i zasługująca na to, by dotrzeć do możliwie najliczniejszych czytelników. Niestety, odsetek Polaków na emigracji, znających język ukraiński, jest niezmiernie nikły i mało kto z nich do tych wspomnień dotrze. Wielka szkoda, bo Kedryn, omawiając bardzo dokładnie stosunki polsko-ukraińskie między dwoma światowy-

mi wojnami, tym samym oświetlił spory wycinek dziejów Drugiej Rzeczypospolitej. Inna rzecz, że nie jest to lektura dla Polaka przyjemna. Nieco dalej postaram się uzasadnić tę opinię.

A właściwie powinien być zacząć od przedstawienia osoby autora polskiemu czytelnikowi. Kedryn – to publicystyczny pseudonim, prawdziwe nazwisko – Rudnyćkyj. Urodzony w Chodorowie, w 1896 roku, wcześniej stracił ojca; jego wychowaniem zajmowała się matka, Olga. Uczył się we Lwowie, gdzie złożył maturę w Ukraińskim Akademyckim gimnazjum, które autor nazywa „elitarną szkołą”. Zmobilizowany w 1916 roku do austriackiego wojska, po kilku miesiącach dostał się do niewoli, przebywał w obozie jenieckim za Bajkałem, ale wkrótce po rewolucji lutowej, która obaliła carat, udało mu się psim swędem przedostać na Ukrainę (do Kijowa), gdzie mieszkał do roku 1920. Następne trzy lata spędził na emigracji w Wiedniu, a we wrześniu 1923 wrócił do Lwowa, po siedmiu latach nieobecności.

I właśnie wtedy zaczęła się poważna kariera dziennikarska Rudnyćkiego-Kedryna. Zaraz po przybyciu do Lwowa przyjęto go do redakcji dziennika „Diło”, jako stałego współpracownika. „Moja praca – wspomina – w «Dile» we Lwowie i dla «Diła» w Warszawie, trwająca, z krótką przerwą w 1925 roku, do wybuchu drugiej wojny światowej we wrześniu 1939, należy do moich najpiękniejszych i najmiłszych wspomnień, i stanowi najważniejszy okres w mojej życiowej karierze dziennikarskiej”. Dla wyjaśnienia powyższych zdań: w latach 1925-1930 Kedryn przebywał w Warszawie, w charakterze korespondenta lwowskiego „Diła”. Nawiązał liczne kontakty z warszawskimi środowiskami politycznymi i dziennikarskimi, najżywsze z redakcją „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, na którego łamach zamieszczał dość regularnie artykuły na interesujące to specjalistyczne czasopismo tematy. Współpracował również z „Buntem Młodych” (późniejsza „Polityka”), z „Tygodniem”, a w roku 1939, po zamknięciu „Biuletynu [Polsko-Ukraińskiego]”, z nowo powstałym miesięcznikiem, „Problemy Europy Wschodniej”. Wybór jego artykułów, pisanych po polsku, miał ukazać się

pod wymownym tytułem *Grochem o ścianę*; przeszkodziła temu wojna. Kedryn podaje, że sprawą wydania książki zainteresował się metropolita Szeptycki i obiecał przyczynić się do jej sfinansowania.

Swoją pięcioletnią pobyt w Warszawie Kedryn wspomina na ogół życzliwie. Nie obeszło się jednak bez błędów i nieporozumień. Tak na przykład mickiewiczowskiego *Konrada Wallenroda* nazywa nie stąd ni zowąd „wierszem”, a o miesięczniku „Droga”⁶⁶¹ podaje błędnie, że „wychodził krótko”. No cóż, przy tak olbrzymim materiale nawet najwspanialsza pamięć musi od czasu do czasu zawieść, zwłaszcza u starego człowieka. To są rzeczy nie do uniknięcia.

Natomiast można było unikać wielu niepotrzebnych szpilek pod polskim adresem. Nie mam naturalnie na myśli poważnych, obiektywnie uzasadnionych zarzutów, których obalić, bez fałszowania przeszłości, niepodobna. Chodzi mi o tanie złośliwości, a zwłaszcza epitety, upokarzające dumę narodową i niedające się rzeczowo uzasadnić. O tym za chwilę. Najpierw należy zająć się zarzutami i pretensjami w pełni uzasadnionymi.

O wyczerpującej odpowiedzi nie ma oczywiście mowy – trzeba by na to, zgodnie z zacytowaną na wstępie opinią jednego z ukraińskich recenzentów, całej broszury. Więc z przedstawionej bardzo długiej listy polskich grzechów wybieram najważniejsze, najcięższe, według klasyfikacji Kedryna, który pod tym względem jest zgodny ze wszystkimi ukraińskimi historykami i publicystami.

A więc rząd polski zobowiązał się do przyznania Ukraincom terytorialnej autonomii i tego zobowiązania nie dotrzymał. Nie tylko nie zgodził się na założenie ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie, ale systematycznie niszczył już istniejące szkolnictwo. Wcześniej jeszcze nie dotrzymał Konwencji Warszawskiej, zawartej w kwietniu 1920 z Symonem Petlurą. Tzw. normalizacja była zawsze jednostronna: korzyści z niej ciągnęła wyłącznie strona polska. Ciężkim błędem była pacyfikacja, przeprowadzona przy zastosowaniu skrajnie brutalnych metod. Przy okazji Kedryn zbija znane twierdzenia Sławoja-Składkowskiego o rzekomo bezkrwawym przebiegu pacy-

⁶⁶¹ „Droga”, piśmudczykowski miesięcznik literacki i kulturalny, ukazywał się w latach 1922-1937.

fikacji. Niestety, były ofiary w ludziach, i to dość liczne. Ukraińcy przedstawili swego czasu listę strat. Wielka szkoda, że polska strona tej listy nie uznała. Sławoj jeszcze na emigracji upierał się, że tych ofiar nie było. Cóż na to poradzić – były!

Zanim przystąpię do omawiania tych zarzutów, ważna dygresja. Gdy Kedryn dla lepszego podbudowania swoich opinii i ocen szuka argumentów w przeszłości, zdarza mu się popełniać poważne gafy. Tak na przykład, po wysunięciu twierdzenia, że w przeszłości nigdy nie było samodzielnej ukraińskiej polityki, opartej o własne siły, popełnia błędy historyczne. Cytuję:

„Cała Kozaczyzna i cała Hetmańszczyzna to było nieustanne wahanie się między Warszawą i Moskwą. Tragicznie symbolicznego charakteru nabrały dwie największe postacie w historii Ukrainy od XV stulecia – Chmielnickiego i Mazepy. Jeden, mając po Korsuniu i Żółtych Wodach (kolejność odwrócona – JŁ) wolną drogę na Warszawę, zawrócił, żeby nie być posądzonym o niełojalność wobec polskiego króla. Zaś Perejasławską ugodę z carem Aleksym Chmielnicki podpisał po Zborowskim i Białocerkiewskim traktatach z Janem Kazimierzem. A Iwan Mazepa, zanim wszedł w konszachty ze Stanisławem Leszczyńskim i Karolem XII, przez dwadzieścia lat wiernie służył Piotrowi I” (str. 65).

Wymowne i – całkowicie niesłuszne. Kedryn mylnie ocenia Chmielnickiego i Mazepę, a tym samym krzywdząco. Po Żółtych Wodach i Korsuniu droga na Warszawę wcale nie była otwarta, z czego Chmielnicki, jako doświadczony wojownik, doskonale zdawał sobie sprawę. Kwartciane wojsko koronne przestało istnieć – to prawda. Ale mimo bezkrólewia, które właśnie wtedy nastąpiło wraz ze śmiercią Władysława IV w Mereczu, było jeszcze dość sił w Rzeczypospolitej. Żeby iść na Warszawę, trzeba było przedtem zlikwidować dywizję Jeremiego Wiśniowieckiego, do którego coraz to dołączały mniejsze i większe poczty magnackie. Zanim by Chmielnicki doszedł nie do Warszawy, lecz do Lwowa czy choćby nawet Zamościa, miałyby już na tyłach Janusza Radziwiłła z całym wojskiem litewskim, co zresztą stało się w następnym roku, pod-

czas oblężenia Zbaraża. Przecież musiał to brać pod rachubę. Pomoc tatarska była w roku 1648 niedostateczna; tych kilka tysięcy Nogajców pod Tuhaj-bejem nie mogło wystarczyć. To dopiero później chan krymski otrzymał od Porty Ottomańskiej upoważnienie, a nawet zachętę do podtrzymania Chmielnickiego całą siłą; natomiast zaraz po wybuchu, gdy poselstwo tatarskie przybyło do Stambułu z wiadomością o Korsuniu, panujący ówczesnie sułtan nie tylko posłów nie przyjął, lecz każdemu z nich kazał wlepić sto kijów w pięty. Wracali więc do Bachczysaraju dosłownie „na rzęsach”.

Przyszły Pławce, Zbaraż i Zborów. Okazało się dowodnie, że na lojalną pomoc tatarską Kozacy liczyć nie mogą. Tatarom wcale nie zależało na powaleniu Rzeczypospolitej, chodziło im wyłącznie o zdobycz i jasyr. Historycy ukraińscy przywykli oskarżać Tatarów o zdradę: pod Zborowem, pod Zwańcem... Słusznie, ale zdrada szła w obydwu kierunkach. Gdy po zawarciu ugody Perejaśławskiej Krym przeszedł na stronę Rzeczypospolitej, przeciw Kozakom i Moskwie, w wielkiej bitwie pod Ochmatowem, która mogła rozstrzygnąć losy całej wojny, Tatarzy także dali się przekupić, tym razem Chmielnickiemu.

Sądzę, że największym, zasadniczym błędem hetmana była rzeź jeńców po zwycięskiej bitwie pod Batohem. Potem przyszedł straszny odwet polski, gdy pod nóż szły całe ukraińskie wsie i osady, a o jakimś kompromisie, dopóki żył Chmielnicki, nie mogło być mowy. Hadziacz przyszedł za późno; obydwie strony powinny były pomyśleć o nim od razu, a co najmniej zaraz po Beresteczku.

Zarzut, że Chmielnicki nie liczył na własne, kozackie siły, nie znajduje potwierdzenia w przekazach historycznych. Owszem, liczył na nie, a najlepszym dowodem [była] wyprawa mołdawska (która zresztą była błędem), wynikła z dalekosiężnych planów polityczno-państwowych, a nawet dynastycznych. Tyle, że hetman zaporoski pomylił się w swoich obliczeniach, podobnie jak nie docenił chytrości Moskwy i jej przენiewierstwa. Starszy syn, Tymosz, zginął podczas oblężenia Suczawy i na tym skończyła się impreza mołdawska. Przychylny los oszczędził Chmielnickiemu najgorsze-

go: wiadomości o Andruszowie i podziale Ukrainy między Rzeczpospolitą i Moskwą – umarł wcześniej. To bardzo skomplikowane sprawy i sądzę, że dzieje wojen polsko-kozackich w XVII wieku dopiero czekają na obiektywnego historyka.

Dość tej dygresji, wracajmy do przedstawionego przez Kedryna wykazu polskich win w bieżącym wieku. Nieudzielenie zgody na otwarcie uniwersytetu we Lwowie było nie tylko decyzją krzywdzącą i sprzeczną z zaciągniętymi zobowiązaniami. Było także ciężkim idiotyzmem. To samo dotyczy likwidowania ukraińskich szkół. Najbardziej zakamieniały wróg Polski nie mógłby wymyślić czegoś lepszego, bardziej skutecznego dla podsycenia ukraińskiej nienawiści.

Zajmijmy się teraz traktatem ryskim. Niepotrzebnie Kedryn napisał, że wszyscy Polacy uznali go za słuszny i pożyteczny. Według Kedryna, dopiero po drugiej wojnie światowej publiczności skupieni przy paryskiej „Kulturze”, potępili ten traktat. A więc grubo po niewczasie. To nieścisle. Przecież zaraz po Rydze w sejmie nazwano Władysława Grabskiego Judaszem. Oczywiście, z innych względów niż te, o które chodziło i chodzi Ukraińcom. Ale proszę przejrzeć roczniki „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, „Buntu Młodych”, jeszcze paru innych czasopism o tej samej czy zbliżonej orientacji! Co do mnie, już w 1932 roku w lubelskim miesięczniku studenckim, „Trybuna”, wypowiedziałem się na ten temat w sposób jasny i niedwuznaczny.

Pamiętam (miałem wtedy dwanaście lat) – gdy do Jejska (to nad morzem Azowskim, Północny Kaukaz) dotarł tekst ryskiego traktatu, tamtejsi Polacy wpadli w deprymujące zdumienie. „Jak to – mówiła moja matka, której rodzina pochodziła z Witebszczyzny (pisałem już kiedyś o tym) – to Lida i Nowogródek po jednej stronie, a Mińsk i Bobrujsk po drugiej?! Przecież ta sama ziemia, ten sam lud, ten sam obyczaj, jakże można w taki sztuczny sposób szatkować!” Ano właśnie. I nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego państwu polskiemu ma przypaść zachodni Wołyń, gdzie Polaków było bardzo mało (chyba niewiele więcej niż Żydów), a Żytomierszczyzna, gdzie było gęsto od polskich, chodackowych zaścianków, ma zostać za kordonem.

Ale czy Polska mogła prowadzić w dalszym ciągu wojnę z Sowietami po bitwie nadniemeńskiej? Owszem, ale tylko pod warunkiem, że otrzymałaby wystarczającą pomoc z Zachodu. Kraj był zniszczony i wygłodzony, zwycięskiej armii brakowało wszystkiego: butów, bielizny, ciepłej odzieży, a przede wszystkim amunicji; w niektórych oddziałach żołnierze mieli niemal puste ładownice. Prowadzić nadal wojnę w obliczu zbliżającej się zimy? Bez odpowiedniego zaopatrzenia trochę trudno. *Cepnaja sobaka kapitalistyczeskowo imperializma* [łańcuchowy pies kapitalistycznego imperializmu] – wrzeszczały z każdej ściany i płotu propagandowe afisze sowieckie. Prawie z reguły „pies łańcuchowy” miał głowę Piłsudskiego albo magnata w konfederatce, a trzymał go na tym łańcuchu brzuchaty Lloyd George albo równie otyły marszałek Foch. Rzeczywiście, obydwaj panowie marzyli po nocach tylko o tym, by polskiego „łańcuchowego psa” zaopatrzyć we wszystko, co było potrzebne do dalszego atakowania ojczyzny proletariatu”!...

Więc nie, w tamtych warunkach o kontynuowaniu wojny nie mogło być mowy. Natomiast można było zachować się w Rydze nieco inaczej. Na postawienie sprawy ukraińskiej niepodległości państwowej bolszewicy by się nie zgodzili: to był temat zakazany. Ale można było pseudoukraińskiej delegacji, z towarzyszem Chryścianem Rakowskim na czele, nie uznać i podpisać traktat wyłącznie z RSFSR (taka była wtedy oficjalna nazwa, ZSSR jeszcze nie istniał), co by uratowało co najmniej pozory, jeśli nie honor. Świeżo odrodzonej Rzeczypospolitej nie było niestety stać na dalszy wysiłek wojenny. Niemniej, Ukraińcy mają całkowitą rację, gdy zarzucają, że jako wierni sprzymierzeńcy nie zostali potraktowani we właściwy sposób. Tu trzeba jednak uderzyć się w pierś.

Pacyfikacja! Wiele o niej pisano, różnie ją oceniano. Podjęta przez podziemie ukraińskie w roku 1930 akcja sabotażowa spowodowała tę „pacyfikację”, przeprowadzoną z udziałem nie tylko policji, także oddziałów wojskowych. To był chyba najczarniejszy rozdział w stosunkach polsko-ukraińskich za Drugiej Rzeczypospolitej. Nie zostało wyjaśnione w sposób niepodlegający żadnej wąt-

pliwości, kto był inicjatorem pacyfikacji i kto powziął ostateczną decyzję. Najprawdopodobniej wydział bezpieczeństwa w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Trudno czytać opisy akcji pacyfikacyjnej bez uczucia wstrętu i wstydu. Stało upalne lato 1930 roku, kiedy w trzech województwach (częściowo także na Wołyniu) doszło do masowych podpałów w polskich majątkach, najpierw zboża na pniu, następnie, już po żniwach, stodół i spichrzów. Pacyfikacja zaczęła się, według oficjalnych danych, 16 września i trwała przez dwa miesiące (niektóre źródła ukraińskie podają, że aż do końca listopada). Jak to wyglądało, wiedziałem tylko tyle, co podawała prasa, czyli w gruncie rzeczy prawie nic. Dopiero po kilku latach, gdy już dobrze orientowałem się w tych sprawach, poznałem całą niewesołą prawdę.

Temu, że masowe podpalania zaczęło organizować ukraińskie podziemie, nikt nie zaprzeczał. Kedryn twierdzi jednak, że po jakimś czasie niektórzy polscy właściciele sami zabawiali się w „pożarników” (dla podjęcia ubezpieczenia). Nie wiem, czy istotnie tak było, wiem natomiast, że pacyfikacja przyszła w chwili, gdy ukraińskie społeczeństwo, przerażone nonsensowną akcją i jej możliwymi skutkami, zaczęło przeciw niej występować, wzywać skrajne żywioły do opamiętania, więc zanosilo się na stopniowe uspokojenie. Kedryn przypomina, że metropolitę Szeptyckiego, który w owych fatalnych dniach pojechał do Warszawy, z nadzieją, że uzyska audiencje u Marszałka Piłsudskiego i prezydenta Mościckiego, mali ludzie nie dopuścili do nich i metropolita wrócił do Lwowa z pustymi rękami. To jeszcze bardziej zaogniło sytuację.

„Zamiast – pisze Kedryn ze zrozumiałą goryczą – wykorzystać taką cudowną okazję do odprężenia polsko-ukraińskich stosunków, zamiast wykorzystać olbrzymi autorytet, jakim metropolita rozporządzał w społeczeństwie ukraińskim dla dobra całej sprawy, nie dopuszczono Szeptyckiego ani do Piłsudskiego, ani do Mościckiego”. Kedryn określił takie postępowanie jako „polityczny analfabetyzm” – i znowu, niestety, ma rację.

Polska cenzura nie dopuściła do ogłoszenia listu pasterskiego, podpisanego przez trzech (a więc wszystkich) ukraińskich biskupów katolickich. Był to akt już nie politycznego analfabetyzmu, lecz zwykłej, karygodnej głupoty. I tak przecież wszyscy Ukraińcy ten list przeczytali. Biskupi napiętnowali pacyfikację, ale także potępili metody terrorystyczne, stosowane przez nacjonalistyczne podziemie. Cóż o tym wszystkim napisać teraz, po upływie prawie połowy stulecia?

Trudno było wymagać od polskiego rządu i administracji, żeby przyglądali się fali masowych podpaleń z założonymi rękami. W każdym, nawet najbardziej liberalnym państwie akcja tego rodzaju musiała wywołać kontrakcję. Ale nie taką. „To nie była pacyfikacja – pisze Kedryn – lecz rewolucjonizacja, gdyż antypolskie nastroje wzrosły w jej wyniku w niebywałym dotąd stopniu”.

To, co się działo, było oczywistym bezprawiem, zastosowano bowiem zasadę odpowiedzialności zbiorowej: pacyfikatorzy nie pytali, kto winien, kto nie, za sprawców podpaleń uważano mieszkańców całej wsi, podejrzanej o akty sabotażowe. Poddawanie chłopów nieludzkiemu biciu (także kobiet) było na porządku dziennym; nie oszczędzano nawet księży i starców. Felicjan Sławoj-Składkowski, gdy już na emigracji twierdził, że nie było wypadków śmierci, kłamał. Raz jeszcze – były. Stosunkowo nieliczne, ale były.

Kedryn nie pochwała akcji sabotażowej, która pacyfikację poprzedziła. Przeciwnie, uważa ją za polityczny nonsens. Ale pacyfikacja była nonsensem jeszcze większym, a jej skutki fatalne. Miałem okazję przekonać się o tym we wrześniu 1939. Było to dwunastego, albo trzynastego dnia kampanii. Szwadron zatrzymał się na krótki postój w dużej, ludnej wsi niedaleko Lwowa. Wpadłem do sklepiku, licząc, że znajdę coś do kupienia. Nie było niczego, prócz papierosów i cukierków. Pytam właściciela, czy może słuchał radia i zna najświeższe wiadomości. Trzydziestoletni bodaj mężczyzna popatrzył wilkiem i powiada, że radio warszawskie przestało nadawać już od paru dni. *Czomuż wy Warszawy nie boronyły?* – pyta z ironiczną satysfakcją w głosie.

Cofnąłem się nieco ku drzwiom, bo wydało mi się, że zanadto uważnie przygląda się memu karabinowi. „A co? – odpowiadam pytaniem na pytanie. – *A wy co, na Niemciw czekajete? Czekajte, szcze zapłaczete hirkimi sljozamy, jak Nimci tutki pryjdu!*” [A wy co, na Niemców czekacie. Czekajcie, jeszcze zapłaczećte gorzkimi łzami, jak Niemcy tutaj przyjdą!] Zainteresował się, pyta, skąd znam ukraiński. Powiadam, że część dzieciństwa spędziłem na Kubańszczyźnie. Przestał patrzeć ponuro, rozgadaliśmy się. „A nie dziw się – powiada – że my was, Lachów, nie kochamy... Patrz!” Zdjął marynarkę, podciągnął koszulę na plecach, pokrytych sinymi i różowymi bliznami. „To pamiątka po waszej pacyfikacji. Dziewięć lat temu, także we wrześniu. Parobczakiem byłem wtedy, jeszcze dwudziestu nie miałem”.

„Pacyfikatorzy” nie ograniczali się do bicia. Niszczono po wsiach, gdzie były, biblioteki „Proswity” oraz lokale powiatowych i wiejskich kooperatyw, wraz z całym majątkiem, idącym w miliony. W Tarnopolu, Rohatynie i Drohobyczu zamknięto ukraińskie gimnazja, pod pretekstem, że u kilku uczniów policja znalazła nielegalne ulotki. Za te wyczyny przyszło Polakom po latach ciężko zapłacić. A tak już zwykle w takich wypadkach bywa, że najczęściej płacą najmniej winni – lub w ogóle niewinni. Ponurą rolę odegrała w tym okresie (i w późniejszych latach) prasa pewnego pokroju, z zupełnie nieprzytomnie ukraiñożerczym krakowskim „Ilustrowanym Kurierem Codziennym” na czele. Ten starszy braciszek „Tajnego Detektywa” miał, widać, największe moralne prawa do obrony polskości! Ten zarzut nie dotyczy wszystkich polskich dzienników i czasopism. Były także i takie, które zachowały się przyzwoicie, a nieliczne usiłowały w warunkach stworzonych przez cenzurę pisać prawdę, choćby zredukowaną. Niekiedy dochodziło do sytuacji wręcz zabawnych.

W pierwszym numerze lubelskiej „Trybuny” (styczeń 1932) umieściłem artykuł *Serca za barykadą*.⁶⁶² Kosztowało mnie sporo wysiłku, żeby go przeforsować. Dla porządku: był to organ ZPMD,

⁶⁶² *Serca za barykadą* „Trybuna” R. I, nr 1, 1 III 1932, s. 13-15. (patrz wyżej, str. 61-66).

której to organizacja w zasadzie nie wypowiadała się przeciw Ukraincom. W komitecie redakcyjnym powstały wątpliwości i sprzeciwy, ten i ów uderzył w górny ton. „Posłanka Myłena Rudnyćka gotowa na najbliższym posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie powołać się na twój artykuł!”. „Wątpię odpowiedziałem – ale bardzo bym się cieszył, bo to byłby dowód, że nie jest tak źle z antyukraińską cenzurą, jeżeli mój artykuł się ukaze”. Istotnie, mieliśmy wtedy w Lublinie dość inteligentnego cenzora. Na niego właśnie trafiło. Wkrótce popsuło się radykalnie. Owego cenzora przeniesiono, a po nim rządziły się tępaki.

Naturalnie moja wiedza w dziedzinie wschodoznawczej dopiero się wykluwała i trzeba było dalszych kilku lat usilnych lektur i osobistych kontaktów, by stać się znawcą zagadnienia. Wielkie znaczenie miała stała współpraca z takimi czasopismami, jak „Biuletyn Polsko-Ukraiński”, „Myśl Polska”, a w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny „Problemy Europy Wschodniej”. Również zaglądałem często do klubu „Prometeusz” przy Alejach Jerozolimskich (róg Nowego Świata), gdzie odbywały się częste odczyty, a po nich ożywione dyskusje.

Poznałem wielu wybitnych Ukraińców: pisarzy, profesorów, działaczy. A więc znakomitego poetę, Jewhena Małaniuka, piękną Natalę Liwycką-Chołodną,⁶⁶³ prof. Oleksandra Łotockiego, Romana Smal-Stockiego, prof. Doroszenkę,⁶⁶⁴ najwybitniejszego szewczenkologa, Pawła Zajcewa, byłego posła Wasyńczuka,⁶⁶⁵ zdolnego dziennikarza, Andrija Kryżaniwskiego i wielu innych. Toteż, czytając wspomnienia Kedryna, coraz to obracałem się w gronie znajomych. Prawie nikt z nich nie żyje. Kedryn ma dar dawania czytelnikom oszczędnej, a zarazem celnej charakterystyki opisywanych

⁶⁶³ Natalia Liwycka-Chołodna (1902-2005), poetka i tłumaczka ukraińska, córka prezydenta URL, Andrija Liwyckiego.

⁶⁶⁴ Dmytro Doroszenko (1882-1951), polityk i historyk ukraiński, m.in. wykładowca UW.

⁶⁶⁵ Prawdopodobnie chodzi o Pawła Wasyńczuka (1893-1945), ukraińskiego polityka, posła na Sejm RP, związanego z kręgami prometejskimi i Ukraińskim Instytutem Naukowym w Warszawie (jego brat Antin Wasyńczuk [1885-1935], polityk ukraiński i poseł na Sejm RP, nie miał tak bliskich kontaktów z ruchem prometejskim.

ludzi. Musi chyba mieć jakieś notatki z tamtych czasów, bo trudno uwierzyć, żeby potrafił zachować w pamięci tak wielką liczbę nazwisk, faktów, dat.

Poczynając od roku 1936, zacząłem przekładać poetów ukraińskich, współczesnych i dawniejszych. Gdy po dwóch latach zebrała się spora garść tych przekładów, postanowiłem je uporządkować i wydać (w dwóch obszernych tomach). Idę z odpowiednią propozycją do księgarni [Ferdynanda – przyp. wyd.] Hoesicka, czyli do popularnego w kołach literackich dyrektora wydawnictwa, Mariana Sztajnsberga.⁶⁶⁶ Piszę o tym na marginesie, ale sądzę, że anegdotka jest warta zanotowania. Było to gdzieś koło połowy lipca 1939 roku. Mówię o co chodzi, podkreślam z naciskiem, bo wiedziałem, że Sztajnsberg jest bardzo ostrożny i nie lubi ryzykować, iż taka antologia może liczyć na podwójny rynek księgarski – będą ją kupować także Ukraińcy. Marianek (tak go nazywali bliscy znajomi) pomedytował, pocmokał, wreszcie powiada: „Wie pan, panie Józefie, niech pan wróci z tą propozycją 1 września. Jeżeli do tego czasu wojny nie będzie, to jej nie będzie także do wiosny. Wtedy będzie można wydać”. No i stary księgarz trafił w sedno. Antologia nie ukazała się po dziś dzień.

Więc przyszła ta wojna, a mało kto zdawał sobie sprawę, co z sobą przyniesie. Potem w Norymberdze sądzono i skazano przywódców niemieckich za popełnione zbrodnie wojenne. Że w sądzącym trybunale zasiadali zbrodniarze sowieccy, Jankesom, Anglikom i Francuzom wcale nie przeszkadzało. Dlatego ten sąd był bezwstydną farsą. Przy okazji zapomniano o Hiroszynie, co w jeszcze większym stopniu nadało Norymberdze cechy tragicomicznego przedstawienia.

Otóż największa zbrodnia Hitlera – nie w skali moralnej, lecz polityczno-historycznej – polegała na tym, że będąc niby sztandarowym antykomunistą uczynił wszystko, by rosyjskiemu bolszewizmowi przedłożyć szeroką drogę do zwycięstwa i opanowania prawie całej Europy Środkowo-Wschodniej. Nasze narody miały

⁶⁶⁶ Marian Sztajnsberg (1887-1943), księgarz i wydawca warszawski.

w owych latach wielką szansę, by wynieść się ponad nienawistne wspomnienia przeszłości i pójść ręką w rękę we wspólnym interesie, ale z tego nie skorzystały. Nie ma co, piękna wróżba na przyszłość!

Kedryn omawia bardzo dokładnie rozwój wypadków politycznych po ustabilizowaniu się państwa polskiego: udział Ukraińców w wyborach do sejmu w roku 1922, działalność UNDO, próby normalizacji. Niezależnie od takich czy innych interpretacji czy komentarzy – które mogą przekonać albo nie – podaje mnóstwo faktów, o nieocenionej wadze dla przyszłego historyka.

O sprawach wewnętrznoukraińskich Kedryn pisze bez rękawiczek. Choćby chodziło o najbardziej bolesne, jest zdecydowanie krytyczny, niekiedy ostro bezwzględny. Sporo uwagi poświęcił rozłamowi w obozie nacjonalistycznym po śmierci pułkownika Konowalca, zamordowanego w Rotterdamie przez sowieckiego agenta.⁶⁶⁷ Nic dziwnego, że ta książka została przyjęta z mieszanymi uczuciami na ukraińskiej emigracji, a w niejednym czasopiśmie wywołała złą krew. Nie, nie jest zadaniem polskiego publicysty wtrącać się do tych spraw i uzurpować sobie ostateczną ocenę; to by zmusiło do zaangażowania się po jednej albo drugiej stronie. Ograniczę się do jednego tylko stwierdzenia. Sądzę, że Kedryn ma absolutną rację, gdy uwydatnia niesłychanie trudną sytuację tych działaczy i publicystów ukraińskich, którzy występowali legalnie, więc mieli na co dzień kontakty z polską administracją i cenzurą. Znajdowali się – streszczam Kedryna – między polskim młotem i kowadłem, ukraińskiego podziemia nacjonalistycznego. Tragiczny przykład śmierci dyrektora Iwana Babija: „Każdy dyrektor i nauczyciel – teraz cytuję dosłownie – stale znajdował się między Scyllą ukraińskiego nacjonalizmu, entuzjazmującego uczniów, którzy myśleli o rewolucji, a nie nauce, i Charybdą lojalności wobec państwowej władzy – żeby uratować szkołę przed zamknięciem. Ofiarą tej tragicznej sytuacji padł Iwan Babij, dyrektor Filii Akade-

⁶⁶⁷ Jewhen Konowalec (1891-1938), ukraiński polityk, przewodniczący OUN i komendant UWU, zginął w zamachu dokonanym przez Pawła Sudopłatowa 23 V 1938 r. w Rotterdamie.

mickiego Gimnazjum we Lwowie, który 25 lipca 1934 roku zginął z ręki bojowca OUN za to, że wydał policji ucznia rozrzucającego w jego obecności rewolucyjne ulotki. Zabójstwo to było jedną z największych pomyłek naszego rewolucyjnego podziemia w okresie między dwoma światowymi wojnami w Zachodniej Ukrainie” (str. 17).

Na osobne omówienie, a także dyskusję zasługiwała sprawa truskawieckiego zamachu na Tadeusza Hołówkę oraz późniejszego, ekspropriacyjnego napadu na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim, w konsekwencji czego stracono na mocy wyroku sądu doraźnego dwóch bojowców OUN, Wasyla Biłasa i Dmytro Danyłyszyna. Nie wszystko tam było jasne, a istniały poważne poszlaki, że rola polskiej policji w pierwszej sprawie była co najmniej dwuznaczna. Wątpię, czy kiedykolwiek – minęło tyle lat – zostanie wyjaśniona bez reszty. To, co na ten temat napisał Kedryn, już spotkało się z zastrzeżeniami w emigracyjnej prasie ukraińskiej.

Jak już wspomniałem, rachunek wystawiony Drugiej Rzeczypospolitej jest ogromny. Słuszny, ale nie zawsze. Niekiedy Kedryna ponosi temperament publicystyczny albo polityczna pasja. W pewnej chwili cytuje bez żadnego krytycznego komentarza (str. 278) następującą opinię: „Po przewrocie Piłsudskiego Polska stała się państwem na pół totalitarnym, a później prawie całkowicie totalitarnym”. To gruba przesada i solidnych argumentów przeciw temu twierdzeniu nie zabraknie. Pewnie należałoby przedtem uzgodnić, co uznamy za państwo totalitarne, bo i tu bywa mnóstwo bałamuctwa i pospolitych nieporozumień. Niemniej z przykrością trzeba stwierdzić, że ogromnej większości zarzutów, wysuniętych przez Kedryna, zbić niepodobna. Dlatego też napisałem uprzednio, że dla Polaka lektura tej książki jest nieprzyjemna. Tyle, że terminologia autora jest często niezbyt szczęśliwa. Tak na przykład Kedryn z reguły systematycznie używa określenia „Polska powersalska”. A niby dlaczego? Przecież jest to określenie nie tylko ubliżające polskiej dumie narodowej; jest ponadto zgoła nieprawdziwe.

Gdy doszło do traktatu wersalskiego, Druga Rzeczpospolita była

już faktem dokonanym od wielu miesięcy. Że daleko było do jej definitywnej konsolidacji, że granice nie były wytyczone, że losy działań wojennych jeszcze nieprzesądzone, to inna sprawa. Ale Wersal państwa polskiego nie stworzył. Przyjął jego istnienie do wiadomości. To nie polska pycha każe mi tak pisać, lecz stan faktyczny. Ledwie odzyskana niepodległość została utrwalona na krwawych polach bitew, a nie na zielonym suknie dyplomatycznych biur. Co by przyszło z wersalskich postanowień, gdyby w sierpniu 1920 padła Warszawa? Dosłownie nic! Więc po co upieranie się przy tym zwrocie – „powersalska” – równie obraźliwym, jak niezgodnym z rzeczywistością?!

Co do oceny dalszej przeszłości, Kedryn nie unikał błędu, wielce rozpowszechnionego w publicystyce, gdy ta wchodzi na teren historyczny (uwaga ta dotyczy nie tylko publicystów ukraińskich, także polskich, rosyjskich itd.): przykłada sprawdziany współczesne do dawno minionych wydarzeń. Stąd stale powtarzający się termin „polska okupacja” (także polska „zajmanszczyzna”, co brzmi jeszcze gorzej). Nie można stawiać znaku równania między średniowieczem i wiekiem XX! Ani wrzucać do tego samego worka wypraw Kazimierza Wielkiego i Jadwigi Andegawenki, sprzed przeszło sześciuset lat, oraz wojny polsko-ukraińskiej 1918-1919 roku. Inne czasy, inni ludzie, inne pojęcia. Zresztą warto przypomnieć, że murów Halicza przed wojskami Jadwigi broniła załoga... węgierska. A Wielkie Księstwo Litewskie, w którego skład wchodziła Ruś Kijowska (późniejsza Ukraina), połączyło się z Polską dobrowolną unią. Czy Władysława Jagiełłę, Kazimierza Jagiellończyka czy nawet Zygmunta Augusta należy nazywać okupantami?

Ośmieszylbym się, gdybym napisał, że Śląsk znalazł się, poczynając od XIV wieku, najpierw pod czeską, potem pod austriacką i wreszcie pruską okupacją. Co innego rozbiory, bo wtedy świadomość narodowa rozwinęła się w całej pełni (choć nie wszędzie – na przykład Niemcy stały się świadomym narodem dopiero w wyniku wojen napoleońskich). A teraz propozycja: ustawmy raz jeszcze figury na historycznej szachownicy i rozegrajmy na nowo polsko-

-ukraińską partię. Jakie byłyby inne możliwe warianty, przy całkowicie odmiennej kolejności wydarzeń?

Wyobraźmy sobie, że nie było listopadowego zrywu polskiej młodzieży we Lwowie,⁶⁶⁸ miasto zostało opanowane bezkrwawo przez oddziały ukraińskie, Warszawa się z tym pogodziła, dywizje Hallera zostały użyte gdzie indziej – i co dalej? Coraz to natrafiam na twierdzenie, że wówczas Armia Halicka połączyłaby się z oddziałami UNR i te wspólne siły odbudowałyby państwo ukraińskie w jego najdalszych etnicznych granicach. To bardzo optymistyczne twierdzenie! Polskie dywizje, które w maju 1920 roku weszły do Kijowa, były liczniejsze i lepiej uzbrojone od Armii Halickiej, a jednak zostały zmuszone do odwrotu. A wtedy Czerwona Armia nie zatrzymałaby się nad Bugiem czy Zbruczem, lecz poszłaby aż za San. Piękne perspektywy, prawda?

Tak, przykro przyznać, ale nie można inaczej. Polityka polskich rządów w stosunku do społeczeństwa ukraińskiego była mylna, niesłuszna, krzywdząca, a nawet ze stanowiska właściwie zrozumianej racji państwowej – wręcz nonsensowna. Zemściła się, bo zemścić się musiała.

I to nie są żadne biadania po niewczasie, nie żadne „mądry Polak po szkodzie”, bo spora gromadka ludzi wiedziała doskonale, na co się zanosi. Wystarczy, jeżeli powołam się na ankietę, jaką Włodzimierz Bączkowski rozpiisał na kilkanaście miesięcy przed wojną: *Czy możliwa jest nowa Chmielniczyzna?* Większość biorących udział w ankiecie odpowiedziała twierdząco, i ja między nimi. Tak bardzo pomyliliśmy się?

Co do fatalnej polityki nie ma więc sporu. Ale co jednak było lepsze? Znaleźć się pod polską władzą na te dwadzieścia lat, czy podzielić losy Kijowszczyzny, Zadnieprza, Wschodniego Wołynia? W tym drugim wypadku Ukraińcy Haliccy trafiliby spod polskiego deszczu pod sowiecką rynną. Była jednak pewna różnica między Berezą Kartuską a Kołymą, między więzieniem w Rawiczu,

⁶⁶⁸ W odpowiedzi na zajęcie części miasta przez wojska ukraińskie 1 XI 1918 r. polscy mieszkańcy Lwowa, z dużą przewagą młodzieży wystąpili zbrojnie przeciwko wojskom ukraińskim. Obrona Lwowa trwała od 1X do 22 XI 1918 r.

a moskiewską czerezwyczajką. To nie żadne usprawiedliwienie dla polskiej strony, to tylko spokojne, rzeczowe rozróżnienie.

Piszę o tym wszystkim z najwyższą przykrością. Pamiętam, w styczniu, może w lutym w dodatku „Literacko-Artystycznym” do tygodnika „Wołyń”, wychodzącym w Łucku, zamieściłem kilka przekładów z poetów ukraińskich, między nimi wiersz Jurija Kosacza. Awantura! Nie wiedziałem, że Kosacz zdezerterował z polskiego wojska i dostał się nielegalnie do Paryża. Wojewoda Józewski mi powiada: „Czy pan wie, jakie ja miałem przykrości? Ta sprawa oparła się aż o Warszawę! Co pan wyprawia?! Wojsko mnie oskarża, że przy moim poparciu pan drukuje przekłady wierszy dezertera!”.

Skoro już się o tym zgadało, może także kilka słów na temat Józewskiego i jego wołyńskiej polityki, prowadzonej nieprzerwanie w ciągu dziesięciu lat, aż do wiosny 1938 roku, gdy został przeniesiony do Łodzi, głównie pod nieustannym naciskiem czynników wojskowych. Najbardziej zaszkodziła Józewskiemu skandaliczna sprawa wsi Hrynki, położonej na terenie gminy Dederkały krzemienieckiego powiatu, a wywołana przez miejscowego dowódcę KOP i katolickiego proboszcza. Nie będę tu jej omawiać szczegółowo, przypomnę tylko, że najpierw mieszkańcy wsi przeszli gromadnie na katolicyzm, a po krótkim czasie, przy powszechnym płaczu i kajaniu się, wrócili do prawosławia. Pierwsze wydarzenie prasa polska tryumfalnie omówiła i rozdmuchała – o drugim pojawiły się lakoniczne, z lekka zawstyżone wzmianki.

Józewski ustosunkował się do tej „zbożnej akcji” negatywnie, i to do reszty popsuło mu stosunki ze sferami wojskowymi, które chciały prowadzić swoją własną „politykę narodowościową”. Kedryn pisze o nim z niechęcią. Twierdzi, że „szedł na drobne ustępstwa” i za ich cenę demoralizował wołyńskich Ukraińców. Dla mnie wojewoda był w owym okresie postacią dramatyczną, bo w pewnym sensie stał na stanowisku anachronicznym. Stąd wynikła sytuacja skrajnie paradoksalna. Podczas gdy nacjonałiści ukraińscy zarzucali Józewskiemu, że jest zakamuflowanym ukrainożercą, nacjonałiści polscy uważali go za zdrajcę i sprzedawczyka, przygotowującego odda-

nie Wołynia (i Lwowa naturalnie) przyszłej Ukrainie. Powiedzenie Kedryna o niewygodnym położeniu „między młotem i kowadłem” da się w pełni zastosować także do Józewskiego.

Ale sytuacja Drugiej Rzeczypospolitej była – obiektywni Ukraińcy powinni to uznać – również niesłychanie niewygodna. Więcej – tragicznie i niebezpiecznie trudna. Udzielenie Ukraińcom autonomii byłoby niewątpliwie aktem sprawiedliwości. To oświadczenie traktuję jako aksjomat. I niewątpliwie Ziemia Czerwieńska⁶⁶⁹ stałaby się wraz z Wołyniem prawdziwym Piemontem ukraińskim, co przekreśliłoby jakakolwiek możliwość złagodzenia wrogich stosunków z Moskwą.

Co prawda, w dniu 17 września 1939 roku okazało się dowodnie, że to złagodzenie było fikcją, obwarowaną pozorami. Więc co pozostawało? Tylko zagrać *va banque* i prowadzić jawnie politykę „prometeuszowską”, a więc w stu procentach antysowiecką, co wymagałoby postawienia całej Rzeczypospolitej na stopę wojenną na długo przed rokiem 1939. Czy pozwoliłaby na to uboga polska gospodarka? Na pewno nie, a ponadto społeczeństwo nie byłoby do tak olbrzymiego wysiłku psychicznie zdolne.

Swego rodzaju rewelacją stały się dla mnie dokumenty, o których istnieniu nie wiedziałem. Ścisłej – słyszałem to i owo, ale bardzo mgliście i odpowiednich tekstów dotychczas nie czytałem. Książkę Kedryna (poza bibliografią i wykazem nazwisk) uzupełniają cztery dodatki (ss. 639-680). Chodzi mi, po pierwsze, o informacje o kontaktach i umowach między UPA (Ukraińską Armią Powstańczą) z jednej strony, AK i następnie z WIN, z drugiej strony, w la-

⁶⁶⁹ Świadomie i celowo unikam obydwu rozpowszechnionych nazw: Zachodnia Ukraina i Wschodnia Małopolska; bo ta pierwsza drażni Polaków, druga drażni Ukraińców. Zresztą żadna z nich nie jest historyczna; powstały dopiero w XX wieku. Dbalność o ich przestrzeganie doprowadza niekiedy do wyników zgoła humorystycznych. Uwielbiam ruskie pierogi i okazuje się, że nie istnieją – zjawily się w polskich restauracjach pierogi, najpierw małoruskie, następnie, żeby było piękniej i patriotyczniej: – małopolskie. Proponowałem już kiedyś, żeby zdobyć się na jeszcze większą konsekwencję! Mianowicie, odpowiednio przerobić znaną groźbę: „Zaczekaj, popamiętasz ruski miesiąc!” na „Popamiętasz małopolski miesiąc!”. Ładnie? [przypp. J. Łobodowskiego].

tach 1943-1947. Okazuje się, że istnieją oficjalne protokoły z wzajemnych spotkań.

Ale cóż – już było za późno w jednym i drugim wypadku. Jak prawie zawsze w przeszłości. Unia Hadziacka spóźniła się o jakieś dziesięć lat. A że fatalny Perejasław był wcześniej, nie udało się uniknąć Beresteczka, Batocha i Andruszowa. Gdyby doszło do porozumienia polsko-ukraińskiego przed rokiem 1939, a nawet na samym początku drugiej wojny światowej, już po klęsce wrześniowej, może dałoby się uniknąć wzajemnej rzezi w latach następnych. Właściwie jednak w tych rozważaniach na temat stosunków polsko-ukraińskich na Ziemi Czerwieńskiej należałoby sięgnąć nieco bardziej w głąb historii, bo aż do Wiosny Ludów. Gdyby Polacy ustosunkowali się we właściwy sposób do ukraińskiego odrodzenia narodowego, poczynając od roku 1848, inaczej potoczyłyby się nasze wspólne dzieje.

Sporo uwagi Kedryn poświęcił emigracyjnym sprawom ukraińskim w Zachodniej Europie i w Ameryce (w ogóle na emigracji). Tę część książki pomijam. Czytelnik polski słabo orientuje się w tych, jakże skomplikowanych sprawach, więc pobieżne omówienie nie wystarczy; wolę je odłożyć do innej okazji, jeśli się zdarzy.

Podkreśliłem ostro oskarżycielski ton, jakiego Kedryn używa, ilekroć pisze o Polsce. Ale jednocześnie stać go na energiczne uwydatnienie ogromnych różnic między położeniem Ukraińców w Rzeczypospolitej, a obecnie, pod sowiecką władzą. Mimo wszystkich cieni, niesprawiedliwości i aktów przemocy, porównanie wypada na polską korzyść. „Bądźmy sprawiedliwi – wzywa Kedryn (str. 369) – w ocenie przeszłości i nie upraszczajmy wszystkich zjawisk, sprowadzając je do wspólnego mianownika”.

A jakie wnioski na przyszłość? Cytuję fragment, który bez reszty określa stanowisko Kedryna: „Autor tych słów, który jak najbardziej krytycznie oceniał i ocenia narodowościową politykę Polski w okresie między dwoma wojnami... i który równie zdecydowanie piętnował odpowiedników polskich ukraiñożerców po ukraińskiej stronie, stale powtarzał i powtarza, że porozumienie i współpraca między tymi dwoma narodami jest *condicio sine qua non* ich trwa-

tego, państwowego istnienia. Polska i Ukraina zdołają tylko wtedy utrzymać się, jako niezależne, suwerenne państwa, jeśli urodzą się polski i ukraiński Charles de Gaulle i Konrad Adenauer, którzy zrozumieli, że nawet od wieków trwająca nienawiść między dwoma narodami powinna ustąpić miejsca współpracy i przyjaźni, skoro tego wymaga historyczna konieczność i samo ich istnienie. To dlatego ukraińsko-polskie zagadnienie jest aktualne także obecnie. To dlatego ukraińsko-polskim stosunkom udzielono w tej książce najwięcej miejsca. Nie została ona napisana w celu dydaktycznym, ale jeżeli choćby trochę przyczyni się do przełamania w ukraińskiej i polskiej psychice resentymentów wspólnej, złej przeszłości, ta praca nie będzie nadaremna”.

Na tym można by to omówienie zakończyć, ale pragnę poświęcić jeszcze kilka zdań samemu autorowi. W „Posłowie” zamykającym wspomnienia Kedryn napisał: „Zdaję sobie sprawę, że różne myśli, wypowiedziane w tej książce, wielu osobom nie przypadną do smaku. Ale pisałem te wspomnienia i komentarze nie po to, żeby się komuś *spodobały*. W «Łysie Mykycie»⁶⁷⁰ ukazała się karykatura: nasi ludzie czekają na ukazanie się tej książki z pałkami w rękach. Dziękuję za dowcipną reklamę! Niezależnie od krytyk, autor, po postawieniu ostatniej kropki, odczuł wielką ulgę”.

Zgodnie z zacytowaną na wstępie opinią (tu się powtarzam) jednego z ukraińskich recenzentów, dokładne omówienie wspomnień Kedryna wymagałoby całej broszury czy nawet drugiej książki. Gdybym miał dać omówienie wyczerpujące, musiałbym wypełnić chyba cały numer „Kultury”, co, oczywiście, nie jest możliwe. Pozwoliłem sobie na dość liczne dygresje, nawet natury osobistej, sądząc, że ożywią relację i lepiej podmalują tło. Nie obeszło się bez uwag polemicznych, które znowu – że użyję zwrotu samego Kedryna – nie każdemu „przypadną do smaku”. To zrozumiałe: przecież Kedryn na co drugiej, trzeciej stronie wdaje się w polemikę, często bezlitosną. Przeważnie z własnymi rodakami, ale także i z polską

⁶⁷⁰ „Łys Mykyta”, satyryczno-humorystyczne czasopismo ukraińskie, od wielu lat ukazujące się na emigracji [przyp. J. Łobodowskiego].

stroną. To dodatkowa zaleta tej bardzo ważnej książki. Powiedzmy – raczej księgi. Nie tylko z uwagi na jej niecodzienne rozmiary!

Mam też nadzieję, że Iwan Rudnyćkyj-Kedryn nie włączy niniejszego artykułu do kolekcji tych publicystycznych pałek, które, według rysownika-humorysty, z taką niecierpliwością oczekiwały na ukazanie się wspomnień.

[„Kultura” 1977 nr 5]

FAŁSZYWA DIAGNOZA

W czasopiśmie „Kontinent”, wydawanym i redagowanym przez nowych rosyjskich emigrantów (Maksimow,⁶⁷¹ Niekrasow,⁶⁷² Natalia Gorbaniewska⁶⁷³ itd.), ukazał się (nr 11/1977) obszerny artykuł Siergieja Rafalskiego⁶⁷⁴ *Choroba stulecia*. Redakcja poprzedziła go następującymi uwagami: „Poniższy artykuł znanego publicysty rosyjskiej emigracji poświęcony jest najbardziej aktualnemu zagadnieniu współczesnych czasów, mianowicie zagadnieniu narodowościowemu. Redakcja nie podziela niektórych jego opinii, zwłaszcza dotyczących sprawy żydowskiej i polskiej, niemniej, trzymając się demokratycznych zasad obowiązujących w naszym czasopiśmie, ofiarowujemy jego łamy wyłożeniu punktu widzenia Rafalskiego, w nadziei, że stanie się początkiem zapładniającej, konstruktywnej dyskusji”.

Właściwie sprawa żydowska i polska poruszone zostały mimochodem, na marginesie zagadnienia ukraińskiego. Autor ostro wystąpił przeciw wolnościowym dążeniom narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego. Jedność imperium powinna być

⁶⁷¹ Władimir Maksimow (1930-1995), publicysta i pisarz rosyjski, pierwotnie w ZSRR, a następnie na emigracji, był redaktorem naczelnym kwartalnika „Kontinent”.

⁶⁷² Wiktor Niekrasow (1911-1987), pisarz, prozaik rosyjski, dysydent, od 1974 r. na emigracji we Francji, zastępca redaktora naczelnego kwartalnika „Kontinent”.

⁶⁷³ Natalia Gorbaniewska (1936-2013), rosyjska poetka i dziennikarka, dysywentka, od 1975 r. na emigracji, członek redakcji kwartalnika „Kontinent”.

⁶⁷⁴ Siergiej Rafalskij (1896-1981), rosyjski poeta, przaik i publicysta, po rewolucji bolszewickiej pozostał na emigracji.

utrzymana od granic Polski aż po Pacyfik. Dążenia nacjonalistyczne są szkodliwe, wszelki nacjonalizm zasługuje na potępienie, stąd tytuł artykułu – *Choroba stulecia*. Zaraz przekonamy się, na jak kruchych podstawach opiera się diagnoza niezbyt fortunnego kandydata na lekarza.

„Trudno – pisze – stwierdzić z całą odpowiedzialnością, co wy rządziło najwięcej szkód i najobficiej okrwawiło nasz tragiczny XX wiek: komunizm czy nacjonalizm? Beznamiętna historia opowie potomstwu o licznych barbarzyńskich paskudztwach, popełnionych przez tego i tamtego, ale szale utrzymają się w równowadze...”

Najpierw kilka słów o autorze, gdyż sam Rafalskij uważał za wskazane przedstawić się na wstępie. „Autor – powiada sobie nie bez pewnej emfazy – musi uroczyście oświadczyć, że w jego żyłach nie ma ani jednej kropli wielkoruskiej (tzn. „imperialistycznej”) krwi”. Następnie dowiadujemy się, że jego przodkami byli Tatarzy, którzy pod koniec XV wieku przenieśli się ze Złotej Ordy na Litwę. „Następnie – to dalsza informacja – ród biednieje, ukrainizuje się, jego członkowie stają się prawosławnymi kapłanami. Matka niżej podpisanego wnosi do tej, tatarsko-ukraińskiej mieszanki również krew polsko-litewską...”. Dalszy wniosek: Rafalskij nie ma nic wspólnego z rosyjskością, więc go nie wolno posądzać o rosyjski nacjonalizm.

Pochodzenie pochodzeniem, a na każdym kroku autor zdradza się z tym, że jest rosyjskim imperialistą i wszystkie zagadnienia rozważa i osądza z czysto imperialnego punktu widzenia. Udowodnić nie trudno. Rafalskij jest Wołyniakiem, synem prawosławnego popa; urodzony w 1896, ukończył w 1914 roku rosyjskie gimnazjum w Ostrogu, następnie studiował w Petersburgu, na wydziale prawnym. Przez parę lat mieszkał na Wołyniu, w 1922 przeniósł się do Pragi Czeskiej, gdzie skończył studia uniwersyteckie. Działał w szeregach rosyjskich partii politycznych, między innymi był współpracownikiem słynnego Sawinkowa.⁶⁷⁵ Był i pozostał publicystą i pisarzem rosyjskim, drukuje od wielu lat w politycznych

⁶⁷⁵ Borys Sawinkow (1879-1925), rosyjski polityk, pisarz i publicysta.

i literackich czasopismach rosyjskiej emigracji. A tymczasem... Rafalskij w bardzo dziwny sposób ujmuje tę sprawę. „Za nim zjawił się – pisze – tego typu nacjonalizm (mowa o ukraińskim separatyzmie – JŁ), niżej podpisany uważał siebie za rosyjskiego człowieka. Obecnie woli, bynajmniej nie będąc zwolennikiem niepodległości, uważać siebie za Ukraińca...”.

Klucz do tego, jako się rzekło, co najmniej dziwnego, oświadczenia tkwi w starym twierdzeniu, że Ukraińcy to po prostu jedno z trzech plemion, składających się na jeden, ogólny, wsieobsczyj) naród (Wielkorusi, Małorusi, Białorusi). Chyba najbliższej będziemy prawdy, jeżeli określimy Rafalskiego jako zrusyfikowanego Wołyniaka. Pochodzenie z rodziny od iluś tam pokoleń tkwiącej w stanie kapłańskim także miało swoje znaczenie. Moja matka dobrze знаła w swojej wczesnej młodości, spędzonej w Chełmie Lubelskim, osławionego później Krylenkę,⁶⁷⁶ wtedy studenta, podobnie jak Rafalskij, popowicza. Analogiczny wypadek, jeśli chodzi o świadomość narodową, bo oczywiście nie polityczną. Rafalskij jest przecież przekonany antykomunistą.

Rafalskij powraca do zgrzybiałej już a nonsensownej tezy, że separatyzm ukraiński urodził się na Ziemi Czerwieńskiej (Halickiej) dzięki „pomocy dwóch akuserek – polskiej i austriackiej”. Gdyby nawet tak było, to jednak akuszerstwa nie należy mylić z macierzyństwem. Odrodzenie świadomości narodowej w Galicji zaczęło się po roku 1848; na Wielkiej Ukrainie – znacznie wcześniej. Ostatecznie, Taras Szewczenko i Pantelejmon Kulisz nie byli tymi okropnymi „Hałyczaninami” – prawda? Czy Rafalskij, Wołyniak jak sam informuje, słyszał o Wołyniance z krwi i kości, pisującej pod pseudonimem Łesia Ukrainka? Grupa kijowskich neoklasyków, z Mykołą Zerowym na czele (hasło: *ad fontes!*), Chwyłowyj ze swoim „Dalej od Moskwy!” – gdzie mieli swoje kołyski? Przepraszam, ale przy ich porodzie nie było ani polskich, ani austriackich akuserek. Siergiej Rafalskij powinien by o tym wiedzieć.

⁶⁷⁶ Nikołaj Krylenko (1885-1938), bolszewik, wieloletni prokurator generalny oraz ludowy komisarz sprawiedliwości w ZSRR.

Autor odróżnia dwie grupy, według niego, antagonistycznie do siebie ustosunkowane: zwolenników niepodległości, których określa nazwą „mazepińców”, oraz obojętnych narodowo, zwanych pogardliwie „chochłami”. Tu Rafalskij poszukał sobie sprzymierzeńca w osobie księdza Władysława Bukowińskiego,⁶⁷⁷ którego *Wspomnienia dla przyjaciół* ukazały się w „Kulturze” (nr 11/350, 1976). „Ponieważ to nie Rosjanin i kapłan katolicki”, Rafalskij uznał jego opinie za „jawnie obiektywne”. Nie zamierzam kwestionować dobrej woli księdza Bukowińskiego, ale jest dla mnie rzeczą oczywistą, że często swoje wrażenia brał za pewniki, więc raczej nie należało powoływać się na niego jako na ostateczny autorytet, co Rafalskij uczynił z nieco podejrzaną skwapliwością.

Że na Ukrainie prowadzona jest intensywna rusyfikacja? Ależ tak, o tym doskonale wiadomo, ale opór jest nie mniej energiczny, na co dowodów nie brakuje. Walka toczy się bez przerwy. Za carskich czasów nie wolno było (po tzw. Emskim dekreście Aleksandra II – rok 1876) wydawać książek i w ogóle jakichkolwiek druków w języku ukraińskim, określanym oficjalnie jako gwara, narzecz, a już w trzydzieści lat później, w bardziej sprzyjających okolicznościach, nastąpiła prawdziwa eksplozja literacka i publicystyczna. Z tego wniosek, że żadne dekryty me mogą być, gdy chodzi o walczące narody, uznane za równoznaczne ze świadectwem ich zgonu.

Nie twierdzą, że Rafalskij w niczym nie ma racji, ale gdy mu się to zdarza, jest tak, jak gdyby zanurzył przysłowiową łyżkę miodu w beczce dziegciu. Niektóre jego twierdzenia i oceny są wręcz zdumiewające. Tak na przykład pisze z widocznym zdziwieniem o Mikołaju I, że „nie wiadomo, po co zdławił węgierskie powstanie”. No, proszę – również nie wiadomo, dlaczego nosił się z zamiarem zduszenia rewolucji lipcowej we Francji i rewolucji belgijskiej, a tylko polski zryw listopadowy mu w tym przeszkodził. Także nie wiadomo, po co powstało Święte Przymierze i jaką rolę odegrało. Może jednak zacniemy traktować historię z nieco większą powagą!

⁶⁷⁷ Władysław Bukowiński (1904-1974), ksiądz katolicki, po 1939 r. represjonowany, po zwolenieniu z łagrów w 1955 r. postanowił, że zostanie z wiernymi w ZSRR.

Jeszcze bardziej zaskakuje parę zdań, które jako swego rodzaju *curiosum*, godzi się przytoczyć w całości: „Wracając do Hałyczan – czytamy – wypada oświadczyć, że wprawdzie mają prawo czynić ze swoim krajem i jego ludem, co im się żywnie podoba, ale ogromny błąd *ojca narodów* polegał na ich przyłączeniu do Ukrainy Sowieckiej... W naszym stuleciu krew i pochodzenie mają znaczenie tylko dla 'narodów wybranych', które pozostawiły po sobie na długo krwawy ślad. A wszystkie pozostałe łączą, kształtują, 'nadają im oblicze' historia i kultura. Obydwie u sowieckich 'chochłów' i Hałyczan są odmienne i im szybciej halicki naród uzyska możliwość samostanowienia – tym lepiej dla narodu ukraińskiego. A ostatecznie: dlaczego mają mieć prawo do samostanowienia mazepińcy, a mają go być pozbawieni c h o c h ł y ? !”.

Doprawdy, tu już wkraczamy na teren czystego surrealizmu. Rafalskij używa jednocześnie kilka nazw: „Mazepińcy”, „chochły”, „Hałyczanie”, „Ukraińcy”..., może jeszcze Wołyniacy, Poleszucy, Bukowińcy, Huculi – i kto jeszcze? Sam autor tej rewelacyjnej terminologii nie bardzo może się zdecydować. Kiedyś był Rosjaninem, teraz deklaruje się jako Ukrainiec, a jeszcze gdzie indziej mówi o sobie, że jest „patriotą”, ale nie „nacjonalistą”. Jakim patriotą? – rosyjskim, ukraińskim, czy po prostu „chochłackim”? Logicznie biorąc, jest patriotą imperialnym, skoro stawia sobie za główny cel utrzymanie całości imperium, „od Karpat do Pacyfiku”. Jak widzimy, mętlik w tych wywodach zaiste niesamowity!

Kulturę rosyjską Rafalskij uważa za „ponadnarodową”, zarzucając nacjonalistom (separatystom), że zapominają o tych, co ją zaakceptowali: o „Wielkorusie Tołstoju, Białorusie Dostojewskim, Ukraińcu (Małorusie) Gogolu...”. Można by tę listę z powodzeniem uzupełnić co najmniej tuzinem nazwisk. Ukraińskiego pochodzenia był Korolenko, Anna Achmatowa (Gorienko);⁶⁷⁸ kozackiego – Maksymilian Wołoszyn; Żukowski⁶⁷⁹ urodził się

⁶⁷⁸ Anna Achmatowa (1889-1966), poetka rosyjska, represjonowana żyła w ZSRR.

⁶⁷⁹ Wasilij Żukowski (1783-1852), rosyjski poeta i tłumacz.

z matki Turczynki, Fiet-Szenszyn⁶⁸⁰ – z Niemki, Niekrasow⁶⁸¹ – z Polki; czystej krwi Polakiem był Władysław Chodasiewicz,⁶⁸² wreszcie nie brakowało wybitnych Rosjan żydowskiego pochodzenia. I co z tego? A czy nie było i nie ma identycznych zjawisk w innych krajach i narodach?

Nie znam ani jednej kultury narodowej większego formatu, która nie przyciągałaby cudzoziemców. Choćby kultura polska... Oto garść nazwisk, Wincenty Pol (jeszcze jego ojciec pisał się Pohl), Linde, Aleksander Brueckner, Ferdynand Goetel, nie mówiąc już o Litwinach (w historycznym znaczeniu tego słowa) i Ukraińcach. Tak działo się na ziemiach dawnej, wielonarodowej Rzeczypospolitej, więc nie inaczej musiało się dziać w jeszcze bardziej międzynarodowym imperium rosyjskim. To nie powód, by upierać się przy imperialistycznej, rusefikatorskiej teorii o jednym, ponadnarodowym języku i ponadnarodowej kulturze.

Przy okazji tych historyczno-politycznych rozważań dostało się także Polakom. Posłuchajmy: „Najdziwniejsze w tym sporze o nieistniejącym (jako powszechna świadomość) ukraińskim narodzie to – że tak powiem – namiętna troska o jego losy, o jego samostanowienie, wykazywana przez najbliższych sąsiadów z Zachodu... Zainteresowanie Polaków Ukrainą jest zrozumiałe i uzasadnione ich bohaterską, romantyczną, lecz bezwarunkowo imperialistyczną przesłomością i jej wciąż nieuświadomymi szowinistycznymi relikdami...”

Początek bardzo ładny, a nieco dalej Rafalskij uderzył w poetycki, liryczny ton:

„Polski naród jest wciąż jeszcze dynamiczny, utalentowany, zadufany we własne siły, a jego ułani stosunkowo niedawno wybierali się poić swoje konie, zmęczone pogonią za *czerwonymi*, w Dnieprze (a może nawet w Czarnym Morzu). A ponadto – olbrzymia

⁶⁸⁰ Afanasij (Fiet) Senszyn (1820-1892), rosyjski poeta pochodzenia niemieckiego.

⁶⁸¹ Nikołaj Niekrasow (1821-1878), rosyjski dziennikarz, wydawca i pisarz, jego matką była Polka, Helena Zakrzewska.

⁶⁸² Władysław Chodasiewicz (1886-1939), poeta i krytyk literacki, początkowo współpracował z bolszewikami, od 1922 r. na emigracji.

Eurazja rzeczywiście wisi nad Polską i ponuro jej zagraża. I jeżeli jednym śni się wicher stepowy, towarzyszący miarowemu galopowi koni pełnej krwi i świszczący w husarskich skrzydłach, to inni słyszą tętent kopyt pędzących niepowstrzymanie ku zachodowi kozackich watah... Wszystko to można zrozumieć, a rozumiawszy, wybaczyć. A jednak i tym niemniej, natarczywe aż nudne, przechodzące w nawiedzoną obsesję dążenie do utworzenia na zachodnich granicach Związku Sowieckiego nowej *Malej Ententy*, z obowiązkowym udziałem niepodległej Ukrainy – chwilami, drażni, chwilami śmieszy...”

Wobec tego nie wiadomo, czy w naszych koncepcjach wschodnich jesteśmy bardziej drażniący czy śmieszni. Gdybyż tylko to! „Jeżeli marszałek Piłsudski – ironizuje Rafalskij – i pewne koła współczesnej polskiej emigracji swego czasu (podczas ich *Drang nach Osten*) tak ofiarnie rozmyślali o wolności Ukrainy i nawet zawarli sojusz z już rozbitym na głowę Petlurą – to co im przeszkodziło, już po pokoju Ryskim, przekazać „sojuszownikowi” zdobyte przez nich ukraińskie i białoruskie ziemie, jeżeli już nie dla pełnej samodzielności, to chociażby dla szerokiej autonomii?”. Uwaga może i słuszna, ale dlaczego owego pokonanego sojusznika Rafalskij wziął w równie ironiczny cudzysłów? Z nadmiaru imperialno-„chochłackiego” patriotyzmu?

„Zamiast tego – kontynuuje autor – zwalili się (Polacy – JŁ) na *Kresy Wschodnie*, z takim naciskiem policyjnym i z niemal komputerowo skalkulowaną polonizacją, że w zestawieniu z nimi dawni rusyfikatory (w Polsce) wydają się ubogimi chałupnikami”.

Wielce pouczające! Gdyby Rafalskij ograniczył się do krytyki postępowania polskiej administracji na owych „Kresach Wschodnich”, miałyby rację. Utracił ją w sposób kompromitujący, przeciwstawiając polskie metody dawnym rusyfikatorom. Jedno z dwojga: albo nie zna historii, albo ją interpretuje według kapryśnego widzimisię „imperialnego patrioty”.

Jak było, tak było (niedobrze), ale w tej słusznie krytykowanej Drugiej Rzeczypospolitej dzieci za rozmowy w języku ukraińskim

wilczych biletów nie otrzymywały. I czy można sobie wyobrazić rosyjskiego gubernatora, który by gdzieś na wsi lubelskiej czy kaliskiej rozmawiał z chłopami po polsku? A na przykład wojewoda wołyński, Henryk Józewski, demonstracyjnie mówił po ukraińsku. To nie żadne wybielanie polskiej polityki w stosunku do Ukraińców, ale *est modus in rebus* i muszą sobie wyprosić gloryfikowanie Hurków⁶⁸³ i Apuchtynych⁶⁸⁴ kosztem Polski. Odpowiednika Emskiego dekretu, o którym wspomniałem przed chwilą, polski rząd nigdy nie ogłosił i literatura ukraińska w latach 1920-1939 rozwijała się pod polską władzą bez większych przeszkód, choć podlegała, niestety, cenzuralnym ograniczeniom, niekiedy nonsensownym.

Ciekaw jestem, czy Rafalskij, rodowity Wołyniak – jak sam siebie przedstawia – czytał *Wołyń*, epicką powieść Ułasa Samczuka,⁶⁸⁵ utwór o akcentach wyraźnie antypolskich. Wyszła w Warszawie jeszcze przed wojną, w przekładzie na polski Tadeusza Hollendera. Zdarzało się, że ten czy ów pisarz ukraiński przeszedł przez polskie więzienie (np. Bohdan Krawciw), ale czy zginął z polskich rąk choćby jeden? Gdy Ukraińcy skarżą się na Polaków, przytaczając konkretne fakty, mają ku temu prawo. Natomiast tacy Rosjanie jak Rafalskij, którzy nie uznają nawet istnienia narodu ukraińskiego (jak to wynika z podanych cytatów), powinni zachowywać się z większym umiarem. Powiedzmy – bardziej taktownie.

Czemuż to w tak obszernym artykule nie ma ani słowa o tym, jak doszło do zainicjowania „wspólnych dziejów” rosyjsko-ukraińskich? Więc może będzie nie od rzeczy przypomnieć Rafalskie-

⁶⁸³ Josif Hurko (1828-1901), wojskowy i urzędnik rosyjski, m.in. generał-gubernator warszawski i dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego (1883-1894), wyróżnił się m.in. zaostrzeniem polityki rusyfikacyjnej i prześladowaniami unitów.

⁶⁸⁴ Aleksandr Apuchtin (1822-1903), rosyjski urzędnik, kurator warszawskiego okręgu szkolnego (1879-1897), odpowiadał za politykę zdecydowanej rusyfikacji szkolnictwa.

⁶⁸⁵ Ułasa Samczuk (1905-1987), ukraiński pisarz i publicysta. Tłumaczenie powieści ukazało się po polsku: *Wołyń* (tłum. T. Hollender), Warszawa 1938.

mu, jak to wyglądało na przestrzeni kilku stuleci. Średniowiecze można zostawić w spokoju, choć zdobycie i zniszczenie Kijowa przez księcia suzdalsko-włodzimierskiego, Andrzeja Bogolubskiego⁶⁸⁶ (jaki piękny i celny przydomek) najznakomitszy rosyjski historyk, Kluczewskij,⁶⁸⁷ uznał za „wizytówkę”, wystawioną historii przez protoplastów przyszelego imperium.

Ugoda Perejasławska miała być w zamyśle sojuszem, a nie wciele niem. Zresztą po śmierci Chmielnickiego została przekreślona przez Unię Hadziacką, zaś pokój Andruszowski zawarto poza plecami narodu ukraińskiego. Dalsze etapy to nieudana próba Maze py i Orłyka wybicia się ku niepodległości państwowej, barbarzyńska rozprawa Piotra I z Siczą Zaporoską, jej ostatecznie zniesienie przez Katarzynę II, więzienne zgony hetmanów Połubotka⁶⁸⁸ i Kalnyszewskiego, narzucenie chłopom ukraińskim niewolniczej pańszczyzny. Jaka szkoda, że Rafalskij nie zechciał przyjrzeć się tym wydarzeniom. Czy wydały mu się aż na tyle odległe, że niegodne najmniejszej uwagi?

Dążąc do uzasadnienia twierdzenia, że jedynie nikła mniejszość narodu ukraińskiego (głównie ci ohydni Hałyczanie, czyli „mazi pińcy”), pragnęła i pragnie państwowej suwerenności, Rafalskij w wielce swoisty, a na pewno jednostronny sposób przedstawia lata 1917-1921. Z jego relacji wynika, że w ogóle nie istniała wola niepodległości, anarchystyczni atamani bili się ze wszystkimi i każdy z każdym, zaś Petlura był „latającym Holendrem”. Autor posunął się do powtórzenia, nie bez lubości, bolszewickich kpin („w wagonie siedzi Dyrektor, pod wagonem całe terytorium”), o ogłoszeniu kolejnych Uniwersałów tak jakby nie słyszał, więc w ostatecznym rozrachunku znowu powraca do wytartego sloganu o „dwóch akuszerkach”: polskiej i austriackiej. To one wymyśliły naród ukraiński: gdyby nie ta podwójna intryga, byłby grzeczny, „chochłacki” lud, wiernie rozkochany w braterskich „kacapach”.

⁶⁸⁶ Andrzej Bogolubski (ok. 1111-1174), wielki książę włodzimierski, zajął Kijów w 1169 r.

⁶⁸⁷ Wasilij Kluczewskij (1841-1911), rosyjski historyk.

⁶⁸⁸ Pawło Połubotok (ok. 1660-1724), hetman nakażny na Naddnieprzu (1722-1724).

Imperializmu rosyjskiego nigdy nie było. A dziś? „Nie ma ani narodu zdobywcy ani jego wodza z uniwersalnym marzeniem. Ostatnim kandydatem na takiego wodza był Hitler”. Lenin, Stalin, Chruszczow żadnych zdobywczych zamiarów w skali uniwersalnej nie mieli? Breżniew także? A jeżeli, co to ma wspólnego z rosyjskim narodem?

To już chyba jakieś siedemdziesiąt lat temu, a więc jeszcze przed bolszewicką rewolucją, kiedy Maksym Gorki napisał o imperializmie rosyjskim mniej więcej następująco (nie mam pod ręką tekstu, więc powtarzam własnymi słowami, ale na pewno wiernie oddając sens): Jaki tam instynkt państwowy; po prostu Iwan zwałił się ciężkim kałdunem (briuchom) na obce Ziemie i nie chce oddać! Podobnie drastyczne charakterystyki znajdziemy u wielu co światlejszych pisarzy rosyjskich. Dokładna znajomość rosyjskiej literatury w jednych wypadkach bardzo pomaga, w innych – przeszkadza. Obawiam się, że Rafalskiemu bardziej przeszkadza niż pomaga, więc woli o tych niewygodnych autorach i tekstach nie pamiętać.

Są przecież w artykule Rafalskiego poruszone sprawy poważniejsze od zagadnień bądź co bądź partykularnych, dotyczących jednego tylko regionu, choćby tak znaczącego jak Europa Środkowo-Wschodnia. Otóż zakłada on, że prędzej czy później, w najdalszej nawet przyszłości, dojdzie do nieuniknionego zjednoczenia całej ludzkości na skalę ogólnoplanetarną. Co więcej, autor przewiduje, że nieuniknione jest powstanie ogólnoswiatowego języka, który kiedyś będzie wykładany w każdej szkole, w każdym kraju.

A skoro tak, to podsycanie partykularyzmów i rozbijanie już istniejących jedności jest zasadniczym błędem i rzeczą zdrożną. Oto główny argument Rafalskiego, skierowany przeciw dążeniom separatystyczno-wolnościowym narodów wchodzących w skład imperium niegdyś rosyjskiego, a od prawie sześćdziesięciu lat – sowieckiego.

„Świat – powiada w najważniejszej części swego artykułu – jeszcze nie dojrzał do ogólnoplanetarnej jedności i na razie mnóstwo narodów i ludów uporczywie przeciwstawia się dziejowym wia-

trum. Tym większa racja, by szanować jedności już istniejące oraz 'inne, dopiero szykujące się do zjednoczonego istnienia”.

Następnie – i tu jest właśnie ta wspomniana powyżej łyżka miodu – Rafalskij wyszczególnia wypadki, kiedy wyłamywanie się ze zjednoczonego zespołu różnych narodów jest usprawiedliwione. A więc wtedy, gdy najmocniejszy, przewodzący w zespole naród zaczyna nadużywać swoich przywilejów, uciskać inne, słabsze narody, odmawiać im równych praw politycznych, społecznych i kulturalnych oraz stosować eksploatację pod względem gospodarczym.

Rafalskij przyznaje – i to jest pozytywna strona jego wystąpienia – „że postępową w zasadzie koncepcją Związku Swobodnych Republik została (w Sowietach) okaleczona, poddana karykaturalnym wypaczeniom przez Partię Komunistyczną, a ściślej – przez leninowski, rewolucyjny marksizm”. Bardzo ładnie, ale chyba wolno pamiętać, jak powodziło się poszczególnym narodom w składzie imperium przed rewolucją bolszewicką. Rafalskij stawia sprawę w sposób równie jednoznaczny, jak kategoriyczny. Cytuję:

„W każdym razie – za sowieckie niepowodzenie stworzenia współczesnej, postępowej formy współżycia różnych narodów odpowiedzialny jest nie *rosyjski*, to jest wielkorusko-moskiewski imperializm-kolonializm, lecz jedynie i wyłącznie prymitywne, brutalne podejście do człowieka, narodu i jego kultury wojującego marksizmu-leninizmu, który w miarę wygasania rewolucyjnego entuzjazmu chwilami stara się zastąpić tradycyjną *klasową nienawiść* szowinistyczną wrogością...”.

Jeszcze krok po tej samej linii, a dojdziemy do wniosku, wielce miłego wielu Rosjanom, że naród rosyjski nie tylko nie zawinił rewolucji, ale ponadto nie ma nic wspólnego z sowieckim bolszewizmem.

Gdzie więc szukać odpowiedzialnych? „Niekiedy w ogóle nie wiadomo – strzela Rafalskij – co z czego wynika: centralistyczny nacjonalizm z nacjonalizmów regionalnych czy też odwrotnie?”. Tu łyżka miodu roztopiła się w dziegciu bez śladu. Bo jak mamy powyższą, zaprawdę rewelacyjną, opinię zinterpretować?

Chyba tylko tak, że prawdopodobnie nie byłoby rosyjskiego nacjonalizmu, gdyby nie nacjonalizm ukraiński, litewski, gruziński, zapewne także polski... Biedni Rosjanie, słusznie broniąc swego stanu posiadania, stali się nacjonalistami! Dla bezstronnych dziejopisów otwierają się natychmiast wspaniałe perspektywy. Puśćmy wodze wyobraźni; taki Taras Szewczenko słusznie poszedł w żołdacy: po co uparł się pisać w ukraińskim (przepraszam – małopolskim) „narzeczu”? Mógł, jak Gogol–Janowski, przerzucić się na rosyjszczyznę! Mykoła Mykoła Zerow ośmielił się przekładać Wirgiliusza i Horacego na chłopską gwarę – on także słusznie został rozstrzelany.

Jakim prawem kaukascy Czerkiesi (Adyge) zbrojnie przeciwstawili się carskim wojskom, zamiast witać je chlebem i solą?! W tymże XIX wieku czyż wzrostu rosyjskiego nacjonalizmu nie zawiniли bezczelni Polacy, raz po raz zrywając się do rebelii (bo nie było żadnych powstań, były bunty przeciw prawowitej carskiej władzy)? Należy lojalnie stwierdzić: Rafalskij przyznaje, że wśród „Wielkorusów” także zdarzają się „prawdziwi imperialiści i szowiniści” – ale jest ich mniej niż wśród wszelkiego rodzaju separatystów. Więc nie ulega najmniejszej wątpliwości, kto najbardziej zawinił i ponosi największą odpowiedzialność!

Rafalskij pisze (i ma w tym całkowitą rację), że na przykładzie Europy coraz bardziej zarysowuje się konieczność tworzenia wielkich federacji, w skład których powinny wejść kraje „zbliżone pod względem geograficznym, etnicznym, historycznym i kulturalnym”. Ale tenże europejski przykład wykazuje, „jak trudne jest federowanie, gdy narodowe egoizmy już dawno określiły się i skostniały... Tym bardziej – dodaje i tu od razu przyznaną mu rację traci – nie ma sensu, gwoili abstrakcyjnej zasadzie i fałszującemu rzeczywistość separatyzmowi, dążyć do zniszczenia już istniejącej jedności, mającej wszelkie historyczne, etniczne i gospodarcze podstawy”. Z kontekstu wynika jasno, że Rafalskiemu chodzi o rosyjsko-sowieckie imperium. Tylko obalić komunizm – i wszystko będzie cacy.

Mowa była cały czas o Ukrainie, ale na niej sprawa się nie kończy. Pozostają kraje bałtyckie, Kaukaz, Turkiestan. Nie ma tam żad-

nych powiązań etnicznych i kulturalnych z Rosją, a co do historii, to przecież w wielu wypadkach od przyłączenia tych narodów na drodze zbrojnego podboju ledwie minęło sto lat, a w innych wypadkach (Litwa, Łotwa, Estonia) były dłuższe przerwy, po których następowała ponowna zbrojna agresja. Ale i co do Ukrainy, owe związki etniczno-historyczno-kulturalne z Rosją wcale nie są takie silne, jak się to Rafalskiemu wydaje.

W pewnej chwili rzuca on ironiczną uwagę pod adresem „haličkih poetów”, uprawiających „separatystyczną” działalność w Stanach Zjednoczonych. Czy Rafalski naprawdę nie wie, jak wielką rolę we współczesnej literaturze ukraińskiej i na emigracji odegrali pisarze pochodzący z Wielkiej Ukrainy i nawet z jej dalekich, wschodnich i południowych rubieży (tych „chochłackich”): Jewhen Małaniuk, Jurij Kłen, Iwan Bahrianyj, a z młodszego od nich pokolenia Łeonid Łyman,⁶⁸⁹ Jar Sławutycz,⁶⁹⁰ Łeonid Połtawa i tylu innych?! Byłoby ich znacznie więcej, gdyby nie „federalistyczne” poczynania sławetnej Jedności.

Rafalski powstaje przeciw „afrykanizacji” świata (dawniej mawiało się: „bałkanizacja”) – i tym razem znowu ma rację... i ponownie ją traci w konfrontacji z konkretnymi zagadnieniami Europy. Odkąd zaczęło się (jeszcze przed tatarskim jarzmem) wspaniałe „zbieranie ziem ruskich”, najpierw przez Wielkie Księstwo Moskiewskie i carat, następnie przez petersburskie imperium, a wreszcie przez RSFSR i Związek Sowiecki – zawsze działa się identycznie: najpierw zbrojny podbój, na drugim etapie narodowe i kulturalne glajchszaltowanie. Zasady federalistyczne, jeżeli kiedykolwiek istniały, to tylko na bezbronny papierze.

Rafalski powiada, że dla wspólnego dobra wszyscy powinni zrezygnować z egoizmów narodowych i pójść na rozsądny, a niezbędny kompromis. Święta racja! Ale niech zaczną dawać dobry przykład potężni krzywdziciele, a nie słabi i pokrzywdzeni. To byłby

⁶⁸⁹ Łeonid Łyman (1922-2003), publicysta, krytyk literacki i poeta ukraiński, po II wojnie światowej na emigracji w USA.

⁶⁹⁰ Jar Sławutycz (1918-2011), poeta i tłumacz ukraiński, po II wojnie na emigracji.



U góry: rozmowa z Edwardem Raczyńskim w czasie obrad Jury Nagrody „Wiadomości”, 1977 r. Fotografia u dołu: jury na balkonie Biblioteki Polskiej w Londynie. Od lewej: M. Chmielowiec, J. Łobodowski, J. Sakowski, M. Kukiel, M. Danielewiczowa, A. Pragier M. Hemar, J. Mackiewicz, S. Baliński i W. Grubiński, 1970 r.

wstępny warunek. Rafalskij chce namówić Ukraińców na federację z Rosją? Ma do tego pełne prawo. Ale zastosował metodę raczej nieszczęśliwą, odmawiając im prawa nawet do nazwy osobnego narodu, co każdy – rzecz prosta – przyjmie, jako obelgę. Tym samym diagnoza „choroby stulecia” wypadła raczej niedobrze.

I jeszcze, żeby skończyć z zagadnieniem ukraińskim, kilka słów co do „braku świadomości” narodowej na Ukrainie, na skutek czego naród ukraiński, według Rafalskiego, rzekomo „nie istnieje” jako całość (nie licząc, naturalnie, halickich „separatystów”). W tym samym, 11. numerze „Kontinentu”, w którym ukazała się *Choroba stulecia*, przeczytałem z najwyższym zainteresowaniem tekst rosyjsko-ukraińskiego (dwujęzycznego) pisarza, Gelija Iwanowicza Sniegiriowa⁶⁹¹ *Mamo, moja mamo...*, podtytuł – *Studium liryczno-publicystyczne*. Wymowna, a raczej wstrząsająca rzecz o sowieckich sądach, procesach, wyrokach, więzieniach i obozach koncentracyjnych.

Sporo miejsca i uwagi Sniegiriow poświęcił słynnemu procesowi SWU (Związku Wyzwolenia Ukrainy), zmontowanemu przez GPU (Związek ten w rzeczywistości nigdy nie istniał), a stanowiącemu konieczny wstęp do wielkiej akcji terrorystycznej, w wyniku której zniszczono większą część ukraińskiej inteligencji i kilka milionów chłopów.⁶⁹² Powołuję się na interesujący mnie fragment.

Autor podaje, że gdy aresztowanych chłopów prowadzono do transportu, matki albo żony wsuwały im ukradkiem do worków „kawał słoniny i kromkę chleba”, a każdy z nich w ostatniej chwili chwycił ze stołu ukochanego *Kobziarza* („świadkowie twierdzą, że wszyscy ci chłopci, bez wyjątku, mieli w torbach, obok chleba i słoniny szewczenkowskiego *Kobziarza*). Po cóż im było potrzebne, 'tym ciemnym kmiotkom', pozbawionym wszelkiej świadomości narodowej? Po cóż im była potrzebna, tym „chochłom”, w drodze do więzień i łagrów „białej śmierci”, lektura poety, który budził

⁶⁹¹ Gelij Sniegiriow (1927-1978), pisarz i scenarzysta ukraiński (sowiecki), dysydent, aresztowany w 1977 r.

⁶⁹² Patrz wyżej, s. 74 i 300.

wrogość do Moskali i nie przyznawał się do żadnego z nimi pobratymstwa? Usilnie polecam Rafalskiemu pilną lekturę „liryczno-publicystycznego studium” Gelija Sniegiriowa!

Znalazło się w artykule kilka nieprzyjemnych uwag na temat Żydów, głównie tych, którzy w konsekwencji wiadomej akcji anty-syjonistycznej wyemigrowali do Izraela i dość często zabierają głos w sprawach narodowościowych na terenie Związku Sowieckiego. W zasadzie to nie moja branża, niech sobie sami Żydzi i Rosjanie załatwiają wzajemne pretensje i porachunki. Jedna tylko uwaga, dotycząca historii powstania bolszewizmu. Nie po raz pierwszy oświadczono, że naród rosyjski nie ponosi odpowiedzialności za rewolucję bolszewicką i cały dalszy ciąg. Pod tym względem Rafalski także Ameryki nie odkrył. Jakże, ileż to razy czytaliśmy, że twórcami „października” byli w przeważającej ilości nie Rosjanie! Poniektórzy polscy pisarze emigracyjni także przyłożyli rączki do tego typu propagandy.

Stalin i Ordżonikidze⁶⁹³ to Gruzini, Dzierżyński i Mienżyński⁶⁹⁴ – Polacy, w pogromie Denikina poważną rolę odegrała słynna „łotewska dywizja”, no i mnóstwo Żydów: Trockij, Kamieniew⁶⁹⁵ Zinowiew,⁶⁹⁶ Swierdłow,⁶⁹⁷ Radek⁶⁹⁸ itd. Stąd znane kontrrewolucyjne hasło: *Biej Żydów, spasaj Rassiju!* [„Bij Żydów, ratuj Rosję!"]. Rafalski skoncentrował się właśnie na Żydach. „To ich ojcowie i dziadowie przeprowadzili, całą siłą podtrzymali i umocnili październikową rewolucję i nową władzę, i stali się jej elitą, jej warsztwą kierowniczą. Dlaczego nie podtrzymali Trockiego przeciw

⁶⁹³ Sergo Ordżonikidze (1886-1937), działacz komunistyczny, wieloletni członek najwyższych władz partyjnych w ZSRR.

⁶⁹⁴ Władysław Mienżyński (1874-1934), działacz komunistyczny, wieloletni funkcjonariusz kierownictwa sowieckich organów bezpieczeństwa.

⁶⁹⁵ Lew Kamieniew (1883-1936), działacz komunistyczny, wieloletni członek władz najwyższych RFSRR.

⁶⁹⁶ Grigorij Zinowiew (1883-1936), działacz komunistyczny, wieloletni członek władz partyjnych ZSRR i Kominternu.

⁶⁹⁷ Jakow Swierdłow (1885-1919), działacz komunistyczny, przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego RFSRR (1917-1919).

⁶⁹⁸ Karol Radek (1885-1939), działacz komunistyczny, wieloletni funkcjonariusz Kominternu.

Stalinowi, dlaczego nie stworzyli, zamiast obecnego „więzienia narodów”, autentycznie demokratycznego, federacyjnego, wolnego, prawem rządzonego kraju? Jakże dopuścili do tego, że zamiast braterskiego współzycia, bez różnicy religii i narodowości, doszło w tym kraju do zoologicznego antysemityzmu? Kto ponosi winę – barbarzyński naród czy ta nowa elita, która postanowiła, że skoro *granica osiedlenia* została zniesiona, pozostaje jej tylko odcinanie kuponów od powstałych możliwości?”.

Ten akt oskarżenia wypadł niezwykle namiętnie i w równym stopniu niesłusznie. Nikt trzeźwy nie zaprzeczy, że udział Żydów w rewolucji i bolszewizmie był bardzo wydatny. Ale rewolucja rosyjska tkwiła swymi korzeniami w czasach dość odległych, kiedy Żydzi nie odgrywali w Rosji żadnej roli – ani politycznej, ani intelektualnej. Przede wszystkim w Rosji etnograficznej w ogóle ich nie było, a przed upływem wieku XIX osiedlały się tam tylko nieliczne jednostki. Idee rewolucyjne szerzyły się początkowo bez udziału Żydów. W organizacjach terrorystycznych także ich nie było. W ostatnim i udanym zamachu na Aleksandra II.⁶⁹⁹ o konsekwencjach fatalnych, a przez jego sprawców absolutnie nieprzewidywanych, Żydzi rąk nie maczali. Owszem, była w ową sprawę wkomplikowana młoda Żydówka, kochanka jednego z czterech skazanych i powieszonych, Michajłowa – o spisku, być może, wiedziała, ale do niego nie należała. Natomiast Sofija Pierowskaja,⁷⁰⁰ również stracona wraz z towarzyszymi, była rodowitą Rosjanką. Obiektywny historyk stwierdzić musi bez bicia, że do rewolucji doszłoby i bez udziału Żydów.

A poza tym nie wystarczyło rewolucji wywołać, trzeba było jeszcze wygrać przewlekłą wojnę domową. O wyniku zadecydowały z jednej strony masy chłopskie i robotnicze, ani domyślające się, co je czeka (gdy zaczęły się domyślać, było już za późno),

⁶⁹⁹ Zamach miał miejsce 13 III 1881 r.

⁷⁰⁰ Sofija Pierowskaja (1853-1881), działaczka Narodnej Woli, współorganizatorka zamachu na cara Aleksandra II. Błąd J. Łobodowskiego, uważała się za Ukrainkę, z rodu hetmana Aleksiego Rozumowskiego, w wieku 18 lat zerwała z ojcem generałem Lwem Pierowskim, gubernatorem Petersburga.

z drugiej – bezgraniczna tępota dowódców „białej” Armii Ochotniczej: Denikina, Wrangla,⁷⁰¹ Aleksiejewa⁷⁰²... Nieszczęściem antybolszewickiego ruchu było, że generał Kornilow,⁷⁰³ jedyny, który orientował się w zawiłych zagadnieniach narodowościowych, zgiął na samym początku.

Nie orientuję się, czy Rafalskij wie, że o bolszewickiej wygranej pod Carycynem zdecydował nie geniusz militarny Stalina (legenda o tym powstała znacznie później), lecz mord popełniony na przywódcach Kozaków Kubańskich, Riabowole⁷⁰⁴ i Kułubuchowie.⁷⁰⁵ To wtedy Kubańcy zaczęli masowo opuszczać front. Czy wie, że ofensywa na Moskwę załamała się po zajęciu Orła, ponieważ uprzednio znaczna część kawalerii została rzucona na Ukrainę, przeciw Petlurze? Że w najgorętszym czasie, gdy należało wyteńczyć wszystkie siły w jednym, decydującym kierunku, generał Denikin skierował doborową dońską brygadę wraz z górską artylerią przeciw Czeczeńcom? Dopuszcili się niesłychanej zbrodni: nie tylko zajęli żyzne ziemie nad rzeką Terekiem, odebrane im przez rząd carski po kapitulacji Imama Szamila⁷⁰⁶ w aule Gunib, ale ponadto w spółce z Inguszami, Lezginami, Kabardyńcami, Czerkiesami ogłosili jakąś idiotyczną niepodległość. Pomyśleć – taki bezczelny zamach na „jedyną i niepodzielną”! Jeszcze jeden przykład szowinistycznego prowokowania narodowych uczuć rosyjskich przez niepoprawnych „separatystów”!

⁷⁰¹ Piotr Wrangel (1878-1928), generał armii carskiej, jeden z dowódców wojsk „białych” w okresie wojny domowej w Rosji.

⁷⁰² Michaił Aleksiejew (1857-1918), generał armii carskiej, jeden z dowódców wojsk „białych” w okresie wojny domowej w Rosji.

⁷⁰³ Ławr Kornilow (1870-1918), generał armii carskiej, jeden z dowódców wojsk „białych” w okresie wojny domowej w Rosji.

⁷⁰⁴ Nikołaj Riabowol (1883-1919) działacz kozacki i polityk, m.in. przewodniczący Kubańskiej Rady Ustawodawczej (parlamentu), został zastrzelony 14 VI 1919 r. po wyjściu z konferencji przedstawicieli Kozaków Terskich, Kubańskich i Dońskich w Rostowie nad Donem, na której krytykował dowództwo białych armii.

⁷⁰⁵ Kołubuchow, kozak kubański.

⁷⁰⁶ Imam Szamil (1797-1871), Awar, przywódca antyrosyjskiego powstania Górali Kaukaskich (1834-1859).

Nie Żydzi wygrali wojnę domową. Trocki położył wielkie zasługi w organizowaniu Armii Czerwonej, to prawda, ale nie on nią dowodził. Kamieniew był nominalnym wodzem naczelnym w kampanii polskiej; bezpośrednio dowodzili Tuchaczewskij,⁷⁰⁷ Budionnyj,⁷⁰⁸ Woroszyłow...⁷⁰⁹ I tak samo na wszystkich prawie frontach: Rosjanie, a nie Żydzi.

Ważna dla mnie uwaga! Rzadko kto przyznaje się do antysemityzmu. Gdy tylko na tapetę wchodzi sprawa żydowska, często słyszy się albo czyta: – Nie jestem antysemitą, ale... Odwracam to powiedzenie, już sakramentalne, i oświadczam: – Nie jestem filosemitą, ale... A właśnie! Nie przypisujemy Żydom absolutnie wszystkich win i nie róbmy z nich wszechwładnych demonów. Co nie znaczy, by się w nich bezkrytycznie kochać, jak to się zdarza niejednemu durniowi (także na naszej bezgrzesznej emigracji). Ileż to razy (aż do znudzenia!) cytowałem celne powiedzenie świętego rosyjskiego parlamentarzysty Struwego,⁷¹⁰ który określił bolszewizm jako „mieszanie niemieckiego piwa z rosyjską siwuchą”! Że żydowscy karczmarze brali udział w tej operacji? Zgadza się, brali. Ale piwo niemieckie, ale siwucha rosyjska! Sama pejsachówka rady by nie dała.

W ostatnich latach, odkąd zaczęli napływać na Zachód nowi emigranci rosyjscy, usłyszeliśmy odmienny ton, uprzednio prawie niespotykany w wypowiedziach na tematy narodowościowe. Od pewnego czasu przyzwyczajamy się do tonu pozbawionego nacjonalistycznej pychy, wielkomocarstwowej wyższości i lekceważenia albo potępiania wszystkiego, co godzi w imperialny stan posiadania. Niejednokrotnie dyskutowałem ze starymi rosyjskimi emigrantami. Prawie zawsze bezskutecznie.

⁷⁰⁷ Michaił Tuchaczewskij (1893-1937), wojskowy sowiecki, marszałek ZSRR.

⁷⁰⁸ Siemion Budionny (1883-1973), wojskowy sowiecki, kawalerzysta, m.in. dowódca 1 Armii Konnej (1917-1921), marszałek ZSRR.

⁷⁰⁹ Kliment Woroszyłow (1881-1969) marszałek ZSRR, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, współodpowiedzialny za czystki w Armii Czerwonej.

⁷¹⁰ Piotr Struwe (1870-1944), rosyjski polityk, członek partii kadetów, poseł do II Dumy. Po 1921 r. na emigracji we Francji.

Rozmawiali ze mną często przyjaźnie, bo ich mile łechtała dokładna znajomość rosyjskiej historii i literatury, ale do porozumienia nie dochodziło. Dlaczego? Powód nieodmiennie ten sam. Rosjanie o określonej, tradycyjnej mentalności utożsamiają swój naród z imperium. Każdy zamach na imperium jest uważany za zamach na sam naród. Stanowi wystąpienie antyrosyjskie. Zawsze ta sama gadka. „Wy, Josif Władisławowicz, walcie po sowieckim dyszlu, ale nie ruszajcie rosyjskiego konia!”. I nadaremnie udowodniać, że to stary imperialny dyszel – tyle, że pomalowany na czerwono, że trzeba rosyjskiego konia wyprząc i puścić wolno, a przy okazji uwolnić wszystkie inne konie: ukraińskiego, litewskiego, gruzińskiego, turkmeńskiego, uzbeckiego – wszystkie, bez wyjątku! A jeżeli później zechcą zejść się w jeden tabun – to ich sprawa. Ale niech się to stanie dobrowolnie, nie pod przymusem!

Omawiany artykuł Siergieja Rafalskiego nie pasuje do wypowiedzi ogłaszanych dotychczas na łamach „Kontinentu”. Jak podałem na wstępie, redakcja zastrzegła się, że nie podziela niektórych opinii autora, a jednocześnie wyraziła nadzieję, że artykuł wywoła „konstruktywną i zapładniającą dyskusję”. Oby się ta nadzieja spełniła, oby niniejsze wystąpienie nie pozostało jedyną reakcją!

Na razie to tylko reakcja z polskiej strony. Przypuszczam, jestem prawie pewny, że odezwie się emigracyjna prasa ukraińska. Ale byłoby najważniejsze, żeby wystąpili publicyści rosyjscy, ci mianowicie, którzy nie stoją na stanowisku wielkomocarstwowym. To głównie do nich należy podpisać się pod opiniami Rafalskiego – albo je zdezwuować, względnie skorygować. Co do mnie, stwierdzam raz jeszcze, że uważam je za archaiczne, utrzymane w stylu tradycyjnego rosyjskiego nacjonalizmu, choć sam Rafalskij energicznie się od niego na każdym kroku odżegnuje.

Te antynacjonalistyczne deklaracje nie mają żadnego pokrycia, nie wytrzymują konfrontacji z konkretnymi opiniami i ocenami. Diagnoza „choroby stulecia” jest, niestety, nie do przyjęcia. Tym mniej proponowane metody kuracyjne.

Czego między innymi Rafalskij nie zauważył? Tego, że walka

o prawa narodowe, które lekceważąco określa jako zdrożny, niegodny „separatyzm”, jest ważnym sprzymierzeńcem w ogólnej walce o godność człowieka, o jego wolność osobistą i społeczną. Komunizm niszczy jednostkę, próbując odebrać mu kolejno: indywidualną osobowość, zdolność do krytycznej oceny zjawisk, wrażliwość na różnice ideowe; usiłuje zrobić z każdego indywiduum robota, myślącego i działającego mechanicznie. Otóż poczucie odrębności narodowej i, co za tym idzie, kulturalnej stanowi skuteczną odtrutkę na totalitarny jad komunizmu. I nie ma w tym żadnego zdrożnego nacjonalizmu, choć może w określonych wypadkach w nacjonalizm się wyrodzić. Ale to już zupełnie inna melodia.

Gdy się jest zwolennikiem indywidualizacji każdej jednostki ludzkiej, nie ma się prawa do potępiania i odrzucania indywidualizacji narodowej. Jedno z drugim idzie w parze i nie musi doprowadzić do antagonizmu. To, że wyjaskrawione poczucie narodowe może niekiedy doprowadzić do takich kryminalnych wynaturzeń jak rasistowski hitleryzm, niczego nie dowodzi i nie przesądza. Na innym biegunie przewrażliwione poczucie społeczne doprowadziło do innego wynaturzenia – do sowieckiej totalitarnej tyranii komunistycznej. A przecież jeszcze nie tracimy nadziei, wciąż wierzymy w ludzi zdrowych, niezagrożonych schizofrenią ani paranoją, których stać będzie na utworzenie społeczeństw, bez chorobliwych przegięć w żadnym kierunku. *Gleichschaltung* (rosyjska *urawniłowka*) narodowościowa ułatwia totalistom niwelację duchową i moralną człowieka. Działa tu prawo naczyń połączonych.

Polemika z Rafalskim – już doprowadzam ją do końca – wypadła krytycznie, miejscami nawet ostro krytycznie. To przywilej każdego polemisty: zwracamy uwagę przede wszystkim na to, z czym się nie zgadzamy. Jednakże elementarna lojalność każe przyznać, że Rafalski dostrzega w Sowietach powstanie nowego, rosyjskiego nacjonalizmu. Tego – jak pisze – „demagogicznego nacjonalizmu, który Kompartia od pewnego czasu chytrze popiera, z wiadomych sobie względów”. Ale to nie żadne odkrycie – o tym od dawna wiadomo. To zaczęło się jeszcze przed drugą wojną światową, a wraz

z nią doszło aż do imperialistyczno-szowinistycznego paroksyzmu. I jednocześnie to tylko nowa, dostosowana do zmienionych warunków, wersja dobrze znanego zjawiska.

Rafalskij jest zwolennikiem zgodnego współżycia wszystkich narodów, zamieszkałych na „wielkiej Euroazyjskiej równinie”. To pięknie. Ale używa przy tym zdumiewającej i – co tu dużo gadać! – wysoce denerwującej terminologii. Cytuję zdanie, zamykające artykuł: „Należałoby zrozumieć, że droga, prowadząca ku lepszej przyszłości wszystkich sowieckich narodowości (wśród nich wielkoruskiego i ukraińskiego) polega nie na rozpadnięciu się sowieckiego imperium (choćby tylko psychologicznym), lecz na wspólnej walce wszystkich ludzi dobrej woli o świadome, swobodne, demokratyczne współżycie różnych narodów w Swobodnym Związku Sowieckim”. Nie, nie przepisałem się – Związek Sowiecki ma być zachowany, tylko z „Socjalistycznego” ma przekształcić się w „Swobodny”. I by tak się stało, ma wystarczyć „wspólna walka ludzi dobrej woli”.

„Swoboda” i „sowieckość” – jakże można te dwa słowa wymawiać jednym tchem?! Przecież to piramidalne *contradictio in adiecto*! A wreszcie: ta walka toczy się nie tylko o wolność i demokrację, lecz o samo zachowanie osobowości poszczególnych narodów, śmiertelnie zagrożonych w swoim istnieniu.

[„Kultura” 1977 nr 7]

FAŁSZYWA LEGENDA

W maju br. redakcja „Kultury” uważała za wskazane złożyć wieniec na grobie atamana Symona Petlury na historycznym paryskim cmentarzu na Montmartre. Powód – setna rocznica narodzin Petlury i pięćdziesiąta trzecia rocznica jego tragicznej śmierci. W maju 1926 roku został zamordowany przez Szaloma Szwarebarta, który, jak wszystko wskazywało, był agentem sowieckiej policji politycznej, czyli GPU. Tak się ówczesnie nazywała.

Dowiaduję się, że ten gest „Kultury” wywołał mnóstwo listów protestacyjnych napływających z różnych stron. Wydawało się, że sprawa została dawno wyświetlona, a więc nie powinna być podejmowana na nowo, a tym bardziej budzić zdziwienia. A jakże! Okazuje się, że nie brakuje osób, które zachowują się tak, jak gdyby nikt nigdy na ten temat nie napisał. Wobec tego przypomnijmy, w jaki sposób zginął Symon Petlura. Do idącego ulicą paryską podszedł nieznany osobnik i, nie mówiąc ani słowa, z bliska oddał do niego kilka strzałów. Były śmiertelne. Morderca został aresztowany i stanął przed sądem. Francuski trybunał uniewinnił go, przyjmując z dobrą wiarą, że Szwarcbart mścił się za śmierć całej swojej rodziny, która jak zeznał, padła ofiarą pogromu, który rzekomo został zorganizowany przez Petlurę. Tak twierdził sam Szwarcbart – oraz jego obrona.

Jak wyglądała prawda? Czy Szwarcbart był mścicielem, czy agentem sowieckim, któremu kazano Petlurę zamordować? W ciągu minionych (już przeszło pięćdziesięciu) lat zapisano tysiące arkuszy papieru, a pewni czytelnicy zachowują się tak, jak gdyby tego w ogóle nie było. A więc trzeba zaczynać taniec od pieca?! Zdziwionych nie brakuje. No to przyjrzyjmy się tematowi uważniej.

W niektórych listach do redakcji powtarza się informacja, że Szwarcbart był „żydowskim emigrantem”, który swego czasu przeniósł się z Ukrainy, kraju jego urodzenia, na Zachód. W wersji tej brakuje jednego istotnego szczegółu: kiedy mianowicie ów „emigrant” zjawił się w Paryżu i w jakich okolicznościach... Ale najważniejsza jest data zamachu. Powstaje zasadnicze pytanie: – Jeżeli istotnie Szwarcbart działał na własną rękę, biorąc na siebie rolę mściciela, dlaczego czekał tak długo, dlaczego zwlekał z wykonaniem decyzji przez tyle lat? Pogrom w Płoskirowie odbył się w roku 1919, zamach paryski – w maju 1926 roku; obydwie daty dzieliło całe siedem lat. Trzeba uściślić. Po wzięciu pod uwagę, że w latach 1919–1920 toczyła się wojna, należy te siedem lat skrócić do pięciu, licząc od chwili, gdy Petlura zamieszkał w Paryżu. Już to jedno, ta pięcioletnia zwłoka, wyglądała bardzo podejrzanie.

Ponadto od razu zwróciła uwagę zbieżność wydarzeń. W maju tego roku Piłsudski dokonał zamachu stanu i doszedł do władzy, a w niewiele dni później na paryskiej ulicy padają strzały „mściciela”. Logiczny wniosek narzucił się sam przez się. Dojście Piłsudskiego do władzy wzbudziło w Moskwie niepokój: a nuż ten przypomni sobie o roku 1920 i o sojuszu wojskowym z Petlurą? Widmo odnowienia tego sojuszu, widmo nowej Wyprawy Kijowskiej musiało zaniepokoić. Postanowiono działać natychmiast, nie czekając na wyjaśnienie sytuacji. By zatrzeć ślady, wybrano agenta narodowości żydowskiej, uznając wersję o słusznej zemście za najbardziej chwytliwą. Istotnie, chwyciła. W warszawskich kołach wschodoznawczych nikt ani przez jedną chwilę nie miał najmniejszych wątpliwości, kto i dlaczego kierował ręką Szwarcbarta.

Powoływanie się na wyrok uniewinniający świadczy o bezgranicznej naiwności. I cóż to za argument?! Tak jakby wszystkie wyroki bywały słuszne i sprawiedliwe! Co paryski sąd wiedział o rzeczywistości politycznej i wojskowej na Ukrainie w tamtych latach? Tyle co nic! Zeznania Szwarcbarta, rozdmuchane i upiększone przez wymownych (i wpływowych!) adwokatów, uznał za prawdziwe. Petlury już nie było wśród żywych, nie mógł przeciwstawić się oszczerczej kampanii. Nie mógł powołać się na wydany przez siebie rozkaz, w którym zapowiadał, że żołnierze z poddanych mu oddziałów, którym udowodni się udział w pogromach, będą rozstrzeliwani w trybie doraźnym.⁷¹¹

Jak na organizatora akcji pogromowych, całkiem nieźle! Sąd paryski w ogóle tego nie wziął pod uwagę, nie pofatygował się dokładnie sprawdzić istniejącego materiału historycznego.

Pogromów na Ukrainie w tamtych latach istotnie nie brakowało. Kto je urządzał? Różnie z tym bywało. Luźne, przez nikogo niekontrolowane watahy, bez określonej filiacji politycznej, oddziały wojskowe zarówno „białych”, jak i „czerwonych”, a najczęściej ele-

⁷¹¹ Takich rozkazów Atamana Petlury było szereg, jak również dekretów Rządu Ukraińskiego. Były one zebrane i wydane w języku francuskim w Paryżu, w 1927 roku: *Documents sur les Pogromes en Ukraine et l'assassinat de Simon Petlura* [przyp. J. Łobowskiego].

menty kryminalne, którym najbardziej chodziło o rabunek, a przy okazji dopuszczały się masowych morderstw. Petlurowcy natomiast byli formacją dość mocno zdyscyplinowaną (w każdym razie w większym stopniu od innych), więc nadużyć z ich strony nie mogło być zbyt dużo. To bolszewicka propaganda, chcąc zohydzić dobre imię Petlury, którego w zamęcie wojennym na Ukrainie uważano za wroga Moskwy nr 1, puściła w ruch legendę o owych pogromach, które rzekomo zawinił.

Legenda ta przydała się później na użytek francuskich obrońców Szwarcbarta.

Ocenę wyroku, niezależnie od meritum sprawy, należy pozostawić prawnikom. Nie ma kodeksu karnego, który by przewidywał prawo jednostki do wymierzenia sobie satysfakcji na własną rękę, gdyż w przeciwnym wypadku byłoby to usprawiedliwieniem modnego niegdyś w Stanach Zjednoczonych prawa *l y n c h u*. Zagrały względy niemające nic wspólnego z obowiązującym prawem. Gdyby chodziło o morderstwo popełnione w stanie wzburzenia, można by je uznać za zabójstwo, ale i w takim wypadku należało sprawcę skazać, obniżając wysokość wyroku ze względu na okoliczności łagodzące. Wszystko wskazywało, że wyrok uniewinniający został przesądzony nie na sali sądowej, lecz za kulisami. Niezależnie od tego, sędziowie mogli być przekonani o prawdziwości zeznań mordercy.

Szwarcbart wyszedł z sądu jako bohater, jako mściciel rodziny, zgładzonej przed *s i e d m i u* laty. Raz jeszcze: trybunał wszystko przyjął na wiarę. Także przyjął bezkrytycznie wyjaśnienie, dlaczego Szwarcbart zwlekał ze swoją „zemstą” tak długo. A co się z tym „emigrantem” stało wkrótce po procesie? Gdzie się podział? Napisałem powyżej, że kiedy kto wyrok paryski bierze za absolutnie słuszny i zamykający całą sprawę raz na zawsze, grzeszy daleko idącą naiwnością – a i to w najlepszym wypadku, bo podejrzliwi łatwo mogą zwietrzyć złą wolę.

„Wyrazem czego właściwie – zapytano w zakończeniu jednego z listów w dość zaczepnym tonie – miała być ta wiązanka kwia-

tów, złożona na grobie Petlury przez redakcję «Kultury»?”. Nie jestem członkiem redakcji, a tylko dość luźnym, choć od dawna, od pierwszego, rzymskiego jeszcze numeru współpracownikiem, jednak chętnie na to pytanie odpowiem. Zdziwionym korespondentom trzeba polecić, by sięgnęli do podręcznika historii i dowiedzieli się, że Symon Petlura był polskim sprzymierzeńcem od kwietnia 1920 roku, zaś podwładne mu oddziały zatrzymały Konarmię Budionnego pod Zamościem. Wprawdzie było to już po bitwie warszawskiej i kontruderzeniu znad Wieprza, ale twardy opór ukraińskiego żołnierza nie pozwolił Budionnemu wdrzeć się w głąb Lubelszczyzny, a następnie ułatwił przeprowadzenie zwycięskiej akcji kawaleryjskiej pod Komarowem. W skali strategicznej Budionnyj wiele by nie zdziałał, ale mógłby zniszczyć spory szmat kraju. A jak sobie czerwona jazda poczyniała, wiemy ze znanej (i świetnie napisanej) książki *Armia konna*, autorstwa Izaaka Babela.⁷¹² Czy zdziwieni panowie o niej słyszeli?

Sprawa ta ma jeszcze jeden aspekt. Ilekroć poruszany jest ten temat, odnoszę wrażenie, które po namyśle zmienia się w przekonanie, że nie chodzi wyłącznie o Symona Petlurę. Chodzi także o zozydzenie ukraińskich dążeń niepodległościowych, o zakwestionowanie prawa tego narodu do samoistnego bytu. Tego się, naturalnie, nie mówi w niedwuznacznej formie, ale wniosek może być tylko jeden. Jeżeli główny bohater walk narodowych był organizatorem pogromów, w których zginęły tysiące, czy choćby nawet setki Żydów, to czego można się spodziewać po takim narodzie? Ludność żydowska, uprzednio dość licznie (mimo pogromów) zamieszkująca Ukrainę prawobrzeżną, ostatecznie wyginęła z rąk hitlerowskiego okupanta.

Warto dodać, że swoje ziarnko dołożyło sowieckie NKWD, uniemożliwiając Żydom zbiorowe ucieczki ku wschodowi. Na skutek tego zginęło getto witebskie, zaś Żydzi kijowscy znaleźli się w wielkiej, zbiorowej mogile w Babim Jarze. A były już próby pod-

⁷¹² Izaak Babel (1894-1940), prozaik i dziennikarz sowiecki, brał udział w walkach bolszewickiej 1 Konnej Armii na terenach Polski. Rozstrzelany na rozkaz Stalina.

rzucania Ukraińcom ścisłego współnictwa z Niemcami. Podobnie jak Polakom. Na pewno nie brakowało poszczególnych haniebnych wypadków, ale nie w powszechnej, ogólnonarodowej skali. Niekiedy, gdy się czyta liczne oskarżenia, odnosi się wrażenie, że mordowali Żydów głównie Polacy, Ukraińcy i Litwini, a także, chociaż rzadziej, Łotysze i Estończycy – natomiast Gestapo i esesmani tylko przyglądali się tym zbrodniom z radosnym rechem.

Niemcy inaczej „rozwiązywali” zagadnienie żydowskie w Europie Zachodniej i Środkowej, a inaczej na Wschodzie, na terenach, zajmowanych podczas pierwszej, zwycięskiej ofensywy w roku 1941. Nie zwozili Żydów wschodnich do obozów zniszczenia (*Vernichtungslager*), lecz mordowali masowo na miejscu. Ludność Wołynia nie ponosiła żadnej odpowiedzialności za egzekucję w Zdołbunowie, podobnie jak mieszkańcy Kijowa nie zawinili Babiego Jaru ani mieszkańcy Witebska zagłady miejscowego getta. A z tą odpowiedzialnością bywa bardzo różnie. Nam, Polakom uporczywie zarzuca się, że Oświęcim, Treblinka, Majdanek założone zostały na polskiej ziemi. No, pięknie, a Dachau, Sachsenhausen, Ravensbruck, Mauthausen etc.? Tak, Żydów do tych łagrów nie zwożono. Ale ginęli przedstawiciele innych narodów. Najliczniej – Polacy.

Są to uwagi wykraczające poza główny temat. Wróćmy do Pełtury i sprawy pogromów na Ukrainie. Nie mam zamiaru twierdzić, że ukraiński antysemityzm w ogóle nie istniał. Istniał, podobnie jak w Polsce, chociaż przyczyny i uzasadnienia były niekoniecznie takie same. Toteż należy je rozpatrywać w perspektywie historycznej. Faktem jest, że podczas wszystkich powstań kozackich, poczynając od końca XVI wieku, ofiarami, obok szlachty polskiej, padały skupiska ludności żydowskiej. W grę wchodziły przede wszystkim racje społeczne, zresztą krzyżujące się z religijnymi. Kto zawinił bardziej – szlachta, która wsie ukraińskie puszczała Żydom warendę czy owi żydowscy arendarze? Tak czy owak, rozpalona do białości nienawiść pańszczyźnianego chłopka kierowała się przeciw jednym i drugim. Bezstronny historyk mógłby te sprawy omówić i wyja-

ścić, pod warunkiem, że przystąpiły do pracy badawczej bez nacjonalistycznych uprzedzeń takiego czy innego zabarwienia.

Pamiętam, jakieś dobre dwadzieścia lat temu przeczytałem artykuł, którego autor, dziennikarz żydowskiego pochodzenia, zapewniał, że antysemityzm na Ukrainie powstał wyłącznie z winy polskich panów. Czy miał na myśli ratunek udzielany Żydom przez Jaremę Wiśniowieckiego, nie mogłem się dowiedzieć.

Powiedzmy, że Żydów mordowała w tamtej epoce głównie tzw. „czern”, czyli uzbrojeni chłopscy powstańcy. Żydowscy arendarze byli utożsamiani ze szlacheckimi dziedzicami, stąd wydarzenia jak słynna rzeź humanąska, w której przez pokolenia dojrzewająca nienawiść wyładowała się najgwałtowniej (*Lach, Żyd i sobaka – wira odinaka!*). [Lach, Żyd i pies – jednej są wiary!]

Naród ukraiński poniósł po niepowodzeniu walk wyzwoleniczych w latach 1918-1921 olbrzymie straty i ponosi je nadal. Eksterminacja inteligencji ukraińskiej (głównie pisarzy) zbiega się prawie dokładnie z wielkim głodem, sztucznie spreparowanym przez Moskwę. Nie jest znana dokładna liczba chłopów zamorzonych głodem w okresie czynnego oporu przeciw kolektywizacji ani zesłanych w tym samym czasie do łagrów. W każdym razie straty te wyniosły kilka milionów istnień ludzkich. Zginęła najbardziej narodowo uświadomiona część włościanstwa oraz ogromna większość intelektualistów, naukowców, poetów i artystów (nazwano ten okres Rozstrzelanym Odrodzeniem – *Rostrilane Widrodżennia*).

Potem przyszły poważne straty wywołane wojną i okupacją hitlerowską, a po zakończeniu wojny zaczęła się głucha, podziemna walka, wciąż trwająca i powodująca dalsze ofiary wśród najlepszych i najodważniejszych. Wiadomo, że w łagrach o najostrejszym, najcięższym regulaminie, rozrzuconych w lasach i bagnach Mordwinii, znaczną większość stanowią Ukraińcy. Imię Symona Petlury jest dla nich drogowskazem ideowym i relikwią narodową. Oto dlaczego redakcja „Kultury” zdecydowała się w rocznicę śmierci uczynić ów gest, tak skrytykowany przez niektórych czytelników. Nieświadomych prawdy?

Wypada na zakończenie powtórzyć: robienie z Symona Petlury (głównego bohatera owych walk wyzwoleniczych i postaci symbolicznej dążeń niepodległościowych) zwykłego rezuna, który wyżywał się w mordowaniu bezbronnych Żydów, idzie dokładnie po linii imperialistycznych interesów Moskwy. Pragnę stwierdzić w sposób jak najbardziej kategoryczny, że podtrzymywanie sfabrykowanej przez sowiecką propagandę oszczerczej legendy – przy jednoczesnym wybielaniu i, co gorsza, nawet apoteozowaniu legendy „mściciela”, Szaloma Szwarcbarta – nie bardzo przystoi naszej emigracji politycznej i nie wychodzi na korzyść ani Polakom, ani Żydom.

I jeszcze jeden drobny szczegół. Któryś ze zdziwionych protestowiczów sprostował: „Jak wiadomo, Semen (a nie Simon!) Petlura...”. Że nie Simon, to dobrze wiadomo. Petlura pisał się Symon – i tak zostało. Proszę zajrzeć do *Żywotów świętych* i przekonać się.

[„Kultura” 1979 nr 11]

DMYTRO DONCOW. ŻYCIE I DZIAŁALNOŚĆ

I.

Gdy na wiosnę 1973 roku dowiedziałem się o śmierci Dmytro Doncowa, w pierwszym odruchu postanowiłem napisać o nim dłuższy artykuł, ale poza kilka stron maszynopisu wtedy nie wyszedłem. Konieczność uprawiania codziennej publicystyki („dla chleba, panie, dla chleba”) sprawia, że najlepsze i najbliższe pisarskiemu sumieniu sprawy i pomysły coraz to się odkłada, „na świętej nigdy”.

Doncowa nie znałem osobiście, ale wiele o nim wiedziałem i niejednokrotnie czytałem, głównie jego wypowiedzi w czasopiśmie „Literaturno-Naukowy Wistnyk”. W dobrze mi znanym środowisku ukraińskim w Warszawie postawy były bardzo różne i Doncowa oceniano także rozmaicie. Zdecydowanym jego zwolennikiem był świetny poeta Jewhen Małaniuk, z którym obcowa-

łem okresami niemal codziennie. Natomiast stosunek do Doncowa i jego „Wistnyka” takich wybitnych Ukraińców jak znakomity językoznawca Roman Smal-Stoćkyj czy powszechnie szanowany Ołeksa Łotoćkyj nacechowany był dość daleko posuniętą ostrożnością. To samo wolno powiedzieć o historyku prof. Doroszence.

W cztery lata po śmierci Doncowa otrzymałem obszerną pracę (420 stron) Mychajło Sosnowskiego⁷¹³ *Dmytro Doncow, portret polityczny*, podtytuł: *Z historii rozwoju ideologii ukraińskiego nacjonalizmu*.⁷¹⁴ Z wielu stron proszono mnie o recenzję. Jedno łączy się z drugim. Pisząc o Doncowie, coraz to zaglądam do wszechstronnie udokumentowanej książki Sosnowskiego; w ten sposób mój artykuł staje się jednocześnie w sporej części recenzją.

Jeśli się nie mylę, śmierć Doncowa w ogóle nie została odnotowana na łamach polskiej prasy emigracyjnej, oprócz „Kultury”. Dowiedzieli się o zgonie tego dziewięćdziesięcioletniego starca tylko ci nieliczni, którzy śledzą pilnie rozwój stosunków polsko-ukraińskich. Samo nazwisko olbrzymiej większości Polaków, tak w kraju, jak na emigracji, absolutnie nic nie mówi. Ta niewiedza zresztą rozciąga się w ogóle na wszystkie zagadnienia ukraińskie i sprawia, że polska opinia publiczna od dawna ignorowała i nadal ignoruje naszego najbliższego sąsiada, z którym ściśle związała nas wspólna historia. Natomiast prawie zawsze brakowało obopólnej znajomości i zrozumienia.

Jeśli bym wymienił w większym gronie polskich emigrantów nazwiska Mychajły Drahomanowa,⁷¹⁵ Iwana Franko, Mychajły Hruszewskiego, Wołodymyra Wynnyczenki czy Wiaczesława Łypyńskiego,⁷¹⁶ prawie nikt z obecnych Polaków nie wiedziałby, o kogo

⁷¹³ Mychajło Sosnowskyj (1919-1975), dziennikarz i publicysta ukraiński, od 1944 r. na emigracji w Niemczech, następnie w Kanadzie.

⁷¹⁴ Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki, Biblioteka Ukrainoznawstwa, tom 38. Nowy Jork – Toronto 1974 [przyp. J. Łobodowskiego].

⁷¹⁵ Mychajło Drahomanow (1841-1895), publicysta, historyk i literaturoznawca ukraiński, pracownik Uniwersytetu Kijowskiego, członek Południowo-Zachodniego Oddziału Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, w 1875 r. zwolniony z pracy na Uniwersytecie, osiadł na emigracji.

⁷¹⁶ Wiaczesław Łypyński vel. Wacław Lipiński (1882-1931), historyk, publicysta i przedstawiciel ukraińskiego konserwatyzmu.

chodzi. Znacznie lepiej ta sprawa wyglądała w XIX wieku, a także tuż przed pierwszą wojną światową – najlepiej na terenach, gdzie znajdowały się silne ośrodki inteligenckie. Na przykład w Kijowie i Petersburgu, gdzie na przełomie dwóch stuleci stosunki między Polakami i Ukraińcami były jak najbardziej poprawne, a często gęsto przyjazne, pozwalając spoglądać w przyszłość z pewnym optymizmem. Wystarczy zajrzeć do wspomnień wyżej wymienionego Ołeksy Łotockiego, późniejszego dyrektora Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie, *Storinky mynułoho (Stronice z przeszłości)*, wydane w tejże Warszawie w latach 1932-1939. Ale kto z Polaków dzisiaj do nich zagląda?!

II.

Najpierw kilka koniecznych danych z politycznej biografii. Doncow urodził się w roku 1883, a więc w okresie gwałtownej reakcji (Pobiedonoscew), spowodowanej śmiertelnym zamachem na cesarza Aleksandra II (1 marca 1881). Lata studiów uniwersyteckich Doncowa przypadają na początek bieżącego stulecia, a jego działalność publicystyczna zaczęła się w roku 1905, a więc za pierwszej rewolucji rosyjskiej, która wprawdzie skończyła się niepowodzeniem, ale zmusiła Mikołaja II do pewnych ustępstw i reform. Przede wszystkim znacznie zelżała cenzura, co umożliwiło rozwinięcie się bardzo żywej publicystyki politycznej.

Młody Doncow stał w owym czasie na pozycjach socjalistycznych, co było najzupełniej zgodne z duchem czasu. Ale jego socjalizm już wtedy nosił swoisty charakter. Prof. Doroszenko przypominał w swoich wspomnieniach z petersburskich studenckich lat, że Doncow należał do grupy opozycyjnej w Ukraińskiej Hromadzie. Poszło o kwestie narodowe. Mychajło Sosnowskij podał w swojej książce (str. 75) urywki z rozmowy z Doncowym, przeprowadzonej w Kanadzie, w roku 1968. „Nie mogłem – mówił Doncow do Sosnowskiego – już wtedy pogodzić się z internacjonalistycznymi tendencjami ruchu, które były identyfikowane z rusofilstwem.

Przyjmowałem platformę walki z caratem, ale jednocześnie i równoległe z tym stawiałem zagadnienie narodowe. Na tym tle doszło do konfliktu i mojego zerwania z ruchem socjalistycznym...”.

Działalność młodego Doncowa nie mogła nie zwrócić uwagi carskiej policji i w roku 1907 został on aresztowany i znalazł się w kijowskim więzieniu. Groził mu ciężki wyrok, ale dzięki staraniom wpływowych osób udało się uzyskać dla niego warunkowe zwolnienie (po ośmiu miesiącach). W roku następnym Doncow przeszedł nielegalnie rosyjsko-austriacką granicę i dostał się najpierw do Lwowa, a następnie do Zakopanego, gdzie przebywał przez prawie dwa lata na leczeniu płuc. Tu interesujący polonik. W Zakopanem Doncow poznał Stanisława Brzozowskiego⁷¹⁶ (już zdecydowanego gruźlika). Sosnowskyj cytuje uwagi Rudnyckiego, który w kwartalniku „My” (Warszawa, 1934) uznał Brzozowskiego za duchowego ojca Doncowa. „Brzozowski zrodził Dmytro Doncowa, jako krytyka i publicystę...”. Sosnowskyj, nie podając w wątpliwość oczywistego wpływu Brzozowskiego, uważa opinię Rudnyckiego za grubo przesadzoną (ss. 76-77).

Po rekonwalescencji w Zakopanem Doncow przeniósł się do Wiednia i na tamtejszym uniwersytecie rozpoczął studia prawnicze, które ukończył dopiero we Lwowie, w roku 1917. W Wiedniu zawarł małżeństwo z koleżanką ze studiów, Marią Baczyńską.⁷¹⁷ W dziesięć lat później ów związek małżeński będzie miał zasadnicze znaczenie dla dalszych losów Doncowa. Rzecz w tym, że dzięki temu małżeństwu mógł on w roku 1922 osiedlić się na stałe we Lwowie (w latach 1919-1921 przebywał w Szwajcarii), o czym zdecydował fakt, że jego małżonka urodziła się na terenie Ziemi Czerwieńskiej (Hałycyna), miała więc pełne prawo do powrotu do kraju. Podobno sprawa ta, przed jej pozytywnym rozstrzygnięciem, oparła się o samego Józefa Piłsudskiego (str. 153).

⁷¹⁶ Stanisław Brzozowski (1878-1911), filozof, krytyk literacki i publicysta polski.

⁷¹⁷ Maria Baczyńska-Doncowa (1891-1978), dziennikarka i poetka ukraińska, żona Dmytro Doncowa.

Uprzednio przez prawie cały rok 1918 Doncow przebywał w Kijowie, a choć był bardzo czynny, większej roli politycznej nie odegrał. Na Ukrainie panowała ówczasie daleko posunięta anarchia, władza przechodziła z rąk do rąk, przy czym nie zawsze było wiadomo, kto co reprezentuje i na kim się opiera. Najpierw była Centralna Rada, a następnie, gdy ta nie potrafiła zapanować nad sytuacją, przy pomocy Niemców i Austriaków ogłoszony został hetmanem generał Pawło Skoropadskyj. Pochodził ze starego ukraińskiego rodu, niemal całkowicie zrusyfikowanego. W końcowym okresie utrzymywał się przy władzy dzięki rosyjskiemu oficerstwu, które praktycznie rządziło w Kijowie. Po ogłoszeniu federacyjnego związku z przyszłym państwem rosyjskim (14 listopada 1918 roku) wszyscy niepodległościowcy odeszli od Skoropadskiego, a w miesiąc później oddziały Dyrektorii (Symon Petlura) weszły do stolicy i obaliły władzę hetmańską, zresztą ówczasie zupełnie już iluzoryczną.

Doncow początkowo żywił poważne złudzenia co do Skoropadskiego i dopiero nieprzyjemne doświadczenia obudziły go z niezbyt realnych marzeń. Wojna domowa na terenie byłego imperium rosyjskiego dochodziła do punktu kulminacyjnego. Ukraina po odejściu wojsk państw Centralnych była zagrożona jednocześnie z kilku stron. W styczniu 1919 roku Doncow znowu udaje się za granicę, przy czym wszystko wskazuje, że stało się to z inicjatywy Symona Petlury i pułkownika Jewhena Konowalca, którzy ceniąc wysoko publicystykę Doncowa, chcieli go trzymać z dala od wszelkich niebezpieczeństw.

Jaka była sytuacja na Ukrainie, gdy Doncow osiedlił się na dłuższy czas we Lwowie (siedemnaście lat pobytu!) i przystąpił do energicznej działalności publicystycznej, która przez długi czas wywierała wielki, często decydujący wpływ na umysły, zwłaszcza młodszych pokoleń? Gdy się bada przyczyny ukraińskiej katastrofy narodowej i państwowej w latach 1918-1920, trzeba osobno przyrzeć się politycznemu kierownictwu i osobno masom ludowym, które rewolucjoniści różnego typu tak chętnie obdarzają mianem

„narodowych żywiołów”. Zwycięska Moskwa zachowała się najzupełniej odmiennie od imperialnego Petersburga. Minister Wałujew⁷¹⁸ wślawił się jeszcze w roku 1863 wydaniem prawa, według którego „o żadnej osobnej małosyjskiej mowy nie było, nie ma i być nie może”, a tzw. e m s k i m dekretem (rok 1876) Aleksander II jeszcze bardziej rozszerzał wszystkie antyukraińskie zakazy i szykany. Natomiast czerwona Moskwa stworzyła wszelkie możliwe pozory, byle Ukraińcom do reszty zamydlić oczy.

Stworzono rzekomo niezawisłą Republikę Ukraińską, ze stolicą w Charkowie, rozpoczęła się kulturalna „ukrainizacja”, patrzono przez palce na polityczne dyskusje, niekiedy dość swobodne, bujnie zaczęła się rozwijać literatura ukraińska. I w konsekwencji nastąpiła dezorientacja, sięgająca do samych szczytów. Hruszewskij i Wynnyczenko powrócili do kraju, a wraz z nimi mnóstwo niedawnych emigrantów. Komuniści ukraińscy brali na serio kłamliwe hasła i szczerze współpracowali z narzuconym systemem. „Nie ze strachu – pisze Sosnowskij – z przekonania”. Nastroje filozoficzne przerzuciły się także przez granicę ruską na teren Rzeczypospolitej Polskiej, obejmując dezorganizację ideowo-polityczną także tamtejszych Ukraińców (bracia Kruszelnyccy, Fedorciw i inni).

Sosnowskij zacytował Manuilskiego,⁷¹⁹ który w sierpniu 1922 roku oświadczył publicznie, że liczba zgłaszających się do powrotu emigrantów jest coraz większa, co nazwał „rozkładem ukraińskiej kontrewolucji” i „niewątpliwym sukcesem politycznym”. Nie od razu i tu i tam nastąpiło tragiczne rozczarowanie, spowodowane z jednej strony przymusową kolektywizacją i sztucznie zorganizowaną klęską masowego głodu, z drugiej – krwawymi represjami w stosunku do twórczej inteligencji ukraińskiej.

Na tym tle antysowiecka i w ogóle antyrosyjska orientacja Doncowa coraz bardziej się pogłębiała. Jego polityczne i historiozoficz-

⁷¹⁸ Piotr Wałujew (1815-1890), rosyjski polityk i urzędnik, m.in. minister spraw wewnętrznych (1861-1868).

⁷¹⁹ Dmytr Manuilskij (1883-1959), ukraiński komunista, członek władz partyjnych i państwowych ZSRR i USRR oraz Kominternu.

ne koncepcje omówię nieco dalej. Na razie jeszcze garść danych i dat, dotyczących pozostałego życia i działalności. Gdy wybuchła druga wojna światowa, Doncow miał pięćdziesiąt sześć lat, był w pełni sił. Lata wojenne to ciągła wędrówka, bez zaczepienia się nigdy na stałe: Gdańsk, Berlin, Bukareszt, Kraków, znowu Berlin, Praga. Wkrótce po wojnie Doncow dostaje się do Paryża, następnie do Londynu i wkrótce do Stanów Zjednoczonych. Ostatecznie wyjechał w roku 1947 do Kanady, gdzie pozostał aż do śmierci, czyli przez całe dwadzieścia sześć lat. Pracował nadal jako publicysta, ale nie chciał objąć redakcji żadnego czasopisma, choć mu to niejednokrotnie proponowano. Raz jeszcze wybrał się na krótko do Europy, mianowicie do Portugalii, ale ze względu na szybko pogarszający się stan zdrowia musiał wracać do Kanady, gdzie po roku umarł i został pochowany na ukraińskim cmentarzu. Śmierć jego odbiła się niezwykle szerokim echem w całej ukraińskiej diasporze, zarówno w Europie Zachodniej, jak w obydwu Amerykach i Australii. Jeszcze jeden dowód, jak wielką cieszył się popularnością i jaki wpływ wywierał. Nawet jego przeciwnicy – a miał ich немало – nie mogli zaprzeczyć, że w ukraińskim życiu społeczno-politycznym i ideowo-kulturalnym przez długi czas był postacią kluczową, zaś w ukraińskim odrodzeniu narodowym pierwszej połowy XX wieku odegrał rolę zasadniczą.

III.

Pierwszych kilkanaście lat publicystycznej działalności Doncowa to niewątpliwie okres zwątpień i poszukiwań. Czasy były trudne, niezmiernie skomplikowane i obdarzony niezwykle temperamentem pisarz nie mógł trafić od razu na właściwą drogę. Jego socjalizm miał prawdopodobnie w sporej mierze charakter koniunkturalny, nie wypływał z głębokiego, ideowego przekonania. Skoro był jedyną ówczesnie partią rewolucyjną, ostro przeciwstawiającą się caratowi, już choćby z tego jednego powodu należało doszłusować do jego szeregów.

Osoby, które dobrze znały młodego Doncowa (Doroszenko, Ło-
toćkyj, Petlura), charakteryzowały go jako człowieka dynamiczne-
go, ambitnego, wyjątkowo pracowitego, nałogowego pochłaniacza
książek, a jednocześnie autorytatywnego i bardzo trudnego w poży-
ciu. Sosnowśkyj zacytował (ss. 83-84) interesujące urywki z listów
Petlury do Doncowa. Petlura był wtedy redaktorem czasopisma
„Życie Ukraińskie”, Doncow – jego stałym współpracownikiem.
Ot, choćby taki urywek: „Jeżeli za jakieś 8-10 lat nie przeniosę się
na łono praojców i zostanę bankierem albo dyrektorem jakiegoś
akcyjnego towarzystwa, zaproszę Was do objęcia redakcji czasopi-
sma, specjalnie dla Was założonego, w którym będziecie mieli wol-
ną rękę do wypowiedania wszelkich możliwych herezji, oraz bę-
dziecie mogli swobodnie besztać wszystkie rodzime świętości...”.

Sosnowśkyj słusznie uznał tę żartobliwą charakterystykę za nie-
zwykle celną. „Otwarcie powiem – pisał Petlura w innym liście,
w lutym 1912 roku – że bardzo cenię i lubię Wasze artykuły; re-
dakcja podziela moją opinię i wielce Was szanuje, jako literata
i współpracownika o jasnej inteligencji, umiejętności łatwego, ży-
wego i ciekawego poruszania rozlicznych zagadnień... Ale może
byście zechcieli nieco szanować prawa redakcji i nie sprowadzali
jej do roli aparatu, który otrzymuje rękopisy i od razu przekazuje
do drukarni, nie licząc się z żadnymi okolicznościami...!”.

W powyższych słowach Doncow został pokazany (miał wte-
dy dwadzieścia dziewięć lat) w całej okazałości. Arbitralny, bez-
względnie przekonany o swojej słuszności, narzucający innym
własne poglądy i interpretacje. To typowe dla ludzi bezkompromi-
sowych, ale utrudnia, jak już podkreśliłem, współzycie i współpra-
cę. I takim Doncow pozostał na zawsze, aż do zgonu.

W młodości był nie tylko antyklerykałem, ale również zde-
cydowanym przeciwnikiem religii w ogóle, a chrześcijaństwa
w szczególności. Sosnowśkyj przytoczył fragment ze słynnej bro-
szury *Szkoła i religia*, wydanej w roku 1910. Doncow wzywał
w niej do usunięcia ze szkół nauki religii, gdyż „tak Kościół kato-
licki, jak Cerkiew prawosławna były zawsze zaciekłymi wrogami

wolności...”. Doncow stał wtedy jeszcze na pozycjach wojującego materializmu, ale dość szybko je opuścił. „Parafrazuując słowa samego Doncowa – pisze Sosnowskij (str. 88) – że kto zbliża się do socjalistycznych bożków, ten musi odwrócić się od Chrystusa, moglibyśmy dziś powiedzieć, że kto odwrócił się od socjalistycznych bożków, ten musiał nawrócić do Chrystusa”. A nieco dalej: „Duchowa ewolucja Doncowa na przestrzeni dziesięcioleci prowadziła od skrajnie lewych pozycji ortodoksyjnego marksizmu–socjalizmu i materializmu do skrajnie prawicowych, do zaakceptowania woluntarystycznego idealizmu, irracjonalizmu i wreszcie nawet do mistycyzmu w politycznej filozofii...”.

A na razie zerwanie z socjalizmem dojrzało nie tyle na tle religijno-moralnym, co polityczno-narodowym. W roku 1914 Doncow ogłosił drukiem broszurę *Engels, Marx, Lassalle o niehistorycznych narodach*, a prawie w tym samym czasie *Nowoczesne moskwofilstwo* oraz *Obecna sytuacja polityczna narodu i nasze zadania*. „Te dwie prace – ponownie cytuję Sosnowskiego – nie tylko zapewniły Doncowowi miejsce w awangardzie ukraińskich publicystów, lecz ponadto przyniosły mu międzynarodową renomę. Zagadnienia i sprawy, poruszone przez Doncowa w tych publikacjach, wzbudziły polemikę na łamach prasy ukraińskiej, rosyjskiej, polskiej i niemieckiej, a ponadto wywołały poważne zaniepokojenie w najwyższych kołach politycznych carskiego imperium”.

Polemika miała, rzecz prosta, charakter krytyczny, ale przy wszystkich brakach i niedostatkach wymienionych tekstów miały one niewątpliwie znaczenie historycznego przełomu. Doncow w sposób kategoryczny odżegnywał się od wpływów rosyjskich we wszystkich dziedzinach, a głównie w dziedzinie ideowo-kulturalnej, którą uznał za najważniejszą i najbardziej decydującą. Wzywał do całkowitego odcięcia się od Rosji, bo to jedyny sposób na przezwycięzenie w ukraińskiej masie kompleksu „narodowego hermafrodytyzmu”, określanego kiedy indziej jako mentalność prowansalska. Na tej drodze musiał dojść i doszedł do postulatu polityczno-państwowego rozvodu z Rosją.

Broszury Doncowa zostały we właściwy sposób ocenione przez najwybitniejszych Rosjan owego okresu. Sosnowśkyj przytoczył w swojej książce przemówienie, wygłoszone przez Milukowa⁷²⁰ na posiedzeniu rosyjskiej Dumy, 19 lutego 1914 roku. Milukow był, jak wiadomo, przed pierwszą wojną światową i podczas wojny liderem Partii Konstytucyjno-Demokratycznej (popularna nazwa „Kadeci”). Na posiedzeniu tym roztrząsano sprawę administracyjnego zakazu obchodzenia rocznicy Tarasa Szewczenki. Milukow, jak i całe jego stronnictwo uważał, że tego rodzaju polityka pobudza nastroje separatystyczne, więc jest szkodliwa. Punktem wyjścia dla przemówienia Milukowa stała się jedna z antyrosyjskich broszur Doncowa. Oto zakończenie przemówienia Milukowa:

„Panowie, separatystycznego ruchu na Ukrainie jeszcze nie ma, a jego zarodki są na razie dość nikle. Ale można go wychować, można go rozwinąć... Gdy obecnie odbieramy Ukraińcom ich ostatnią nadzieję na polepszenie się ich sytuacji w granicach Rosji, teraz gdy Ukraińcy zaczynają głośno mówić, podobnie jak Doncow i jego towarzysze, że wszelkie rachunki na Rosję to utopia i należy szukać ratunku w separatyzmie... jakież widzimy rezultaty? Widzimy ponowne odrodzenie się separatystycznych nastrojów, dowodem czego jest broszurka Doncowa, którą wam cytowałem. I powiadam wam: lękajcie się tego człowieka! Jeżeli będziecie uprawiać identyczną politykę co dotychczas, takich Doncowych będą setki, tysiące, miliony!”

Rosyjskie, skrajnie nacjonalistyczne koła zaczęły bić na alarm znacznie wcześniej. Separatyzm ukraiński określano najchętniej mianem „mazepiństwa” (od hetmana Mazepy), którego widmo wciąż straszyło obrońców „jedynej i niepodzielnej”. Jak te nastroje wyglądały, niech zaświadczy tekst artykułu, ogłoszonego w roku 1911 w szowinistycznym, ukraiñożerczym dzienniku „Kijewlanin”:

„Ukraińska sprawa to zasadnicze zagadnienie rosyjskiego narodu i rosyjskiego państwa, a zarazem – zasadnicze niebezpieczeń-

⁷²⁰ Paweł Miliukow (1859-1943), rosyjski polityk, założyciel i przewodniczący partii kadetów, poseł do Dumy, po 1918 r. na emigracji.

stwo. Polskie, ormiańskie, fińskie i inne zagadnienia dotyczą okrain państwa, a tym samym są drugorzędne. Nie Polska, nie Finlandia, nie inne kraje dały Rosji jej wielkość. Przeciwnie, te kraje raczej podcinały jej wielkość i potęgę. Wielkość Rosji powstała po osiągnięciu jedności rosyjskiego narodu; początkiem rosyjskiej wielkomocarstwowości stał się dzień 8 stycznia 1654 roku, gdy nastąpiło zjednoczenie Małorosji z państwem moskiewskim. I oto obecnie ruch mazepiński usiłuje zniszczyć narodową, kulturalną i polityczną jedność rosyjskiego narodu, czyli – używając innych słów – zniszczyć rosyjską mocarstwowość. Oto gdzie tkwi największe niebezpieczeństwo. Ruch mazepiński rośnie. Z tym trzeba się pogodzić. O tym trzeba wołać na cały głos. Niestety, rosyjskie władze państwowe pozostają głuche i ślepe w stosunku do tego najniebezpieczniejszego ze wszystkich ruchów. Ze swojej galicyjskiej bazy mazepiństwo rozłazi się po całej południowej Rosji. Ale władze milczą. Konieczność podjęcia przez wielki naród rosyjski narodowo-państwowej samoobrony wskazuje nam na zdecydowaną walkę z mazepiństwem...”

„Mazepiństwo” nie odegrało w latach rewolucyjnych roli, jakiej obawiali się rosyjscy szowiniści. Sosnowskij podał obszerne wyimki z tekstu znanego historyka Hruszewskiego, który oceniał ówczesną sytuację na Ukrainie w sposób zdecydowanie negatywny. Zbieżność z ocenami Doncowa – niemal całkowita. Oto, co ten pisał w artykule, ogłoszonym na łamach czasopisma „Nasz Głos” jeszcze w roku 1911:

„Poziom politycznej dojrzałości współczesnego społeczeństwa ukraińskiego jest nie tylko niższy od poziomu w wieku XVII i XVIII, ale nie można go nawet zestawiać z ideologią Towarzystwa Cyryla i Metodego. Ten upadek myśli politycznej spowodowany jest przede wszystkim tym, że obecne społeczeństwo ukraińskie jest, pod względem narodowym – hermafrodytą. Nie odczuwa swojej przynależności do całkiem osobnej, odrębnej narodowości, która oprócz swoich potrzeb narodowo-kulturalnych posiada również potrzeby polityczne, odmienne od potrzeb i dążeń innych narodów, a głównie rosyjskiego”.

Idąc konsekwentnie po tej linii, Doncow niepowodzenia ukraińskie w latach 1917-1920 przypisywał warstwie kierowniczej, nie zwalniając od odpowiedzialności żadnego działacza i ani jednego z działających ówczesznie ugrupowań politycznych. I na tym tle powstała nienawiść do Rosji jako głównej sprawczyni takiego stanu rzeczy.

Nazwałem Doncowa zgodnie z prawdą historyczną człowiekiem bezkompromisowym i o wielkim temperamencie. Był także gwałtownikiem, posuwającym się, gdy chodziło o sprawy zasadnicze, aż do fanatyzmu.

Dla zilustrowania nie zawadzi dać parę próbek prozy publicystycznej Doncowa. Odpowiadając swoim krytykom i krytykom „Wistnyka” pisał: „Idee propagowane przez „Wistnyk” to ideologia naszych czasów. Grzmi nad nimi *filosofia militans*, a nie filozofia „pokoju i ciszy”. Jest to okres konfliktu między „purytanami” i obojętnymi – konfliktu, a nie syntezy. Doba ludzi wiary, „pijanych swoim Bogiem”, surowych, a nie pobłażliwych wobec bezbożnych wrogów ludzkości. Doba, do której dorosli tylko ci, co posiadają 'abstrakcyjny dynamizm', ludzie określonych haseł, wiadomej rasy. Ludzie adekwatni do naszej ciężkiej, twardej epoki. Nie eklektycy, nie łątacze, nie ludzie koniunktury, nie słowni nierządnicy rzucający głośne hasła, a rozporządzający pustymi głowami. Między tymi dwoma rodzajami ludzkimi – kompromisu nie ma i być nie może”.

A przy innej okazji: „Nie ma na świecie większego przekleństwa od tak zwanego *obiektywizmu*, nie ma większego nieszczęścia od *bezstronnych* i neutralnych. *Obiektywni* to ci, co obawiają się zająć wyraźne stanowisko, to ani zimni, ani gorący, a panoszą się w życiu społecznym, w prasie, w literaturze, krytyce. Nie znoszą tych, co ustawiają drogowskazy i zmuszają do wyboru: z a a l b o p r z e c i w, zmuszają do nastawienia steru na określony kierunek”.

Nic dziwnego, że na podstawie tego rodzaju sformułowań Sosnowski uznał, że „słownik Doncowa nie zna innych barw, jak tylko *czerni* i *biel*”. Że nie ma u niego żadnych gradacji, żadnych „szarych” przejść między tymi barwami. Teraz już nas nie może zdzi-

wić, gdy czytamy, że Doncow wysunął koncepcję zakonu jako przeciwstawienia i przeciwwagi p a r t i i, uwydatnienie roli „mniejszości z inicjatywą”, z uszczerbkiem dla demokracji, idei „prowadzącej, kierowniczej kasty” jako decydującego czynnika w życiu narodowym, nosiciela „woli życiowej” i „woli władczej”. Czy więc Doncow nie zapatrzył się na taki czy inny faszyzm, jak to twierdził niejeden z jego przeciwników? I na to pytanie trzeba będzie odpowiedzieć w dalszym ciągu.

Doncow bardzo wcześnie, bo w niewiele lat po zwycięstwie bolszewickiej rewolucji właściwie ocenił jej istotną treść i cele. Uznał bolszewizm za typowo „rosyjskie zjawisko”, przy czym zwracał uwagę (nie bez pewnej słuszności), że Bakunin wpłynął na główne cechy bolszewizmu w większym stopniu niż Marks i Engels (historycy sowieccy kategorycznie temu zaprzeczają). Stawiał sprawę jasno i niedwuznacznie: „Mamy przed sobą wielki konflikt dwóch cywilizacji, dwóch politycznych, społecznych i kulturalno-religijnych ideałów, konflikt Europa – Rosja”.⁷²¹

Na Zachodzie, zwłaszcza w Anglii, oddawano się ówczesnie (a i po wielu latach!) naiwnym złudzeniom i pobożnym życzeniom: liczone na korzystną ewolucję i stopniową europeizację Rosji Sowieckiej.

Ciekawe i znamienne: takich złudzeń nie mieli zachodni Europejczycy przez cały prawie wiek XIX, od markiza de Coustine'a, poprzez Jules Micheleta, aż do Dawida Urquharta. Nawet Tomasz Masaryk, chociaż Czech, potrafił wyłamać się z tradycyjnych marzeń panslawistycznych i w swojej francuskiej książce *Sur le bolchevisme*⁷²² przeprowadził celną analogię między Rosją carską i sowiecką. Na opinię jego narodu praca ta nie wywarła żadnego wpływu i bodaj nawet nie ukazała się w przekładzie na czeski.

⁷²¹ Zdaje się, że nikt jeszcze nie zwrócił uwagi na poważne zbieżności między Doncowym, a tym, co o Rosji pisał w swoim kapitalnym, wielotomowym dziele *Od białego do czerwonego caratu* Jan Kucharzewski. Nie wiem, czy Doncow czytał Kucharzewskiego; jeżeli, to na pewno w latach późniejszych, gdy jego poglądy na Rosję były już od dawna skryształizowane. A Kucharzewski chyba o Doncowie tylko to i owo słyszał. Nie tylko słowa, także idee *latają* [przyp. J Łobodowskiego].

⁷²² Geneva 1921.

Wychodząc z założenia, że Rosja stanowi największe, zasadnicze niebezpieczeństwo dla samego istnienia narodu ukraińskiego, Doncow żądał absolutnej separacji pod każdym względem. Już cytowałem uprzednio jego celną opinię, że bez duchowego odcięcia się od Rosji zerwanie powiązań politycznych (a raczej w i ę z ó w !) nie będzie w ogóle możliwe. A że temperament stale go ponosił, szedł często zbyt daleko i przekreślał Rosję w całości, nie uznając żadnych paliatywów, co było psychologicznie zrozumiałe, ale historycznie niedające się ani usprawiedliwić, ani obronić.

Gdy raz doszedł do przekonania, że Rosję należy traktować jak źródło niedającej się opanować, a tym bardziej uleczyć zarazy, wysunął koncepcję postawienia na Europę Zachodnią i jej cywilizację. Zerwanie z „rosyjskim kompleksem” wymaga, zdaniem Doncowa, zwrócenia się frontem do Europy, pełnej okcydentalizacji ukraińskiego narodu. Zresztą nie był w tym jedyny ani odosobniony. Już Drahomanow wysuwał identyczny postulat, choć traktował go nie dość konsekwentnie. Na Ukrainie posowieckiej stawiał na „psychologiczną Europę” Mykoła Chwyłowyj, który znajdował się pod wpływem Doncowa, oraz niezależnie od niego Mykoła Zerow, świetny tłumacz greckich i rzymskich poetów, autor głośnego hasła *ad fontes*. Obydwaj zapłacili za to życiem. Chwyłowyj zastrzelił się latem 1933 roku. Zerow zginął w łagrze solowieckim, do ostatnich chwil, już konający, pracując nad przekładem *Eneidy* starego Marona. Dwa tragiczne symbole owego dążenia do okcydentalizacji.

Doncow uważał, że wcale nie powinno chodzić o jakieś „zachodnienie” ukraińskiego narodu, lecz po prostu o powrót do starych tradycji, ciągle żywych, a tylko przygłuszonych i częściowo wynaturzonych rosyjskim wpływem. Pozostawał pod tym względem w pełnej zgodzie ze znanym historykiem Krupnyćkym,⁷²³ który swój pogląd sprecyzował w następującym lapidarnym zdaniu: „Należąc fizycznie do Europy Wschodniej, Ukraina należy ducho-

⁷²³ Borys Krupnyćkyj (1894-1956), historyk ukraiński, po 1920 r. na emigracji.

wo do Europy Zachodniej”. Doncow także uważał, że orientacja prozachodnia powinna sprawić, aby do decydującego głosu doszły te wartości, które swego czasu określały naród ukraiński jako część składową Zachodu.

IV.

Już padło na jednej z poprzednich stronice określenie „dynamiczny nacjonalizm”. Łączy się on bardzo ściśle ze zwalczaniem Rosji w każdej, jak podkreśliłem, dziedzinie i na każdym terenie. Przecistawiając się ostro ukraińskiemu prowincjonalizmowi, którego korzenie kryły się w wieku XVIII, po nieudanej próbie hetmana Mazepy (kłęska pod Połtawą), Doncow proponował jako najskuteczniejsze lekarstwo doprowadzony do skrajności woltaryzm, stanowiący podstawę światopoglądu, etykę, stawiającą na czele wartości interes narodowy, historiozofię interpretującą przeszłość jako sumę wydarzeń zrodzonych z idei. W wykrywaniu i piętnowaniu wad i przywar ukraińskiego narodu był bezlitośnie bezkompromisowy. Nie obeszło się bez przesady. Gdy Doncow nazywa swój naród „pariasem”, „fellachem”, gdy mu zarzuca „wąski i tępy intelektualizm” i „wiarę w abstrakcyjne doktryny”, i gdy wreszcie posuwa się do obelgi: „psychologia plebejuszów”, jest w tym tyleż słuszności, co jaskrawej przesady. Ale ten szok traumatyczny był najwidoczniej potrzebny, skoro drastyczny zabieg okazał się po jakimś czasie skutecznym.

Już wspomniałem, że Doncowowi bardzo często zarzucano zbyt intensywne zapatrzenie się w faszyzm, a nawet ślepe jego naśladownictwo. Słowo „faszyzm” zrobiło za naszych czasów zawrotną karierę, oczywista w sensie zdecydowanie negatywnym. Zrobiono z niego demona, wywierającego potężny wpływ na wszystkie niemal narody, zawsze w równym nasileniu duszącego wolność, demokrację, ludzkie prawa. „Faszyzm” stał się w takim ujęciu kluczem pasującym do każdych drzwi, ubraniem skrojonym na uniwersalną miarę. Faszyzm włoski, niemiecki hitleryzm, hiszpański fran-

kizm, portugalski salazaryzm, dyktatury południowoamerykańskie, wszelkie autokracje, choćby stosunkowo umiarkowane – wrzuca się do jednego worka, nie odróżniając i nie chcąc odróżniać odrębnych cech. Gdy ktoś wskazuje na istotne różnice, natychmiast zostaje napiętnowany jako faszystowski apologeta. Ostatecznie faszystą zostaje każdy, kto nie chce utożsamiać się ze skrajną lewicą.

Wypada stwierdzić, że wpływy włoskiego faszyzmu były na Doncowa oczywiste, ale ani wyłączne, ani obejmujące całość. Istotne wpływy światopoglądowe przyszły z czasów o wiele wcześniejszych, gdy Mussolini ledwie zjawił się na świat. Nie ulega wątpliwości, że w o l u n t a r y z m, z taką energią propagowany przez Doncowa, wywodził się jednocześnie z Schopenhauera i Nietzschego. Zwłaszcza nietzscheanizm zaważył najmocniej. Doncow wziął dosłownie schopenhauerowskie *Wille zum Leben* (wola życia) i nietzscheańskie *Wille zur Macht* (wola mocy), ale interpretacja tych haseł nie zawsze i nie we wszystkim była zgodna z intencjami obydwu filozofów. Trzeba Doncowowi przyznać, że potrafił te wpływy przetrawiać po swojemu i nadawać im odmienny sens. Stąd wziął się „tragiczny optymizm”, określenie dobrze pasujące do pisarzy, którzy poszli za Doncowym i skupili się przy „Wistnyku”: Jurij Łypa, Ołeh Olżycz, Jewhen Małaniuk, Jurij Kłen, Leonid Mosiendz,⁷²⁴ Ułas Samczuk... Zwraca uwagę, że w znacznej większości byli to liryczni poeci, czego nie uważam za przypadek.

Wszyscy wymienieni wcześniej czy później rozeszli się z ideologią Doncowa i zajęli inne pozycje, niekiedy przeciwstawne. Sosnowskyj twierdzi (str. 25), że rozstanie to odbyło się nie tyle ze względów zasadniczych, co ze względu na nadmierną arbitralność Doncowa, który nie tolerował najmniejszej krytyki i sprzeciwu. Wymagał, aby jego poglądy były przyjmowane w całości, bez żadnych poprawek i zastrzeżeń. A jego współpracownicy byli także indywidualistami, więc niejednokrotnie redaktorska kosa trafiała na kamień. Niektórzy z wymienionych pisarzy odeszli daleko od

⁷²⁴ Leonid Mosiendz (1897-1948), poeta, pisarz i krytyk literacki ukraiński, po 1920 r. na emigracji.

mistrza, inni, nawet przy odmienności poglądów, zachowali do niego sentyment na zawsze – *exemplum* Małaniuk.

Co ludzi wykształconych, a nastawionych krytycznie zrażało u Doncowa, to jego kapryśna niekonsekwencja. Potrafił powoływać się na pisarzy, ideologów, polityków, którzy mieli ze sobą niewiele albo zgoła nic wspólnego, i sprowadzał ich do jednego mianownika. Sosnowskij zacytował amerykańskiego badacza kwestii ukraińskiej, Johna A. Armstronga,⁷²⁵ który w swoim artykule *Collaborationism in World War II* określił Doncowa jako „człowieka o niezwykle złożonym składzie intelektualnym”. Armstrong wymienił listę „dziwnych bohaterów” Doncowa: Nietzsche i Bergson, George Sorel, Kipling, Kitchener i Teodor Roosevelt!... O wiele słuszniej byłoby postawić na czele tej listy Charles Maurrasa.

Krytycy Doncowa rekrutowali się prawie wyłącznie spośród pisarzy, historyków, polityków; gdy chodziło o znaczną część społeczeństwa, a zwłaszcza o młode pokolenia, był niemal wyłącznym władcą uczuć i myśli. Młodzi nacjonałiści ukraińscy z OUN widzieli w nim przywódcę z powszechnej nominacji, ideologa o niewątpliwym autorytecie, niemal narodowego proroka. Tego nie kwestionował i nie kwestionuje nikt, nawet żaden zdeklarowany oponent.

Doncow nie żyje od siedmiu lat, umarł po dwudziestu ośmiu latach pobytu na emigracji. Niektórzy już wtedy twierdzili, że Doncow przeżył sam siebie, że był bezsilnym świadkiem stopniowego odchodzenia ukraińskiej diaspory od jego ideologii. Czasy się zmieniają. O powodzeniu ideologii Doncowa zadecydował w latach dwudziestych i następnych głęboki kryzys, wywołany katastrofą narodowych dążeń w okresie bolszewickiej rewolucji i wojny domowej, w której Ukraina była raczej przedmiotem niż podmiotem. Zakończenie drugiej wojny światowej spowodowało nowy kryzys, pod pewnymi względami głębszy od poprzedniego.

Ten etap historyczny, który najświetniej był reprezentowany przez Doncowa, jest już definitywnie zamknięty. Pozostaje jednak

⁷²⁵ John Alexander Amstrong Jr. (1922-2010), amerykański historyk i sowietolog.

<p>Tasa Taxe 910 Ptas.</p>		<p>Prórroga o renovación de validez Prorogation de validité Extension or renewal of validity</p>	
<p>Derechos percibidos : Taxe perçue : Fee paid :</p>		<p>Desde du From</p>	<p>} 14-4-86</p>
		<p>Hasta au To</p>	<p>} 13-4-87</p>
<p>Hecha en Fait à Done at</p>	<p>} MADRID</p>	<p>Fecha le Date</p>	<p>} 3-4-86</p>
<p>Firma y sello de la autoridad que prorroga o renueva la validez del documento : Signature et cachet de l'autorité qui proroge la validité du titre. Signature and stamp of authority extending or renewing the validity of this document.</p>		<p><i>José Velasco</i></p>	

<p>Tasa Taxe 1000 Ptas.</p>		<p>Prórroga o renovación de validez Prorogation de validité Extension or renewal of validity</p>	
<p>Derechos percibidos : Taxe perçue : Fee paid :</p>		<p>Desde du From</p>	<p>} 13-4-87</p>
		<p>Hasta au To</p>	<p>} 12-4-89</p>
<p>Hecha en Fait à Done at</p>	<p>} Madrid</p>	<p>Fecha le Date</p>	<p>} 10-4-87</p>
<p>Firma y sello de la autoridad que prorroga o renueva la validez del documento : Signature et cachet de l'autorité qui proroge la validité du titre. Signature and stamp of authority extending or renewing the validity of this document.</p>		<p><i>[Signature]</i></p>	

Karta z wystawionego przez władze hiszpańskie paszportu Józefa Łobodowskiego, ważnego na wszystkie kraje świata – z wyjątkiem PRL.

aktualny główny postulat Doncowa: moralny nakaz nieustannej walki. Wyjaśniam: nie chodzi o moralność jako kategorię czysto etyczną, lecz o bezwzględną wiarę w posłannictwo narodowe. Cechy te nie potrzebują żadnej podbudowy ideologicznej, więc pasują do każdej orientacji, byleby ta stała na gruncie niepodległościowym.

„Nowe czasy – to końcowe słowa książki Sosnowskiego – wymagają nowych myśli i koncepcji, nowych taktycznych sposobów i nowej strategii. Ze skarbicy przeszłości można brać tylko to, co w nowej rzeczywistości uznane zostanie za pozytywne i stymulujące. W mojej analizie zasad 'dynamicznego nacjonalizmu' starałem się wskazać te polityczne elementy, które nawet w zmienionym kontekście polityczno-społecznym zachowały swoje znaczenie i mogą znaleźć odpowiednie zastosowanie. Natomiast jako całościowy system ideologia *dynamicznego nacjonalizmu* – wraz z jej projekcją na polityczną i społeczną organizację narodu – nie może stanowić dla ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego niezbędnej bazy ideowej tak, by stał się, oparty na niej, czynnikiem konstruktywnym na drodze organizowania narodu ukraińskiego w jego zmaganiach o polityczną niezależność i państwową niepodległość. Przywódcy ukraińskich organizacji narodowych uświadamiali sobie to już w latach czterdziestych i wyciągnęli z tego konieczne wnioski. Dalszy rozwój sytuacji aż po dzisiejszy dzień dowiódł, że poczynione ówczesnie wnioski były prawidłowe”.

Takie postawienie sprawy przysporzyło Sosnowskiemu niejednego wroga, głównie wśród stuprocentowych zwolenników i wielbicieli Doncowa. Sądzę, że jeszcze sporo wody upłynie w ukraińskich i emigracyjnych rzekach, zanim poruszone zagadnienia zostaną rozstrzygnięte i wyczerpane bez reszty. Żaden ruch wyzwolenczy nie jest w stanie wyzbyć się fanatyzmu i nienawiści, czy się to nam podoba, czy nie. Doncow był głosicielem takiej akcji dynamicznej, która daje potężny impuls do zwycięskiego zwalczania wszelkich trudności. Zapowiadał konieczność zwycięstwa w dziedzinie duchowej, zanim zmaterializuje się w życiu realnym. Zasada była ze wszech miar słuszna, choć jej rozwinięcie mogło grzeszyć pod

tym czy innym względem. I dochodząc do tego punktu, wszelkie krytyczne analizy, gdzie indziej właściwe, natychmiast stają się beзуżyteczne. Takie jest Doncowa „zza grobu zwycięstwo”.

V.

Czytelnicy „Kultury” mają prawo postawić pytanie: „A jaki był stosunek Doncowa do narodu polskiego, do Drugiej Rzeczypospolitej?”. Konflikty ukraińskie z sąsiadami dzielił on na takie, które mają znaczenie zasadnicze, i inne, o znaczeniu lokalnym. Niebezpieczeństwo rosyjskie wysuwał zawsze na pierwsze miejsce, wszystko inne usuwał w cień. Był zwolennikiem powstania antyrosyjskiej koalicji, do której obok Ukrainy miałyby wejść przede wszystkim Polska, następnie także Węgry i Rumunia. Zgadzał się na „Warszawską konwencję”, zawartą w roku 1920 przez Piłsudskiego z Petlurą, ponieważ w tamtej sytuacji nie widział żadnego innego rozwiązania. Pisał, że utrata Hałyczyny (Wschodniej Galicji) i części Wołynia była wielce bolesna, ale przejściowo konieczna.

Jeżeli do powstania takiego antyrosyjskiego bloku nie dojdzie – zapowiadał proroczo – to Rosja prędzej czy później skorzysta z jakiejś okazji i „zjednoczy wszystkie ukraińskie ziemie pod swoją władzą”. W *Podstawach naszej polityki* pisał, że „każdy, kto dąży do natychmiastowego połączenia wszystkich ukraińskich ziem, wysuwając ten postulat ponad wszystko i uprawiając wschodnią orientację, pracuje na korzyść Rosji i pomaga jej postawić krzyż nad ukraińską niepodległością. Logiczne następstwo takiej polityki – panowanie Rosji na całości naszych ziem...”.

Wojna 1920 roku, w której dywizje Petlury biły się po polskiej stronie, zakończyła się zwycięstwem Polski i dla Ukrainy. Przyszłość wykazała, że było to dla nas zwycięstwo Pyrrusowe, zaś pokój Ryski chwilowym zawieszeniem broni. A w wyniku drugiej wojny światowej nastąpiło to najgorsze, czego tak bardzo obawiał się Doncow: zjednoczenie Ukrainy pod bolszewicką, rosyjską egidą. Polska dostała się do tego samego, sowieckiego worka, choć jej położenie jest bez porównania pomyślniejsze.

Jak podałem, w roku 1922 Doncow uzyskał pozwolenie na osiedlenie się we Lwowie i aż do roku 1939 wydawał i redagował czasopismo „Wistnyk”, sztandarowy organ ukraińskiego odrodzenia narodowego. Jak wyglądał jego stosunek do Polski w ciągu tych siedemnastu długich lat? Nie mógł być pozytywny. Nonsensowna polityka administracyjna wobec „mniejszości” ukraińskiej, która to „mniejszość” na terenie sześciu województw stanowiła oczywistą większość, doszła w ostatnich latach drugiej niepodległości do szczytów obłądu. Nie można było w tych warunkach oczekiwać od takiego pisarza jak Doncow przyjaznego czy choćby tylko neutralnego stosunku. Ale nie tylko to.

Niejednokrotnie rozmawiałem na ten temat z poetą Jewhenem Małaniukiem, który jak już mówiłem, był wielkim przyjacielem Doncowa. Małaniuk postawił sprawę bez żadnych ogródek. Traktowanie Ukraińców przez władze polskie nie mogło naturalnie wzbudzać zachwytu. Ale Doncow wskazywał, że Druga Rzeczpospolita nie miała żadnej atrakcyjnej idei, duchowo i moralnie nie była w stanie nikomu zaimponować. I ten brak ideologicznej atrakcyjności był dla człowieka i pisarza typu Doncowa najważniejszy. Zrażał go nieprzyjemnie do Rzeczypospolitej i do ówczesnych Polaków.⁷²⁶

Nieznamość nastrojów w masach ukraińskich była zaiste zatrważająca. Gdy na początku roku 1938 w tygodniku „Wołyń”, wychodzącym w Łucku, ukazał się artykuł ostrzegający przed konsekwencjami akcji antyukraińskich, natychmiast odezwała się „Polska Zbrojna”, organ polskiej armii. Pewien pułkownik, mocno zaangażowany w tzw. kampanii rewindykacyjnej, pouczył redakcję „Wołyńia”, że chłop ukraiński jest nastawiony całkowicie

⁷²⁶ W chwili wybuchu wojny gen. Składkowski nie miał nic pilniejszego do roboty jak osadzić Doncowa w Berezie, skąd uwolnili go Niemcy i z honorami przewieźli do Berlina. Po klęsce wrześniowej znalazłem się w Bukareszcie, gdzie przejściowo pracowałem jako sekretarz ambasadora Rogera A. Raczyńskiego. Któregoś dnia późną jesienią 1939 roku zgłosił się do mnie w ambasadzie Doncow (którego znałem przed wojną) i poprosił... o wydanie paszportu polskiego. Był to piękny rycerski gest, który głęboko odczułem i który stał się początkiem naszej przyjaźni. (Trzeba również zaznaczyć, że kilka artykułów Doncowa było drukowanych w redakcyjnych przeze mnie „Buncie Młodych” i „Polityce”. – Redaktor [Giedroyc]).

lojalnie do Rzeczypospolitej i w razie wojny nic nam z jego strony nie grozi. Ów pułkownik od dawna nie żyje i nie chcę wymieniać jego nazwiska. Nie wiem, gdzie przebywał we wrześniu roku 1939 i w latach następnych. Gdyby zawadził wtedy o Wołyń, miałyby okazję przekonać się, jak zabawnie w świetle wydarzeń wypadły jego zapewnienia o lojalności.

VI.

Jeszcze na zakończenie kilka słów o książce Mychajły Sosnowskiego, która bardzo mi pomogła przy pisaniu niniejszego szkicu. Jest to praca niezmiernie solidna, wyczerpująca podjętą tematykę i problematykę, wszechstronnie udokumentowana. Centralną postacią jest naturalnie i zgodnie z tytułem Dmytro Doncow, ale jednocześnie mamy na tych przeszło czterystu stronach plastycznie i wyczerpująco przedstawione polityczne dzieje narodu ukraińskiego na przestrzeni całego półwiecza, od przełomu dwóch stuleci aż poza drugą wojnę światową. Nie waham się nazwać tej książki swoistą encyklopedią ukraińskości owego okresu, już zamkniętego, już należącego do historii, a wciąż domagającego się dalszego ciągu, dalszej twórczej kontynuacji.

Orientuję się, że niejedni uznali ją za kontrowersyjną czy za zbyt stronniczą, że powinna wywołać krytyczną, uzupełniającą polemikę. To dobrze! Ci, co w swojej młodości, nieraz bardzo wczesnej, poszli za Doncowym, są w najlepszym razie w sile wieku, pozostali dobiegają do starości. Uczestniczyli w opisywanych wydarzeniach. Niektóre oceny i opinie Sosnowskiego mogły im się wydać jednostronne, a nawet krzywdzące. To przy tego rodzaju pracach jest nieuniknione – zawsze i wszędzie.

Niemniej praca Sosnowskiego należy do książek, do których stale się powraca jako do niewyczerpanego źródła informacji i dokumentów. I choćby ich interpretacja miała budzić niekiedy pewne wątpliwości, wielki ciężar gatunkowy tej książki nic na tym nie traci.

[„Zeszyty Historyczne” 1981 nr 55]

TRZECI NUMER „WIDNOWY”

Ukazał się trzeci numer czasopisma „Widnowa” („Odnowa”), wychodzącego od ubiegłego roku w Monachium. Jest to numer podwójny, za lato i jesień 1985. Książkowego formatu, liczy sobie 280 stron, co nawet jak na podwójny numer kwartalnika wygląda dość imponująco. W skład blisko dwudziestoosobowego komitetu redakcyjnego wchodzi oprócz Ukraińców Rosjanie, Polacy, Żydzi i przedstawiciele innych narodowości, a więc mamy do czynienia z czymś w rodzaju swoistego ekumenizmu polityczno-publicystycznego. Numer poświęcony został w całości „wzajemnym zagadnieniom polsko-ukraińskim”, co zwrócić musi na niego specjalną uwagę polskiej emigracji.

Otwiera go zasadniczy artykuł Bohdana Osadczyka,⁷²⁷ poddający solidnej analizie stosunki polsko-ukraińskie w stosunkowo niedawnej przeszłości. Autor nie ukrywa ciemnych stron tych stosunków. Dostrzega na przykład rolę prowokacji niemieckiej lub sowieckiej, ale nie przypisuje jej głównego znaczenia. Przyczyny wrogości polsko-ukraińskiej kryły się gdzie indziej. „Byłoby wielkim uproszczeniem – pisze słusznie Osadczyk – gdyby ktoś spróbował wyjaśniać polsko-ukraińskie konflikty i wzajemne rzezie podczas drugiej wojny światowej czy masową deportację Ukraińców z Łemkowszczyzny w roku 1947 jedynie intrygami sąsiadów. Że owe intrygi przyczyniły się do tego, to jedna sprawa, a że Polacy i my, Ukraińcy – każdy na swój sposób i według swoich możliwości – czyniliśmy rzeczy najgorsze, to druga sprawa i bezsprzecznie najważniejsza”.

Gdy strona przeciwna zajmuje taką rozsądną postawę, droga do obiektywnej dyskusji zostaje szeroko otwarta. Cały numer „Widnowy” został zredagowany właśnie w taki sposób: mówienie prawdy obydwu stronom, choćby była ona najnieprzyjemniejsza. Oficjalnie

⁷²⁷ Bohdan Osadczyk (1920-2011), dziennikarz i publicysta ukraiński.

mówi się, że do starej waśni polsko-ukraińskiej nie ma już powrotu i że wszelkie powody dawnej wrogości zostały raz na zawsze usunięte. Wiemy jednak, iż rzeczywistość jest całkowicie odmienna. Reżym generała Jaruzelskiego prowadzi politykę zdecydowanie antyukraińską, usiłując skierować antysowieckie i antyrosyjskie nastroje społeczeństwa przeciw Ukraińcom. W ankiecie, przeprowadzonej z wybitnymi polskimi działaczami na emigracji i w kraju, znalazły się między innymi następujące pytania: „Od niedawna w Polskiej Republice Ludowej rozszerzyła się gwałtowna kampania antyukraińska. Co jest przyczyną tej kampanii? Skąd wyszła inspiracja? Kto bierze w niej udział?”. Jedna z osób ankietowanych – mianowicie Jerzy Giedroyc – odpowiedziała w sposób równie kategoryczny, jak niedwuznaczny: „Nie mam najmniejszych wątpliwości, że prowadzona obecnie w Polsce antyukraińska kampania została zainspirowana przez Moskwę. Porozumienie i normalizacja stosunków polsko-ukraińskich stanowiłyby, rzecz zrozumią, groźbę dla sowieckiego imperium”.

Dotychczas prawie zawsze działo się tak, że gdy emigracyjne czasopisma zabierały głos w sprawie krwawych wydarzeń podczas drugiej wojny światowej na terenie polsko-ukraińskim, zarzuty były niemal zawsze skierowane przeciw jednej stronie. Trzeci numer „Widnowy” nie popełnia tego błędu. W artykule Mychajły Demkowycza–Dobriańskiego⁷²⁸ znalazło się kilkanaście przykładów zbrodni, popełnianych przez obydwie strony. „Wołyń, Chełmszczyzna i Hałyczyna były podczas drugiej wojny światowej – pisze Dobriańskij – terenem tragicznych wydarzeń w konsekwencji polsko-ukraińskiego konfliktu. Tysiące ludzi zamordowano, często przy akompaniamencie znęcania się i tortur”. Dobriańskij nie oszczędza nikogo i podaje szereg przykładów straszliwych scen, jakie działy się w owych latach na wymienionych terenach. „Dotąd nie mamy – czytamy w dalszym ciągu – całościowego poglądu na historię

⁷²⁸ Mychajło Demkowicz Dobriańskij (1905-2003), ukraiński dziennikarz, redaktor naczelny „Problemów” (1947-1948), „Ukraińskiej Dumki” (1949-1950), kierownik ukraińskiej sekcji Radia Swoboda (1956-1972).

ukraińsko-polskiego konfliktu podczas drugiej wojny światowej. Istnieją wzajemne oskarżenia. Polacy krzywdzili w tej walce naszych ludzi i my, Ukraińcy, krzywdziliśmy Polaków. Obie strony kultywują pamięć o tym, co komu uczyniono. A tak naprawdę obydwu narodom potrzebna jest obiektywna historia tego okresu”.

Niewątpliwie odegrały swoją rolę nieuzasadnione nadzieje ukraińskie na Niemców i niedocenienie przez obydwie strony niebezpieczeństwa sowieckiego.

„Jak wiemy *post factum* – to dalszy cytat z tegoż artykułu – z «Dziennika» generalnego gubernatora, Hansa Franka i z wypowiedzi Himmlera, ich reżym nie robił istotnej różnicy w traktowaniu ukraińskiego i polskiego narodu. Jedni i drudzy należeli do rodzaju Untermensch'ów. Warszawa była dwukrotnie zrujnowana, Kijów miał być zrównany z ziemią. Rozkazu tego nie wykonano wyłącznie z powodów technicznych. Hans Frank zapisał: *Gdy wygramy wojnę, zrobimy siekane mięso i z Polaków, i z Ukraińców*. O nastawieniu Hitlera do narodów słowiańskich można było dowiedzieć się z jego książki *Mein Kampf*, w której szczególnie pogardliwie wyrażał się o galickich *Rusinach*. Ale Ukraińcy nie czytali tej książki. Znam tylko trzy osoby z Hałyczyny, które ją czytały przed wojną”. Powstaje pytanie: ilu Polaków przeczytało *Mein Kampf* i ilu z tych, co ją przeczytali, wzięło wyłożone tam idee i pomysły na serio?

Inny znamieny fragment z artykułu Osadczyka: „Tak Rosja, jak i Niemcy widziały w możliwości rozpalania polsko-ukraińskich konfliktów instrument, służący do urzeczywistniania własnych imperialistycznych interesów. Tak było za republiki weimarskiej i za reżymu hitlerowskiego. Jak dalece Niemcy to rozumieli i realizowali, mogli się ich ukraińscy 'sojusznicy' przekonać po podpisaniu polsko-niemieckiej umowy o nieagresji w roku 1934 i paktu między Hitlerem i Stalinem w roku 1939. Do tego ABC niemiecko-ukraińskiej współpracy można jeszcze dodać sprzedaż Karpackiej Ukrainy Węgrom Horty'ego⁷²⁹ na wiosnę 1939 roku. Ale istnieją bar-

⁷²⁹ Miklos Horthy (1868-1957), wojskowy, polityk węgierski, regent Węgier (1920-1944).

dziej niepokojące przykłady, które powinny stać się dla obecnych i przyszłych pokoleń ukraińskich przestrożą przed udziałem zarówno w moskiewskich, jak i niemieckich planach, skierowanych przeciw Polsce. Konkretnie mam na myśli następujące zjawisko: kiedy w latach 1920 i 1939 niemieckie koła wojskowe i wywiadowcze podtrzymywały antypolską działalność ukraińskich nacjonalistów, jednocześnie aktywnie współpracowały z bolszewicką Moskwą, nie wtrącając się do antyukraińskiej polityki Stalina. Dmytro Doncow, główny ideolog ukraińskiego nacjonalizmu, nigdy jasno nie powiedział swoim zwolennikom o tym rozdzieleniu niemieckich „sojuszników”. Całkowity krach tej orientacji nastąpił dopiero po epizodzie z 30 czerwca 1941 roku we Lwowie, kiedy faktycznie podzielono terytorium Ukrainy między Niemcy, Węgry i Rumunię”. Jak wynika z powyższego cytatu, Osadczyk nie przypisuje intrygom sąsiadów zasadniczego znaczenia.

Aż do Układu Warszawskiego między Piłsudskim i Petlurą, polska myśl polityczna nigdy nie stawiała na niepodległość Ukrainy, wysuwając pretensje do granic na wschodzie z roku 1772. A jak było za drugiej niepodległości? Ma rację Osadczyk, że niewiele się zmieniło na korzyść. Osadczyk uczciwie wymienia wszystkie grupy, które usiłowały zmienić postawę społeczeństwa polskiego, jak na przykład „Biuletyn Polsko-Ukraiński” Włodzimierza Bączkowskiego, „Bunt Młodych”, przekształcony następnie w „Politykę” Jerzego Giedroycia, ruch prometejski, chełmską „Kamień”, ale jednocześnie słusznie stwierdza, że były to „małe wysepki w morzu wrogości i ignorancji” albo „białe kruki”, jak je nazwał... Iwan Kedryn-Rudnyćkyj.

Wśród młodzieży endeckiej, która grała główne skrzypce na uniwersytetach i w wojsku, panowała zasada „trzymania za mordę”. Jak mi powiedział w dyskusji pewien przyjaźnie do mnie nastawiony major z lubelskiego 8. Pepelegu:⁷³⁰ „Byliśmy tyle czasu pod wozem, dlaczego teraz nie mamy się odkuć za tamte czasy?”. Odpowiedziałem: „A jeżeli znowu znajdziemy się pod wozem, co wtedy?”.

⁷³⁰ 8 Pepeleg – 8 PPLeg – 8 pułk piechoty Legionów.

I tak rzeczywiście się stało. Stare zwyczaje nie zniknęły i na emigracji. „Nie mamy czego się wstydzić!” – zapewniał pewien emigrant w liście do redakcji, w odpowiedzi na mój artykuł, usiłujący przedstawić sprawę w prawdziwym świetle, a nie jako wymaginowaną sielanekę. „Nasze narody – ukraiński i polski – pisze w zakończeniu swego artykułu cytowany już powyżej Demkowycz-Dobriański – mają żyć i wywalczyć sobie lepszą przyszłość. Należy przedkładać drogę uspokojenia, zbliżenia i współpracy, bo tylko wspólnym wysiłkiem te dwa narody mają szansę obronienia się przed wspólnym wrogiem – komunistycznym imperializmem rosyjskim”.

Cóż dodać do tych słusznych i mądrych słów? „Warunkiem takiej współpracy ma stać się przeczyszczenie atmosfery na drodze wzajemnego przebaczenia. Zgłaszając taki warunek, jednocześnie go wykonuję: p r z e b a c z a m. I proszę, aby nam wybaczone. Ale wybaczyć można tylko to, co jest znane. Toteż poznanie ukraińsko-polskiej tragedii podczas drugiej wojny światowej jest naszym wspólnym obowiązkiem. Postanówmy zatem, że nigdy więcej nie może, nie śmie powtórzyć się bratobójcza walka między naszymi narodami”.

A czy nie ma po obydwu stronach czynników, które już szykują się do krwawej powtórki? Wystarczy uważnie poczytać prasę emigracyjną, wśród której nie brakuje publicystów, którym najwidoczniej zależy na tym, aby stara nienawiść kwitła w dalszym ciągu i pogłębiała się. Jakże! – są bohaterzy, którzy już szykują polskie armie, mające maszerować na Lwów, aby pomścić śmierć polskich kobiet i dzieci pomordowanych w latach drugiej wojny światowej – oraz na Wilno. Sami nie wybierają się maszerować, bo ledwie chodzą, niektórzy o laskach. Ja także chodzę o lasce, ale się na wojenny marsz nie wybieram i innych, młodych do tego nie namawiam. Kiedyś pewien Polak zapytał mnie: „Ilu naszych Ukraińcy zamordowali w latach 1943-1945?”. Odpowiedziałem: „Nie liczyłem!” Nie liczyłem także Ukraińców zamordowanych przez Polaków.

Po zawarciu pokoju Ryskiego, który stanowił zwycięstwo polskiej endecji nad federacyjnymi planami Józefa Piłsudskiego,

ze starej Rzeczypospolitej pozostała jedynie nazwa. Zwycięstwo w wojnie z armią halicką przyniosło panowanie nad Lwowem na dwadzieścia lat, po czym prawie wszystkie ziemie o większości ukraińskiej dostały się pod panowanie moskiewskie – a i sama Polska również, chociaż zachowane zostały pozory niepodległości. Z artykułem Osadczyka sąsiaduje znakomita praca Łysiaka-Rudnyckiego⁷³¹ pod tytułem *Historyczne doświadczenia*. Autor przypisuje większą odpowiedzialność za nieudaną współpracę w stosunkach polsko-ukraińskich polskiej stronie. Tak istotnie było. Polska strona była zawsze silniejsza, i to decydowało.

„Historyczna dokumentacja – pisze Rudnyckij – dowodzi bez wątplenia, że poczynając od późnego średniowiecza, Polska była na ogół silniejsza i bardziej rozwinięta od Ukrainy. Siła Polski w zestawieniu z Ukrainą wy pływała nie z jakiejś przyrodzonej niższości Ukraińców czy z przyrodzonej wyższości Polaków, lecz z potężnych geopolitycznych czynników, takich jak bezbronne położenie Ukrainy na stepowej równinie i bliskość rosnącej potęgi Moskowi–Rosji. Niestety, Polacy wykorzystywali swoją stosunkową przewagę nad ukraińskimi sąsiadami z małym politycznym wyczuciem i dalekowzrocznością”.

Dalej Rudnyckij precyzuje swoje stanowisko: „Przerzucając na Polaków główny ciężar odpowiedzialności za katastrofalny rozwój polsko-ukraińskich stosunków, absolutnie nie mam zamiaru wybielać Ukraińców. Oni także popełnili mnóstwo błędnych posunięć i sądów, tracąc niejedną okazję do porozumienia. Doprawdy, przy przeglądzie dokumentacji stosunków polsko-ukraińskich często uderza wielkie podobieństwo stanowisk i postępowania obydwu społeczeństw. Ale właśnie dlatego, że Polacy byli zazwyczaj silniejsi, mieli większe możliwości zapobiegania nieszczęściu”.

Rudnyckij nie jest optymistą. Widzi rzeczywistość bez różowych okularów. Oto zakończenie jego artykułu, nad którym niejeden Polak powinien się głęboko zastanowić: „Jeszcze jedno końco-

⁷³¹ Iwan Łysiak-Rudnycki (1919-1984), historyk i publicysta ukraiński, syn Mileny Rudnickiej.

we ostrzeżenie. Jakże często w przeszłości Polska znajdowała się w stosunkowo (choć tylko stosunkowo) wygodniejszej sytuacji niż Ukraina. Zarówno Polska jak Ukraina są w niewoli imperialnego systemu Rosji Sowieckiej, ale status Polskiej Republiki Ludowej jest wyraźnie wyższy od statusu Ukraińskiej Sowieckiej Socjalistycznej Republiki. W ZSSR zagrożone jest – jak podczas wielkiego najazdu Mongołów – samo istnienie narodu ukraińskiego, podczas gdy Polska, chociaż kontrolowana przez Moskwę i jej podporządkowana, jeszcze korzysta z zewnętrznych atrybutów suwerenności i niemal pełni życia narodowego. Istnieje potencjalne niebezpieczeństwo, że podobnie jak w przeszłości, Polska może ulec pokusie nadużycia swojej większej siły, aby odnowić terytorialne pretensje do ziem ukraińskich właśnie w chwili, gdy cała energia ukraińskiego narodu będzie konieczna dla ostatecznego rozrachunku z Rosją. Mamy nadzieję i modlimy się, by nigdy nie powtórzyły się dawne błędy, za które tak drogo zapłaciły i naród ukraiński, i polski”.

Wiadomo, że na emigracji istnieje i działa niemała grupa polityczna, która postawiła sobie za zadanie dogadanie się z Rosją, obecną czy przyszłą, w sprawie dawnych ziem wschodnich. Grupa ta uważa samą działalność proukraińską za zdradę polskiej racji stanu, Ukraińców za głównego wroga Polski, a odnowienie traktatu ryskiego za nadrzędny cel polskiej polityki wschodniej. Obawa Rudnyckiego nie jest więc tworem imaginacji. Wspomniana grupa twierdzi, że w Polsce niepodległej będzie miała głos decydujący. Po stronie rosyjskiej również istnieją grupy polityczne, skłonne do identycznych rozwiązań. Wystarczy przypomnieć, co Sołżenicyn⁷³² miał do powiedzenia na temat Ukraińców halickich: że Stalin popełnił błąd, przyłączając ich do państwa rosyjskiego. Nacjonaliści rosyjscy chętnie zrzekliby się Lwowa, byle utrzymać Kijów i Charków.

Prawie sześćdziesiąt stron zajęła w tym numerze polemika o stosunkach polsko-ukraińskich, która rozgorzała w Polsce na wiosnę ubiegłego roku. Sprowokował ją wywiad Piotra Łuczki z pro-

⁷³² Aleksander Sołżenicyn (1918-2008), pisarz rosyjski (ZSRR), po 1975 r. na emigracji. W 1994 r. powrócił do Rosji.

fesorem historii na Uniwersytecie Warszawskim, Jerzym Tomaszewskim.⁷³³ W wywiadzie tym była mowa nie tylko o stosunkach polsko-ukraińskich, Tomaszewski miał odwagę stwierdzić, że rzeź była wzajemna, a nie – jak zapewnia propaganda reżymu warszawskiego – wyłącznie skierowana przez Ukraińców przeciw ludności polskiej. Natychmiast po ukazaniu się wywiadu z Tomaszewskim nastąpiły repliki publicystów komunistycznych: Jacka Wilczura,⁷³⁴ Jędrzeja Sereta, Wojciecha Janickiego... Posypały się także listy od czytelników, jedne obraźliwe i wrogie profesorowi Tomaszewskiemu, inne solidarne z nim. Tomaszewski odpowiedział w listopadowym numerze poznańskiego miesięcznika „Nurt”, w którym ukazał się uprzednio ów wywiad.

Wspomniałem już o ankiecie „Widnowy” z wybitnymi polskimi działaczami, między innymi z redaktorem paryskiej „Kultury” Jerzym Giedroyciem, z Janem Kielanowskim,⁷³⁵ Janem Józefem Lipskim,⁷³⁶ Ryszardem Łużnym⁷³⁷ i jeszcze trzema panami z kraju i z emigracji. Wszyscy są zgodni co do konieczności dyskusji i porozumienia Polaków z Ukraińcami. Numer uzupełniają źródłowy artykuł Jerzego Iranaka-Osmeckiego⁷³⁸ o zeszlorocznym zjeździe „Polonii” w Londynie i o uchwalonych na nim rezolucjach w sprawie stosunków polsko-ukraińskich i artykuł profesora Piotra Poticznego⁷³⁹ o metropolicie Szeptyckim.

Nie jest to pierwsza próba zaznajomienia emigracyjnego czytelnika ukraińskiego z poruszonymi tematami, ale z prób dotychczasowych na pewno najsolidniejsza i bodaj najuczciwsza. Autorzy niczego nie usiłują ukryć, mówią całą prawdę, nie licząc się z za-

⁷³³ Jerzy Tomaszewski, (1930-2014), historyk, profesor UW.

⁷³⁴ Jacek Wilczur (ur. 1925), historyk, pracownik Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

⁷³⁵ Jan Kielanowski (1910-1989), zootechnik, działacz opozycji demokratycznej w PRL.

⁷³⁶ Jan Józef Lipski (1926-1991), historyk literatury, krytyk i publicysta, działacz opozycji demokratycznej w PRL.

⁷³⁷ Ryszard Łużny (1927-1998), filolog i historyk literatury.

⁷³⁸ Jerzy Iranek-Osmecki (1928-2010), dziennikarz BBC i RWE, absolwent uniwersytetu w Edynburgu, syn Kazimierza Iranaka-Osmeckiego.

⁷³⁹ Petro Poticznyj (ur. 1930), historyk ukraiński, po 1947 r. na emigracji w USA.

starzałymi kompleksami po jednej i drugiej stronie. Jest to jedyny właściwie sposób, aby dojść do prawdziwego porozumienia. Dzie-
li nas tyle krzywd, tyle przelanej krwi, tyle ludzkiego nieszczęścia,
że tylko mówienie całej, wolnej od hurrapatriotycznych frazesów
prawdy może nas wyprowadzić na drogę porozumienia i skutecznej
współpracy. Reakcja naszego wspólnego wroga jest niedwuznaczna
i wskazuje bezbłędnie, jak powinniśmy postępować. Wydanie trze-
ciego numeru „Widnowy” stanowi niewątpliwie duży krok naprzód
w dziele nawiązywania dobrych stosunków między naszymi narodami.

Dyrektor przedwojennego Instytutu Ukraińskiego w Warsza-
wie, Ołeksander Łotoćkij, napisał w swoich wspomnieniach z ki-
jowskiej i petersburskiej młodości następujące rozsądne słowa:
„Zawsze uważałem i nadal uważam, że ostateczne rozstrzygnięcie
historycznych losów naszych narodów polega na zrozumieniu isto-
ty chwili historycznej, w jakiej w konsekwencji minionych sporów
nastąpiła obopólna niewola”. Słowa te napisał jeszcze przed pier-
wszą wojną światową. Dziś, gdy nasza wspólna niewola jest jeszcze
gorsza od tamtej, powinniśmy nauczyć się ich na pamięć.

[„Kultura” 1985 nr 10]

POLSKI NUMER „SUCZASNOSTI”

W coraz bardziej rozwijającej się wymianie myśli i opinii na emi-
gracji polskiej i ukraińskiej na specjalne wyróżnienie zasługuje
specjalny polskojęzyczny numer ukraińskiego miesięcznika, wychod-
zącego w Monachium pod tytułem „Suczasnist” („Współczesność”).
Wypełniają go prace autorów polskich i ukraińskich, a także paru
amerykańskich profesorów, interesujących się stosunkami polsko-
ukraińskimi i w ogóle sprawami Europy Wschodniej. Zresztą ogrom-
na większość piszących to profesorowie uniwersytetów amerykań-
skich i kanadyjskich, dwu narodowości słowiańskich. Jeden z nich
wykłada ukrainistykę na uniwersytecie australijskim w Melbourne.

Zebrane prace można z grubsza podzielić na wypowiedzi zasadnicze i czysto sprawozdawcze. Z tych pierwszych wybija się na pierwszy plan otwierający numer artykuł Andrzeja Sulimy Kamińskiego.⁷⁴⁰ Jest on emigrantem stosunkowo świeżej daty, bo od roku 1969. Urodził się na kilka lat przed wojną, więc Polski Niepodległej pamiętać nie może. Wykłada na uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Już tytuł zaprezentowanego tekstu brzmi zaczepnie: *W kręgu moralnej i politycznej ślepoty: Ukraina i Ukraińcy w oczach Polaków*. „W ciągu ostatnich dziesięcioleci – brzmi początek artykułu – wzrasta na Emigracji zainteresowanie stosunkami polsko-ukraińskimi. Naukowe konferencje, organizowane przez uczonych obydwu narodów, rzucając światło na przeszłość, ułatwiają nam zrozumienie współcześnie wzajemnie poplątanych percepcji. Jednocześnie Ukraińcy i Polacy, badając swoją historię, starają się wydobywać momenty współpracy, które mogłyby być użyte w dniu dzisiejszym, jako symbole w obliczu wspólnego wroga. Istnienie tego wspólnego wroga wydaje się główną przyczyną skłaniającą obie strony do rozmów i wydobywania z przeszłości – nielicznych – kart braterstwa i skutecznego współdziałania. Chociaż większość starszego emigracyjnego pokolenia Ukraińców przeżyła nie sowiecki, lecz polski *raj* (Wołyń, Wschodnia Galicja) i reaguje emocjonalnie gorzej na Polaków, niż na Rosjan, to jednak, racjonalnie rzecz biorąc, nawet bardzo nacjonalistyczne ugrupowania rozumieją, że to nie Polska, lecz Związek Sowiecki jest teraz ich wrogiem numer jeden”.

W słusznym i mądrym artykule Kamińskiego nie brak jednak istotnych luk. Brak przede wszystkim wskazania na jedną z głównych przyczyn historycznej wrogości polsko-ukraińskiej: na różnicę religijną. Konflikt Bizancjum–Rzym odbił się fatalnym echem na stosunkach między dwoma narodami. Gdy hetman Wyhowskij dowiedział się od królewskiego posła, że na ziemiach ukraińskich ma być przywrócona unia religijna, zawołał w rozpacz: „Unię mi przywozłeś, śmierć mi przynosisz!”. I tak było rzeczywiście.

⁷⁴⁰ Andrzej Sulima Kamiński (ur. 1935), historyk polski.

Wynikiem było barbarzyńskie zawołanie hajdamackie: *Żyd, Lach i sobaka – wira odinaka!*, czego znowu nie rozumiano w Warszawie ani w Krakowie. Śmierć w bitwie beresteckiej prawosławnego metropolity, zadana przez Polaków, stała się swoistym symbolem, także niezrozumianym. Gdy twórcę Unii Hadziackiej, Niemiryca, załuczono na wiecu kijami, był to emocjonalny protest przeciw zawieraniu sojuszu z mocarstwem katolickim, „drugim rogiem rzymskiego diabła”, że przypomnę gratulacyjny list Olivera Cromwella do króla szwedzkiego.

„Zacznijmy od ważnego stwierdzenia – pisze Kamiński. – Nie odczuwam przyjemności z masochistycznego powtarzania mea culpa. Wprost przeciwnie, gdyż porównując historię mej kultury, mego narodu i państwa do historii wielu innych narodów, odczuwam dumę, a nie wstyd, patrząc na pokolenia, które umiały bronić posiadanej lub walczyć o straconą wolność. Co więcej, gdy dostrzegam w swojej historii błędy, słabości czy zbrodnie, to nie znaczy, że nie widzę ich po drugiej stronie. Nim jednak z ukraińskiej przeszłości zacznę *drzazgi* czy *belki* wyjmować, chcę swą kulturę polityczną w miarę możliwości oczyścić”.

Takie „oczyszczenie” powinno nastąpić po obu stronach. „W oczach Ukraińców – czytamy dalej – my, Polacy, jesteśmy zaborcą i okupantem”. Korzenie tego przeświadczenia sięgają daleko w głąb historii. Chwilą może najbardziej nadającą się do stałego porozumienia były lata bezpośrednie po pierwszej bitwie pod Chocimiem, gdy armię turecką zmuszono do odwrotu wspólnymi, polsko-kozackimi siłami. Ale obietnice, złożone ówczesnie Konaszewiczowi-Sahajdacznemu nie zostały dotrzymane i po dwudziestu siedmiu latach nastąpiło wielkie powstanie Bohdana Chmielnickiego, które wstrząsnęło fundamentami Rzeczypospolitej, a w końcu wtrąciło Ukrainę w niewolę moskiewską, trwającą po dziś dzień. Wprawdzie doszło do Unii Hadziackiej, ale została ona zmarnowana przez obydwu kontrahentów. Wina była obopólna, a wszystkie inne późniejsze okazje także nie zostały wykorzystane.

Warto zastanowić się nad tym, co napisał Kamiński o przełomowym roku 1917. „Pamiętajmy, że pokolenia naszych Ojców i Dziadów przegapiły szansę zniszczenia wielowiekowego więzienia, daną im w momencie Wielkiej Październikowej zmiany warty więziennej. Wtedy to Zachodnia Ukraina (rząd Petruszewicza⁷⁴¹) musiała walczyć o prawo do samostanowienia z Polską i nie mogła rzucić swych armii na obronę Kijowa i Ukrainy Naddnieprzańskiej (rząd Petlury). Wtedy to byli współwięźniowie, mieszkający w Kijowie, Lwowie i Kownie, musieli podjąć walkę z polską racją stanu, polskimi prawami historycznymi czy też nawrotem niby do idei jagiellońskiej, zwącej się federacjonalizm”.

Otóż nie tylko my byliśmy „gapiami” w owej historycznej chwili. Główna przyczyna klęski znajdowała się nie we Lwowie, lecz gdzie indziej, mianowicie w naiwności socjalistów ukraińskich, którzy święcie wierzyli uroczystym zapewnieniom rewolucjonistów rosyjskich. Gdyby Kiereński, Milukow i Guczkow⁷⁴² utrzymali się przy władzy, sytuacja być może uległaby zasadniczej zmianie. Ale gdy zaczęła się wojna o Lwów, rządu Kierenskiego już dawno nie było. Bolszewickiego fałszu Ukraińcy nie rozgryźli – i w tym tkwiła najważniejsza przyczyna zbliżającej się tragedii. Nawet gdyby wojna o Lwów skończyła się zwycięstwem Ukraińców, czerwona zaraza zmiotłaby tę niepodległość bez śladu. Nie próżno Trocki kazał swoim wysyłanym na Ukrainę agentom udawać zwolenników atamana Petlury.

Niestety, ma rację Kamiński, gdy w zakończeniu swego artykułu powiada: „Jakkolwiek nam trudno to przychodzi, jednak pamiętajmy, że dopóki nie rozliczymy się w naszej historii i w naszej kulturze ze stosunku do Ukrainy, dopóki nie przywrócimy ludności ukraińskiej zabranych im w czasie *walk z bandami* wsi i cerkwi, dopóty nasza ręka, wyciągana do mieszkającego nad Sanem i Dnieprem sąsiada, będzie zawisała w próżni”. Niestety polega na tym,

⁷⁴¹ Jewhen Petruszewycz (1863-1940), ukraiński działacz niepodległościowy, m.in. prezydent Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej (1919).

⁷⁴² Aleksandr Guczkow (1862-1936), rosyjski polityk, poseł do Dumy, po 1917 r. na emigracji.

że na skutek wspomnień wojennych i kłamliwej propagandy reżymowej stosunek ludności polskiej do Ukraińców, wysiedlonych z ich odwiecznych sadyb na Ziemi Odzyskane jest zdecydowanie nieprzychylny. Idzie to na karb polskości, a nie systemu komunistycznego. Obowiązek wyrównywania rachunków spada więc głównie na nasze emigracje.

Z kolei na uwagę zasługuje obszerny artykuł (27 stron) Józefa Darskiego⁷⁴³ pod tytułem *Kierunki polskiej polityki wschodniej*. O autorze dowiadujemy się z przypisów tylko tyle, że jest współpracownikiem nielegalnego czasopisma „Niepodległość”, więc zapewne pisze pod pseudonimem. Darskiemu chodziło, zgodnie z jego własnymi słowami, o „sprecyzowanie kierunków polityki zagranicznej, proponowanych przez ugrupowania lub ośrodki polityczne, działające w PRL po 13 grudnia. Publikacje wcześniejsze bądź materiały ogłoszone jedynie na Zachodzie nie zostały wzięte pod uwagę. Artykuł obejmuje okres do końca 1984 roku”. I dalej: „Zasadniczą linię podziału, wiodącą poprzez polskie ugrupowania opozycyjne od lewicy do prawicy, wyznacza odpowiedź na pytanie o stosunek do ZSSR–Rosji. Nieprzypadkowo podział na zwolenników kompromisu w takiej lub innej formie, teraz z ZSSR lub z Rosją w przyszłości, oraz na organizacje dążące do dezintegracji imperium, pokrywa się z podziałem na ugodowców i miłośników kompromisu oraz niepodległościowców. W takiej też kolejności zostaną przedstawione ich koncepcje”.

Ugodowcy stoją na stanowisku, że właściwymi naszymi sąsiadami od wschodu są Rosjanie, z którymi należy się dogadać i przekonać ich, że suwerenna Polska, przyjaźnie do Moskwy ustosunkowana, opłaci się o wiele bardziej niż obecny stan kolonialnego uzależnienia. Jest to stare, wielokrotnie skompromitowane złudzenie: nikt nigdy nie dogadał się z żadną Rosją – ani z białą, carską, ani tym bardziej z sowiecką. Oportunistów i ugodowców nigdy w Polsce nie brakowało i nigdy niczego nie wskórali, oprócz – w poszczególnych wypadkach – pewnych korzyści osobistych.

⁷⁴³ Jerzy Targalski, ps. Józef Darski, (ur. 1952 r.), historyk, politolog i działacz opozycyjny.

W stosunkach międzynarodowych do Rosji przemawia jedynie i wyłącznie siła, nigdy żadne uczucia. Darski cytuje swoje własne opinie, wyłożone w różnych okresach we wspomnianej „Niepodległości”. „Przed Rosją nie da się uciec – pisał Darski w styczniu 1983 roku – trzeba więc ją pokonać, ale jest to niewykonalne, dopóki Moskwa ma przeciw sobie poszczególne narody, nie zaś ich polityczną koalicję”. A pod adresem ugodowców w wakacyjnym numerze tejże „Niepodległości” (rok 1983): „Ograniczenie suwerenności w ramach bloku należy do pomysłów nierealistycznych i szkodliwych, natomiast stawianie takiego celu przed opozycją staje się przyczyną jej ideowej słabości, punktem wyjścia do błąkania się po manowcach ugody”.

Znamienne, że w przeciwieństwie do starej emigracji politycznej, która nota bene jest na wymarcu, w kraju nie dochodzą do głosu żadne dążenia rewindykacyjne w stosunku do granic wschodnich, Lwowa i Wilna. „Zasada trwałości obecnych granic uznana przez naród polski, białoruski i ukraiński, powinna stać się platformą porozumienia dla całej Europy Środkowo-Wschodniej i dać początek nowemu etapowi walki o wolność i niepodległość naszego regionu”. Wszyscy przyjeżdżający z kraju na Zachód potwierdzają bez żadnych zastrzeżeń tę opinię, zwalczaną przez niejeden ośrodek starej emigracji politycznej. Natomiast kraj uważa za nienaruszalną naszą granicę zachodnią. Ponadto Darski uważa, że okręg królewiecki w dawnych Prusach Wschodnich, przemianowany przez Moskwę na kaliningradzki, powinien zostać podzielony między Polskę i Litwę, po uprzednim wysiedleniu napływowej ludności rosyjskiej.

Wywiad Bohdana Strumińskiego⁷⁴⁴ z Romanem Łabą,⁷⁴⁵ Ukraińcem, posiadającym obywatelstwo amerykańskie, który zwiedził Polskę przed sześciu laty, przynosi wiele interesujących wiadomości o stosunku PRL do mniejszości narodowych, z ukraińską na czele, w okresie Solidarności. Na Zachodzie nic nie wiedziano o tym, że reżym, zwalczając przed 13 grudnia Solidarność, rozpętał kampanię

⁷⁴⁴ Bohdan Strumiński (1930-1998), językoznawca, sławista polski.

⁷⁴⁵ Roman Łaba, amerykański socjolog ukraińskiego pochodzenia, zajmujący się także historią Polski (książka *The Roots of Solidarity*, 1991).

antysemicką. „Historia ta – mówił Roman Łaba – jest mało znana poza Polską. Syjonizm w tej propagandzie jawił się jako główny wróg Polski, a jego gniazdem miały być 'elementy żydowskie w Solidarności. Wiemy, że materiały instruktażowe dla partii i policji były nasycone treściami antysemickimi. Była to cicha kampania, niewidoczna dla przeciętnych ludzi. Tylko czasopisma były widoczne. Inną cichą robotą było zalewanie Solidarności broszurami antysemickimi. Rewelacyjnie brzmiała informacja Łaby, że w policji znajdują się elementy przestępcze, między innymi także Ukraińcy.

Ostatnie słowa tego wywiadu tchną optymizmem: „Okres Solidarności i stan wojenny zaktywizowały pokolenie najmłodsze, do trzylatków włącznie. Gdy Solidarność już w okresie stanu wojennego nawoływała do strajków, w szkole tylko o tym się mówiło. Układało się wierszyki o WRON-ie, biło się dzieci milicjantów i partyjnych działaczy. Nauczyciele mówili, że najłżejsza wzmianka o sytuacji politycznej w Polsce powodowała, że dzieci stawały na ławkach i krzyczały: Solidarność! Wałęsa! Precz z WRON-ą! Gdy te najmłodsze pokolenia staną się zawodowo czynne, dyktatura w Polsce będzie miała bardzo twardy orzech do zgryzienia. Dla młodych nie ma innego celu moralnego w Polsce, jak tylko opór przeciw władzy. Wspaniałą cechą Polaków jest to, że nie zapominają. Ludzie w Polsce czekają na następny moment”.

W przełożonym z angielskiego artykule Romana Solchanyka,⁷⁴⁶ pracującego w Dziale Badań i Analiz Radia Liberty w Monachium, czytelnik znajduje wiele ciekawych uwag na temat wpływu polskiej Solidarności w zachodniej części Związku Sowieckiego, a więc na Litwie, Białorusi i Ukrainie. Autor zaleca ostrożność w podchodzeniu do tego tematu. „Należy przyznać, że w większości wypadków jest całkowitą niemożliwością ustalenie, czy i do jakiego stopnia konkretne wydarzenia w ZSSR są wynikiem łańcucha przyczynowo-skutkowego, zapoczątkowanego w Polsce. Dotyczy to w szczególności wydarzeń *oddolnych*, takich, jak strajki i demonstracje... Reakcja *odgórną* – to jest środki podejmowane przez kierownictwo

⁷⁴⁶ Roman Solchanyk, amerykański historyk i sowietolog pochodzenia ukraińskiego.

sowieckie dla rozładowania niepożądanych konsekwencji kryzysu polskiego – była tu o wiele bardziej widoczna. Przy różnych okazjach czynniki sowieckie dawały wyraz zaniepokojenia sytuacją w Polsce, w sposób wiążący ją bezpośrednio z problemami społecznymi, gospodarczymi i politycznymi w ZSSR”.

„Wymowny wyraz – pisze w zakończeniu swego artykułu autor – dylematowi, stojącemu przed narodami sowieckiego zachodu dał ukraiński poeta i więzień polityczny, Wasyl Stus⁷⁴⁷ (zmarł w łagrze, na skutek braku opieki lekarskiej), w dokumencie pod tytułem *Z dziennika obozowego*. Stus pisze o swym podziwieniu dla polskiego oporu przeciw despotyzmowi sowieckiemu i proponuje Polskę jako wzór dla Ukrainy. „My, Ukraińcy – pisze – jesteśmy psychologicznie bliscy, może najbliżsi charakteru polskiego, ale brak nam najważniejszej rzeczy – gorącego patriotyzmu, który konsoliduje Polaków”. Według Stusa, położenie Ukrainy na wschodnich krańcach Zachodu i wynikające stąd wystawienie na wpływ Moskwy i prawosławia są źródłem jej niedoli. I wyjaśnia swoją postawę: „Myśli moje kierują się ku rocznicy tysiąclecia chrześcijaństwa na Ukrainie. Myślę, że to wtedy popełniony został pierwszy błąd – wybór obrządku bizantyjsko-moskiewskiego, który połączył nas, najbardziej wschodnią część Zachodu ze Wschodem. Nasz zachodni duch indywidualistyczny, osłabiony despotycznym prawosławiem bizantyjskim, nie mógł się w końcu uwolnić od tego rozdzielenia ducha, które z czasem wytworzyło kompleks obłudy”. („Z archiwum Samizdatu”, nr 5062).

Kilka artykułów (Armstronga, wykładającego na uniwersytecie w Wisconsin, Johna Miegela⁷⁴⁸ z Columbia University oraz Jewhena Sztendery⁷⁴⁹ i Mykoły Łebedia⁷⁵⁰) omawia walkę Ukraińskiej

⁷⁴⁷ Wasyl Stus (1938-1985), poeta ukraiński, przedstawiciel szistdesiatnyków.

⁷⁴⁸ John Micgiel, historyk amerykański polskiego pochodzenia.

⁷⁴⁹ Jewhen Sztendera (ur. 1924), major UPA, współorganizator porozumienia UPA – WiN w 1946 r., po 1947 r. na emigracji w Niemczech i w Kanadzie.

⁷⁵⁰ Mykoła Łebed (1909-1998), działacz OUN i OUN-B, współodpowiedzialny za zamach na min. Pierackiego, w 1935 aresztowany i skazany na dożywotnie więzienie, zbiegł z więzienia w 1939 r. Członek władz OUN-B, po 1946 r. na emigracji w Niemczech i w Kanadzie.

Powstańczej Armii (UPA) oraz próby nawiązania porozumienia z polskim podziemiem. Próby te po pierwsze zaczęły się zbyt późno, a następnie wskazywały na całkowitą dezorientację strony polskiej. Ostatecznie doszło do wzajemnej rzezi – z tym, że na Wołyniu i w Galicji Wschodniej przewagę mieli Ukraińcy, zaś na Chełmszczyźnie i już po wojnie na Łemkowszczyźnie przewaga była polska. Do wspólnej walki najpierw z okupantem niemieckim, a następnie z sowieckim nie doszło. Natomiast doszło do przesiedlenia na Zachód ludności ukraińskiej z Zasania i z Zachodniego Beskidu. Po dziś dzień społeczeństwo polskie w kraju karmione jest kłamliwą propagandą reżymową wyraźnie antyukraińskiego typu.

Iwan Hvat⁷⁵¹ omawia stosunek Watykanu do Ukraińskiego Kościoła Katolickiego za pontyfikatu Jana Pawła II. Artykuł ten ukazał się jeszcze w roku 1983, w czasopiśmie „Religion in Communist Lands”, i został przełożony z angielskiego przez Grzegorza Leszczyńskiego. „Jakkolwiek – podsumowuje autor swoje rozważania – ukraińscy katolicy na Zachodzie, obawiając się wchłonięcia przez Kościół obrządku łacińskiego, krytykowali Jana Pawła II, to jednak przekonali się do jego szczerego zaangażowania po stronie ukraińskiego Kościoła katolickiego w ZSSR i na Zachodzie. Katolicy na Ukrainie zostali podniesieni na duchu w walce o swoje prawa dzięki akcjom Papieża, który zwrócił uwagę opinii światowej na ich położenie. Jan Paweł II dowiódł władzom sowieckim i Patriarchatowi moskiewskiemu, że Rzym nigdy nie pogodzi się z brakiem wolności sumienia i wyznania na Ukrainie”.

Autor zwrócił też uwagę na wielkie zaniepokojenie, jakie w Moskwie wywołał wybór polskiego kardynała na Papieża. Zwłaszcza gwałtowna była reakcja Moskwy na zwołanie w Rzymie synodu hierarchii ukraińskiego Kościoła katolickiego, co zostało przez prasę sowiecką określone jako „niesłychane posunięcie”. Najbardziej zdenerwowało Moskwę uchwalenie rezolucji uznającej decyzje Synodu lwowskiego z roku 1946, „podjęte pod presją i pod nieobec-

⁷⁵¹ Iwan Hvat (ur. 1950), ukraiński dziennikarz, krytyk i publicysta pochodzący z terenu Słowacji. Dziennikarz Radia Swoboda.

ność biskupów ukraińskiego Kościoła katolickiego, za nielegalne”. Wtedy to Patriarcha rosyjskiej cerkwi prawosławnej, Pimen napisał do Papieża list, w którym wyrażał „głębokie poczucie trwogi i bólu, że pozytywne wyniki w sferze zbliżenia i braterskich relacji pomiędzy naszymi Kościołami, osiągnięte poprzez nasze wzajemne starania w czasie Drugiego Soboru Watykańskiego, mogą być zaprzepaszczone przez Deklarację, ogłoszoną na synodzie biskupów ukraińskich. Tekst i duch Deklaracji są obce atmosferze braterskiego ekumenizmu, który zatriumfował między nami”.

Jednocześnie autor artykułu podał szereg informacji o wzmózonej walce, podjętej przez partię i organy bezpieczeństwa z Kościołem katolickim, od przeszło czterdziestu lat działającym w podziemiu. Przywódca grupy katolików ukraińskich, zabiegający o uznanie praw ich Kościoła zgodnie z sowiecką konstytucją, Józef Terela,⁷⁵² został aresztowany, osądzony i skazany. Ale według zwyczaju, powszechnie stosowanego w sądownictwie w Sowietach, oskarżony został o „pasożytnictwo”, po uprzedniej utracie pracy. Walka z religią nasiliła się w ostatnich latach, co na ogół jest uważane za reakcję na nowy kurs Watykanu, podjęty przez obecnego Papieża. W tym też należy szukać przyczyn nieudanego zamachu na Jana Pawła II, dla niepoznaki dokonanego przez terrorystę tureckiego.

Polski numer „Suczasnosti” jest znacznym krokiem naprzód w rozwijającym się dialogu polsko-ukraińskim, który w kraju w takiej formie w czasopiśmie legalnych jest absolutnie niemożliwy, a już tym bardziej na Ukrainie. Oficjalne kontakty między Warszawą i Kijowem wydają się wskazywać na prawdziwą i szczerą przyjaźń między oboma narodami. Są to jednak tylko pozory, ograniczające się do najwyższych szczebli rządowych i partyjnych. Prawdziwego kontaktu między społeczeństwami nigdy nie było i być nie może, gdyż widmo porozumienia polsko-ukraińskiego nie przestaje straszyć kremłowskich satrapów. Jedynie między ugrupowaniami emigracyjnymi możliwy jest szczerzy i nieprzymuszony dialog.

⁷⁵² Józef Terela (1943-2009), pisarz ukraiński, dysydent grekokatolicki i wieloletni więzień, po wyjeździe z ZSRR na emigracji w Kanadzie.

Jego najdoskonalszym dotychczas wyrazem jest zrecenzowany powyżej polski numer monachijskiego czasopisma ukraińskiego.

[„Kultura” 1986 nr 5]

„WIDNOWA”

W październikowej „Kulturze” z ub[biegłego]. roku omówiłem trzeci numer monachijskiego czasopisma „Widnowa”, poświęcony „zagadnieniom stosunków polsko-ukraińskich”. Numer 4. tego pisma (zima 1985 – wiosna 1986) jest w całości poświęcony *Ukrainie i polskiej opozycji*. Redaktor naczelny pisma, Jarosław Pełensyj,⁷⁵³ pisze w artykule wstępnym: „Jedyną korzystną formą dyskusji może być tylko jawny i szczerzy dialog. Bez takiego dialogu nie można oczekiwać rzeczywistej normalizacji stosunków polsko-ukraińskich. Ukazanie się dwóch kolejnych numerów naszego pisma poświęconych stosunkom polsko-ukraińskim oraz wydanie traktatu Kazimierza Podlaskiego⁷⁵⁴ staną się – mam nadzieję – tym pierwszym krokiem ze strony ukraińskiej do nowego dialogu polsko-ukraińskiego, którego celem jest współpraca polsko-ukraińska.

Numer 4. „Widnowy” zawiera ponadto obszerny fragment traktatu Kazimierza Podlaskiego *Białorusini, Litwini, Ukraińcy to nasi wrogowie czy bracia?* (traktat ten „Widnowa” wydała osobno) szereg recenzji z książek, szkic Konstantyna Zełenki⁷⁵⁵ poświęcony, zmarłemu przed kilkunastu miesiącami wybitnemu historykowi angielskiemu Hugh Seton-Watsonowi.⁷⁵⁶ Ten szkic na tle bogatego tematycznie numeru ma raczej charakter marginesowy, ale jest ciekawy dlatego,

⁷⁵³ Jarosław Pełensyj (Pełeńskij) (ur. 1929), historyk ukraiński, po 1945 r. na emigracji w Niemczech i w USA.

⁷⁵⁴ Bohdan Wojciech Skaradziński (ps. Kazimierz Podlaski, 1931-2014), publicysta, pisarz i działacz KIK, publikował w II obiegu.

⁷⁵⁵ Konstantyn Zełenko (1923-2009), historyk i publicysta ukraiński, na emigracji w Wlk. Brytanii, członek Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Paryżu.

⁷⁵⁶ Hugh Seton-Watson (1916-1984), historyk i sowietolog brytyjski.

że większa część historycznej twórczości Watsona jest poświęcona Europie Wschodniej i jej najważniejszym zagadnieniom.⁷⁵⁷

Jest dowodem, że znany uczony zajął się tematem tak mało interesującym przeciętnego czytelnika jak historia różnych – naturalnie poza rosyjskim – narodów Europy Wschodniej. Numer podzielony jest na szereg działów, z których na największą uwagę zasługuje dział zawierający artykuły obrazujące stanowisko różnych działaczy opozycji politycznej wobec zagadnień polsko-ukraińskich; komentarze dotyczące sytuacji Ukraińców przebywających w kraju, przyczynki do powstania i rozwoju Solidarności, omówienie nagród im. Janiny Ławruk⁷⁵⁸ oraz Łesi i Petra Kowalewych oraz dział literacki. Dział ten zawiera tłumaczenie opowiadania Włodzimierza Odojewskiego, w którym autor opisuje śmierć starego nauczyciela, Nikodema Burdy, w (założonym przez 2 Korpus) wojskowym szpitalu w Teheranie – przed wojną czynnego komunisty w kresowym miasteczku, deportowanego do kopalni złota na Kółymie, który – tak jak wielu innych – całkowicie zmienił swoje przekonania. W tym dziale znajduje się również IV akt dramatu Dmytra Nykołyszyna⁷⁵⁹ *Marta*. Głównym bohaterem jest Roman Zawojski, syn Polaka i Ukrainki. Postacie tego dramatu bardziej utożsamiają się z reprezentowanymi przez nie ideologiami, niż uosabiają żywych ludzi; akcja toczy się w małym miasteczku wschodniogalicjskim.

⁷⁵⁷ Najważniejsze prace Hugh Seton-Watsona: *Wschodnia Europa między dwiema wojnami* (*Eastern Europe between the Wars, 1918-1941*, Cambridge 1946); *Rewolucja wschodnioeuropejska* (*The East European Revolution*, London 1959); *Od Lenina do Malenkowa. Historia światowego komunizmu* (*From Lenin to Malenkov: The History of World Communism*, New York 1953); *Ani wojna, ani pokój – Walka o władzę w powojennym świecie*, (*Neither War nor Peace – The Struggle for power in the Postwar World*, New York 1960); *Imperium rosyjskie 1801-1917* (*The Russian Empire, 1801-1917*, Oxford 1967) i wreszcie praca może najbardziej ambitna: *Narody i państwa: studia o początku narodów i o polityce nacjonalistycznej* (*Nations and States: An Enquiry into the Origins of Nations and the Politics of Nationalism*, Boulder, Colorado, 1977). [przyyp. J. Łobodowskiego]

⁷⁵⁸ Nagroda ufundowana w 1976 r., trzy lata po śmierci Janiny Ławruk, z domu Starzyckiej (zm. 1973), przez jej syna Bohdana, „dla osób zasłużonych dla idei zbliżenia polsko-ukraińskiego, która przyświecała śp. Janinie Ławruk w ciągu jej życia”.

⁷⁵⁹ Dmytro Nykołyszyn (1884-1950), pisarz i literaturoznawca, po powrocie w 1946 r. z emigracji do ZSRR zmarł w więzieniu.

W dziale recenzji Mychajło Demkowycz Dobrianskyj omawia szczegółowo książkę Iwo Werschlera⁷⁶⁰ *Z dziejów obozu belwederskiego. Tadeusz Hołówko – życie i działalność*, wydaną w Warszawie w 1984 roku przez PWN. Recenzja ta zawiera szereg informacji o życiu i tragicznej śmierci Tadeusza Hołówki, pochodzenia polsko-ukraińskiego. O Hołówce pisano rozmaicie: *Encyklopedia ukraińska* ogranicza się do rzeczowej informacji: „Został zabity w Truskawcu, przez ludzi z OUN, która go oskarżała o moralne rozbrajanie społeczeństwa ukraińskiego”; Petro Mirczuk⁷⁶¹ i Stepan Prociuk⁷⁶² oskarżali Hołówkę o pacyfikację Galicji wschodniej i o wrogość do narodu ukraińskiego. Według Mirczuka wyrok wydało trzech działaczy OUN – Gabrusewycz,⁷⁶³ Szuchewycz⁷⁶⁴ i Kossak,⁷⁶⁵ a wykonali Biłas i Danyłyszyn – później aresztowani w związku z zamachem na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim. Autor recenzji podaje, że Werschler pisze o Hołówce i w ogóle o „piłsudczykach” jak „prawdziwy historyk-badacz, tj. obiektywnie i bez wrogiego nastawienia”. Nie można tego powiedzieć o autorach ukraińskich, którzy pisali o Hołówce. Prociuk posunął się tak daleko, że napisał: „Bliski przyjaciel i zaufana osoba białych emigrantów rosyjskich...”. Znaczyło to, że Hołówko jedną ręką pisał antyrosyjskie artykuły, a drugą ścisnął się z białymi emigrantami. Gdyby tak było, to musiałyby być swego rodzaju publicystycznym prowokatorem. Od początku, wbrew wersji podanej przez Mirczu-

⁷⁶⁰ Iwo Werschler (1932-2015), historyk, nauczyciel, wieloletni działacz Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

⁷⁶¹ Petro Mirczuk (1913-1999), prawnik, historyk i ukraiński działacz społeczny. Wieloletni członek OUN, po II w. św. na emigracji w USA.

⁷⁶² Stepan Prociuk (1916-1984), inżynier, ekonomista, publicysta ukraiński, po 1950 r. na emigracji w Austrii, Australii i USA.

⁷⁶³ Iwan Gabrusewycz (1902-1944), działacz OUN, przewodniczący krajowy OUN (1931-1932).

⁷⁶⁴ Roman Szuchewycz (1907-1950), działacz OUN, członek władz OUN-B i dowódca UPa. Współorganizator zamachu na T. Hołówkę i napadu na pocztę i urząd skarbowy w Gródku Jagiellońskim.

⁷⁶⁵ Zenon Kossak (1907-1939), działacz OUN, współorganizator m.in. napadu na pocztę i urząd skarbowy w Gródku Jagiellońskim. Aresztowany w 1932 r. i skazany na 8 lat więzienia, w 1939 r. zwolniony.

ka i Prociuka, mówiono, że morderstwo zostało zaprogramowane przez czynniki pozaukraińskie. Opinia polska przypisywała to morderstwo inspiracji niemieckiej; Matczak, jeden z współtwórców Ukraińskiej Organizacji Wojskowej – inicjatywie polskiej policji; Cat-Mackiewicz⁷⁶⁶ w wileńskim „Słowie” uznał morderstwo za prowokację sowiecką, podobnie zresztą jak lwowskie „Diło”; autor recenzji zaś podaje opinię wybitnego działacza OUN: „Hołówko zginął, aby nie doszło do złagodzenia walki polsko-ukraińskiej”. Demkowycz Dobriański nie wspominał jednak o stanowisku zajęтым przez Wacława Zagórskiego,⁷⁶⁷ redaktora „Jutra pracy” – głównego czasopisma Legionu Młodych – który był zdania, że była to prowokacja polskiej policji, która posłużyła się wykonawcami ukraińskimi. Jeśli istotnie tak było, to ani jedna, ani druga strona nie wyszły z tej sprawy z czystymi rękami.

Druga recenzja, napisana przez kanadyjskiego profesora Petro Poticznego, omawia książkę Edwarda Prusa,⁷⁶⁸ również wydaną w Warszawie, *Rozmowa o arcybiskupie Andrzeju Szeptyckim*. Prus od kilkunastu lat uprawia publicystykę na styku polsko-ukraińskim. Jest ona zdecydowanie dla Ukraińców wroga, kłamliwa i paszkwiłancka. Posługując się określeniem niemieckiego dziennikarza Hansa Jakoba Stehle,⁷⁶⁹ Prus nazywa Metropolitę „świętym awanturnikiem”. Z książki Prusa wynika, że Szeptycki uprawiał politykę proniemiecką, a zatem pominięte zostały opinie świadczące, że było inaczej. Książka ta powstała na pograniczu propagandy sowieckiej i PRL, więc jej antyukraiński charakter nie powinien nikogo dziwić.

Wspomnianą na wstępie pracę Podlaskiego – która zasługiwała by na osobne omówienie – uzupełniają kilka prac polskich autorów.

⁷⁶⁶ Stanisław Cat-Mackiewicz (1896-1966), dziennikarz, redaktor naczelny wileńskiego „Słowa”.

⁷⁶⁷ Wacław Zagórski (1909-1983), dziennikarz i socjalista, jeden z założycieli Legionu Młodych. W czasie II w. św. w AK, po 1945 na emigracji, członek PPS na uchodźstwie, redaktor „Tygodnia Polskiego”.

⁷⁶⁸ Edward Prus (1931-2007), historyk i badacz stosunków polsko-ukraińskich, członek Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”.

⁷⁶⁹ Hans Jakob Stehle (1927-2015), niemiecki historyk i publicysta, korespondent prasy zachodniemieckiej w PRL.

Najciekawszy z nich jest krótki tekst, zamieszczony pod pseudonimem Rif (którego autor nie ustrzegł się jednak kilku błędów rzeczowych). Cytuje on słowa Jacka Kuronia, zwrócone do studentów Uniwersytetu Warszawskiego: „Wolna Polska nie może istnieć bez wolnej Ukrainy”. Artykuł Rifa ukazał się w nielegalnym czasopiśmie „Robotnik”; „Widnowa” zamieściła go w przekładzie ukraińskim.

W tymże numerze redakcja „Widnowy” ogłosiła ankietę zawierającą dziewięć pytań oraz dwie odpowiedzi – członka redakcji niezależnego (czytaj: nielegalnego) czasopisma „Obóz” oraz wybitnego historyka – Janusza Radziejowskiego,⁷⁷⁰ specjalizującego się w dziejach Ukrainy i stosunków polsko-ukraińskich. Najważniejsze pytanie dotyczy przeszkód na drodze do porozumienia polsko-ukraińskiego i sposobu ich usunięcia (zarówno w kraju, jak i na emigracji). W odpowiedzi na to pytanie zwrócono uwagę, że w zainteresowanych krajach (w Polsce i na Ukrainie) akcja taka natrafiłaby na wielkie trudności; Radziejowski wręcz oświadcza, że Ukraińcy w Polsce nie posiadają najmniejszej możliwości zabrania głosu w jakiegokolwiek sprawie, a cóż dopiero takiej, która by naraziła ich na represje ze strony reżymu komunistycznego. Pozostaje więc jedynie emigracja.

Władysław Serczyk⁷⁷¹ pisze w „Widnowie” na temat bodaj najtrudniejszy, mianowicie o Ukrainie w świetle historiografii polskiej XIX i XX wieku. Jako historyk zainteresował się głównie omówieniem dziejów Ukrainy w wieku XX, a zwłaszcza po drugiej wojnie światowej. Po jej zakończeniu – stwierdza autor – sprawa ukraińska zniknęła całkowicie z prasy i wydawnictw książkowych. Zaczęto o niej pisać dopiero po wydarzeniach jesieni 1956 roku, kiedy do władzy doszedł Gomułka. Nadzieje w nim pokładane nie sprawdziły się, ale wyłom, raz zrobiony, pozostał na stałe. Stopniowo zwiększał się zakres tematyczny i pogłębiano metody badawcze. Głównym ośrodkiem badań historycznych w tym okresie stał się Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Praca historyków polskich

⁷⁷⁰ Janusz Radziejowski (1925-2002), historyk polski.

⁷⁷¹ Władysław Serczyk (1935-2014), historyk, badacz dziejów Rosji i Ukrainy.

jest niezmiernie trudna, gdyż często nie mają dostępu do dokumentów, znajdujących się w archiwach Związku Sowieckiego. Zdarzało się, że pewnych dokumentów w ogóle im nie pokazywano, twierdząc, że zostały zagubione, co było nieprawdą. Ponadto badania historyków natrafiają na daleko idące trudności i ograniczenia spowodowane cenzurą. Pewnych tematów w ogóle poruszać nie wolno.

Gdy Niemcy hitlerowskie kończyły eksterminację narodu żydowskiego, nie brakowało wśród Polaków ostrzegawczych głosów, że obecnie nadchodzi czas na identyczną eksterminację narodu polskiego. Niewątpliwie doszłoby do tego, gdyby Trzecia Rzesza miała więcej czasu. Ale wojna już była przegrana, choć Niemcy rozpaczliwie starali się ją przedłużyć w nadziei na zdobycie owych „tajemnych broni”, które miały im dać zwycięstwo. Do tego na szczęście nie doszło, ale niebezpieczeństwo zagłady nie zniknęło, z tym że metody sowieckie są z natury rzeczy całkowicie odmienne i kolejność jest inna. Możemy się pocieszać, że mamy znacznie więcej czasu od Ukraińców, ale to byłaby postawa ludzi niegodnych życia w wolności. Nie wolno nam oczekiwać beczynnicy, aż zdarzy się coś, co da nam tę upragnioną wolność, podczas gdy inne narody, bardziej od nas zagrożone, zaczną być wykreślane z grona żywych. Mówi się, że narody historyczne nie mogą zginąć, nie mogą być skazane na śmierć. Historia przeczy tej lekkomyślnej opinii.

Babilonia – to tylko jeden przykład – miała wszystkie cechy narodu historycznego, a jednak przestała istnieć i o jej zamierzczłym istnieniu świadczą jedynie ruiny archeologiczne. Jeden ze współczesnych historyków określa śmierć narodu punktami, a mianowicie: „Gdy z zewnątrz został narzucony ustrój polityczny niemający nic wspólnego z osobowością danego narodu; gdy następuje okupacja terytorium narodowego przez siły obce; i wreszcie – gdy następuje wysiedlenie albo eksterminacja narodu”. Jak widzimy, tylko spełnienie tych trzech warunków może spowodować śmierć narodu. Najważniejszy jest wypadek trzeci. W Polsce nastąpiła realizacja dwóch pierwszych warunków. Dotknęły one również Ukrainę i to od dawna, trzeci punkt został zastosowany jedynie częściowo,

podobnie jak w trzech krajach bałtyckich. A oto sowiecki wynalazek, którego wyżej wspomniany historyk nie uwzględnił, ponieważ nie poznał go w swoim życiu. Mam na myśli odebranie narodowi jego mowy ojczystej i zastąpienie jej językiem zdobywcy. Jednak ten ostatni sposób też nie jest doskonały; wystarczy przykład Irlandii, która utraciła swój język celtycki na rzecz angielskiego, a jednak nadal jest żywym narodem. Ale Irlandia jest wyspą, i to prawdopodobnie zadecydowało.

Należy tu wprowadzić istotną poprawkę. Jeśli nastąpiła utrata języka, to eksterminacja całego narodu nie jest konieczna – wystarczy fizyczne zniszczenie warstwy kulturalnie świadomej i reprezentującej osobowość narodową. Tak właśnie, na początku lat trzydziestych, rozpoczęła się walka z narodem ukraińskim. Ale akcji nie dokończono, gdyż po prostu nie wszyscy Ukraińcy znajdowali się pod panowaniem sowieckim, a ponadto – jak wynika ze świadectwa Chruszczowa – Stalin powiedział z żalem: „Było ich o wiele za dużo”.

Otóż gdyby Stalin żył, miałby więcej podstaw do powtórzenia swojego westchnienia. Po wyrównaniu ciężkich strat wojennych Ukraińców jest zapewne nie mniej niż za jego życia, ponadto doszli Ukraińcy zachodni, narody bałtyckie oraz wielomilionowa masa Polaków. Bolszewicy uważają, że mają dość czasu i że wobec obojętności Zachodu mogą sobie pozwolić na stopniową i metodyczną akcję. Tu popełniają największy, moim zdaniem, błąd. Nie pierwszy i nie ostatni. Afganistan jest tego skrajnym przykładem. Zmusza ich do tego materialistyczna doktryna, która każe im zapominać o imponderabiliach, a w najlepszym wypadku mylnie je interpretować. Nie brakuje wydarzeń historycznych, wobec których każdy marksista staje najzupełniej bezradny. Nie mieszczą mu się w jego interpretacji klasowej i gospodarczej, więc po prostu omija je, nie mając pojęcia od czego zacząć.

Sołżenicyn rzucił kiedyś uwagę, że Stalin włączając Ziemię Czerwieńską i Wołyń do Związku Sowieckiego, zrobił zły interes. W tym stwierdzeniu rosyjskiego nacjonalisty była spora garść prawdy. Żelazna kurtyna na Zbruczu była o wiele skuteczniejsza

niż na Sanie. A ponadto ustrzeliliby od razu dwa ptaki: wzmocniłby nienawiść polsko-ukraińską i podnieciłby nadzieje tych Polaków, którzy wciąż się łudzą: „Mimo wszystko z Rosjanami można będzie dojść do porozumienia”. Ale stało się i nikt tego nie odrobi.

Samobójczy konflikt polsko-ukraiński wdarł się nawet do gastronomii. Zajadałem się zawsze pierogami z serem, zwanymi w Polsce przez setki lat ruskimi. Gdy w 1953 roku przyleciałem po raz pierwszy do Londynu, znalazłem w jadłospisie „Ogniska” pierogi białoruskie, co stanowiło rzadki dziwoląg. Zwróciłem na to uwagę i za następnym razem były już „pierogi małopolskie”. To samo, tylko o wiele bardziej patriotycznie!...

Wracając do tematów poważnych, należy stwierdzić, że wszystko, co w przeszłości dzieliło obydwie narody, nie ma większego znaczenia wobec wspólnego celu, jakim jest odzyskanie niepodległości państwowej i wolności osobistej każdego obywatela. Jeśli nie zdobędziemy się na wspólne działanie, dając właściwy przykład wszystkim innym narodom, uciemionym przez tego samego sowieckiego wroga, to walka nasza będzie znacznie dłuższa i trudniejsza niż zespolonymi siłami. „Widnowa” jest poważnym krokiem na najwłaściwszej drodze, jaką nasze narody powinny wybrać i kontynuować z całą świadomością.

[„Kultura” 1986 nr 9]

ROZMOWA Z JÓZEFEM ŁOBODOWSKIM

SPOTKANIA: Chciałbym się skoncentrować w tej rozmowie na sprawach polsko-ukraińskich. Słyszał Pan zapewne, że jest w Polsce pewna odnowa zainteresowania sprawami ukraińskimi, zaznaczająca się niejako z dwóch stron. Z jednej strony wśród generacji powojennej obudziło się spore zainteresowanie sprawami mniejszości w Polsce przedwrzesniowej. Zwłaszcza sprawa żydowska i sprawa ukraińska należą do tematów bardzo popularnych wśród inteligencji młodszego i średniego pokolenia –

widać to najwyraźniej po nazwiskach autorów tych publikacji, które udało się „przepchnąć” przez cenzurę. Z drugiej strony wydaje się, że wśród Ukraińców mieszkających w Polsce zaznacza się pewna odnowa narodowa i religijna, zwłaszcza w kręgach unickich. Niektórzy Polacy się z tego cieszą, inni się niepokoją, bojąc się jakichś niepożądanych reakcji sowieckich. Chciałbym zapytać, co Pan o tym sądzi, patrząc na sprawy polsko-ukraińskie z wyżyn mesety kastylijskiej?

JÓZEF ŁOBODOWSKI: Tak, ja o tym wiem. Zwłaszcza w czasach Solidarności te tendencje doszły do głosu. Przecież, jak pan doskonale wie, wtedy była namiastka wolności w Polsce. I wtedy doszło do pewnych rozmów, kontaktów i pewnego porozumienia. Ukraińcy w Polsce głównie są na zachodzie i na północy, przesiedleni z tak zwanej niesłusznie i ahistorycznie Małopolski Wschodniej i z Wołynia – ci, którzy uciekli przed okupacją sowiecką i znaleźli się w Polsce. Poza tym to są Łemkowie i Bojkowie, którzy zaraz po wojnie, w okresie walk z resztkami Ukraińskiej Armii Powstańczej, tak zwanej UPA, zostali na siłę z Bieszczad Zachodnich przesiedleni na Zachód i na Północ. Oni są rozproszeni. Do niedawna starali się w ogóle nie odzywać, starali się ukrywać ze swoją narodowością. Wprawdzie w Warszawie istnieje ośrodek społeczno-kulturalny ukraiński, wydają swoje czasopismo, ale jest to namiastka. Oczywiście oni muszą się bardzo liczyć z tym, co głoszą, no bo w Kijowie i w Moskwie bardzo niechętnie temu się przyglądają. Jest ich mało i są bardzo rozproszeni w tych województwach północnych i zachodnich.

S: Wśród pokoleń powojennych, trzydziesto- i czterdziestolatków, jest jakaś chęć przezwyciężenia tego wielowiekowego konfliktu, tej nienawiści polsko-ukraińskiej. Czy Pan sądzi, że to psychologicznie jest możliwe? Co z tą masą krwi, która została wylana?

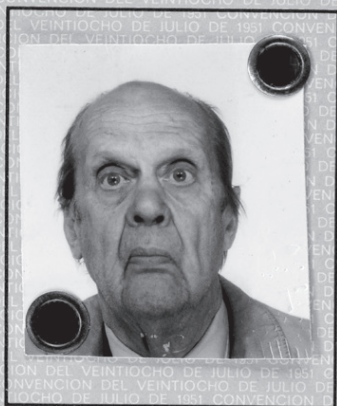
JŁ: Proszę pana – może to być. Proszę wziąć pod uwagę, że wydarzenia na Wołyniu i na Ziemi Czerwieńskiej – jak ja wolę określać Małopolskę Wschodnią – to nie pierwszy raz w historii.

S: To znaczy, mówi Pan o wydarzeniach z lat wojny?

**Fotografía del titular y sello de la autoridad
que expide el documento**

**Photographie du titulaire et cachet de l'autorité
qui délivre le titre**

Photograph of holder and stamp of issuing authority



**Huellas digitales del titular
(si se requieren)**

**Empreintes digitales du titulaire
(facultatif)**

**Finger-prints of holder
(if required)**

Firma del titular

Signature du titulaire

Signature of holder

Este documento contiene 36 páginas, sin contar la cubierta.

Ce titre contient 36 pages, non compris la couverture.

This document contains 36 pages, exclusive of cover.

Karta z paszportu Józefa Łobodowskiego, ze zdjęciem i podpisem poety.

JŁ: Tak. Były przecież hajdamaczyzna i koliszczyzna w XVIII wieku, w XVII wieku też były wzajemne rzezie, i z biegiem lat opinia jednego i drugiego narodu przechodziła do porządku dziennego nad tym wszystkim. To się odnowiło w czasie II wojny światowej na skutek zupełnie nonsensownej polityki wobec mniejszości ukraińskiej w Polsce przed rokiem 1939.

S: Na czym przede wszystkim polegała ta polityka?

JŁ: Weźmy jako przykład „oprawę” Hrynek. Ni stąd ni zowąd rozchodzi się wiadomość, że cała ukraińska wieś z prawosławia przeszła na katolicyzm. To był 1937 rok. Hrynki to wieś tuż nad granicą – ówczesną granicą polsko-sowiecką, w powiecie dyderkańskim, na terenie kontrolowanym oczywiście przez KOP. Były przygotowania do jakiejś uroczystości rocznicowej. Za wsią wystawiono ołtarz, przy którym miano odprawić następnego dnia mszę i ten ołtarz został w nocy zbezczeszczony. No więc oczywiście śledztwo. Chłopi powiadają, że to zrobiło dwóch młodych komunistów, którzy zaraz potem uciekli przez zieloną granicę na Ukrainę sowiecką. Ale majorowi, dowódcy batalionu KOP, to nie wystarczyło i on prowadził śledztwo dalej, bo chciał koniecznie ukarać sprawców, a szukać ich na terenie Ukrainy sowieckiej – to było trochę za trudno. Skutek był taki, że delegacja chłopów udała się do proboszcza katolickiego w Dyderkałach z prośbą o interwencję – bo ich tam bili i katowali. KOP był wszechwładnym panem na terenach, które mu podlegały. No i ten ksiądz w rozmowie dowiadyuje się, że jeden z chłopów nazywa się Kostiuk – i wpada na genialny pomysł, że on się musiał nazywać Kościuszko, że ta wieś to była szlachta zagrodowa, która po powstaniu 1830 roku, jak to zresztą często bywało, została siłą nawrócona na prawosławie – i że to są wszystko potomkowie tej szlachty zagrodowej i potomkowie katolików. Obopólnym wysiłkiem księdza w Dyderkałach i dowódcy KOP doprowadzono do tego, że Hrynki przeszły na katolicyzm łaciński i prasa trąbiła przez parę tygodni na ten temat. Wielkie wydarzenie. Zwłaszcza dla „IKC”, który był najbardziej antyukraińskim pismem w Polsce, a jednocześnie miał ogromny nakład – najwyższy w Polsce. No

więc – mija kilka tygodni – i nagle wstydliva wiadomość w „Kurierze Porannym” i w „Gazecie Polskiej” – Hrynki wróciły na prawosławie. Z wyjątkiem jednego obywatela o nazwisku Achtech-tian. Nazwisko mongolskie – któż to był? To był dawny żandarm carski, który w czasie rewolucji uciekł na Wołyń, znalazł się w Hrynkach, przyżenił się tam do młodej wdowy i gospodarował jako jeszcze jeden chłop. Otóż on jeden pozostał wierny katolicyzmowi i szlacheckości – no bo ich mianowali szlachtą zagrodową. To był jeden z najbardziej jaskrawych przykładów idiotycznego polonizowania. Wojewoda Józewski oczywiście był temu przeciwny – ale on był w nieustannej wojnie z tymi polonizatorami. Ja byłem wtedy na Wołyniu i chciałem jechać do Hrynek, ale wojewoda mi powiedział: „Proszę pana, KOP pana nie puści. Jeżeli biskupa prawosławnego, który tam z Łucka chciał pojechać, z drogi zawrócili, to tym bardziej pana”.

S: Był oczywiście szereg innych konfliktów i konfliktogennych sytuacji, czasami prowokowanych niestety przez Polskę, na przykład sprawa uniwersytetu we Lwowie czy sprawa osiedlania polskich kolonistów wojskowych na wsi...

JŁ: No oczywiście. Ja byłem w podchorążówce przy 44 pułku piechoty, to byli Strzelcy Kresowi, w Równem. Był wśród nas jeden Ukrainiec. Ukraińców do podchorążówki z zasady nie brano, ale on złożył podanie – jeszcze wtedy żył Piłsudski, to był rok 1933 – więc złożył podanie na ręce Piłsudskiego i Piłsudski kazał go przyjąć. Sceny były takie na przykład: przychodzi porucznik, dowódca plutonu, i bada personalia wszystkich kandydatów – bo przed przysięgą myśmy nie byli podchorążymi, tylko rekrutami z cenzusem. Bada personalia, dochodzi do tego chłopaka i pyta go o narodowość, a ten mówi: „Ukrainiec”. „Jaki Ukrainiec? Co wyście – zwariowali? Gdzie ta wasza Ukraina? Nie ma żadnej Ukrainy! Powiedzcie, że jesteście Rusinem!” To było przecież naigrawanie się z uczuć narodowych. Proszę pana – przychodził chłop, który polskiego języka w ogóle nie znał, coś załatwić do urzędu. A urzędnik mu odpowiada: „Proszę mówić do mnie po polsku”. Przecież tylko polski

był językiem oficjalnym. Rozmawiam kiedyś z młodą nauczycielką, poznanianką, która skończyła seminarium nauczycielskie w Wielkopolsce i przysłano ją na Wołyń. I ona powiada: „Ja jestem bezradna, bo ja nie rozumiem, co te dzieci między sobą mówią”. A przecież większość tych dzieci nie tylko rozmawiała między sobą po ukraińsku, ale w ogóle nie знаła polskiego języka! To przecież były absolutne nonsensy.

S: Winą za te nonsensy obarcza się często Narodową Demokrację, a potem Sanację, która przejęła sporo elementów endeckiej polityki narodowościowej.

JŁ: Proszę pana – Wołyń to był jedyny teren, na którym doszło do pojednania pomiędzy wojskiem, sądownictwem, endecją i Strzelcem – wszystko na tle walki z wojewodą, który był uważany za zdrajcę polskości. On umarł dopiero niedawno. Urodził się na Ukrainie, był w rządzie Petlury, mówił świetnie po ukraińsku – jak zresztą wszyscy Polacy stamtąd, normalna rzecz! Tak jak wszyscy Polacy śląscy mówili doskonale po niemiecku. No więc ogłoszono go za zdrajcę, bo on z chłopami ukraińskimi rozmawiał po ukraińsku. Przypomina mi się bardzo ciekawa historia. Józewski był uważany za żelaznego wojewodę, bo jego postawił sam Piłsudski i Sławoj Składkowski nie chciał go ruszać. Już po śmierci Piłsudskiego delegacja oficerów z Wołynia przyjechała do Lublina – bo Wołyń należał do DOK (Dowództwo Okręgowe Korpusu) Lublin – i do generała Mieczysława Smorawińskiego z ultimatum: jeżeli on nie spowoduje natychmiastowego odwołania Józewskiego z Łucka – Łuck był stolicą województwa – to jeden z nich zastrzeli wojewodę. Pan generał – który potem zresztą zginął w Katyniu – zamiast kazać im odpaść szable i udać się do aresztu, pojechał do Warszawy do Kasprzyckiego, który miał sprawy wojskowe. Kasprzycki do Sławoja Składkowskiego – i Józewski został z Wołynia odwołany, a na jego miejsce przyjechał Hauke-Nowak. Teraz taki szczegół anegdotyczny. Na jarmarku Żyd pyta znajomego chłopca: *A czczo teper bude?* – a tamten odpowiada: *Budemo hawkaty po nowomu* – będziemy szczekać po nowemu, pijąc oczywiście do

nazwiska nowego wojewody. Ale Hauke-Nowak niczego w gruncie rzeczy na Wołyniu nie zmienił. Usiłował oscylować pomiędzy dawną polityką Józewskiego, a wymaganiami jego wrogów. To była kołomyjka niesłychana.

S: Kiedy Pana słucham czy kiedy czytam o sprawach ukraińskich, nasuwają się pewne analogie. Dziś mamy coś podobnego w Libanie, w Palestynie czy Irlandii Północnej – dwa narody żyjące na jednym terytorium, które zgłaszają do niego słuszne historyczne prawa i które w pewnym momencie w wyniku rozbudzenia nacjonalistycznego czy etnicznego tracą zupełnie zdolność współżycia na jednym obszarze. Czy Pańskim zdaniem – jeśli już tak gdybać nienaukowo – gdyby byli sami tacy Józewscy i gdyby była bardzo mądra polityka polskiej strony – to czy problem współżycia polsko-ukraińskiego był w ogóle do rozwiązania?

JŁ: Teoretycznie był do rozwiązania, na pewno. Ale społeczeństwa tego rozwiązania na dobrą sprawę nie chciały – ani polskie, ani ukraińskie. Rozjąttrzenie nacjonalistyczne zaszło bardzo daleko. Ze strony polskiej zginął Hołówko, który był przecież sztandarowym przywódcą tych tendencji proukraińskich, pojednawczych. A ze strony ukraińskiej zginął dyrektor gimnazjum,⁷⁷² też zastrzelony przez Ukraińców, który szedł po tej samej linii. Ja w Warszawie stykałem się bardzo blisko z emigrantami ukraińskimi, to byli prawie bez wyjątku ludzie z wielkiej Ukrainy. Na przykład bardzo wybitny poeta, nieżyjący już Jewhen Małaniuk – pochodził z Chersońszczyzny. Było wśród nich wielu kijowian. Otóż z nimi można było rozmawiać. Nie ustępując ze swego stanowiska nacjonalizmu ukraińskiego byli oni jednak ludźmi inteligentnymi, rozumnymi, rozumieli także polskie stanowisko i polskie tendencje – chcieli porozumienia. Ale to była nieliczna garstka i prawie całkiem odosobniona.

S: Na Ukrainie były – jak wszędzie – pewne elity narodowe i politycznie świadome, prowadzące politykę, i masy, które się w po-

⁷⁷² Iwan Babij (1893-1934), dyrektor ukraińskiego gimnazjum akademickiego we Lwowie, został zamordowany przez bojówkę OUN 25 VII 1934 r.

litykę bezpośrednio nie angażowały. Jakie były, pańskim zdaniem, stosunki między ukraińskimi elitami i masami na Ukrainie?

JŁ: Wymiana ideologiczna i polityczna między tymi grupami istniała. Weźmy sprawę Biłasa i Danyłyszyna, którzy wzięli udział w napadzie na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim. Zostali aresztowani i skazani przez sąd doraźny na śmierć i wyrok został wykonany. Obaj zostali powieszani. Oczywiście, od razu strona ukraińska ogłosiła ich bohaterami i ofiarami polskiego terroru. Skazano ich na śmierć i prezydent ich nie ułaskawił – ponieważ oni byli zamieszani w sprawę zabójstwa Hołówki. Adwokaci ukraińscy, którzy ich bronili, usiłowali wyłączyć tę sprawę, ale sąd polski nie zgodził się. Od wyroku sądu doraźnego nie było apelacji. Ignacy Mościcki nie skorzystał z prawa łaski – i to był zasadniczy błąd. Moim zdaniem, to był moment najbardziej kluczowy dla stosunków polsko-ukraińskich. Po powieszeniu Biłasa i Danyłyszyna nie było sposobu na jakiegokolwiek pertraktacje. Wtedy jeszcze można było sobie pozyskać masy ukraińskie⁷⁷³. No i bardzo źle, że nie zrobiono procesu o zabójstwo Hołówki. Biłas i Danyłyszyn to byli prości chłopcy, których oszukano – powiedziano, że Hołówko był sprawcą pacyfikacji, a przecież on był ich największym wrogiem. Gdyby więc odbył się proces Biłasa i Danyłyszyna, oskarżonych o zamordowanie Hołówki, to cały szereg spraw wyszedłby na jaw. Cały szereg spraw kompromitujących nacjonalistyczne podziemie ukraińskie. A z tego nie skorzystano. Wolano ich powiesić.

S: Mówi się nieraz – nie bez pewnej słuszności – o realistycznej polityce Narodowej Demokracji; dzisiejsi sympatycy tej tradycji politycznej bardzo ów realizm eksponują. Ale przecież to był pomysł zupełnie nierealistyczny – polonizacja tej ogromnej masy ludzi.

JŁ: No oczywiście. Ukraińców było w polskich granicach około cztery miliony. Żyje jeszcze w Londynie stary człowiek, który się nazywa Jędrzej Giertych. On był jednym z promotorów tej poli-

⁷⁷³ Łobodowski napisał wówczas wiersz: *Na śmierć powieszonych Ukraińców*, „Skamander” 1936, z. 75, s. 402-407.

tyki rzekomo proukraińskiej, w rzeczywistości antyukraińskiej. Na przykład chciał zmienić alfabet na łaciński. On dziś jeszcze twierdzi, że to by nie był krok antyukraiński i że tak powinno być się zrobić. Ci ludzie chcieli zrobić Polaków z tej masy, różniącej się zarówno narodowo, jak i religijnie – bo w Galicji to byli unicy, a na Wołyniu i Polesiu prawosławni. Oczywiście, marzenie świętej głowy. Najgorzej, że wojsko poszło po tej samej linii. Kiedy Rydz-Śmigły złożył wizytę w najbardziej endeckiej korporacji w Warszawie,⁷⁷⁴ to już było jasne, że polityka pójdzie w tym kierunku. Polityka polska od samego początku – to jest przynajmniej od 1920 roku – była nonsensowna.

S: A sprawa wojny polsko-ukraińskiej, która wybuchła w listopadzie 1917 roku we Lwowie, zupełnie nieoczekiwanie dla Polaków. Czytałem o tym i zdumiewało mnie, do jakiego stopnia Polacy lwowscy nie zdawali sobie sprawy z nastrojów wśród Ukraińców.

JŁ: Proszę pana – we Lwowie były trzy getta – polskie, ukraińskie i żydowskie, które miały ze sobą kontakty tylko osobiste i to nieliczne, a kontaktów społecznych nie było. Opowiadał mi jeden z pisarzy ukraińskich na emigracji, że właścicielka wielkich majątków na Podolu, już na emigracji, bardzo dziwiła się, że istnieje jakiś naród ukraiński. Ona myślała, że Ukraińcy to znaczy Rusini, służba domowa i nic więcej. W Chyrowie na budynku szkoły umieszczono tablicę, na której tę wojnę nazwano słusznie bratobójczą – to była wojna bratobójcza. Na skutek tej wojny nie powstała Ukraina niepodległa, nie udała się wyprawa kijowska. Ja w 1920 roku miałem 11 lat i byłem na północnym Kaukazie. Ale w latach zawieruch wojennych, a zwłaszcza wojen domowych dzieci znacznie szybciej dojrzewają. Doskonale pamiętam propagandę sowiecką 1920 roku: świnia w kontuszu pokazywała manifest do narodu ukraińskiego z podpisem Petlury. I komentarz do tego: wprowadza polszczyznę. I ciemny chłop na Kijowszczyźnie wierzył w to – i dlatego nie poszedł do Petlury. Petlura miał raptem kilka tysięcy wojska.

⁷⁷⁴ Aluzja do wizyty Edwarda Śmigłego-Rydza na Komerszu Korporacji Arkonia w dniu 19 V 1937 r.

S: Wtedy powstał rząd w Kijowie, prawda?

JŁ: W Kijowie powstał rząd socjalistyczny, za kiereńszczyzny, i oni jak zwykle uwierzyli komunistom. Oni chcieli federacji Ukrainy z Rosją. No i mają federację w postaci „niepodległej” Ukrainkiej Republiki Sowieckiej. Całkiem niepodległej Ukrainy chciał tylko Petlura.

S: Ale – znowu gdybając, dla mnie to zawsze jest najciekawsze – gdyby nie było wojny polsko-ukraińskiej – to były jakieś szanse na powstanie niepodległej Ukrainy? Czy Polska by się na to zgodziła? Przecież niektórzy politycy ukraińscy domagali się bardzo wiele – Chełmszczyzny i tym podobne...

JŁ: Polska musiałaby się zgodzić – oczywiście zależy, jakie granice by wytyczono. Żyje dziś pewien działacz ukraiński w Stanach Zjednoczonych, wydaje swoje pismo i domaga się granicy – niech pan zgadnie, gdzie – na Pilicy! On uważa, że to jest zachodnia Ukraina. Że tak kiedyś było. Ale to oczywiście jest sprawa anegdotyczna. Rozsądni Ukraińcy godzą się z granicą obecną – na Sanie i na Bugu.

S: Ale dziś jest sytuacja prostsza psychologicznie, bo istniejące granice większość Polaków uważa za fakt dokonany. A czy przed wojną mogliby się zgodzić na sytuację, w której Lwów pozostawałby poza Polską?

JŁ: Nie, to było niemożliwe. Ale było możliwe wykonanie tego, co było uchwalone na Zachodzie i uznane przez rząd Polski, to znaczy autonomia terytorialna, w której Ukraińcy byliby traktowani na równi z Polakami i z Żydami. To byłoby do przyjęcia – autonomia obejmująca województwo stanisławowskie, województwo lwowskie aż po San, tarnopolskie – nawiasem mówiąc, w województwie tarnopolskim procent Polaków był znacznie wyższy niż w lwowskim – no i Wołyń, gdzie procent Polaków był śmiesznie niski. Oczywiście, Żydzi zawsze głosowaliby po stronie polskiej, więc razem z Żydami Polacy reprezentowaliby na Wołyniu kilkanaście procent, bo rzadko rozsiane miasteczka były całkowicie żydowskie. Autonomia była więc możliwa, a przede wszystkim autonomia

kulturalna. Ten obiecany uniwersytet we Lwowie. Zaprzestanie walki ze szkolnictwem ukraińskim. Utrakwistyczne⁷⁶⁸ gimnazja – to był nonsens – polska młodzież nie chciała się w nich uczyć ukraińskiego. To był jeszcze jeden rozsądek zła i nienawiści.

S: Ale jednak nacjonalizm ukraiński rósłby konsekwentnie w kierunku uzyskania całkowitej niepodległości.

JŁ: Naturalnie, że by rósł, proszę pana – było dwóch posłów ukraińskich. Jeden nazywał się Pewnyj⁷⁶⁹ – czyli pewny – a drugi Mudryj⁷⁷⁰ – to znaczy mądry. Mudryj był propolski, a Pewnyj antypolski.⁷⁷¹ Wtedy powstało powiedzenie: „Gdyby Mudryj był Pewny, a Pewny był Mądry, to byłoby dobrze”. Autonomia stworzyłaby zlanie się Pewnego z Mądrym, i takich byłoby o wiele więcej. Niech pan weźmie pod uwagę, że młody Ukrainiec, który chciał studiować, jechał do Pragi albo do Niemiec, albo do Francji.

S.: Trochę studiowało w Krakowie.

JŁ: Ale bardzo mało. A ci, którzy studiowali za granicą, utrwalali się w swej niechęci do polskości.

S.: Proszę coś powiedzieć na temat emigracji ukraińskiej i stonków emigracyjnych polsko-ukraińskich.

JŁ: Emigracja ukraińska jest politycznie znacznie bardziej podzielona niż kiedykolwiek była emigracja polska. Polska i ukraińska – to są dwie emigracje wymierające. Chociaż emigranci są zastanawiająco długowieczni – czytam nekrologi i widzę, że większość umiera około dziewięćdziesiątki. W sumie emigracja polska jest jednak w lepszej sytuacji, bo jest pewien dopływ z kraju –

⁷⁶⁸ Utraktywistyczne (łac. utraque – oba) – dwojaki, tu: dwujęzyczny; utrakwizm – system szkolnictwa wprowadzający dwujęzyczność w krajach dwujęzycznych (łac. utraque lingua – w obu językach).

⁷⁶⁹ Petro Pewnyj (1888-1957), polityk ukraiński, przewodniczący Ukraińskiego Zjednoczenia Wołyńskiego (1931-1936), współpracował z wojewodą wołyńskim H. Józewskim, poseł na Sejm RP. Po II w. św. na emigracji w Niemczech i w USA.

⁷⁷⁰ Wasyl Mudryj (1893-1966), przewodniczący Ukraińskiego Zjednoczenia Narodowo-Demokratycznego (1935-1939), poseł na sejm RP IV i V kadencji, wicemarszałek Sejmu (1938-1939).

⁷⁷¹ Ewidentna pomyłka, gdyż trudno uznać, że poseł Pewnyj reprezentował stanowisko antypolskie.

a w wypadku Ukraińców niemal zerowy. No więc, na emigracji ukraińskiej są pewne tendencje porozumienia z Polakami, czego najlepszym dowodem jest na przykład numer polski miesięcznika „Suczasnist”, wychodzącego w Monachium. Ale to idzie bardzo ciężko, przede wszystkim dlatego, że Ukraińcy zdają sobie sprawę, że tylko część Polaków jest za porozumieniem z nimi. A żyjący jeszcze starszankowie, urodzeni we Lwowie czy w Tarnopolu, czy w Stryju, na ogół torpedują to wszystko. Jest więc w tej chwili na emigracji wojna starców. Starcy polscy chcą Lwowa i Tarnopola, starcy Ukraińcy Chełma i Łemkowszczyzny.

S: A skąd się wzięła Pańska pozycja wśród Ukraińców i Pańskie zainteresowanie tymi sprawami i zaangażowanie w nie?

JŁ: Moja pozycja bierze się stąd, że ja byłem zwolennikiem ugody polsko-ukraińskiej jeszcze przed wojną. Moje nazwisko jest pochodzenia ukraińskiego. Łobodów na Ukrainie było więcej niż pokrzyw. Był słynny ataman Łoboda, który z Nalewajką podniósł powstanie przeciwko Polsce – nie bunt, tylko właśnie powstanie. Kiedy Łoboda i Nalewajko ponieśli klęskę od wojsk Żółkiewskiego, wycofali się na Wołyń i pod Łabuniami założyli obronny obóz. Wtedy Łoboda wysunął propozycję, żeby porozumieć się z Żółkiewskim. Że jeszcze jest właściwy moment – bez utraty dalszych żywotów ludzkich. Polacy mogą pójść na pewne ustępstwa. Wiadomo było zresztą, że Żółkiewski nie był żadnym nacjonalistą, wręcz odwrotnie. Otóż na naradzie wojennej zwolennicy Nalewajki zabili Łobodę, po czym w kilka tygodni później Żółkiewski zmusił Kozaków do poddania się. Oni jak zwykle stracili najlepszy moment do pertraktacji, a potem przegrali i musieli poddać się bez warunków. Propaganda nacjonalistyczna ukraińska twierdzi, że Łoboda został zabity przez Polaków. O Nalewajce jeszcze w XVII wieku powstała legenda, że on przez Lachów został w miedzianym wole upieczony – a w rzeczywistości został wysłany do Warszawy z listem Żółkiewskiego, wstawiającym się za nim, proszącym króla i Sejm o łaskę dla niego. Żółkiewskiego jednak nie usłuchano i Nalewajko został na Starym Rynku w Warszawie ścięty przez kata. Ale odchodzimy tu od tematu.

Ja wiedziałem od ojca, że rodzina pochodzi od uszlachconego Kozaka, który ożenił się z Polką i oczywiście przeszedł na katolicyzm. Z biegiem lat rodzina spolszczyła się całkowicie, ale pewna tradycja pozostała. Poza tym ja spędziłem część mojego dzieciństwa – między rokiem 1917 a 1922 – na ziemi Kozaków kubańskich, którzy byli potomkami Kozaków zaporoskich, przesiedlonych tam za czasów Katarzyny II. To obudziło moje zainteresowanie. Potem pogłębił je pobyt w Kijowie i na Wołyniu. Poza tym – ja widziałem rzeczywistość. Moim pierwszym wyczynem był artykuł pod tytułem „Serca za barykadą”, wydrukowany w czasopiśmie młodzieży ZPMD na Uniwersytecie Lubelskim, na początku roku 1932. Pismo nazywało się „Trybuna”. To było pierwsze moje wystąpienie wzywające do zgody między Polakami a Ukraińcami. Oczywiście ten artykuł wywołał tylko oburzenie ze strony polskiej. Ja zresztą wkrótce przestałem być redaktorem tego miesięcznika, poszedłem bardziej na lewo. Odejście moje od lewicy też było związane ze sprawami ukraińskimi. Między innymi przyczyniła się do niego wiadomość o głodzie na Ukrainie, który został zorganizowany przez władze sowieckie w roku 1932. Ja się o tym dowiedziałem z dużym opóźnieniem, ale w roku 1935 byłem na Ukrainie sowieckiej, poszedłem na zielono, przemysłowcy mi to umożliwili. Doszedłem aż do Koziatynia, na Kijowszczyźnie. Tam zorientowałem się, że moim śladem już idą, już wiedzą, że ktoś się nielegalnie kręci. To było ciekawe, ale smutne bardzo. Ja dużo chodziłem po Lubelszczyźnie na piechotę – Lublin, Krasnystaw, Zamość, Chełm... Jeżeli w Polsce podszedł do chłopki czy dziewczyny i powiedział: „Niech będzie pochwalony”, to usłyszałem „Na wieki wieków”. A na Wołyniu pierwsze moje spotkanie jak wyglądało? Koło Szepietówki, niedaleko granicy polskiej młoda dziewczyna w lesie zbierała jagody. Podchodzę do niej i mówię „Sława Bohu”, a ona zamiast mi odpowiedzieć „Na wiki wików” popatrzyła obłądnym wzrokiem, rzuciła koszyk – i w nogi. I to było zjawisko powtarzające się. Po prostu paniczny strach na widok kogoś nieznanego. A w Berdyczowie, o który w drodze powrotnej zawadziłem, zaga-

Pożegnanie poety

18 kwietnia zmarł w Madrycie Józef Dobrowy Łobodowski, wybitny poeta, prozaiak, tłumacz i publicysta, którego utwory ukazywały się m.in. w łamach „Dziennika”, „Tygodnia Polskiego” w wydaniach książkowych Polskiej Fundacji Kulturalnej. Jeżdżąc wycieczką jako przedstawiciel obu tych instytucji.

O godz. 9 rano 21 kwietnia niewielka grupa przyjaciół zebrała się przy trumnie Zmarłego i po odmówieniu modlitwy kondukt pogrzebowy wyruszył na cmentarz. Mimo szczupłości kolonii polskiej w Madrycie, kaplica krematorium wypełniona była do ostatniego miejsca. Oprócz najbliższego przyjaciela i wieloletniego opiekuna poety, Kazimierza de Tytko, który zajął się organizacją uroczystości pogrzebowych, z ramienia Rządu RP na Łondynie przybył jego delegat na Hiszpanię Piotr Jęgliński, z Londynu — bliski przyjaciel poety Marian Łyskowski, z Editions Spokanika i Księgarni Polskiej w Paryżu — Piotr Jęgliński i żona, a jako przedstawiciel Ukrainców — prof. dr Teodor Barabasz Seniw.

Mszę św. pogrzebową odprawił Msgr. Marian Walorek, rektor Polskiej Misji Katolickiej w Hiszpanii. Zgodnie z wolą Zmarłego prochy jego mają być przewiezione do Polski i pochowane w grobie jego matki w Lublinie. Powierzono mi przewiezienie urny z prochami Łobodowskiego do Londynu.

Ograniczenie w czasie nie pozwoliło na wygłoszenie mów pogrzebnych w kaplicy; hołd poczęto złożono tego samego dnia wieczorem w mieszkaniu prał. Walorka. Od lat odbywają się tam co dwa tygodnie spotkania pod nazwą „O wieczornej godzinie”, w których Józef Łobodowski regularnie uczestniczył — jego nieobecność została zaankietowana wianką biało-czerwonych kwiatów złożo-

nych na pustym fotelu. Pierwszą część spotkania poświęcono pamięci Łobodowskiego.

Przed spotkaniem Kazimierz Tytko zaprowadził nas do Łobodowskiego, gdzie przy różnym stoliku pisali on niemal wszystko, co w ostatnich latach ukazywało się w druku. Przy szklance czerwonego wina p. Tytko wspominał przyjaciela, kłócił się z członkiem jego rodziny, mówiąc o jego kłopotach i cierpieniach.

Następnego dnia wraz z p. Tytko, dr. Sokolowskim, Mariannem Łyskowskim i Piotrem Jęglińskim dokonaliśmy likwidacji mieszkania i uprządkowania osobistych papierów poety. Malenki, sprzątnięcia w swojej prostocie, pokój Łobodowskiego był dowodem w jak skromnych warunkach spędził ostatnie kilkanaście lat życia: wąskie łóżko przy ścianie,



Przed kaplicą krematorium

Śp. Piotr Kalinowski

11 kwietnia w kwaterze polskiej cmentarza paryskiego w Thiais spoczył doznający szczytów wybitnego działacza emigracyjnego Piotra Kalinowskiego, zmarłego 2 bm, w wieku 91 lat.

Wyprowadzenie zwłok nastąpiło z Kościoła Polskiego po nabożeństwie żałobnym, odprawionym dokładnie w rocznicę wyzwolenia p. Kalinowskiego z obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Wspominał o tym w czasie nabożeństwa ks. prałat Jez. rektor Polskiej Misji Katolickiej, który w imieniu katolików polskich we Francji podkreślił też zasługi zmarłego dla społeczności polskiej przed wojną, w latach wojny i po wojnie.

W imieniu przyjaciół i współpracowników zmarłego pozostaną go prof. dr Jan Marzewski, przyznający mu najważniejsze jego zasługi w języku francuskim, ponieważ w Kościele Polskim zjawilo się wielu Francuzów, którzy zetknęli się z Piotrem Kalinowskim w jego długim i bogatym życiu i przybyli, aby złożyć mu ostatni hołd. Prof. Marzewski przekazał też wyrazy współczucia wdowie p. Helenie Kalinowskiej, również uczestniczącemu polskemu oporu we Francji, więdnianemu obozom koncentracyjnym w Ravensbrück i Bergen-Belsen, a także dzieciom i wnukom zmarłego.

W uroczystościach żałobnych

wzięły udział spoczył szarym organizacja polskich, których Piotr Kalinowski był organizatorem i wieloletnim działaczem. Przed trumną niesiono odznaczenia zmarłego, wśród których znajdowała się francuska Legia Honorowa i polski Krzyż Niepodległości.

Piotr Kalinowski urodził się w 1897 r. na Mazowszu. Brał udział w obronie Łowosza przed twarzą województwa. Do Francji przybył w 1922 r. do Lille, gdzie kontynuował swe studia prawnicze i ekonomiczne. Jako młody człowiek działał na niwie społecznej wśród wędrowców poltoraminowej rzeszy Polaków, pracujących przy odbudowie Francji ze zniszczeń wojennych w górnictwie, w przemyśle i na roli w okręgu północnym, w województwie Lille Nordem. Jego rola w tworzeniu organizacji polskich przedwojennych poczucia wyobcowania na wychodźstwie wśród ludzi na

ogół słabo przygotowanych do życia i pracy w obcym środowisku wkrótce doprowadziła go do pełnienia funkcji sekretarza generalnego Związku Polaków we Francji. W tym charakterze uczestniczył w formowaniu Armii Polskiej we Francji tworzonej przez gen. Władysława Sikorskiego. Jako wiceprzewodniczący Polskiego Czerwonego Krzyża został we Francji w czasie okupacji kraju przez Niemców. Pełnił też funkcję zastępcy dowódcy polskiego ruchu oporu znanego pod kryptonimem „Monika”, utworzonego przez b. polskiego konsula generalnego Aleksandra Kawalkowskiego w Lille. Aresztowany w grudniu 1942 r. w Lyonie, po licznych przesłuchaniach w siedzibie Gestapo w Paryżu został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

Po wyzwoleniu w 1945 r. podjął ponownie pracę wśród niepodległościowej emigracji polskiej we Francji i przyczynił się m.in. do utworzenia Związku Polskich Deportowanych i Więźniów Politycznych we Francji, A. Bog.

Polska Fundacja Kulturalna
23 Coleridge St., Hove, Sussex BN3 5AB
PAMIENNIK INKI
J. Pierre-Skrzyńska
Słowo wstępne gen. K. Rudnicki
Przedmowa: prof. Zawodny
£3.00 + £0.30 porto.
druk. 2802



Ostatnia „tracheta”. Odwiedz Kazimierz de Tytko, Piotr Jęgliński, Tadeusz Filipowicz. Potoczku na stole, w torbach plastikowych, urna z prochami Józefa Łobodowskiego

szafa, miniaturowy stółk zawalony gazetami i papierami, stara maszyna do pisania z rozproszonym artykułem do „Tygodnia” o gen. Sosnkowskim...

Maszyną ostatnie części przygotowanych do druku w Ed. Spokanika wspomnieli Łobodowski zabrał Piotr Jęgliński. Mojej opiece powierzono dokumenty. Zbliżał się czas odlotu do Londynu. Panowie Tytko i Jęgliński

w samolocie otworzyłem ukochany tomik Łobodowskiego, z którym nigdy się nie rozstałem. Z dymem pożarów, wyd. w oficynie nieckiej Samuela Tryskiewicza. Koncowa zwolka wiersza „Na śmierć Poety” zabrziała jak epitafium:

To tylko twój czas odchodzi,
To na ciemne łono się przyjął
Portfogenia Chryste.

Tadeusz Filipowicz

Polska Fundacja Kulturalna

23 Coleridge St., Hove, Sussex BN3 5AB ☎ (0273) 772234

Nowości Nowości

JÓZEF ŁOBODOWSKI DYTYRAMBY PARYTYCZNE

127 stron — cena £4.60 + £0.40 porto

Także do nabycia w polskich księgarniach w Wielkiej Brytanii i w wolnym świecie PK 293070

Słyszałeś? jak wczoraj nocną porą
stukał do twoich drzwi

MARIAN HEMAR

376-stronicowym tomem

LIRYKI ~ SATYRY ~ FRASZKI

Nie spałeś? chciał więc, jak kiedyś — pozmiać się z

toż, kąpiąc z emigracyjnej doli i powiadzieć... ni

to... Skarzył się tylko, że tak mu za Lwowem takno...

Piękna książka w piękniejszej oprawie — £16.00

w polskotywny — £11.00 (ceny z przesyłką pocztową)

Do nabycia także w polskich księgarniach

Pokoik poety

„Dziennik Polski” z 28 IV 1988 r., z artykułem informującym o śmierci poety. U góry katafalk przed kaplicą-krematorium, w środku fotografia dokumentująca ostatnią *trachetę* Józefa Łobodowskiego. Od lewej siedzą: K. Tytko, P. Jęgliński, T. Filipowicz. Na stole reklamówka Księgarni Polskiej w Paryżu, z urną zawierającą prochy poety. U dołu zdjęcie pokoju poety. Archiwum Piotra Jęglińskiego.

dał do mnie Żyd po polsku – na ulicy. „A skąd pan wie, że ja jestem Polakiem?” – pytam go. „A no bo pan tak chodzi i tak wygląda, jak by pan nie był tutejszy – czy może z konsulatu w Kijowie?” Ja mówię „Nie”. „To niech pan ucieka”.

S: Czy w Galicji Wschodniej i na Wołyniu świadomość tego, co działo się na Ukrainie sowieckiej była powszechna?

JŁ: Była dojmująca, choć nie powszechna. Były jednak siły wyraźnie prosowieckie – grupa pisarzy i dziennikarzy wydających swoje czasopismo. To było złudzenie wywołane tym, że w pierwszych latach po wojnie domowej na Ukrainie doszło do rozkwitu kultury i literatury. Właściwie dopiero 1932 rok był przełomowy – kolektywizacja, głód, krwawe represje w stosunku do intelektualistów. Przecież ci tak zwani klasycy kijowscy wszyscy zginęli – z wyjątkiem jednego, któremu udało się na czas wyjechać na emigrację. Oni tłumaczyli rzymskich i greckich poetów i wzywali do kulturalnego odcięcia się od Moskwy. Tu musiało być uznane za odchylenie nacjonalistyczno-burżuazyjne. Kiedy ja w moim czasopiśmie „Dźwigary”, którego pan Krzysztof Woźniakowski⁷⁷² (nie mylić z Jackiem Henrykiem⁷⁷³) u Machejka⁷⁷⁴ w „Życiu Literackim” określił jako próbę siania zamętu wśród komunistów polskich, napisałem o co mi chodzi – że mianowicie KPP – Komunistyczna Partia Polski – to tak, jak Komunistyczna Partia Powiatu lubaczowskiego, że powinno być PPK, Polska Partia Komunistyczna – to od razu mnie oskarżono o odchylenie nacjonalistyczno-burżuazyjne!

S: Po wojnie trafił Pan na „Kulturę” – która się problematyką polsko-ukraińską zawsze bardzo interesowała. Mieroszewski,⁷⁷⁵ Giedroyc...

⁷⁷² Krzysztof Woźniakowski, historyk literatury, badacz związany z Krakowem.

⁷⁷³ Jacek Henryk Woźniakowski (1920-2012), historyk sztuki, pisarz i tłumacz.

⁷⁷⁴ Władysław Machejek (1920-1991), redaktor naczelny krakowskiego „Życia Literackiego” (1952-1989), reprezentował oficjalną linię partii w dziedzinie literatury. Łobodowski wielokrotnie polemizował z nim na łamach prasy emigracyjnej.

⁷⁷⁵ Juliusz Mieroszewski (1906-1976), publicysta, stały współpracownik paryskiej „Kultury”.

JŁ: Mioszewskego znałem bardzo słabo. U niego te sprawy nie były uzasadnione, on to traktował bardzo teoretycznie. Giedroyc w swoim czasie zrobił bardzo dużo w tym kierunku, chociaż ostatnio mocno się zmienił. Nadal bardzo się interesuje sprawami ukraińskimi.

S: Chciałbym na koniec wrócić do spraw, których zaczęliśmy tu trochę dotykać, to znaczy do dawnej historii. Jeżeli by tak spojrzeć na tę całą, dosyć nieszczęśliwą historię z wysokiego lotu ptaka – to gdzie należałoby ją zacząć? Z pewnością przed Chmielnickim?

JŁ: Ukraińcy zaczynają od Kazimierza Wielkiego – niesłusznie. Kazimierz Wielki przyłączył Ruś Halicką, ale to było średniowiecze i nacjonalizm jeszcze nie istniał. Najlepszy dowód, że kiedy Polacy oblegali Halicz, to kto go bronił? Piechota węgierska. Poza tym, w przydzielonych ziemiach Kazimierz Wielki nie stosował żadnych antyruskich kryteriów. Ja myślę, że dopiero od Unii Lubelskiej, a zwłaszcza od Unii Brzeskiej zaczyna się naprawdę. Kiedy po umowie hadziackiej przyjechał do hetmana Wyhowskiego poseł z Warszawy (Wyhowski był całkiem spolszczony, ta Wyhowska de Andreis, która mieszka w Rzymie, jest z tej samej rodziny) i przywiózł mu uchwały sejmowe, Wyhowski za głowę się złapał: „Unię mi przywiozłeś? Śmierć mi przywiozłeś!” – Chodziło o odrodzenie Unii na Ukrainie. Moment religijny odgrywał w XVII wieku w sprawach politycznych rolę zasadniczą. Zawinił tutaj Rzym, bo nuncjatura w Warszawie mocno popierała Unię, kler polski także, za klerem szlachta. Obydwaj bracia Wyhowscy zginęli oskarżeni o zdradę. Iwan Wyhowski, hetman, oskarżony o zdradę Rzeczypospolitej, a jego młodszy brat – o zdradę Moskwy, o zdradę Perejasławia. Z tą różnicą – świadcząca o różnicy kulturalnej – że Iwan Wyhowski został skazany i rozstrzelany przez Polaków. A jego brat zginął w strasznych męczarniach. Torturowano go wlewając mu do żył ołów. Kiedy wdowa zobaczyła jego ciało, które odesłano, wzywała Polaków do zemsty. Oczywiście nic z tego nie wyszło. Czern – jak nazywano prosty lud na Ukrainie – opowiadała się przeciwko Hadziaczowi, głównie ze względów religijnych, była za prawosławiem.

S: Czy uważa Pan, że Unia Brzeska była polityczną pomyłką?

JŁ: Nie, pomyłką były metody jej wprowadzania. Unia była rzeczą dobrą – ale metody jej wprowadzania były fatalne. Rzym nie poszedł na żadne ustępstwa. Biskupi unicki nie weszli do Senatu. Mimo rychłego pęknięcia Unia utrzymała się aż do powstania listopadowego. Dopiero potem została zlikwidowana w zaborze rosyjskim, na Białorusi – Białoruś cała była unicka – i na tej części Ukrainy, która znajdowała się pod zaborem rosyjskim, potem na Chełmszczyźnie.

S: Unia była likwidowana parę razy – ostatni raz na tym pseudosynodzie we Lwowie w 1945 roku⁷⁷⁶ – a jednak trwa tam pod ziemią, a w Polsce półoficjalnie – ostatnio była wizyta biskupa Marusyna⁷⁷⁷ z Watykanu, niektórzy sądzą, że to fakt przełomowy dla sytuacji Kościoła unickiego w Polsce.

JŁ: Czternaście lat temu ja rozmawiałem z metropolitą Slipyjem, którego Jan XXIII wyciągnął z łagru sowieckiego, ale skazał go na bezczynność. Na przykład nie wolno mu było dawać wywiadów. Kiedy przyjechałem do Rzymu – to było z inicjatywy Giedroycia – ksiądz Choma, sekretarz metropolity powiedział mi, że on zgodził się na rozmowę, ale nie na wywiad – „Musi Pan to ująć w formie relacji z rozmowy”. Slipyj powiedział mi, że rozmawiał w Rzymie z prymasem Wyszyńskim, który obiecał mu, że doprowadzi w Polsce do złagodzenia postawy kleru rzymskokatolickiego i miał pretensje, że Wyszyński tego nie wykonał. Slipyj nie chciał rozmawiać po ukraińsku, mówiliśmy po polsku, na co chętnie się zgodziłem, bo łatwiej. Pamiętam, że nazywał Wyszyńskiego endekiem.

S: Kiedy jesteśmy przy sprawach hierarchów – ciekaw jestem, jak Pan ocenia postać i rolę metropolity Szeptyckiego?

JŁ: Proszę pana – to była postać dużej miary. Polscy endecy ogłosili go narodowym zdrajcą. Jego ojciec, hrabia Szeptycki,⁷⁷⁸ żonaty

⁷⁷⁶ W rzeczywistości chodzi o pseudosobór, zwołany 8-10 III 1946 r. we Lwowie.

⁷⁷⁷ Myrosław Marusyn (1924-2009), biskup grekokatolicki, od 1982 r. sekretarz Kongregacji ds. Kościołów Wschodnich. Przebywał w Polsce po raz pierwszy w 1984 r.

⁷⁷⁸ Jan Szeptycki (1836-1912), ziemianin i polityk, m.in. poseł do Sejmu Krajowego w Galicji i austriackiej Rady Państwa.

z Zofią Fredrówną,⁷⁷⁹ córką Aleksandra, był Polakiem. Szeptyccy spolonizowali się pod koniec XVIII wieku – stosunkowo późno. Jeszcze w XVIII wieku byli biskupi unicy [o nazwisku] Szeptyckij. Czytałem pamiętniki Zofii Fredrówny,⁷⁸⁰ która przedstawiła w nich, jak jeden z synów został polskim generałem,⁷⁸¹ a drugi stał się Ukraińcem i został metropolitą. Oczywiście wersja, że on to zrobił dla kariery, jest absolutnie nonsensowna. On to zrobił ideowo, poszedł śladami swoich przodków. Powstała wersja, że ani metropolita nie chciał używać języka polskiego, ani jego brat Stanisław nie chciał mówić po ukraińsku, więc mówili ze sobą po francusku. Otóż z pamiętników matki wynika jasno, że u nich w domu panował język francuski, jak w każdym domu arystokratycznym w owych czasach. Andrzej i Stanisław rozmawiali ze sobą po francusku jako dzieci – więc dlaczego mieliby to zmienić później.

S: A późniejszy okres metropolity? Wzrost nacjonalizmu, wojna?

JŁ: Wiem, że Szeptycki w jakiejś rozmowie powiedział: „Kiedy dżungla płonie, zwierzęta nie gryzą, a ludzie się gryzą” – to była jego opinia o stosunkach polsko-ukraińskich w czasie wojny. Chronił Żydów, narażając się na śmierć. Propaganda komunistyczna przypisuje mu proniemieckość, ale to nieprawda. On oczywiście musiał z Niemcami pertraktować – tak samo jak [kardynał Adam] Sapieha musiał. Jeśli on nawet trochę popierał Hałyczynę czy inne formacje, to trzeba pamiętać, że one tak współpracowały z Niemcami jak legiony Piłsudskiego współpracowały z Austriakami – oni walczyli licząc na to, że stworzą zalążek przyszłej narodowej armii ukraińskiej. Wierzyli w to, co Piłsudski powiedział w swoim odczycie jeszcze przed I wojną światową – że zwycięstwo pójdzie z zachodu na wschód – to jest najpierw Niemcy pobiją Rosję, a potem Zachód pobije Niemców.

⁷⁷⁹ Zofia Szeptycka z domu Fredro (1837-1904).

⁷⁸⁰ Z. Szeptycka, *Wspomnienia z lat ubiegłych*, oprac. B. Zakrzewski, Wrocław 1967.

⁷⁸¹ Stanisław Szeptycki (1867-1950), generał Wojska Polskiego, brat metropolity Andrzeja Szeptyckiego.

S: Chciałbym jeszcze dokończyć ten perspektywiczno-histeryczny wątek naszej rozmowy, od którego odeszliśmy. Gdyby miał Pan wskazać momenty kluczowe, kiedy historia polsko-ukraińska mogła się być ułożona inaczej – to jak by je Pan określił?

JŁ: Pierwszy moment – zaraz po Unii Lubelskiej. Wszystkie powstania kozackie, które poprzedzały Chmielnickiego, były tylko wskazówkami, co nastąpi. Trzeba i można było położyć temu kres przed wystąpieniem Chmielnickiego. Szlachta polska była politycznie absolutnie ślepa. Drugi moment – w czasie wojny Północnej. Mazepa po stronie ukraińskiej, a po stronie polskiej – Stanisław Leszczyński. Gdyby Leszczyński mógł posłać Karolowi XII pod Połtawę choćby kilka tysięcy polskiej kawalerii, to Karol XII wygrałby Połtawę, to historia nie tylko Polski, ale Europy i całego świata zmieniłaby się zupełnie. Ale Mazepa miał minimalną pomoc ze strony ukraińskiej – Sicz zaporoska nie ruszyła się w ogóle, co było posunięciem samobójczym. A po Połtawie nastąpiło pierwsze zniszczenie Siczy zaporoskiej za Piotra I, a następnie, definitywne, za Katarzyny II. Można by ten wykaz nonsensów w polityce polsko-ukraińskiej ciągnąć dalej – ale czy warto? Nonsensy w tej polityce trwały przez lat czterysta. Czas, żeby się już skończyły.

Rozmowa nieautoryzowana, przeprowadzona podczas pobytu Józefa Łobodowskiego w Paryżu w 1986 roku, przez Piotra Jeglińskiego⁷⁸² i Jana Stepeka⁷⁸³ [„Spotkania” 1987, nr 33/34, przedruk: *Żywoć człowieka gwałtownego*, opr. Jacek Trznadel, Editions Spotkania, Warszawa 2014].

⁷⁸² Piotr Jegliński (ur. 1951), opozycjonista, redaktor podziemnego pisma „Spotkania” w Lublinie, po wyjeździe z PRL przebywał na emigracji we Francji, po roku 1989 wrócił do Polski. Założyciel, dziś właściciel, wydawnictwa Spotkania.

⁷⁸³ Jan Stepek (1951-1996), historyk, opozycjonista, współpracownik „Spotkań” (odpowiedzialny za dział ukraiński), od 1983 r. na emigracji we Francji. Po powrocie do Polski w latach 90. XX w. redaktor naczelny „Wieczoru Wrocławia”.

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

1. *Serca za barykadą*, „Trybuna” 1932 nr 1;
2. *Za naszą wolność i Waszą*, „Wiadomości Literackie” 1936 nr 9;
3. *Na marginesie dyskusji – ankiety*, „Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1937 nr 9;
4. [S. Kuryłło], *Metodyczne szaleństwo*, „Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1938 nr 33;
5. [S. Kuryłło], *W obliczu rozstrzygnięć*, „Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1938 nr 37;
6. [S. Kuryłło], *Legends wołyńskie*, „Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1938 nr 42;
7. [S. Kuryłło], *Krystalizujący się chaos*, „Biuletyn Polsko-Ukraiński” 1938 nr 46;
8. *Ze wspomnień ukrajinofila. W Polsce niepodległej*, „Wiadomości” 1947 nr 13;
9. *Ze wspomnień ukrajinofila. Lata wojenne*, „Wiadomości” 1947 nr 16;
10. *Sprawa ukraińska*, „Wiadomości” 1947 nr 50;
11. *Nowa książka Giertycha*, „Wiadomości” 1948 nr 19;
12. *Dyskusje polsko-ukraińskie*, „Wiadomości” 1948 nr 22;
13. *Brak programu wschodniego*, „Wiadomości” 1949 nr 7;
14. *Masońskim dyszlem z Kreszczatiku na Ramblas*, „Wiadomości” 1949 nr 8;
15. *Między Muszalskim a Zagłobą*, „Wiadomości” 1951 nr 26;
16. *Przeciw upiorom przeszłości*, „Kultura” 1952 nr 2/3;
17. *Scylle i Charybdy ukraińskiej poezji*, „Kultura” 1954 nr 4;
18. *Scylle i Charybdy ukraińskiej poezji (dokończenie)*, „Kultura” 1954 nr 5;
19. *Poezja Jewhena Malaniuka*, „Kultura” 1954 nr 6, „Kultura” 1955 nr 10;
20. *Dwie antologie*, „Kultura” 1960 nr 6;
21. *Sąd nad umarłym*, „Kultura” 1966 nr 6;
19. *Po śmierci Malaniuka*, „Kultura” 1968 nr 10;
20. *Sprawa rewindykacji – ponownie*, „Zeszyty Historyczne” 1970 nr 18;

21. *Profesor Kubijowicz*, „Kultura” 1971 nr 10;
22. *Likwidatorzy Unii*, „Kultura” 1972 nr 7;
23. *Dzieje osiemdziesięciolecia*, „Kultura” 1977 nr 5;
24. *Falszywa diagnoza*, „Kultura” 1977 nr 7;
25. *Falszywa legenda*, „Kultura” 1979 nr 11;
26. *Dmytro Doncow. Życie i działalność*, „Zeszyty Historyczne” 1981 nr 55;
27. *Trzeci numer „Widnowy”*, „Kultura” 1985 nr 10;
28. *Polski numer „Suczasnosti”*, „Kultura” 1986 nr 5;
29. *„Widnowa”*, „Kultura” 1986 nr 9;
30. *Rozmowa z Józefem Łobodowskim*, „Spotkania” 1987 nr 33/34
[przedruk w: *Żywot człowieka gwałtownego*, Editions Spotkania, Warszawa 2014].

Wydanie pierwsze

Wybór tekstów, wstęp i przypisy
Paweł Libera

Konsultacja
Andrij Pavlyszyn

Recenzent
dr hab. Mirosław Szumiło

Projekt typograficzny, skład, łamanie, projekt okładki
Bernard Nowak

Fotografia na okładce
Dariusz Kostecki

Tłumaczenie ukraińskich cytatów i kolokwializmów
Bohdan Zadura

Korekta
Karolina Kaźmierska



Publikacja dofinansowana przez
Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

ISBN 978-83-7038-917-1

Copyright © by Wydawnictwo Test, 2015
oraz Ewelina Tomanek-Inglot
Kamil Tomanek, Konrad Tomanek

www.bernard-nowak-wydawnictwo-test.com

